

# Przebudzeni

*Retribution Falls*

Chris Wooding

Przekład

Przemysław Bieliński



# 1

*Lawsen Macarde - Kwestia prawdopodobieństwa -*

*Kordelas Freya - Nowe horyzonty*

Przemytnik trzymał pocisk między kciukiem a palcem wskazującym. Przyjrzał mu się w słabym świetle magazynu, a potem uśmiechnął się kwaśno.

- Wyobraź sobie tylko - powiedział. - Pomyśl, jakie to uczucie, kiedy takie coś przechodzi ci przez głowę.

Grayther Crake nie chciał sobie tego wyobrażać. Starał się nie zwymiotować - rano już raz się w ten sposób zhańbił. Zerknął na mężczyznę obok, mając nadzieję na jakiś znak. Może tamten ma plan, pomyśl, jak ich z tego wydostać. Ale na twarzy Dariana Freya zobaczył tylko zaciętość i nic więcej.

Obaj mieli związane nadgarstki i stali oparci plecami o wilgotną, obłazącą z farby ścianę. Trzech uzbrojonych opryszków pilnowało, żeby nie uciekli.

Przemytnik, Lawsen Macarde, był przysadzistym człowiekiem z szeroką i głęboko pobrużdżoną twarzą. Jego posiwiałe włosy i ręce lepiły się od tłuszczu i brudu. Crake przyglądał się, jak Macarde wsuwa pocisk do pustego bębena rewolweru. Przemytnik zatrzasnął bębenek, zakręcił nim, a potem odwrócił się do swojej publiczności.

- Myślisz, że to boli? - zastanawiał się na głos. - Chociaż przez chwilę? A może wszystko się kończy w jednej sekundzie? Bang!

- Jak jesteś taki ciekawy, sprawdź na sobie - zaproponował Frey.

Macarde rąbnął go w brzuch. Włożył w ten cios całą swoją niemałą siłę. Frey zgiął się wpół ze stęknieniem i prawie padł na kolana. Zaraz jednak się wyprostował, choć zrobił to z pewnym wysiłkiem.

- Słuszna uwaga - wysapał. - Dobrze to ująłeś.

Macarde przycisnął lufę rewolweru do czoła Crake'a i popatrzył na drugiego z więźniów.

- Liczę do trzech. Chcesz zobaczyć jego mózg na ścianie?

Frey nie odpowiedział. Twarz Crake'a pod krótko przyciętą, jasną brodą była szara. Śmierdział alkoholem i potem. Nerwowo zerkał na kapitana.

- Raz.

Frey nie zareagował.

- Jestem tylko pasażerem! - zaprotestował Crake. - Nie należę nawet do załogi!

Miał akcent kogoś urodzonego w wyższych sferach, ale nie było tego po nim widać. Stał tam ze zmierzwionymi włosami, butami poplamionymi wymiocinami, płaszczem do połowy rozpiętym i rozchełstanym... Widać było, że jeszcze chwila i narobi w spodnie ze strachu.

- Znasz kod zapłonu do „Ketty Jay”? - spytał Macarde. - Wiesz, jak wystartować?

Crake przełknął ślinę i pokręcił głową.

- To się zamknij. Dwa!

- Nikt nie lata „Ketty Jay” oprócz mnie, Macarde - rzucił Frey. Jego spojrzenie błędziło nerwowo po magazynie. Światło przysłoniętego chmurami słońca wpadało przez poziome szczeliny znajdujące się wysoko w kamiennej ścianie. Leżały tu worki z szorstkiego konopnego płótna i zwoje lin, a z sufitu zwisały łańcuchy zakończone ogromnymi hakami. Chłodne cienie kreśliły głębokie linie na twarzach Macarde'a i jego ludzi, a powietrze śmierdziało wilgocią i rozkładem.

- Trzy. - Macarde nacisnął spust.

Klik.

Crake wzdrygnął się i zaskomlał, kiedy kurek spadł na pustą komorę. Dopiero po chwili do niego dotarło, że wciąż żyje. Odetchnął rozdygotany, kiedy Macarde opuścił broń, a potem rzucił Freyowi nienawistne spojrzenie.

Twarz Freya pozostała nieruchoma jak maska. Był zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego Crake pamiętał z poprzedniego wieczoru. Tamten mężczyzna śmiał się równie głośno jak Malvery i razem ze wszystkimi nabijał się z Pinna. Opowiadał historie, od których wszyscy tarzali się ze śmiechu, i pił do nieprzytomności. Tamtego mężczyznę Crake znał blisko trzy miesiące. Tamtego mógłby nazwać przyjacielem.

Macarde teatralnie przyjrzał się rewolwerowi.

- Pięć komór. Jedna poszła. Myślisz, że dalej będzie ci sprzyjać szczęście?

Przytknął lufę z powrotem do czoła Crake'a.

- Nie, proszę - jęknął Crake. - Proszę, proszę, nie. Frey, powiedz mu. Przestań się wygłupiać i mu powiedz.

- Raz... - zaczął znowu Macarde.

Crake błagalnym wzrokiem spojrzał na mężczyznę po prawej. Bez wątplenia był to ten sam człowiek. Miał te same wilcze rysy, te same zmierzwione czarne włosy, tę samą smukłą sylwetkę pod długim płaszczem. Ale iskra w jego oczach zniknęła. Nie było śladu po

przewrotnym uśmiechu, który zazwyczaj krył się w kącikach ust.

Nie zamierzał ustąpić.

- Dwa.

- Proszę - szepnął Crake, ale Frey tylko odwrócił wzrok.

- Trzy.

Macarde zawahał się, spodziewając się interwencji w ostatniej chwili. Nie nadeszła.

Klik.

Serce Crake'a zabiło tak mocno, że aż go to zabolalo. Wydał z siebie zduszony jęk. Usta mu się kleiły, całe ciało dygotało, rozpaczliwie chciał zwymiotować.

Ty bydlaku, pomyślał. Ty bezduszny bydlaku.

- Nie sądziłem, że cię na to stać, Frey - stwierdził Macarde z nutką podziwu w głosie. Wepchnął rewolwer z powrotem do kabury ukrytej gdzieś między kilkoma powycieranymi marynarkami, które nosił jedna na drugiej. - Raczej dasz mu umrzeć, niż oddasz mi „Ketty Jay”? To dopiero bezduszość.

Frey wzruszył ramionami.

- To tylko pasażer.

Crake przeklął go pod nosem.

Macarde zaczął chodzić w tę i z powrotem po magazynie. Opryszek o szczurzej twarzy pilnował więźniów z obnażonym kordelasem. Dwaj pozostali stali w cieniu - olbrzymi, ogolony na tyso osilek i mężczyzna w brudnej wełnianej czapce. Pierwszy pilnował jedyne wyjście, drugi - o smutnym spojrzeniu - opierał się o beczkę, leniwie przyglądając się przeładowywanej dźwignią strzelbie. Tuzin podobnych bandytów czekał na dole.

Crake wyteżał gorączkowo umysł, szukając drogi ucieczki. Mimo szoku i łomotania krwi w skroniach zmusił się do racjonalnego myślenia. Zawsze chlubił się swoją dyscypliną i samoopanowaniem, przez co upokorzenie ostatnich paru chwil było jeszcze trudniejsze do zniesienia. Wyobrażał sobie, że w obliczu zagłady wykaże trochę więcej godności.

Mieli związane ręce, napastnicy ich rozbili. Rewolwery zabrano im w tawernie, gdzie chrapali pijani na stołach. Macarde zabrał piękny kordelas Freya. Mój kordelas! - pomyślał z goryczą Crake. Broń wisiała teraz u jego pasa. Crake zauważył, że Frey uważnie się jej przygląda.

Co z Malverym i Pinnem? Najwyraźniej poszli gdzieś poprzedniego wieczoru, by dalej się bawić, gdy ich kompani usnęli. To zwykły pech, że akurat tej nocy znalazł ich Macarde. Za kilka godzin wystartowaliby i zniknęli z portu. Zamiast tego przemytnicy zawlekli ich na piętro - przystając tylko po to, żeby Crake mógł zwymiotować sobie na buty - i wepchnęli do

zapleśniałego składziku. Tu czekała ich anonimowa i okropna śmierć, bo Frey nie chciał podać kodu zapłonu do swojego statku.

Mógł mnie zastrzelić, pomyślał Crake. A ten sukinsyn niczego nie zrobił.

- Słuchaj. - Macarde odwrócił się do Freya. - Załatwmy to jak biznesmeni. Znamy się od dawna, kilka razy współpracowaliśmy, prawda? I chociaż z biegiem lat nauczyłem się, że można się po tobie spodziewać pewnej niedbałości - spóźnionych dostaw, towaru trochę innego niż obiecany i tak dalej - nigdy mnie nie wyrolowałeś. Aż do teraz.

- Co mam powiedzieć, Macarde? Nie tak się to miało skończyć.

- Nie chcę cię zabijać, Frey. - Przemytnik powiedział to tonem sugerującym coś zupełnie innego. - Nie chcę nawet zabijać tego spietranego lalusia. Chcę tylko dostać, co moje. Jesteś mi winien statek. Wezmę „Ketty Jay”.

- „Ketty Jay” jest warta tyle, co pięć twoich statków.

- Cóż, różnica pokryje koszty tego, że nie obetnę ci jaj i nie wepchnę ci ich do uszu.

- Niech będzie. - Frey nagle ustąpił.

- Aerium, które mi sprzedałeś, było podłej jakości. Przyznaj.

- A czego się spodziewałeś za tę cenę?

- Powiedziałeś, że pochodzi prosto z rafinerii. To, co mi sprzedałeś, było tak zubożone, że nie uniosłoby herbatnika, a co dopiero dwudziestotonowy statek.

- Handlowe gadanie. Wiesz, jak to jest.

- Przeszło chyba przez silniki każdego pirata stąd do wybrzeża! - warknął Macarde. - Lepsze aerium ściągałem z wraków na złomowisku!

Crake rzucił Freyowi spojrzenie winnego.

- Właściwie - wyszczerzył się wesoło Frey - było mniej więcej takie samo.

Macarde był krępyim mężczyzną, do tego z nadwagą, ale cios zadał oślepiająco szybko. Głowa Freya odskoczyła w tył i uderzyła o ścianę. Mężczyzna jęknął i podniósł ręce do twarzy. Kiedy je odsunął, na palcach miał krew z rozciętej wargi.

- Trochę grzeczniej, to pójdzie nam łatwiej - doradził Macarde.

- Jasne, teraz ty posłuchaj - odparł Frey. - Jeśli mogę ci to jakoś wynagrodzić... wykonać jakąś robotę, coś ukraść, cokolwiek... Cóż, to jedna rzecz. Ale nigdy nie dostaniesz mojego statku, rozumiesz? „Ketty Jay” jest moja.

- W tej chwili raczej nie możesz się targować - zauważył Macarde.

- Czyżby? Bo widzę to tak, że bez kodu zapłonu „Ketty Jay” to bezużyteczna skorupa. A ten kod znam tylko ja. Dlatego moje położenie nie jest takie najgorsze, dopóki ci nie powiem.

Macarde machnął ręką na Smutnookiego.

- Obetnij mu kciuki.

Mężczyzna zostawił strzelbę na becze, o którą się opierał, i wyciągnął sztylet.

- Hej, zaraz! - zawołał Frey pospiesznie. - Przecież chcę to wszystko zwrócić. Dostaniesz więcej, niż jest wart mój statek. Jeśli obetniesz mi kciuki, nie będę mógł latać. Zrób to, a zabiorę ten kod do grobu.

- Miałem na tamtym statku pięciu ludzi - stwierdził Macarde. Smutnooki zbliżał się do Freya nieubłaganie. - Wylatywali z kanionu. Widziałem to. Pilot chciał zwiększyć ciąg i nagle się okazało, że go nie ma. Kiepskie aerium, rozumiesz? Nie dał rady przelecieć nad krawędzią kanionu. Zahaczył brzuchem i poszedł z dymem. Pięciu ludzi zginęło. Za ich życie też zapłacisz?

- Słuchaj, musi być coś, na czym ci zależy. - Frey nagle wskazał głową Crake'a. - Już wiem! On ma złoty ząb. Prawdziwe złoto. Pokaż im, Crake.

Drugi z więźniów z niedowierzaniem popatrzył na kapitana.

- Nie chcę złotego zęba, Frey - odparł Macarde. - Dawaj kciuki.

- To na początek! - zawołał Frey. Spojrzał surowo i znacząco na towarzysza. - Crake, może byś im tak pokazał swój złoty ząb?

- Tak, daj popatrzeć. - Szczur ruszył do więźnia. - Uśmiechnij się do nas, lalusiu.

Crake głęboko zaczerpnął tchu i próbował się uspokoić. Obdarzył przemytnika swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem. Wyćwiczył go po pewnym zenującym ferrotypie, który zrobił rodzinny fotograf. Przysiągł sobie, że już nigdy nie zawstydy go żadne zdjęcie.

- Hej! Nie najgorszy - stwierdził Szczur, oglądając swoje odbicie w złotym zębie. Crake znowu się uśmiechał, szerzej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Smutnooki odciągnął Freya od ściany i popchnął na pokryty pajęczynami regał. Stracił kilka pustych słoików, a potem zmusił więźnia, żeby położył dłonie na półce. Frey zacisnął je w pięści, żeby nie wystawić kciuków. Smutnooki rąbnął go w nerki, ale to niczego nie dało.

- Chcę powiedzieć, Macarde, że obaj możemy wyjść z tego na plusie - warknął Frey przez zaciśnięte zęby. - Odpracujemy ten dług, ja i moja załoga.

- Jak tylko spuszczę was z oczu, będziecie w połowie drogi do Nowej Vardii - odparł przemytnik.

- Chcesz jakieś dodatkowe zabezpieczenie? Mogę ci zostawić jeden z myśliwców. Pinn ma skylance'a, szybszego niż naoliwione sowe łajno. Żałuj, że nie widziałeś go w akcji!

Smutnooki uderzył go kolanem w udo. Frey stęknął, ale wciąż nie wystawił kciuków. Osilek przy drzwiach uśmiechnął się pod nosem. Przyglądał się wysiłkom kompana, który próbował zmusić Freya do współpracy.

- Wiem, słuchajcie! - krzyknął Szczur.

Wszyscy znieruchomieli i popatrzyli na niego, zaskoczeni siłą jego głosu. Na twarzy opryszka pojawił się dziwny wyraz, jakby sam się dziwił, że znalazł się w centrum uwagi. Potem grymas zniknął, zatarty nagłym objawieniem.

- Może ich wypuścimy? - zaproponował Szczur.

Macarde rzucił mu jadowite spojrzenie.

- Co takiego? - spytał wolno.

- Nie, chwila, niech mnie pan posłucha - tłumaczył Szczur. Miał przy tym ton geniusza, który musi zniżyć się do wyjaśniania szczegółów głupiemu motłochowi. - Chodzi o to, że zabicie ich nic nam nie da. Nie wyglądają na takich, co śmierdzą groszem. A jak ich wypuścimy, mogliby, wie pan, roznieść dobrą nowinę, i tak dalej: „Ten cały Lawsen Macarde to rozsądny facet. Taki, z którym da się robić interesy”.

Macarde podczas przemowy Szczura robił się coraz bardziej czerwony, a teraz jego nieogolone policzki dygotały z wściekłości. Smutnooki i Osilek wymienili zaniepokojone spojrzenia. Żaden z nich nie miał pojęcia, co wstąpiło w ich kompana, żeby wygłosić taką przemowę, ale obaj wiedzieli, jak się to musi skończyć. Dłoń Macarde'a skoczyła do rękojęści kordelasa.

- Powinieneś posłuchać swojego człowieka - stwierdził Crake. - To nie takie głupie.

Mordercze spojrzenie Macarde'a spoczęło na nim. Crake wciąż absurdalnie się szczyrzył. Rzucił swój promienny uśmiech przemysłowemu, z całych sił starając się wyglądać jak cwany sprzedawca, a nie jak człowiek stojący w obliczu nieuniknionej śmierci.

I wtedy Macarde coś zauważył. Gniew zniknął z jego twarzy, a przemysłownik nachylił się do więźnia.

- Ładny ząb - mruknął.

Tak, patrz dalej, ty worze łajna, pomyślał Crake. Patrz dalej.

Skupił na nim całą siłę woli. Pomysł Szczura nie był wcale taki zły, jeśli się nad nim zastanowić. Wspaniałomyślny gest mógł poprawić opinię klientów o Macardzie. Zaczęliby walić drzwiami i oknami z propozycjami nowych interesów, ferując najlepsze stawki za przywilej współpracy z nim. Mógłby mieć całe miasto na własność!

Ale Macarde był bystrzejszy od Szczura. Ząb działał tylko na ludzi o słabym umyśle. Przemysłownik stawiał opór; Crake widział to w jego twarzy. Nawet oczarowany przez ząb Macarde wyczuwał, że coś jest nie tak.

Ciało Crake'a ogarnął chłód, zimniejszy i bardziej złowieszczy niż zwykły strach. Ząb wyciągał z niego resztki sił. Skacowany i osłabiony nie wytrzyma długo, zbyt dużo energii

zużył na Szczura.

Poddaj się, bezgłośnie błagał Macarde'a. Po prostu się poddaj.

Nagle przemytnik zamrugał, a jego spojrzenie zrobiło się ostrzejsze. Wstrząśnięty popatrzył na Crake'a, któremu uśmiech powoli spelzł z ust.

- To demonista! - wrzasnął Macarde, a potem wyciągnął rewolwer z kabury, przystawił go Crake'owi do czoła i pociągnął za spust.

Klik.

Macarde był równie zaskoczony jak Crake. Zapomniał, że załadował bębenek tylko jednym nabojem. Na chwilę zamarli w bezruchu, a potem wszystko zaczęło się dziać jednocześnie.

Kordelas wyskoczył zza pasa Macarde'a, przeleciał trzy metry w powietrzu i wpadł prosto w ręce Freya. Ostatnie chwile swojego życia Smutnooki spędził, gapiąc się z niezrozumieniem na kapitana, który oburącz wbił mu ostrze w brzuch.

Macarde nie miał pojęcia, co się dzieje. Crake pierwszy otrząsnął się z szoku. Rąbnął grubego mężczyznę kolaniem w krocze. Przemytnikowi oczy wyszły na wierzch; zatoczył się w tył i kwiknął jak przestraszony prosiak.

Wciąż skrępowanymi rękami Crake wyszarpnął rewolwer z tłustych palców Macarde'a. W tej samej chwili Szczur otrząsnął się z efektów działania zęba i zamierzył się na więźnia nożem. Crake wycelował i nacisnął spust. Tym razem kurek napotkał splonkę. Rewolwer wypalił wprost w twarz Szczura. Przy wtórze ogłuszającego huku z potylicy opryszka wystrzelił gejzer czerwonej mgiełki. Przemytnik zatoczył się kilka kroków w tył i zwałił na kłęb lin.

Macarde kuśtykał do drzwi, nieświadomie blokując linię strzału Osilkowi. Frey upuścił kordelas, przebiegł przez pomieszczenie i chwycił strzelbę zostawioną na beczce przez Smutnookiego. Osilkowi udało się odepchnąć szefa za siebie i wycelować w Crake'a, ale wskórał tylko tyle, że odsłonił się Freyowi i dostał prosto w pierś.

W kilka sekund było po wszystkim. Macarde uciekł. Słyszeli, jak biegnie korytarzem w stronę schodów wiodących na dół. Wrzeszczał coś do swoich ludzi. Frey wepchnął strzelbę za pas i podniósł kordelas.

- Wyciągnij ręce - powiedział do Crake'a. Kordelas błysnął i przeciął więzy. Frey rzucił broń Crake'owi i wyciągnął ręce przed siebie.

- Teraz ja.

Crake zważył broń w dłoniach. W uszach wciąż słyszał słaby śpiew rezonansu, którym zaklął demona w ostrzu. Jakie by to było uczucie wbić je kapitanowi w brzuch?



- Nie mamy czasu, Crake - pospieszył go Frey. - Później mnie ponienawidzisz.

Crake nie był szermierzem, ale wystarczyło, żeby poruszył nadgarstkiem, a kordelas zrobił resztę. Ciął równo między dłońmi Freya, uwalniając go z więzów. Potem rzucił broń kapitanowi, podszedł do trupa Szczura i wyciągnął mu rewolwer z kabury.

Frey przeładował strzelbę.

- Gotowy?

Crake wykonał zamaszysty gest, z sarkastyczną uprzejmością wskazując drzwi, jakby chciał powiedzieć: „pan przodem”.

Galeria za drzwiami wychodziła na ciemny, zadymiony i zalany winem bar. Wcześniej rano był jeszcze pusty, na stołach wciąż wały się śmieci po wczorajszej zabawie. Żaluzje nie wpuszczały do środka bladego światła dnia. Macarde, gdzieś na dole, wszczynął alarm.

Kiedy Frey i Crake wyszli z magazynu, po schodach na górę biegło dwóch przemytników. Obaj ściskali w garściach rewolwery. Zbiegowie zobaczyli ich, w chwili gdy pierwszy pośliznął się na wymiocinach Crake'a, których nikomu nie chciało się sprzątnąć. Runął jak długi na schody i podciął kompana. Frey wypalił do nich dwa razy ze strzelby, roztrzaskując przy tym drewnianą balustradę. Napastnicy już nie wstali.

Na dole pojawiło się za to czterech następnych. Frey i Crake pobiegli do drzwi na drugim końcu galerii. Otworzyli je i skoczyli do środka, ścigani nawałą kul.

Za drzwiami ciągnął się korytarz. Ściany miały kolor mdłej urzędowej zieleni, farba oblażyła ze starości. Wzdłuż korytarza znajdowało się kilkoro drzwi w obitych framugach - pokoje dla gości, którzy roztropnie nie wychylali się ze swych bezpiecznych schronień.

Frey pobiegł przodem. Na końcu korytarza dostrzegł wysokie, zasłonięte okiennicami okno. Nie zwalniając kroku, kapitan wpakował w nie wszystkie pozostałe ładunki ze strzelby. Prysnęło szkło, okiennice wyleciały z zawiasów. Frey wyskoczył przez wybite okno, a Crake, ogarnięty strachem, rzucił się za nim.

Na szczęście okno nie było wysoko. Pod nim, między wysokimi, wałącymi się domami, ciągnęła się stromo nachylona, brukowana uliczka. Słońce w górze ledwo wyglądało zza zasłony chmur.

Crake wylądował niezgrabnie i upadł na kolana. Frey postawił go na nogi. Na twarzy znów miał ten znajomy, przewrotny uśmiech. Zachowywał się jak dawniej.

- Powinniśmy się zbierać - stwierdził Frey, otrzepując towarzysza. - Mam ochotę zobaczyć otwarte przestworza, nowe horyzonty... i tak dalej.

Crake popatrzył na okno, przez które właśnie wyskoczyli. Odgłosy pościgu wyraźnie się zbliżały.

- Czuję dokładnie to samo - przytaknął.

Puścili się biegiem.

## 2

*Nowy rekrut - Wielu nowych znajomych -  
Jez mówi o statku powietrznym - Powrót Kapitana*

- Oto i ona - oznajmił Malvery. Zrobił przy tym zamaszty gest. - „Ketty Jay”.

Jez zmierzyła krytycznym spojrzeniem statek spoczywający na kamiennym lądowisku przed nimi. Zmodyfikowany ironclad, wyprodukowany przez zakłady Wickfielda, o ile oko ją nie myliło. „Ketty Jay” była brzydka i zwalista, zgarbiona jak sęp, z tępym dziobem i dwoma grubymi dyszami zamontowanymi wysoko na bokach. Miała krótki, gruby ogon, garb stanowiska strzeleckiego i opadające w dół i w tył skrzydła. Wyglądała, jakby nie mogła się zdecydować, czy jest lekkim transportowcem, czy ciężkim myśliwcem, więc nie sprawdzała się zbyt dobrze w żadnej z tych ról. Na jednym skrzydle miała łatę po niedawnej naprawie. Na wspornikach podwozia osadziła się szadź z chmur. Statkowi przydałoby się też mycie.

Jez nie była zachwycona. Malvery od razu zauważył jej reakcję i wyszczerzył się w szerokim uśmiechu pod gęstymi siwymi wąsami. Przez ten zarost trochę przypominał morsa.

- Ta ślicznotka nie jest może najpiękniejsza na świecie, ale potrafi ostro polecieć. Zresztą liczy się to, co w bebechach. Wiem, co mówię, bo jestem lekarzem!

Ryknął śmiechem, trzymając się pod boki i odrzucając w tył głowę. Jez mimowolnie się uśmiechnęła. Jego rechot był zaraźliwy.

Malvery miał w sobie coś, co sprawiało, że budził natychmiastową sympatię. Trudno było oprzeć się sile jego wesołości, a mimo potężnych rozmiarów nie wydawał się groźny. Wielki brzuch wystawał mu spod płaszcza, ledwie okryty spłóviałym swetrem poznaczonym dowodami nieopanowanego, niechlujnego apetytu. Linia włosów cofnęła mu się do siwego wianuszka wokół uszu, zostawiając łysy wierzch głowy. Nosił małe, okrągłe okulary o zielonych szklach.

- Co się stało z waszym ostatnim nawigatorem? - spytała Jez.

- Okazało się, że sprzedawał na boku części silnika. Wynawigował się rampą

załadunkową z butem kapitana na dupie. - Malvery znów ryknął śmiechem, a potem, zauważając minę Jez, dodał: - Bez obaw, byliśmy wtedy na ziemi. Chociaż ten cholerny złodziej zasługiwał, żeby go wrzucić do wulkanu. - Doktor podrapał się w policzek. - Prawdę mówiąc, mamy pecha do nawigatorów. Przez ostatni rok pracowało tu kilku. Okradali nas, znikali w nocy, dawali się zabić albo coś tam.

Jez gwizdnęła.

- To wygląda coraz lepiej.

Malvery klepnął ją w plecy.

- E tam, nie jest tak źle. Porządna z nas banda. Nie takie opryszki, na jakich mogłabyś się nadziać. Trzymaj tempo, rób swoje i będzie w porządku. Dostajesz działkę od wszystkiego, co zarobimy, po kosztach utrzymania i tak dalej, a kapitan źle nie płaci. - Popatrzył czule na „Ketty Jay” z rękoma wspartymi na biodrach. - W dzisiejszych czasach nie można chcieć więcej, prawda?

- W sumie tak - stwierdziła Jez. - Czym się zajmujecie?

Spojrzenie Malvery'ego było nieodgadnione.

- To znaczy, wozicie towary, kontrabandę, pasażerów, co? Pracujecie czasami dla Koalicji?

- W żadnym razie! Kapitan prędzej wypiłby kufel szcurzej szczy. - Malvery poczerwieniał. - Przepraszam za język.

Jez machnęła ręką.

- To na co się piszę?

Malvery odchrząknął.

- Nie można nas nazwać profesjonalną załogą, tak to ujmijmy - powiedział. - Prawdę mówiąc, kapitan czasami nie ma pojęcia, co robi. Najczęściej działamy na czarnym rynku, mały przemycik tu czy tam. Przewóz pasażerów, ludzi, którzy chcą się dostać gdzieś, gdzie nie powinni. Zdarzało się spróbować piractwa raz czy dwa, jak się trafiła okazja. No wiesz, kompanie transportowe tak naprawdę liczą się z tym, że stracą jeden czy dwa ładunki miesięcznie. Mają to w budżecie, więc nikomu nie dzieje się krzywda. - Zrobił nieokreślony gest ręką. - Właściwie zajmujemy się wszystkim, z czego jest niezła kasa.

Jez zastanawiała się przez chwilę. Załoga „Ketty Jay” ewidentnie wyglądała na zgraję amatorów, ale to jej akurat pasowało. Nie będą zadawali pytań. Zresztą miała szczęście, że w ogóle znalazła jakiegokolwiek zajęcie w Scarwater. I to pracę, na której się znała. Ważne, żeby nigdzie nie zostawać na dłużej. Pozostawanie zbyt długo w tym samym miejscu było niebezpieczne.

Wyciągnęła rękę.

- Dobra. Zobaczymy, co z tego będzie.

- Słuszna decyzja, nie pożałujesz tego. Zbyttnio. - Malvery chwycił jej dłoń grubymi, mięsistymi palcami i entuzjastycznie nią potrząsnął. Jez mimowolnie przeszło przez głowę pytanie, jak udaje mu się takimi paluchami zapiąć marynarkę, nie mówiąc już o przeprowadzaniu skomplikowanych operacji.

- Naprawdę jesteś doktorem? - upewniła się.

- I to certyfikowanym! - oznajmił. W jego oddechu wyczuła rum.

W czeluściach statku rozległ się głośny łomot. Malvery podszedł do rufy „Ketty Jay”, Jez ruszyła za nim. Rampa załadunkowa była opuszczona. W środku, w półmroku, ktoś toczył po pokładzie ciężką, metalową beczkę. Ze swojego miejsca Jez widziała tylko parę długich nóg w grubych spodniach i wysokich butach.

- Właściwie mogę was już sobie przedstawić - stwierdził Malvery. - Hej tam! Silos! Przywitaj się z naszą nową nawigatorką.

Postać w ładowni znieruchomiała i przykucnęła, żeby na nich spojrzeć. Mężczyzna był wysoki, wąski w biodrach, ale górną połowę ciała miał silnie umięśnioną. Cienka bawełniana koszula opinała ciasno jego bary i pierś. Bystre oczy spoglądały z wąskiej twarzy o zakrzywionym nosie. Głowę miał ogoloną. Jego skóra miała ciemny, żółtobrazowy odcień umbry.

Popatrzył na Jez w milczeniu, potem wstał i wrócił do pracy.

- To Silos. Mechanik. Małomówny gość, ale dzięki niemu ciągle latamy. Nie zwracaj uwagi na jego maniery, wszystkich tak traktuje.

- To Murthianin - zauważyła Jez.

- Owszem. Widać, że byłeś tu i ówdzie.

- Nigdy nie widziałam żadnego Murthianina poza Samarią. Myślałam, że wszyscy są niewolnikami.

- Ja też - powiedział Malvery.

- A ten jest własnością kapitana?

Malvery parsknął śmiechem.

- Nie. Silos nie jest niewolnikiem. Są tak jakby przyjaciółmi... chyba. Czasami trudno powiedzieć. Jego przeszłość... Cóż, to sprawa między nim i kapitanem. Oni się nie zwierzają, my nie pytamy. - Odprowadził Jez od statku. - Chodź, poznasz pilotów. Kapitana i Crake'a na razie nie ma. Pewnie wrócą, jak tylko im wyleczą kaca.

- Crake'a?

- To demonista.

- Macie na pokładzie demonistę?

Malvery wzruszył ramionami.

- To jakiś problem?

- Nie dla mnie - odparła Jez. - Tylko... No, wiesz, jak ludzie traktują demonistów.

Malvery chrząknął.

- Przekonasz się, że jesteśmy bardzo tolerancyjni. Nikt z nas nie ma raczej prawa rzucać kamieniem.

Jez pomyślała o tym i się uśmiechnęła.

- Nie należysz chyba do Przebudzonych, co? - spytał podejrzliwie Malvery. - Bo jeśli tak, to od razu możesz stąd odmaszerować.

Jez powtórzyła jego chrząknięcie.

- Raczej nie.

Malvery rozpromienił się i huknął ją w plecy tak mocno, że pewnie przeskoczyło jej kilka kręgów.

- Dobrze wiedzieć.

Wyszli z cienia „Ketty Jay” i ruszyli przez lądowisko. Doki Scarwater były w połowie puste, tu i tam stały rozrzucone małe i średnie statki powietrzne, głównie poszukiwawcze i dostawcze. Uwaga wszystkich skupiała się na drugim końcu platformy, gdzie siadała właśnie pękata barka towarowa. Obsługa biegła zająć się nowo przybyłymi. Mocny wiatr niósł przez doki metaliczny zapach lotnego aerium, kiedy barka otworzyła zbiorniki balastowe i ostrożnie siadła na podporach.

Doki zbudowano na szerokim jeziorze lądu, wrzynającym się w nieruchome, czarne jezioro na dnie jałowej, górskiej doliny. Okolica wydawała się dzika i odludna, ale Jez widziała wiele takich miejsc. Małe, zaciszne porty, schowane przed światem, dostępne tylko drogą powietrzną. Takich miast jak Scarwater było tysiące, wszystkie starały się ukryć przed czujnym okiem Marynarki. Spotykało się tu zarówno uczciwych handlarzy, jak i przemytników.

Pewnie kiedyś była tu stacja pocztowa albo punkt uzupełniania zapasów - kropka na mapie, osłonięta od lokalnych zdradzieckich wicherów, z łatwo dostępnym źródłem wody. Powoli pęczniała, im bardziej rozchodziły się wieści o niej, tym szybciej się rozrastała. Przyjeżdżali tu ludzie szukający nowych szans. Tacy podróżni potrzebowali baru, żeby zaspokoić pragnienie. Pijacy potrzebowali lekarza, który opatrzyłby ich rany, kiedy spadli z muru. A kiedy się budzili, ktoś musiał im przyrządzić śniadanie. Większość najważniejszych

zawodów w dużych miastach surowo kontrolowały Gildie, ale tutaj można było zostać stolarzem, piekarzem czy budowniczym statków i nie odpowiadać przed nikim oprócz samego siebie.

Ale tam, gdzie można zrobić pieniądze, zbierają się też przestępcy. Miasta takie jak Scarwater szybko zaczynały gnić od środka. Jez bawiła tu dopiero od tygodnia, od kiedy rzuciła swoje poprzednie zajęcie, ale zobaczyła dość, by wiedzieć, jak to się skończy. Niedługo uczciwi ludzie zaczną wyjeżdżać gdzie indziej, wypędzeni przez gangi, a ci, którzy zostaną, pożrą się nawzajem i przeniosą dalej. Zostanie po nich wymarłe miasto, takie samo jak wszystkie inne wymarłe miasta, nawiedzane przez porzucone marzenia i stracone możliwości.

Po lewej stronie Scarwater pięło się w górę po kamienistym brzegu jeziora. Wąskie uliczki i kręte schodki biegły między prostymi, kanciastymi budynkami, stojącymi w skupiskach wszędzie tam, gdzie tylko kawałek płaskiego terenu na to pozwalał. Napowietrzna sieć rur przecinała ulice długimi, prostymi liniami, parując lekko w chłodnym porannym powietrzu, otaczając niczym rusztowanie bałagan pod spodem. Wielkie czarne ptaszyska siedziały na rurach całymi stadami, wypatrując ofiar.

To nie miejsce dla mnie, pomyślała Jez. Ale gdzie było takie miejsce?

Przed nimi na lądowisku stały dwa małe myśliwce - Caybery Firecrow i przerobiony Skylance klasy F. Malvery poprowadził ją do stojącego bliżej skylance'a. O jego burtę opierał się mężczyzna, którego Jez uznała za pilota. Facet palił skręta i wyglądał zdecydowanie nieświeżo.

- Pinn! - ryknął Malvery. Pilot się skrzywił. - Chcę ci kogoś przedstawić.

Tamten rozdeptał niedopałek, kiedy podeszli, i wyciągnął dłoń do Jez. Był niski, krępy i ogorzały, miał bezkształtną strzechę czarnych włosów i pulchne policzki, które sprawiły, że jego oczy wyglądały jak szparki, gdy uśmiechnął się mdląco na powitanie. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Niedużo jak na pilota.

- Artis Pinn, to Jezibeth Kyte - oznajmił Malvery. - Leci z nami jako nawigator.

- Jez - poprawiła go. - Nigdy nie lubiłam Jezibeth.

Pinn zmierzył ją wzrokiem.

- Dobrze będzie mieć na pokładzie kobietę - powiedział niskim i pozbawionym intonacji głosem.

- Chłopak nie jedzie dzisiaj na wszystkich cylindrach, prawda? - rzucił Malvery i mocno plasnął go w ramię. Szary odcień na twarzy Pinna zrobił się o ton ciemniejszy i pilot podniósł rękę, żeby powstrzymać kolejne ciosy.

- Zaraz zwrócę śniadanie - mruknął. - Odczep się.

Malvery ryknął śmiechem, a Pinn aż się wzdrygnął pod nawalą hałaśliwej wesołości doktora.

- Sam go modyfikowałeś? - spytała Jez, przesuwając dłonią po burcie skylance'a. Klasa F była modelem wyścigowym, jednoosobowym, szybkim i zwrotnym. Kokpit mieścił się daleko z tyłu kadłuba, robiąc miejsce dla olbrzymiej turbiny dziobowej, zasilającej dyszę odrzutu na rufie. Ten egzemplarz obudowano dodatkowymi płytami pancerza i dodano podwieszane pod skrzydłami karabiny maszynowe.

- Tak. - Pinn trochę się ożywił. - Znasz się na statkach?

- Dorastałam przy nich. Mój tata je budował. Latałam na wszystkim, na czym się dało. - Skinęła głową w stronę „Ketty Jay”. - Założę się, że poleciałabym nawet tym złomem.

Malvery prychnął.

- Akurat kapitan ci pozwoli.

- Który statek lubiłaś najbardziej? - spytał Pinn.

- Na szesnaste urodziny tata zbudował mi A-18. Uwielbiałam to maleństwo.

- I co się z nim stało? Rozbiłaś go?

- Wyzionął ducha pięć lat temu. Posadziłam go w jednym małym porcie niedaleko Yortlandii i więcej już nie wystartował. Nie miałam grosza na naprawy, więc zatrudniłam się jako nawigatorka. Myślałam, że zawodowa nawigacja to prosta sprawa; w końcu zajmowałam się tym na własny użytek. Podczas tej pierwszej wyprawy zgubiliśmy się przeze mnie. Zabłąkaliśmy się w przestrzeń powietrzną Marynarki i dwa windblade'y prawie nas zestrzeliły. Musiałam się szybko poduczyć.

- Już mi się podoba - rzucił Pinn do Malvery'ego.

- No to świetnie - odparł doktor. - Chodź, przywitamy się z Harkinsem.

Skinęli sobie głowami na pożegnanie.

- To dobry chłopak - stwierdził Malvery, kiedy szli do firecrowa. - Głupi jak but, ale ma talent, bez dwóch zdań. Lata jak wariat.

Firecrowy były kiedyś podstawowymi jednostkami Marynarki, dopóki nie zastąpiły ich nowsze modele. Zbudowano je, by wygrywać starcia w powietrzu - miały dwa duże protanowe silniki odrzutowe i karabiny maszynowe wbudowane w skrzydła. Okrągła, przeszklona bańka na tępym dziobie zapewniała pilotowi świetną widoczność z kokpitu, umieszczonego na samym przodzie, w przeciwieństwie do skylance'a.

Harkins siedział w statku i robił szybką diagnostykę. Był chudy. Błede policzki miał nieogolone. Odsunięta w tył skórzana czapka-pilotka ukazywała duże zakola i rzednące,

ciemne włosy. Na szyi wisały mu luźno gogle. Miał szybkie urywane ruchy, jak mysz - stukał w zegary i pstrykał przełącznikami ze skupioną miną. Kiedy podeszli, zanurkował obejrzeć coś przy pedałach.

- Harkins! - wrzasnął Malvery z całych sił. Pilot podskoczył i wyrznął głową w dżęzek sterowy.

- Co?! Co?! - zawołał, wystawiając głowę z kokpitu i rozglądając się w panice.

- Chcę cię przedstawić nowemu nawigatorowi - oznajmił Malvery, promieniejąc. - Jez, oto Harkins.

- Och! - Pilot zdjął czapkę i rozmasował ciemię. Popatrzył na Jez, a potem wyrzucił z siebie potok bełkotliwych szybkich słów. Zdania zlewały się ze sobą, w pośpiechu opuszczając usta.

- Cześć. Robiłem... wiesz, sprawdzałem to i owo. Muszę o niego dbać, prawda? To znaczy, czym jest pilot bez samolotu, tak? Pewnie ty masz tak samo z mapami. Czym jest nawigator bez mapy? Pewnie dalej nawigatorem... tak, tyle że bez mapy, ale wiesz, o co mi chodzi, prawda? - Wskazał na siebie. - Harkins. Pilot.

Jez była nieco oszołomiona.

- Miło mi cię poznać. - tylko tyle zdołała wykrztusić.

- To nie kapitan? - spytał nagle Harkins, patrząc gdzieś za doki. Nałożył gogle. - To Crake i kapitan - potwierdził. I nagle zaniepokoił się. - Oni, e... biegną. Tak, biegną z góry. Do doków. Bardzo szybko.

Malvery w rozpaczy uniósł wzrok ku niebu.

- Pinn! - zawołał przez ramię. - Coś się kroi!

Pinn wyszedł zza skylance'a i jęknął.

- To nie może poczekać?

- Nie, szlag by to, nie może. Zbieraj się. Kapitan potrzebuje pomocy. - Spojrzał na Jez. - Umiesz strzelać?

Jez kiwnęła głową.

- Łap jakąś pukawkę. Witamy na pokładzie.



# 3

## *Pospieszny odlot - Strzelanina - Jeden ranny - Przerazające spotkanie*

Rozdzielali właśnie broń, zebrani za stertą skrzyń przy rufie „Ketty Jay”, kiedy Crake i kapitan do nich dobiegli.

- Kłopoty? - spytał Malvery.
- To chyba ten dzień tygodnia - odparł Frey. A potem wrzasnął na Silosa.
- Kapitanie - odparł barytonem Murthianin, przycupnięty na górze rampy załadowniczej.
- Dostałeś przesyłkę?
- Aha. Przyszła godzinę temu.
- Ile potrzebujesz, żeby nas podnieść?
- Aerium już krąży. Pięć minut.
- Najszybciej, jak się da.
- Tak jest, kapitanie. - Mechanik zniknął w ładowni.

Frey odwrócił się do pozostałych.

- Harkins, Pinn. Startujcie. Spotkamy się nad chmurami.
- Szykuje się jakaś awanturka? - spytał z nadzieją Pinn, ożywiając się nieco mimo kaca.

Zanim skończył zdanie, Harkins był już w połowie drogi do swojego myśliwca.

- Wynocha stąd! - warknął na niego Frey.

Pinn mruknął coś kwaśno pod nosem, wsadził rewolwer za pasek i ruszył w stronę skylance'a, ostentacyjnie obrażony, że ominie go bijatyka.

- Macarde tu idzie - wyjaśnił Frey, kiedy Malvery podawał mu pudełko naboju. - Ma ze sobą ludzi.

- To resztki - mruknął doktor. - Trzeba oszczędzać

- W takim razie Crake nie strzela - zarządził Frey, ładując strzelbę zabraną Smutnookiemu. - Nie trafiłby w burtę fregaty, nawet jakby stał obok niej.

- Tak jest, kapitanie - odparł Malvery i tak wciskając Crake'owi garść naboju. Demonista nie zareagował na zaczepkę kapitana. Po biegu wyglądał, jakby miał zaraz

zemdleć.

Frey ruchem głowy wskazał Jez.

- Kto to?

- Jez, nowy nawigator - odparł Malvery tonem kogoś, kogo zmęczyło już przedstawianie po raz setny tej samej osoby.

Frey szybko zmierzył dziewczynę wzrokiem. Niska i drobna. Dobrze, bo nie będzie zajmowała dużo miejsca i miała prawdopodobnie równie niewielki apetyt. Włosy związała w zwykły kucyk, co wraz z prostym, praktycznym ubraniem sugerowało pewną oszczędność. Rysy miała miłe, ale wyglądała raczej pospolicie, chłopięco i była bardzo blada. To też plus - atrakcyjna kobieta w załodze złożonej z samych mężczyzn wróżyła kłopoty. Wszyscy się rozpraszali i, zamiast pracować, poświęcali energię na flirty i wdziękowanie się. Poza tym Frey czułby się zobowiązany z nią przespać, a to nigdy się dobrze nie kończyło.

Kiwnął głową do Malvery'ego. Nada się.

- Kim jest Macarde? - spytała Jez, jednocześnie ładując naboje. Kiedy na nią spojrzeli, wrzuciła ramionami. - Po prostu lubię wiedzieć, do kogo strzelam.

- W wielkim skrócie - odparł Malvery - sprzedaliśmy miejscowemu szefowi mafii dwanaście kanistrów zużytego aerium po niskiej cenie, żeby zebrać pieniądze na trzy kanistry prawdziwego, by się oderwać od ziemi.

- Problem w tym, że wystawił nas nasz kontakt - dodał Frey, zajmując pozycję za skrzyniami. - Spóźniła mu się dostawa, przez co nie mógł nam dowieźć towaru na czas. Utknęliśmy tu na tak długo, że jeden z badziewnych pilotów Macarde'a zdążył wlecieć w ścianę.

- I dlatego musimy się zebrać do odlotu - zakończył Malvery. - Takie idealne plany, jak ten to nasz chleb powszedni. Wciąż się na to piszesz?

Jez zarepetowała karabin z satysfakcjonującym, metalicznym chrzęstem.

- I tak znudziło mi się to miasto.

Cała czwórka ustawiła się za skrzyniami, obserwując drogę prowadzącą do doków. Na wzniesienie wchodziło się szerokim, brukowanym traktem biegnącym między zapuszczonymi magazynami. Pracujący tam dokerzy odsuwali się na boki, jak woda cięta dziobem łodzi. Chowali się na widok Lawsena Macarde'a i dwudziestu uzbrojonych ludzi biegnących ulicą.

- Czyli mają przewagę liczebną - mruknął Malvery. Obejrzał się. Skylance i firecrow unosiły się nad lądowiskiem. Elektromagnesy ich silników z hukiem zmieniały rafinowane aerium w ultralekki gaz, który wypełniał zbiorniki balastowe.

Oddzielne, napędzane protanem silniki odrzutowe rozgrzewały się z coraz głośniejszym

wyciem.

- Gdzie jest Bess? - spytał Frey.
- Wyglądam, jakbym ją miał w kieszeni? - odparł Crake z irytacją.
- Przydałaby się nam pomoc.
- Będzie marudna, jak ją obudzę.
- Właśnie o to mi chodzi.

Crake wyjął mały mosiężny gwizdek wiszący na łańcuszku na szyi i dmuchnął w niego. Żadnego dźwięku. Frey miał już kąśliwie skomentować słabość płuc Crake'a, kiedy pierwszy pocisk uderzył w skrzynię przy jego głowie, syjąc drzazgami. Kapitan zaklął i skulił się odruchowo.

Crake schował gwizdek, a potem wychylił się zza osłony i zaczął strzelać z rewolweru. Ci, do których celował, krzyczeli i ze strachem pokazywali palcami w jego stronę, a potem rozbiegli się, szukając osłony za workami i skrzyniami, czekającymi na przewóz do magazynów.

- Ha! - zawołał Crake triumfalnie. - Przynajmniej oni nie wątpią w moją celność!

Chwilę później pęd powietrza zmierzwił mu włosy, kiedy skylance Pinna przemknął pół metra nad nimi, orząc ulicę ogniem z karabinów maszynowych. Beczki rozprysnęły się w drzazgi, kilku mężczyzn runęło z wyciem trafionych pociskami. Skylance przeleciał wzdłuż ulicy, a potem wystrzelił pionowo w górę i zniknął w chmurach.

- Owszem - stwierdził Frey z udawaną powagą. - Straszny jesteś z tym swoim czymś.

W polu widzenia nie było ani jednego dokera, wszyscy się schowali, zostawiając pole walczącym. Ludzie Macarde'a zajmowali skraj lądowiska, piętnaście metrów dalej. Między nimi a załogą Freya stał mały, dwuosobowy statek. Dawał przemytnikom świetną osłonę. Atak Pinna nimi wstrząsnął, ale szybko się przegrupowali.

Frey i Jez zaczęli strzelać, rozpraszając napastników. Jeden padł trafiony w nogę. Inny nierozsądnie schował się za dużą, ale pustą paką. Malvery podrzucił do ramienia dwururkę, wycelował i wywalił wielką, poszarpaną dziurę w skrzyni i w mężczyźnie stojącym za nią.

- Silos! Jak idzie? - zawołał Frey, ale mechanik nie słyszał go przez huk.

- Darianie Frey! - wrzasnął Macarde ze swojej kryjówki za stosem lotniczych opon. - Jesteś już trupem!

- Pogróżki - mruknął Frey. - Naprawdę, po co to?

- Próbuja nas zająć z flanki! - ostrzegła Jez. Strzeliła do jednego z przemytników, który wyskoczył zza sterty popsutych serwomechanizmów. Kula przebiła mu rękaw koszuli, chybiając o włos. Wyhamował w miejscu i rzucił się z powrotem za osłonę.

- Tandetna taktyka, jeśli chcecie znać moje zdanie - skomentował Crake. Odzyskał już oddech i postanowił popisać się brawurą. Wystukał łuski z bębena rewolweru i włożył pięć nowych naboju. - Niechlujne, wtórne myślenie, którego należy się spodziewać u pospolitych przemytników.

Jez wyrzła zza skrzyń, wypatrując mężczyzny, do którego strzelała. Zamiast niego zobaczyła innego, przeskakującego od osłony do osłony i próbującego zająć ich z boku. Zniknął, zanim zdołała wycelować.

- Zamiast dowcipkować wypatruj sukinsynów zachodzących nas z boku - warknęła.

- Twarda z niej sztuka, trzeba przyznać - powiedział Frey do Malvery'ego.

- Będzie się u nas czuła jak u siebie - przytaknął doktor.

Za dwuosobowym statkiem zgromadziło się kilku ludzi Macarde'a. Crake zasypywał ich kulami.

- Amunicja! - upomniał go Malvery.

Frey uchylił się, kiedy kolejne strzały skrzesały iskry na kamiennym podłożu i połupały drewno skrzyń. Malvery odpowiedział ze swojej strzelby, wystarczająco głośno, żeby zniechęcić napastników, a potem schował się, żeby przeładować.

Jez znów wystawiła głowę. Cholera, straciła z oczu ludzi próbujących zająć ich z flanki. Mimo ostrzeżenia jej towarzysze wciąż byli zajęci pukaniem do szmuglerów podchodzących z przodu.

Nagle poruszenie. Tam był jeszcze jeden! Trzeci, zbliżający się do miejsca, z którego mógłby strzelać z boku, gdzie ich barykada ze skrzyń byłaby bezużyteczna.

- Doszedł trzeci! - wrzasnęła Jez.

- Jesteśmy trochę zajęci - cierpliwie rzucił w odpowiedzi Frey.

- Będziesz zajęty wydłubywaniem kuli z ucha, jeśli nie... - zaczęła. I wtedy trafiła ją jedna z kul.

To był biały płomień bólu, odbierający oddech i oślepiający wszystkie zmysły, jak uderzenie olbrzymim tłokiem. Siła trafienia rzuciła ją w tył, na Crake'a. Chwycił ją, zanim upadła.

- Dostała! - zawołał.

- Tak szybko? - zdziwił się Frey. - Cholera, z reguły dłużej wytrzymują. Malvery, rzuć okiem.

Doktor huknął jeszcze dwa razy ze strzelby, żeby przemytnicy się nie wychylali, a potem ukląkł obok Jez. Jej niezdrowa cera zrobiła się jeszcze o odcień bielsza. Z ramienia, przez kurtkę, sączyła się ciemnoczerwona krew.

- Och, dziewczyno, daj spokój - mruknął. - Nie umieraj mi tu i tak dalej.

- Nic mi nie jest, doktorze - wycedziła przez zęby. - Nic mi nie jest.

- Siedź i się nie ruszaj.

- Nie mam czasu - odparła. Wstała chwiejnie, trzymając się za ramię. - Mówiłam, że zachodzą nas z boku! Gdzie jest ten, co...? - Umilkła, gdy zobaczyła za nimi coś, co schodziło po rampie załadunkowej. Opadła jej szczeka. - A to co?

Malvery się obejrzał.

- To? To Bess.

Z ciemności na światło poranka wyszła dwuipółmetrowa, szeroka na dwa metry, półtonowa opancerzona poczwara. Nic w jej wyglądzie nie sugerowało nawet, że jest płci żeńskiej. Tors i kończyny miała pokryte kształtowanymi płytami zmatowiałego metalu, połączenia między nimi okryte poszarpaną kolczugą. Była przygarbiona, grzbiet wznosił się jej ponad olbrzymie bary. Zamiast twarzy miała okrągłą kratownicę z grubych prętów przypominającą właz do kanału. Za nią widać było tylko dwa jasne światełka - oczy istoty.

Jez wstrzymała oddech. Golem. Dotąd tylko o nich słyszała.

Z istoty wydobył się niski pomruk, głuchy i dźwięczny. Potem zeszła po rampie, przyspieszając przy wtórze łomotu olbrzymich buciorów. Wśród przemytników rozległy się krzyki strachu. Bess zeskoczyła z rampy i wylądowała z grzechoczącym łoskotem, od którego zatrzęsała się ziemia. Jedną dłoń w pancernej rękawicy chwyciła beczkę, w której mógłby się schować przeciętny człowiek, i cisnęła nią w przemytnika schowanego za stosem skrzyń. Beczka roztrzaskała je i zmiażdżyła mężczyznę, przysypując go lawiną połamanego drewna.

- No, rzeczywiście jest marudna - zauważył Frey. - Dobra stara Bess.

Golem wdarł się między napastników zachodzących załogę z boków, niczym rycząca furia. Kule odbijały się od jego zbroi, zostawiając tylko zadrapania i niewielkie wgłębienia. Jeden z przemytników w panice wyskoczył z osłony. Bess chwyciła go za gardło i cisnęła jego bezwładnym trupem w jego kompanów.

Inny próbował minąć ją za plecami, ale była szybsza, niż się wydawało. Rzuciła się za nim, potężnymi palcami złapała go za rękę. W jej uścisku pękła kość. Krótkie krzyki ofiary ustały, gdy Bess wyrwała mężczyźnie rękę ze stawu i rąbnęła go nią w twarz, na tyle mocno, by go zabić.

Reszta ludzi Macarde'a nagle straciła chęć do walki. Zawrócili i uciekli.

- Co wy robicie? - wrzasnął Macarde z kryjówki na tyłach. - Dawać tu z powrotem tchórzliwe brudne dupska i zastrzelić to coś!

Bess odwróciła się. Dostrzegła przywódcę przemytników. Z jej piersi wydobywał się

niski, grzechoczący dźwięk. Macarde z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nigdy więcej tu nie wracaj, Frey, słyszysz? - zawołał, cofając się przy tym kilka kroków. - Jak wrócisz, to jesteś trupem! Słyszysz mnie? Trupem! Wyłupię ci oczy, Frey!

Jego pożegnalny strzał był ledwie słyszalny, bo Macarde, oddając go, uciekał. Wkrótce zniknął, goniąc swoich ludzi w płątaninie uliczek Scarwater.

- To by było na tyle - rzucił Frey.

- Jest gotowa, kapitanie! - zawołał Silos z ładowni.

- Jak zawsze idealnie o czasie. Malvery, jak nowy rekrut?

- Nic mi nie jest - odparła Jez. - Kula przeszła na wylot.

Malvery wyglądał, jakby mu ulżyło.

- Czyli nie trzeba będzie niczego wyjmować. Trochę środka odkażającego, bandaż i będziesz zdrowa.

Jez spojrzała na niego dziwnie.

- Pewnie tak.

- To twarda mała pchła, kapitanie - oznajmił Malvery z dumą w głosie, jakby odwaga dziewczyny była jego zasługą.

- Następnym razem postaraj się, żeby cię nie trafili - doradził Frey.

- Nic by się nie stało, gdybyście mnie posłuchali.

Frey przewrócił oczami.

- Doktorze, zabierz ją do lazaretu.

- Nic mi nie będzie - protestowała Jez.

- Właśnie dostałaś kulkę w bark! - krzyknął Malvery.

- Zagoi się.

- Może byście oboje już weszli do tego cholernego statku? - zdenerwował się Frey. - Crake! Przyrowadź Bess. Startujemy dziesięć minut temu!

Wszedł za Jez i Malverym na rampę, do środka „Ketty Jay”. Kiedy zniknęli, Crake ruszył ostrożnie przez pobojuwisko i położył rękę na ramieniu golema. Bess odwróciła się do niego, zatrzeszczała kolczuga. Mężczyzna pogładził bok kratownicy stworzenia i obdarzył je czułym spojrzeniem.

- Dobra robota, Bess - mruknął. - Moja kochana dziewczynka.

# 4

*Dola pilota - Rozterki Crake'a -*

*Malvery przepisuje drinka*

W życiu Jandrewa Harkinsa na palcach jednej ręki dałoby się policzyć chwile, kiedy był naprawdę zrelaksowany. Nawet we śnie wił się i rzucał, dręczony snami o wojnie czy, czasami, o uduszeniu przez Żuzła, pokładowego kota „Ketty Jay”, który miał złośliwy zwyczaj używać jego twarzy jako łóżka.

Ale tutaj, usadowiony w ciasnym kokpicie firecrowa, z rykiem protanowych dysz w uszach - tutaj znajdował spokój.

Był spokojny dzień, jasno świeciło jesienne słońce. Lecieli na północ, wzdłuż łańcucha gór Hookhollow. „Ketty Jay” była nad nim, kilkaset metrów od sterburty. Skylance Pinna sunął obok. Niebo było puste, nie licząc fregaty Marynarki na horyzoncie na zachodzie i frachtowca z Aulenfay, wynurzającego się z chmur skrywających wszystkie góry oprócz najwyższych szczytów. Na wschodzie można było dostrzec stromą skalną ścianę Wschodniego Płaskowyzu, który ciągnął się wzdłuż łańcucha gór. Na południu chmury robiły się ciemne od wulkanicznych pyłów, dryfujących w stronę równin Blackendraft.

Harkins spojrział w górę przez przeszklony dach kabiny. Niebo było doskonałe, czyste, ciemnoniebieskie. Nieskończone.

Westchnął z zadowoleniem. Sprawdził zegary, rozluźnił dłoń w rękawiczce na drążku sterowym i poruszył ramionami. Na zewnątrz jego ciasnego, metalowego kokonu świat był dziwny. Ludzie zachowywali się dziwacznie. Mężczyźni wydawali się przerażająco nieprzewidywalni, a kobiety - tym bardziej - pełne dziwnych insynuacji i zawołanego pożądanego. Od głośnych hałasów podskakiwał. W tłumie dostawał klaustrofobii. Przy inteligentnych ludziach czuł się głupi.

Ale kokpit caybery firecrowa był jego sanktuarium. I to już od dwudziestu lat. Gdy był zamknięty w zbroi statku, nie mogło go dotknąć żadne zakłopotanie czy wstyd. Nikt się tu z niego nie śmiał. Statek pozostawał jego niemym sługą, a on, przynajmniej raz, był panem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we fregatę Marynarki w oddali, pogrążony we

wspomnieniach. Kiedyś, jako młody mężczyzna, latał takim samym statkiem. Czekał na sygnał, by wsiąść do firecrowa i wystrzelić w niebo. Wspominał z czułością pilotów, z którymi się szkolił. Nigdy nie był popularny, ale go akceptowano. Stał się częścią zespołu. To były dobre czasy.

Ale te dobre czasy skończyły się wraz z wybuchem Wojen o Aerium. Pięć lat walk z Sammie. Pięć lat, podczas których każda wyprawa mogła być twoją ostatnią. Pięć lat szarpiących nerwy walk w powietrzu, w których trzy razy go zestrzelono. Przeżył. Wielu jego przyjaciół nie miało tyle szczęścia.

Potem zapanował pokój, choć było to dość relatywne pojęcie. Marynarka zabrała się za piratów i kontrabandzistów, którzy świetnie prosperowali podczas wojny, napędzając czarnorynkową gospodarkę. Harkins walczył z przemytnikami. Wróg nie był tak dobrze wyposażony, ale bardziej zdesperowany i zaciekły. Wojny o teren między gangami zmieniły się w wendety i zrobiło się jeszcze paskudniej.

A potem, niespodziewanie, wybuchła Druga Wojna o Aerium, zaledwie cztery lata po pierwszej i Harkins, ramię w ramię z Thacjanami, znów stawili czoło Sammiem i ich poddanym. Po tym, czego dokonali za pierwszym razem, po tylu straconych życiach, politycy ich zawiedli. Nie zrobiono nic, by odsunąć samarlańskie zagrożenie i wróg powrócił ze zdwojoną siłą.

Był to krótki i brudny konflikt, ludzie zdemoralizowani i zmęczeni po obu stronach. Tuż przed końcem - podpisaniem niespodziewanego, nikogo niezadowolającego traktatu pokojowego, po którym wszyscy oprócz Sammiech czuli się oszukani - Harkins się rozsypał. Tak często mało brakowało a byłby trupem, tak często wykpiwał się szczęściem. Zaglądał śmierci w oczy częściej, niż normalny człowiek powinien. Zmienił się w rozdygotany wrak. Wydalili go z wojska dwa tygodnie przed końcem wojny, po czternastu latach służby. Na pożegnanie Marynarka mogła mu zaoferować ledwie skromną rentę.

Nastaly najcięższe, najgorsze czasy.

Harkins uświadomił sobie, że świat zmieniał się bardzo szybko i nie był łaskawy dla tych, którzy nie umieli się przystosowywać. Nie umiał nic oprócz tego, czego nauczył się, pilotując myśliwce, a nikt nie chciał pilota bez samolotu. To był ponury, szary okres, praca w fabrykach, dorywcze zajęcia, zapomogi. Ledwie wiązał koniec z końcem.

Nie za życiem w Marynarce tęsknił, z jego dyscypliną i porządkiem, nie za grupą - to mu obrzydło, kiedy ginęli kolejni przyjaciele. Najbardziej bolała go strata firecrowa.

Chociaż latał na blisko tuzinie egzemplarzy tego modelu, z czasem modyfikowanych i zmienianych, w jego głowie wszystkie były takie same. Odgłos turbin, chrobot silników



pompujących aerium do zbiorników balastowych, otaczająca go surowa twardość kokpitu. Firecrow był sceną wszystkich jego chwil chwały i tragedii. Wynosił go pod cudowne niebo, towarzyszył w najbardziej rozpaczliwych pojedynkach, czasami zawodził, kiedy nie mógł już mu dać nic więcej. Wszystko, co wydarzyło się w jego życiu naprawdę ważnego, wszystkie chwile najczystszej radości i nagiej grozy, miały miejsce we wnętrzu firecrowa.

A potem, w najczarniejszej godzinie, rozbłysło światelko. Omal nie uwierzył wtedy we Wszechduszę i niezrozumiały bełkot Przebudzonych. Omal - bo nie do końca.

Nadzorca w fabryce wiedział o przeszłości Harkinsa. Pewnie dlatego, że Harkins tylko o tym opowiadał, kiedy w ogóle się odzywał. Więc kiedy nadzorca spotkał w barze człowieka sprzedającego firecrowa, wspomniał o tym Harkinsowi.

W ten sposób Harkins poznał Dariana Freya, który wygrał Caybery Firecrowa dzięki niewiarygodnie fartownemu rozdaniu w rejka. Harkinsowi ledwie starczało pieniędzy na dach nad głową, ale poszedł do Freya błagać. Sprzedałby własną duszę, gdyby dzięki temu mógł wrócić do kokpitu. Frey nie uważał, żeby jego dusza ekspilota była aż tyle warta, więc zaproponował układ.

Harkins miał latać firecrowem dla niego. Płaca była marna, życie nieprzewidywalne, prawdopodobnie niebezpieczne i zazwyczaj nielegalne. Trzeba było robić dokładnie to, co kazał Frey, bo inaczej Harkins mógł się pożegnać z myśliwcem.

Zgodził się na wszystko, zanim jeszcze Frey skończył wyliczać warunki. Tego samego dnia opuścił port jako eskorta „Ketty Jay”. Był to najszczęśliwszy dzień w jego życiu.

Przebył długą drogę z fregaty Marynarki do lotu nad górami Hookhollow pod rozkazami Dariana Freya. Nigdy już nie będzie miał tego stalowego kręgosłupa, którym szczyił się jako młody pilot. Nigdy nie będzie miał obscenicznej odwagi Pinna, który śmiał się śmierci w twarz, bo był za tępy, żeby zrozumieć jak to jest, gdy umierają przyjaciele i samemu stoi się o krok od śmierci. Ale Harkins posmakował już życia na ziemi, bez możliwości wzbicia się ponad chmury do słońca. I nie zamierzał do tego wracać.

Rozejrzał się niespokojnie, jakby ktoś go obserwował. Potem usiadł wygodniej w twardym fotelu firecrowa i pozwolił sobie na szeroki uśmiech zadowolenia.

\* \* \*

Crake nie miał powodów do tak dobrego samopoczucia. Niespokojny włóczył się po ciasnym wnętrzu „Ketty Jay”. W brzuchu czuł dziwną pustkę, jak gdyby ktoś ciosem w żołądek odebrał mu oddech. Dryfował tu i tam, jak widmo.

Z początku trzymał się prawie pustej ładowni, ale wkrótce jego ponury nastrój zaczął

niepokoić Bess. Potem poszedł do mesy i wypił kilka kubków mocnej kawy, siedząc przy małym, wspólnym stole. Ale było mu smutno bez towarzystwa.

Wspiął się więc po drabince z mesy do korytarza łączącego kokpit na dziobie statku z maszynownią na rufie. Między nimi znajdowało się kilka pomieszczeń, których załoga używała jako kajut. Przesuwane drzwi oznaczone były tłustymi plamami zastarzałego brudu. Elektryczne lampy ledwie oświetlały brudne, metalowe grodzie.

Crake zastanawiał się, czy iść do kokpitu, żeby popatrzeć na niebo. Ale nie mógł jeszcze stanąć przed Freyem. Przyszło mu do głowy, że powinien pójść do swojej kajuty, może poczytać, ale to też nie bardzo go ciągnęło. W końcu przypomniał sobie, że nowa rekrutka dała się postrzelić, i uznał, że wypada zapytać o jej zdrowie. Z takim zamiarem ruszył korytarzem do lazaretu Malvery'ego.

Kiedy tam dotarł, zastał otwarte drzwi. Malvery siedział z nogami na krześle i kubkiem rumu w ręku. Pokoik był mały, nędznie wyposażony i niehigieniczny. Umeblowanie składało się z taniego kredensu przynitowanego do ściany, umywalki, dwóch drewnianych krzeseł i stołu operacyjnego. Kredens, przeznaczony pierwotnie do przechowywania talerzy i sztućców, znalazł nowe zastosowanie jako gabłota z najróżniejszymi, nieprzyjemnie wyglądającymi narzędziami chirurgicznymi. Wszystkie były wypolerowane do połysku - jedyne czyste rzeczy w pokoju - i wyglądały na nigdy nieużywane.

Malvery zdjął nogi z krzesła i pchnął je w stronę Crake'a. Potem nalał solidną miarę rumu do drugiego kubka stojącego na kredensie. Crake posłusznie usiadł i wziął kubek.

- Gdzie ta nowa? - spytał.

- W kokpicie. Nawiguje.

- Nie została postrzelona?

- Nie powiedziałbyś po tym, jak się zachowuje - powiedział Malvery. - Niech mnie kule biją. Kiedy w końcu pozwoliła mi się obejrzeć, krwawienie już ustało. Pocisk przeszedł na wylot, tak jak mówiła. - Rozpromienił się. - Musiałem tylko obmyć ranę antyseptykiem i zakleić plastrem. Potem wstała i powiedziała, że ma robotę.

- Miałaś rację, rzeczywiście jest twarda.

- Farciara, ot co. Nie mogę uwierzyć, że nie ucierpiała bardziej.

Crake wypił łyk rumu. Trunek był rozkosznie pałący, wdzierał się do mózgu, a tam metodycznie zaczynał demolować szare komórki.

Malvery poprawił okrągłe, zielone okulary i chrząknął.

- No, wyrzuć to z siebie.

Crake opróżnił kubek i wyciągnął go po dolewkę. Chwilę się zastanawiał. Nie wiedział,

jak wyrazić szok, poczucie zdrady i urazę, które czuł. Jak to zrobić, żeby Malvery je rzeczywiście zrozumiał. W końcu powiedział tylko:

- Pozwoliłby mi umrzeć.

Opowiedział doktorowi, co się stało po tym, jak on i Frey zostali pojmani. Musiał się wysilić, żeby zrobić to obiektywnie i rzeczowo, ale starał się, jak mógł. To było dla niego bardzo ważne, bo emocjonalne wybuchy nie leżały w jego naturze.

Kiedy skończył, Malvery nalał jeszcze rumu.

- No cóż... - mruknął.

Crake uznał jego komentarz za nieco niezadowolający.

- Pozwolił Macarde'owi zakręcić bębenkiem, przystawić mi lufę do czoła i pociągnąć za spust. Dwa razy! - powtórzył, kiedy stało się jasne, że doktor nie skomentuje zachowania kapitana.

- Miałeś szczęście. Rany głowy potrafią być paskudne.

- Och, do diaska! - krzyknął Crake. - Nieważne, zapomnij.

- Otóż i dobra rada - stwierdził Malvery, wznosząc toast. Nachylił się do przodu. - Lubię cię, Crake. Niezły z ciebie gość. Ale nie żyjesz już we własnym świecie.

- Nie masz pojęcia o moim świecie!

- Tak sądzisz? - Malvery machnięciem ręki wskazał lazaret. - Był czas, kiedy nie postawiłbym stopy w takim miejscu. Miałem kiedyś certyfikat Gildii. Pracowałem w Thesku. Miesięcznie zarabiałem więcej niż cała nasza załoga w rok.

Crake popatrzył na niego niepewnie. Próbował wyobrazić sobie tego olbrzymiego, pokancerowanego przez los starego pijaka w eleganckich domach arystokracji. Nie udało mu się.

- To nie rodzina, Crake - ciągnął Malvery. - Każdy tutaj jest zdany tylko i wyłącznie na siebie. Bystry z ciebie gość, znałeś ryzyko, kiedy się z nami zabierałeś. Dlaczego uważasz, że kapitan powinien być oddać swój statek za ciebie?

- Bo... - zaczął Crake, a potem uświadomił sobie, że nie ma nic do powiedzenia. Bo tak należałoby postąpić? Oszczędził sobie śmiechu doktora.

- Posłuchaj - powiedział Malvery łagodniej. - Nie daj się zwieść kapitanowi. Umie postępować z ludźmi, kiedy chce tego, co potrzebuje. Ale nie interesuje go, czy jesteś żywy, czy martwy. To samo dotyczy mnie, skoro o tym mowa, i wszystkich innych na pokładzie. Zastanawiam się, czy martwi się o siebie. Jedyne, co go obchodzi, to „Ketty Jay”. Jeśli uważasz, że to bezduszne, to jeszcze nic w życiu nie widziałeś. Kapitan to porządny facet. Lepszy niż wielu innych. Po prostu musisz go lepiej poznać.

Crake nie umiał na to odpowiedzieć. Nie chciał, żeby w jego słowach zabrzmiała gorycz. Już i tak czuł się trochę zawstydzony, że poruszył ten temat.

- Może masz rację - odparł. - Może nie powinienem tu być.

- Spokojnie, tego nie powiedziałem! - Malvery wyszczerzył zęby. - Mówię tylko, że musisz zrozumieć, że nie wszyscy myślą tak jak ty. To przykra lekcja, ale warta poznania.

Crake w milczeniu napił się rumu. Jego smutny nastrój robił się coraz czarniejszy. Może faktycznie powinien sobie odpuścić. Wysiąść w następnym porcie, zostawić to wszystko za sobą. Minęło już sześć miesięcy. Sześć miesięcy przenoszenia się z miejsca na miejsce, życia pod przybranym nazwiskiem, zacierania śladów, żeby nikt go nie wytropił. Z początku żył jak bogaty włóczęga, odwiedzał nędzne hoteliki w całej Vardii, spędzając dnie i noce w przerażeniu albo pijackiej rozpacz. Po trzech miesiącach pieniądze zaczęły mu się kończyć i trochę się pozbiierał. Wtedy właśnie natknął się na Freya i „Ketty Jay”.

Jego trop na pewno już do tej pory wystygł, prawda?

- Nie myślisz chyba, żeby się zwinąć, co? - zapytał Malvery, znów poważniejąc.

Crake westchnął.

- Nie wiem, czy mogę zostać. Nie po tym.

- Byłoby głupio, gdybyś teraz wysiadł. Zdaje się, że tym kordelasem opłaciłeś sobie podróż na cały rok.

Crake wzruszył ramionami. Malvery szturchnął go pojednawczo nogą, omal nie zrzucając z krzesła.

- Gdzie niby się podziejesz, co? - spytał. - Twoje miejsce jest tutaj.

- Tutaj?

- Oczywiście! - ryknął Malvery. - Popatrz tylko na nas! Nie jesteśmy przemytnikami ani piratami. Nie jesteśmy załogą! Kapitan jest kapitanem tylko dlatego, że to jego statek; nie poprowadziłby nawet niedźwiedzia do miodu. Żaden z nas nie pisał się na przygody i bogactwo, bo jednego i drugiego za wiele nie mamy. - Porozumiewawczo puścił oko. - Ale zapamiętaj moje słowa, nie ma tu nikogo, kto by przed czymś nie uciekał, z tobą włącznie. Postawię na to ostatni łyk rumu. - Dopił trunek, na wszelki wypadek, i dodał: - Dlatego tu należysz. Bo jesteś jednym z nas.

Crake mimowolnie się uśmiechnął, ogarnięty na te słowa tanim poczuciem zadowolenia. Mimo to Malvery miał rację. Gdzie by się podział? Co by robił? Miotał się, bo nie wiedział, w którą stronę iść. A dopóki tego nie wie, dopóty „Ketty Jay” będzie świetną kryjówką.

- Ja po prostu... - zaczął. - Po prostu... uważałem go za przyjaciela.

- On jest twoim przyjacielem. Tak jakby. To zależy tak naprawdę od definicji. Miałem

mnóstwo przyjaciół, w swoim czasie, ale większość z nich nie rzuciłaby mi złamanego grosza, gdybym głodował. - Otworzył szufladę kredensu i wyjął butelkę przezroczystego płynu. - Rum się skończył. Łyknij tego.

- Co to jest? - spytał Crake, wyciągając kubek. Był już przyjemnie wstawiony i dawno minął moment, w którym był jeszcze zdolny odmówić.

- Używam tego do przemywania ran - wyjaśnił Malvery.

- W sumie to jest taka lecznicza rozmowa - zauważył Crake.

Malvery wybuchnął śmiechem tak głośnym, że Crake się skrzywił.

- Otóż to, otóż to! - cieszył się doktor, podnosząc okulary, żeby wytrzeć załzawione oczy.

- A ty? Dlaczego tu jesteś? - spytał Crake. - Doktor z certyfikatem Gildii, duża praktyka w mieście... Zarabiałeś pewnie fortunę. Skąd się wzięłaś na „Ketty Jay”?

Malvery wyraźnie stracił humor. Po jego twarzy przemknął grymas bólu. Zajrzał do swojego kubka.

- Powiedzmy, że mam dokładnie to, na co zasłużyłem - stwierdził. Potem się ożywił i podniósł kubek w toaście.

- Za przyjaciół! - oznajmił. - W jakiegokolwiek postaci przychodzą i jakkolwiek ich zdefiniujemy!

- Za przyjaciół - odparł Crake.

Napili się.

## 5

### *Lot w ciemności - Pinn i dziwki - Propozycja*

Kiedy dotarli do Marklin's Reach, zapadła już noc. Zapyziały port wyglądał, jakby przycupnął między ostrymi fałdami gór - plamka elektrycznego światła w ciemności. Deszcz lał z nisko sunących chmur, które oświetlała od spodu biała luna miasta. Między szczytami wiał kłujący wiatr.

„Ketty Jay” opadła z chmur, świecąc w dół czterema potężnymi reflektorami. Eskortujące ją myśliwce trzymały się blisko skrzydeł, razem z nią zniżając się nad zatłoczonym lądowiskiem. Od spodu na statek padły snopy światła lamp; inne wskazały puste miejsce na

platformie.

Frey siedział na miejscu pilota w kokpicie, skacząc wzrokiem między chromowanymi i mosiężnymi wskaźnikami a zegarami. Jez stała z jedną ręką na oparciu jego fotela. Przyglądała się ciasno ustawionym barkom, frachtowcom, myśliwcom i statkom korsarzy zajmującym wielki kwadrat płaskiego terenu na skraju miasta.

- Ruchliwa noc - mruknęła.

- Aha - odparł odruchowo Frey. Lądowanie w nocy, przy kiepskiej pogodzie nie było jego ulubionym zajęciem.

Uważnie obserwował poziomy aerium, to trochę upuszczając, to trochę dodając paliwa. Opuszczał „Ketty Jay” ku ziemi i skupiał się na kontrowaniu bocznych wiatrów, uderzających z obu stron. Masywnym statkiem szarpało z boku na bok. Frey zaklął pod nosem i wypuścił trochę więcej gazu ze zbiorników. „Ketty Jay” zrobiła się za ciężka. Spadała szybciej, niżby mu się to podobało, ale potrzebował dodatkowej wagi, żeby ją ustabilizować.

- Trzymajcie się czegoś - mruknął. - Będzie rzucało.

„Ketty Jay” nabrała szybkości. Frey odliczał w myślach, jednym okiem patrząc na wysokościomierz, a potem - nagle serią nadepnął na pedały i szarpnięć dźwigni - przełączył dysze odrzutowe na pełny wsteczny ciąg, otworzył hamulce i pchnął silniki aerium na pełną moc. Statek jęknął, kiedy pęd w dół został wyhamowany przez ultralekki gaz w zbiornikach balastowych. Wyhamował nad przeznaczonym dla siebie miejscem, obok wysokiej, stalowej burty czteropiętrowego frachtowca. Frey wypuścił gaz ze zbiorników i „Ketty Jay” usiadła na lądowisku z głośnym łupnięciem podpór.

Opadł na oparcie fotela i powoli odetchnął z ulgą. Jez poklepała go po ramieniu.

- Można by pomyśleć, że przez chwilę się bałeś, kapitanie - zakpiła.

\* \* \*

Deszcz rozchłapywał kałuże wody na lądowisku. Załoga zebrała się u stóp rampy załadunkowej. Byli owinięci w sztormiaki i tupali z zimna.

- Gdzie Malvery i Crake? - spytał Frey.

Silos kciukiem wskazał rampę. Z głębi statku dobiegał słaby, bełkotliwy duet.

- Hej, znam to! - ucieszył się Pinn i zaczął śpiewać. Strasznie fałszował. Silos uciszył go surowym spojrzeniem.

- Co tu robimy, kapitanie? - spytała Jez. Pozostali obejmowali się ramionami albo wpychali ręce do kieszeni, ale na niej lodowaty wiatr wydawał się nie robić wrażenia.

- Muszę się tu zobaczyć z jednym człowiekiem. To szeptarz Xandian Quail. Nie

przewiduję kłopotów, ale w takich sytuacjach z reguły zawsze coś idzie nie tak jak powinno. Harkins, Pinn, Jez, weźcie broń i chodźcie ze mną. Silos, zajmij się zezwoleniami na dokowanie, pilnuj statku i tak dalej.

Wysoki Murthianin z powagą kiwnął głową.

- Przydałaby mi się chyba diagnostyka - wyrzucił z siebie Harkins. - Muszę sprawdzić firecrowa. Coś tykało na lewej burcie, lepiej zobaczyć, co się dzieje, chyba wiecie. Nie chciałbym spaść, wiecie, bziuuuum, trach! To by chyba nikomu nie wyszło na zdrowie, prawda? To znaczy, gdybym zginął. Kto by go wtedy pilotował? No, w sumie nie byłoby czego pilotować, gdybym się rozbił. Dlatego ogólnie najlepiej, jak rzucę okiem na bebechy, sprawdzę, czy wszystko jest tip-top.

Frey popatrzył na niego przeciągle. Harkins zaczął się wiercić. Widać było, że przeraża go myśl o strzelaninie.

- Diagnostyka - powtórzył za nim Frey. Harkins energicznie pokiwał głową. - Dobrze, zostań.

Twarz pilota rozświetlił szeroki uśmiech, ukazujący rzędy nierównych i lekko brązowych zębów.

- Dzięki, kapitanie!

Frey spojrział na resztę załogi.

- Na co czekamy? - spytał i klasnął w ręce. - Do roboty!

\* \* \*

Szli szybko mokrymi ulicami Marklin's Reach. Wszystkie arterie zmieniły się w rzeki błota płynącego wzdłuż podniesionych drewnianych ganków sklepów i domów. W górze sznury elektrycznych żarówek brzęczały i iskrzyły, ciskane wiatrem. Obszarpane dzieci wyglądały z walących się bud i zaułków, w których się chroniły. Woda lała się z markiz i rynien; jej szum prawie zagłuszał grzechoczące buczenie generatorów. Powietrze było ciężkie od smrodu benzyny, zapachów gotowanego jedzenia i czystego, zimnego aromatu świeżego deszczu.

- Nie możemy odłożyć tego do jutra? - narzekał Pinn. - Bardziej suchy byłbym chyba pod wodą!

Frey go zignorował. I tak zostało im mało czasu. Przez przymusowy postój w Scarwater mieli teraz opóźnienie. Quail w swoim liście wyraził się jasno: „Przyjedź przed końcem tuczeńwyjca albo oferta przepadnie”. Frey nie spieszył się z odbieraniem poczty, więc wiadomość nie dotarła do niego od razu. Potem wypadało to i tamto, aż okazało się, że jest

ostatni dzień tuczeńwyjca i nie ma czasu do stracenia.

- Dostanę zapalenia płuc, ot co - mamrotał Pinn. - Sam spróbuj latać, kiedy masz kokpit po pas w smarkach.

Xandian Quail mieszkał w umocnionym kompleksie budynków, otoczonym plataniną nędznych uliczek. W ciemności bryła jego wielkiego domu, kanciasta i prosta, jarzyła się blaskiem wysokich, wąskich okien. Od dojmującej nędzy mieszkańców miasta odgradzały go wysokie mury i gruba brama.

- Jestem Darian Frey! - krzyknął Frey przez szum ulewy. Strażnicy po drugiej stronie bramy pozostali nieporuszeni. - Darian Frey! Quail się mnie spodziewa!

Jeden z wartowników pobiegł do domu, przytrzymując kaptur płaszcz. Kilka minut później wrócił i gestem pokazał towarzyszowi, że ma wpuścić przybyszy.

Zaprowadzono ich na kamienny ganek, gdzie inny strażnik - w kamizelce, spodniach i z dwoma rewolwerami - otworzył główne drzwi domu. Miał pociągłą twarz i rzadką czarną brodę. Frey przypomniał go sobie niewyraźnie z poprzednich wizyt. Nazywał się Codge.

- Broń - zażądał Codge, wyciągając rękę. - I niczego mi nie chować. Bo się wkurzę.

Frey się zawahał. Nie podobało mu się, że musi się rozstać z bronią. Co prawda nie przychodził mu do głowy żaden powód, dla którego Quail mógłby chcieć jego śmierci, ale zbyt go to nie uspokoiło.

Denerwowała go ta cała tajemnica. Quail nie podał w liście żadnych szczegółów. Napisał tylko, że ma dla Freya propozycję. Właśnie dla niego i dla nikogo więcej. I że Frey może na tym zarobić. Samo to wystarczyło, żeby kapitan nabrał podejrzeń. A także by wzbudzić jego ciekawość.

Po prostu muszę go wysłuchać, pomyślał. Zresztą byli już na miejscu, a nie uśmiechał mu się powrót na „Ketty Jay”, zanim się trochę nie ogrzeją.

Skinał głową pozostałym.

- Oddajcie broń.

Codge ją zebrał, odsunął się im z drogi i zaprowadził ich do sieni. Czekali tam, ociekając wodą. W drzwiach stało trzech następnych uzbrojonych wartowników. W powietrzu czuło się jakąś leniwą groźbę. Dwa duże, żylaste psy podeszły obwąchać Freya i pozostałych. Były białe, krótkowłose i różowookie - nocni łowcy - widziały w ciemnościach i potrafiły tropić ofiarę po śladach ciepła. Obwąchały przybyszy, ale kiedy podprowadzono je do Jez, odsunęły się.

- Pora na nowe perfumy, Jez - przyciął jej Frey.

- Mam rękę do zwierząt, co? - odparła lekko zmieszana.



Wnętrze domu wyglądało zupełnie inaczej, niż można się było tego spodziewać, sądząc po brudnych ulicach, które do niego prowadziły. Podłogę i ściany rezydencji wyłożono płytami czarnego granitu. Posadzkę pokrywały grube dywany.

Wzdłuż ścian umocowano powykręcane, mosiężne ozdoby. Wydawało się, że prowadzą do podwójnych schodów na końcu pomieszczenia. Między schodami stał wielki skomplikowany zegar, połączenie zwykłego czasomierza z kalendarzem, zrobione z miedzi, brązu i złota. Za wskazówkami znajdowały się obracające się dyski z symbolami wszystkich dziesięciu miesięcy roku i każdego z dziesięciu dni tygodnia. Freyowi ulżyło, gdy zobaczył, że kalendarz pokazuje trzeci królówek tuczeńwyjca - ostatni dzień miesiąca. Aż do tej chwili nie był pewny daty.

- Tylko ty - rzucił Codge, wskazując schody i dając znak Freyowi. Kapitan strzepnął płaszcz przeciwdeszczowy i podał go Pinnowi. Ten wziął go z roztargnieniem. Uwagę młodego pilota zaprzętały cztery piękne, kusząco ubrane kobiety, które pojawiły się w drzwiach, żeby popatrzeć na przybyłych. Zachichotały i uśmiechnęły się do Freya, kiedy ruszył w stronę schodów. Ukłonił się im elegancko, a potem pocałował w rękę stojącą najbliżej.

- Później będziesz się podlizywał dziwkom. Szef czeka - warknął Codge. Jedna z kobiet posłała mu kwaśną minę, a potem rzuciła Freyowi lubieżny uśmiešek.

- Ale zejdzie pan potem do nas, prawda? - spytała, unosząc brew.

- Dobry wieczór paniom - przywitał się Frey. - Jestem pewien, że mój przyjaciel z ochotą zabawi panie do mojego powrotu. Stoi, o tam.

Pinn polizał dłoń, przyglądził nią rzadką czuprynę na czubku kartoflanej głowy i przyjął swoją najbardziej nonszalancką pozę. Dziewczyny zmierzyły go obojętnym wzrokiem.

- Zaczekamy.

\* \* \*

- Frey! - zawołał Xandian Quail, kiedy kapitan wszedł do jego gabinetu. - W ostatniej chwili, jak widzę. Już myślałem, że nie przyjdiesz.

- Jeśli o mnie chodzi, margines błędu to marnotrawstwo - stwierdził Frey, a potem uściśnął rękę Quailowi z serdecznością znacznie wykraczającą ponad to, co naprawdę czuł. Gospodarz zaproponował mu kieliszek wina i udawał, że nie zauważa śladów błota, które gość zostawiał za sobą.

Frey usiadł i rozejrzał się z podziwem po pokoju, kiedy Quail nalewał wino. Przód jego biurka był rzeźbiony i przedstawiał podobiznę olbrzymiego Orła Chmur, surowego i

imponującego. Za biurkiem wisiał ozdobny, cenny mosiężny barometr, którego strzałka wskazywała zdecydowanie na deszcz. W oknach zamocowano kraty o skomplikowanym wzorze - dla bezpieczeństwa i ozdoby zarazem. Z sufitu zwisał czarny, żelazny żyrandol. Żarówki świeciły słabo. Pod wyłożonymi mahoniem ścianami stały regały pełne książek. Frey zerknął na kilka tytułów, ale żadnego nie znał. Nic dziwnego. Rzadko czytywał cokolwiek bardziej skomplikowanego niż brukowce sprzedawane w miastach.

Quail podał mu kryształowy kieliszek z winem - miało ciemnoczerwony kolor - i usiadł naprzeciwko. Kiedyś był pewnie przystojny, ale teraz nie pozostało po tym śladu - zadbał o to wypadek i pożar myśliwca. Połowę jego łysej głowy pokrywała pomarszczona blizna, z boku czaszki widać było małą, metalową płytkę. W miejscu lewego oka w oczodole tkwiła mała, mosiężna kula, a zamiast lewej ręki miał mechaniczną protezę.

Pomimo tego nosił się jak arystokrata i tak samo ubierał. Miał na sobie brokatową, czarną marynarkę ze stójką i lśniące skórzane buty. Przemoczony, spocony i rozchełstany Frey w porównaniu z nim nie wyglądał zbyt imponująco.

- Cieszę się, że zdażyłeś - stwierdził Quail. - Jeszcze jeden dzień i złożyłbym propozycję komuś innemu. Czas jest tu istotny.

- Przyleciałem tylko po to, żeby cię wysłuchać - odparł Frey. - O co chodzi.

- Mam dla ciebie zlecenie.

- Znam twoje stawki - zastrzegł od razu Frey. - Nie mam takich pieniędzy.

- Nie sprzedaję tej informacji. Dostaniesz ją za darmo.

Frey napił się wina i przyjrzał rozmówcy.

- Myślałem, że szeptarze są neutralni - powiedział.

- Takie mamy zasady - odparł Quail. Spojrzał na swoją mechaniczną rękę i z namysłem poruszył palcami. - Nie mieszać się, nie stawać po niczyjej stronie, nie ujawniać źródeł ani swoich klientów. Tylko czysta informacja, skup i sprzedaż. Handlujesz tajemnicami, ale nigdy ich nie wykorzystujesz.

- I z całą pewnością nie proponujesz zleceń.

- Przy naszej wiedzy myślisz, że nas nigdy nie kusi? W końcu jesteśmy tylko ludźmi. - Quail się uśmiechnął. - Dlatego musimy być bardzo wybredni, gdy wybieramy współpracowników. Nie byłoby dobrze dla naszej profesji, gdyby się rozeszło, że czasami pozwalamy sobie na małą prywatę.

- Słucham zatem.

- Z Samarii do Thesku leci barka. „As Czaszek”. Minimalna eskorta, zero uzbrojenia. Nie chcą zwracać na siebie uwagi, jakby to był zwykły fracht. Niepotrzebne im towarzystwo

piratów lub Marynarki.

„As Czaszek”. Frey był zagorzałym graczem w rejka, więc nie uszło mu znaczenie tej nazwy. As czaszek był najważniejszą kartą w grze.

- Co przewożą?

- Między innymi skrzynię z klejnotami. Nieoszlifowanymi. Wiozą je do konsorcjum Gildii Jubilerów w stolicy. Dobili targu z kompanią wydobywcą za granicą i przewożą je w sekrecie, żeby uniknąć koalicyjnych podatków. Margines zysku jest olbrzymi.

- O ile dotrą na miejsce.

- O ile dotrą. Ale tego nie zrobią. Bo dostarczysz te klejnoty mnie.

- Dlaczego mi ufasz? Dlaczego nie miałbym prysnąć z całym tym bogactwem?

- Bo byłbyś głupcem, gdybyś tego spróbował. Znam cię, Frey. Nie masz kontaktów ani doświadczenia, żeby je opchnąć. Nie masz pojęcia, jak niebezpieczne potrafi być takie bogactwo. Nawet jeśli nie skończyłbyś z poderzniętym gardłem, ktoś by cię wyrolował.

- A co z tego będę miał?

- Pięćdziesiąt tysięcy dukatów. Okrągła suma, nienegocjowalna, płatność po dostarczeniu mi klejnotów.

Freyowi zaschło w gardle. Pięćdziesiąt tysięcy. Musiał się przesłyszeć.

- Właśnie powiedziałeś pięćdziesiąt tysięcy, prawda?

- To lepsza propozycja niż gdybyś próbował sprzedać je sam, a transakcja będzie prosta i bezpieczna. Mam nadzieję, że uda ci się uniknąć pokusy.

- Ile jest warta ta skrzynia?

- Znacznie więcej, kiedy klejnoty zostaną oszlifowane. Ale to ciebie nie dotyczy.

- Ustalmy jedno. Powiedziałeś pięćdziesiąt tysięcy dukatów?

- Przy odbiorze.

Frey wypił alkohol jednym haustem.

- Jeszcze wina? - zaproponował uprzejmie Quail.

- Poproszę - sapnął Frey, wyciągając kieliszek.

Pięćdziesiąt tysięcy dukatów. To była kolosalna suma.

Bardziej niż wystarczająca, by spędzić resztę życia w luksusie, nawet kiedy odpaliłby już działki pozostałym. O ile by je odpalił, poprawił się w myślach.

Nie, nie myśl o tym jeszcze. Musisz sprawdzić, czy to nie jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Serce waliło mu w piersi, poczuł zimno na skórze. Życiowa okazja. Nie był aż tak głupi, żeby nie podejrzewać haczyka. Po prostu na razie go nie widział.

Odkąd został piratem, trzymał się jednej mglistej i niezbyt jasno zdefiniowanej zasady: „Małymi kroczkami do przodu”. Ambicja prowadziła ludzi na śmierć. Sięgali za daleko i kończyli z odgryzionymi rękami. Widział to wiele razy - jasnoocy młodzi kapitanowie, chcący zbudować sobie reputację, przemienieni przez knowania biznesmenów i piratów. Gry o wielkie pieniądze prowadzili bardzo źli ludzie. Jeśli chciałeś się utrzymać w ich lidze, musiałeś się przygotować na walkę na śmierć i życie.

Do tego dochodziła Marynarka. Nie zwracała uwagi na drobne płotki, ale kiedy człowiek zbudował sobie reputację, zaczynała się nim interesować. A jeśli mogło ci się przydarzyć coś gorszego niż łajdactwo przestępczych elit, było to na pewno zainteresowanie Marynarki.

Frey nie był bogaty. To, co zarobił, z reguły przegrywał w karty i przepuszczał na kobiety. Czasami z trudem udawało mu się utrzymać załogę i statek. Ale przed nikim nie odpowiadał i taki stan rzeczy mu się podobał. Nikt nie pociągał za jego sznurki. To właśnie sobie powtarzał za każdym razem, kiedy robiło się krucho z pieniędzmi i przyszłość rysowała się niewesoło.

Przynajmniej jestem wolny, myślał. Przynajmniej to mam.

W mętym świątku drobnych padlinożerców Frey mógł się uważać za jedną z większych ryb dzięki samemu sprytowi. Po tym świecie chodziło wielu idiotów. Frey był ponad nimi i świetnie się z tym czuł. Znał swoje miejsce i wiedział, co się dzieje, gdy ludzie zaczynają się przeceniać.

Ale teraz trafiała mu się jednorazowa robota. Pięćdziesiąt tysięcy dukatów. Wizja życia w odrażającym, obrzydliwym luksusie.

- Dlaczego ja? - spytał, kiedy Quail nalewał mu wina. - Widzieliśmy się raptem... Ile? Trzy razy?

- Tak - odparł Quail, siadając. - Sprzedałeś mi kilka drobiazgów. Nigdy nic nie kupiłeś.

- Nie było mnie stać.

- To punkt na twoją korzyść. Prawie się nie znamy. Nic nas nie łączy. Nie mógłbym zaproponować czegoś takiego większości moich klientów. Moje kontakty z nimi są zbyt szeroko znane. - Pochylił się do przodu, splótł palce nad biurkiem, metal z ludzkim ciałem. - Miejmy jasność. Jeśli ta operacja pójdzie źle, nie znam cię, a ty nie usłyszałeś o klejnotach ode mnie. Nie dopuszczę, żeby ktoś dotarł po śladach aż tutaj. Muszę się chronić.

- Nie przejmuj się. Przywykłem już, że ludzie udają, że mnie nie znają. Dlaczego jeszcze?

- Bo pięćdziesiąt tysięcy dukatów to dla ciebie absurdalna suma i uważam, że kupię za to twoją lojalność. Bo jesteś płotką i sam nie sprzedasz kamieni. Bo nie interesuje się tobą ani Marynarka, ani inni piraci. I dlatego, że nikt by ci nie uwierzył, gdybyś powiedział, że jestem

w to zamieszany. Szczerze mówiąc, nie jesteś wiarygodnym świadkiem.

Frey wpatrywał się w twarz Quaila, jakby mógł odczytać jego myśli. Tamten odpowiadał cierpliwym spojrzeniem.

- To łatwa zdobycz, Frey. Znam trasę przelotu. Prowadzi nad górami, blisko pokrywy chmur, statek będzie prawie niewidoczny. Nikt o nim nie wie oprócz ciebie. Możesz go zestrzelić w górach Hookhollow. Potem zabierzesz klejnoty i przywieziesz je do mnie.

Frey nie śmiał mieć nadziei, że to prawda. Czy to możliwe, że po prostu znalazł się we właściwym miejscu o właściwej porze? Że ktoś taki jak on dostał szansę zarobienia fortuny za jednym zamachem? Szukał w pamięci rzeczy, którymi mógł podpaść Quailowi, jakiegoś powodu, dla którego szeptarz chciał go posłać w pułapkę.

Czy Quail mógł pracować dla kogoś innego? Może. Frey w swoim czasie narobił sobie paru wrogów.

Ale co jeśli on cię nie wrabia? Możesz zaryzykować?

Lepkie, mdlące uczucie, które męczyło Freya, nie było mu zupełnie obce. Miał je wiele razy wcześniej, grając w karty. Patrzył na przeciwnika nad rozdaniem rejsa, na stos pieniędzy między nimi, a instynkt krzyczał, żeby brał swoje i wstawał od stołu. Ale czasami stawka była za wysoka, zbyt kusząca. Czasami Frey ignorował intuicję i stawiał wszystko. Zazwyczaj wszystko przegrywał i odchodził od stołu jak zbity pies. Ale czasami...

Czasami wygrywał.

- Coś ci powiem. Dorzuć jakieś damskie towarzystwo, nocleg i tyle wina, ile zdołamy wypić. Wtedy umowa stoi.

- Oczywiście - stwierdził Quail. - Którą damę sobie życzysz?

- Wszystkie - odparł Frey. - A jeśli masz taką, która jest wyjątkowo tolerancyjna albo po prostu ślepa, może iść do Pinna. Będzie mi potrzebny skupiony, a biedakowi pękają jajka, jeśli ich szybko nie opróżni.

## 6

*Ghostmoth - Podział według Freya - As Czaszek -  
Harkins sprawdza swoją odwagę*

Tam, gdzie niziny Vardii rozbijały się o rozległy Wschodni Płaskowyż, u podnóża gór niepodzielnie rządziła cisza. Śnieg i lód pokrywały czarne zbocza, nie czuło się nawet najłżejszego wiatru. W zagłębieniach i łysych dolinach zbierała się wilgotna mgła, a z góry nadpływała ponura pokrywa chmur, skrywająca najwyższe szczyty i całkowicie zasłaniająca niebo. Między mgłą a chmurami była warstwa przejrzystego powietrza, trochę zdanej do lotu przestrzeni, wystarczającej, by statek powietrzny mógł pokonać skalisty labirynt.

Była to odludna i niebezpieczna okolica, przyprawiająca o klaustrofobię. Ale tylko tu można było niepostrzeżenie pokonać góry Hookhollow.

W ciszy rozległo się dalekie buczenie. Stopniowo robiło się coraz głośniejsze, puchło i gęstniało. Zza zbocza wyleciała samotna czteroskrzydła korweta. Ciężko uzbrojony Besterfield Ghostmoth.

„Ketty Jay”, zaledwie cień w warstwie mgły, pozostała w ukryciu.

Frey obserwował z kokpitu ghostmotha - przesuwał się w górze ciemny kształt. Crake patrzył razem z nim.

- To na niego czekamy? - spytał, mając nadzieję, że tak jest.

- Nie - odparł Frey. Za żadne pieniądze nie porwałby się na ghostmotha. Bał się tylko, że pilot może ich zauważyć i zainteresować się nimi. Nigdy nie było pewności. W okolicy kręciło się sporo piratów. Prawdziwych piratów, nie przypadkowych przestępców takich jak oni.

Cały ten plan w ogóle się Freyowi nie podobał. No może nie licząc kolosalnej zapłaty.

Nigdy nie przepadał za piractwem i w przeszłości wykazał duży brak talentu w tej dziedzinie. Z czterech prób trzy zakończyły się niepowodzeniem. Tylko raz udało mu się zestrzelić i obrabować statek, ale nawet wtedy łup był skromny, a podczas rabunku zadźgano mu nawigatora. Dwa razy musieli uciekać, bo napadnięty statek miał lepsze uzbrojenie. Podczas ostatniej próby udało im się wejść na pokład, ale odkryli, że ładunek został już dostarczony. Wtedy załoga była o krok od buntu, na szczęście Frey wpadł na pomysł udobruchania ich wolnym wieczorem w najbliższym porcie. Następnego ranka incydent poszedł w niepamięć, podobnie jak większość funkcji motorycznych i umiejętność artykułowanej mowy.

Ogólnie rzecz biorąc, Frey nie lubił, kiedy do niego strzelano. Piractwo to ryzykowne zajęcie i najlepiej zostawić je zawodowcom. Nawet zapewnienia Quaila, że wszystko pójdzie gładko, nie usmierzyły jego obaw.

Ghostmoth zniknął z pola widzenia i Frey się odprężył. Sprawdził położenie Harkinsa i Pinna. Wisieli w powietrzu nieco wyżej, po prawej, ledwie ich widział we mgle. „Ketty Jay”

dryfowała bezgłośnie, nie licząc syku gazowych dysz stabilizujących, odzywających się, gdy dłonie Freya skakały po mosiężno-chromowanej tablicy rozdzielczej, korygując kurs. Światło kokpitu wyłączono, we wnętrzu panował półmrok. Jez siedziała na fotelu nawigatora i studiowała mapę. Crake, który wpadł bez zaproszenia, stał za fotelem pilota i wykręcał ręce. Freyowi przeszło przez myśl, żeby kazać mu wrócić do kajuty, ale nie miał ochoty na kłótnię. Widać było, że Crake szuka tylko pretekstu.

- Quail twierdził, że będą tędy przelatywać - mruknął demonista.

- Aha! - potwierdził Frey.

- To ma sens - przyznała Jez. - Jeśli chcesz przelecieć przez Hookholowy niezauważony, lecisz wzdłuż gór sięgających najbliżej pokrywy chmur. W ten sposób nie widać cię z góry i minimalizujesz ryzyko spostrzeżenia z dołu. W tym punkcie krzyżują się dwie najbardziej oczywiste trasy.

Frey odwrócił się do niej w fotelu.

- Zaczynam myśleć, że po wielu miesiącach w końcu znalazłem nawigatora, który wie co robi - powiedział.

- Niełatwo takiego spotkać, kapitanie.

- Jak ramię?

- W porządku.

- To dobrze. Nie daj się znów postrzelić. Przydajesz się.

- Postaram się - obiecała Jez z kpiącym uśmiechem.

Frey wrócił do obserwowania okolicy. Zdaje się, że miał szczęście, znajdując Jez. Przez tych kilka dni, które spędziła na pokładzie, udowodniła, że jest o wiele bardziej skuteczna i odpowiedzialna, niż się spodziewał. Kompetencja nie była w żadnym razie koniecznym warunkiem przyjęcia do załogi „Ketty Jay”, ale Jez radziła sobie o niebo lepiej niż inni nawigatorzy, z którymi Frey pracował. Podejrzewał, że służyła z ludźmi o wiele lepszymi niż jego zgraja, ale amatorstwo załogi wydawało się jej nie przeszkadzać. Do tego okazała się naprawdę dobra w tym, co robiła. Przeprowadziła ich z Margin's Reach idealnie dokładnie na miejsce, mając do dyspozycji tylko gładkie morze chmur i kilka górskich szczytów. Frey opadł z chmur i odkrył, że jest na samym środku przełęczy, którą wybrali na zasadzkę.

Była bystra. Miał nadzieję, że nie nazbyt bystra.

Może inni tego nie zauważyli, ale Jez wiedziała, że z tą robotą jest coś nie tak. Cały czas wychwytywał jej pytające spojrzenia. Otwierała usta, jakby chciała o coś zapytać, a potem znów je zamykała i odwracała wzrok.

Ona też to czuje, myślał. To instynkt.

Instynkt. Być może. A może po prostu wyczuwała, że kapitan zamierza ich wykiwać.

Frey usiłował wykrzesać z siebie wyrzuty sumienia, ale nie potrafił. Ostatecznie nie można było okraść kogoś z czegoś, co nigdy do niego nie należało. Quail obiecał pięćdziesiąt tysięcy jemu, nie całej załodze. Owszem, Frey dotąd stosował system sprawiedliwego podziału, dzielił łup według wcześniej ustalonych stawek, ale to były wyjątkowe okoliczności. Konkretnie - wyjątkowo duża suma pieniędzy. Za duża, żeby się nią dzielić.

Tylko ten jeden raz, powiedział sobie. Potem nigdy już nie będzie musiał pracować.

Poinformował załogę, że Quail dał im cynk w zamian za jedną rzecz - na pokładzie statku była skrzynia, którą chciał dostać. Mieli mu ją przywieźć. Całą resztę mogli sobie wziąć.

Frey zdobył dokładny opis skrzyni i wiedział, że będzie solidnie zamknięta. Quail zapewnił go także, że na statku znajdują mnóstwo innych łupów. Załoga mogłaby plądrować do woli i wszyscy byliby zadowoleni. Nie musieli wiedzieć, co zawiera skrzynia. Nie musieli wiedzieć o umowie Freya z Quaiłem.

Ale Jez ciągle rzucała mu to spojrzenie.

- Coś słyszę - oznajmił nagle Crake.

Frey wyteżył słuch. Crake miał rację; ciche buczenie i wyższy jęk mniejszych silników. Na razie trudno było powiedzieć, ilu.

- Jez - mruknął kapitan. - Przygotuj elektroheliograf.

- Tak jest - odparła i sięgnęła do przełącznika.

- To ten, prawda? - spytał Crake. Wyteżał wzrok przez szybę, usiłując coś dostrzec.

- To ten - potwierdził Frey.

„As Czaszek” wpłynął na przełęcz, majestatycznie sunął między dwoma poszarpanymi szczytami. Długi statek, o tępo zakończonym dziobie i zaokrąglonym brzuchu, miał krótkie skrzydła i pionowy statecznik przypominający gigantyczną płetwę. Dysze odrzutowe pchały go naprzód, w powietrzu unosił się dzięki zbiornikom wypełnionym lotnym aerium. Na burtach widniała nazwa namalowana na tle wachlarza kart. Statek okazał się ciężkim, solidnym, praktycznym transportowcem. Nic w jego wyglądzie nie zdradzało wartości ładunku.

Obok sunęły, niewielkie w porównaniu z nim, cztery swordwingi. Frey rozpoznał je po charakterystycznych stożkowatych, nachylonych w dół dziobach i aerodynamicznych kształtach. Szybkie myśliwce - może niezbyt zaawansowane konstrukcyjnie, ale w rękach dobrego pilota potrafiły być zabójcze.

- Trudno to nazwać minimalną eskortą - mruknął Crake.

Frey z roztargnieniem przytaknął. Nie podobały mu się te swordwingi. Spodziewał się



dwóch, nie czterech.

- Daj tylko sygnał - powiedziała Jez, z palcem nad przełącznikiem elektroheliografu.

Frey przyglądał się frachtowcowi. Mógł jeszcze posłuchać głosu, który kazał mu się wycofać. Głosu, który kazał mu odejść od stołu, kiedy domyślał się, że przeciwnik ma lepsze karty. Ostrożności.

Mógłbym działać tak jak dotąd, pomyślał. Przecież to nie takie złe życie. Mam własny statek. Przed nikim nie odpowiadam. Cały świat stoi przede mną otworem. Co mi się w tym nie podoba?

To, że nie miał pięćdziesięciu tysięcy dukatów. Wcześniej mu to nie przeszkadzało, ale nagle ten brak stał się nieznośny.

- Kapitanie? - ponagliła Jez. - Czas ucieka.

Frey wybrał miejsce tuż poniżej granicy mgły i w cieniu góry, z którego mieli dobry widok na przełęcz nad nimi. Ale skoro widział „Asa Czaszek”, frachtowiec też mógł go dostrzec, a bez elementu zaskoczenia nie mieli szansy.

Wiesz, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe, pomyślał Frey. Takie rzeczy nie przytrafiają się gościom podobnym do ciebie. Ludzie giną przez ambicję.

- Kapitanie?

- Wykonać - powiedział.

\* \* \*

Pinn wytarł cieknący nos wierzchem dłoni i spojrzał na szarą bryłę „Ketty Jay”.

- No dalej! Co tak długo? - zawołał. Chciał ruszyć do ataku, to było jak fizyczna potrzeba. Jego buty stukały o skomplikowany układ pedałów; palce w rękawiczce zaciskały się na drążku sterowym. Właśnie dla takich chwil żył. To była akcja. A dla Pinna, jak wszystkim powtarzał, tylko akcja się liczyła.

Druga wojna o Aerium skończyła się, zanim zdążył się zaciągnąć. Zabrakło ledwie kilku dni. Przekłęci Sammie wycofali się akurat w chwili, kiedy zamierzał wkroczyć i naznaczyć krwią lufy swoich karabinów maszynowych. Pinn poczuł się, jakby zrobili to specjalnie na przekór jemu. Jakby bali się tego, co mogłoby się stać, gdyby wziął udział w wojnie.

Cóż, skoro Sammie stchórzyli i nie stawili mu czoła w powietrzu, musiał się wyżyć na reszcie świata, przy każdej sposobności. Raz go oszukano, uznał więc, że to mu się należy. Każdy człowiek zasługiwał na możliwość udowodnienia, ile jest wart.

Chwycił mały ferrotyp w ramce, wiszący na łańcuszku na jego desce rozdzielczej. Przedstawiał jego ukochaną Lisinę. Czarno-białe zdjęcie nie oddawało w pełni jej urody. W

jego pamięci długie włosy miała o wiele jaśniejsze, a niewinne łagodne oczy piękniejsze.

Zdjęcie zrobiono tuż przed tym, jak wyjechał. Zastanawiał się, co teraz robiła. Może siedziała przy oknie, czytała, cierpliwie czekała na jego powrót. Czy wyczuwała jego myśli? Może zwracała śliczną twarz ku niebu z nadzieją, że go ujrzy. Że chmury się rozstąpią i wyjdzie zza nich słońce, a wtedy zobaczy błysk skrzydeł i Pinna triumfalnie podchodzącego do lądowania? Wyobraził sobie, jak wysiada ze skylance'a, a Lisinda radośnie biegnie mu na spotkanie. Porwałby ją w ramiona i mocno pocałował, a po jej twarzy płynęłyby łzy, bo oto jej bohater powrócił po czterech długich latach.

Rozmyślania przerwała mu seria błysków lampy „Ketty Jay”. Zakodowana wiadomość elektroheliografu.

„Naprzód”.

Pinn zawył triumfalnie i otworzył przepustnice protanowych dysz do oporu. Skylance z rykiem skoczył do przodu, wciskając go w fotel. Pinn nadepnął pedał, szarpnął drążkiem i myśliwiec wypadł z mgły, mknąc w stronę małej flotylli w górze. Frachtowiec i obstawa prawie ich już minęli, więc atakował z dołu i z tyłu, ukryty w martwym polu. Jego puciołowatą twarz wykrzywił wojowniczy uśmiech. Silniki wyły, a cały myśliwiec trząsał się i grzechotał.

- To nie jest wasz szczęśliwy dzień - mruknął, łapiąc wroga w celownik. Wierzył, że prawdziwi bohaterowie zawsze mówią coś bezlitosnego i mrożącego krew w żyłach, zanim kogoś zabiją. Potem otworzył ogień.

Pilot najbliższego swordwinga ledwie zdążył usłyszeć silnik Pinna, kiedy pociski rozerwały brzuch jego statku. Przedziurawiły zbiorniki protanu i myśliwiec eksplodował w brudnej chmurze płomieni. Pinn zawył z radości, korkociągiem przeleciał przez ogień i wypadł z drugiej strony. Wykręcił się w fotelu, żeby spojrzeć za siebie, przez lewe skrzydło i zobaczył nadlatującego Harkinsa, plującego ogniem z karabinów maszynowych i roznoszącego w strzepy ster drugiego przeciwnika.

- Tak jest! - wrzasnął. - Niezłe oko, ty pokręcony stary dziwaku!

Pociągnął skylance'a w beczkę tak ostro, że pociemniało mu w oczach, i zawrócił w stronę flotylli. Dwa pozostałe swordwingi złamały szyk i zaczęły robić uniki. Cel Harkinsa spadał spiralą w mglistą nicość, ciągnąc za sobą dym ze zniszczonego ogona. Daleko w dole „Ketty Jay” wychynęła z ukrycia i sunęła w stronę powolnego, masywnego frachtowca.

Pinn wypatrzył drugiego swordwinga i zanurkował w jego stronę. Zajął pozycję na jego ogonie. Karabiny maszynowe wypluły poszarpany rząd pocisków smugowych. Drugi pilot odbił mocno w bok, sprawnie schodząc z linii strzału. Pinn uniósł brew.

- Nieźle - mruknął. - Będzie wesoło.

\* \* \*

- Leci w chmury! - zauważyła Jez.

Miała rację. „As Czaszek” skierował dziób w stronę pokrywy chmur. Widoczność byłaby tam prawie zerowa.

- Widzę - stwierdził Frey i nagle krzyknął: - Doktorze!

- Co? - Wyryczana odpowiedź nadeszła przez otwarte drzwi kokpitu.

- Bierz się do myśliwców! Ja biorę grubą rybę!

- Się robi!

Rozległ się łoskot automatycznego działka, kiedy Malvery w kopułce strzelca zaczął prażyć ołowiem. Frey dodał mocy protanowym silnikom i „Ketty Jay” skoczyła w górę. Była zaskakująco lekka jak na tak duży statek, ale Frey dawno przywykł do tego, jak reagowała. Nikt nie znał jej tak dobrze jak on.

Harkins i Pinn zajęli się myśliwcami. Ganiłi je po niebie. To dawało mu wolną drogę. Zgarbił się w fotelu i nie spuszczał wzroku z celu. Jez i Crake stali za nim, trzymając się z całych sił, kiedy „Ketty Jay” kołysała i szarpała.

Frachtowiec parł w górę całą mocą turbin, ale był ciężki i zwalisty i nie mógł wzbić się zbyt stromo, żeby nie złamać się wpół pod własnym ciężarem. Frey miał tylko jedną szansę, ale więcej nie potrzebował. Zbiorniki aerium w takim statku były gigantycznym celem. Choć na zewnętrznej powłoce kadłuba nie było niczego, co wskazywałoby na ich położenie, Frey znał ten model. Trudno byłoby chybić.

Tylko muśnij je ogniem, upomniał siebie. Aerium uciekłyby z przedziurawionych zbiorników, a utrata siły nośnej zmusiłaby pilota do lądowania, jeśli nie chciałby się rozbić. W takim terenie lądowanie mogło być nieco niebezpieczne, ale Frey martwił się tylko tym, żeby jego ładunek pozostał nietknięty. Zbiorniki protanu - najbardziej niebezpieczne - były dobrze opancerzone i ukryte głęboko we wnętrzu statku. Potrzeba by wyjątkowo twardego lądowania, żeby wybuchły.

„As Czaszek” rósł w oczach w miarę, jak się do niego zbliżali. Usiłując uciec, odsłonił brzuch. Frey wycelował w miejsce tuż pod krótkimi, płetwiastymi skrzydłami.

Bliżej... bliżej...

Nacisnął spust na drążku sterowym. Przednie karabiny maszynowe „Ketty Jay” zaterkotały, wybijając rząd otworów w burcie frachtowca.

„As Czaszek” eksplodował.

Szybę kokpitu wypełniła przerażająca kula ognia, przez ułamek sekundy oświetlając zdziwioną minę Freya. Potem dotarła do nich fala uderzeniowa.

Huk detonacji rozdzierał bębni w uszach. „Ketty Jay” przetoczyła się gwałtownie na bok, rzucając Jez i Crake'a na konsolę nawigatora. Frey mocował się ze sterami, jedną ręką szarpiąc drążek, drugą bębniąc w przyciski. Silniki jęczały i krztusiły się, ale Frey pilotował ten statek od ponad dziesięciu lat i znał go na wylot. Z zaciśniętymi zębami przeprowadził „Ketty Jay” przez chaos i po paru sekundach znów lecieli prosto.

Wyjrzał z kokpitu. Zrobiło mu się słabo i niedobrze. W powietrzu kłębiła się tłusta, czarna chmura dymu. Olbrzymi dziób „Asa Czaszek” spadał w przełęcz w dole. Ogon uderzył o zbocze góry i roztrzaskał się na kawałki. Na wszystkie strony sypały się leniwie mniejsze szczątki, wyrzucone w przestrzeń siłą eksplozji.

A wśród nich ku ziemi spadały zwęglone, bezwładne kształty. Niektóre wciąż były prawie całe.

Ciała. Dziesiątki ciał.

\* \* \*

Harkins patrzył na powolną kaskadę szczątków lecących z nieba. Nie był pewien, jakie konsekwencje może przynieść to, co się właśnie zdarzyło, ale wiedział, że nie jest dobrze. Wręcz przeciwnie - bardzo, bardzo źle. I to nie tylko dlatego, że spartolili kolejną piracką akcję.

Niespodziewanie swordwing, którego ścigał, odbił w lewo i zanurkował. Uwaga Harkinsa skupiła się z powrotem na celu.

On ucieka! - pomyślał. Jedno szybkie spojrzenie i już wiedział, że drugi swordwing robi to samo. Wzbił się świecą ku chmurom. Pinn siedział mu na ogonie, siejąc pociskami smugowymi. Z jednego skrzydła uciekającego myśliwca ciągnęła się smuga dymu.

Harkins pchnął firecrowa do nurkowania. Cokolwiek właśnie się wydarzyło, zdawał sobie sprawę, że znaleźli się w nie lada opałach.

Chyba że nikt nie przeżyje, żeby o tym opowiedzieć.

Swordwing szybko opadał w stronę mgły, która ukryła „Ketty Jay”. Harkins wypuścił krótką serię z działek, ale był wciąż za daleko. Otworzył przepustnicę firecrowa i z wyciem pomknął za myśliwcem, który zniknął we mgle.

O nie! - pomyślał przerażony. Nie chcę tam lecieć, nie chcę!

Ale było za późno na takie rozważania. Mgła otoczyła go i zasnęła mu pole widzenia. Swordwing wydawał się już tylko ciemną plamą w oddali. Harkins wyrównał lot i mknął

przez górne warstwy mgły, gdzie panowała widoczność minimalnie powyżej samobójczej. Próbował skrócić dystans, ale nie zbliżył się do uciekiniera nawet odrobinę.

Po nieogolonych policzkach pokrytych zmarszczkami zaczęły spływać krople potu. Lecieli za szybko, o wiele za szybko. Ten pilot to wariat! Chciał się zabić?

Harkins otworzył ogień z działek, mając nadzieję na szczęśliwe trafienie. Pociski smugowe zniknęły we mgle.

Z oparów po prawej wychyłała góra, niekończące się zbocze ośnieżonych skał. Swordwing odbił w tę stronę, przytulając się do stoku. Fala uderzeniowa jego pędu wzbijała chmury śniegu na torze lotu Harkinsa. Pilot usiłował oślepić go jeszcze bardziej. Na szczęście ta taktyka była nieskuteczna. Drobnym śniegiem rozwiewał się zbyt szybko. Harkins ustawił się na kursie zbieżnym i skrócił dystans.

Zbocze urwało się bez ostrzeżenia i swordwing niebezpiecznie ostro skręcił, omal nie ocierając się skrzydłem o skały. Harkins odruchowo powtórzył jego manewr. Jediną bezpieczną trasą w szarym тумanie była ta, którą przed chwilą leciał jego cel.

Stercząca czarna skała wychyłała przed nim niczym cios pięścią.

Zareagował intuicyjnie. Pchnął drążek sterowy w przód i firecrow zanurkował, przelatując pół metra pod kamiennym nawisem, który z przelotnym, przerażającym grzotem został z tyłu.

Harkins odbił od zbocza góry, roztrzęsiony. Mało brakowało, mało! Nogi zaczęły mu dygotać. To był obłąd! Obłąd! Za kogo ten pilot się miał? Dlaczego przeciągał go przez taką męczarnię?

Ale oto i on. Swordwing. Wciąż widoczny przez bańkę kabiny na dziobie firecrowa. Leciwał w dół, głębiej w szarą ciemność, niewyraźny jak duch.

Harkins poleciał za nim. Choć bardzo się bał, tak samo przerażały go konsekwencje poddania się. Nie potrafiłby znieść wściekłości Freya, gdyby pozwolił uciec świadkowi. Śmierć w kokpicie to jedno, konfrontacja to coś zupełnie innego. Konfrontacja była dla Harkinsa osobistym wyobrażeniem piekła i zrobiłby wszystko, byle jej uniknąć.

Po obu stronach pojawiły się zwarte, groźne cienie: zbliżające się zbocza gór. Harkins przygryzł wargi, żeby powstrzymać szczykanie zębów. Silniki firecrowa spowijały go kokonem ciepłego brzmienia, ale mimo to doskonale wiedział, jak krucha okazałaby się jego metalowa skorupa, gdyby zderzyła się z czymś przy prędkości stu węzłów. Widział firecrowy pękające jak skorupki jajek... czasami z jego przyjaciółmi w środku.

Ale to nigdy nie spotkało mnie! - powiedział sobie. Wziął się w garść i otworzył mocniej przepustnicę.

Góry przysuwały się z obu stron coraz bliżej i rozumiał, że wlatują w szczelinę. Nagle, niespodziewanie swordwing zwolnił. Harkins skoczył ku niemu. Plama nabrała kształtu, rosła przed nim. Otworzył ogień, ale w tej samej chwili myśliwiec wystrzelił stromą świecą w górę. Zniknął we mgle, a pociski smugowe przeszły mu pod ogonem.

W tej samej chwili Harkins zrozumiał, co zrobił jego przeciwnik. Wpadł w panikę. Szarpnął do siebie drążek sterowy, przymknął przepustnicę i wdepnął pedał otwierający klapy awaryjnego hamowania. Tępy dziób firecrowa uniósł się w górę; myśliwiec zaprotestował jękiem. Harkins poczuł, że w fotel wgniata go olbrzymi ciężar, niczym ręka giganta.

Przed sobą widział ponurą skalną ścianę. Olbrzymią, nieporuszoną, zbliżającą się w pędzie. Koniec rozpadliny. Wrzasnął. Firecrow niemalże pazurami piął się w górę. Krew zadudniła w udach i stopach Harkinsa. W oczach mu pociemniało; zaczął tracić przytomność.

Nie zemdlejesz... Nie zemdlejesz...

Nagle wszystko się przekrzywiło, pion stał się poziomem, a urwisko przed nim zaczęło uciekać pod skrzydłami. Wyprostował drążek, krew napłynęła mu z powrotem do głowy. Firecrow wystrzelił w górę z rozpadliny. Przez kilka sekund było szaro, potem Harkins wyleciał z mgły w czyste powietrze.

Bezruch.

Jak w transie przymknął przepustnicę i powoli zatrzymał firecrowa, unoszącego się w powietrzu na samych zbiornikach z aerium. Kilkanaście kłomów dalej, między szczytami gór, wisiała bezradnie „Ketty Jay”, czekając na jego powrót. Spojrzał w dół w morze mgły, ale jego ofiara dawno uciekła.

Nie mógł zapanować nad drzeniem dłoni. Podniósł jedną przed oczy i patrzył, jak się trzęsła.

## 7

*Kłótnia - Crake oskarża - Co Kot sądzi o Jez -*

*Frey ma sen*

Wschodni skraj Hookhollowów obfitował w kryjówki - sekretne doliny i osłonięte półki skalne. W potrzaskanym krajobrazie było pod dostatkiem załomów wystarczająco dużych, by

ukryć niewielką flotyllę statków powietrznych. Piraci i przemytnicy cenili sobie wysoko te jamy, a gdy na jakąś natrafili, zazdrośnie strzegli jej położenia.

Noc zastała „Ketty Jay” i jej eskortę w jednym z ulubionych miejsc Freya, długiej, przypominającej tunel grocie, którą zazwyczaj wykorzystywał, uciekając przed statkiem większym niż jego własny. Jaskinia była szersza niż wyższa i przypominała poziomą szczelinę w ścianie płaskowyzu, wrzynającą się głęboko w urwisko. Statek wielkości „Ketty Jay” mieścił się w niej z trudem, ale Frey posadził ich bez jednego zadrapania. Teraz „Ketty Jay” kuliła się w mroku, a przyciemnione reflektory na jej brzuchu odbijały się w płytkim strumieniu płynącym po dnie jaskini. Panowała tu cisza, nie licząc rytmicznego kapania i nieustannego szmeru płynącej wody.

Wewnątrz statku nie było tak spokojnie.

- Na żyłaste jaja Wszechduszy, w coś ty celował, matole?! - wrzasnął Pinn do kapitana. Ten w odpowiedzi uderzył go w twarz.

Żużel, pokładowy kot, obserwował awanturę z kocią obojętnością ze swojego miejsca na szafce. Cała załoga zebrała się w mesie, z trudem mieszcząc się w małym pomieszczeniu, a komiczna szarpanina, by rozdzielić Pinna i Freya, obfitowała we wpadanie na meble i przewracanie krzeseł. Mesa była raczej ponurym miejscem; wyposażono ją w przymocowany na stałe centralny stół, zestaw metalowych szafek na naczynia i niedużą kuchenkę, na której wylegiwał się Żużel za każdym razem, gdy Silos wyganiał go z maszynowni.

Żużel był starym wojownikiem, posiwiiałą bryłą mięśni spojonych bliznami i wrogim usposobieniem. Frey sprowadził go na pokład jako kociątko dzień po tym, jak kupił „Ketty Jay”, czternaście lat temu. Żużel nigdy nie zaznał niczego poza pokładem statku i nigdy nic innego go nie kusilo. Tutaj był cel jego życia - zostać postrachem wielkich szcurów, mnożących się w pionach wentylacyjnych i otulinach rur. Wojna trwała od ponad dekady - kolejne pokolenia ostrożnych gryzoni zmagaly się z niezniszczalnym wrogiem. Żużel je zabijał - ich generałów, ich wodzów - i polował na ich matki, aż osiągały granicę wyginięcia. Ale szczury zawsze wracały, a Żużel zawsze na nie czekał.

- Przestaniecie się wreszcie zachowywać jak kretyni? - wrzasnęła Jez, kiedy Malvery i Silos odciągali Pinna od kapitana. Pinn, czerwony z wściekłości, zapewnił doktora, że się już uspokoił i można go puścić, a potem wykonał obowiązkowy drugi skok na Freya. Malvery był na to przygotowany i dzielił go mocno w brzuch, wypychając mu powietrze z płuc.

- Dlaczego to zrobiłeś? - jęknął słabo Pinn.

- Dla zabawy - odparł Malvery z szerokim uśmiechem. - A teraz się uspokój, zanim dam ci po łbie czymś ciężkim. Nie pomagasz nam.

Frey wyrwał się Silosowi z gniewnym spojrzeniem i się otrzepał.

- Dobrze - stwierdził. - Skoro już to mamy z głowy, czy mogę coś powiedzieć? Wolno i wyraźnie, żeby wszyscy zrozumieli? To - nie - była - moja - wina!

- Ale wysadziłeś ten frachtowiec - wytknął Crake.

- Gdybyś miał jakiegokolwiek pojęcie o statkach powietrznych, to byś wiedział, że zbiorniki protanu zawsze są umieszczane najgłębiej jak się da i dobrze opancerzone. W przeciwnym razie tacy jak my mogliby w nie trafić i rozwalić cały statek na małe kawałeczki.

- Tak jak to zrobiłeś - powtórzył Crake ze złośliwym uporem. Nie zapomniał Freyowi jego zachowania, kiedy Lawsen Macarde przystawił mu rewolwer do głowy.

- Wcale nie! - wrzasnął Frey. - Karabiny maszynowe nie mogły sięgnąć tak głęboko, żeby w ogóle dotknąć zbiorników protanu. Silos, powiedz im.

Murthianin skrzyżował ręce na piersi.

- Mogłoby się tak zdarzyć, kapitanie. Ale to szansa jedna na milion.

- Widzisz? Mogłoby się zdarzyć! - krzyknął Pinn, który odzyskał oddech.

- Ale raz na milion! - warknął Frey przez zaciśnięte zęby. - To mniej więcej taka sama szansa, jak to, żebyś się zamknął na pięć minut i dał mi pomyśleć.

Żużel wstał ze swojego miejsca na szafce i zeskoczył na blat. Łapy uderzyły głośno o blat. Nie zaprzętał sobie głowy innymi istotami zamieszkującymi statek, ale czuł się wyjątkowo zirytowany, że w tym niezrozumiałym ożywieniu nikt nie zwraca na niego uwagi. Harkins, który i tak stał ze spuszczoną głową, wcisnął się w kąt na widok kota. Żużel rzucił mu spojrzenie pełne czystej nienawiści, a potem skoczył na stół, żeby znaleźć się w centrum wydarzeń.

- Kwestia tego, czyja to wina... - zaczęła Jez.

- Na pewno nie moja! - przerwał Frey.

Jez spojrzała na niego znacząco.

- Nie chodzi o to, czyja to wina. Pytanie brzmi, kto zostanie o to obwiniony.

- No... Dzięki temu, że z Harkinsa wylazł wielki zafajdany tchórz, pewnie my za to oberwiemy - przepowiedział ponuro Pinn.

- To był dobry pilot! - zaprotestował Harkins. - To był... fantastyczny pilot! No, albo fantastyczny, albo nie bał się śmierci czy coś takiego. Jaki idiota lata na pełnym gazie górskimi rozpadlinami we mgle? To był... to był wariat, właśnie! A ja jestem dobrym pilotem, ale nie jestem wariatem ani idiotą! Mówiliście, że minimalna eskorta, miała być minimalna eskorta! Nikt nie mówił o... o czterech swordwingach ani że w jednym będzie taki pilot! Co taki pilot robił w eskorcie jakiegoś brudnego, starego frachtowca?



- Ja bym go złapał - powiedział Pinn. - Swojego złapałem.

- Bo twój był pewnie gówniany - mruknął Harkins.

Jez chodziła w tę i z powrotem po mesie, z głową pochyloną w zamyśleniu. Kiedy zbliżyła się do Żuzła, wygiął grzbiet i zasyczał na nią. Coś w tym człowieku mu się nie podobało. Nie rozumiał, co takiego, tyle tylko że czuł się zagrożony w jej obecności, a to go irytowało. Nienawidził Harkinsa za słabość, ale Jez się bał.

- Co w niego wstąpiło? - zdziwił się Crake.

- Wredny, wyliniały sierściuch - prychnął Pinn. - W końcu stracił ten swój mały rozumek.

- Hej! - zawołał Frey obronnym tonem. - Żadnego wygadywania na kota.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Żuzła, i szybko ją cofnął, kiedy kot machnął pazurami.

- Dlaczego nie? Ten bydlak i tak nadaje się tylko na miotłkę do kurzu. Skręcić mu kark, wetknąć mu kijek w...

- Odwał się od kota! - warknęła Jez i wszyscy w zaskoczeniu umilkli. Jak na tak drobną kobietę była niezwykle wojownicza i wzbudzała niespodziewany respekt. - Mamy ważniejsze rzeczy na głowie.

Obeszła powoli mesę, omijając innych.

- Zaskoczyliśmy ich. Nawet jeśli ten swordwing uciekł, bo przecież mógł się rozbić we mgle, to ledwie miał czas się zorientować, co się dzieje. Harkins prawie natychmiast siadł mu na ogonie. Na pewno miał inne rzeczy na głowie.

- Myślisz, że nie będzie w stanie nas zidentyfikować? - spytał Frey.

- Wątpię - odparła Jez. - Na burtach nie mamy nazwy statku i raczej nie jesteśmy sławni, prawda? To co mają? Tamten po prostu widział statek typu Wickfield Ironclad w towarzystwie firecrow'a i skylance'a. Trzeba by bardzo dużo motywacji, żeby nas wytropić na tej podstawie.

- Quail nie piśnie słowa - powiedział Frey, pobudzony jej optymizmem. - Chociaż prawdopodobnie najlepiej by było, gdyby nasze ścieżki się więcej nie przecięły. Na wszelki wypadek trzymajmy się z dala od Marklin's Reach. Silos, wpisz to na listę naszych zakazanych portów. Scarwater też.

- Za wiele tych portów nam nie zostało - mruknął Malvery.

- No, to teraz są o dwa mniej. - Frey rozejrzał się po mesie. - Dobrze, skończyliśmy? W porządku. Nie wychylajmy się, udawajmy, że to się nigdy nie wydarzyło, i działamy jak do tej pory.

Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał go cichy głos.

- Czy tylko ja pamiętam, że na tym statku byli ludzie? - spytał Crake.

Frey obejrzał się na demonistę przez ramię.

- On wiozł pasażerów - powiedział Crake. - Nie ładunek.

Spojrzenie Freya było zimne.

- To nie była moja wina - powiedział i wspiął się po drabince do włazu.

Po tym załoga się rozeszła. Niektórzy wciąż się ze sobą spierali. Żużel został na środku stołu w pustej mesie z poczuciem zaniedbania. Po krótkim i pełnym niechęci wylizaniu futra postanowił zemścić się na Harkinsie, wślizgując się w nocy do jego kajuty i śpiąc na jego twarzy.

\* \* \*

Frey wszedł do swojej kajuty i zasunął za sobą ciężkie żelazne drzwi, odcinając głosy załogi. Z westchnieniem usiadł na twardej koi i mocno potarł dłońmi twarz, jakby mógł zetrzeć z niej swoje rysy. Siedział tak przez chwilę z pustką w głowie, przygnieciony ogarniającą go czarną rozpaczą.

Za każdym razem, pomyślał ponuro. Za każdym przeklętym razem.

Nagle zerwał się na nogi i cofnął rękę, żeby uderzyć w ścianę, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Zamiast tego przycisnął do niej pięść i czoło, oddychając głęboko, przepełniony nienawiścią. Nienawiścią bez celu i przedmiotu, nieskierowaną - ślepa frustracją człowieka doświadczanego przez los.

Co zrobił, żeby na to zasłużyć? Gdzie zostało zapisane, że wszystkie jego wysiłki mają iść na marne, że szansa ma z nim flirtować, a potem okrutnie go porzucać. Że pieniądze mają rozsypywać się w pył w jego rękach? Jak doszło do tego, że żył otoczony przez głupców, desperatów, pijaków, złodziei i bandytów? Nie stać go na nic więcej?

Ten bydlak Quail! To jego wina. Tak czy inaczej, on za to odpowiada. Frey wiedział, że to zlecenie było zbyt piękne, żeby okazało się prawdą. Jedynymi ludźmi, którzy robili interesy warte pięćdziesiąt tysięcy dukatów, byli ci, którzy już wcześniej mieli dziesięć razy większe pieniądze. To tylko jeden z licznych sposobów, jakie świat uknuł, żeby bogaci zostawali bogatymi, a cała reszta dostawała po łapach.

„As Czaszek” nie powinien był wybuchnąć. To niemożliwe. To, co się stało z tymi ludźmi... Frey nigdy tego nie chciał.

To był wypadek. Nie można go o to winić. Chciał tylko trafić zbiorniki z aerium. I trafił w zbiorniki z aerium. To był po prostu jeden z tych przypadków, jak erupcja wulkanu albo kiedy statek wpadał w szpony strasznego huraganu. Akt Wszechduszy, jeśli ktoś wierzył w bełkot Przebudzonych.

Frey kwaśno pomyślał, że w idei wszechkontrolującego bytu może tkwić ziarnko prawdy. Na pewno ktoś się na niego wziął i postanowił krzyżować wszystkie jego plany. Jeśli istniała jakaś Wszechdusza, to ewidentnie za Freyem nie przepadała.

Podszedł do stalowej umywalki i ochlapał wodą twarz. W poplamionym mydlinami lustrze przyjrzał się swojemu odbiciu. Uśmiechnął się na próbę. Zmarszczki w kąciakach jego oczu jakby się pogłębiły od ostatniego razu, kiedy je oglądał. Po raz pierwszy zauważył je rok temu i zaszokowały go te pierwsze oznaki starzenia. Podświadomie zakładał, że pozostanie młody na zawsze.

Chociaż nigdy nie przyznałby tego na głos, wiedział, że jest przystojny. W jego twarzy było coś, co przyciągało kobiety - odrobina przebiegłości, zapowiedź niebezpieczeństwa, mrok w uśmiechu. Coś, w każdym razie. Nie wiedział co. W młodości dawało mu to swobodną pewność siebie, która działała na kobiety jeszcze bardziej.

To jedyna rzecz, z jaką mi się w życiu udało, pomyślał. Miał naprawdę podły nastrój.

Przyciągał na swoją orbitę nawet mężczyzn, wabionych zazdrością o jego sukcesy w relacjach z płcią przeciwną. Frey nigdy nie miał problemów z nawiązywaniem nowych znajomości. Urok osobisty - jak się przekonał - był sztuką udawania, że naprawdę się myśli to, co się mówi. Czy rzucał komplementy mężczyźnie, czy piękne kłamstwa kobiecie, Frey zawsze wydawał się w stu procentach szczery. Zazwyczaj jednak zapominał o nich, kiedy tylko zniknęli mu z oczu.

A teraz miał trzydzieści lat i zmarszczki wokół oczu, kiedy się uśmiechał. Nie mógł wiecznie korzystać ze swojej urody. A jeśli ta przeminie, co mu zostanie? Co zrobi, kiedy jego ciało przestanie tolerować rum, a kobiety nie będą go już pragnąć?

Odepchnął się od umywalki z prychnięciem obrzydzenia.

Użalanie się nad sobą ci nie służy, Frey. Nikt nie lubi ofiar losu.

Mimo to, musiał przyznać, ostatnich dziesięć lat było nie najlepsze, a początek trzeciego krzyżyka nie wróżył dobrze na przyszłość. Czekanie na odmianę losu nadwerężyło jego cierpliwość. A samodzielne próby zdobycia fortuny nieodmiennie kończyły się katastrofą.

Spójrz na to z innej strony, powiedział sobie. Przynajmniej jesteś wolny.

Tak, owszem. Żadnego szefa nad sobą, żadnej Marynarki i Koalicji na karku. Żadnej kobiety, która by go wiązała. No, przynajmniej w przenośni, niektóre były bardziej odważne w łóżku niż inne.

Ale, niech to szlag, tym razem... tym razem naprawdę myślał, że ma szansę. Samo rozczarowanie mocno nim wstrząsnęło.

A przecież mogło być inaczej. Może gdyby dziesięć lat temu wybrał inną ścieżkę. Może

byłby teraz szczęśliwy. Na pewno byłby bogaty.

Nie. Żadnych żali. Szkoda życia.

Kajuta kapitana była ciasna, choć i tak największa na całym statku. Frey nie dbał przesadnie o porządek. Metalowe ściany pokrywała cienka patyna brudu, na podłodze widać było ślady butów. Większość miejsca zajmowała koja pod hamakiem wypakowanym bagażami. Linki wiszącego posłania groziły pęknięciem i przysypaniem Freya w nocy. Biurko, komoda i szafki przymocowano do przeciwległej ściany; szuflady i drzwiczki miały zatrzaski, żeby nie otwierały się podczas lotu. W kącie znajdowało się lustro i umywalka. Czasami używał jej w nocy jako toalety, kiedy nie chciało mu się schodzić dwa poziomy niżej do wychodka. Bycie mężczyzną miało swoje zalety.

Wstał i otworzył szufladę. W środku, na stosie papierów i notesów, leżała mała buteleczka przezroczystego płynu. Frey wziął ją i wrócił na koję.

A co mi tam, pomyślał smutno.

Odkręcił korek służący także jako pipeta. Nacisnął gruszkę i wessał odrobinę cieczy, odchylił głowę w tył i wpuścił sobie po kropli w każde oko. Zamrugął i położył się na koi.

Wszystkie zmysły przyćmiło mu senne poczucie ulgi. Ból stawów zniknął zastąpiony ciepłem, które zmyło wszystkie troski i wygładziło Freyowi czoło. Zamrugął i zamknął oczy, a potem przez dłuższą chwilę kołysał się na krawędzi snu, zanim wreszcie mu uległ.

Tej nocy śnił o młodej kobiecie, o długich, jasnych włosach i uśmiechu tak doskonałym, że na jego widok serce rozżarzało mu się niczym węgle w palenisku. Ale kiedy obudził się następnego dnia rano, nic z tego nie pamiętał.

## 8

*Karczemne rozmowy - Crake odwiedza starego znajomego -*

*Sanktuarium - Niemiła niespodzianka*

Karczma Starego Jednookiego była duszna, zadymiona, cuchnęła potem, mięsem i piwem. Światło gazowych lamp ledwie przebijało się przez wiszące w powietrzu opary. Gorąco pieców, w których rozpalono, żeby odpędzić wieczorny chłód, utrudniało oddychanie. Gwar rozmów był tak głośny, że ludzie musieli do siebie krzyczeć, jeszcze bardziej zwiększając

harmider. Kelnerki kręciły się między prostymi drewnianymi stołami, sprawie unikając zalotów mężczyzn o szorstkich spojrzeniach i szybkich rękach.

W tłumie stojących Frey urzędował przy stole zastawionym cynowymi dzbanami. Właśnie skończył opowiadać historię z dawnych czasów, kiedy pracował jako przewoźnik dla Dracken Industries. Była to historia o zniedołężniającej matce jednego z pracowników, która jakimś cudem dostała się do niepilnowanego ciągnika i wjechała nim w stertę klatek z kurczakami. Puenta została opowiedziana z takim szykiem, że Pinnowi piwo poszło z nosa, na co Malvery zaczął się śmiać tak bardzo, że się porzygał. Crake obserwował to wszystko z uprzejmym uśmiechem. Harkins oglądał się nerwowo na ludzi dookoła, wyraźnie chcąc być gdziekolwiek, byle nie tutaj. Doktor namówił chudego pilota na wyprawę do karczmy, bo uznał, że dobrze mu zrobi towarzystwo. Harkinsowi ten pomysł okropnie się nie podobał, ale zgodził się, by nikogo nie urazić odmową.

Jez i Silosa nie było. Jez nie piła alkoholu i trzymała się na uboczu. Silos rzadko schodził ze statku.

Crake popijał piwo, kiedy Pinn i Malvery dochodzili do siebie. Jego towarzysze byli lekko podpiści i tryskali humorem, oprócz Harkinsa, który wciąż miał naburmuszoną minę, mimo tego że opróżnił już trzy dzbanki piwa. Crake wciąż siedział nad swoim pierwszym. Przestali go dręczyć, żeby dotrzymywał im tempa, kiedy przekonał ich w końcu, że nic z tego nie będzie. Miał tego wieczoru inne sprawy do załatwienia i nie było w nich miejsca na nawalenie się tanim alkoholem.

Jak łatwo zapomnieli, pomyślał. Jakby Macarde przystawiający mu rewolwer do głowy był drobiazgiem niewartym wzmianki. Jakby masowe morderstwo popełnione na niewinnych ludziach było czymś, co można wymazać kilkoma wieczorami ostrego pijaństwa.

Czy to właśnie ich sekret? Czy w ten sposób żyli w tym świecie? Jak zwierzęta, myśląc tylko o tym, co przed nimi. Czy żyli chwilą, nie myśląc o przeszłości i nie przejmując się przyszłością?

Na pewno była to prawda w przypadku Pinna. Był zbyt tępy, by pojąć tak nienamacalne koncepcje, jak przeszłość czy przyszłość. Za każdym razem, kiedy o nich mówił, wykazywał druzgocący brak rozumienia i Crake musiał wychodzić z pomieszczenia, żeby ukryć niesmak.

Pinn bezustannie opowiadał o Lisindzie, dziewczynie ze swojej wioski, ukochanej, która czekała na niego w domu. Jej oddanie i wierność nie miały granic. Była boginią, dziewiczym bóstwem, kobietą, którą zamierzał poślubić. Po krótkim romansie - podczas którego, jak Pinn z dumą obwieścił, nie uprawiali seksu, jakby to wymagało od niego potężnego wysiłku woli - powiedziała mu, że go kocha. Niedługo potem zostawił jej list i ruszył w świat szukać

fortuny. Było to cztery lata temu i przez ten czas nie widział się z nią ani nie kontaktował. Zamierzał wrócić jako bogacz albo nie wracać wcale.

Pinn postrzegał siebie jako rycerza w lśniącej zbroi, który pewnego dnia da Lisindzie wszystkie te wspaniałości, na jakie zasługiwała. Prawda - według Crake'a oczywista dla każdego, kto nie był skończonym idiotą - wyglądała tak, że ten dzień nigdy nie nastąpi. Pinn przepuszczał wszystkie swoje pieniądze, nieduże zresztą. Grał, pił i łajdaczył się, jakby to był jego ostatni dzień na ziemi, tak samo też latał. Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się przeżyć wystarczająco długo, by szczęśliwym trafem zdobyć fortunę, Crake nie miał wątpliwości, że krowiasta dziewczyna o tępawej aparycji - której zdjęcie Pinn z wielkim entuzjazmem pokazywał wszystkim naokoło - dawno już o nim zapomniała.

W oczach Crake'a Pinn nie miał krzty godności. Chodził na dziwki, a potem rano żalił się na brak męskich sił i przysięgał wierność Lisindzie. Wieczorem upijał się i robił znów to samo. Jak z jednej strony mógł się uważać za zakochanego, a z drugiej tak zdradzać ukochaną, było niepojęte. Crake uważał go za formę życia plasującą się poniżej ogrodowego kreta i tuż powyżej małża.

Pozostałych nie mógł tak łatwo zlekceważyć. Harkins był prostym człowiekiem, ale przynajmniej miał tego świadomość. Nie cierpiał na taki sam katastrofalny brak samoświadomości co Pinn. Malvery miał głowę na karku, o ile chciało mu się jej używać, i był ogromnie dobroduszny. Jez, choć nieco nieokrzesana, była bardzo sprytna i znała się na swojej robocie lepiej niż ktokolwiek inny na pokładzie, być może z wyjątkiem tajemniczego murthiańskiego mechanika. Nawet Frey był bystry, choć wyraźnie brakowało mu wykształcenia.

Jakim cudem ci ludzie mogli żyć z dnia na dzień? Jak mogli odrzucać przeszłość i ignorować przyszłość z taką godną pozazdrosczenia łatwością?

A może przeszłość była po prostu zbyt bolesna, a przyszłość zbyt ponura, by się nad nimi zastanawiać?

Crake dopił piwo i wstał. To były rozmyślenia na inny czas.

- Wybaczcie, panowie - odezwał się. - Muszę komuś złożyć wizytę.

Jego obwieszczenie zostało przyjęte chóralnym wiwatem.

- Przyjaciółka, co? - spytał Malvery, lubieżnie trącając go łokciem i omal przy tym nie przewracając. - Wiedziałem, że pęknie! Znam go trzy miesiące i przez ten czas nawet nie spojrzął na kobietę!

Crake zdołał utrzymać sztuczny uśmiech na ustach.

- Musisz przyznać, że damy, z którymi mieliśmy do czynienia, nie były najwyższej klasy.

- Słyszeliście? - zakpił Pinn. - Wydaje mu się, że jest dla nas za dobry! A może po prostu nie gustuje w kobietach - dokończył z uśmiechem.

Crake nie zamierzał zniżać się do tego poziomu.

- Wrócę później - powiedział sztywno i wyszedł.

- Będziemy czekać! - zawołał za nim Frey.

- Ty stara cioto! - dodał Pinn, wywołując wybuch śmiechu kompanów.

Crake przepchnął się między ludźmi i wyszedł z gospody. Czuł, jak pieką go policzki. Chłodne, czyste powietrze znad morza go uspokoiło. Stał pod Starym Jednookim, biorąc się w garść. Nawet po kilku miesiącach na pokładzie „Ketty Jay” nie przywykł do tak prostackich kpin. Potrzebował dłuższej chwili, zanim uspokoił się na tyle, by wybaczyć załodze. Ale nie Pinnowi. Pinn właśnie zarobił sobie u niego kolejną kreskę. Cioto, akurat. Ten debil nawet nie wiedział, jak kochać kobietę.

Crake zapiął płaszcz, naciągnął rękawiczki i ruszył.

Tarlock Cove o zmierzchu wygląda bardzo malowniczo, pomyślał. A przynajmniej odrobinę bardziej cywilizowanie niż dziury, w których ostatnio bywał. Hookhollowy wznosiły się ostro za miastem, przed nim rozciągało się Morze Biegunowe - z każdego miejsca miał tak samo poruszający widok. Miasto zbudowano na zboczu góry, wzdłuż zaokrąglonych ramion zatoki. Poszczególne poziomy łączyły ze sobą strome schody i kręte, żwirowe ścieżki. Budynki były wąskie, drewniane i ogólnie raczej zadbane, kiedy człowiek oddalił się od jednego z dwóch portów. Przybijały tu statki zarówno powietrzne, jak i morskie, ponieważ Tarlock Cove było osadą rybacką. Załogi kutrów sprzedawały swoje połowy załogom powietrznym, które je rozwoziły dalej.

I właśnie dlatego tu przylecieli. Sparzony na ostatnim przedsięwzięciu Frey postanowił nie ryzykować i zająć się czymś miłym i legalnym, niegrożącym przy tym śmiercią. Prawie całe pieniądze wydał na ładunek wędzonego krwawniczka, który zamierzał sprzedać z zyskiem w głębi ładu. Twierdził, że to „prosta robota” i że „nic nie może pójść źle”; Crake ostatnio nauczył się nie ufać żadnemu z tych stwierdzeń.

Szedł w górę kamiennymi schodkami i krętymi uliczkami. Domy napierały na sięgający pasa murek, oddzielający pieszych od stromizny urwiska. Latarnicy chodzili brukowanymi ulicami, zostawiając za sobą przerywaną linię jarzących się mgliście latarni. Tarlock Cove szykowało się na zmierzch.

Kiedy Crake wspinał się wyżej, zobaczył latarnię morską u ujścia zatoki i ucieszył się, widząc, że zaświeciła się i zaczęła obracać. Takie rzeczy, oznaki porządku i sprawnie działającego świata, dawały mu czasami ogromną satysfakcję.

Porządek był jednym z powodów, dla których polubił Tarlock Cove przy poprzednich wizytach. Miastem rządziła rodzina, od której nazwiska osada wzięła swoją nazwę. Tarlockowie dbali, by ich miasteczko nie popadło w ruinę. Domy były pomalowane, ulice zamieciono, a książęca milicja pilnowała, by zjeżdżająca się tu kupiecka hałastrą nie naprzykrzała się szanowanym obywatelom mieszkającym wyżej na zboczu.

Nad całością dominowała posiadłość Tarlocków, zbudowana w najwyższym punkcie miasta. Pozbawiona nadmiernego przepychu, rozległa, solidna, spoglądająca dobrotliwie na zatokę mnóstwem okiem. Klasycznie skromny projekt, pomyślał Crake, definicja arystokratycznego umiaru. Był kiedyś u Tarlocków i uważał ich za doskonale towarzystwo.

Ale to nie Tarlocków zamierzał dziś odwiedzać. Zamiast tego poszedł krętą, oświetloną latarniami uliczką i zapukał do drzwi wąskiego, dwupiętrowego domu wciśniętego między inne, podobne.

Otworzył mu pulchny mężczyzna po sześćdziesiątce, w binoklach. Czubek głowy miał łysy, ale siwe włosy spadały mu strąkami na ramiona i kołnierzyk brązowożłotej marynarki.

Spojrzał na gościa i krew odpłynęła mu z twarzy.

- Dobry wieczór, Plome - przywitał się Crake.

- Dobry wieczór?! - wykrztusił tamten. Rozejrzył się, a potem chwycił Crake'a za ramię i wciągnął go do środka. - Ukryj się, głupcze!

Natychmiast zatrzasnął za nimi drzwi.

Korytarz był o tej porze ciemny, jeszcze nie zapalono lamp. Na wyłożonych ciemną boazerią ścianach wisiały portrety w złotych ramach i wysokie lustra. Rozpinając płaszcz, Crake zerknął przez otwarte drzwi do saloniku. Na lakierowanym stoliku między dwoma fotelami stała herbata i ciasteczka dla dwóch osób.

- Spodziewałeś się mnie? - spytał zdziwiony.

- Spodziewałem się kogoś zupełnie innego! Sędziego, jeśli musisz wiedzieć! Co ty tu robisz?

Zanim demonista zdołał odpowiedzieć, Plome chwycił go za łokieć i pociągnął korytarzem.

Na końcu korytarza znajdowały się schody. Plome pokierował Crake'a obok nich do małych, niepozornych drzwi. Na pozór prowadziły do schowka pod schodami, ale Crake po mrowieniu wszystkich zmysłów poznał, że pozory w tym przypadku myliły. Plome wyciągnął z kieszeni marynarki kamerton i stuknął nim w futrynę. Kamerton zabrzmiał czysto, wysoko, a Plome otworzył drzwi.

Za nimi znajdowała się półka z latarnią i prowadzące w dół drewniane schody. Plome



podniósł do góry wciąż wybrzmiewający kamerton i pchnął Crake'a przodem. Crake poczuł muśnięcie demona zaklętego w drzwiach. Pomniejszy urok. Każdy, kto otworzyłby drzwi przed ujarzmieniem istoty odpowiednim dźwiękiem, zobaczyłby tylko zagracony schowek, być może uderzyłaby go też mocna mentalna sugestia, że nie ma w nim nic interesującego.

- Patrz pod nogi - nakazał Plome. - Pójdę pierwszy. Trzeci stopień od dołu paraliżuje na jakąś godzinę.

Crake stanął, zaczekał, aż gospodarz zamknie drzwi i zapali latarnię. Plome zszedł po schodach, Crake za nim. Na dole starszy mężczyzna zapalił jedną z kilku lamp gazowych w uchwytach na ścianach. Pomieszczenie wypełniło powoli łagodne światło.

- Obawiam się, że elektryczność jeszcze do nas nie dotarła - powiedział przepaszająco, przechodząc z zapalką od lampy do lampy. - Tarlockowie zakazali używania małych generatorów. Oficjalne stanowisko jest takie, że są zbyt głośne i cuchnące. Ale tak naprawdę chodzi o to, żeby mogli zbudować własny, wielki generator i kazać nam płacić za energię.

Sanktuarium pod domem nie zmieniło się zbyt wiele od czasu, kiedy Crake był tu po raz ostatni. Plome, podobnie jak on, w swoim podejściu do demonizmu zawsze skłaniał się raczej ku nauce niż zabobonom. Jego sanktuarium przypominało laboratorium. Czarna tablica zapisana wzorami na modulację częstotliwości stała obok skomplikowanego alembiku, ksiąg o naturze plazmy i świetlistego eteru. Centralne miejsce zajmowała kulista, mosiężna klatka, otoczona najróżniejszymi urządzeniami rezonującymi. Były wśród nich cienkie, metalowe paski różnej długości, najróżniejsze dzwonki i wydrażone, drewniane rury. Takimi przyrządami można było zniewolić demona.

Crake znieruchomiał na widok komory echa w kącie. Była to metalowa, nitowana kula, przypominająca batyskaf, z małym, okrągłym okienkiem. Poczuł, że opuszczają go siły. W żołądku załagał mu się robak mdłości.

Plome podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- A... tak. Zakup raczej pod wpływem impulsu. Jeszcze jej nie używałem. Muszę zacząć, aż podciągną prąd. Żeby zapewnić stałe wibracje i stworzyć echo, rozumiesz.

- Wiem, jak to działa - zapewnił Crake słabym głosem. Nagle nie mógł złapać tchu.

- Oczywiście. I, jak mierniam, wiesz też, jak niebezpieczna i nieprzewidywalna potrafi być technika echa. Nie mogę ryzykować, że padnie mi akumulator, kiedy będę miał w środku przeklęty większy horror! - Plome zaśmiał się nerwowo, potem zauważył, że Crake zbladł. - Nic ci nie jest?

Crake oderwał wzrok od komory echa.

- Nie.

Plome nie drażył tematu. Wyjął chustkę i otarł czoło.

- Szukali cię ludzie Shacklemore'a.

- Shacklemore'a? - Crake się zaniepokoił. - Kiedy?

- Jakoś pod koniec czerpołyka. Mówili, że odwiedzają wszystkich twoich znajomych. - Plome wykręcił ręce. - Sprawili, że poczułem się bardzo nieprzyjemnie. Zachowywali się, jakby wiedzieli o... cóż, o tym. - Szerokim gestem wskazał sanktuarium. - Byłoby bardzo niezręcznie, gdyby to wyszło na jaw. Wiesz, co ludzie o nas sądzą.

Ale Crake był zbyt zajęty rozważaniami. Agencja Shacklemore'a - to była bardzo zła wiadomość. Łowcy nagród na usługach bogatych i potężnych. Spodziewał się ich udziału, ale mimo to potwierdzenie jego podejrzeń było dla niego ciosem.

- Przykro mi, stary kumplu - powiedział Plome. - Dowiedzieli się o tobie, co?

- Coś w tym rodzaju - odparł Crake. „Coś o wiele, wiele gorszego”.

- Barbarzyńcy - prychnął starszy mężczyzna. - Widzą sanktuarium, a potem krzyczą „demonista” i cię wieszają. Nieważne, kim jesteś ani co zrobiłeś. Ignorancja za każdym razem triumfuje nad rozumem. Smutne, ale tak to już jest.

Crake uniósł brew. Nie spodziewał się takich opinii od tego konserwatysty.

- Nie uważasz, że powinienem być zostać i stawić im czoło? Wytłumaczyć się?

- Skądże, nie! Ucieczka to jedyne, co mogłeś zrobić. Oni po prostu nie rozumieją, o co nam chodzi. Boją się nieznanego. A ci przekłęci Przebudzeni bynajmniej nie ułatwiają nam sprawy, trajkoczą tylko, że Wszechdusza to, a demonizm tamto. Podburzają prostych ludzi. Jak myślisz, dlaczego się podlizuję miejscowemu sędziemu, co? Żebym miał jakąkolwiek szansę, jeśli ktoś się dowie, co ukrywam pod swoim domem!

Plome poczerwieniał podczas swojej tyrazy. Musiał wziąć kilka głębszych oddechów i wytrzeć czoło.

- A skoro o nim mowa, może tu być w każdej chwili. W czym mogę ci pomóc?

- Potrzebuję wyposażenia - oznajmił Crake. - Muszę wrócić do sztuki, a nie mam żadnego sprzętu.

- To praktykowanie sztuki wpędziło cię w te tarapaty - przypomniał Plome.

- Jestem demonistą, Plome - odparł Crake. - Bez tego zostanę tylko jeszcze jednym nie niewartym bogatym chłoptasiem. - Uśmiechnął się z rezygnacją. - Kiedy człowiek raz posmakuje tamtej strony, nie ma z niej powrotu.

Nagle, nieoczekiwane łzy pod powiekami zaskoczyły go zupełnie. Powstrzymał je, ale Plome zobaczył jego wilgotniejące oczy i odwrócił wzrok.

- Trzeba... trzeba znów wsiąść na siodło, kiedy się spadnie z konia.

- Co ci się stało? - spytał Plome poważnie zatroskany.

- Im mniej wiesz, tym lepiej - stwierdził Crake. - Dla twojego własnego dobra. Nie chcę cię w to mieszać.

- Rozumiem - przyznał Plome bez przekonania. - Cóż, nie możesz iść do swoich zwykłych dostawców. Ludzie Shacklemore'a ich obserwują.

Podszedł szybko do biurka, chwycił kartkę i nagryzł na niej kilka adresów.

- Oni wszyscy są godni zaufania - powiedział, podając kartkę Crake'owi.

Crake przejrzał adresy. Wszystkie w dużych miastach, rozrzuconych po całej Vardii. Cóż, gdyby nie udało mu się namówić Freya, żeby odwiedzili jedno z nich, zawsze mógł opuścić „Ketty Jay” i działać na własną rękę.

- Dzięki. Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Plome.

- Tacy jak my muszą się trzymać razem w tych ciemnych czasach.

Crake złożył kartkę i zobaczył, że Plome zapisał mu adresy na odwrocie ulotki. Rozłożył ją i poszarzał.

- Skąd to masz?

- Wszędzie je rozklejają. Ktokolwiek to jest, bardzo chcą go dopaść. Jego i jego załogę.

- Co ty powiesz - mruknął Crake słabo.

- Wiesz, w mieście niedawno pojawili się Rycerze Centurii, szukają go, uwierzysz?! - rozentuzjasmował się Plome. - Osobista elita arcyksięcia! - Gwizdnął i wskazał ulotkę. - Ten człowiek naprawdę musiał mocno namieszać. Nie chciałbym być w jego skórze, kiedy go dopadną!

Crake wpatrywał się w kartkę, jakby siłą woli mógł ją unicestwić.

„Poszukiwany za piractwo i morderstwo”, głosił napis. „Wysoka nagroda”.

Ze zdjęcia na kartce patrzyła na Crake'a twarz Freya.

## 9

*Kwestia honoru - Bree i Grudge - „Jeszcze jedno miasto, do którego nie wracamy” -*

*Opóźniony wyjazd*

Crake szedł ulicami Tarlock Cove najszybciej, jak się odważył. Robiło się już ciemno,

zapadała prawdziwa noc i w górze mieniły się gwiazdy. Snop światła latarni morskiej przesuwiał się na zmianę po mieście i po morzu. Crake szedł z podniesionym kołnierzem i spuszczoną głową, z jasnymi włosami powiewającymi na wietrze. Starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Uciekaj, myślał. Po prostu uciekaj. Nie brałeś w tym udziału. Nikt nie wie, że byłeś na pokładzie.

Ale dokąd uciec? Majątek przepadł - miał tylko tyle pieniędzy, ile zabrał ze sobą, a niewiele już z tego zostało. Jego jedyny kontakt tutaj to Plome, a ostatnią rzeczą, jakiej Plome Potrzebował, było ukrywanie zbiega. Miał własne tajemnice. Nie, Crake nie zamierzał go w to wciągać. Musiał poradzić sobie sam.

Uciekaj!

Ale nie mógł. Bo jedyny sposób, by nie dać się złapać Agencji Shacklemore'a, to nigdy się nie zatrzymywać. Dlatego musiał zostać na pokładzie „Ketty Jay”.

Poza tym to nie wszystko - to sprawa honoru. Nie przepadał za Freyem, Pinna nawet nie brał pod uwagę, ale pozostali nie zasługiwali na to, by wisieć. Zwłaszcza Malvery, którego Crake darzył coraz większą sympatią.

Chociaż gdyby miał być ze sobą szczery, wróciłby nawet, gdyby ich wszystkich nienawidził. Choćby po to, żeby ich ostrzec. Bo tak należało; bo w ten sposób był lepszy od Freya.

Wrócił do Starego Jednookiego i przystanął w wejściu, nasłuchując odgłosów zamieszania. Widziano go, jak pił z załogą. Jeśli już zostali schwytani, nie było sensu pakować się w tarapaty.

Była jednak spora szansa, że Frey nie został rozpoznany. Ferrotyp na ulotkach pochodził sprzed co najmniej dziesięciu lat. Nie przypominał obecnego Freya. Człowiek na zdjęciu wyglądał na nieco szczuplejszego i znacznie mniej zatroskanego - gładko ogolony, szczęśliwy, uśmiechał się do aparatu i mrużył oczy w słońcu. W tle widać było góry i pola. Crake zastanawiał się, kto i kiedy je zrobił.

Pijący weselili się i gwar w gospodzie jak zwykle ogłuszał. Wszystko wyglądało dobrze. Zaglądając przez zaparowane okna, Crake nie zobaczył nic niezwykłego.

Wchodzisz, zabierasz ich, wynosicie się z miasta.

Zaczerpnął powietrza i już miał zanurkować w tłum w środku. Wtedy właśnie zobaczył dwójkę rycerzy idących ulicą w jego stronę.

Znał ich z ferrotypów. Wszyscy znali rycerzy. Gazety pisały o ich wyczynach; tanie powieści opisywały ich wymyślone przygody; dzieci się za nich przebierały. Większość

mieszkańców Vardii potrafiła zidentyfikować dwadzieścioro czy trzydzieścioro Rycerzy Centurii. Nikt jednak nie znał ich wszystkich, bo działali tyleż samo w sekrecie, co jawnie.

Nadchodząca dwójka należała do najślawniejszych i przyciągała spojrzenia przechodniów. Drobniejszy z nich to Samandra Bree, w długim, poszarpanym płaszczu i luźnych, skórzanych spodniach, rozszerzanych u dołu. Na głowie miała swój charakterystyczny trójrogi kapelusz. Wiatr rozwiewał jej poły płaszcza, ukazując dwie strzelby i kordelas u pasa. Młoda, ciemnowłosa i piękna, Samandra była ulubienicą prasy. Nie robiła nic, by sobie te względy zaskarbiać, przez co ludzie kochali ją jeszcze bardziej, a prasa śledziła jeszcze natrętniej.

Towarzyszył jej Colden Grudge, bynajmniej nie tak fotogeniczny jak ona. Był to potężny mężczyzna o twarzy poranej jak skalne urwisko. Gęste, zmierzwione, brązowe włosy i potargana broda nadawały mu odpychający, małpi wygląd. Pod płaszczem z kapturem nosił na szerokiej piersi i grubych członkach zmatowiały ze starości pancierz; na napierśniku widniały insygnia Rycerzy Centurii. U pasa wisiały mu dwa obosieczne topory, a przez plecy przewiesił automatyczne działko.

Crake'owi zaschło w ustach. Omal nie rzucił się do ucieczki. Dopiero po kilku chwilach zrozumiał, że nie idą wcale po niego, lecz do gospody, przed którą stał. Szli do Starego Jednookiego.

Nie miał czasu, żeby się zastanowić nad sytuacją. Za chwilę znaleźliby się w środku. Zanim się rozmyślił, wyciągnął w ich stronę ulotkę.

- Przepraszam bardzo - wykrztusił. - Szukacie tego człowieka, prawda?

Rycerze się zatrzymali. Grudge popatrzył na niego gniewnie małymi oczkami spod masywnego czoła. Samandra odsunęła w tył swój kapelusz i się uśmiechnęła. Crake pomyślał mimowolnie, że rzeczywiście była bardzo piękna.

- W rzeczy samej, proszę pana, szukamy - powiedziała. - Widział go pan?

- Ja właśnie... właśnie, tak, widziałem - wyjąkał. - A przynajmniej wydaje mi się, że to był on.

- Gdzie to było? - spytała z lekko rozbawioną miną. Jego nerwowość wzięła za reakcję mężczyzny onieśmiałego przez piękną kobietę, a nie strach człowieka dławionego lękiem, że zostanie zdemaskowany.

- W gospodzie... tam! - zaimprovizował Crake, wskazując gdziekolwiek, byle dalej od Starego Jednookiego.

- W której gospodzie? - spytał zniecierpliwiony Grudge.

Crake gorączkowo usiłował wymyślić nazwę.

- Och, to ta z latarniami na froncie, wiecie... Wyjący Wilk czy coś takiego... Polujący Wilk! Właśnie! Tam go widziałem.

- Jest pan pewien? - spytał Grudge nieprzekonany.

- Nie jest pan stąd, prawda? - zapytała Samandra tym uroczym, cichym głosem, który sprawił, że Crake poczuł się jak śmieć, kłamiąc jej.

- Widać? - odparł z uśmiechem. Błysnął im złotym zębem, wkładając w to odrobinę mocy. Pozwolił demonowi wysssać maleńki ułamek jego życiowych sił, tylko tyle, by uspokoić ich podejrzliwość, by przekonać ich, że mówi prawdę. - Odwiedzam przyjaciela.

Spojrzenie Samandry przelotnie spoczęło na jego zębie przyciągnięte błyskiem. Potem wróciło do jego oczu.

- Gdzie można pana znaleźć? - spytała.

Crake spojrział na nią z niezrozumieniem.

- Nagroda! - wyjaśniła, wskazując ulotkę. - Nie chce pan nagrody?

- Ach, tak! - Crake się opanował. - Będę tu, w środku.

Kciukiem wskazał Starego Jednookiego.

Samandra i Grudge wymienili spojrzenia, a potem oddalili się spieszenie ulicą w stronę Polującego Wilka. Crake powoli odetchnął, roztrzęsiony, i wbiegł do gospody.

\* \* \*

Frey świetnie się bawił. Nie miał już siły się śmiać i był idealnie pijany, unosił się w tej nieuchwytej sferze upojenia, gdzie wszystko pozostaje w równowadze, a świat jest piękny. Chciał, żeby ten wieczór nigdy się nie kończył. Kochał Malvery'ego, Pinna, a nawet milczącego Harkinsa jak braci. A gdyby zabawa siadła... Cóż, kelnerka rzucała mu łakome spojrzenia. Miała pospolitą twarz, ale Freyowi podobały się jej rude włosy i piegi na małym nosku. Był w nastroju na coś krągłego i miękkiego.

Ależ to było życie! Dobrze być kapitanem, piratem, władcą przestworzy.

Pojawienie się Crake'a nieco zepsuło nastrój.

- Wynosimy się stąd! - Demonista rzucił na stół ulotkę i dźgnął palcem zdjęcie Freya. - I to już!

Frey, nieco otumaniony, był bardziej zaskoczony samym zdjęciem niż niebezpieczeństwem, które im groziło. Rozpoznał je natychmiast. Skąd wzięli akurat to? Kto im je dał?

Crake złapał ulotkę i wetknął ją do kieszeni.

- Właśnie musiałem splawić Samandrę Bree i Coldena Grudge'a. Szukają nas. Za chwilę

tu wróca. Wolałbym, żeby nas tu wtedy nie było.

- Spotkałeś Samandrę Bree? - Pinn rozdziawił usta. - Ty cholerny farciarzu!

- Niech to szlag! Ruszcie się, durnie!

W końcu do nich dotarło. Zerwali się i przepchnęli przez tłum do drzwi.

Kiedy wyszli na zewnątrz, nastrój Freya zmienił się z rozbawienia w zimny, twardy lęk. Rycerze Centurii? Ścigali go Rycerze Centurii? Co takiego zrobił, żeby na to zasłużyć?

- Wracamy na „Ketty Jay”? - zasugerował Malvery, rozglądając się po ulicy.

- Żebyś wiedział - mruknął Frey. - To kolejne miasto, do którego nie wracamy.

- Może po prostu wyemigrujemy i będziemy mieli święty spokój?

- To wcale niezły pomysł - rzucił Frey przez ramię, ruszając szybkim krokiem w stronę doków.

Miejskie lądowisko znajdowało się w połowie długości jednego ze skalistych ramion obejmujących zatokę. W miarę jak się do niego zbliżali, zabudowa była coraz rzadsza, a ulice łączyły się w jedną szeroką drogę, wijącą się po nierównościach terenu. Po obu stronach stały magazyny, czasami jakaś gospoda czy skład celny. Słysząc tu było głośny wilgotny oddech morza. Fale załamywały się i pieniały na skałach w dole.

Frey otulił się ciasniej płaszczem, prowadząc załogę po kamienistej drodze. Przyjazne dotąd miasto nagle zmieniło się we wroga. Obejrzał się przez ramię, wypatrując pościgu, ale nikt za nimi nie biegł. Może już zgubili rycerzy.

Poszukiwany za morderstwo? Piractwo - proszę bardzo, do tego się przyznawał, przynajmniej przed sobą, za nic nie zrobiłby tego przed sędzią. Ale morderstwo? Nie był mordercą! To, co się stało z „Asem Czaszek" to nie jego wina!

Nie miało znaczenia, że morderstwo i piractwo karano tak samo - wieszając delikwenta. Tak naprawdę żadna różnica, czy dopuścił się obu tych rzeczy, czy tylko jednej. Koniec czekał go taki sam. Ale chodziło o zasadę. Cała ta sytuacja wydawała się tak tragicznie niesprawiedliwa.

Zwolnił, kiedy zobaczył trójkę Książęcych Milicjantów idących w ich stronę. Szli od doków, ubrani w brązowe mundury Księstwa Aulenfay - wysoko zapinane kurtki i płaskie czapki. Nie mogli się przed nimi ukryć bez wzbudzania podejrzeń.

- Kapitanie... - ostrzegł Malvery.

- Widzę - odparł Frey. - Idziemy dalej. Tylko mnie mogą rozpoznać.

Frey postawił kołnierz i wepchnął ręce do kieszeni, udając zmarzniętego podróżnego, który spieszy do ciepłego schronienia. Wsunął się między pozostałych, odgradzając się od milicjantów zwalistym Malverym.

Buty patrolu chrzęściły na żwirze. Frey i pozostali zeszli na bok, robiąc miejsce. Milicjanci przyjrzeni się im, przechodząc obok.

- Cholerny ziąb, jak słońce zajdzie, co? - pozdrowił ich Malvery.

Milicjanci burknęli coś i poszli dalej. Frey i jego ludzie również.

Ładowisko było pełne statków i ich załóg, ładujących dzienny połów na nocny lot w głąb ładu. W powietrze powoli wzbijał się frachtowiec, świecąc jasno reflektorami na spodzie. Jego silniki pulsowały w rytm elektromagnesów rozdrabniających rafinowane aerium w ultralekki gaz wypełniający zbiorniki balastowe.

Frey chciał uniknąć największego ruchu i odlecieć rano, ponieważ jego towar nie miał tak krótkiego terminu przydatności jak świeże ryby. Ale teraz był zadowolony z chaosu. Dzięki niemu ich odlot mógł pozostać niezauważony.

Minęli lampy gazowe wyznaczające skraj lądowiska i ruszyli w stronę „Ketty Jay”. Załogi uwijały się w oślepiającym blasku reflektorów, ciemne kadłuby wznoszące się nad nimi rzucały na płytę lądowiska długie cienie. Zagrzmiały turbiny, gdy frachtowiec w górze przełączył się na silniki protanowe i zaczął oddalać się od wybrzeża. Powietrze było ciężkie od zapachu ryb i aromatu morza.

- Harkins, Pinn. Wsiadajcie do statków i startujcie - zarządził Frey. - Harkins, wiem, że jesteś pijany, ale to mój firecrow i jeśli go rozbijesz, wsadzę ci łeb w twoją własną dupę i sturlam cię do morza. Jasne?

Harkins beknął, zasalutował i odszedł chwiejnym krokiem. Pinn pobiegł do swojego skylance'a bez słowa. Wzmianka o Rycerzach Centurii przeraziła go tak bardzo, że był gotów wynieść się stąd natychmiast.

Kiedy Frey, Malvery i Crake dotarli do „Ketty Jay”, Silos stał na dole rampy załadunkowej. Palił spokojnie skręta, którego zwinął sobie z gryzącej, murthiańskiej mieszanki ziół. Gdy się zbliżyli, splunął na dłoń i zgasił go na niej.

- Gdzie Jez? - spytał Frey.

- U siebie.

- Dobrze. Startujemy.

- Tak jest.

Silos razem z całą resztą wspiał się na rampę do ładowni. Była jak zwykle skąpana w półmroku, wysoko zastawiona pospianymi niedbale skrzyniami. Smród ryb zwał z nóg.

Frey ruszył do dźwigni podnoszącej rampę, kiedy rozległ się chropowaty głos.

- Jeszcze jeden ruch i wszyscy zginą.

Znieruchomieli. Po rampie, z rewolwerami w obu dłoniach, wchodził człowiek, którego



wszyscy znali i mieli nadzieję nigdy nie spotkać. Najślynniejszy z Rycerzy Centurii. Bezlitosny ogar arcyksięcia Kedmund Drave.

Był to potężny mężczyzna pod pięćdziesiątkę, o brzydkiej twarzy poznaczonej bliznami na policzku i szyi. Srebrnosiwe włosy nosił przycięte krótko przy skórze, a na sobie miał matową, ciemnoczerwoną zbroję, doskonale dopasowaną do jego ciała przez płatnerskich mistrzów arcyksięcia. Na jego grubym, czarnym płaszczu widniały czerwone insygnia rycerzy, a nad ramię wystawała rękojeść dwuręcznego miecza.

- Odsuń się od tej dźwigni - polecił Freyowi. Z jednego rewolweru mierzył do niego, drugim trzymał w szachu resztę załogi. - Stań razem ze swoimi przyjaciółmi.

Frey usłuchał. Bardzo szybko wytrzeźwiał. Efekty działania alkoholu zostały zniwelowane chłodnym adrenalinowym szokiem. Gorączkowo usiłował wymyślić jakiś sposób wywinięcia się z tego, bo jedno wiedział na pewno - gdyby Kedmund Drave go pojmał, na pewno by zawisł.

- Broń! - warknął Drave, kiedy zebrał ich razem. - Noże. Wszystko.

Zaczęli rzucać broń na niewielką kupkę przed sobą. Drave przyjrzał się im krytycznym wzrokiem.

- W tył. Pod skrzynie.

Zrobili, co kazał.

- Dobrze. Kim jest ta Jez, o której mówiliście?

- To nawigatorka - odparł Frey.

Drave zerknął na schody prowadzące z ładowni w głąb statku. Zastanawiał się, czy warto ryzykować i po nią iść.

- Ktoś jeszcze?

- Nie - odrzekł Frey.

Drave dał nagle krok w ich stronę i przycisnął lufę rewolweru do czoła Crake'a.

- Jeśli kłamiesz, rozwałę mu łeb!

Crake cicho zaskomlał. Miał już dość ludzi przystawiających mu broń do głowy.

- Na pokładzie nie ma nikogo więcej! - zapewnił Frey. Zaczął od siebie. - Pilot. Mechanik. Lekarz. Nawigatorka w swojej kajucie. Masz tu całą załogę. Ten tutaj... - Wskazał Crake'a. - On tylko z nami leci.

- Pozostali? Piloci myśliwców?

- Już wystartowali.

Drave popatrzył na niego gniewnie, potem odsunął rewolwer od czoła Crake'a i wycofał się na bezpieczniejszą odległość.

- Obaj?

- Już wystartowali - powtórzył Frey, wzruszając ramionami. - Odlecieli, kiedy usłyszeli, że sprawą zajęli się rycerze. Do tej pory mogą być w połowie drogi dokądkolwiek. Zostaliśmy tu sami.

Głęboko w półmroku między stertami skrzyń zamigotały dwa małe światełka. Rozległ się głuchy łomot stąpania i chrzęst kolczugi i skóry. Drave odwrócił się za siebie i krew odpłynęła mu z twarzy.

- No, nie licząc Bess - dodał Frey. Golem wypadł z ciemności z metalicznym rykiem.

Drave'a uratował refleks. Zbroje Rycerzy Centurii służyły z wytrzymałości i lekkości, wykuwano je przy użyciu tajemnych technologii w kuźniach arcyksięcia. Pancerz nie spowolnił Drave'a, kiedy ten skoczył w bok, by uniknąć miazdzącego ciosu Bess. Potoczył się po ziemi i zerwał na nogi, plując ogniem z obu rewolwerów. Bess wzdygnęła się, kiedy kule zrykoszetowały od jej zbroi i podziurawiły skórzane powłoki, ale ostrzał jedynie ją rozwścieczył. Ryknęła i zamachnęła się jeszcze raz na rycerza. Ten skoczył w tył.

Kiedy tylko spuścił załogę z oczu, ta się rozpięchła. Frey skoczył po broń, chwycił strzelbę Malvery'ego w obie ręce i nacisnął spust. Od razu zrozumiał, że zapomniał ją odbezpieczyć. Miał nadzieję, że doktor był wystarczająco lekkomyślny, by zostawić nabój w komorze.

Był. Drave dostrzegł zagrożenie, podniósł rewolwer i już miał wystrzelić, kiedy Frey trafił go prosto w pierś. Siła trafienia cisnęła rycerza w tył. Wylądował ciężko na rampie i stoczył się z niej bezwładnie na ziemię.

Silos skoczył przez ładownię i szarpnął dźwignię podnoszącą rampę. Bess zaczęła biec w dół, ścigając powalonego Drave'a, ale Crake ją zawołał. Przystanąła, nieco niechętnie, pilnując zamykającej się klapy. Drave już próbował podnieść się z ziemi. Był oszołomiony, ale poza tym cały i zdrowy. Uratował go napierśnik.

Frey popędził schodami prowadzącymi do głównego korytarza, zanim jeszcze rampa zatrzasnęła się na dobre. Pognał do kokpitu, mijając Jez, która właśnie otwierała drzwi kajuty.

- Ktoś strzelał? - spytała.

Frey skoczył na swój fotel i wstukał kod zapłonu, a potem pchnął przepustnicę silników aerium do oporu. „Ketty Jay” boleśnie zajęczała, kiedy jej zbiorniki balastowe się wypełniły i zaczęły ciągnąć ją w górę. Przez ryk protanowych turbin Frey słyszał huk strzałów na zewnątrz - to Drave strzelał do ich kadłuba. Ciemny statek, z którym dzielili lądowisko, zniknął im z widoku, gdy wzniesli się w nocne niebo.

- Kapitanie? - spytała Jez zza drzwi kokpitu. - Mamy kłopoty?

- Tak, Jez - odparł Frey. - Mamy kłopoty.

Potem odpalił turbiny i „Ketty Jay” z grzotem skoczyła znad doków na otwarte morze.

## 10

*Jez ma wizje - Trinica Dracken - Ultimatum Crake'a -*

*Frey staje do walki*

Dzień był spokojny. Drobne płatki śniegu opadały z nieba zasnutego szarymi chmurami. Cisza przytłaczała.

Jez stała na skraju małego lądowiska, owinięta w futra, z kubkiem gorącego kakao w dłoniach okrytych futrzanymi rękawicami. Kupiła sobie nowe arktyczne wyposażenie niedługo po przylocie. Swoją skromny dobytek zostawiła w pokoju pensjonatu w Scarwater. Prawdę mówiąc, mimo temperatury nie musiała się w ogóle ubierać. Zimno jej już nie doskwierało. Ale istotne było zachowywanie pozorów, od tego zależało jej bezpieczeństwo. Każdy przy zdrowych zmysłach zabiłby ją, gdyby odkrył, czym jest.

Lądowisko znajdowało się na płaskowyżu nad rozległą, lodową przestrzenią. Na horyzoncie majaczył łańcuch niewyraźnych gór, błękitnawy przez odległość. Przez równinę wędrowało stado śnieżnych świni.

Yortlandia. Zamarznięta na kość, okrutna kraina, ale zarazem jedyne miejsce na kontynencie Pandraki Północnej, gdzie Marynarka Koalicji nie miała dostępu, gdzie nie panowało koalicyjne prawo. Jedyne miejsce, w którym skryć się mogła załoga „Ketty Jay”.

Jez upiła łyk kakao.

Mogłabym tu zostać, pomyślała. Mogłabym powędrować w te pustkowia i zniknąć na zawsze.

Za nią stały „Ketty Jay” i myśliwce. Śnieg osadzał się na kadłubach i skrzydłach kilkunastocentymetrową warstwą. Niedaleko jakiś starszy Yort obstukiwał młotkiem wsporniki swojego statku, strącając lód. Wyglądał na silnego mimo podeszłego wieku, miał gruby kark i szerokie ramiona. Był owinięty grubymi futrami, wystawała spod nich tylko łysa, wytatuowana głowa. Uszy, wargi i nos miał poprzekłuwane kolczykami i kawałkami kości. Poza nim nie było tu nikogo.

Oprócz „Ketty Jay” na lądowisku stało kilka yorckich transportowców i parę małych, jednoosobowych ścigaczy, które Jez już zdążyła obejrzeć i w myślach skrytykować - wyrobiła sobie taki nawyk, dorastając jako córka budowniczego statków. Były kanciaste, ciemne i brzydkie, zbudowane z myślą o wydajności, bez zaprzątania sobie głowy estetyką. Typowa yorcka robota. W społeczeństwie, w którym prym wiodli mężczyźni, posiadanie statku o zgrabnej sylwetce w najlepszym razie było pozbawione sensu, w najgorszym - mogło być dowodem homoseksualizmu. A to oznaczało ciężkie przestępstwo, bo sodomię w tych stronach karano śmiercią. W rezultacie wszystkie konstrukcje Yortów sugerowały, że ich właściciel jest tak męski, że kobieta potrzebowałaby pancernych jajników, by przeżyć spędzoną z nim noc.

Spojrzenie Jez straciło ostrość, kiedy zapatrzyła się w dal.

Uciec od wszystkich, pomyślała. Może tak będzie najlepiej. Uciec od wszystkich, zanim będzie za późno.

Ale samotność. Nie umiała znieść samotności. Jaki sens ma istnienie, jeśli jest się na zawsze samotnym?

Na płaskowyżu stały rozrzucone domy osady Majduk Eyl. Yorci budowali głównie pod ziemią dla izolacji, więc ich budowle były ledwie widoczne. Z lądowiska widziała tylko niskie garby kopulastych dachów, wejścia przebite przez zwały śniegu i świetliki osłonięte wysuniętymi okapami. Z kilkudziesięciu kominów unosiły się kręte wstążki dymu, umykając w górę, do chmur. Mała postać, zakapturzona i opatulona, rozrzuciła żwir z worka na ścieżki wydeptane między domami.

Załoga „Ketty Jay” znajdowała się w jednym z tych budynków. To była po prostu kolejna grupa towarzyszy, taka sama jak poprzednia i jeszcze poprzednia. Jez trzymała ich na dystans. Dzięki temu odejście tak nie bolało.

Prędzej czy później musieli zauważyć, że jest inna. Różne drobiazgi zaczęłyby się układać w większą całość. To, że rana postrzałowa tak szybko się wygoiła, że nigdy nie sypiała, że nigdy się nie męczyła. To, jak reagowały na nią zwierzęta.

Wtedy ruszy dalej, znaleźć nową załogę. Nie zatrzymywać się.

Dalej, ale dokąd? Po co?

Wszystko jedno. Byle dalej.

Napiła się kakao. Teraz jadła i piła tylko dlatego, że lubiła smak, nie z głodu. W czerpołyku, w ramach eksperymentu, pościła przez tydzień. Nic się nie stało, nie licząc niejasnego, instynktownego poczucia, że czegoś brakuje w jej codzienności. Potem pilnowała się, by dołączać do załogi przy posiłkach i co jakiś czas głośno skarżyć się na głód albo

pragnienie. Jadła jednak niewiele, bo z natury była oszczędna.

Śnieżne świny sunęły przez lodową równinę - zwaliste bryły mięśni, kłów i kudłatego, białego futra. Jez widziała tropiące je dwa drapieżniki, olbrzymie, podobne do psów istoty, z gatunku, którego nie знаła. Sadyły głodnymi susami, mając nadzieję, że któraś ze świń odłączy się od stada.

No i wróciłam, pomyślała, rozglądając się dookoła. Kilka lat temu była częstym gościem na odludnym, skutym lodem północnym wybrzeżu, jako członek naukowej ekspedycji poszukującej reliktyw zaginionej cywilizacji. To, że trzymała się z dala od Yortlandii, nie było świadomą decyzją, dopiero teraz jednak zdała sobie sprawę, że nie zawitała tu od... cóż, od...

Uciekła myślami od tego wspomnienia, ale było już za późno. Zalało ją okropne uczucie, emanujące z karku i rozchodzące się po całym ciele. Jej skóra i mięśnie napięły się i rozluźniły. Świat się rozmył na ułamek sekundy, a kiedy znów nabrał kształtu, wszystko było już inne.

Zapadł dziwny zmierzch. Choć wydawało się, że jest ciemniej, wzrok Jez się wyostrzył. Miała wrażenie, że patrzyła na świat przez zaparowaną szybę, którą nagle ktoś usunął. Detale skakały jej do oczu; wszystkie krawędzie zrobiły się ostre jak brzytwy.

Stado śnieżnych świń rozjarzyło się słabą, fioletową aurą. Choć znajdowały się dość daleko, Jez widziała ich zęby, źrenice ich ślepi. Wyczuwała ścieżkę słabego wiatru wiejącego nad równiną; potrafiła wyobrazić sobie jego trasę.

Tak dużo czuła, słyszała, mogła wywęszyć. Pod nawałem informacji z trudem oddychała. Miała wrażenie, że tłucze w nią niepowstrzymany prąd rzeki. W każdej chwili mogła stracić oparcie dla stóp i runąć w otchłań zapomnienia.

Jeden z drapieżników ruszył biegiem. Jego aura była ciemnoczerwona, zostawiał za sobą jej smugę. Nagle Jez była obok niego, w nim, czuła puls jego krwi, łomot serca, wywalony jęzor i ostre kły, łapy. Patrz, tak ten jest słabszy, ten tam... A mój pobratymiec jest obok mnie. I uwaga na ostre kły maciory... Ale... Och, och ten głód...

Jez spazmatycznie wciągnęła powietrze do płuc, jak tonący, któremu udało się wyskoczyć na powierzchnię wody. Rzeczywistość wskoczyła z powrotem na swoje miejsce, świat znów był taki, jak wcześniej. Śnieg dalej sypał, nieporuszony jej paniką. Jez dała krok w tył, zdezorientowana, chcąc się cofnąć od krawędzi płaskowyżu. Kubek wypadł jej z rąk i leżał na ziemi. Brązowe parujące kakao wyżerało lód.

Zaczęła dygotać, niepowstrzymanie, i to nie z zimna. Objęła się ramionami i rozejrzała. Nigdzie nie dostrzegła Yorta. Była sama. Nikt nic nie widział.

Nie widział czego? - spytała sama siebie. Co się ze mną dzieje?

Z północy powiał wiatr, niósł ze sobą dźwięk, jakiś odgłos - coś, co raczej wyczuła niż usłyszała. Głosy, podniesione w kakofonii, wołające. Wezbrała w niej straszna, rozpaczliwa tęsknota.

Spojrzała na północ i to było tak, jakby sięgała wzrokiem poza góry, poza morze, wzrokiem niesionym na ptasich skrzydłach. Pędziła przed siebie, nad lodowcami i falami, aż nadeszła mgła, opar i olbrzymia ściana skotłowanej szarości.

Znała to miejsce. To była wirująca pokrywa chmur zwana Ruiną, okrywająca biegun północny. Granica, zza której nikt nigdy nie wrócił. A przynajmniej nie żywy.

Za chmurą coś było. Kształt, statek powietrzny, czarny i olbrzymi, sunący w jej stronę. Głosy.

Chodź z nami.

Zacisnęła mocno oczy i zatoczyła się z krzykiem w tył, w stronę „Ketty Jay”. Umysł huczał jej jak dzwon echem wycia, ruiny i grozy, która czyhała za nią.

\* \* \*

Bar był pusty, nie licząc załogi „Ketty Jay” i barmana. Mężczyźni z wioski pracowali w kopalni albo wybrali się na polowanie, kobiety ogólnie trzymały się na uboczu. W dzień Frey i pozostali mieli lokal cały dla siebie.

Frey patrzył z rezygnacją na swoje zdjęcie. Tym razem nie była to ulotka. Napisały o nim krajowe gazety.

- To ledwie dziesiąta strona! - ryknął Malvery, waląc go w ramię. - Nawet nie jesteś do siebie podobny! Poza tym to numer sprzed tygodnia. Mówię ci, do tej pory wszyscy o tym zapomnieli.

Freya zbytnio to nie pocieszyło. Owszem, coraz mniej przypominał siebie ze zdjęcia, ale głównie dlatego, że Frey na fotografii był beztroski i wesoły. Prawdziwy Frey tracił humor z każdym dniem. Na twarzy wyrosła mu niechlujna broda a włosy wymykały się już spod kontroli grzebienia. Oczy miał zapadnięte i podkrążone. W ciągu dwóch tygodni, odkąd uciekli z Tarlock Cove, zrobił się ponury i małomówny.

A teraz to - gazeta z Vardii. Silos dostał ją od kupca, który wziął ich ładunek wędzonej ryby po minimalnej cenie. Frey na czas transakcji krył się gniewnie w swojej kajucie, obawiając się rozpoznania.

„Dracken rusza na łowy

Dzisiejszego dnia »Herold Vardyjski« otrzymał oświadczenie Triniki Dracken, budzącej lęk kapitan »Płomienia Delirium«, w którym oznajmiła, że dołoży wszelkich wysiłków i starań, by postawić przed obliczem sprawiedliwości, żywego lub martwego, zbiegłego Dariana Freya i jego załogę. Wszyscy są ścigani za piractwo i morderstwo. Za informację o ich pobycie oferowana jest wysoka nagroda. »Herold« nie zdołał skontaktować się z kapitan Dracken, by poprosić ją o komentarz, ale skromnym zdaniem autora, kiedy tak słynna i niebezpieczna dama ruszyła ich tropem, nie minie wiele czasu, zanim ci łajdacy staną przed sądem za swoje zbrodnie".

- Przeklęty „Płomień Delirium” - jęknął Pinn. Od dwóch tygodni był niemal nieustannie pijany, nie mając nic innego do roboty. Oczywiście miał przekrwione i śmierdział alkoholem. - Największa suka przestworzy. - Przerwał na chwilę, potem dodał: - Puknąłbym ją.

Bar był niewielkim, okrągłym pomieszczeniem, z kopulastym dachem przecinanym grubymi belkami i świetlikiem wychodzącym na południe. Na środku żarzyło się na czerwono palenisko pod wielkim kamiennym kominem. Drewniana podłoga była wyłożona futrami, na ścianach wisiały czaszki rogatych zwierząt. Stoły i ławy zrobiono z pni drzew. Pod jedną ze ścian ciągnęła się lada. Skwaszony Yort za nią strzegł beczki piwa i kilku półek zastawionych dziwacznymi alkoholami w słojach.

Barman miał trochę ponad pięćdziesiątkę, grube ramiona i twarz pomarszczoną jak kora drzewa. Głowę golił na łyso, a długą, rudą brodę zebrał żelaznymi pierścieniami. Odzywał się tylko chrząknięciami, mimo to udało mu się dać do zrozumienia, że Frey i jego ludzie nie są tu mile widziani. Wolałby mieć pusty bar. Zignorowali go i przychodzili i tak.

- Dlaczego nie wrócisz do domu, Pinn? - spytał Crake. Patrzył w górę, na krokwie, gdzie cicho gruchało do siebie kilka arktycznych gołębi. Zauważył białe smugi i grudki w zaschniętych plamach krwi na podłodze i zakrywał swój dzban ciemnego piwa dłonią.

- Co? - wybełkotał Pinn.

- W sumie co cię zatrzymuje? Masz własny statek. Nikt cię nie zna. Dlaczego nie wrócisz do swojej ukochanej?

Frey nawet nie podniósł głowy, słysząc to. Crake tylko drażnił się z Pinnem. Ci, którzy w ogóle wierzyli w istnienie jego ukochanej - Malvery uważał, że Pinn ją sobie wymyślił - wiedzieli doskonale, że nigdy do niej nie wróci. W jego wyobraźni czekała, by powitać go z otwartymi ramionami, kiedy wróci do domu skąpany w blasku chwały, ale tylko on sam wydawał się nie rozumieć, że ten dzień nigdy nie nastąpi. Zamiast jej szukać, Pinn czekał, aż chwała spotka go sama.

Lisinda była bohaterskim zwieńczeniem jego wyprawy, obietnicą domowych wygód po wielkiej przygodzie. Ale co, gdyby po powrocie jej nie zastał? Jeśli niańczyłaby dziecko innego mężczyzny? Nawet w ciemnych oparach umysłu Pinna ta ewentualność musiała się pojawić i go zaniepokoić. Nie zamierzał ryzykować marzenia, konfrontując je z rzeczywistością.

- Nie wracam, dopóki nie zbiję fortuny - powiedział z lekką urazą w głosie. - Ona zasługuje na wszystko, co najlepsze. Wróć... - Podniósł jednocześnie dzban i głos, wyzywając wszystkich, by mu zaprzeczyli. - Wróć jako bogacz! - Znów się zgarbił i napił piwa. - Na razie jestem skazany na was, ofermi.

Do głowy wpadł mu pewien pomysł. Wskazał grubym palcem Crake'a.

- A ty? Panie famfaramfa, jesteś taki mądry? Nie czeka na ciebie jakiś... bankiet czy coś?

Skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się pod nosem, zadowolony ze swojej ciętej riposty.

- Cóż... Niestety, kiedy ratowałem wam wszystkim życie u Starego Jednookiego, pozwoliłem, żeby dwójka Rycerzy Centurii dobrze mi się przyjrzała - odparł Crake. - Ale to temat, który zamierzałem poruszyć i tak.

Nachylił się do przodu i oparł łokciami o stół.

- Znają nazwisko Jez, ale jej nie widzieli. Kedmund Drave widział nas wszystkich, ale nie wie, jak się nazywamy. Jako grupa jesteśmy dość łatwi do zidentyfikowania. Pojedynczo nigdy nas nie złapią. Dopadną tylko Freya.

Harkins rozejrzał się niespokojnie dookoła stołu. Malvery poruszył się i odchrząknął. Frey nie zareagował.

- Nie wiem, jak wy - ciągnął Crake - ale ja nie zamierzam spędzić reszty życia, ukrywając się na lodowym pustkowiu. Dlatego chciałbym wiedzieć - powiedział, patrząc prosto na Freya - co zamierzasz, kapitanie.

Z głośnym „chlup” coś spadło spod krokwii do piwa Crake'a. Nie odrywając wzroku od Freya, Crake odsunął dzbanek czubkami palców.

Frey wciąż wpatrywał się w gazetę, ale tak naprawdę jej nie widział. Jego umysł wściekle pracował, bezskutecznie usiłując znaleźć wyjście z sytuacji. Od dwóch tygodni analizował ostatnie wydarzenia, szukał w nich jakiejś ukrytej prawdy, ale nie znalazł żadnych odpowiedzi.

To wszystko nie miało żadnego sensu. Dlaczego on? Jeśli został wrobiony, dlaczego właśnie on? Nikomu nieznany przemytnik, drobna płotka w pirackich kręgach. Mimo to Quail wezwał właśnie jego. Quail, któremu nie zrobił nic złego.



Oczywiście, być może ktoś użył Quaila, żeby zrobić Freya, zawsze istniała taka możliwość. Ale komu podpadł? Komu tak bardzo się naraził? Musiał to być ktoś potężny, skoro potrafił zaaranżować sytuację tak poważną, by wciągnąć w nią osobistą elitę arcyksięcia. Rycerze Centurii zazwyczaj nie zajmowali się sprawami niedotyczącymi arcyksięcia.

To przypadek? Strzał jeden na milion, który zniszczył tamten statek? Nie. Frey nie wierzył w szansę jedną na milion. Został wrobiony. Ktoś zaminował ten frachtowiec i zrzucił winę na niego.

Przynajmniej jeden z pilotów eskorty był świetnie wyszkolony. Ktokolwiek to zaaranżował, musiał mieć pewność, że ktoś przeżyje, by opowiedzieć, co się stało. Nawet gdyby nikt nie uciekł, i tak zrzuciliby w jakiś sposób winę na Freya, co do tego nie miał wątpliwości. Ale w ten sposób mieli świadka, przypuszczalnie niepowiązanego z prawdziwym mózgiem stojącym za całą operacją.

Co było na pokładzie tego frachtowca?

- Frey? - ponaglił Crake, wrywając go z zamyślenia. Frey podniósł głowę. - Pytałem, co zamierzasz zrobić?

Frey bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Rozumiem. - Głos Crake'a ociekał pogardą. - Cóż, daj mi znać, kiedy się dowiesz. Bardzo chętnie bym się dowiedział. O ile jeszcze tu będę.

Z tymi słowami wstał i wyszedł.

Zapadła cisza. Załoga nie była przyzwyczajona do widoku tak przybitego Freya. Denerwowało ich to.

- A Nowa Vardia? - zaproponował Malvery. - Nowy początek. Nieznane krainy. Coś akurat dla chłopaków w naszym położeniu.

- Nie! - krzyknął Harkins i wszyscy obejrzeni się na niego. Poczerwieniał. - To znaczy, chciałem powiedzieć... eee... że „Ketty Jay” może się to udać, mówię „może”, ale myśliwcom... eee... W Pasie Sztormów na zachodzie jest zbyt niebezpiecznie, a nie zabiorą dość paliwa, żeby polecieć inną trasą. Musielibyśmy zostawić je tutaj, a ja, nie ma mowy, nie zostawię tego firecrowa, nawet jeśli należy do kapitana. Jak go zostawi, ja zostaję z nim. I już.

Frey był zaskoczony niezwykłą stanowczością Harkinsa w tej sprawie.

- Retribution Falls - rzucił Pinn. - Na to stawiam każde pieniądze. Nikt nas nie znajdzie w Retribution Falls.

- Nikt nas nie znajdzie, bo nie da się tego miejsca znaleźć - wyjaśnił cierpliwie Frey. -

Masz jakiś pomysł, jak my mamy to zrobić?

Pinn zastanawiał się przez chwilę i nic nie wymyślił.

- No, musi być jakiś sposób - mruknął. - Słyszeliście o tych wszystkich piratach, co tam byli. Słyszeliście o Orkmundzie, nie?

Frey westchnął. Retribution Falls - legendarne, ukryte miasto piratów. Kryjówka przed niebezpieczeństwami, gdzie mogłeś się bić, pić i pieprzyć do upojenia i Marynarka nie mogła cię tknąć palcem. Mówiło się, że założył je słynny pirat Orkmund, który tajemniczo zniknął dziesięć lat temu i nikt od tamtej pory go nie widział. O innych sławnych piratach, którzy zniknęli, mówiło się, że również polecili do Retribution Falls. Taka wersja była o wiele bardziej romantyczna niż powolne umieranie na syfilis, wyniszczający alkoholizm albo nocna śmierć z rąk własnej załogi.

Ale to tylko opowieść. Orkmund nie żył. Pozostali piraci nie żyli. Retribution Falls było mitem.

Pinn zobaczył, że nikt nie podchwycił jego pomysłu i zaczął się dąsać. Frey powrócił do obsesyjnych rozmyślań, które nie pozwalały mu zasnąć całą noc.

Nowa Vardia. Może faktycznie mógł polecieć na Nową Vardię. Zostawić myśliwce.

Pomysł wydawał się kuszący. Byłaby to długa i niebezpieczna podróż na drugi koniec świata, ale na miejscu nie miałby się gdzie ukryć. Kilka małych osad. Życie pogranicza, bez luksusów. Gdyby prześladowcy polecili tam za nim, złapaliby go bez trudu.

Przeglądał kolejne możliwości. Samaria? Nie przetrwaliby tam dwóch dni, poza tym Silos by się nie zgodził. Thacja? Gdyby próbowali tam zostać, zostaliby pojmani i deportowani. Thacjanie bardzo stanowczo bronili swojej małej utopii. Kurg? Zamieszkanym przez potwory.

Z krajów po tej stronie Wielkiego Pasa Sztormów tylko Yortlandia zapewniała schronienie, tyle że zimne i gorzkie, zdecydowanie za blisko Vardii. Nie mogli się tu ukrywać bez końca. Nie kiedy na ich tropie byli Rycerze Centurii i Trinica Dracken.

Spojrzenie Freya opadło na gazetę rozłożoną na stole. Gorycz ścisnęła mu żołądek. Świętoszkowaty ton autora artykułu, cieszącego się z jego rychłej klęski, rozwścieczył go. Na wspomnienie złośliwości Crake'a zgrzytnął zębami. Własny uśmiech na zdjęciu w gazecie wzbudził głęboką, nieznośną nienawiść. Musieli wziąć to zdjęcie? Właśnie to!

Tego już za wiele. Mógł ryzykować i od czasu do czasu przegrywać w karty. Mógł żyć ze świadomością, że wszelkie wysiłki w celu poprawienia swojego losu są skazane na niepowodzenie przez jakąś nieokreśloną, wszechwładną siłę. Mógł znieść fakt, że jest kapitanem załogi, która trzyma się go tylko dlatego, że nie ma dokąd pójść.

Ale żeby dać się tak przerobić, nie wiedząc nawet, kto za tym stoi, ani czym sobie na to

zasłużył? To była przeogromna, przerażająca niesprawiedliwość. Krew zagotowała mu się w żyłach.

- Nie mogę dalej uciekać - mruknął.

- Co powiedziałeś? - spytał Malvery.

Frey zerwał się na nogi i wierzchem dłoni strącił dzbanek ze stołu.

- Powiedziałem, że nie mogę dalej uciekać! - krzyknął. Porwał gazetę i cisnął nią na podłogę, wskazując palcem. - Gdziekolwiek polecę, ona mnie znajdzie! Nigdy nie przestanie! Przyzwyczałem się już, że los mnie wrzuca w gówno, ale każdy ma jakieś granice wytrzymałości i ja właśnie do swoich dotarłem.

Pozostali patrzyli na niego, jakby mu odbiło. Ale nie zwariował. Nagle poczuł chęć do życia i działania! Porwany uniesieniem grzmiał dalej:

- Niech mnie szlag, jeśli mam wędrować na drugi koniec świata, żeby uciec przed tymi ludźmi! Niech mnie szlag, jeśli mam zawisnąć, jeśli nie wiem nawet, co zrobiłem! I niech mnie szlag, jeśli mam przez resztę życia gnić na jakimś skutym lodem pustkowiu! - Rąbnął pięścią w stół. - Jeden człowiek może wiedzieć, kto za tym wszystkim stoi. Ten mosiężnooki drań, który mnie podpuścił, Xandian Quail. Wszyscy wiemy, że tacy jak on nigdy nie zdradzają swoich informatorów, ale popełnił jeden błąd. Nie zostawił mi już nic do stracenia. Dlatego zamierzam wrócić. Lecę z powrotem, nawet jeśli cały przeklęty kraj mnie szuka. I dowiem się, kto to zrobił! Pożalują, że kiedykolwiek usłyszeli nazwisko Dariana Freya!

Uniósł pięść w powietrze.

- Kto jest ze mną?!

Malvery, Pinn i Harkins gapili się na niego z otwartymi ustami. Silos przyglądał mu się z nieodgadnioną miną. Barman czyścił dzbanki. Jedynym dźwiękiem w nagle zapadłej ciszy był szelest ścierki o cynę.

- Och, do diabła z wami wszystkimi - warknął Frey, a potem ruszył do drzwi. - Jeśli nie będziecie na „Ketty Jay” za pół godziny, zostawię was tutaj, żebyście pozamarzali.

## 11

*Crake obcuje z pospólstwem - Ciężki przypadek niestrawności -*

*Wykurzanie wroga - Pytania i odpowiedzi*

Jeśli się nad tym zastanowić, Crake spędzał ostatnio dużo czasu w gospodach. Ponieważ był człowiekiem, który kiedyś cenił sobie naukę i dyscyplinę, czuł się przez to nieco dekadentki. Przywykł do sal klubowych i bibliotek, przyjęć ogrodowych i podwieczorków. Za studenckich czasów chadzał do modnych spelunek, ale te były zazwyczaj pełne podobnie wykształconych ludzi, pragnących posmakować życia nizin. Pijackie ciągi zawsze maskował jako wieczory inteligentnych dyskusji. Z załogą „Ketty Jay” mu to nie groziło.

Teraz pił, żeby zapomnieć. Po prostu.

Siedział przy barze, z dwoma kubkami podłego miejscowego grogu przed sobą. Było późne popołudnie w Marklin's Reach, ostre, zimowe słońce wisiało nisko nad miastem. Oślepiające promienie wpadały przez brudne okna do ponurej, na wpół pustej gospody. Wijący się wolno dym układał się w hipnotyzujące wzory.

Crake spojrzął na kieszonkowy zegarek i rozejrzał się po sali. Jego nowy przyjaciel się spóźniał. Zastanawiał się, czy zeszłego wieczoru nie przesadził, stawiając tyle drinków. Może pochlebstwa były zbyt ostentacyjne. Może za bardzo się starał.

Ogólnie rzecz biorąc, poszło im całkiem nieźle. Crake uważał nawet, że poradził sobie bardzo dobrze, spinając odległe brzegi intelektualnego dystansu. Mimo to nigdy nie miał pewności co do takich prostych typów. Podejrzewał ich o pewną intuicję. Wyczuwali, że nie jest jednym z nich.

Rogin jednak wydawał się go lubić. Mógł rozmawiać z każdym, o ile kupowali mu drinki. Pod koniec wieczoru zgodzili się spotkać na szybki kubek grogu następnego dnia, zanim pójdzie do pracy. „Łatwiej mi będzie przejąć zmianę, że tak powiem” - stwierdził. Crake entuzjastycznie ryknął śmiechem i obiecał, że będzie czekał z drinkiem.

Podrapał się w brodę. Rozważał, czy jej nie zgolić, skoro Rycerze Centurii szukali mężczyzny z jasnym zarostem. Jednak inni, którzy go ścigali, szukali kogoś gładko ogolonego. Dlatego w ogóle zapuścił brodę. Agencji Shacklemore'a bał się tak samo jak Rycerzy. A ponieważ w ostatecznym rozrachunku wychodziło na to samo, uznał, że z brodą mu do twarzy, i postanowił ją zachować. Uważał, że nadaje mu przyjemnie szorstki wygląd.

Znów spojrzął na kieszonkowy zegarek. Gdzie ten tuman się podziewa? Crake włożył tyle wysiłku w śledzenie go do domu, potem do jego ulubionej spelunki, napojenie go wódką, że teraz bardzo by się zirytował, gdyby Rogin go wystawił.

Crake był w podłym humorze. Dręczyły go wspomnienia przeszłości i wątpliwości co do przyszłości. Czy słusznie postępował, zostając na „Ketty Jay”? Może lepiej byłoby się od nich odciąć, działać w pojedynkę? W końcu Frey nie mógł wymagać od niego lojalności po ich spotkaniu z Macarde'em.

Z drugiej strony kapitan obiecał, że polecą do jakiegoś dużego miasta, gdy tylko będzie to bezpieczne. Tam Crake mógłby kupić sprzęt potrzebny do uprawiania demonizmu. Dał się przebłagać tą obietnicą. Mógł poczekać jeszcze trochę.

Potrzeba praktykowania sztuki nie dawała mu spokoju. Po wypadku myślał, że nigdy więcej nie będzie go to kusiło. Ale porzucił swoje studia ze strachu, a to było tchórzostwo. Od czasów uniwersyteckich każdą wolną chwilę potajemnie poświęcał demonizmowi. Tylko to odróżniało go od tłuszczy przesadnie wykształconych, bogatych idiotów, którzy otaczali go przez całe życie. Uważał się za kogoś lepszego. Gardził nimi. Miał dość odwagi, by spojrzeć w oczy nieznanemu, by sięgnąć po tajemną wiedzę. Potrafił robić rzeczy, które wprawiłyby ludzi władzy w podziw. Tuż przed tym, zanim by go powiesili.

Niezależnie jednak od niebezpieczeństw nie mógł tego porzucić. Wrócić do szarej niewiedzy, do pospolitej codzienności - to było nie do wyobrażenia. Crake posmakował żalu, rozpacz i skrajnej grozy, popełnił najstraszniejsze błędy i nosił brzemień winy, którego nikt nie powinien być zmuszony dźwigać; spoglądał za to w ogień zakazanej wiedzy i choć potrafił na chwilę odwrócić wzrok, wiedział, że zawsze będzie go ciągnęło z powrotem.

Możesz zacząć skromnie. Od prostych procedur. Zobaczysz, jak ci będzie szło.

Poza tym, mając pieniądze jedynie na najbardziej podstawowe rzeczy - nie mówiąc już o opłatach za ich transport - nie mógł odejść. Na „Ketty Jay” otaczali go przynajmniej ludzie, którzy nie zadawali pytań, ludzie niewyćwiczeni w arystokratycznych sztukach kąśliwej kpiny i wbijania noży w plecy. To akurat mu w nich odpowiadało.

Przyszło mu do głowy coś niepokojącego. Do kroćset, czy to możliwe, że zaczynał się czuć dobrze w ich towarzystwie? Wypił duży haust grogu, żeby splukać gorzki smak, jaki to odkrycie zostawiło mu w ustach. I zakrzuszył się, gdy dotarło do niego, że grog smakuje jeszcze gorzej.

- Poszło w złą dziurkę, co? - odezwał się głos za nim, a potem ktoś rąbnął go w plecy tak mocno, że omal nie pogruchotał mu żeber.

Crake uśmiechnął się słabo i wytarł łzy z oczu, kiedy mężczyzna siadał obok niego. Brudny i łysiejący, z nosem jak kartofel i policzkami czerwonymi od alkoholowych wykwitów, Rogin nie był najprzystojniejszym gościem w tej sali. W dodatku śmierdział, jeśli już o tym mowa. Otaczał go kwaśny, lekko kapuściany smrodek człowieka przywykłego do kiszzenia się we własnych pierdach.

Crake bohatercko przywołał całą swoją męską rubasność i na powitanie klepnął go w ramię.

- Dobrze cię widzieć, przyjacielu - rzucił z najlepszym sztucznym uśmiechem. Promienie

słońca zaśnięły na jego złotym zębie. - Kupiłem ci drinka.

Rogin wziął przeznaczony dla niego kubek - z grogiem zaprawionym specjalną miksturą Malvery'ego - i podniósł go tak, żeby mogli się stuknąć.

- Twoje zdrowie! - wznosił toast i wypił całość jednym haustem.

- Och, nie - mruknął Crake z zadowolonym uśmieszkiem. - Twoje.

\* \* \*

Całe ciepło uszło z powietrza, kiedy słońce schowało się za horyzontem. Skotłowane błoto głównych ulic pokrył szron, mieszkańcy Marklin's Reach skryli się w domach. Nad ziemią wisiała rzadka, sina mgiełka spalin z przenośnych generatorów, które huczały i terkotały w zaułkach za drewnianymi szopami. Łańcuchy żarówek jaśniały i ciemniały w rytm skoków napięcia.

Frey kulił się w wylocie zaułka, ukryty w dogodnym cieniu, który powstał, gdy Pinn stłukł kilka żarówek nad nimi. Obok stali Silos i Jez. Crake i Harkins zostali na „Ketty Jay”, ponieważ obaj tylko by przeszkadzali w strzelaninie. Harkins w kilka sekund zmieniał się w zaśliniony wrak człowieka, a Crake prędzej trafiłby kogoś ze swoich niż wroga.

Po drugiej stronie ulicy stał dom Xandiana Quaila, bezpieczny za wysokim murem i bramą z kutego żelaza. Frey obserwował dwóch wartowników przy bramie już od godziny; kręcili się w tę i z powrotem, okutani w kurtki i kaptury. Było mu zimno, niecierpliwił się i zastanawiał, czy Crake wlał wystarczająco dużo mikstury Malvery'ego do drinka Rogina.

Sam Malvery stał kawałek dalej, pod murem, ale poza polem widzenia wartowników. Na ziemi obok postawił swoją czarną lekarską torbę. Ręce wepchnął w kieszenie płaszcza i wyglądał tak żałośnie, jak Frey się czuł. Schylił się, otworzył torbę i napił się na rozgrzewkę alkoholu do odkażania z butelki.

Wtedy, w końcu, zza muru rozległ się jęk. Malvery zeszywniał, nasłuchując. Po chwili Rogin zaklął i znów jęknął, jeszcze głośniejsze. Głos jego towarzysza był zbyt stłumiony, by rozróżnić słowa, ale Frey wychwycił zaniepokojenie w jego tonie.

Malvery spojrzał na niego pytająco. Frey wyszedł z cienia i machnięciem ręki dał doktorowi znak do rozpoczęcia akcji.

Idź.

Malvery podniósł lekarską torbę i ruszył ulicą. Jęki Rogina zmieniły się w ciche krzyki cierpienia, plugawe bluźnierstwa wystękiwane przez zaciśnięte zęby. Malvery przeszedł przed bramą, zatrzymał się teatralnie, jakby dopiero w tej chwili usłyszał odgłosy męki Rogina, a potem zajrzał przez pręty.

Rogin leżał zwinięty w kłębek po drugiej stronie, ściskając się za brzuch. Jego towarzysz, wysoki, chudy mężczyzna o rudych włosach i złamanym nosie, podniósł wzrok, kiedy Malvery go pozdrowił.

- Spadaj, dziadu! - warknął strażnik.

- Twój kolega chyba nie czuje się dobrze - stwierdził Malvery.

- A wygląda, jakby się dobrze czuł?

- Moje bebechy! - sapnął Rogin. - Moje przeklęte bebechy! Boli jak zaraza.

Skrzywił się, kiedy szarpnęły nim kolejne skurcze agonii.

- Pozwól mi mu pomóc. Jestem lekarzem - zaproponował Malvery. Rudy strażnik przyjrzał mu się podejrzliwie. Malvery pomachał mu swoją lekarską torbę. - Widzisz?

Wartownik obejrzał się na drzwi domu, zastanawiając się, czy nie powinien powiedzieć o tym komuś w środku.

- Jasny szlag! Wpuść go! - wrzasnął Rogin głosem zdradzającym zaczątki hysterii. - Ja tu umieram, niech cię diabli!

Strażnik wyciągnął komplet kluczy i otworzył bramę, a potem cofnął się, wpuszczając Malvery'ego.

- Dziękuję - powiedział doktor, przechodząc. Potem, ponieważ wartownik miał jedną rękę na bramie, a drugą na kluczu, wyciągnął rewolwer i przycisnął go nieszczęśnikowi do skroni.

- Może zostawisz ją otwartą, co?

Frey, Silos, Pinn i Jez wybiegli z ciemności po drugiej stronie pustej ulicy i wśliznęli się przez otwartą bramę. Silos podszedł do leżącego mężczyzny i szybko go rozbroił, a Jez zrobiła to samo z wartownikiem Malvery'ego. Rogin wydał z siebie zduszony odgłos wściekłości i bólu, ale Silos przykucnął obok niego i postukał go lufą rewolweru w głowę.

- Cśś - szepnął, przykładając palec do ust.

Jez zamknęła bramę, a Frey wziął na muszkę rudego, kiedy Silos i Malvery wzięli Rogina. Zakneblowali go kawałkiem szmaty i zwiniętą skarpetą Pinna, którą Malvery wzięł dla dodatkowego efektu znieczulającego. Potem zanieśli go do pobliskiej stróżówki.

- Nie przejmuj się, kolego - powiedział doktor po drodze. - Rokowania są dobre. Ból minie za kilka godzin, chociaż sugeruję, żebyś wysłał najbliższych na prowincję, zanim znów pójdziesz się wysrać.

Frey szybko przyjrzał się domowi. Zastłony w oknach były zaciągnięte i nikt chyba nie zwrócił uwagi na krzyki Rogina. Jeśli w ogóle go usłyszeli, pewnie założyli, że to ktoś na ulicy.

Nie śmiał mieć nadziei, że wszystko idzie dobrze. To by tylko ściągnęło mu na głowę

pecha.

- Dobra, ty - rzucił do drugiego strażnika, kiedy Malvery wrócił. - Mam dla ciebie zadanie. Spisz się dobrze, to nic ci się nie stanie. Rozumiesz?

Strażnik pokiwał głową. Był zły i upokorzony, ale przede wszystkim przerażony. Pewnie pierwszy raz ktoś trzymał go na muszce. Dobrze. Frey nie chciał do niego strzelać, o ile nie musiał.

Jez rzuciła Malvery'emu jego strzelbę, kiedy doktor i Silos wrócili ze stróżówki. Malvery zawsze czuł się lepiej, mając pod ręką większą siłę ognia. Nie ufał rewolwerom, uważał je za zabawki.

Zebrali się po dwóch stronach grubych dębowych drzwi, na kamiennym ganku. Frey przyciągnął wartownika za ramię i cofnął się, mierząc do niego z rewolweru.

- Każ im otworzyć drzwi - polecił. - Nie próbuj żadnych sztuczek, jeśli chcesz zachować mózg wewnątrz głowy.

Strażnik przytaknął. Wziął nerwowy oddech i zastukał do drzwi.

Freyowi odrobinę drżała ręka. Zaszło mu w gardle. Zastanawiał się, czy wartownik wie, jak on sam jest przerażony.

Nie chcę umierać, pomyślał.

- Tak? - rozległ się głos w środku.

- Tu Jevin. Otwórz drzwi! - zawołał strażnik.

Drzwi uchyliły się lekko. Wyjrzał zza nich Codge, ten o pociągłej twarzy i rzadkiej czarnej brodzie.

- Co jest?

Frey odepchnął strażnika na bok i wycelował rewolwer z bliska w białe czoło Codge'a. Mężczyzna przez ułamek sekundy patrzył na niego z zaskoczeniem, potem sięgnął po broń.

Reakcja Freya była tak samo instynktowna. Nacisnął spust. Głowę Codge'a szarpnęło w tył, małe kropelki krwi obryzgały twarz Freya. Ciało zważyło się na ziemię.

Frey stał zszokowany. Nie chciał strzelić. Co ten idiota zrobił, po co sięgnął po broń?

Malvery rąbnął barkiem w drzwi, które uchyliły się szerzej, zanim zaparły się o trupa Codge'a. Frey przecisnął się przez szparę na korytarz. Przeżył chwilę paniki, kiedy zorientował się, że jest sam, nieosłonięty, twarzą w twarz ze strażnikiem, który był zbyt zaskoczony, by zareagować. Aż do tej chwili. Dłoń mężczyzny skoczyła do rewolweru w kaburze, ale Frey swoją miał już w ręku. Wyprostował ramię, zacisnął palec na spuście.

- Nie rób tego.

Ku jego uldze ten wartownik miał więcej rozsądku niż Codge. Powoli podniósł ręce do



góry. Malvery'emu udało się otworzyć drzwi do końca, odsuwając trupa na bok. Z drzwi odchodzących z korytarza dobiegł chór kobiecych głosów, wykrzykujących różne wersje „Stój!” Mimo to wypadł z nich strażnik, nagi od pasa w dół, śmiesznie wymachując wyprężonym członkiem. Jedną ręką usiłował podciągnąć spodnie, które pętały mu nogi, drugą próbował celować z rewolweru. Malvery wycelował i zdmuchnął go ze strzelby, zanim mężczyzna zdołał dać dwa kroki.

Frey przyciągnął do siebie strażnika, który się poddał, i przycisnął mu rewolwer do pleców, zasłaniając się nim jak tarczą. Rozbroił więźnia i rzucił broń na bok. Malvery odsunął się od drzwi, za nim do środka weszli Jez i Pinn.

- Silos? - spytał Frey.

- Pilnuje strażnika na zewnątrz - odparła Jez. - Jevina czy jak on się tam nazywał.

Frey był wdzięczny, że ktoś zachował dość przytomności umysłu, żeby się tym zająć. Prawie oczekiwał, że wszyscy biegiem rzucą się za nim.

Zarzucił więźniowi rękę na szyję.

- Gdzie ostatni? - syknął. Kiedy był tu poprzednio, strażników było czterech. Nie czekając na odpowiedź, zawołał: - Mamy twojego kolegę! Wychodź, to nic ci się nie stanie! Nic do ciebie nie mam!

Zapadła cisza, nie licząc tykania zegara w korytarzu. Potem z innych drzwi dobiegł go głos:

- Bren? To ty?

- To ja, Charry - odparł jeniec Freya. - Przystawili mi spluwę do głowy. Jest ich czterech.

Znów długa cisza.

- Dobra - rzucił Charry. - Wychodzę. Niech nikt nie strzela. Nikt nie będzie strzelał, co?

- Nikt nie będzie strzelał - zapewnił Frey, znacząco spoglądając na Pinna.

Z drzwi wyjechał po podłodze karabin, za nim rewolwer i nóż. Na korytarz wyszedł młody ciemnoskóry mężczyzna, z wysoko podniesionymi rękami. Jez ustawiła go obok drugiego więźnia. Silos zajrzał z dworu.

- Gdzie jest strażnik, którego pilnowałeś? - spytał Frey przerażony.

- Związałem go i zamknąłem w stróżówce razem z tym drugim - odparł Silos.

- Dobrze, dobrze. - Freyowi ulżyło. Trochę się odprężył. - Powinienem był sam o tym pomyśleć.

Pinn i Malvery wymienili spojrzenia. Malvery uniósł w rozpaczy wzrok ku niebu.

- Szef jest na górze? - zapytał Frey więźniów.

Przytaknęli.

- Żadnych więcej strażników?

Pokręcili głowami.

- A dziwki?

- Tam - odparł Charry, wskazując pokój, z którego wybiegł półnagi mężczyzna. - Jak widać.

Frey popatrzył na Silosa.

- Ty dowodzisz. Jak ktoś się ruszy, strzelaj. Malvery, ty i ja pójdziemy zamienić słówko z Quaiem. Weź swoją torbę - dodał po chwili namysłu. - Nie chcę, żeby umarł, zanim skończy mówić.

- Ma się rozumieć - odparł Malvery, wychodząc na ganek po zostawioną tam torbę.

Frey podszedł do drzwi pokoju dziwek i stanął obok. Martwy mężczyzna ze spodniami wokół kostek miał komicznie zaskoczony wyraz twarzy.

Wszyscy możemy tylko mieć nadzieję na śmierć z taką godnością i elegancją, pomyślał Frey.

- Drogie panie? - zawołał. Nikt nie odpowiedział. Wetknął głowę do środka i szybko ją cofnął, kiedy strzał ze strzelby rozniósł w drzazgi kawałek framugi.

- Drogie panie! - powtórzył Frey, tym razem lekko rozdrażniony. W uszach mu dzwoniło.

- Nie zrobimy wam krzywdy!

- Nie, żebyście wiedzieli! - dobiegła go odpowiedź. - Znam takich jak wy! Dajemy, co dajemy, bo nam za to płacą! Nikt nie weźmie nas siłą!

- Nikt nikogo nie będzie brał - stwierdził Frey. - Może mnie pamiętacie? Darian Frey. Byliśmy sobie przedstawieni parę tygodni temu.

- Och - odpowiedziała kobieta, nieco łagodniej niż przedtem. - Tak, pamiętam cię. Pokaż się.

- Wolałbym nie - odparł Frey. - Posłuchajcie, drogie panie, mamy sprawę do Quaila. Załatwimy ją i znikamy. Nikt nie będzie się wam naprzykrzał. Przepuściecie nas?

Usłyszał krótką dyskusję ściszonymi głosami.

- W porządku.

- Nie będziecie strzelać?

- O ile nikt nie będzie próbował wejść. Zwłaszcza ten, co wygląda jak ziemniak. Na sam jego widok można się wywrócić na lewą stronę.

Silos wyszczerzył się do Pinna, który kopnął nieistniejący kamień i zaklął pod nosem.

- Zwłaszcza on - zgodził się Frey.

- No, to niech będzie.

Malvery wrócił z torbą. Wypił jeszcze jeden łyk alkoholu do odkażania ran i schował butelkę z powrotem. Pinn błagał, żeby dał mu spróbować, ale doktor go zignorował.

Pospiesznie minęli drzwi. Frey przelotnie zerknął na dziwki, schowane za komodą z dwururką wystawioną nad blatem. Dla dodatkowej ochrony trzymały na smyczach dwa białe, różowookie psy. Jedna z kobiet pomachała mu i posłała całusa, ale Frey przebiegł zbyt szybko, żeby odpowiedzieć.

Ruszył na górę z Malverym deptającym mu po piętach. Zawily, ozdobny mosiężny motyw z korytarza ciągnął się na piętro, tutaj jednak ściany i podłoga wyłożone były czarnym drewnem i oświetlone elektrycznymi żarówkami w odlewanych kinkietach. Wnętrze miało ciemny, przytłaczający wystrój. Frey sam czuł się podobnie - ponury i przytłoczony.

Kiedy zbliżyli się do gabinetu Quaila, usłyszeli ze środka jakiś trzask - odgłos przewracanego biurka. Przypuszczalnie Quail budował barykadę. Frey przypomniał sobie kraty w oknach z ostatniej wizyty. Nie można było otworzyć ich od środka. Quail nigdzie się nie wybierał.

Ustawili się po obu stronach drzwi. Frey otworzył je kopnięciem i odsunął się, kiedy dwukrotnie wypalił rewolwer. Drzwi odbiły się od ściany i znieruchomiały lekko uchylone. W drewnianej boazerii na wysokości piersi widniały dwie dziury wielkości monety.

- Każdy, kto przejdzie przez te drzwi, pożałuje! - wrzasnął Quail. Chciał, żeby jego głos zabrzmiał groźnie, ale wyszło mu żalosne jęczenie. - Mam dwa rewolwery i dość amunicji na całą noc. Prędzej czy później przybiegnie tu milicja! Ktoś musiał usłyszeć hałas, którego narobiliście na dole!

Frey przez chwilę się zastanawiał. Machnął do Malvery'ego.

- Daj mi butelkę.

- Co? - spytał Malvery, udając, że nie rozumie.

- Butelkę alkoholu z torby. Daj mi ją.

Doktor niechętnie otworzył torbę.

- Tę butelkę? - spytał płaczliwie, mając nadzieję, że Frey się rozmyśli.

- Kupię ci drugą! - warknął Frey i Malvery w końcu mu ją oddał. Kapitan wyrwał ją doktorowi z ręki i wyjął korek. - Teraz szmatę.

- Och - mruknął Malvery, domyślając się, jaki jest plan. Podał Freyowi kawałek materiału z miną kogoś, kto za chwilę ma być świadkiem wyginięcia jakiegoś słodkiego, nieszkodliwego zwierzątka.

Frey wepchnął szmatę w szyjkę butelki i kilka razy odwrócił ją do góry nogami. Wyjął zapalnik - jedną z kilku, które zamieszkiwały w fałdach kieszeni jego płaszcza od lat - i zapalił

ją od framugi drzwi. Dotknął płomieniem szmaty, a ta zajęła się ogniem.

- Ogień na pokładzie.

Wyszczrzył się, a potem nogą otworzył drzwi i cisnął butelkę do środka. Odskoczył w tył w samą porę, by uniknąć strzałów.

Mierzył w kąt pokoju - nie chciał na razie podpalać Quaila - ale szeptarz zaczął wyć, jakby płomienie trawiły jego samego, a nie półki z książkami.

Frey i Malvery wycofali się kawałek korytarzem, do innych drzwi, w których się schowali i wycelowali. Z gabinetu Quaila zaczął się sączyć czarny dym. Słyszeli, jak uwięziony szamocze się w środku i przeklina. Zabrzęczało szkło, zagrzecotały kraty. Dym zmienił się w gęstą, skłębioną masę, która rozeszła się pod sufitem korytarza. Quail zaczął kaszleć i się krztusić.

- Myślisz, że długo to jeszcze potrwa? - spytał Malvery i chwilę później Quail wypadł z gabinetu z zalawionymi oczami, wymachując pistoletem.

- Rzuć broń! - krzyknął Frey głosem tak donośnym i władczym, że sam się zdziwił. Quail zamarł, rozejrzał się i zobaczył celujących do siebie Freya i Malvery'ego. - Rzuć broń albo sam padniesz.

Szeptarz rzucił rewolwer i podniósł ręce do góry rozkaszlany. Jego elegancka marynarka miała plamy sadzy, kołnierzyk mu się nadtopił. Rozerwany rękaw ukazywał wypolerowany mosiądz mechanicznego przedramienia.

Frey i Malvery wyszli z kryjówki. Kapitan chwycił szeptarza za kłapy i powłókł go korytarzem, z dala od dymu i ognia w gabinecie. Cisnął go na ścianę. Quail spojrzał na niego z wściekłością, z zaciśniętymi zębami i zaciętą twarzą. Frey ujrzał swoje odbicie w jego mechanicznym oku.

- A więc dobrze - powiedział, a potem się cofnął i strzelił mu w goleń.

Quail wrzasnął i runął na ziemię, wijąc się i ściskając nogę.

- Dlaczego to zrobiłeś, ty szmatławy kurwi synu? - krzyknął.

Frey przykląkł przy nim na jedno kolano.

- Słuchaj, Quail. Nie mam czasu na wstępy i, szczerze mówiąc, jestem na ciebie dość wkurzony. Udawajmy więc, że darowałeś już sobie odmowę odpowiedzi na moje pytania. Kto mnie wystawił? Bo jeśli będę musiał spytać jeszcze raz, pójdzie twoje kolano. A potem coś, czego nie zdołasz zastąpić mechanicznym substytutem.

- Gallian Thade! - wybełkotał Quail. - To Gallian Thade nadał mi tę robotę, tyle wiem! Przyszło przez pośrednika, ale wiedziałem, że coś się tu nie zgadza, więc dotarłem do niego. To bogaty ziemianin, mieszka w...

- Wiem, kim jest Gallian Thade - powiedział Frey. - Mów dalej.

- Powiedzieli, że to masz być ty, że mam zaoferować tę robotę właśnie tobie. Ale powiedzieli... Aaach, moja noga!

- Co? - spytał ostro Frey i uderzył Quaila w zranioną piszczel. Quail wrzasnął, szarpnął się z bólu, nie mogąc złapać tchu.

- Mówię ci, mówię ci! - zaprotestował. - Powiedzieli, że jak nie uda mi się ciebie znaleźć, to mogę w ostatniej chwili zaproponować tę robotę komuś innemu. Najważniejsze... najważniejsze było, że „As Czaszek” przelatywał przez Hookhollowy tego konkretnego dnia, oni to wiedzieli, i potrzebowali kogoś, żeby go zaatakował. Najlepiej ciebie, ale jeśli nie, to nadałby się każdy nędzny łajdak.

- Nie jesteś w sytuacji, która pozwalałaby ci rzucać obelgami, Quail.

- To ich słowa! Ich słowa! - zapewnił pospiesznie szeptarz, podnosząc rękę, żeby zapobiec dalszym razem. - Ktoś, za kim nikt by nie tęsknił, tak powiedzieli. Wybacz, jeśli nie myślę zbyt jasno, ale właśnie postrzeliłeś mnie w przeklętą nogę!

- Ból faktycznie przyćmiewa myślenie - zauważył mądrze Malvery kucający obok Freya.

- Nie wiesz, co było na tym statku? - przycisnął jeszcze Frey. Zakaszłał w pięść. Czasu mieli coraz mniej. Korytarz wypełniał się gorącym dymem, powietrze zdatne do oddychania pozostało jedynie nisko przy podłodze. Milicja nie mogła być daleko.

- Powiedział, że klejnoty! Że kupi je ode mnie, jeśli wrócisz. Jeśli nie, zapłaciłby mi i tak. Wiedziałem, że to tylko przykrywka, ale nie... nie dowiedziałem się, jak to było naprawdę.

- Nie masz chęci pozgadywać? Nie domyślasz się, dlaczego depczą mi po piętach Rycerze Centurii? Dlaczego zaoferowano tak wysoką nagrodę, że zainteresowała się mną Trinica Dracken?

- Dracken! - Quail szeroko otworzył oczy. - Czekał, to wiem! Trinica Dracken... rozpuściła wieści w półświatku. Każdy, kto cię zobaczy, ma jej powiedzieć. Nie Rycerzom Centurii. Zaoferowała jeszcze większą nagrodę. Ale tylko za informację... chce cię złapać sama!

- Cóż, oczywiście, że chce...

- Nie, nie rozumiesz. Dracken nie ma takich pieniędzy. Ktoś ją sponsoruje. Nie wiem, kto. Ale ktokolwiek to jest, chce cię dopaść przed Rycerzami Centurii. Tu nie chodzi tylko o nagrodę, Frey. Tu chodzi o coś więcej. Ktoś nie chce, żeby rycerze cię znaleźli.

Frey zacisnął zęby. Coraz gorzej, coraz gorzej.

- Lepiej się zbierajmy, kapitanie - powiedział Malvery. - Dym jest coraz gęstszy.

- Dobra - mruknął Frey. - Idziemy.

- A ja? - spytał Quail, kiedy wstali. - Nie możesz...

- Mogę - powiedział Frey. - Wciąż masz jedną nogę całą.

Z tymi słowami odwrócił się i odszedł ścigany klątwami szeptarza.

- Mamy związać resztę jego ludzi? - spytał Malvery, kiedy zbiegali po schodach na korytarz na dole. Pinn, Jez i Silos wciąż trzymali na muszce dwóch strażników.

- Nie ma czasu. Poza tym będą zajęci gaszeniem domu. - Frey podniósł głos, żeby słyszeli go wszyscy w korytarzu. - Panie i panowie, wynosimy się stąd! Wasz szef jest na górze, tylko lekko ranny. Idźcie mu pomóc, jeśli macie ochotę. Zauważycie także, że dom się pali. Zróbcie z tym, co chcecie.

Kiedy załoga „Ketty Jay” wyślizgiwała się przez bramę, w oddali rozbrzmiewały gwizdki milicji. W oknach domu za nimi wykwitły jasnożółte płomienie.

- Tym razem naprawdę nie mamy tu powrotu - powiedział Frey, kiedy biegli do doków.

- Jedna rzecz - zapytał Malvery, posapując obok niego. - Gallian Thade, ten arystokrata, znasz go?

- Nie - odparł Frey. - Ale znałem jego córkę. Bardzo blisko, można powiedzieć.

Malvery przewrócił oczami.

## 12

### *Przebudzeni - Frey przeprasza - Partia rejka*

Stary Plac znajdował się w sercu dzielnicy handlowej Aulenfay. Szeroki, wyłożony kamiennymi płytami, był otoczony przez wysokie kamienice o fasadach z różowego kamienia. W pogodne, zimowe dni takie jak ten był pełen kramów i ludzi, sprzedających i kupujących. Przekupnie zachwalali przysmaki, bilety do teatrów i nakręcane zabawki; uliczni artyści udawali posągi i zonglowali nożami. Miejscowi i przyjezdni kręcili się między atrakcjami. Po chodnikach przechadzały się damy w futrach i kapeluszach oraz mężczyźni w skórzanych rękawiczkach i płaszczach. Dzieci szarpały rodziców za ręce, prosząc, żeby pozwolili im obejrzeć to czy tamto, wabione aromatem kandyzowanych jabłek albo drożdżówek z cynamonem.

Na środku placu wznosiła się wielka fontanna. Woda spływała po licznych piętrach z

wysokiej kolumny, będącej cokołem pomnika groźnie wyglądającego wojownika. W rękę dzierżył złamany miecz i opędzał się nim od trzech mosiężnych niedźwiedzi, wyciągających do niego z dołu pazury. Na dachach powiewały na wietrze brązowe i zielone proporczyki z herbem księcia.

Frey i Crake siedzieli na stopniach niewielkiego podwyższenia. Za nimi cztery kamienne wilki strzegły zdobionej, czarnej, żelaznej latarni, jednej z kilku rozstawionych dookoła placu, by oświetlać go w nocy. Frey w jednym rękę trzymał papierową torebkę i pogryzał bakalie. Wyciągnął słodczyce do Crake'a, który poczęstował się zamyślony. Obaj obserwowali kram w rogu placu, z którego zachwalali swoją wiarę Przebudzeni.

Kram obwieszony był proporcami ukazującymi symbol złożony z sześciu nierówno ułożonych okręgów, połączonych skomplikowanym układem linii prostych. Trójka Przebudzonych była identycznie ubrana, w białe, jednorzędowe sutanny z wysokimi kołnierzami i czerwonymi lamówkami oznaczającymi ich rangę. Byli to mówcy, szeregowi żołnierze organizacji.

Jeden z nich klęczał przed rozłożoną na ziemi okrągłą mapą. Naprzeciwko ukląkł młody mężczyzna, nie spuszczać z niego wzroku. Mówca trzymał na środku mapy garść ustawionych pionowo patyczków. Puścił je i rozsypały się dookoła. Wtedy zaczął uważnie się im przyglądać.

- No dobrze, ale ja pytam poważnie - powiedział Frey. - O co tu chodzi?

- To rantomancja - odparł Crake. - To, jak patyczki się ułożą, ma znaczenie. Ten drugi to kleromanta; to podobna technika. Widzisz? Kapie do miski trochę zwierzęcej krwi, a potem rzuca kości.

- I można na tej podstawie coś przewidzieć?

- Podobno.

- Co na przykład?

- Przyszłość. Przeszłość. Można zadawać pytania. Można się dowiedzieć, czy Wszechdusza sprzyja twojemu nowemu interesowi albo zobaczyć, który dzień będzie najlepszy na wesele córki. I tak dalej.

- Wszystko to potrafią wywnioskować z garści patyczków?

- Tak twierdzą. Metoda nie jest tu najważniejsza. Każdy Przebudzony specjalizuje się w innym sposobie porozumiewania się z Wszechduszą. Widzisz tamtą? To numerolożka. Opiera się na datach urodzin, wieku, znaczących liczbach w życiach ludzi i tak dalej.

Frey popatrzył na trzecią Przebudzoną, młodą kobietę o puciołowatej skwaszonej twarzy. Stała przed tablicą i wyjaśniała skomplikowane matematyczne wzory nic nierozumiejącej

trzyosobowej publiczności, która wyglądała, jakby z trudem umiała liczyć na palcach.

- Nie rozumiem - przyznał.

- I nie powinieneś - stwierdził Crake. - O to właśnie chodzi. Mistyczną wiedzą wiele nie zdziałasz, jeśli wszyscy ją posiadają. Przebudzeni twierdzą, że tylko oni znają sekret porozumiewania się z Wszechduszą i nie zamierzają się nim dzielić. Jeśli chcesz czegoś od Wszechduszy, musisz iść z tym do nich.

Frey podrapał się po karku i spojrzał z ukosa na Crake'a, mrużąc oczy w słońcu.

- Wierzysz w to?

Crake popatrzył na niego z miażdżącą pogardą.

- Jestem demonistą, Frey. Ci ludzie chcieliby mnie zobaczyć na stryczku. A wiesz dlaczego? Bo to, co ja robię, jest prawdziwe. To działa. To nauka. Ale sto lat tej zabobonnej propagandy zrobiło z demonistów najbardziej znieawidzonych osobników na całej planecie. Większość ludzi wolałaby się zadawać z Samarlanami niż z demonistami.

- Ja też wolałbym Samarlan - powiedział Frey. - Wojna czy nie wojna, mają świetne kobiety.

- Wątpię, żeby Silos tak uważał.

- No, ma powód do urazy, w końcu to jego lud jest od stuleci brutalnie niewolony i tak dalej.

Crake musiał się zgodzić.

- No to o co chodzi z tą całą Wszechduszą? - spytał Frey, po raz kolejny częstując go bakaliąmi. - Oświeć mnie.

Crake wrzucił kulkę suszonych owoców do ust.

- Skąd to zainteresowanie?

- Badam temat.

- Badasz temat?

- Gallian Thade, człowiek, który kazał Quailowi nas zrobić. To następna osoba, z którą musimy porozmawiać, jeśli chcemy uzyskać jakieś odpowiedzi. Chcę się dowiedzieć, po co nas zrobił. - Frey się przeciągnął, zeszywniały od siedzenia na schodach. - A dotarcie do Galliana proste nie będzie. Mogę jednak dotrzeć do jego córki.

Crake reszty się domyślił.

- Jest Przebudzoną?

- Tak. Mieszka teraz w klasztorze na Wyżynach. Trzymają tam akolitów odciętych od zewnętrznego świata na czas studiów. Muszę się tam dostać i z nią skontaktować. Może coś wiedzieć.



- I myślisz, że ona ci pomoże?
- Nie wiem - przyznał Frey. - Ale lepszego pomysłu i tak nie mam.
- Nie powinieneś pytać kogoś, kto wierzy w te brednie?

Frey przesunął się na stopniu, usiadł wygodniej.

- Jesteś wykształcony - powiedział z lekko tylko wymuszoną swobodą. - Wiesz, jak ubierać rzeczy w słowa.

- Niebezpiecznie zbliżyłeś się do komplementu, Frey - zauważył Crake.
- No, może. Niech ci tylko nie uderzy do głowy. Poza tym dla ciebie jestem kapitan Frey. Crake zasalutował mu niedbale i płaśnął dłońmi w kolana.
- Cóż, dobrze więc. Co już wiesz?

- Trochę wiem. Słyszałem o Królu-Proroku i o tym, jak to spisali wszystkie tego jego obłąkane myśli w księdze, kiedy już zwariował, tyle że oni uważają, że dotknął go boski palec czy coś w tym rodzaju. Wiem, że opowiadają, że mogą rozwiązać wszystkie twoje problemy, że wymagana jest tylko drobna ofiara. Ale nigdy nie zwracałem sobie nimi głowy, to wszystko było bez sensu. Trochę jak uliczne oszustwo, które wymknęło się spod kontroli, wiesz? Jak ta gra z trzema kubkami i kulką, gdzie nieważne, co zrobisz, i tak przegrasz. Tyle że tutaj gra w nią połowa kraju i nikomu nie przychodzi do głowy, że gra jest ustawiona. - Prychnął. - Nikt nie może znać mojej przyszłości.

- Bardzo dobrze.

Crake odchrząknął i przez chwilę się zastanawiał. Kiedy się odezwał, głos miał jak nauczyciel, rzeczowy i skupiony.

- Podstawą ich wierzeń jest istnienie bytu zwanego Wszechduszą. Nie jest to bóg w rozumieniu dawnych religii które wymazali, raczej myśląca, organiczna maszyna. Jej działania można zaobserwować w ruchach wiatru i wody, w zachowaniu zwierząt, w erupcjach wulkanów i formacjach chmur. W skrócie wierzą, że nasza planeta żyje i jest inteligentna. Bardziej inteligentna niż jesteśmy w stanie pojąć.

- Dooooobrze... - powiedział niepewnie Frey.

- Przebudzeni uważają, że Wszechduszę można zrozumieć, interpretując znaki. Przez lot ptaków, ułożenie rozrzuconych patyczków, smugi krwi w mleku można poznać myśli planety. Używają także rytuałów i drobnych ofiar, by porozumiewać się z Wszechduszą, by błagać o jej względy. Można w ten sposób wyleczyć chorobę, odwrócić nieszczęście, zapewnić powodzenie w interesach.

- A więc, czy dobrze rozumiem - przerwał mu Frey, podnosząc rękę. - Zadają pytanie, potem... na przykład wypuszczają parę ptaków. A to, jak te ptaki polecą, w którą stronę, to

przemawia do nich planeta. Wszechduszą?

- Kiedy obedrzyć to z całego ich belkotu, tak, właśnie tak to wygląda.

- I mówisz, że to nie działa?

- Ach! - prychnął z pogardą Crake, prostując palec. - To właśnie najsprytniejsze, zabezpieczyli się. Widzisz, zostawiają margines ludzkiego błędu. Ich rozumienie Wszechduszy jest niedoskonałe. Ludzki umysł jeszcze nie jest w stanie jej pojąć. Można pytać, ale Wszechdusza może odmówić odpowiedzi. Można wróżyć, ale wróżby są tak niejasne, że najczęściej się spełniają. Zamiary Wszechduszy są tak rozległe, że śmierć twojego syna albo zniszczenie twojej wsi można wytłumaczyć jako część wielkiego planu, którego nie potrafisz zrozumieć, bo jesteś po prostu za mały. - Parsknął gorzkim śmiechem. - Zabezpieczyli się ze wszystkich stron.

- Ty ich naprawdę nienawidzisz, co? - spytał Frey zaskoczony tonem głosu towarzysza. - To znaczy, naprawdę, naprawdę ich nienawidzisz.

Crake umilkł, zdając sobie sprawę, że stracił panowanie nad sobą. Rzucił Freyowi nerwowy uśmiech.

- Wet za wet - oświadczył twardo. - Oni znenawidzili mnie pierwsi.

\* \* \*

Ze Starego Placu poszli spacerem w górę wzgórza, obsadzoną drzewami aleją prowadzącą do bogatszych dzielnic - Goldenside i Kingsway. W górze przelatywały pasażerskie statki, drogą terkotały zmechanizowane karety. W witrynach sklepów pyszniły się eleganckie suknie, skomplikowane zabawki i słodczyce. Kiedy wspięli się wyżej, zaczęli dostrzegać jezioro Elmen za zalesionymi zboczami na zachodzie, olbrzymie niczym śródlądowy ocean. Wszędzie dookoła w dal ciągnęły się jak okiem sięgnąć ciemnozielone sosny i monumentalne urwiska Puszczy Auleńskiej.

- Ładna okolica - skomentował Frey. - Można by pomyśleć, że Wojny o Aerium nigdy się nie wydarzyły.

- Aulenfay wyszło prawie niedrażnione z pierwszej i w ogóle nieruszone z drugiej - wyjaśnił Crake. - Powinieneś zobaczyć Draki i Rabban. Sześć lat po wojnie, a one wciąż do połowy w gruzach.

- Tak, widziałem - odparł z roztargnieniem Frey. Patrzył na młodą rodzinę, zbliżającą się po ich stronie alei: przystojny mąż, ładna żona z pięknym uśmiechem, dwie małe dziewczynki podśpiewujące i podskakujące we frymuśnych sukienkach. Po chwili kobieta zauważyła jego zainteresowanie. Frey szybko odwrócił wzrok, ale Crake uprzejmie ich pozdrowił, kiedy się

mijali.

- Dzień dobry - odpowiedziała para, a chwilę później grzecznie powtórzyły to dziewczynki. Frey musiał przyspieszyć kroku. Widok ich szczęścia, te małe głosiki, były jak kopniak w pierś.

- Co się stało? - spytał Crake, zauważając jego nagłą zmianę nastroju.

- Nic - mruknął Frey. - Nic, tylko nagle... przestraszyłem się, że mnie rozpoznają. Niepotrzebnie ściągnąłem ich wzrokiem.

- Och, nie przejmowałbym się tym. Mówiłem ci, kupiłem wczoraj w Marklin's Reach gazetę. Nie było tam ani słowa o tobie. A Aulenfay nie jest miejscem, gdzie rozklejają wszędzie listy gończe. Moim zdaniem opinia publiczna o tobie zapomniała. - Poklepał Freya po ramieniu. - Poza tym, zważywszy na wiek tej fotografii i twoją aparycję, ostatnimi czasy steraną i charłacką, wątpię, by ktokolwiek cię rozpoznał, o ile bliżej by się tobą nie zainteresował.

- Steraną i charłacką? - powtórzył Frey. Zaczynał podejrzewać, że Crake się popisuje, żeby go poniżyć.

- Czyli zawiadką i groźną - zapewnił Crake. - Rozumiesz, chodzi o brodę.

- Och!

Dotarli do skrzyżowania i Crake przystanął na rogu.

- Cóż, tu cię zostawię. Muszę iść i odebrać swój sprzęt, a ludzie, którzy sprzedają wyposażenie demonistyczne nie lubią, kiedy niedemoniści wiedzą, kim są.

- Jasne - odparł Frey. - Każ go dostarczyć do magazynu w dokach. Stamtąd go zabierzemy. Tylko bez nazwisk.

- Oczywiście.

Demonista odwrócił się, żeby odejść.

- Crake.

- Tak?

Frey spojrział wzdłuż ulicy, wyraźnie skrepowany.

- Tamta sprawa z Macarde'em... To, jak przyłożył ci rewolwer do głowy i tak dalej...

Crake czekał.

- Przykro mi, że tak się to potoczyło - powiedział w końcu Frey.

Demonista przyglądał mu się przez chwilę z nieodgadniętym wyrazem twarzy. W końcu lekko skinął głową i bez słowa się oddalił.

\* \* \*

Frey poszedł do Południowej Dzielnicy, mniej zamożnej części miasta, gdzie odwiedził krawca i sklep specjalizujący się w teatralnym makijażu. Potem udał się na poszukiwanie partyjki rejka.

Południowa Dzielnica była najbardziej podłą okolicą, na jaką stać było Aulenfay, co oznaczało, że wciąż była raczej malownicza w uroczym zaniedbanym sposób. Na krętych uliczkach i w brukowanych zaułkach nie walały się prawie wcale śmieci. Posążki i małe, zadbane fontanny wciąż zaskakiwały gości za każdym zakrętem. Nie było widać dzieci w łachmanach ani brudnych żebraków. Aulenfay miało surowe przepisy zabraniające takich rzeczy.

Książęca Milicja tego pilnowała, patrolując ulice w swoich sztywnych, brązowych mundurach. Frey schodził im z drogi.

Mimo ryzyka związanego z przylotem do dużego miasta dał się namówić Crake'owi. Musiał poczynić pewne przygotowania, zanim ruszył na poszukiwania Amalicii Thade w jej odludnym klasztorze, ale nie był to jedyny powód. Załoga potrzebowała odpoczynku. Katastrofalnie zakończony atak na frachtowiec, ucieczka przed Rycerzami Centurii, frustrujący czas spędzony na nudzeniu się i marznięciu w Yortlandii - wszystko to ich wyczerpało i mieli serdecznie dosyć swojego towarzystwa. Odrobina wolnego wszystkim im dobrze by zrobiła, a Aulenfay świetnie się do tego nadawało.

Czy wszyscy wrócą - to była inna sprawa, ale Frey się tym nie przejmował. Jeśliby odeszli, to by odeszli. Zrozumiałby. Każde z nich podejmowało własne decyzje.

Musiał się trochę natrudzić, żeby znaleźć salon gry w rejka. Nie był w tych stronach od kilku lat. Ale lokal wciąż był na swoim miejscu, w piwnicy starej gospody: mała salka z trzema okrągłymi stołami i kopulastym sklepieniem ze starej, szarej cegły. Dym unosił się w powietrzu, oliwne latarnie rzucały gęste cienie. Gracze w rejka nie lubili grać w zbyt silnym oświetleniu. Większość z nich przelotnie tylko zaznawała światła dnia.

Kiedy Freya wpuszczono, tylko jeden stolik był zajęty. Siedziało przy nim trzech mężczyzn, wpatrzonych w swoje karty. Przed nimi leżały matowe stosy monet. Jeden z nich był chudy, dziobaty, o aparycji przedsiębiorcy pogrzebowego. Drugi był podstarzałym, bezzębnym pijakiem, trzeci wąsatym, tęgim jegomościem o rumianej twarzy, w wytartym cylindrze. Kiedy Frey usiadł, przedstawili się jako Foxmuth, Scrone i Gremble, co go rozbawiło, bo zabrzmiało jak kancelaria prawnicza.

Sam podał fałszywe nazwisko. Zamówił drinka, wysypał zawartość sakiewki na stół i zabrał się do gry.

Szybko się zorientował, że jego przeciwnicy są fatalnymi graczami. Z początku

podejrzewał, że to jakiś podstęp: że może udają brak umiejętności, żeby go zmylić. Jednak w miarę trwania gry przekonywał się coraz bardziej, że to prawda.

Stawiali duże sumy na karty, których nie dostawali. Trzęśli się z podniecenia, kiedy uzbierali nędzną trójkę, a potem obstawiali ją, jakby była nie do pobicia. Dawali się blefować za każdym razem, kiedy widzieli, że Frey bierze niebezpieczną kartę, przerażeni, że ma coś, czym może ich zmiażdżyć.

Od chwili, kiedy usiadł, wygrywał.

Minęło kilka godzin i kilka drinków. Scrone był za bardzo nawalony, żeby skupiać się na grze, i przepuszczał pieniądze na głupoty. W końcu samobójczo zablefował Foxmutha, który miał ful krzyży i przegrał wszystko. Potem zasnął i zaczął chrapać.

Foxmuth został utracony niedługo potem, po ryzykownym sprawdzeniu pary asa i księcia Gremble'a. Jego ostatnia karta nie okazała się być tą, na którą liczył i Gremble zgarnął całą jego forszę.

Frey był tylko lekko zniechęcony. Cały wysiłek, jaki włożył w utrzymywanie swojej przewagi, został zniweczony przez nikczemną grę tamtych dwóch. Oddali całe swoje pieniądze Gremble'owi, sprawiając, że szanse dwóch ostatnich graczy się mniej więcej wyrównały. Frey zabrał się do niszczenia ostatniego przeciwnika.

- Takie moje szczęście - jęknął Foxmuth. - Jak wrócę do domu, żona wybije mi nową dziurę w dupie. Nawet bym tu dzisiaj nie przyszedł, gdyby urządzili paradę.

Frey słuchał go jednym uchem. Rozdał karty, po trzy każdemu, potem wziął swoje. Przeszedł go lekki chłód podniecenia. Trzech kapłanów.

- Dlaczego nie urządzili parady? - spytał, swobodną rozmową chcąc zamaskować swoją niecierpliwość.

- Earl Hengar miał przylecieć na spotkanie z księciem. Wielka parada i tak dalej. Ale po tym, co się stało... no, uznali chyba że to by było w złym guście czy coś takiego. Odwołali w ostatniej chwili.

- Nic dziwnego. To cholerna hańba - mruknął Gremble. Postukał w stół na znak, że nie chce obstawiać.

- Stawiam - powiedział Frey. - Dwa.

Pchnął przed siebie monety. Na otwarcie była to wysoka stawka, ale do tej pory poznał już styl gry Gremble'a. Zamiast się przestraszyć, jego przeciwnik założyłby, że to blef, i wyrównał. I to właśnie zrobił.

Frey wyłożył na środek jeszcze cztery karty, dwie na każdego z graczy. Dwie koszulkami w górę, dwie koszulkami w dół. Odkryta była dama skrzydeł i kapłan czaszek.

Serce zabiło mu mocniej. Gdyby udało mu się dostać tego kapłana, miałby karty prawie nie do pobicia. Ale Gremble, na lewo od rozdającego, mógł wybrać swoje karty jako pierwszy.

- Co jest hańbą? - spytał Frey, chcąc podtrzymać rozmowę. Chciał rozproszyć Gremble'a.

- Hengar i ta samarłańska dziwka.

Frey popatrzył z niezrozumieniem.

- Nie wiesz? Mieszkasz w jakiejś pustelni, czy coś?

- Prawie - odparł Frey.

- Nie pisali o tym w gazetach - powiedział Foxmuth. - Nie ośmielili się dać tego do druku. Ale wszyscy wiedzą. Rozeszło się w zeszłym tygodniu.

- Nie było mnie w kraju - odparł Frey. - Yortlandia.

- Zimno - skomentował Gremble, biorąc przy tym damę skrzydeł. Frey w duchu aż zadrżał.

- Owszem - przytaknął. Kapłan był jego. Ostentacyjnie udał, że się zastanawia, czy wziąć jedną z zakrytych kart, czy nie. - To o co chodzi z Hengarem?

Hengar, earl Thesku i jedyne dziecko arcyksięcia. Następca tronu Dziewięciu Księstw Vardii. Brzmiało to jak coś, czego Frey powinien wysłuchać z uwagą, ale on skupiał się na pozbawieniu tego biednego tępaka wszystkich pieniędzy. Wziął kapłana. Cztery kapłany na rękę. Gdyby dobrze to rozegrał, cała partia byłaby jego.

- Rozeszły się plotki, tak? - zaczął ochoczo Foxmuth. - O Hengarze i jakiejś księżniczce Sammiech czy coś takiego.

- To nie była księżniczka, tylko ktoś inny - przerwał Gremble, marszcząc brwi i patrząc na swoje karty.

- No tak, wszystko jedno - ciągnął Foxmuth. - Hengar miał z nią potajemne spotkania.

- Polityczne?

- Wręcz przeciwnie - mruknął Gremble. - Byli kochankami. Dziedzic Dziewięciu Księstw i cholerna Sammie! Rodzina próbowała to przerwać, ale on nie chciał słuchać, więc całą sprawę tuszowali. Ale w zeszłym tygodniu, no... Mogę tylko powiedzieć, że ktoś musiał się wygadać.

- Co złego w tym, że to Sammie? - spytał Frey.

- Przepałeś obie wojny, czy co? - wykrzyknął Gremble.

- Nie byłem na froncie. W pierwszej latałem jako transportowiec. Nie brałem udziału w żadnej akcji. W drugiej pracowałem dla Marynarki, zrzuty zaopatrzenia i tak dalej.

Zamknął się, zanim powiedział więcej. Nie chciał wracać do tamtych czasów. Ostatni

wrzask Rabby'ego, kiedy zamknęła się rampa załadunkowa, wciąż prześladował go nocami. Nie potrafił zapomnieć okropnej, niekończącej się, szarpiącej męki dakkadyjskiego bagnetu wbijającego mu się w brzuch. Na samą myśl wściekł się na ludzi, którzy wysłali go tam na śmierć. Na Marynarkę Koalicji.

Gremble sapnął, jasno dając do zrozumienia, co sądzi o udziale Freya w wojnie.

- Ja byłem w piechocie, w obu wojnach. Widziałem rzeczy, których sobie nie wyobrażasz. A takich jak ja jest bardzo wielu. Bebechy mi wykręca, jak pomyślę, że nasz earl Hengar miział się z jakąś sammijską szmatą.

- Jak się rozeszła plotka?

- A bo ja wiem - warknął Gremble. - Ale arcyksiążę nie jest z tego powodu zbyt szczęśliwy, załóżę się. Tyle już krąży pogłosek o arcyksiężnej, że jest potajemnie demonistką i tak dalej. Wiesz, że się mówi, że arcyksiążę ma pułk golemów, które pilnują jego pałacu w Thesku? I że planuje stworzenie więcej takich pułków, żeby walczyły na naszych frontach?

- Nie wiedziałem o tym - powiedział Frey.

- Tak mówią. Mówią, że stoi za tym arcyksiężna. Mówią, że robi to wszystko, żeby osłabić Przebudzonych. Przebudzeni i demoniści nienawidzą się nawzajem.

- Tak, słyszałem - stwierdził Frey, wspominając swoją wcześniejszą rozmowę z Crakiem.

- A teraz Hengar się tak zachował... - Gremble cmoknął z dezaprobatą. - Wiesz, kiedyś go lubiłem. Świetny gracz w rejka, wiesz? - Skrzyżował ręce na piersi i głośno sapnął. - Ale teraz? Sam nie wiem, co się porobiło z tą rodziną.

- Skoro mowa o rejku, obstawiasz?

- Pięć! - warknął Gremble.

- Podnoszę o pięć - odparł Frey.

- Stawiam wszystko! - oznajmił natychmiast Gremble, przesuwając całe swoje pieniądze na środek stołu. Potem rozsiadł się na krześle i popatrzył na swoje karty z miną kogoś, kto się zastanawia, co właśnie zrobił.

Frey zastanawiał się tylko przez chwilę.

- Dobrze - zgodził się.

Gremble zbladł. Tego się nie spodziewał.

Frey położył z uśmiechem swoje karty.

- Cztery kapłany - powiedział. Jego przeciwnik jęknął. W kartach miał asa, dziesiątkę, trójkę skrzydeł i damę skrzydeł, którą przed chwilą wziął. Zamierzał zebrać fula skrzydeł, ale nawet gdyby mu się to udało, nie pobiłby czwórki kapłanów.

Chyba że Frey wyciągnąłby asa czaszek.

As czaszek był dziką kartą. Zazwyczaj był nic niewart, ale w odpowiednich okolicznościach potrafił odwrócić bieg gry. W większości przypadków, jeśli gracz miał go w ręku, unieważniał wszystkie pozostałe karty, które natychmiast przegrywały rozdanie. Można było jednak włączyć go do mocnego układu - trzech asów, ciągu albo fula czy nawet wyżej - w takim przypadku układ stawał się nie do pobicia.

Gdyby Frey wyciągnął asa czaszek, jego czwórka kapłanów została by skasowana i wszystko by przegrał.

Na stole zostały dwie karty, zakryte. Gremble sięgnął i odkrył jedną z nich. Księżę skrzydeł. Ułożył swojego fula skrzydeł, ale teraz nie miało to znaczenia. Opadł na krzesło z prychnięciem obrzydzenia.

Frey sięgnął po swoją kartę, ale za nim wybuchło jakieś zamieszanie. Obejrzał się, gdy po schodach zbiegł chłopak z gospody.

- Słyszeliście? - spytał nagłym tonem. Scrone poderwał się na krześle, na wpół rozbudzony, a potem znów stracił przytomność.

- Co słyszeliśmy, chłopcze? - zapytał ostro Foxmuth, wstając.

- Na ulicach są heroldzi. Ogłaszają, dlaczego parada została odwołana. To przez Hengara!

- Proszę, a nie mówiłem? - rzucił Gremble z nutą triumfu w głosie. - Wstydzą się tego, co zrobił, i bardzo dobrze!

- Nie, nie o to chodzi! - zawołał chłopak. Był autentycznie wystraszony. - Earl Hengar nie żyje!

- Ale to... Niech to diabli, nie żyje? - wykrztusił Foxmuth.

- Był na frachtowcu nad Hookhollowami. Doszło do jakiegoś wypadku, coś poszło nie tak z silnikiem i... - Chłopak wyglądał na wstrząśniętego i zaskoczonego. - Runął z całą załogą.

- Kiedy? - spytał Frey. Napięły mu się mięśnie karku, na skórze poczuł zimno. Nie oderwał jednak wzroku od ostatniej zakrytej karty na stole.

- Słucham pana?

- Kiedy to się stało?

- Nie wiem, proszę pana. Nie powiedzieli.

- A co to za pytanie? - wściekł się Gremble. - Kiedy? Kiedy? Jakie to ma znaczenie, kiedy? On nie żyje! Diabli i demony! To tragedia! Taki świetny młody człowiek, zabrany nam u szczytu swoich sił!

- Dobry człowiek - zgodził się ponuro Foxmuth.

Ale „kiedy” miało znaczenie. „Kiedy” było dla Freya najważniejsze. „Kiedy” było ostatnią nadzieją, jaką miał, że być może, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, mógł



uniknąć straszliwego, miazdzącego brzemienia, które - czuł to - właśnie na niego spadało. Jeśli to się wydarzyło wczoraj albo przedwczoraj... jeśli to mogła być tak świeża sprawa...

Ale wiedział, kiedy to się stało. Trzy tygodnie temu. Po prostu nie byli w stanie dłużej trzymać tego w tajemnicy.

Rycerze Centurii. Zlecenie od Quaila. Wszyscy ci ludzie, podróżujący incognito frachtowcem. Nazwa statku. Wszystko się zgadzało. W końcu Hengar podróżowałby przecież w tajemnicy, wracając z niedozwolonej wizyty w Samarii. I czy nie był zapalonym graczem w rejka?

Gallian Thade zaaranżował śmierć jedyne syna arcyksięcia. I wrobił w nią Freya.

Frej sięgnął i odwrócił ostatnią kartę.

Wyszczerzył się do niego as czaszek.

## 13

### *Frej w opalach - Tajemniczy statek - Imperatorzy*

Frej brnął przez górską przełęcz, ciasno opatulony płaszczem, chłostany po twarzy zamarzającym deszczem. Wiatr zawodził, jęczał i popychał go ze wszystkich stron, a on bezustannie mamrotał pod nosem ciąg przekleństw, które trzymały go na nogach już od kilku kłomów. W ładny dzień Wyżyna Anduzjańska o świcie wyglądała wspaniale, wręcz zapierała dech w piersiach - z jej zielonymi zboczami i głębokimi jeziorami ukrytymi wśród iglic czarnych, posepnych skał. Dziś dzień nie był ładny.

Frej tęsknił szczerze za schronieniem i wygodami swojej kajuty. Wspominał z czułością brudne ściany i wąską koję, hamak z bagażami, który groził pęknięciem i zasypaniem go lawiną skrzyń i waliz. Te luksusy wydawały mu się teraz, po godzinach zbierania cięgów od przyrody, niedosięglym marzeniem. Był żałośnie nieprzygotowany na spotkanie z żywiołami. Twarz bolała go, jakby wychłostano mu ją do żywego, a zęby nieustannie szczękały.

Oplakiwał swojego pecha, przez którego złapała go burza. I co z tego, że wyruszył całkowicie nieprzygotowany? Skąd miał wiedzieć, że pogoda się zepsuje? Nie umiał przewidywać przyszłości.

Wydawało mu się, że upłynęły już całe dni, odkąd opuścił „Ketty Jay” ukrytą w

kotline. Nie mógł ryzykować lądowania zbyt blisko celu z obawy, że ktoś ich zauważy, więc posadził statek po drugiej stronie wąskiego górskiego grzbietu. Pokonanie przełęczy powinno mu być zajęć około pięciu godzin. Co najwyżej sześciu.

Kiedy wyruszał, niebo było czyste, a gwiazdy migotały w ostatnich świątła dnia. Nic nie zwiastowało nadchodzącej burzy. Malvery pomachał mu wesoło i napił się rumu za powodzenie wyprawy. Crake bawił się nowymi zabawkami kupionymi w Aulenfay. Pinn ukradł pisak do teatralnego makijażu, który Frey kupił w Południowej Dzielnicy, i namalował sobie na czole Cyfrę - sześć połączonych sfer, symbol wiary Przebudzonych. Biegał dookoła w za dużych szatach Przebudzonego, uszytych na miarę Freya, robił głupie miny i błaznował.

Frey, wyruszając, był przepelniony optymizmem. Wszyscy wrócili z Aulenfay. Uznał to za wotum zaufania, nawet jeśli prawda była taka, że nie mieli lepszej alternatywy. Czuł się jednak dobrze, mimo wiszącej nad nim wiadomości o śmierci Hengara. Wyduszenie informacji z Quaila dodało mu energii. Dowiedzieli się, kto firmował wymierzony przeciw niemu mroczny spisek. Dało mu to cel. Tak bardzo przywykł już do uciekania, że zapomniał, jakie to uczucie się odgryzać, i z zaskoczeniem stwierdził, że mu się to podoba.

Poza tym, myślał radośnie, sytuacja przedstawiała się tak źle, że gorsza raczej być nie mogła. W pewnym momencie Przesztawało mieć znaczenie, czy powiesiliby go za piractwo, masowy mord czy zabójstwo earla Hengara, następcy arcyksiążęcego tronu. Jakkolwiek by na to patrzeć, byłby martwy.

A to oznaczało, że od tej pory mógł robić właściwie to, na co miał ochotę.

Wciąż miał optymistyczny nastrój, kiedy pierwsze złowieszcze chmury nadpłynęły z zachodu i zasłoniły księżyc. Był uparcie wesoły, kiedy jego twarzy dotknęły pierwsze krople deszczu. Potem zawyła wichura, co nadwątlilo nieco jego zawadiacką pewność siebie. Deszcz zmienił się w ulewę, Frey zabłądził i uświadomił sobie, że nie ma mapy. Teraz był już przemarznięty do szpiku kości i rozpaczliwie szukał schronienia, ale nie mógł żadnego znaleźć, a zresztą nie miał zapasów, by przeczekać rozszalałą burzę. Postanowił iść dalej. W końcu musiał być już blisko.

Nie był.

Świt zastał go wyczerpanego i bez sił. Twarz Freya stała się równie ponura, jak chmury na niebie. Uparcie brnął przed siebie, ze spuszczoną głową zmagając się z nawałnicą. Cały dobry nastrój dawno go opuścił. Teraz naprzód pchał go nie optymizm, ale wściekłość. Nie zamierzał się zatrzymywać, dopóki nie dotrze do celu. Za każdym razem, kiedy pokonywał wzniesienie i widział przed sobą następne, wpadał w coraz większy gniew. Przełęcz musiała się gdzieś kończyć. Frey zmagając się z górą, a duma nie pozwalała mu ulec przed nadętym

kawałkiem skały, nieważne, jak wielki by był.

W końcu wiatr ucichł, a deszcz zelżał do mżawki. Nastrój Freya trochę się poprawił. Najgorsze już za nim? Nie śmiał o tym głośno myśleć z obawy, że sprowokuje następną nawałnicę. Los lubił go w ten sposób dręczyć. Wszechdusza karała optymistów.

Wspiął się z trudem na jeszcze jedno namoknięte, zielone zbocze i spojrzął w dolinę za nim. Tam wreszcie zobaczył klasztor Przebudzonych, w którym zamknięto Amalicię Thade.

Klasztor stał na brzegu rzeki, był wielką, kwadratową budowlą wzniesioną wokół rozległego, centralnego dziedzińca. Otaczały go trawniki przechodzące w pola orlic i innych wysokogórskich roślin. Jego grube, obrosnięte winoroślą mury głęboko osadzone okna i masywne gzymsy kojarzyły się Freyowi z uniwersytetem albo szkołą. Miał w sobie jakąś powagę, ciężar, który Frey utożsamiał zazwyczaj z instytucjami oświaty. Świat akademii zawsze mu imponował, ponieważ miał z nim tylko przelotny kontakt. Cała ta tajemna wiedza czekająca, aż się ją pozna - gdyby tylko kiedykolwiek mu się chciało.

Niedaleko od klasztoru, połączone z nim żwirową ścieżką, znajdowało się niewielkie lądowisko. Do doliny nie prowadziła żadna droga. Podobnie jak do wielu innych miejsc w Vardii można było się tu dostać wyłącznie drogą powietrzną. W kraju tak rozległym, o tak nieprzyjaznym ukształtowaniu terenu, drogi i koleje żelazne przestały mieć sens z chwilą wynalezienia statków powietrznych. Jeden róg lądowiska zajmował niewielki statek towarowy. Było to najprawdopodobniej jedyne ogniwo łączące klasztor ze światem, choć od czasu do czasu z pewnością przybywali tu inni goście.

Frey widział małe postacie strażników Przebudzonych patrolujących okolicę, uzbrojonych w karabiny. Wchodzili do wartowni stojącej poza klasztorem i wychodzili z niej. Zamierzał zjawić się tu w środku nocy, ale błędzenie w burzy mocno go opóźniło. Nie miał szans, żeby niezauważony podejść do klasztoru w ciągu dnia.

Deszcz ustał zupełnie, zza chmur zaczęło wyglądać słońce. Jego promienie padały na góry w oddali, niczym ciepłe snopy światła reflektorów sunące w stronę Freya. Pozostało mu jedynie znaleźć jakąś kryjówkę i odpocząć do zmroku. Teraz, kiedy burza ucichła i dotarł do celu, był tak zmęczony, że mógłby paść tam, gdzie stał. Po krótkim poszukiwaniu znalazł niewielkie, osłonięte zagłębienie. Usypał sobie stos suchych liści paproci i zasnął na nim, pod osłoną korzeni uschniętego drzewa.

\* \* \*

Obudził go odgłos silników.

Była noc, pogodna i chłodna. Frey wyplątał się z paproci i wstał. Skórę pokrywał mu

zastarzały pot, ubrania miał sztywne i rozpaczliwie musiał się wysikać. Całe ciało bolało go, jakby został wprawnie obity przez grupę złośliwych karłów. Wstał, jęknął i przeciągnął się, a potem splunął, żeby pozbyć się kwaśnego posmaku z ust. Potem poszedł zobaczyć, co to za hałasy.

Spojrzał w dolinę, jednocześnie sikając pod drzewem. Księżyc malował cały świat odcieniami błękitu i szarości. Okna klasztoru jarzyły się zapraszająco, sugerując ciepło, wygodę i schronienie. Frey nie mógł się doczekać, kiedy się włamie do środka, choćby po to, by przez chwilę mieć dach nad głową.

Statek, który usłyszał, był małą, czarną barką, najeżoną uzbrojeniem. Krępa, wrednie wyglądająca jednostka, być może tabington wolverine czy coś z tej linii, siadała właśnie na lądowisku, w oślepiającym blasku reflektorów.

Gość, pomyślał Frey, zapinając spodnie. Lepiej zejść na dół, póki są nim zajęci.

Zszedł w dolinę, kryjąc się w orlicach, gdy mógł, przebiegając przez otwarty teren, gdy musiał. Dotarł do rzeki, gdzie znalazł lepszą osłonę w krzakach porastających jej brzegi, i wzdłuż niej ruszył w stronę klasztoru. Wokół nowo przybyłego statku zaczęła się krzątania. Wartownicy przerwali swoje patrole i otoczyli go kordonem. Ustawili się też wzdłuż ścieżki łączącej lądowisko z wartownią.

Zostaw ich w spokoju, powiedział sobie Frey. Wykorzystaj zamieszanie. Dostań się do budynku. Rób to, po co tu przyszedłeś.

Chwilę później czołgał się przez paprocie w stronę lądowiska, żeby móc się lepiej przyjrzeć. Chciał tylko wiedzieć, o co to całe zamieszanie.

Statek stał na asfalcie, skąpany w ostrym świetle własnych lamp. Choć miał opuszczoną rampę, wciąż nie zgasił turbin ani silników aerium. Najwyraźniej nie zamierzał tu długo zostawać.

Kiedy podszedł już tak blisko, jak śmiał, Frey przykucnął i zaczął obserwować. Wiatr szeleścił w paprociach wokół niego. Statek miał na spodzie wymalowaną nazwę: „Chwila Ciszy”. Frey nigdy o nim nie słyszał.

Strażnicy ustawili się, jakby spodziewali się ataku, wzdłuż ścieżki między statkiem a szeroko otwartymi drzwiami budynku. Byli ubrani w szare sutanny o wysokich kołnierzach, krojone tak samo jak stroje wszystkich Przebudzonych, przy pasach mieli sztylety o podwójnych ostrzach, a w rękach karabiny. Na piersiach nosili wyszytą czarną Cyfrę - złożony wzór małych, połączonych okręgów.

Strażnicy, jak tłumaczył Crake, nie byli prawdziwymi Przebudzonymi. Brakowało im umiejętności i inteligencji, by wtajemniczono ich w regułę zakonu. Dlatego właśnie nosili

Cyfrę wyszytą na piersiach, nie wytatuowaną na czołach. Służyli sprawie w inny sposób - jako obrońcy wiary. Nie słynęli bynajmniej z wyszkolenia ani skuteczności, ale byli zdyscyplinowani. Frey postanowił traktować ich z takim samym szacunkiem, jaki rezerwował dla każdego, kto miał w rękach broń zdolną zrobić w nim dziurę.

Wszyscy byli podekscytowani. Działo się coś ważnego.

W wartowni zapanowało jakieś poruszenie i wyszło z niej kilku strażników. Nieśli dużą, okutą żelazem skrzynię, uginając się pod jej ciężarem. Skrzynia była dziełem sztuki - polakierowano ją na ciemną czerwień, a zamknięcie miało kształt wilczego łba. Frey poczuł nagle wielką chęć dowiedzenia się, co jest w środku.

Strażnicy byli już prawie przy statku, kiedy po rampie zeszły im na spotkanie dwie postacie. Na ich widok Frey poczuł zimne ciarki. Nagle uznał, że znalazł się stanowczo za blisko tego statku.

Od stóp do głów przybysze odziani byli w obcisłe stroje z czarnej skóry, skrywające każdy centymetr ciała. Mieli rękawice i wysokie buty, do tego płaszcze z narzuconymi kapturami. Twarze ukrywali za gładkimi, czarnymi maskami, zza których widać było tylko oczy.

Imperatorzy. Budzący największą grozę agencji Przebudzonych. Ludzie potrafiący wysysać innym myśli z głów, jeśli wierzyć opowieściom. Ludzie, którzy potrafili doprowadzić kogoś do obłędu samym spojrzeniem.

Frey skulił się w paprociach.

Strażnicy postawili skrzynię przed imperatorami, potem jeden z nich przyklęknął i otworzył ją. Frey był za daleko, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Jeden z imperatorów pokiwał głową, usatysfakcjonowany, i skrzynię zamknął. Strażnicy podnieśli ją i wnieśli na rampę „Chwili Ciszy”. Wyłonili się z powrotem, zostawiwszy swój bagaż w środku. Wymieniono kilka słów, a potem jeden z imperatorów wszedł na pokład statku. Drugi ruszył za nim, ale nagle się zawahał i przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał. Potem odwrócił się i wbił spojrzenie w miejsce, gdzie Frey chował się w paprociach.

Freya zalało okropne uczucie, wstrętne, nieczyste. Serce załomotało mu ze zgrozy. Skulił się mocniej, niknąc w zaroślach, kryjąc się wśród liści i łodyg. Nozdrza wypełnił mu ziemny zapach wilgotnej ściółki i lekko kwaśny paproci. Z całych sił pragnął zmienić się w kamień, w królika, w coś małego i nieznaczącego. Cokolwiek, co uszłoby uwagi imperatora. Jakaś odległa część jego umysłu wiedziała, że tak wszechogarniający strach nie jest naturalny, że działają tu jakieś dziwne siły, ale rozsądek i logika umknęły.

A potem, nagle, dziwne uczucie zniknęło. Strach go opuścił. Frey pozostał skulony, nie śmiał drgnąć, ciężko dyszał, ogarnięty obezwładniającą ulgą. Minęło, minęło. Mamrotał rozpaczliwe podziękowania do nikogo w szczególności. Nigdy więcej, przysiągł sobie. Nigdy więcej nie będzie przez to przechodził. Tych kilka sekund należało do najstraszniejszych w jego życiu.

Usłyszał jęk hydraulicznych mechanizmów zamykających rampę ładowni. Zahuczały elektromagnesy silników aerium. „Chwila Ciszy” startowała.

Frey zebrał się na odwagę i podniósł głowę, wyglądając nad paprocie. Imperatorzy zniknęli. Oczy wszystkich skierowane były na statek. Frey wykorzystał chwilę i skoczył w stronę klasztoru.

Niech to szlag, co oni mi zrobili?

Pamiętał niejasno tylko jedno wydarzenie, które mogło się równać z męką sprzed chwili. Był młody, miał może siedemnaście lat, i razem z paroma przyjaciółmi poszedł na pola, gdzie rosły bardzo „niezwykłe” grzyby. Noc zaczęła się od wesołości, a skończyła w objęciach miażdżącej paranoi; Frey bał się, że pęknie mu serce, nękany przez nieistniejące nietoperze. Tamten pierwotny, absurdalny strach zmienił pewnego siebie, młodego człowieka w rozdygotany wrak. Teraz znów go dotknął.

Kiedy dotarł do klasztoru, oddychał już normalnie i znów nad sobą panował. Był wstrząśnięty, ale cały. Zbliżył się do budynku od tyłu, gdzie nie dostrzegł żadnych strażników, i przywarł do chłodnego kamiennego muru. Ochrona wydawała się tu dość luźna. Był za to wdzięczny. Wartownicy nie spodziewali się żadnych kłopotów. Strzegli tego miejsca przed piratami i innymi rozbójnikami, którzy mogliby uznać wizję klasztoru pełnego młodych, wyposzczonych kobiet za kuszącą.

Frey poweselał na tę myśl. Zapomniał całkiem o tej młodości i wyposzczeniu. Dzięki temu błąd w Aulenfay bolał trochę mniej, choć policzki wciąż piekły go na wspomnienie.

Przyglądał się Przebudzonym na Starym Placu i wypytywał Crake'a o ich wiarę. Zamierzał przebrać się za mówcę, by móc bez kłopotów poruszać się po klasztorze. Gratulując sobie nadzwyczaj dokładnych przygotowań, zaskoczył Crake'a, pokazując mu się w przebraniu mówcy - białej sutannie z wysokim kołnierzem i czerwonymi lamówkami, sandałach, z wymalowaną na czole imitacją wytatuowanej Cyfry.

- I co powiesz? - spytał z dumą.

Crake wybuchnął śmiechem, a potem wyjaśnił nieco zdezorientowanemu kapitanowi, że klasztorzy Przebudzonych nigdy nie były koedukacyjne. Akolito zabraniano kontaktu z płcią przeciwną. W klasztorze Amalicii wykładały kobiety, a w salach zasiadały same uczennice.

Strażnikom mężczyznom zakazano wstępu do środka, nie licząc wyjątkowych okoliczności, ale wtedy akolitki musiały przebywać w swoich Pokojach. Pożądanie przeszkadzało w medytacjach koniecznych do komunikowania się z Wszechduszą.

- Chcesz mi powiedzieć, że to budynek pełen kobiet, które całymi latami nawet nie widziały mężczyzny? - spytał Frey.

- Chcę ci powiedzieć, że twoje sprytnie przebranie będzie tam bezużyteczne, bo mężczyzna-mówca nie powinien przebywać w promieniu dwudziestu kłomów od tego klasztoru - odparł Crake. - Ciekawe jednak, że najpierw wysnułeś ten drugi wniosek. Nigdy nie uważałem cię za człowieka, który widzi szklanę w połowie pełną.

- Cóż, trzeba sobie jakoś radzić - stwierdził Frey, wyobrażając już sobie przyjemną śmierć z seksualnego wyczerpania po brutalnym gwałcie przez dziesiątki rozszalałych, młodocianych piękności.

Wyrzucił więc swoje przebranie. Pinn znalazł je później i od tamtej pory nie zdejmował, dla zabawy udając Przebudzonego. Przez pierwszych kilka godzin było to nawet zabawne, ale Pinn, zachęcony reakcjami, przeciągnął żart daleko za jego naturalny koniec i teraz tylko wszystkich irytował. Frey nie byłby zaskoczony, gdyby po powrocie się dowiedział, że Malvery pobił Pinna i spalił jego przebranie. Właściwie miał nawet taką nadzieję.

Znalazł dwie pary małych drzwi w zagłębieniach muru, ale Przebudzeni prowadzący klasztor mieli dość rozsądku, by je zamykać. Rozważył wybicie szyby, jednak okna znajdowały się wysoko i były bardzo wąskie. Wolałby nie utknąć w jednym z nich. W końcu odkrył wejście do schronu burzowego wyglądające, jakby prowadziło pod budynek. Te okolice często nawiedzały huragany. Drzwi zabezpieczono grubym łańcuchem spiętym kłódką, nową i solidną. Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez piłowania i walenia. Intruz z pewnością zostałby schwytyany, zanim pokonałby zamek.

Frey wyciągnął kordelas i dotknął czubkiem kłódki.

- Myślisz, że dasz radę? - spytał. Nie wierzył tak naprawdę, że broń go rozumie, ale ona jak zwykle wydawała się wyczuwać jego zamiary. Poczul, że zaczyna wibrować mu w dłoni. Z metalu dobył się cichy, wysoki jęk. Po chwili dołączył do niego inny dźwięk, tworząc dysonans, od którego Freya rozboleły zęby. Kłódka zaczęła trząść się i podskakiwać.

Nagle, zupełnie z własnej woli, kordelas skoczył w górę i w dół. Ucho kłódki odpadło, a łańcuch zsunął się na ziemię. Na ostrzu nie pozostał nawet ślad cięcia. Frey nie poczuł też wstrząsu uderzenia.

Popatrzył na kordelas z zaklętym w środku demonem, który Crake dał mu w ramach zapłaty za podróż. To najlepszy interes, jaki w życiu zrobiłem, pomyślał, chowając go do

pochwy.

Wszedł przez klapę schronu, zanim ktokolwiek pojawił się, żeby sprawdzić, co to za hałas. Schody prowadziły do oświetlonego pomieszczenia, z którego słychać było warkot i chrzęst maszynierii. Frey zamknął klapę za sobą i popęzł w głąb klasztoru.

## 14

### *Intruz w Klasztorze - List od serca - Spotkanie po latach*

Frey wstąpił ostrożnie w słaby, elektryczny blask okopconych żarówek. Pomieszczenie na dole schodów okazało się elektrownią klasztoru. Stał tu olbrzymi, stary generator, jęczący, zgrzytający i dygoczący. Frey potrzebował nieco czasu, by sobie wmówić, że maszyna niekoniecznie za chwilę eksploduje, ale ostatecznie logika przewyciężyła instynkt. Ponieważ generator działał od pięćdziesięciu lat albo dłużej, jego wybuch właśnie w tej chwili byłby tak monstrualnym pechem, że nawet Frey nie mógł w to uwierzyć.

Z generatora wychodziły rury prowadzące do kilku bojlerów i akumulatorów, łącząc je z centralną maszynierią na podobieństwo odnóży jakiegoś opuchniętego, metalowego pająka. Powietrze dygotało od nierównego rytmu maszyny i śmierdziało protanowymi spalinami. Freyowi zaczęło się nieprzyjemnie kręcić w głowie.

Ruszył przed siebie, trzymając kordelas w gotowości. Na krótki dystans zawsze wołał użyć ostrza. Elektrownia była ciemna, pełna mrocznych kątów i przejść, z których ktoś mógł wyjść i go zaskoczyć. Frey nie odrzucał ewentualności, że natknie się na mechanika, może nawet na strażnika, chociaż musieliby mieć płuca jak spalinowe silniki, żeby dłuższy czas oddychać tymi oparami.

Generator załomotał głośno i Frey odsunął się, mierząc w niego czubkiem kordelasa. Kiedy nie stało się nic katastrofalnego, rozluźnił się i znów poczuł głupio.

Po prostu się stąd wynoś, powiedział sobie. Porzucając ostrożność, ruszył szybko przez pomieszczenie, zasłaniając ręką twarz i oddychając przez rękaw płaszcza.

Jeśli ktoś tu był, Frey nie zobaczył go ani nie usłyszał. Kilka kamiennych stopni prowadziło do grubych drzwi. Nie były zamknięte. Zajrzał do środka i znalazł się w zagraconym pomieszczeniu pełnym narzędzi. Na kołkach wisały brudne rękawice i gumowe



maski z filtrami gazowymi. Frey zatrzasnął drzwi za sobą, wyciszając warkot generatora. W pomieszczeniu znajdowały się drugie drzwi, prowadzące dalej. Usłyszał dobiegające zza nich głośnie chrapanie.

Chrapanie było dobrym znakiem. O ile ten ktoś nie wymyślił wyjątkowo sprytnego podstępu. Frey przelotnie wyobraził sobie zabójcę czyhającego za drzwiami, z uniesionym sztyletem, głośno chrapiącego. Taki odgłos sugerował, że wróg jest nieprzygotowany, nieuzbrojony i ma niewielkie szanse. Frey podejmował walkę jedynie w takich warunkach, o ile tylko miał możliwość.

Podniósł drzwi na zawiasach, żeby zminimalizować skrzypienie, pchnął je i natychmiast się cofnął. Pokój śmierdzał okropnie niemytymi stopami i skisłymi gazami tak bardzo, że Frey musiał powstrzymać odruch wymiotny. Zerknął na jedną z masek przeciwgazowych na ścianie, a potem wziął głęboki oddech i wśliznął się do środka.

Pomieszczenie wyglądało jak śmietnik. Każda powierzchnia zavalona była brudnymi naczyniami, na wpół pełnymi butelkami po mleku, które dawno się zepsuło, i pornograficznymi ferrotypami z paru podłych wydawnictw. Frey rozpoznał kilka kobiet. W rogu, na zbitym z desek łóżku otoczonym walającymi się po ziemi kośćmi kurczaków i butelkami grogu, leżało włochate, białe cielsko, zaplątane w brudny koc. Frey po dłuższej chwili zorientował się, gdzie jest głowa. Zobaczył ją dopiero, kiedy w zarośniętej, obsypanej okruchami twarzy pojawiła się wielka dziura, a z niej dobiegło straszliwe chrapięcie, przypominające śmiertelny charkot zadławionego wieprza.

Frey wycelował kordelas w dygoczącą masę gołego brzucha stróża i powoli przesuwiał się przez pokój w stronę drzwi na drugim końcu. Okazały się zamknięte. Rozejrzał się i znalazł klucz pod rozsypanymi strużynami z paznokci. Wyjął go ostrożnie, włożył do zamka i przeszedł przez drzwi. Stróż, pogrążony w pijackim śnie, nawet nie drgnął.

\* \* \*

Minęło sporo czasu, zanim Frey znalazł drogę do dormitoriów. Szybkie poszukiwania pozwoliły mu ustalić, że piwnice budynku są labiryntem ciemnych korytarzy i rur, odciętych od właściwego klasztoru prawdopodobnie po to, by stróż nie dostał się do środka i nie przyprawił akolitek o paskudny szok. Musiał mieć osobne wejście, ponieważ kłapa schronu była zamknięta z zewnątrz, ale Frey go nie znalazł. Znalazł za to przewód kominowy, przez który wspiał się na górę z dużym trudem i równie wielką niechęcią.

Kiedy wyłonił się, usmolony i zasapany, z kominka, znalazł się w niewielkiej sieni. Drzwi prowadziły z niej do innych pomieszczeń, a szerokie schody wiodły na piętro.

Panowała tu atmosfera czystej, spokojnej prowincji, chłodny nastrój starego domu nocą. Żarówki wystawały z prostych, żelaznych kinkietów; wystrój był minimalistyczny i dyskretny. Nigdzie nie dostrzegł ołtarzyków ani posągów, których wymagaliby dawni bogowie. Jedynym dowodem przeznaczenia gmachu był oprawiony w złotą ramę, ocieniony portret króla Andreala z Glane, ojca Przebudzonych i ostatniego monarchy. Został przedstawiony w swojej najbardziej królewskiej pozie - ani śladu szaleństwa, które później nim owładnęło, każąc bełkotać przepowiednie, ostatecznie mające o wiele większy wpływ na kraj niż on sam za swoich rządów.

Mało co odwracało uwagę akolitek od celu ich pobytu. Freya otaczały tylko drewniane drzwi, grube belki, gładkie balustrady i rosnące z każdą chwilą wrażenie, że jest tu intruzem.

Nie ma strażników. W środku są tylko kobiety, powiedział sobie. Odkąd to boisz się kobiet?

Wtedy przypomniał sobie Trinicę Dracken i zrobiło mu się trochę niedobrze. Ze wszystkich ludzi na świecie, których nie chciał więcej w życiu spotkać, ona była na samym szczycie listy.

Zapomnij o niej, pomyślał. Masz robotę.

Otrzeptał się najlepiej, jak mógł, choć kiedy skończył, wciąż był pokryty czarnymi smugami sadzy. Kiedy doprowadził się już do jakiegoś takiego porządku, zajrzał przez najbliższe drzwi. Krótki korytarz prowadził do pustego, drewnianego pokoju z małym koksownikiem na środku. Dookoła niego kręgiem rozłożono maty. Przez świetlik wpadały promienie księżyca.

Sala do medytacji, domyślił się Frey, wycofując się. Przebudzeni kładli wielki nacisk na medytację, tak mówił mu Crake. „Siedzenie w kółku i nierobienie niczego wymaga wielu lat praktyki”, dodał kpiąco.

Inne drzwi wiodły do korytarzy, które doprowadziły Freya do małego gabinetu, archiwum pełnego szafek i papierów oraz sali wykładowej z rzędami ławek ustawionych po trzy razem. Wszystkie okna osadzono wysoko w ścianach, za wysoko, żeby dało się przez nie wyjrzeć bez drabinki. Najwyraźniej zainteresowanie światem zewnętrznym było tu źle widziane.

Wkrótce potem znalazł się w pomieszczeniu z kamiennym stołem, z wyżłobionymi w nim, poplamionymi na czerwono rynienkami na krew. Niepokojące wizje ofiar z ludzi zbladły, kiedy Frey przypomniał sobie, że wielu Przebudzonych usiłowało zrozumieć Wszechduszę przez czytanie we wnętrzościach. Kiedy zastanawiał się, jak to niby miało działać, usłyszał w oddali kroki i głosy rozmawiających kobiet. Ktoś nie spał mimo późnej pory. Trudno powiedzieć, czy zbliżały się w jego stronę, ale na wszelki wypadek wrócił na

korytarz i ruszył schodami na górę.

Problem odnalezienia Amalicii już wewnątrz klasztoru nie zaprzętał Freyowi głowy, kiedy planował swoją śmiałą wyprawę. Rozpraszały go smakowite wizje tego, co armia odizolowanych od świata kobiet może zrobić, kiedy odkryje między sobą mężczyznę. W obliczu czegoś takiego wszelkie detale były raczej mało istotne. Teraz jednak uświadomił sobie, że nie ma bladego pojęcia, gdzie szukać dziewczyny, i pozostaje mu jedynie zaglądać we wszelkie możliwe zakamarki, aż na coś natrafi.

Gryzła go także jeszcze jedna wątpliwość. Odkąd ojciec Amalicii wysłał ją do klasztoru, minęło około dwóch lat. Owszem, celem klasztoru było trzymać akolitki odizolowane od świata dwa razy dłużej, ale mimo to dwa lata to szmat czasu. Frey nie miał pewności, czy Amalicia w ogóle tu jest. Może ojciec jej wybaczył i pozwolił wyjść?

Nie. Raczej nie. Znał reputację Galliana Thade'a - przebaczenie nie było czymś, co ten człowiek pochwalał.

Poza tym sama Amalicia mu to powiedziała, w ostatnim liście, który mu przysłała.

*mozolek pierwszego, mlóciec, 145/32*

*Najdroższy!*

*Dzięki wysiłkom osób wciąż mi lojalnych i wspierających naszą sprawę odkryłam położenie klasztoru, w którym ojciec zamierza mnie osadzić. Wysyła mnie na Wyżyny. Załączam współrzędne, które Twój nawigator na pewno będzie umiał odcyfrować, mimo że dla mnie są tajemnicą.*

*Wybacz mi proszę okrutne i haniebne słowa, które napisałam w ostatnim liście. Już rozumiem, że mądrze zrobiłeś, uciekając, kiedy mogłeś, bo nastrój mojego ojca bynajmniej się nie poprawił. Wciąż przysięga ci straszną zemstę i najpewniej będzie pragnął Twojej śmierci, aż do chwili, kiedy nadejdzie jego własna. Serce by mi pękło, gdyby spotkała Cię jakakolwiek krzywda. Mój gniew nie był wymierzony przeciwko Tobie, ale przeciwko niesprawiedliwości, która uczyniła mnie córką mojego ojca, a Ciebie mężczyzną urodzonym bez szlacheckiej krwi. Ale nasza miłość drwi z takich rzeczy i wiem, że napelni mnie odwagą...*

*Znajdź mnie, Darianie, i uratuj. Masz swój statek i cały świat stoi przed nami otworem. Ty będziesz dokonywał wielkich czynów w przestworzach, a ja będę u Twego boku, tak jak zawsze marzyliśmy.*

*Ten list powierzam swojej najbardziej zaufanej służce i mam nadzieję, że dotrze do Ciebie i zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Nie będę miała więcej możliwości się z Tobą skontaktować.*

*Z dozgonną miłością,*

No, w końcu jestem, pomyślał Frey.

Na szczycie schodów znalazł następny korytarz z drzwiami po obu stronach. Każde prowadziły do jednoosobowej celi do nauki, wyposażonej w mały pulpit, matę do klęczenia i wąskie, wysoko umieszczone okno. Oprócz tego Frey natknął się na jeszcze kilka sal wykładowych i drzwi do biblioteki zamknięte na klucz. Zamierzał właśnie spróbować otworzyć następną, kiedy nagle usłyszał głos, niespodziewanie blisko.

- To Euphelia, bez dwóch zdań. To ona ciągnie w dół pozostałe.

Skoczył do jednej z sal wykładowych i przycupnął tuż za drzwiami, kiedy zza rogu korytarza wyszły dwie kobiety w kapciach.

- Bardzo poważnie podchodzi do swoich studiów - przekonywała druga. - Jest pilna.

- W takim razie nie dość bystra - odparła pierwsza. - Jej poziom opanowania *Kryptonomikonu* jest żalospny.

Korytarzem przeszły dwie postaci. Frey zobaczył je przelotnie. Były to kobiety w średnim wieku, o siwych, przyciętych krótko i skromnie włosach, ubrane w białe sutanny mówców.

- Za to ma talent do rzucania kości - upierała się druga.

- To fakt, to fakt. Sygnały są bardzo jasne. Ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek będzie potrafiła je odczytać.

- Może powinniśmy skupić się bardziej na kleromancji i złagodzić jej program innych nauk?

- Zrobić dla niej wyjątek? W żadnym razie. Jeśli zaczniemy od niej, będziemy musiały tak robić ze wszystkimi, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Głosy ucichły za zakrętem i Frey się rozluźnił. Wyglądało na to, że klasztor jest wciąż patrolowany, nawet w środku nocy. Kobiety pilnowały, żeby akolitki nie przekradały się do spiżarni czy coś w tym rodzaju. Cóż, wobec tego musiał być ostrożniejszy. Nie sądził, by zdołał bez wyrzutów sumienia uderzyć kobietę.

Niedługo potem znalazł dormitorium dziewcząt i wśliznął się do środka.

Przez chwilę stał tuż za drzwiami, w ciemności. Promienie księżycy z dwóch świetlików padały na dwa rzędy piętrowych łóżek. Spało tu około pięćdziesięciu dziewcząt - zimne światło wydobywało z ciemności ich otulone kocami sylwetki. Słychać było szmer cichych oddechów, przerywany z rzadka chrapnięciem. W powietrzu wisiał zapach nie perfum, lecz czegoś nieokreślonego i kobiecego, w niebezpiecznym stężeniu. Freyowi zrobiło się dziwnie

wesoło.

Można było powiedzieć, że jest ekspertem w sztuce przekradania się przez sypialnie kobiet tak, by ich nie zbudzić. Czekał. Choć wszedł tu, zachowując się jak najciszej, dziewczyny, które nie zasnęły dość głęboko, teraz mogły się zbudzić na najłżejszy hałas. Frey dawał im czas, by opadły z powrotem w głąbiny, zanim ruszył dalej.

Poza tym chciał się porozkoszować tą chwilą. Jego obecność tutaj była czymś naprawdę wyjątkowym.

Ruszył cicho między łózkami, oglądając twarze dziewcząt w blasku księżyca. Ku jego rozczarowaniu na żywo nie wydawały się tak pociągające, jak w jego wyobraźni. Niektóre były po prostu za młode - Frey miał swoje zasady - inne zbyt pospolite, za grube albo miały oczy osadzone za blisko siebie. Ich włosy obcięto w nudne fryzury, żadna też nie miała makijażu. Jedna czy dwie spały z głowami pod poduszką albo twarzami zasłoniętymi rękami, ale żadna nie miała czarnych włosów Amalicii, a ich dłonie - nigdy nieklamiące - były za stare.

Doszedł prawie do samego końca dormitorium, kiedy ją zobaczył. Spała na jednym z dolnych łóżek, z dłońmi pod głową, lekko rozchyłonymi ustami i rozluźnioną twarzą. Nawet bez eleganckiej fryzury i wprawnie nałożonego makijażu wciąż była piękna. Długie czarne włosy kosmykami opadały jej na twarz; łuk ust, pochyłość nosa, linia szczęki były takie same, jak w jego pamięci. Frey poczuł na jej widok ukłucie żalu, ale szybko je zduśił.

Ukląkł obok łóżka i dotknął ramienia Amalicii. Kiedy nie zareagowała, delikatnie nią potrząsnął. Poruszyła się i uchyliła powieki. Na jego widok otworzyła je szeroko; wciągnęła powietrze, żeby wymówić jego imię. Frey szybko przyłożył palec do ust.

Przez kilka chwil tylko na siebie patrzyli. Spojrzenie Amalicii błędziło po jego twarzy, chłonąc szczegóły. Potem odrzuciła koc i wyskoczyła z łóżka. Miała na sobie prostą, bawełnianą koszulę nocną, opinającą jej biodra i pochyłość piersi. Frey poczuł nagłą chęć, by wziąć ją w ramiona, jak to robił często dawniej, ale zanim zdążył to zrobić, chwyciła go za rękę i poprowadziła do drzwi na drugim końcu dormitorium.

Za nimi znajdował się jeszcze jeden korytarz, tak samo ciemny i spartańsko urządzone jak pozostałe. Amalicia rozejrzała się czujnie dookoła, a potem pociągnęła Freya za sobą. Doszli do drzwi prowadzących na wąskie schody. Na górze znajdował się pokój na poddaszu, z dużym świetlikiem ukazującym księżyc w pełni. W kącie stało biurko z kilkoma książkami na blacie. Jakiś prywatny gabinet? Frey zamknął za nimi drzwi.

- Amalicie... - zaczął, ale ona z obrotu kopnęła go w twarz.

# 15

*Zemsta Amalicii - Frey umie Kłamać - Powstaje plan -*

*Zaproszenia, nieprzyzwoite i inne*

Runął w tył, nie tyle od siły ciosu, ile z zaskoczenia. Potknął się i upadł, trzymając się za twarz, z szokiem w oczach.

- Dlaczego to...?

- Dwa lata! - syknęła; jej bosa stopa wystrzeliła i trafiła Freya w bok głowy, prawie go ogłuszając. - Dwa lata na ciebie czekałam!

- Zaczekaj, ja... - zaczął, ale kopnęła go w splot słoneczny i zabrakło mu tchu.

- Wiedziałaś, że uczą nas tu sztuk walki? Rozumiesz, chodzi o to, żeby być w harmonii z własnym ciałem. Dopiero kiedy będziemy w harmonii z samymi sobą, możemy znaleźć harmonię z Wszechduszą. Brednie, oczywiście, ale mają swoje plusy.

Ostatnie słowo podkreśliła wrednym kopniakiem w żebra.

Frey otwierał i zamykał usta jak ryba, usiłując wciągnąć powietrze do płuc. Amalicia przykucnęła nad nim bez litości w spojrzeniu.

- Co z twoimi obietnicami, Darianie? Co z „Nic nie może nas rozdzielić”? Co z „Nigdy cię nie opuszczę”? Co z „Licysz się tylko ty”?

Frey przypominał sobie niejasno, że mówił takie rzeczy i podobne. Kobiety miały skłonność do przyjmowania ich dosłownie. Nigdy nie rozumiały, że oczekując - nie, wymagając - romantycznych obietnic i wyrazów czułości zmuszały mężczyzn do kłamstwa. Alternatywa? Lodowate milczenie, klótnie, a w najgorszym razie znalezienie sobie mężczyzny, który chętnie skłamał. Dlatego jeśli Frey mówił rzeczy, których wcale nie myślał, nie można było go za to winić. Mogła mieć pretensje tylko do siebie.

- Twój ojciec... - wystękał. - Twój ojciec... kazałby... mnie zabić.

- Cóż, tego się nie dowiemy, prawda? Dałeś nogę, kiedy tylko do ciebie dotarło, że się o nas dowiedział!

- Taktyczny odwrót - wycharczał Frey, podpierając się jedną ręką. - Mówiłem ci... że wróce.

Amalicia wstała i wbiła mu piętę w udo. Noga mu zdrętwiała.

- Przystaniesz mnie wreszcie tłuc?! - zawołał.

- Dwa lata! - Jej głos zmienił się w zduszony pisk wściekłości.

- Dwa lata zajęło mi znalezienie cię!

- Och, co za brednia!

- To prawda! Myślisz, że twój ojciec rozgłaszał wszem wobec, gdzie jesteś? Myślisz, że łatwo było cię znaleźć? Odesłał mnie, żebym nie mógł cię odnaleźć, kiedy znikniesz. Przez dwa lata próbowałem zdobyć jakieś informacje, zadawałem się z niewłaściwymi ludźmi, usiłowałem wyprzedzać o krok twojego ojca i... zabójców, których posłał moim tropem. Wiesz, że wynajął Shacklemore'ow? Od dnia, kiedy odleciałem, Shacklemore'owie deptali mi po piętach, a ja każdego dnia usiłowałem zbliżyć się do ciebie.

Było to bezczelne kłamstwo, ale Frey miał talent do oszukiwania. Kiedy kłamał, nawet on sam sobie wierzył. Przez tę krótką chwilę, tak długo, jak długo trwał jego protest, był przekonany, że wszystko to zrobił. Detale nie robiły mu większej różnicy.

Poza tym wiedział na pewno, że Gallian Thade naprawdę wciąż pragnie jego śmierci. To Thade go zrobił. W tym świetle można było uznać za bohaterstwo fakt, że Frey w ogóle wrócił.

Ale Amalicia nie dawała się tak łatwo przekonać.

- Do stu diabłów, Darianie, nie zmyślaj mi tu! Wysłałam ci list, w którym napisałam, gdzie jestem! Siedziałam tu, w tym okropnym miejscu, i czekałam na...

- Nie dostałem żadnego listu!

- Owszem, dostałeś! List, w którym wysłałam ci współrzędne tego miejsca.

- Nie dostałem żadnych współrzędnych! W ostatnim liście nazwałaś mnie tchórzem i kłamcą, między innymi. Ostatni list, jaki od ciebie dostałem, wzbudził we mnie duże wątpliwości, czy w ogóle chcesz mnie jeszcze widzieć.

Amalicia uniosła dłoń do ust. Nagle cała wściekłość z niej wyparowała; zrobiła przerażoną minę.

- Nie dostałeś go? Listu, który wysłałam potem?

Frey popatrzył na nią pustym wzrokiem.

Amalicia się odwróciła, chwyciła się za głowę, zaczęła krążyć po pokoju.

- Och, na Wszechduszę! Ta służka, głupia krowa! Pewnie źle zapisała adres albo nie zapłaciła za przesyłkę, albo...

- Może poczta go zgubiła? - podsunął wspaniałomyślnie Frey. - A może ktoś w jednym z moich miejsc odbioru. Musiałem być cały czas w ruchu, wiesz...

- Naprawdę nie dostałeś tego listu? - dopytywała się Amalicia. Jej głos nabrał współczucia i Frey zrozumiał, że wygrał. - Tego, w którym odwoływałam wszystkie te wstrętne rzeczy, które napisałam wcześniej?

Frey z trudem się dźwignął. Szczęka mu puchła i z trudem stał na zdrętwiałej nodze. Amalicia podbiegła mu pomóc.

- Naprawdę nie dostałem - zapewnił.

- A mimo to przyjechałeś? Mimo to szukałeś mnie przez te wszystkie lata, chociaż myślałeś, że cię nienawidzę?

- Cóż... - Urwał i poruszył obolałą szczęką, zanim zadał ostateczny cios. - Przecież obiecałem.

W świetle księżyca w jej oczach zalśniły łzy. W dużych, ciemnych, ufnych oczach. Zawsze mu się podobały. Zawsze wydawały się takie niewinne.

Amalicia rzuciła się na niego i mocno uściśnęła. Skrzywił się, kiedy zabołały go rany, a potem objął ramionami jej smukłe plecy i zanurzył twarz w jej włosach. Miała czysty zapach. Na pewno czystszy niż wszystkie, które czuł od długiego czasu. Zaczął się nieoczekiwanie zastanawiać, jak wyglądałoby jego życie z nią, gdyby nie jej ojciec, gdyby nie niefortunne okoliczności, które ich rozdzieliły.

Nie. Żadnych wyrzutów sumienia. Gdyby otworzył te drzwi, nigdy już nie zdołałby ich zamknąć.

Amalicia trochę się odsunęła, tak by mogła spojrzeć mu w twarz. Zrobiło jej się przykro, wstydziała się tego, jak tragicznie źle go oceniła. Była wdzięczna, że przyleciał po nią, wbrew wszystkiemu.

- Jesteś jedynym mężczyzną, z jakim byłam, Darianie - szepnęła. - Nie widziałam innego, odkąd ojciec odesłał mnie w to okropne miejsce.

Darian nachylił się bliżej, wyczuwając, że to właściwa chwila, ale ona się cofnęła, gwałtownie wciągając powietrze.

- A ty? - spytała. - Byłeś z kimś?

Spojrzał na nią spokojnie, dając jej odczuć, jak bardzo jest szczerzy.

- Nie - skłamał, stanowczo i z przekonaniem.

Amalicia westchnęła i pocałowała go mocno, obejmując z niewprawną, młodzieńczą zaciekleścią. Gorączkowo zaczęła zrywać z niego ubranie. Frey wyswobodził się z umazanego sadzą płaszcza, a ona w pośpiechu rozsznurowywała mu koszulę, aż ściągnęła ją i odrzuciła. Darian zdjął jej przez głowę nocną koszulę, a potem porwał ją na ręce i pocałował, wdzięczny, że przynajmniej część jego fantazji o wyposzczonych młodych kobietach w



klasztorze właśnie się spełnia.

\* \* \*

Po wszystkim leżeli nadzy na jego płaszczu; skóra mrowiła go rozkosznie w chłodnym powietrzu. Frey przesuwiał palcem po ciele Amalicii, a ona patrzyła na niego z uwielbieniem. Spojrzenie miała zamglone, jakby nie mogła do końca uwierzyć, że znów są razem.

- Po drodze widziałem paru imperatorów - powiedział.

Zachłysnęła się.

- Niemożliwe!

- Tuż pod klasztorem. Strażnicy wynieśli im skrzynię, a tamci załadowali ją na swój statek i odlecieli. Jeden z nich popatrzył prosto na mnie.

- Przerazające.

- Pilnowali tej skrzyni bardzo starannie.

- Pytasz mnie, czy wiem, co mogło być w środku?

- Tak.

- Nie wiem, Darianie. Pewnie jakieś zapyziałe, stare zwoje. Może oryginał *Kryptonomikonu*. Okropnie są wyczuleni na te rzeczy.

- Przypomnij mi jeszcze raz, co to takiego?

- Księga nauk. Zebrali cały ten obłąkany bełkot króla Andreala Szalonego i umieścili go w tej książce.

- Aha - rzucił Frey, natychmiast tracąc zainteresowanie.

- Musimy uciec - stwierdziła Amalicia. - Dziś wieczorem.

- Nie możemy.

- To jedyny sposób, Darianie! Tylko tak możemy być razem!

- Chcę tego, bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale nie powiedziałem ci o pewnej rzeczy. Twój ojciec...

- Co zrobił? - warknęła, natychmiast stając w obronie Freya.

- Możesz nie chcieć tego słuchać.

- Mów!

- Twój ojciec... cóż, on... Wydarzyło się coś strasznego. Statek powietrzny wyleciał w powietrze i zginęło wielu ludzi. Nikt nie wie, kto to zrobił, ale twój ojciec zrobił w to mnie. Mnie i moją załogę. Gdybyś została złapana razem ze mną, poszłabyś wisieć. To zbyt ryzykowne. Bezpieczniejsza będziesz tutaj.

Amalicia popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Można mnie różnie nazywać, ale nie jestem mordercą! - zaprotestował. - Na tym statku był syn arcyksięcia, Amalicio. Twój ojciec to zaaranżował, ale pół Vardii mnie teraz ściga.

- Hengar nie żyje? - Otworzyła usta.

- Tak! I twój ojciec jest w to zamieszany.

Amalicia ze złością pokręciła głową. Zmrużyła oczy.

- Co za łajdak! Nienawidzę drania!

- A więc mi wierzysz?

- Oczywiście, że ci wierzę! Do stu diabłów, wiem, do czego jest zdolny. Spójrz na mnie! Jego jedyna córka, skazana na to więzienie, bo raz sprzeciwiła się jego woli! To łajdak bez serca. Obchodzą go tylko pieniądze... Pieniądze i ta obmierzła Wszechdusza. - Rozejrzała się z poczuciem winy, jakby przestraszona, że posunęła się za daleko. Potem, ośmielona obecnością Freya, kontynuowała: - To głupota! Nie wierzę w ani jedno słowo! Mówią, że tu chodzi o wiarę, ale wcale nie, bo staram się, jak mogę, a Wszechdusza w ogóle mnie nie obchodzi! Przyniosło mi to wszystko tylko nieszczęście. Każdy idiota może studiować teksty i nauczyć się czytać znaki. Każdy, kto ma minimum wykształcenia, będzie umiał powiedzieć paniom to, co chcą usłyszeć. Ale to pustka, Darianie! Niczego nie czuję! Tkwię w tym więzieniu, a za następne dwa lata zrobią mi ten okropny tatuaż na czole i potem będę już Przebudzoną na zawsze! - Ujęła jego siniejącą brodę w dłoń i rozpaczliwie zajrzała mu w oczy. - Nie dopuszczę do tego, prędzej umrę. Musisz mnie stąd wydostać.

- Wydostanę - obiecał. - Ale najpierw muszę dotrzeć do twojego ojca.

- Och, Darianie, nie! Na pewno każe cię powiesić!

- Gallian Thade to jedyny trop, jaki mam. Jeśli dowiem się, dlaczego zabił Hengara... Cóż, może uda mi się coś w tej sprawie zrobić. - Tutaj, widząc nadzieję w spojrzeniu Amalicii, dodał: - A wtedy po ciebie wrócę i uciekniemy razem, tak jak planowaliśmy.

- Ale jeśli zrzucisz winę na mojego ojca... - zaczęła Amalicia, powoli rozumiejąc. - Ależ to on wtedy zawiśnie!

Frey zamarł. Zapomniał o tym. Jeśli udałoby mu się oczyścić swoje imię, Gallian musiałby umrzeć. Prosił córkę, by pomogła posłać własnego ojca na szubienicę...

Na twarz Amalicii wypełził okrutny uśmiech, przerażający uśmiech dziecka, które zamierza rozdeptać robaka. Złośliwość dla samej złośliwości. Amalicia zobaczyła sposobność zemsty i ucieszyła się z niej. Frey był zaskoczony; nie podejrzewał, że jest zdolna do takich myśli. Wyglądało na to, że przez czas spędzony w klasztorze bardzo zgorzkniała.

- Jeśli zawiśnie - powiedziała wolno - ja zostanę głową rodziny. A nikt nie będzie mógł mnie tu zatrzymać, kiedy zostanę panią Thade'ow.

- Nawet się nad tym nie zastanawiałem - przyznał szczerze Frey. - Tak byłem zaprzątnięty myślą o uratowaniu cię... Cóż, nie przyszło mi do głowy, że kiedy twój ojciec umrze...

- Och, Darianie, to genialny pomysł! - zawołała Amalicia z roziskrzonym wzrokiem. Zarzuciła mu nogę na biodro i przywarła do niego całym ciałem. Umysł Freya zaczął oddalać się od knucia planów ku bardziej przyziemnym myślom. - Zabijmy go! Niech drań zawiśnie! A wtedy będę wolna, będziemy mogli żyć razem i nie będziemy musieli przed nikim uciekać! Weźmiemy ślub i do diabła z tym, co ludzie powiedzą!

Wigor Freya osłabł na wspomnienie małżeństwa. Ale dlaczego? - zapytał sam siebie. Czemu nie ta? Jest bogata jak cholera i do tego gorąca! Nie wspominając o tym, że jest od ciebie prawie dziesięć lat młodsza i uważa, że słońce wstaje i zachodzi w twoich spodniach. Skoro nie możesz zarobić pięćdziesięciu tysięcy dukatów w żaden inny sposób, dlaczego się z nimi nie ożenić?

Niezależnie jednak od tego, jak dobre miałyby powody, Frey nie mógł się wyprzeć obezwładniającego poczucia pustki za każdym razem, kiedy słyszał słowo na M.

- Nie śmiem nawet jeszcze o tym marzyć - powiedział. - Sytuacja jest tak niebezpieczna... samo przeżycie będzie... możliwe że mi się to uda. A wtedy ty będziesz wolna. Nikt nam nie zabroni być razem.

„Nikt nam nie zabroni”, dodał w myślach, a nie „będziemy”.

- Co mam zrobić? - spytała Amalicia, nie zwracając uwagi na fakt, że Frey sprytnie wykręcił się z wszelkiej obietnicy małżeństwa. Usłyszała to, co chciała usłyszeć. Frey zauważył, że kobiety, które spotykał, często tak robiły.

- Przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego twój ojciec mógłby chcieć śmierci Hengara? Jak mógłby na niej skorzystać?

Amalicia położyła się na plecach i wpatrzyła w sufit. Frey podziwiał widoki, jednym uchem słuchając.

- Cóż, jest bardzo blisko Przebudzonych, wiesz o tym. Ale Przebudzeni nie mają nic przeciwko Hengarowi. Nienawidzą arcyksiężnej, a arcyksięcia jedynie przy okazji.

- Dlaczego?

- Bo Eloithe jest wielką przeciwniczką Przebudzonych. Nie wierzy we Wszechduszę. Mówi, że to tylko imperium biznesowe, które handluje zabobonami. I najwyraźniej zainspirowała arcyksięcia, ponieważ zaczął wykonywać różne ruchy, żeby zmniejszyć ich wpływy. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z Hengarem. - Amalicia przez chwilę się zastanawiała. - Wiesz, co myślę? Nie wydaje mi się, żeby to mój ojciec za tym wszystkim

stał.

- Amalicio, nie ma żadnych wątpliwości. Rozmawiałem z...

- Nie, nie, chodzi mi o to... Jesteśmy posiadaczami ziemskimi, Darianie. Zarabiamy pieniądze na dzierżawach. Nie ma powodu mordować syna arcyksięcia. - Nagle usiadła z twarzą napiętą pewnością. - Ja go znam, Darianie, nie wymyśliłby czegoś takiego. Stoi za tym ktoś jeszcze.

- Myślisz, że nie jest sam?

- Założę się.

- Cóż... kto?

- Tego nie wiem. Od dawna siedzę tu zamknięta, o ile pamiętasz. Trudno być na bieżąco z interesami ojca, kiedy siedzi się od dwóch lat w więzieniu.

Ton jej głosu robił się coraz ostrzejszy i Frey - obawiając się kolejnego lania - pospiesznie ją uspokoił.

- Już dobrze, już dobrze. Zajmę się tym. Muszę tylko znaleźć sposób, żeby się do niego zbliżyć.

- Cóż, nadchodzi Zimowy Bal - powiedziała w zamyśleniu Amalicia.

- Zimowy Bal?

- No wiesz! Bal! Ten, który mój ojciec wydaje co roku w naszej posiadłości na wyspach Feldspar!

- A, ten bal! - odparł Frey, chociaż nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Prawdopodobnie o tym rozmawiali, choć był raczej przekonany, że nigdy na żadnym balu nie był.

- Mój ojciec zawsze załatwia tam interesy. Przychodzą tam wszyscy ważni ludzie. Jeśli ktoś wciągnął go w tę aferę, na pewno tam go spotkasz. A w tłumie łatwo się ukryjesz. To największe wydarzenie sezonu!

- Możesz mnie tam wkręcić?

Amalicia poderwała się i podeszła do biurka. Wyjęła pióro i papier i zaczęła pisać. Frey leżał na boku, leniwie wpatrując się w łuk jej pleców, małe guzki kręgosłupa.

- W rodzinie wciąż są ludzie, którzy nie zgadzają się z tym, co zrobił mój ojciec. To list polecający. Możesz go zabrać do mojego kuzyna, on się zajmie resztą.

- Potrzebne mi dwa zaproszenia.

Ramiona Amalicii zeszywniały; przestała pisać.

- Żadne nie jest dla mnie - zapewnił ją. - Ja tam nie pójdę. Nie mam chęci znów spotkać twojego ojca. I wiesz, że nie jestem zbyt dobry w etykietce. Ale mam przyjaciela, który sobie z tym poradzi. Będzie mi potrzebna jego pomoc.

- A drugie?

- Cóż, na takie bale zabiera się ze sobą damę, prawda? Przyjście bez towarzyszki wyglądałoby dziwnie.

- I pewnie jakąś znasz?

- To moja nawigatorka, Amalicio - powiedział Frey. Nachylił się i pocałował ją między łopatkami. - Tylko nawigatorka. I to nie ja ją tam zabiorę.

- W porządku - odrzekła. - Dwa zaproszenia.

Znów zaczęła pisać, potem podpisała się zamasyście i położyła list na stosie ubrań Freya. Frey zaczął wstawać.

- Dziękuję. Wydostanę cię stąd, obiecuję.

- Dokąd się wybierasz?

Frey spojrział na drzwi.

- Cóż, zasadniczo nie powinno mnie tu być, więc muszę wyjść, zanim wszyscy się obudzą.

Amalicia pociągnęła go w dół.

- Do świtu jeszcze daleko - stwierdziła. - Nie spałam z nikim od dwóch lat, Darianie. Wciąż mamy sporo do nadrobienia.

## 16

*Triumfalny powrót - Frey werbuje nową załogę -*

*Ostrzeżenie Silosa*

Było południe, kiedy Frey wrócił do trawiastej doliny, w której czekała „Ketty Jay”. Wiał chłodny wietrzyk, ale przyjemnie grzało słońce i większość załogi siedziała na zewnątrz. Harkins grzebał przy firecrowie, Jez czytała książkę kupioną w Aulenfay, Malvery leżał na plecach i się opalał. Silosa nigdzie nie było widać. Frey założył, że mechanik jest w środku zajęty jedną ze swoich niekończących się prób zmodyfikowania i usprawnienia silnika „Ketty Jay”.

Frey wmaszerował między nich, wesoło pogwizdując. Pinn - który leżał oparty o wspornik swojego skylance'a - zdjął z czoła mokry ręcznik i jęknął żałośnie. Wciąż miał na

sobie szaty Przebudzonego, ale Cyfra, którą wymalował sobie na czole, zmieniła się w czerwoną smugę.

- Widzę, że udało się wam znaleźć rozrywkę, kiedy mnie nie było - stwierdził Frey. - Ciężka noc?

Pinn znów jęknął i przykrył czoło rękami.

- Misja wykonana, kapitanie? - spytała Jez, podnosząc wzrok znad książki. - Co ci się stało w twarz?

Frey dotknął opuszkami palców spuchniętej szczęki, delikatnie naciskając skórę.

- Małe nieporozumienie, ot co - powiedział. Jez omiotła wzrokiem jego brudne, usmolone ubranie i nie ciągnęła tematu.

Bess siedziała na trawie, z wyciągniętymi do przodu krótkimi, grubymi nogami, niczym olbrzymie, groteskowe, mechaniczne niemowlę. Crake ją czyścił. Wydawała z siebie ciche, niesamowite zawodzenie, niczym wiatr wśród drzew w oddali. Według Crake'a oznaczało to, że jest szczęśliwa, coś na kształt kociego mruczenia, ale Frey nie lubił słuchać głosu demona mieszkającego w tej wielkiej, pancernej skorupie.

- Wyglądasz dzisiaj różnie - zauważył Crake.

Malvery usiadł, zdjął swoje okrągłe, zielone okulary i popatrzył na Freya.

- Tak, jest wyraźnie rozpromieniony mimo odniesionych obrażeń. Powiedziałbym, że przeżył bardzo przyjemne spotkanie z kimś. To opinia profesjonalisty.

- Dżentelmen nie rozmawia o takich sprawach - rzucił Frey z szerokim uśmiechem, który sam w sobie był potwierdzeniem.

- Bardzo się cieszę twoim szczęściem - odparł Crake z dezaprobatą.

- Jak się udały nowe zabawki? - spytał Frey.

Crake się rozchmurzył.

- Myślę, że mogę z nimi działać całkiem sporo. Demonista potrzebuje właściwie sanktuarium, ale niektóre przyrządy są bardziej przenośne niż inne. Nie zamierzam bawić się z niczym zbyt niebezpiecznym, to na pewno, ale wciąż mogę robić rzeczy na poziomie początkującego.

- Co to jest poziom początkującego? Coś jak mój kordelas?

Crake się zakrztusił i omal nie cisnął szmatą.

- Twój kordelas - odparł wyniośle - przeklęte dzieło sztuki, które wymagało wielu lat studiów i prawie...

Przerwał, widząc kpiące rozbawienie na twarzy Freya.

- Och - powiedział. - Nabrałeś mnie. Bardzo sprytnie.

Frey podszedł i klepnął go w ramię.

- Nie, poważnie, jestem ciekaw. Co możesz zrobić?

- Cóż, na przykład... - Crake wyjął z kieszeni dwa małe srebrne klipsy. - Weź jeden i przypnij sobie do ucha.

Frey przypiął klips, Crake zrobił to samo z drugim. Klipsy wyglądały jak zupełnie niewinne ozdoby. Bess poruszyła się niespokojnie, jej cielsko zachrobotowało i zabrzęczało. Crake poklepał ją po zgarbionych plecach.

- Nie martw się, Bess. Jeszcze nie skończyliśmy. Resztę doczyszczę za chwilę - zapewnił ją. Golem, uspokojony, znieruchomiał w oczekiwaniu.

- Co teraz? - zapytał Frey.

- Idź tam - polecił Crake, wskazując palcem. - I zadaj mi pytanie. Mów normalnie, nie podnoś głosu.

Frey wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Odszedł na pięćdziesiąt metrów i się zatrzymał.

- No to dlaczego właściwie jesteś na „Ketty Jay”? - zapytał, stojąc plecami do Crake'a.

- Dałem ci mój kordelas, pod warunkiem że nigdy mnie o to nie zapytasz - odparł Crake, tak blisko ucha Freya, że ten podskoczył i się odwrócił. Zabrzmiało to, jakby demonista stał tuż obok niego.

- To niewiarygodne! - zawołał. - To naprawdę ty? Słyszę twój głos przy samym uchu!

- Zasięg mógłby być lepszy - powiedział skromnie Crake. - Ale zakłęcie dwóch demonów w tym samym rezonansie to dość prosta sztuczka. To najbardziej podstawowe demony, właściwie głupie. Małe iskierek świadomości, mniej rozgarnięte nawet niż zwierzęta. Ale mogą być bardzo użyteczne, kiedy wyznaczy się im zadanie.

- Jeszcze jak!

- Myślałem, że mógłbym zrobić lepsze wersje, żebyś mógł się porozumiewać ze swoimi pilotami i tak dalej. Lepsze niż ten twój elektroheliograf.

- To cholernie dobry pomysł, Crake - ucieszył się Frey. - Cholernie dobry.

- Tak czy inaczej, lepiej to już zdejmij. Takie rzeczy potrafią bardzo zmęczyć, jeśli nosi się je za długo. Demony wysysają z człowieka energię.

- Mój kordelas nie - odparł Frey.

Usłyszał lekkie wahanie. „Mój” kordelas, pomyślał bez wątpienia Crake.

- To jeden z wielu powodów, dla których to takie dzieło sztuki - odparł.

Frey odpiął klips i wrócił do Crake'a, który zajął się znów czyszczeniem golema.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział, oddając klips. - Chcesz iść na przyjęcie?

- Słucham?

- Właściwie na bal. Oficjalny bal wydawany przez Galliana Thade'a.

- Zimowy Bal w Scorchwood Heights?

- Eee... tak? - odparł Frey niepewnie.

- Masz zaproszenia?

Frey machnął listem od Amalicii.

- Niedługo będę miał. Myślałem, że mógłbyś pójść i zabrać ze sobą Jez.

Crake przyjrzał się mu, wypatrując oznak kpiny.

- Mówię poważnie - zapewnił Frey. - Bardzo przydałaby mi się twoja pomoc, Crake. Będzie tam Thade i jeśli współpracuje z kimś jeszcze, to będzie nasza najlepsza szansa dowiedzenia się, co knuje.

Crake wciąż przyglądał mu się czujnie, z niezdecydowaniem w oczach.

- Słuchaj... Wiem, że nie mam prawa cię prosić. Jesteś pasażerem. Na to się pisałeś. Nic mi nie jesteś winien. - Frey wzruszył ramionami. - Ale, chcę powiedzieć, ty i Bess...

Bess poruszyła się na dźwięk swojego imienia; z jej głębin wydobyło się pytające gruchanie. Crake poklepał ją po plecach.

Frey kaszlnął w pięść, spojrzał w dal i podrapał się w udo. Nigdy nie radził sobie dobrze ze szczerością.

- Ty i Bess, oboje uratowaliście nam życie w Marklin's Reach. Tak sobie pomyślałem, że, cóż... - Znow wzruszył ramionami. Crake dalej na niego patrzył. Nie ułatwiał mu. - Chcę powiedzieć... nie za dobrze mi to wychodzi... że zacząłem o tobie myśleć bardziej jak o członku załogi, a nie tylko balaście. Chcę... no... Słuchaj, nie wiem, co tak naprawdę zamierzasz ani dlaczego się z nami zabrałeś, ale cholernie dobrze jest mieć was dwoje pod ręką. Zwłaszcza jeśli zaczniesz robić więcej takich zabawek, jak te klipsy.

- To bardzo miło z twojej strony, Frey - stwierdził Crake. - Proponujesz mi pracę?

Frey się nad tym właściwie nie zastanawiał. Wiedział tylko, że potrzebuje pomocy demonisty.

- A przyjąłbyś ją, gdybym proponował? - usłyszał własne słowa. - Miejsce w załodze? Dopóki... no, dopóki nie uporamy się z tym całym bałaganem. Potem mógłbyś zdecydować.

- Dostanę z powrotem mój kordelas?

- Nie! - odparł szybko Frey. - Ale odpalę ci działkę tego, co zarobimy.

- Na razie nie zarabiamy nic.

Frey się skrzywił, przyznając mu rację.

- Co musiałbym zrobić w zamian? - spytał Crake. Znow zaczął szorować szerokie plecy



Bess. Z głębin golema dobył się niski, dźwięczny jęk przyjemności.

- Po prostu... No, bądź pod ręką. Pomóż nam.

- Wydawało mi się, że już to robię.

- Bo robisz! To znaczy...

Frey zaczynał się frustrować. Był świetnym, wprawnym kłamcą, ale nie wychodziło mu mówienie rzeczy, które naprawdę czuł. Odsłaniał się wtedy, a to sprawiało, że wściekał się sam na siebie.

- To znaczy, ty i Bess mogliście po prostu sobie pójść, prawda? To tak, jak mówiłeś w Yortlandii, ciebie nie szukają. Chodzi im o mnie. I na pewno masz inne sprawy, którymi chciałbyś się zająć, coś związanego z tym całym demonistycznym sprzętem, który kupiłeś.

- Czyli mówisz, że chcesz, żebyśmy zostali? - odpowiedział Crake.

- Tak.

- I że... Cóż, że nas potrzebujesz?

Freyowi nie podobała się triumfalna nuta, która wkradała się w głos Crake'a.

- Tak - odparł czujnie.

- A co zrobisz następnym razem, kiedy ktoś przystawi mi broń do czoła i zakręci bębenkiem?

Frey zgrzytnął zębami.

- Podam im kod zapłonu „Ketty Jay” - rzucił, wpatrując się gniewnie w trawę pod stopami. - Prawdopodobnie.

Crake wyszczerzył się i klepnął Bess po garbie.

- Słyszałaś, Bess? Zostaliśmy piratami!

Bess zaśpiewała radośnie upiorną, fałszywie brzmiącą kołysankę.

- Czyli pójdziesz na bal? - spytał Frey.

- Dobrze - odparł Crake. - Tak, pójdę.

Frey poczuł falę ulgi. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo liczy na współpracę Crake'a. Chciał wyrazić jakoś swoją wdzięczność, ale przerwał mu krzyk z oddali.

- Kapitanie!

To był Silos. Wysoki Murthianin nie siedział jednak w maszynie, ale biegł z bocznej doliny w ich stronę z pośpiechem, który mógł zwiastować jedynie kłopoty. W ręku trzymał lunetę.

- Kapitanie! Statek! - wrzasnął.

Pozostali, z wyjątkiem Pinna, zerwali się na nogi i pobiegli popatrzeć.

- Widzę go - powiedziała Jez.

- Do kroćset, dobre masz oczy! - powiedział Malvery. - Ja nic nie widzę!

- Ja też nie! - dodał Crake.

Jez rozejrzała się z poczuciem winy.

- To znaczy, nie widzę kształtu ani nic takiego. Zobaczyłam tylko błysk światła, to wszystko.

Silos dobiegł do nich i podał Freyowi lunetę. Frey przyłożył ją do oka.

- Leci... z południa... - wydyszał mechanik. - Chyba... kieruje się... na klasztor...

- Przeleci nad nami?

- Aha. Na pewno nas zobaczą.

Frey przesunął lunetę na boki, usiłując zlokalizować zbliżające się zagrożenie. W końcu złapał je w soczewki i uspokoił rękę. W ustach mu zaschło.

To był wielki statek. Długi i szeroki, czarny i poobijany, ale przy całej swojej brzydocie smukły. Fregata, przypominająca raczej statek oceaniczny niż powietrzny, straszliwy, pancerny kolos najeżony bronią. Jej skrzydła były zaledwie czterema pękatymi wypustkami; była zbyt masywna, żeby szybko manewrować. Ale czego brakowało jej w szybkości, nadrabiała z nawiązką siłą ognia. To był statek wojenny, maszyna stworzona do walki, o kilkudziesięciosobowej załodze.

Frey odsunął lunetę od oka.

- To „Płomień Delirium” - powiedział.

## 17

*Dracken skraca dystans - Equalisery - Jez ma plan -*

*Obrona Pinna - Błyskawica*

Reakcja załogi była natychmiastowa. Frey nigdy nie widział, żeby tak szybko rzucili się do działania. Żałował, że sam nie miał połowy autorytetu, który najwyraźniej posiadał „Płomień Delirium”.

- Wszyscy na stanowiska! Startujemy! - wrzasnął, chociaż Silos, Jez i Malvery już biegli po rampie ładunkowej. Harkins czmychnął do kokpitu swojego firecrowa jak spłoszony

pająk, a Pinn bełkotał coś słabo pod nosem i gramolił się do skylance'a.

- Crake! Ładuj Bess do środka i zamykaj rampę! - rozkazał Frey, wbiegając na pokład „Ketty Jay”. Dotarł do kokpitu z prędkością zrodzoną z paniki, pokonując schodki z ładowni po dwa stopnie naraz. Przepisnął się obok Malvery'ego, wspinającego się do wieżyczki działka, i zastał już Jez na posterunku. Rzucił się na fotel, wstukał kod zapłonu i otworzył wszystkie przepustnice do oporu w awaryjnym starcie.

Jak ona mnie znalazła?

Harkins był w powietrzu, zanim „Ketty Jay” zaczęła się wznosić, Pinn wystartował kilka chwil później, wciąż z rozchełstaną sutanną Przebudzonego na grzbiecie i czerwoną plamą na czole. Na twarzy miał wyraz dezorientacji i zdziwienia, jak ktoś, kto brutalnie wyrwany ze snu stwierdza, że jego łóżko stoi w płomieniach.

„Ketty Jay” wzbijała się przodem do „Płomienia Delirium”. Fregata szybko się zbliżała. Widać było ją już wyraźnie gołym okiem, rosła z każdą sekundą. Musiała zobaczyć startujący statek prosto na swojej drodze. Pytanie brzmiało, czy rozpozna z tej odległości „Ketty Jay”.

Jakby w odpowiedzi, od fregaty oddzieliły się cztery kropki i pomknęły przodem. Myśliwce.

- Ma nas! - wrzasnął Frey. Obrócił statek o sto osiemdziesiąt stopni i odpalił turbiny. „Ketty Jay” z rykiem przyspieszyła do granic swoich możliwości.

- Rozkazy, kapitanie? - spytała Jez.

- Zabierz nas stąd!

- Możemy im uciec?

- Triggerowi tak. Myśliwce to norbury equalisery. Im nie uciekniemy.

- Dobrze, biorę się za to - rzuciła Jez, z głośnym szelestem papieru kopiąc w stosach swoich map.

- Uwaga wszyscy! - zawołał Malvery z wieżyczki. - Ostrzał!

Frey szarpnął drążkiem sterowym i „Ketty Jay” gwałtownie odbiła w bok. W powietrzu przetoczyło się echo salwy z oddali, a chwilę później rozległ się odgłos końca świata. Niebo dookoła eksplodowało ogłuszającym, miażdżącym chaosem wstrząsów i płomieni. „Ketty Jay” rzucało i szarpało jak zabawką. Rury w jej trzewiach wyły i pękały, brocząc parą. Szybki zegarów kokpitu popękały. Gdzieś z głębin statku dobiegł niski skowyt metalu.

Potem nagle chaos ustał i jakimś cudem wciąż lecieli, majestatyczna zieleń wyżyn rozmywała się w dole pod nimi.

- Au - powiedział słabo Frey.

- Wszystko w porządku, kapitanie? - spytała Jez, odgarniając włosy z oczu i zbierając

rozrzucone mapy.

- Przygryzłem sobie język - odparł. W uszach mu gwizdało, wszystko słyszał jak zza ściany.

- Znów strzelają! - krzyknął Malvery, który widział „Płomień Delirium” z kopułki na rufie „Ketty Jay”.

- Jaki te działa mają zasięg!? - mruknął Frey zrozpaczony i pchnął „Ketty Jay” do ostrego nurkowania. Ale tym razem nie rozpętał się kataklizm. Eksplozje rozległy się gdzieś za nimi, a fala uderzeniowa była zaledwie słabym pchnięciem.

- Najwyraźniej niewystarczający - stwierdziła Jez.

- Malvery! Gdzie te myśliwce? - zawołał Frey przez drzwi kokpitu.

- Doganiają nas! - odparł doktor.

- Nie strzelaj, dopóki nie będą dość blisko, żeby ich trafić! Nie mamy znów aż tak dużo amunicji do tego działka!

- Się robi!

Frey odwrócił się do nawigatorki.

- Potrzebny mi plan, Jez.

Jez gorączkowo wytyczała kurs dwoma kompasami.

- Ten statek ma blackmore'y P-12, zgadza się?

- Co?

- Turbiny. P-12-tki.

- Tak.

- Dobra. - Podniosła wzrok znad map. - Mam pomysł.

\* \* \*

Pinn miał w ustach smak gnijących grzybów, coś śnieżyło mu niewyraźnie na krawędziach pola widzenia. Miał wrażenie, że w jego ciele nie pozostała ani kropla wilgoci, a mimo to pęcherz natarczywie mu pulsował. Pinn był całkowicie odcięty od świata. Rzeczywistość znajdowała się gdzieś indziej. Spowijał go kokon jego własnego, osobistego cierpienia.

Mimo to jakąś niewielką cząstką umysłu pojmował z niepokojem, że siedzi w kokpicie swojego skylance'a i pędzi nad wyżynami, ścigany przez cztery myśliwce usiłujące go zestrzelić. Cząstka ta ponaglała go, żeby szybko wziął się w garść i zaczął uważać. W końcu zaczął jej słuchać.

Z pewnym wysiłkiem obejrzał się w tył, przez ramię. Wrogie statki były już tak blisko, że

można było je zobaczyć. Rozpoznał charakterystyczne kształty norbury equaliserów: bulwiaste, okrągłe kokpity z przodu, proste, grube skrzydła ścięte na końcach, wąskie, lekko wygięte kadłuby. Norbury były wyjątkowo upierdliwe - szybkie i bardzo zwrotne. Jak muchy - irytująco trudne to trafienia. A kiedy człowiek się frustrował, zaczynał robić błędy, i wtedy go zdejmowały.

Mógł im uciec, oczywiście. Mógł uciec przed prawie wszystkim swoim zmodyfikowanym skylance'em. Ale zadaniem osłony nie było ratowanie własnej skóry. Musiał ochraniać „Ketty Jay”. Poza tym uciekanie było dla mięczaków.

„Ketty Jay” miał na sterburcie. Zobaczył, że zmieniła kurs, odbijając na zachód, i poleciał za nią. Horyzont zrobił się nierówny - w polu widzenia pojawił się Wschodni Płaskowyż, sto kłomów przed nimi. Za nim, stąd niewidoczny, teren opadał w stromych, ostrych urwiskach i poszarpanych szczytach Hookhollowów.

Pinn zmarszczył brwi. Po co oni tam lecieli? Może dotarliby do gór, gdzie mogliby się chować w rozpadlinach i kanionach, ale „Ketty Jay” i tak nie zdołałaby wymanewrować equalisera.

Zerknął na bakburtę. „Płomień Delirium” odpadł z wyścigu, ale equalisery odbijały, żeby przechwycić „Ketty Jay” na jej nowym kursie, i skracały dystans jeszcze szybciej niż poprzednio.

Mijały minuty. Długie, denerwujące minuty długiego pościgu. Świat Pinna skurczył się z powrotem do pulsowania kaca, niskiego ryku turbin, dygotu skylance'a. Jednak za każdym razem, kiedy się oglądał, equalisery były coraz bliżej. Jedno było jasne - gdziekolwiek zmierzała „Ketty Jay”, nie doleci tam, bo dopadną ją myśliwce.

Wtedy, daleko przed nimi, Pinn zobaczył w powietrzu niewyraźną mgiełkę. Stopniowo ciemniała, aż nie było żadnych wątpliwości, czym jest. Tuż za krawędzią Wschodniego Płaskowyżu ciągnęła się linia groźnych chmur. Jasny błękit nieba urywał się raptownie w czarnym masywie zbierającej się burzy.

„Ketty Jay” leciała prosto w jej środek.

- Skąd wiedziałaś, że tam jest, ty sprytna dziwko? - mruknął Pinn z niechętnym podziwem dla Jez. W naturalny sposób założył, że nie była to zasługa kapitana.

Sprawdził, gdzie są equalisery. Teraz za nim, ale bliżej, leciały w ciasnym szyku. Zorganizowane. Zdyscyplinowane. Wkrótce miały wejść w zasięg strzału.

Pinn pokręcił głową i splunął na podłogę.

- Dość tego - warknął. Znudziło go uciekanie, zezłościł uporczywy ból głowy. Fakt, że przeciwnik leciał w tak równym szyku, niewytłumaczalnie go irytował. Gdyby ktoś czegoś

szybko nie zrobił, equalisery zaczęłyby do nich strzelać, a Pinn nie zamierzał nadstawiać ogona czterem kompletem karabinów maszynowych.

- Dobra - powiedział. - Zabawmy się.

Oderwał się od „Ketty Jay” wysoką pętlą. U jej szczytu odwrócił statek znów kabiną do góry. Ścigające ich myśliwce miał teraz przed sobą, w dole. Zobaczyły zagrożenie, ale nie wiedziały, czy ucieka, czy atakuje. Nikt się nie spodziewał, że jeden statek zaatakuje cztery: to było samobójstwo.

Ale śmierć była pojęciem, którego Pinn nie potrafił zrozumieć. Nie miał wystarczającej wyobraźni, by pojąć koncepcję wieczności. Nieistnienie wydawało się czymś abstrakcyjnym. Jak mógł się bać czegoś, z czego zaledwie zdawał sobie sprawę? Dlatego z dzikim okrzykiem radości zanurkował w stronę myśliwców i otworzył ogień z karabinów maszynowych.

Equalisery rozpięzły się jak ptaki zaatakowane przez kota. Nurkowały, robiły beczki i odbijały na boki, uciekając z linii strzału Pinna, którzy przeciął ich szyk i wyleciał z drugiej strony. Mniej zwrotne statki zostałyby trafione, ale equalisery były dość szybkie, by ująć cało.

Pinn pociągnął skylance'a w górę, jednocześnie skręcając w bok i robiąc beczkę, żeby utrudnić przeciwnikom celowanie. Szarpały nim przeciążenia, kąc pulsował w piersi, ale adrenalina szybko oczyszczała mu głowę. Usiłował nie stracić z oczu equaliserów, które krążyły po niebie. Trzy z nich ustawiały się z powrotem w szyk, podejmując pościg za „Ketty Jay”. Czwarty się odłączył i szykował do ostrzelania Pinna.

Jeden? Jeden?! Pinn poczuł się urażony. Ignorując myśliwiec, który chciał go zaatakować, poleciał w stronę głównego szyku. Trzy statki leciały prosto przed nim, lekceważąc go. Piloci myśleli, że zdobyli zbyt dużą przewagę, kiedy zawracał. Myśleli, że nie ma szansy ich dogonić.

Byli w błędzie.

Pinn otworzył przepustnice i zostawił swojego napastnika mierzącego w puste niebo. Skylance zawył radośnie, przyspieszając. Zaczął pożerać dystans między Pinnem a jego celami. Nadlatywał z tyłu, z martwej strefy. Musiał lecieć prosto, żeby go nie zauważyli, ale miał świadomość, że w ten sposób pozwala czwartemu equaliserowi ustawić się mu za ogonem. Przez niebezpiecznie długą chwilę trzymał kurs, a potem otworzył ogień do najbliższego samolotu.

Czy to dzięki szczęściu, instynktowi czy umiejętnościom, pilot zauważył go na ułamek chwili wcześniej. Equaliser mocno odbił i pociski zabębniły mu po boku i spodzie skrzydła, zamiast trafić w stateczniki. Pinn zaklął i odpadł beczką w tej samej chwili, kiedy equaliser za nim wypuścił serię pocisków smugowych. Skylance zatańczył między kulami i zszedł z linii

ognia.

Pinn skakał na lewo i prawo nieprzewidywalnymi szarpnięciami drążka. Wykręcił głowę w tył, usiłując zlokalizować swoich przeciwników. Najważniejszą rzeczą w walce powietrznej było wiedzieć, gdzie są wrogowie. Cały czas robił gorączkowe uniki, aż wypatrzył dwa equalisery malejące w oddali, wciąż ścigające „Ketty Jay”. Uszkodzony przez niego samolot cały czas leciał gdzieś na granicy wzroku i wciąż był groźny, chociaż ciągnął za sobą cienką smugę dymu, dzięki której łatwo było go znaleźć. Rozwścieczony podstępny atakiem pilot postanowił policzyć się z Pinnem.

Pinn poczuł się lepiej, kiedy znalazł czwartego equalisera. Teraz miał na ogonie dwa. Wzbudził w nich wystarczający respekt, nie mogli zostawić go sobie za plecami. Teraz musiał tylko przez chwilę ich czymś zająć.

Rozpoczął nową sekwencję uników, odciągając przeciwników od „Ketty Jay” korkociągami, przewrotami i beczkami.

Equalisery zbliżały się do niego z różnych stron, starając się schwytać go między siebie, ale Pinn przejrzał ich taktykę i nie zamierzał im jej ułatwiać. Uszkodzony przez niego samolot lekko kulał, spowolniony i niezgrabny, a jego pilot nie był w stanie dotrzymać kroku towarzyszowi. Ich manewry były bardzo ładne, ale nic z nich nie wynikało. Za Pinnem grzechotały sporadycznie karabiny maszynowe, ale raczej z nadzieją niż jakimkolwiek skutkiem.

Powinienem zawrócić i załatwić tych drani, pomyślał Pinn. Ale wtedy zobaczył „Płomień Delirium”, o wiele większy niż kiedy widział go po raz ostatni. Ich powietrzne akrobacje pozwoliły większemu statkowi ich dogonić, a Pinn nie miał ochoty mieć na głowie jeszcze jego dział.

„Ketty Jay” była ledwie widoczna w oddali. Pinn wyeliminował dwa equalisery z pościgu, a pozostałe dwa opóźnił i kupił jej czas, by doleciała do burzy. Zrobił swoje.

Sięgnął do dźwigni pod deską rozdzielczą. Skylance został zbudowany jako ścigacz, zanim Pinn zmodyfikował go do walk, i wciąż miał zainstalowaną sekretną broń ścigacza. Pinn wyrównał lot i skierował dziób ku horyzontowi.

- Do widzenia, gównojady! - wrzasnął, a potem otworzył do oporu przepustnice skylance'a i uruchomił dopalacze. Statek wystrzelił do przodu, wciskając go w fotel z taką siłą, że pucołowate policzki rozpląszczyły mu się na twarzy. Jego przeciwnicy mogli tylko patrzeć, beznadziejnie zostając w tyle, jak skylance niknie w oddali wraz ze swoim wiwatującym pilotem.

\* \* \*

- Dwa ciągle za nami! - zawołał Malvery z wieżyczki. - Pinn odciągnął pozostałe.

Frey się wyszczerzył.

- Ucałowałbym tego chłopaka, gdyby nie był taki obrzydliwy i głupi. - Rozejrzał się. -  
Gdzie Harkins?

Jez wskazała przez szybę kabiny na firecrowsa wiszącego wysoko na sterburcie.

- Każ mu atakować - rzucił Frey, a potem poruszył się w fotelu i zgarbił nad sterami. -  
Niech mi nie siedzą na ogonie.

Jez sięgnęła do elektroheliografu i wystukała szybko kod. Lampa na „Ketty Jay”  
rozbłysła sekwencją sygnałów. Harkins zakołysał skrzydłami i odbił w bok.

W miarę jak zbliżali się do burzowych chmur, wiało coraz mocniej. Podziw Freya dla Jez  
znacznie wzrósł, kiedy zobaczył, jak na horyzoncie pojawiają się czarne kłęby. Miała rację.  
Znów. To było dziwne uczucie mieć w załodze kogoś, na kim można polegać. Frey uznał, że  
mu się to podoba.

- Wiatr wieje dzisiaj z północnego zachodu i jest słonecznie - powiedziała. - Ciepłe  
powietrze wznosi się znad gór wzdłuż zbocza płaskowyżu i jest schładzane arktycznym  
prądem. O tej porze dnia, przy takiej pogodzie, tam musi być burza.

To była burza, z jaką mały myśliwiec by sobie nie poradził. Ale większa jednostka,  
napędzana słynącymi z wytrzymałości turbinami blackmore P-12 - taki statek mógł się  
przedostać.

Crake zajrzał z korytarza.

- Mogę coś zrobić?

- Gdzie byłeś?

- Bess się denerwowała. Przez te wybuchy i tak dalej.

- Postaramy się nie hałasować - odparł sucho Frey. - Przynieś mi meldunek o  
zniszczeniach od Silosa.

Crake odbiegł korytarzem. Frey z powrotem skupił się na burzy. „Ketty Jay” zaczęła się  
kołysać i dygotać, kiedy wokół niej zawirowały wichry. Z tyłu dobiegł odgłos karabinów  
maszynowych.

- To Harkins - powiedział Frey. - Malvery! Co tam się z tyłu dzieje?

- Ominęli go! Ciągłe nas gonia!

- No to postaraj się, żeby...

Jego dalsze słowa zagłuszyło dudnienie automatycznego działka, kiedy Malvery otworzył



ogień do prześladowców.

Frey zaklął pod nosem i odbił „Ketty Jay” na sterburtę. Usłyszał terkot karabinów maszynowych i zobaczył wiązkę pocisków smugowych, które przeszły pod nimi i zniknęły w chmurach.

- Możesz się nie ruszać? - ryknął Malvery. - W nic nie trafię, jak będziesz się tak ciskał!

- Ciskam się, żeby oni nie trafili nas! - odrzyknął Frey, a potem znów odbił, zanurkował i skręcił na bakburtę. „Ketty Jay” była sporym celem, ale potrafiła się poruszać szybciej, niż sugerowała jej masa. Pościg był wciąż na granicy zasięgu strzału, ale szybko skracał dystans.

- Wiesz, co jest najgorsze w lataniu takim statkiem? - spytał Frey Jez. - Nie widzisz, co jest za tobą. Mogę tylko zgadywać, gdzie są te sukinsyny, kiedy oni strzelają mi w tyłek. Chciałbym, chociaż raz, żeby ktoś miał jaja zaatakować nas od przodu i żebym mógł go ostrzelać.

- Nie brzmi to jak zbyt rozsądna taktyka, kapitanie - odparła Jez. - Ale można mieć nadzieję.

Burza wypełniała już całe niebo przed nimi. Lecieli nisko i chmury połknęły słońce. W kokpicie pociemniało, wiatr rzucał jeszcze bardziej. „Ketty Jay” zaczęła grzechotać, szarpana i ciskana na wszystkie strony.

- Zobaczymy, czy teraz będą mogli lecieć prosto - mruknął Frey. - Daj znać Harkinsowi, niech się stąd zabiera. Zna miejsce spotkania.

Jez wykonała polecenie, błysnęła elektroheliografem.

Kilka chwil później rozległ się krzyk Malvery'ego:

- Hej! Harkins daje nogę! Ten cholerny tchórz miał...

- Mój rozkaz! - odrzyknął Frey. - Nie może lecieć za nami w burzę. Teraz wszystko zależy od ciebie.

- Zacząłeś wydawać rozkazy? - Malvery wydawał się autentycznie zaskoczony. - A niech mnie.

Potem działko znów zaczęło łomotać urywanymi seriami.

W drzwiach stanął Crake.

- Silos mówi, że dostaliśmy w silniki i że się przegrzewają, ale to nic poważnego. Poza tym mamy tylko drobne...

Rozległ się głośny huk, gdy seria pocisków przebiła kadłub „Ketty Jay” od tyłu. Statek zakołysał się wściekle, trafił na turbulencję i opadł piętnaście metrów w dół tak szybko, że Crake'a uniosło z podłogi i z powrotem na nią rzuciło. Silniki zajęczały i zapiszczały w niepokojącym crescendo, potem powoli wróciły do swojego normalnego odgłosu pracy.

Crake pozbiierał się z podłogi, wycierając krew z rozciętej wargi.

- Pójdę po meldunek o zniszczeniach od Silosa... - zaproponował.

- Nie trzeba - odparł Frey. - Po prostu złap się czegoś.

Crake chwycił się metalowej framugi drzwi kokpitu. „Ketty Jay” zaczęła wściekle dygotać. Frey wypuścił trochę lotnego aerium ze zbiorników, żeby dodać statkowi wagi i stabilności i przenieść jego ciężar na turbiny. Uzyskanie właściwej równowagi było teraz najważniejsze. Statek taki jak „Ketty Jay”, w przeciwieństwie do myśliwców, nie był wystarczająco aerodynamiczny, żeby lecieć bez użycia zbiorników z lżejszym od powietrza gazem. Nie potrafił wytworzyć wystarczającego ciągu, by utrzymać własny ciężar.

Burzowe chmury gnały w ich stronę, atramentowe kłęby migwały gniewnymi błyskawicami. Wiatr i różnice ciśnienia rzucały statkiem na wszystkie strony. Świat na zewnątrz gwałtownie pociemniał, kiedy dotarli do zewnętrznej krawędzi chmur. Rozbłysk oślepiającego światła tuż obok sprawił, że Crake się skulił. Jez zerknęła na niego i posłała mu współczujący uśmiech. Crake wziął się w garść i wyprostował.

- Doktorze! Cały czas są za nami? - krzyknął Frey, przekrzykując narastające wycie wiatru. Nie usłyszał odpowiedzi. - Doktorze!

- Co? - odkrzyknął z irytacją Malvery.

- Są ciągle za nami?

Długa cisza.

- Doktorze! - wrzasnął Frey.

- Szukam przecież! - ryknął Malvery. - Nic tu nie widać, ciemno jest! - Potem, chwilę później, zagrmiał triumfalnym śmiechem. - Dają nogę, kapitanie! Czmychają do domu!

Jez rozpromieniła się z ulgą.

„Ketty Jay” została pchnięta od dołu przez falę ciśnienia i ostro nią zarzuciło. Crake'a oderwało od framugi i pchnęło na ścianę. Na zewnątrz było ciemno jak w nocy. Frey włączył reflektory, ale te oświetliły tylko otaczające ich nieprzeniknione kłęby.

- Nie da się nie zauważyć, że ciągle jesteśmy w burzy - powiedział Crake.

Odpowiedzi udzieliła Jez, bo Frey skupiał się na pilotowaniu.

- Musimy zostawić ich daleko w tyle. W przeciwnym razie mogliby po prostu podjąć pościg, kiedy się wynurzymy.

- A co będzie, jeśli trafi nas któraś z tych błyskawic? - spytał Crake, tak naprawdę nie chcąc znać odpowiedzi.

- Prawdopodobnie eksplodujemy - odparł Frey.

Crake poszarżał. Jez otworzyła usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale w tym samym

momencie statkiem znów rzuciło. Frey słyszał, jak w mesie coś się przewala, na korytarzu coś innego pękło z głośnym trzaskiem. Wszędzie zaczęła bryzgać woda.

- Ten złom się nie rozpadnie? - spytał Crake z rozpaczą.

- Wytrzyma - mruknął Frey. - A jeśli jeszcze raz nazwiesz ją złomem, wykopię cię tu i teraz, i razem ze swoją metalową przyjaciółką będziesz mógł lecieć do domu.

- Co, i przegapić szansę pójścia na Zimowy Bal Galliana Thade'a? Tylko spróbuj, to...

Coś oślepiająco błysnęło, a potem wszędzie zrobiło się czarno. Wszystkie światła, w środku i na zewnątrz, nagle zgasły. Zapanowało przelotne wrażenie nierzeczywistości, jakby sam czas został ogłuszony. Powietrze strzelało i mrowiło od nieujarzmionej energii. Przez długie sekundy nikt się nie odzywał. Dziwny spokój przykrył szalejący chaos niczym koc. Silniki miarowo buczały, pchając ich przez burzę. Ciemność była absolutna.

Potem światła znów zamigotały i „Ketty Jay” z powrotem zaczęła grzechotać.

- Co to było? - szepnął Crake.

- Błyskawica - odparła Jez.

- Mówiłeś, że wybuchniemy!

Frey tylko się wyszczerzył.

- Pora się stąd zabierać - powiedział. Pociągnął do siebie drążek sterowy i „Ketty Jay” zaczęła się wspinać.

Lot w górę przez chmury był trudny, ale statek poradził sobie ze wszystkimi turbulencjami. W swoim czasie dawał sobie radę z gorszymi. Choć burza szarpała nim, rzucała i tłukła przez każdy kłom drogi, Frey pomagał mu w walce, a oboje znali się nawzajem na wylot. Frey nie zdawał sobie z tego sprawy, ale na twarzy miał przyklejony szeroki uśmiech. O to właśnie chodziło w życiu pirata. Tak właśnie czuł się władca przestworzy. Przechytrzał wrogów, wrywał zwycięstwo z paszczy klęski. Ujarzmił burzę.

Nagle chmury się skończyły i „Ketty Jay” wystrzeliła na wolność. Ciemny dywan burzy ciągnął się pod nimi jak okiem sięgnąć, zasłaniając wszystko. Nad sobą mieli tylko krystaliczny bezmiar błękitu i oślepiające słońce.

- Malvery? - zawołał Frey.

- Wszystko gra, kapitanie! - nadeszła odpowiedź.

Frey obejrzał się przez ramię na Jez i Crake'a, którzy promienieli z podniecenia i ulgi.

- Dobra robota, wszyscy - powiedział i z westchnieniem opadł na fotel. - Dobra robota.

# 18

*Cywilizacja - Muzyczne interludium -  
Fredger Cordwam - Interwencja Vexforda - Morcutt gbur*

Wieczór był ciepły, wokół rozbrzmiewało cykanie owadów. Bujna roślinność syczała i szeleściła w tropikalnej bryzie. Elektryczne lampy ukryte w zaroślach oświetlały starą, kamienną ścieżkę wijącą się w górę zbocza wzgórza, w stronę światła i dobiegającej z dali muzyki. Północna Vardia mogła być zamarznęta na kość, ale tutaj, na wyspach Feldspar, zima nigdy nie gościła.

Crake i Jez wysiedli ramię w ramię z luksusowego statku pasażerskiego, który przywiózł ich z kontynentu. Crake przystanął, by poprawić mankiety swojej wypożyczonej marynarki, a potem uśmiechnął się do towarzyszk, dając znać, że jest gotów. Jez starała się nie wyglądać niezręcznie w obcisłej czarnej sukience, kiedy wysiadali. Na dole schodków powitał ich służący, który uprzejmie poprosił o zaproszenia. Crake podał je i przedstawił się jako Damen Morcutt, z Morcuttów z Marduk, których niedawno wymyślił.

- A to panna Bethinda Flay - powiedział, unosząc dłoń Jez, żeby służący mógł się uklonić i ją cmoknąć. Mężczyzna spojrzał na Crake'a, czekając na rozwinięcie, ale ten puścił mu porozumiewawczo spojrzenie i dodał: - Jest nowa w tej zabawie. Bądź dla niej wyrozumiały, dobrze?

- Rozumiem w pełni, proszę pana - odparł służący. - Madame, witamy serdecznie.

Jez dygnęła niepewnie, a potem oboje ruszyli ścieżką w stronę majestatycznej posiadłości na szczycie wzgórza.

- Małymi kroczkami - mruknął Crake półgębkiem. - Nie maszeruj. Pamiętaj, że jesteś damą.

- Myślałam, że już to uzgodniliśmy. Jestem córką budowniczego statków - odparła.

- Masz być córką budowniczego statków, która próbuje być damą.

- Przecież jestem!

- Dlatego właśnie twój kamuflaż jest idealny.

Przez ostatni tydzień Crake uczył Jez podstaw etykiety. Szybko przyswajała tę wiedzę,

ale przyspieszony kurs manier nie przekonałby nikogo, że pochodzi z arystokracji. Ostatecznie Crake uznał, że najlepsze są kłamstwa najbliższe prawdzie. Jez miała udawać córkę budowniczego powietrznych statków - ten życiorys znała bardzo dobrze. On sam miał być wyrodnym synem bogatej rodziny, który zakochał się w kobiecie z nizin i miał mocne postanowienie uczynić z niej swoją żonę.

- W ten sposób pomyślą, że twoje pomyłki wynikają z niewiedzy, a nie z nieuprzejmości - stwierdził. - Poza tym będzie im cię żal. Wszyscy widzieli to już dziesiątki razy, szalony romans młodego arystokraty z dziewczyną z ludu. Dobrze wiedzą, że kiedy tylko sprawa zrobi się poważna, pani matka interweniuje i chłopak cię porzuci. Nikt nie będzie marnował dobrej partii na córkę budowniczego okrętów.

- Urocza z was gromada - zauważyła Jez.

- Owszem, paskudna - zgodził się Crake.

I taka była prawda, ale Crake znał tę paskudną gromadę całe swoje życie. Idąc krętą ścieżką między szumiącymi drzewami w stronę Scorchwood Heights, czuł, jak ogarnia go dojmujący żal. Dotyk eleganckiego ubrania na skórze, dźwięki muzyki, szmer rozmów niesiony ciepłym wiatrem - wszystko to były znajome elementy dawnego życia, które przywitały go jak kochanka.

Siedem miesięcy temu uważał to wszystko za oczywistość i uznał za płytkie i nużące. Z kieszonkowym wystarczającym na życie w stosunkowym luksusie mógł pogardzać społeczeństwem, które mu je zapewniało.

Teraz jednak posmakował życia uciekiniera - ściganego, pozbawionego wygód i oparcia. Został uwięziony na statku z ludźmi, którzy wykpiwali jego akcent i podważali jego orientację seksualną. Patrzył śmierci w oczy i był świadkiem haniebnego masowego mordu.

Świat, który znał, został mu na zawsze odebrany. Przypomnienie tego bolało.

- Dobrze wyglądam? - martwiła się Jez, wygladzając sukienkę i poklepując misternie upięte włosy.

- Nie rób tego! Wyglądasz bardzo ładnie.

Jez pogardliwie prychnęła.

- To nieco zepsuło ogólny wizerunek - stwierdził Crake i się skrzywił. - Posłuchaj mnie, panno Bethindo Flay. Jeśli mówimy o urodzie, najważniejsza jest pewność siebie. Wyglądasz naprawdę nieźle, kiedy przebierzesz się ze swojego kombinezonu i trochę się umalujesz. Musisz tylko w to uwierzyć, a będziesz dorównywać wszystkim innym kobietom tutaj. - W zamyśleniu pogładził brodę. - Poza tym konkurencja będzie niewielka. Większość pań na tym przyjęciu pochodzi z chowu wsobnego posuniętego do całkowitego genetycznego kolapsu, a

pozostałe w ponad połowie są końmi.

Jez parsknęła z zaskoczeniem, a potem wybuchnęła śmiechem. Po chwili opamiętała się i powstrzymała rechot, zmieniając go w bardziej kobiecy chichot.

- Jak to miło z pana strony - powiedziała z przesadnie eleganckim akcentem. Zająknęła się, na skraju kolejnego wybuchu śmiechu, ale przelknęła go. - Niech mi będzie wolno skomplementować pański ostry dowcip.

- A mnie niech będzie wolno powiedzieć, jak wspaniale wygląda pani w blasku lamp - odparł Crake, całując ją w rękę.

- Wolno panu, och wolno! - zagruchała Jez, a potem owinęła się wokół ramienia Crake'a i poszła za nim dziarsko ścieżką do posiadłości. Zaczynała się dobrze bawić.

Scorchwood Heights wznosiło się w palmowym zagajniku, szeroka fasada z portykiem wychodziła na rozległy trawnik i ogród. Był to dom pełen przestronnych pokoi, białych ścian, gładkich kolumn i marmurowych posadzek. Przez otwarte na oścież okna sączyły się smutne dźwięki thackich instrumentów strunowych i piszczałek.

Na trawniku stała śmietanka towarzystwa. Mężczyźni mieli na sobie mundury Marynarki lub modne jednorzędowe marynarki i proste spodnie. Śmiali się i dyskutowali głośno o polityce i biznesie. Niektórzy nawet coś na te tematy wiedzieli. Kobiety paradowały w śmiałych kapeluszach i lejących się sukniach, chłodziły się wachlarzami i po cichu krytykowały stroje osób je mijających.

Crake poczuł, że dobry humor Jez słabnie na widok tylu ludzi i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

- Ależ panno Flay, nie daj się im zastraszyć.

- Na pewno nie mogłeś przyjść sam?

- Nie wypada - odparł. - Głęboki oddech. Zaczynamy.

Kamienne ścieżki wiły się wokół basenów i fontann w stronę wejścia. Crake poprowadził ich przez ogród, przystając, żeby wziąć dwa kieliszki wina od przechodzącego kelnera. Jeden podał Jez.

- Nie piję - zaprotestowała.

- Nieważne. Po prostu go trzymaj. Będiesz mogła czymś zająć prawą rękę.

Wewnątrz rezydencji było nieco chłodniej. Wysokie sale z białymi gipsowanymi ścianami pochłaniały trochę nocnego upału, a przez otwarte okna wpadała lekka bryza. Służący machali wachlarzami. Aristokraci tłoczyli się także tutaj, skupiali w kątach i czaili przy przekąskach, unoszeni jak liście na wietrze od grupki do grupki.

- Pamiętaj, szukamy Galliana Thade'a - mruknął Crake. - Pokażę ci go, kiedy go zobaczę.

- A potem co?

- A potem zobaczymy, czego się nam uda dowiedzieć.

Podszedł do nich przystojny młody mężczyzna o jasnych włosach zaczesanych starannie z przedziałkiem. Uśmiechał się przyjaźnie.

- Witam. Chyba się nie znamy - powiedział, wyciągając rękę. Przedstawił się jako Barger Uddle, ze słynnej rodziny producentów zębatek. - Wiecie! Zębátky Uddle! Połowa statków powietrznych lata na naszych zębatkach.

- Damen Morcutt, z Morcuttów z Marduk - odparł Crake, energicznie potrząsając jego ręką. - A ta urocza istota to panna Bethinda Flay.

- Mój ojciec używał tylko waszych zębatek - oznajmiła Jez. - Budował statki powietrzne. Mówił, że lepszych nie ma.

- Och, jak przepysznie! - zawołał Barger. - Chodźcie, chodźcie, muszę was przedstawić reszcie. Nie możecie przecież stać tu jak mokre ryby.

Crake nie prosił o wyjaśnienie tej zagadkowej przenośni. Wkrótce wchłonęła ich grupka kilkunastu młodych mężczyzn i kobiet, z ożywieniem rozmawiających o perspektywach zarobienia w przyszłości jeszcze większych pieniędzy.

- To tylko kwestia czasu, zanim Koalicja zniesie embargo na eksport aerium do Samarii, a wtedy pieniądze popłyną szerokim strumieniem. Najważniejsze to być gotowym to wykorzystać.

- Tak sądzisz? Moim zdaniem okaże się, że Sammie nawet już go nie potrzebują. Uważasz, że dlaczego ostatnia wojna skończyła się tak szybko?

- Nikt nie ma pojęcia, czemu poprosili o rozejm. Jedna Wszechdusza wie, co się dzieje w tym ich kraju.

- Och! Chodziło o aerium, to jasne jak słońce. Wywołali dwie wojny, bo nie mieli go u siebie, a nie mogli znieść, że muszą je kupować od nas. Teraz jakieś znaleźli. Założę się, o co chcesz.

- Nie powinniśmy nawet handlować z tymi dzikusami. Powinniśmy tam wejść i zgnieść ich, kiedy mieliśmy okazję. Zapamiętajcie moje słowa, to przejściowy spokój. Budują flotę tak wielką, że zdepczą nas jak robaka. Będzie Trzecia Wojna o Aerium i tej nie wygramy. Nowa Vardia, tam pojedę. Nowa Vardia i Jagos.

- Pogranicze. Owszem, tam są pieniądze. Leżą wprost na ziemi. Ale brakowałoby mi chyba towarzystwa. Usechłbym tam.

- Och, za grosz w tobie żądy przygody!

Po chwili Crake i Jez przeprosili i przeszli do olbrzymiej bawialni. To stąd dochodziła

muzyka, którą słyszeli od samego początku. Kwintet thackich instrumentalistek grał delikatne ludowe piosenki ze swojego kraju. Były smukłe, o oliwkowej skórze i czarnych włosach, a nawet najmniej atrakcyjną z nich wciąż można było nazwać ładną. Miały na sobie kolorowe jedwabie, a w rękach trzymały egzotyczne, misternie wykonane instrumenty z drewna i mosiądzu.

- Posłuchaj - poprosił Crake. Położył rękę na ramieniu

Jez.

- Czego?

- Po prostu posłuchaj - powtórzył i zamknął oczy.

W dziedzinie sztuk - nauki, filozofii, kultury i właściwie wszystkiego innego - Thacjanie dzierżyli palmę pierwszeństwa. Vardyjska arystokracja aspirowała do wyżyn thackich osiągnięć, ale zazwyczaj produkowała jedynie niezgrabne imitacje. Usłyszeć prawdziwych thackich muzyków było wyjątkową okazją, do tego nie tania - ale Gallian Thade nie służył raczej z niedostatku. Crake dał się pochłonąć dźwięcznym arpeggio, tęsknym zawodzeniom piszczałek i kontrapunktowanym rytmom.

Tego właśnie mu brakowało. Swobodnej elegancji muzyki i literatury. Otoczenia pięknych obrazów i rzeźb, doskonałych ogrodów i dobrych win. Wyższe klasy izolowały się od świata zewnętrznego, otaczały się pięknem. Bez tego musiałyby znosić surową brzydotę rzeczywistości.

Crake żałował, bardziej niż czegokolwiek na świecie, że nie może do tego wrócić. Do swojego życia, zanim wszystko się popsuło. Zanim...

- Przepraszam.

Otworzył oczy, poirytowany najściem. Mężczyzna stojący przed nim był od niego wyższy, barczystszy, o byczym karku. Był też gruby, ale nie oklapły, i łysy; nosił długi, cienki wąs i kosztownie krojone ubranie.

- Przepraszam, że psuję panu tę chwilę - powiedział. - Musiałem się po prostu przedstawić. Fredger Cordwain, do usług.

- Damen Morcutt. A to panna Bethinda Flay. - Jez dygnęła, a Cordwain pocałował ją w dłoń.

- Miło mi. Muszę pana zapytać, czy my się znamy? Pańska twarz wydaje mi się znajoma, nawet bardzo, ale nie umiem sobie przypomnieć skąd.

Crake poczuł lekki chłód. Czyżby rzeczywiście znał tego człowieka? Był pewien, że nie spotka tu dziś wieczór nikogo, kto znałby jego twarz. Jego zbrodnię zatajono przed prasą, nikt nie chciał skandalu, a Zimowy Bal był po prostu zbyt ekskluzywny dla kręgów, w których



Crake się obracał. Niemal nie sposób było zdobyć zaproszenia.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Nie przypominam sobie.

- Może spotkaliśmy się przy okazji jakichś interesów? Na przyjęciu? Czy wolno zapytać, czym się pan zajmuje?

- Może pan zapytać, ale nie wiem, czy zdołam odpowiedzieć! - zarechotał Crake, wpadając w rolę. - W obecnej chwili szukam czegoś nowego. Ojciec chce, żebym poszedł na prawo, ale matka ma obsesję na punkcie polityki. Mnie się nie podoba ani jedno, ani drugie. Chcę tylko być z moją ukochaną. - Uśmiechnął się do Jez, która odpowiedziała rozmarzonym uśmiechem, oczarowana swoim bogatym chłopakiem. - Czy mogę zapytać, czym się pan zajmuje?

- Pracuję w Agencji Shacklemore'a.

Crake musiał wyteńczyć całe opanowanie, żeby nie dać niczego po sobie poznać. Słowa Cordwaina były dla niego jak cios w żołądek. Nagle nabrał pewności, że mężczyzna obserwuje jego reakcje i bardzo się starał niczym się nie zdradzić.

- A czym się zajmuje Agencja Shacklemore'a? - spytała niewinnie Jez, choć przecież musiała to wiedzieć. Crake w duchu podziękował jej za to, że na chwilę odwróciła od niego uwagę.

Cordwain uśmiechnął się z wyższością.

- Cóż, panienko, dbamy o interesy naszych klientów. Pracujemy dla bardzo ważnych ludzi. Moim zadaniem jest zajmowanie się tymi ludźmi i pilnowanie, żeby sprawy biegły gładko.

- Najemni rewolwerowcy i łowcy nagród, oto kim oni są - prychnął Crake. W sytuacjach towarzyskich zawsze dobrze sobie radził; teraz uznał, że najlepszą taktyką będzie jak najszybciej się oddalić. - Muszę powiedzieć, że uważam to za rzecz bardzo niesmaczną.

- Damenie! Nie bądź niegrzeczny! - skarciła go Jez przerażona.

- Nic się nie stało, panienko - odparł Cordwain z wyraźną wrogością w spojrzeniu. - Niektórzy nie rozumieją, jak cenna jest nasza praca. Człowiek przestrzegający prawa nie ma się czego obawiać z naszej strony.

- Drogi panie, czyżby pan coś sugerował? - najeżył się Crake, podnosząc głos.

Stojący bliżej ludzie zaczęli się oglądać. Cordwain zauważył, że ich rozmowa ściąga spojrzenia.

- W żadnym razie, proszę pana - powiedział zimno. - Przepraszam za kłopot.

Uklonił się krótko Jez i odszedł. Ludzie dookoła wrócili do swoich rozmów, oglądając się jeszcze z rzadka w nadziei na dalszy ciąg.

Crake poczuł panikę. Czyżby w głosie tamtego słyszał ostrzeżenie? Został rozpoznany? Ale z drugiej strony po co była ta konfrontacja? Czy to, że wpadł tu na Shacklemore'a było tylko ogromnym pechem?

Przyjemne uczucie, które ogarnęło go, gdy znalazł się w znajomym świecie, wywietrzało. Poczł niepokój i ukłucia paranoi. Chciał się stąd jak najszybciej wydostać.

Jez przyglądała mu się uważnie. Była spostrzegawcza i Crake nie wątpił, że wiedziała, iż coś się stało. Ale swoje pytania zachowała dla siebie.

- Poszukajmy Galliana Thade'a, dobrze?

Crake znalazł go niedługo potem, po drugiej stronie sali. Thade był wysokim, surowym mężczyzną o orlim nosie i głęboko pobrużdżonej, wąskiej twarzy. Mimo swojego wieku w czarnych włosach i spiczastej brodzie nie miał ani odrobiny siwizny. Jego spojrzenie było czujne, mówiąc, rozglądał się na boki, niczym zwierzę nieustannie wypatrujące zagrożenia.

- To on - powiedział Crake, podziwiając elegancką, brokatową kamizelkę gospodarza.

Thade rozmawiał z kilkoma mężczyznami, wszystkimi poważnymi i surowo wyglądającymi. Niektórzy z nich palili cygara i pili brandy.

- Kto to jest ten obok niego? - spytała Jez, patrząc na mężczyznę stojącego obok gospodarza.

Crake przyjrzał się mu z zainteresowaniem.

- To ksiązę Grephen z Lapin.

Znał go z gazet. Władca jednego z Dziewięciu Księstw wchodzących w skład Vardii, Grephen był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w kraju. Tylko arcyksiązę posiadał większą polityczną władzę niż ksiązęta.

Grephen był człowiekiem o oschłej aparycji, zwałistym, o poszarzałej cerze. Oczy miał głęboko osadzone i podkrążone, przez co wyglądał nieco niezdrowo. Pot przyklejał mu do czaszki krótkie, jasne, rzadkie włosy. Choć miał trzydzieści pięć lat i nosił elegancki mundur z herbem Lapin na Piersi, wyglądał jak pucołowaty dzieciak bawiący się w żołnierza.

Mimo tej niebudzącej respektu aparycji pozostali traktowali Grephena z najwyższym szacunkiem. Rzadko się odzywał i nigdy nie uśmiechał, ale kiedy miał coś do powiedzenia, wszyscy słuchali z uwagą.

- Założę się, że nie spodziewaliście się go zobaczyć, kiedy tu przyszlście - odezwał się jakiś głos po prawej. Obejrzeni się i zobaczyli wychudzonego mężczyznę o siwych włosach i krzaczastych brwiach, zaczerwienionego od alkoholu i upału. Miał na sobie mundur Marynarki z guzikami i butami wypolerowanymi na wysoki połysk.

- Owszem, nie wyobrażałam sobie tego - powiedziała Jez.

- Marszałek powietrzny Barnery Vexford - przedstawił się mężczyzna, unosząc jej dłoń do ust.

- Bethinda Flay. A to mój ukochany, Damen Morcutt.

- Z Morcuttów z Marduk - dodał raźnie Crake, ściskając dłoń Vexforda. Marszałek nie zdołał ukryć przelotnego, drapieżnego błysku w oczach. Crake już się domyślał, co mu chodziło po głowie. Starcowi zachciało się Jez, a to czyniło z Crake'a niechcianą konkurencję.

- Wie pan, ferrotypy nie oddają mu sprawiedliwości - ćwierkała Jez. - Na żywo jest taki majestatyczny.

- Och, zgadza się - rzekł Vexford. - To bardzo poważny człowiek, bardzo rozsądny. I bardzo wierzący. Przynosi chlubę swojej rodzinie.

- Dobrze pan zna księcia? - spytała Jez.

Vexford się rozpromienił.

- Miałem zaszczyt spotykać się z nim przy licznych okazjach. Arcyksiążę również jest moim osobistym znajomym.

- Może mógłby nas pan przedstawić księciu Grephenowi? - zasugerował Crake, widząc okazję. Vexford się zawahał. - Byłoby dla nas zaszczytem go poznać i podziękować przy okazji gospodarzowi. Wiem, że Bethinda byłaby bardzo wdzięczna.

- Och! To by było jak spełnienie marzeń! - wykrzyknęła Jez. Była z niej całkiem dobra aktorka.

Obawy Vexforda były zrozumiałe. Księżciu nie przedstawiało się byle kogo. Ale zapędził się w ślepy zaułek i gdyby się teraz wycofał, wyszedłby na głupca.

- Jak mógłbym odmówić tak pięknej damie? - powiedział, rzucając nienawistny uśmiech Crake'owi. Potem położył dłoń na plecach Jez, gestem zwycięzcy, i poprowadził ją w stronę grupy wokół księcia, nie oglądając się na jej „ukochanego”. Crake poszedł za nimi, rozbawiony konkurencją ze strony marszałka.

Vexford wstrzelił się w samą porę. Rozmowa przycichła, a jego pojawienie się sprawiło, że wszyscy zwrócili uwagę na nowo przybyłych.

- Wasza łaskawość, proszę mi pozwolić przedstawić pannę Bethindę Flay. - Po pauzie wystarczająco dłużej, by była obraźliwa, dodał: - A także Damena Morcutta, z Morcuttów z Marduk. - Jakby dopiero sobie przypomniał o obecności Crake'a.

Widząc puste spojrzenia towarzyszy, ktoś w grupie zawołał:

- Morcuttowie z Marduk... ach, tak!

Pozostali mruknęli zgodnie, dając do zrozumienia, że Morcuttowie z Marduk to znaczny ród, nawet jeśli nikt z nich nie miał pojęcia, do kogo to nazwisko należy.

Jez dygnęła, Crake się uklonił.

- To wielki zaszczyt, wasza łaskawość - powiedział. - Dla nas obojga.

Książę milczał. Pozdrowił ich zaledwie krótkim skinieniem głowy, a potem spojrzął na Vexforda, jakby chciał zapytać: „Po co przyprowadziłeś tu tych dwoje?” Rozmowy dookoła ucichły. Vexford wiercił się niespokojnie i popijał sherry.

- A pan musi być Gallianem Thade! - zawołał nagle Crake. Chwycił dłoń Thade'a i ścisnął ją mocno obiema swoimi, po czym poklepał starszego mężczyznę przyjaźnie po biodrze. - Cudowne przyjęcie, drogi panie, wprost cudowne.

Vexford omal nie udławił się drinkiem. Pozostali wyglądali na wstrząśniętych. Taka poufałość z człowiekiem stojącym wyraźnie wyżej w społecznej hierarchii była zachowaniem po prostu niewybaczalnym. Nikt nie spodziewał się takiego nietaktu w tym miejscu.

Thade nie stracił panowania nad sobą.

- Cieszę się, że się państwu podoba - powiedział chłodno. - Proszę spróbować przekąsek. Z pewnością będą państwu smakowały.

- Oczywiście! - rzucił Crake z entuzjazmem. - Spróbujemy w tej chwili! Chodź, Bethindo, nie przeszkadzajmy tym dżentelmenom.

Wziął Jez za rękę i poprowadził w stronę przekąsek, zostawiając Vexforda na pastwę milczącej pogardy towarzyszy.

- Co to było? - spytała Jez. - Myślałam, że chcesz się dowiedzieć, co knuje Thade.

- Pamiętasz to? - odpowiedział Crake pytaniem, wyjmując z kieszeni mały, srebrny klips.

- Oczywiście. Pokazywałeś kapitanowi, jak działają. Dwa dni bez przerwy o nich gadał. Chyba mu zaimponowałaś. - Patrzyła, jak Crake przypina klips do ucha. - Wygląda trochę nie na miejscu na takim przyjęciu - stwierdziła.

- Nic na to nie poradzę.

- Gdzie masz drugi?

Crake błysnął złotym zębem w uśmiechu.

- W kieszeni Thade'a. Tam, gdzie go włożyłem, kiedy klepnałem go w biodro.

Jez rozdziawiła usta.

- I słyszysz, co mówi?

- Głośno i wyraźnie - powiedział Crake. - A teraz weźmy sobie jakieś przekąski, usiądźmy i posłuchajmy, co nasz gospodarz ma do powiedzenia.

*Stereotypy Crake'a - Jez zdradzona pozostawiona sama sobie -  
Śmiałe zagrane - Przerazająca informacja*

Godzinę później Crake zaczął sobie przypominać, dlaczego arystokracja tak go nudziła. Miał wrażenie, że bez przerwy rozmawia z tymi samymi ludźmi. Twarze się różniły, ale mialkie uprzejmości i mdłe opinie pozostawały niezmiennie. Nie spotkał jak dotąd nikogo bardziej interesującego niż jego ubranie.

Goście niezawodnie wpadali w stereotypy, które im przypisywał. Był Rozpieszczony Awanturник, który za pieniądze ojca chciał badać dalekie kraje i założyć firmę w Nowej Vardii. Nie miał pojęcia o prawdziwych trudach, jakie go czekały. Był Przyszły Bankrut, który z entuzjazmem opowiadał o inwestycjach w ryzykowne projekty i dziwaczne naukowe przedsięwzięcia, marząc o wielkich zyskach, które nigdy nie miały się zmaterializować. Często występował w parach z Pustą Pięknością, której miażdżącą tępotę dawało się tolerować tylko dlatego, że była tak miła dla oka. Co jakiś czas w tłumie migąła mu Młoda Harpia, rozpuszczona córka bogatych rodziców. Nieatrakcyjna, ale wystarczająco inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że narzeczony trzyma się jej tylko dla pieniędzy. W zemście za zniweczenie marzeń o romantycznej miłości zamierzała zamienić resztę jego życia w piekło.

Te i inne typy Crake rozpoznawał niemal odruchowo. Procesja stereotypów i klisz, pomyślał z pogardą. Każde z nich rozpaczliwie wierzyło, że jest wyjątkowe. Powtarzają po sobie swoje głupie opinie wzięte z gazet i mają nadzieję, że nikt im nie zaprzeczy. Jak on w ogóle mógł się porozumiewać z tymi ludźmi? Jak mógłby wrócić między nich, wiedząc to, co wiedział?

Przeszli do wspaniałej sali balowej z marmurowymi, krętymi kolumnami i miedzianymi kandelabrami. Na parkiecie wirowały tańczące pary, w większości kochankowie, ale nie wszyscy. W tańcu wymieniali się partnerami, mężczyźni i kobiety krążyli w politycznej grze, plotkując i szpiegując siebie nawzajem. Crake stanął z Jez z boku, rozmawiając z dwoma braćmi, którzy niedawno kupili kopalnię aerium i wyraźnie nie mieli pojęcia, co z nią zrobić.

Gallian Thade i księżę Grephen stali po drugiej stronie sali. Crake ich podsłuchiwał. Trudno mu było skupić się na dwóch rozmowach jednocześnie, ale na szczęście nie potrzebował poświęcać żadnej z nich nawet połowy swojej uwagi.

Jez wzięta na siebie braci Aerium, a Thade i jego towarzysze nie mówili nic interesującego. Ich tematy krążyły wokół perspektyw biznesowych, sarkazmu i uprzejmości. Crake zaczynał się zastanawiać, czy Frey miał słuszość, wierząc, że Thade może coś zdradzić.

- Powinniśmy przejść gdzieś indziej - usłyszał mruczenie gospodarza w srebrnym klipsie.  
- Są sprawy, o których musimy porozmawiać.

Jego spojrzenie skoczyło ku Thade'owi. Rozmawiał z księciem. Grephen kiwnął głową, przeprosili pozostałych i ruszyli przez salę. Wyglądało to obiecująco.

- Panno Flay!

To był Vexford, chudy starzec, który nabrał chętki na Jez. Rzucił Crake'owi jadowite spojrzenie, kiedy się witali. Nie zapomniał wstydu, którego się przez niego niedawno najadł, choć najwyraźniej nie było to aż tak poniżające, by nie próbował odbić rywalowi ukochanej.

- Marszałek Vexford! - zawołała Jez z udawanym i przesadnym entuzjazmem. - Jak dobrze pana znów widzieć!

Vexford nadał się z zadowolenia.

- Zastanawiałem się, czy uczyni mi pani zaszczyt i zatańczy?

Jez spojrzała niepewnie na Crake'a, ale ten nie słuchał. Skupiał się na rozmowie w swoim uchu. Grephen i Thade wymieniali powitania z ludźmi, kiedy szli przez salę balową w stronę drzwi na jej drugim końcu. Ich głosy były coraz cichsze, w miarę jak oddalali się poza zasięg klipsa.

- Damen? - spytała Jez. Crake sobie o niej przypomniał. - Marszałek Vexford pragnie ze mną zatańczyć.

Jej spojrzenie błagało: „Ratunku!”

Crake uśmiechnął się szeroko do marszałka.

- Oczywiście, drogi panie, bardzo proszę - powiedział. - Przepraszam najmocniej, muszę się czymś zająć.

Usunął się z nieuprzejmym pośpiechem, oszczędzając sobie pełnego przerażenia i wyrzutu spojrzenia Jez.

Ruszył w stronę drzwi, do których szli Grephen i Thade, rozglądając się przy tym nerwowo. Wypatrywał Fredgera Cordwaina, mężczyzny pracującego dla Shacklemore'ów. Crake nie widział go od czasu ich poprzedniej rozmowy i bardzo go to martwiło.

Kiedy był mały, bał się pajaków. Upodobały sobie jego sypialnię i nieważne, jak dokładnie pokojówki je wypędzały, zawsze wracały. Ale choć Crake się ich bał, łatwiej było mu znieść ich obecność, kiedy je widział, schowane w kącie albo tkwiące bez ruchu na suficie. Strach przychodził dopiero, kiedy odwracał wzrok i kiedy pajak zniknął. Pająk siedzący niegroźnie po drugiej stronie pokoju to jedno, a pajak, który być może skradał się już pod poduszką do jego twarzy, to zupełnie co innego. Crake chciał mieć Cordwaina na widoku.

Głos Thade'a w jego uchu stał się głośniejszy, kiedy Crake się do niego zbliżył. Gospodarz i księżę przeszli przez wielkie drzwi na końcu sali balowej i zniknęli. Crake ruszył za nimi.

Za drzwiami ciągnął się korytarz prowadzący przez rezydencję do innych sal - palarni, galerii i pokoi. Tu i tam kręciły się grupki gości, podziwiających rzeźby albo śmiejących się z czegoś. Crake się pocił, i to nie tylko przez upał. Czuł się jak przestępca. Niewinne spojrzenia służby i odzwrotnych nagle zaczęły mu się wydawać podejrzliwe. Popijał wino i starał się wyglądać, jakby szedł gdzieś w jakimś celu.

- Dokąd idziemy? - spytał cicho księżę, rozglądając się. - Mam nadzieję, że w miejsce bardziej odosobnione niż to.

- Mój gabinet jest zamknięty dla gości - odparł Thade. Zatrzymał się przed ciężkimi drewnianymi drzwiami rzeźbionymi w pnącza i otworzył je kluczem. Crake stanął kawałek dalej w korytarzu, udając, że podziwia obraz przedstawiający jakąś groteskową ciotkę z dynastii Thade'ów. Thade i Grephen przeszli przez drzwi i zamknęli je za sobą.

Zaczekał, aż znów się odezwą. Bezskutecznie. Moment. Czy to jakiś pomruk w uchu? Być może, ale zbyt cichy, by rozróżnić słowa. Gabinet znajdował się najwyraźniej dalej w głębi domu i podsłuchiwanie wyszli poza zasięg urządzenia.

Do kroćset! Wiedziałem, że trzeba było dać większą moc, pomyślał Crake, niespokojnie dotykając klipsa.

Rozejrzał się po korytarzu, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Podeszedł do drzwi prowadzących do gabinetu. Gdyby ktoś zapytał, mógłby po prostu powiedzieć, że się zgubił.

Spróbował otworzyć drzwi. Nie otworzyły się. Szarpnął mocniej. Zamknięte na klucz.

- Tam chyba nie wolno wchodzić - powiedział niewysoki mężczyzna w średnim wieku, który zauważył jego wysiłki.

- Och. Musiałem się pomylić. - Crake zniżył głos do szeptu. - Myślałem, że to toaleta. Sytuacja jest dość rozpacзлиwa, rozumie pan.

- Drugi koniec korytarza - wyjaśnił tamten i poklepał go po ramieniu.

- Bardzo dziękuję - odparł Crake i pospiesznie się oddalił.

Gorączkowo się zastanawiał. Jeśli Thade wiedział coś wartego usłyszenia, mówił o tym właśnie teraz, a on był za daleko, żeby go podsłuchać. Cała wyprawa poszłaby na marne, gdyby nie udało mu się wejść z powrotem w zasięg, i to szybko.

W tym właśnie momencie minął schody. Były stosunkowo wąskie i proste, z białymi, kamiennymi stopniami i eleganckimi, polerowanymi balustradami. Na pierwszym stopniu stał służący, broniąc wstępu gościom.

Crake nagle wpadł na pomysł.

- Przepraszam - powiedział. - Czy miałby pan mi bardzo za złe, gdybym zajrzał na górę?

- Gościom nie wolno tam wchodzić, proszę pana - stwierdził służący.

Crake szeroko się uśmiechnął, swoim najlepszym uśmiechem, zarezerwowanym do zdjęć. Złoty ząb zaślnił w świetle elektrycznych żarówek. Służącemu zaświeciły się oczy.

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby mógł pan zrobić dla mnie wyjątek - przymilał się Crake.

\* \* \*

Korytarze na górze były chłodne, ciche i puste. Gwar rozmów i muzykę z sali balowej wytłumiały grube podłogi. Crake słyszał dwie pokojówki gdzieś niedaleko, rozmawiające ściszymi głosami i chichoczące przy sprzątanii sypialni.

Wybrał kierunek, który w jego ocenie zaprowadziłby go do gabinetu Thade'a. Mimo zdenerwowania kończyny zaczynały mu ciążyć. Używanie klipsa, a potem zęba, nadwładliło jego siły. Lata praktyki nauczyły go wytrzymywać osłabiające działanie kontaktów z demonami, ale długotrwałe, choć o niskim natężeniu, używanie ich mocy go zmęczyło.

Do głosów kobiet dołączył męski. Kamerdyner. Karcący. „Bierzcie się do roboty!” Cała trójka była przed Crakiem, tuż za zakrętem korytarza. Mogli wyjść stamtąd w każdej chwili i go zobaczyć. Czuł tętno pulsujące na kołnierzyku koszuli. Dłonie miał lepkie i mokre ze strachu przed przyłapaniem. Zastanawiał się, jak ludzie pokroju Freya potrafili z taką łatwością łamać zasady.

Wtedy - pomruk. Ledwie słyszalny. Demon zaklęty w klipsie brzęczał w rezonansie ze swoim bliźniakiem. Crake znów wylapywał rozmowę.

Bezgłośnie, wstrzymując oddech, ruszył korytarzem. Kamerdyner wyjaśniał, jak jego pan chciał mieć przygotowane pokoje dla gości. Jego głos przybrał na sile. Thade'a niestety nie. Crake był na granicy zasięgu klipsa. Gdzieś piętro niżej Thade i Grephen rozmawiali o tajnych sprawach, które przyszedł tu poznać. Musiał się dostać bliżej nich.



Podkradł się do rogu, przywarł do ściany i wyjrzał. Kamerdyner stał w drzwiach pobliskiego pokoju, do połowy w środku, odwrócony plecami do korytarza, i rozmawiał z pokojówkami w środku.

Crake wziął płytki oddech i przytrzymał go. Musiał to zrobić teraz, zanim opuściła go odwaga. Na palcach ruszył obok drzwi. Nikt nie podniósł głosu, żeby go zatrzymać. Kamerdyner dalej mówił. Nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, Crake szedł dalej, a rozmowa w jego uchu zrobiła się głośniejsza.

- ...obawę, że... wciąż nie złapano...

Otworzył zwyczajnie wyglądające drzwi i wsunął się do środka, jak najszybciej chcąc zniknąć z korytarza. Znalazł się w małym pomieszczeniu wyłożonym zielonymi płytkami, z zamkniętym okiennicami oknem, białą umywalką i splukiwaną toaletą.

Cóż, pomyślał. Jednak znalazłem łazienkę.

- Jest sprawą najwyższej wagi, żeby Dracken go znalazła przed rycerzami arcyksięcia - powiedział Grephen w jego uchu. - To powinno być zrobione jak należy już za pierwszym razem.

Crake poczuł grzeszny dreszczyk, emocje podsłuchiacza, który słyszy coś skandalicznego. Rozmawiali o Freyu!

- Nikt się nie spodziewał, że on ucieknie - stwierdził Thade. - Wysłałem jako eskortę czterech dobrych pilotów.

- To dlaczego nie zrobili, co do nich należało?

Łazienka miała od środka zamek z dużym, żelaznym kluczem. Crake zamknął ostrożnie drzwi i cicho go przekręcił, a potem usiadł na klapie sedesu. Grephen i Thade byli teraz prawie bezpośrednio pod nim. Słyszał ich doskonale.

- Jedyne ocalały powiedział, że zaatakowali znieścacka.

- Oczywiście, że zaatakowali! Powiedzieliśmy im, jaką trasą będzie leciał „As Czaszek”! Dlaczego nasi piloci nie byli uprzedzeni?

- Piloci byli niezależni, wynajęci przez pośredników, żeby nie udało się przez nich dojść do pana. Potrzebni nam byli wiarygodni, czysti świadkowie. Nie mogliśmy ich uprzedzić o ataku, nie zdradzając, że to my przygotowaliśmy zasadzkę.

Amalicia Thade miała rację, pomyślał Crake. Jej ojciec nie tkwił w tym sam. Ta sprawa sięgała aż księcia.

- „Ketty Jay” miała osłonę, dwa myśliwce - ciągnął cierpliwie Thade. - Nie wiedzieliśmy nawet, że Frey podróżuje z osłoną. To taki nic nieznaczący śmieć, że cudem tylko utrzymuje swój statek w powietrzu, nie mówiąc już o trzech!

- Nie wiedzieliście?!

- Wasza łaskawość, czy ma pan pojęcie, jak trudno jest wytropić jednego robaka w kłębiącym się szambie półświatka? Taki człowiek nie zapuszcza korzeni, nie zostawia śladów. Sama powierzchnia naszego wielkiego kraju sprawia, że...

- A więc go nie doceniliście.

Crake usłyszał urażoną pauzę.

- Przeliczyłem się - powiedział w końcu Thade.

- Problem w tym, że w ogóle pan nic nie liczył - stwierdził Grephen. - Pozwolił pan, żeby pańska osobista nienawiść do tego człowieka pana zaślepiła. Zobaczył pan okazję do zemsty za zhańbienie córki. Niepotrzebnie pana w ogóle posłuchałem.

- Sama Wszechdusza uważała, że Darian Frey jest doskonałym kandydatem do naszego planu.

- Wróżby były niejasne - odparł zimno Grephen. - Nawet Wielka Wyrocznia tak powiedziała. Niech pan sobie nie wyobraża, że zna zamysły Wszechduszy.

- Mówię tylko, że ufam jej mądrości - odparł Thade. - To drobna niedogodność. Wyjdziemy z tego zwycięsko.

Crake nie mógł się powstrzymać od pogardliwego grymasu i cmoknięcia. Przesady i głupota, pomyślał. Ciekawe, że wasza Wszechdusza nie może powstrzymać demonów, dzięki którym was podsłuchuję.

- Ocalały pilot powiedział nam, że osłoną „Ketty Jay” były szybkie myśliwce ze świetnymi pilotami - wyjaśnił Thade. - Atak z zaskoczenia wprowadził chaos, w którym zestrzelono połowę naszych ludzi. Mieliśmy szczęście, że chociaż jeden uszedł i doniósł o wszystkim arcyksięciu.

Przez jakiś czas obaj się nie odzywali. Crake wyobraził sobie ponure milczenie Grephena.

- To nie jest katastrofa - uspokajał Thade. - Usunęliśmy z drogi Hengara i mamy czyste ręce. Nie widzi pan, że wszystko potoczyło się po naszej myśli? Romans tego głupca z córką samarlańskiego ambasadora dał nam idealną sposobność, by go usunąć tak, żeby wyglądało to na atak piratów. Gdyby nie podróżował w tajemnicy, gdyby pańscy szpiedzy nie odkryli jego romansu, nasze zadanie byłoby o wiele trudniejsze.

Grephen chrząknął niechętnie, dając się ułagodzić.

- Nie tylko to - ciągnął Thade. - Przeciek informacji o romansie do opinii publicznej nastawił ją przeciwko Hengarowi i arcyksięstwu w ogóle. To Hengara kochali, pamięta pan? Stał z boku, kiedy jego rodzice rozpętali tę nedorzeczną kampanię pozbawiania ludu ewangelii Wszechduszy. Jego śmierć mogła wzmocnić rodzinę, wzbudzić sympatię do niej w

oczach pospólstwa. Ale głupi romans sprawił, że nigdy nie byli tak niepopularni.

- To prawda, to prawda...

Thade zagrzewał się do własnego optymizmu.

- Nie widzi pan, jak przychylnie Wszechdusza spogląda na nasze przedsięwzięcie? Oczyszciliśmy następstwo tronu. Arcyksiążę nie ma więcej dzieci, które miałyby prawo do tytułu. Lud się ucieszy, kiedy przejmie pan władzę nad Koalicją. Zostanie pan arcyksięciem Grephenem i zacznie się nowa dynastia!

Crake'owi zakręciło się w głowie. A więc o to tu chodziło? Do kroćset, oni planowali zamach stanu! Chcieli obalić arcyksięcia!

Trudno było w to wszystko uwierzyć. Nikt nie pamiętał, jak to jest żyć bez władzy członka dynastii Arkenów. Władcy księstwa Thesku przewodzili Koalicji od blisko półtora wieku. To oni siłą doprowadzili zwaśnione księstwa do porządku po obaleniu króla i monarchii. Pierwszy arcyksiążę Vardii pochodził z rodu Arkenów, tak jak wszyscy następni. Arkenowie byli najwyższą władzą od pokoleń, to pod ich panowaniem rozpoczęła się Trzecia Era Awiacji i Wojny o Aerium, odkrycie Nowej Vardii i Jagos na drugim końcu świata, sformowanie Rycerzy Centurii. To oni znieśli pańszczyznę i doprowadzili do gospodarczego i przemysłowego rozkwitu w kraju od tysiąca lat dławionym tradycjami monarchii.

Crake poczuł, że historia się chwieje. Zaaferowany słuchał dalej.

- Martwi mnie, że Darian Frey wciąż jest na wolności - powiedział książę. - Był już u szeptarza, którego pan zatrudnił.

- Proszę się nie martwić o Quaila. Dracken zadbała, żeby z nikim już nigdy nie rozmawiał.

- Ale Frey już jest na tropie. Widziano go niedaleko klasztoru pańskiej córki.

- Amalicia została przesłuchana przez Panny, na moją prośbę. Przysięga, że u niej nie był. Dracken prawdopodobnie go złapała, zanim miał szansę...

- A jeśli kłamie?

- Wie pan, że nie mogę tam pojechać ani jej stamtąd wyciągnąć. Musi pozostać w odosobnieniu. Musimy zaufać jej i Pannom.

- Chodzi mi o to, że Frey musi wiedzieć o panu. A to oznacza, że może wiedzieć i o mnie.

- Spokojnie, wasza łaskawość. Kto mu uwierzy? Skoro Quail nie żyje, nie łączy nas nic oprócz słów mordercy.

- Nie chcę ryzykować. Jeśli dogrzebie się wystarczająco głęboko, może coś znaleźć. Nie chcę, żeby Rycerze Centurii go pojмали i dali mu szansę przedstawienia swoich teorii arcyksięciu.

Crake siedział na sedesie z łokciami na kolanach, jedną dłonią podpierając czoło i nerwowo szarpiąc palcami za włosy. W końcu dotarła do niego powaga sytuacji. Nieświadomie dali się wplątać w rozgrywkę na najwyższych szczeblach władzy. Jedynym problemem było to, że niewygodnie nie zginęli wtedy, kiedy powinni. Teraz ścigani, wszyscy ich ścigali - ci, którzy uważali ich za winnych, i ci, którzy chcieli ich uciszyć. Byli jak mała rybka uciekająca przed paszczami największych ryb w oceanie.

Thade znów uspokajał księcia.

- Dracken niedługo go dopadnie. Domyśliła się, że pojechał do Quaila i że uda się raczej do mojej córki niż do mnie. Zaczynam wierzyć jej intuicji, jeśli chodzi o Freya. - Przerwał. - Uważa także, że Frey może próbować czegoś dziś wieczorem.

- Dziś?

- To najlepsza jego okazja, żeby się do mnie zbliżyć, w całym tym zamieszaniu. Ale proszę się nie lękać. Mam ludzi w całej posiadłości, w porcie na lądzie także. „Płomień Delirium” ukrył się na nocnym niebie, czeka na sygnał o pojawieniu się „Ketty Jay”.

Crake poczuł, że kurczy mu się żołądek. Najpierw Shacklemore'owie, a teraz jeszcze Trinica Dracken? Już o krok przed nimi? Robiło się zdecydowanie zbyt niebezpiecznie. Do tej pory pozostali niewykryci wyłącznie dzięki zaproszeniom Amalicii - i dlatego, że nikt nie wiedział, że Crake i Jez są członkami załogi „Ketty Jay”. Crake zaczynał żałować, że w ogóle dał się w to wplątać.

Podskoczył, kiedy ktoś szarpnął za klamkę drzwi. Podniósł wzrok. Po chwili drzwi znów się zatrzęsły. Potem rozległo się natarczywe pukanie.

- Ktoś tam jest?

To był kamerdyner. Crake zamarł. Nic nie mówił, w płonnej nadziei, że mężczyzna sobie pójdzie.

- Halo? Ktoś tam jest? - Kamerdyner wydawał się rozzłoszczony. Znów zastukał, tym razem głośniej.

Drzwi były zamknięte od środka. Crake uznał, że lepiej się ujawni, zanim tamten naprawdę się wścieknie.

- Jestem - powiedział. - Zaraz wychodzę.

- Proszę natychmiast wyjść! - krzyknął kamerdyner. - Nie wiem, jak się pan tu dostał, ale to prywatne pokoje pana Thade'a.

- Ufa jej pan? - spytał Grephen na dole. Jego głos nagle zrobił się słaby. Obaj gdzieś szli, do innego pokoju. Crake wyteżał słuch przez wołania kamerdynera.

- Dracken? Tak jak każdemu innemu piratowi - odparł Thade. - Poza tym jest nam

potrzebna. Jest naszym jedynym dojściem do...

- Proszę pana! Nalegam, żeby natychmiast pan wyszedł! - krzyknął kamerdyner, łomocząc do drzwi.

- Proszę dać skończyć! - zaprotestował Crake, opóźniając wyjście, ile mógł. Przeczynał, że na dole działo się coś ważnego, ale coraz trudniej było mu rozróżniać słowa, w miarę jak mówiąc, się oddalali.

- ... czy... nikt inny? - spytał Grephen. - ... nie podoba...

- ... Dracken wie, że... ma mapy i... jakieś urządzenie. Tylko tak... znaleźć to miejsce. Ona jest... naszym... musi zaprowadzić... tajnej kryjówki.

- Proszę pana! - ryknął kamerdyner.

- Idę! - krzyknął Crake. Spuścił wodę i skrzywił się, bo zagłuszyła ostatnie słowa rozmowy na dole. Nie mogąc zwlekać dłużej, otworzył drzwi i natychmiast został złapany za ramię. Kamerdyner był niskim, łysiejącym, czerwonym na twarzy jegomościem i nie miał nastroju na słuchanie słabych wymówek. Demonista został bezceremonialnie poprowadzony korytarzem i na dół po schodach, obok spłoszonego służącego, który miał ich pilnować.

- Pan zostanie od tej pory na dole albo zostanie wyrzucony z posiadłości! - warknął kamerdyner, dość głośno, by ściągnąć uwagę pobliskich gości. Crake mimowolnie się zaczerwienił. Pospieszył z powrotem do sali balowej, kiedy kamerdyner zaczął wyładowywać złość na nieszczęsnym służącym, który wpuszczał intruza na górę.

Na miejscu rozejrzał się za Jez i zobaczył ją z Vexfordem. Starzec górował nad nią, upojony sherry i sukcesem, opowiadał o swoich wyczynach podczas Drugiej Wojny o Aerium. Crake podszedł do nich i wziął Jez za ramię.

- Cra... - zaczęła, ale ugryzła się w język. - Kochanie!

- Wychodzimy - powiedział, odciągając ją.

- Zaraz, zaraz, ty prostaku! - zaprotestował Vexford, któremu przerwano w połowie opowieści. Crake go zignorował i pociągnął Jez za sobą. Marszałek chwycił ją za rękę.

- Ależ proszę pana! - wykrzyknęła bez tchu.

Vexford nachylił się do niej.

- Mam dużą posiadłość pod Banbarr - mruknął ochryple. - Każdy w mieście powie pani, gdzie to jest. Jeśli znuży panią ten nieokrzesaniec, zapraszam serdecznie.

Potem Jez została odciągnięta przez zniecierpliwionego towarzysza.

- Było mi nadzwyczaj przyjemnie, proszę pana! - zawołała przez ramię. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy!

Potem tłum wokół nich się zamknął i odwróciła się do Crake'a, ze złością mierząc go

wzrokiem.

- Zostawiłeś mnie z nim samą - rzuciła oskarżycielsko. - On śmierdzał kwaśnym mlekiem i marchwią.

- Później o tym porozmawiamy, moja droga - odparł Crake.

- Chyba już nie chcę za ciebie wychodzić - nadąsała się.

## 20

*Gość na ścieżce - Nóż do papieru -*

*Złe zakończenie wieczoru*

Tłum na trawnikach znacząco się przerzedził - większość przeniosła się do sali balowej; chór nocnych owadów rozbrzmiewał całą mocą. Crake ściągnął klips i, przechodząc, wyrzucił go na klomb. Bez drugiego do pary był bezużyteczny, a przecież nie było jak wydostać tamtego z kieszeni Thade'a. Zamierzał zrobić nowe. I to lepsze.

- Rozumiem, że dowiedziałeś się, czego chciałeś?

- Dowiedziałem się więcej, niżbym chciał - mruknął Crake. - Ale teraz chcę się jak najszybciej wydostać z tej wyspy.

Spojrzał w bezksiężycowe niebo, wyobrażając sobie, że może zobaczy łąkę ciemniejszej czerni - „Płomień Delirium”, zacząjony w zasadzce. Jez, wyczuwając jego wyraźne zaniepokojenie, milczała.

Przeszli przez trawnik i dotarli do starej ścieżki prowadzącej na lądowisko posiadłości. Stamtąd statek pasażerski kursował na stały ląd, do portu Black Seal Bluff. „Ketty Jay” czekała ukryta w dolinie kilka kłomów od niego. Wstrząśnięty spotkaniem z „Płomieniem Delirium”, Frey nie śmiał wylądować w samym Black Seal Bluff. Jak się okazało, całkiem słusznie. Utajeni szpiedzy Dracken natychmiast wypatrzyliby jego statek.

Jak dotąd los im sprzyjał - mieli więcej szczęścia, niż mogliby się spodziewać. Ale pętla zaczęła się zaciskać i im bliżej byli prawdy o zniszczeniu „Asa Czaszek”, tym robiła się ciaśniejsza.

Ścieżka prowadząca do lądowiska była szeroka i opustoszała, po obu jej stronach biegły sięgające kolan murki z kamieni ułożonych bez zaprawy. Wiła się w dół zbocza, co jakiś czas

rozszerzając się w niewielkie placyki z rzeźbionymi, drewnianymi ławkami do odpoczynku. Nad murkiem zwieszały się gałęzie płaczących kuflików i jakarand, zasłaniając odcinki ścieżki. Elektryczne lampy, umieszczone w niszach, oświetlały im od spodu twarze. W ciepłej jak krew ciemności w górze ucztowały na owadach nietoperze.

Crake tak się skupił na marszu na lądowisko, że zaskoczyło go, kiedy Jez szarpnięciem go zatrzymała.

- Ktoś tam jest - powiedziała. Wpatrywała się w zarośla nieobecny wzrokiem, jakby przenikała nim liście i korę.

- Co? Gdzie? - Crake spojrział w tym samym kierunku, ale nie zobaczył ani śladu niczyjej obecności.

- Jest tam - mruknęła, wciąż wpatrzona w krzaki. - Na ławce. Czeka na nas.

Stali przez chwilę bez ruchu, nie wiedząc, co robić. Crake nie potrafił zrozumieć, jak Jez wyczuła tego tajemniczego mężczyznę ani skąd znała jego zamiary. Nie wątpił jednak w przekonanie w jej głosie. Nie mogli iść dalej, nie mijając nieznanego, nie mogli też wrócić. Crake nagle pożałował, że nie spróbowali przemycić broni, ale gościom było to zabronione.

Nie mógł jednak tak stać uwięziony, jak dziecko bojące się ruszyć, żeby nie sprowokować pająka. Nie tak powinien się zachowywać mężczyzna. Wziął się więc w garść i ruszył dalej, Jez w ślad za nim

Kilkaście kroków dalej ścieżka zakręcała i rozszerzała się w okrągły placyk, osłonięty drzewami. Była na nim ozdobna, kamienna sadzawka; z iglicy na jej środku tryskał słaby strumień wody. Na ławce, wpatrzony w sadzawkę, siedział Fredger Cordwain. Podniósł wzrok, kiedy usłyszał Crake'a.

- Dobry wieczór - przywitał się Crake, nie zwalniając kroku.

- Dobry wieczór, Graytherze Crake'u - odparł Cordwain.

Crake zamarł, słysząc swoje nazwisko. Spiał się do biegu, ale Cordwain poderwał się z ławki, a w jego mięsistej dłoni pojawił się rewolwer. Musiał uznać, że zakaz wnoszenia broni jego nie dotyczy.

- Niech pan nie utrudnia - powiedział. - Jest pan dla mnie wart dokładnie tyle samo żywy, co martwy.

- Kto to? - spytała Crake'a Jez. Dopiero po chwili zrozumiał, że wciąż grała swoją rolę. - Kochanie, o co tu chodzi?

Cordwain podszedł do nich z bronią wycelowaną w Crake'a.

- Panno Bethindo Flay - powiedział. - O ile naprawdę się tak pani nazywa. Agencja Shacklemore'a ściga pani „ukochanego” już od kilku miesięcy. Wstyd mi przyznać, że

potrzebowałem trochę czasu, żeby rozpoznać go z tego zdjęcia. To chyba przez brodę. Nie mam pamięci do twarzy.

- Ale on nic nie zrobił! - zaprotestowała Jez. - Co zrobił?

Cordwain popatrzył na nią spokojnie.

- Nie wie pani? Zamordował swoją bratanicę. Ośmioletnią dziewczynkę.

Jez popatrzyła na Crake'a jak ogłuszona. Crake się zgarbił, wbił wzrok w ziemię.

Cordwain przeszedł za niego, złapał go za nadgarstki i wykręcił mu ręce za plecy. Potem wetknął rewolwer za pasek i wyjął parę kajdanek.

- Dźgnął ją siedemnaście razy nożem do papieru - ciągnął tonem swobodnej konwersacji.

- Zostawił, żeby wykrwawiła się na śmierć na podłodze swojego demonicznego sanktuarium. Takim właśnie jest potworem.

Crake nie stawiał oporu. Zbladł, było mu zimno i niedobrze.

- Jego własny brat wynajął nas, żebyśmy go znaleźli - ciągnął Cordwain. - Smutne, prawda? To okropne, kiedy rodzina zaczyna się ze sobą zreć. Człowiek powinien zawsze móc ufać swoim krewnym.

Kajdanki się zatrzasnęły. W oczach Crake'a stanęły łzy. Podniósł głowę i spojrzał w oczy Jez. Patrzyła na niego nieruchomo z szokiem na twarzy. Chciała, żeby zaprzeczył. Chciała wiedzieć, że tego nie zrobił.

Nie miał jej nic do powiedzenia. Nie mogła go znienawidzić bardziej, niż on sam się już nienawidził.

- Jeśli wolno, panienko, muszę prosić, żeby również pani poszła z nami - rzekł Cordwain, poprawiając kajdanki. - Na pewno pani rozumie. Dopóki nie ustalimy, że nie ma pani żadnego związku z tym...

Jez rzuciła się na rewolwer wystający mu zza paska, ale Cordwain był na to przygotowany. Chwył ją za ramię i szarpnięciem wytrącił z równowagi, drugą ręką popychając Crake'a na ziemię. Crake, z rękami skutymi na plecach, nie mógł złagodzić upadku i wylądował na kamienistej ziemi, boleśnie uderzając ramieniem w podłogę.

Jez tłukła i okładała Cordwaina, ale był potężnym mężczyzną, o wiele od niej silniejszym i cięższym.

- Tak myślałem - powiedział, odpychając ją. - Też w to jesteś zamieszana, tak?

Jez trafiła go z zaskoczenia pięścią w szczękę. Ale zaskoczenie trwało tylko przez krótką chwilę. Cordwain uderzył ją wierzchem dłoni w twarz, raz, dwa, trzy razy z rzędu. Potem ją odepchnął. Potknęła się, upadła, wymachując rękami, i uderzyła czołem o niską, kamienną cembrowinę sadzawki.



Okropny odgłos uderzenia zmroził obu mężczyzn. Cordwain i Crake patrzyli na drobną kobietę w ładnej, czarnej sukience, leżącą bez ruchu na ziemi.

Nie wstała.

- Coś ty zrobił?! - krzyknął Crake z ziemi. Z trudem dźwignął się na kolana.

Cordwain wyciągnął rewolwer i wycelował w niego.

- Uspokój się!

- Pomóż jej!

- Powiedziałem: spokój! - warknął. Podeszedł do Jez, przykucnął przy niej i podniósł jej bezwładną rękę, przykładając dwa palce do nadgarstka. Po chwili puścił, odwrócił jej głowę i poszukał tętna na szyi.

Crake poznał wynik po jego minie. Poczul falę niewiarygodnej, irracjonalnej nienawiści.

- Ty sukinsynu! - ryknął, wstając na nogi.

Cordwain natychmiast wymierzył w niego broń.

- Widziałeś, co się stało! - rzucił. - Nie chciałem tego!

- Zabiłeś ją! Nie miała z nami nic wspólnego!

Cordwain gwałtownie podeszedł bliżej.

- Zamknąć pysk! Powiedziałem, że mogę cię zabrać żywego albo martwego. I nie żartowałem!

- No to lepiej weź mnie martwego, bydlaku! Bo nawet Shacklemore nie może zabijać niewinnych kobiet! A ja dopilnuję, żeby wszyscy się dowiedzieli, co zrobiłeś.

- Milcz! Bo zastrzelę jak psa!

Ale Crake stracił panowanie nad sobą. Na widok Jez leżącej na ziemi coś w nim pękło, wyzwalając całą wściekłość, poczucie winy i grozę, które jakoś do tej pory powstrzymywał. Zobaczył swoją bratanicę, martwą i nieruchomą, w białej koszuli nocnej przesiąkniętej czerwienią, z małym ciałkiem zbezczeszczonym okrutnymi ranami. Zobaczył zakrwawiony nóż do papieru we własnej dłoni.

Tamtego dnia zaczął uciekać i do tej pory się nie zatrzymał.

- Dlaczego nie strzelasz? - krzyknął. - Dlaczego? Oszczędź mi dętego procesu! Pociągnij za spust!

Cordwain cofnął się z podniesioną bronią. Nie wiedział, jak sobie poradzić z czerwonym, zapłutym szaleńcem, który zataczał się w jego stronę z rękami skutymi za plecami.

- Stój!

- Skończ to, morderco! - wrzasnął Crake. - Skończ! Mam już dość!

I wtedy coś się poruszyło, mignęło w ciemności, i rozległ się okropny, głuchy chrzęst.

Cordwainowi oczy uciekły pod czaszkę i runął na ziemię, składając się wpół.

Za nim z kamieniem w ręku, stała Jez.

Crake wytrzeszczył oczy.

Jez odrzuciła kamień na bok i zabrała agentowi klucze. Podeszła do Crake'a, odwróciła go i rozpięła mu kajdanki. Kiedy opadły, znów odzyskał głos.

- Myślałem, że nie żyjesz.

- On też tak myślał - stwierdziła.

- Ale on... Ale ty naprawdę nie żyłaś!

- Najwyraźniej nie. Pomóż mi.

Zaczęła wlec Cordwaina w zarośla. Po chwili Crake do niej dołączył. Kiedy przierzucali go przez murek, głowa odchyliła mu się w tył i Crake'owi mignęły jego oczy. Były otwarte, białka miały ciemne od krwi.

Crake odwrócił się i zwymiotował. Jez zaczekała, aż skończy.

- Łap go za nogi - powiedziała.

Nie słyszał u niej wcześniej takiego bezlitosnego tonu. Zrobił, co mu kazała, i razem zanieśli trupa z dala od ścieżki.

Wrócili na placyk, gdzie Jez ułożyła kamień z powrotem na murku i cisnęła w zarośla broń Cordwaina. Na ile mogła, otrzepała sukienkę.

- Jez, ja... - zaczął Crake.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie, tylko dla siebie - przerwała. - Nie będzie mnie aresztował byle Shacklemore. Nie kiedy pół świata chce naszej śmierci. - W głosie brzmiała odraza. - Poza tym wciąż mi nie powiedziałeś, czego się tam dowiedziałeś. Kapitan na pewno zechce to usłyszeć, jak sądzę.

To nie była ta sama Jez, która przyszła z nim na bal. Zmiana była nagła i przerażająca. Wszystko, co się wydarzyło wcześniej, każdy wspólny żart i miłe słowo, nie znaczyło nic w obliczu zbrodni, którą popełnił. Crake chciał móc coś powiedzieć, jakoś się wytłumaczyć, ale wiedział, że Jez nie będzie go słuchała. Nie teraz.

- Lepiej, żebyśmy nie rozmawiali o tym, co się tutaj dzisiaj stało - zaproponowała, wciąż się otrzepując. Przerwała i spojrzała na niego znacząco. - Nigdy.

Crake kiwnął głową.

- A więc dobrze. - Doprowadziła się w miarę możliwości do porządku. - Chodźmy stąd.

Ruszyła ścieżką w dół do lądowiska. Crake rzucił jeszcze jedno spojrzenie w zarośla, gdzie leżał trup Cordwaina, a potem poszedł za nią.

# 21

*Frey zwołuje spotkanie - Nadzieja -  
Wspomnienia kapitana z Samarii - Bagnet*

- Chcesz się zmierzyć z „Płomieniem Delirium”? - pisała Harkins.

Pinn zakrztusił się jedzeniem i opluł potrawką cały stół i twarz Crake'a. Malvery z radością zaczął tłuc go w plecy, o wiele mocniej niż to było konieczne, aż napad kaszlu minął.

- Dzięki - warknął Pinn do wyszczerzonego doktora.

- Kolejny dzień, kolejne uratowane życie - odparł Malvery, wracając na swoje miejsce przy kuchence, gdzie pracował nad zatykającym arterie deserem złożonym głównie z cukru. Crake wytarł brodę chusteczką.

- No i? - spytała Jez. - Jak zamierzasz to zrobić?

Frey popatrzył na swoją załogę, zebraną wokół stołu w mesie „Ketty Jay”, i po raz kolejny przeszło mu przez myśl pytanie, czy słusznie postępuje. Plan wydawał mu się genialny, kiedy wymyślił go kilka godzin temu, teraz jednak Darian nie czuł się już taki pewny. Miło było wyobrazać sobie drużynę ekspertów, wykonujących przydzielone im zadania z chirurgiczną precyzją, ale nie miał tu bynajmniej do czynienia z dobrze naoliwionym mechanizmem.

Oto Harkins zmienił się w bełkoczący wrak na samą wzmiankę o „Płomieniu Delirium”. Malvery zaprawia deser rumem i przy okazji wypija kilka głębszych sam. A Pinn jest tak głupi, że nawet nie umie dobrze przełknąć.

Jez i Crake byli godni zaufania, o ile Frey się orientował. Ale przez cały posiłek nie potrafili spojrzeć sobie w oczy. Coś zaszło między nimi na Zimowym Balu. Może Crake próbował się do niej dobierać? Teraz wyraźnie widać było pogardę Jez i jego wstyd.

Zostawał Silos w milczeniu zjadający zupę, jak zawsze nieprzenikniony. Silos, który był nieustannym towarzyszem Freya od jedenastu lat i o którym Frey nic nie wiedział. Nigdy nie pytał go o przeszłość, bo go ona nie interesowała. Sam Silos nie pytał nigdy o nic. Po prostu był. Czy w ogóle miał myśli, jak normalni ludzie?

Frey próbował przywołać uczucia serdeczności i koleżeństwa, ale nie potrafił.

Och, do diabła z tym, zrobię to i już.

- Wszyscy wiemy, że nie możemy się mierzyć z „Płomieniem Delirium” w powietrzu - zaczął i usłyszał głośne westchnienie ulgi Harkinsa. - Dlatego dobierzemy się do niego na ziemi. Zwabimy Dracken do portu, a kiedy wyląduje... - Uderzył w stół. - Wtedy ją załatwimy.

Pinn podniósł rękę. Kiedy Pinn podnosił rękę, robił to tylko dla efektu. Jeśli chciał coś powiedzieć, po prostu gadał.

- Pytanie - rzucił. - Dlaczego?

- Bo tego się nie będzie spodziewała.

Pinn opuścił rękę do połowy, a potem znów ją podniósł, jakby wpadł mu do głowy nowy pomysł.

- Tak? - spytał Frey ze znużeniem.

- To może zrobimy coś innego, czego ona się nie spodziewa?

- Na przykład ten plan z ucieczką - poparł go Harkins. - To znaczy, jak dotąd uciekanie szło nam całkiem dobrze. Może powinniśmy, wiecie, robić to dalej. Ale to tylko taki pomysł, to znaczy, ty tu jesteś kapitanem, Tyle że wydaje mi się, no, wiecie, jak coś działa, to nie trzeba tego naprawiać. To tylko moje zdanie. Ty tu jesteś kapitanem. Szefie.

Załoga umilkła. Jedynym dźwiękiem było ciche skrobanie łyżki, którą Malvery mieszał w garnku, i mokry odgłos żucia z kąta mesy, gdzie Żużel wgryzał się w świeżego szczura. Przywłókł go aż z ładowni, żeby dołączyć do załogi przy obiedzie.

Frey popatrzył na zwrócone ku niemu twarze i poczuł coś nieznanego, dziwny ciężar chwili. Uświadomił sobie, wstrząśnięty, że czekali, aż ich przekona. Chcieli być przekonani. W ich oczach zobaczył ledwie widoczne coś, czego nigdy zobaczyć się nie spodziewał. Coś, co widywał tylko w oczach pięknych dziewczyn tuż przed tym, jak je rzucał.

Nadzieję.

Do stu diabłów, oni mają nadzieję! Mają nadzieję, że ich uratują. Że wiem, co robię.

I ze zdumieniem stwierdził, że nawet mu się to trochę podoba.

- Słuchajcie - powiedział. - Dracken doganiała nas za każdym razem, odkąd zaczęła nas ścigać. Była za nami, kiedy dotarła do Quaila, prawie dostała nas pod klasztorem, była nawet przed nami na Zimowym Balu. Wie, że dowiedzieliśmy się o Galliane Thade, i założy, że dalej będziemy próbowali go dopaść. Ale to czego nie wie, to tego, że znamy ich tajną kryjówkę.

- Nie wiemy nawet, co to za tajna kryjówka - zauważyła Jez.

Pinn zrobił zdeorientowaną minę. Pogubił się, kto co wie.

- Crake słyszał, jak Thade i księżę rozmawiali o Trinice i jakiejś tajnej kryjówce - powiedział Frey. - Wspominali o mapach i jakimś urządzeniu. Wydaje mi się, że jeśli zdobędziemy te mapy i urządzenie, też tam trafimy.

Pinn podniósł rękę.

- Pytanie.

- Tak?

- Po co?

- Bo potrzebny nam dowód. Wiemy, że księżę Grephen zaaranżował morderstwo Hengara. Wiemy, że planuje zamach stanu. Ale nie mamy jak tego udowodnić. Jeśli nam się uda, będziemy mogli sprzedać tych drani arcyksięciu.

- A co nam to da? - spytała Jez. - Przecież to my wysadziliśmy „Asa Czaszek”.

- Myślisz, że będą się przejmować, kto to zrobił, jeśli dopadną kogoś, kto sterował tym wszystkim? - spytał Frey. - Słuchajcie, nie twierdzę, że nam od razu wybaczą, ale mogą zapomnieć. Jeśli arcyksiężę dostanie w swoje ręce tamtych, nie będzie się martwił o nas. Jesteśmy płótkami. A bez wielkiej nagrody księcia Grephena Dracken też nie będzie traciła czasu na ściganie nas.

- Myślisz, że naprawdę możemy się z tego wyplątać? - zagrział Malvery. Stał za Freyem, przy kuchence. Przestał mieszać i wpatrywał się w garnek z deserem.

- Tak! - odparł Frey z przekonaniem. - Jeśli dobrze to rozegramy, uda się nam.

Załoga wymieniła spojrzenia, jakby szukając u siebie nawzajem oparcia. Czy ich towarzysz czuje to samo? Czy są głupcami, wierząc, że mogą wygrać mimo takich przeciwności?

- Cokolwiek się dzieje w tej kryjówce, ma to coś wspólnego z tą aferą - zachęcał ich Frey.

- Znajdziemy tam odpowiedzi, jestem tego pewien. Wreszcie widać wyjście z całej tej sytuacji. Ale musimy się trzymać, musimy najpierw zanurkować trochę głębiej. Musimy zaryzykować. Bo nie zamierzam spędzić reszty życia, uciekając. I żadne z was też nie.

- Powiedziałeś, że zwabimy Dracken do portu - wtrąciła Jez. - Jak to zrobimy?

- Rozejm - powiedział. - Zaproszę ją na rozmowę na neutralnym gruncie. Twarzą w twarz. Będę udawał, że chcę się dogadać.

- I myślisz, że się zgodzi?

- Zgodzi się.

Co do tego Frey miał przeogromną pewność.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Żużel podniósł wzrok zdumiony brzemiennej pauzą w rozmowie, potem wrócił do pogryzania szczura.

Frey poczuł na ramieniu ciężar dłoni Malvery'ego.

- Opowiedz nam resztę planu, kapitanie.

\* \* \*

Frey zszedł z żelaznej drabinki, prowadzącej z mesy na górę, do głównego korytarza „Ketty Jay”. Stał tam przez chwilę, wziął głęboki oddech. Wyjaśnienie wszystkich szczegółów planu nadwerężyło jego spokój. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, naprawdę przejmował się tym, co pomyśli załoga. Padło kilka dobrych sugestii, głównie od Jez. No i wszyscy byli zszokowani, gdy zdradził ostateczną część planu. Ale spodobało się im. Widział to na ich twarzach.

Cóż, zrobione. Do tej pory nie wiedział, czy się zgodzą. Teraz przerażało go to, że pozostało już tylko precyzyjnie wykonać wszystkie posunięcia.

Bo bardzo, bardzo nie chciał się spotykać z Trinicą Dracken.

Żużel wspiał się za nim po drabince i zeskoczył na podłogę korytarza, najwyraźniej w towarzyskim nastroju. Poszedł za Freyem do kajuty kapitana i zaczekał, aż ten zamknie drzwi i wyciągnie buteleczkę Błysku z zamkniętej szuflady szafki. Siedział cierpliwie, kiedy Frey wpuszczał sobie po kropli w każde oko i kładł się na łóżku. Potem, kiedy uznał, że kapitan najprawdopodobniej przez jakiś czas będzie nieruchomy, wskoczył mu na pierś, zwinął się w kłębek i zasnął.

Frey dryfował na granicy świadomości, niewyraźnie świadom ciepłego, duszącego ciężaru kota na żebrach. Bał się tego, co miało nadejść. Nie znosił, kiedy sytuacja go do tego zmuszała. Nie znosił konieczności bycia odważnym. Ale w łagodzącym, narkotycznym majaku czuł tylko spokój i powoli zasnął.

Chciał odepchnąć jedną rzecz, o której wolał zapomnieć, w zamian przyśniła mu się inna.

\* \* \*

Północno-zachodnie wybrzeże Samarii było piękne. Głębokie doliny i majestatyczne góry porastała bujna zieleń, dzięki częstym deszczom znad Srebrnej Zatoki, a tak blisko równika słońce grzało przez okrągły rok. Był to kraj wspaniałych krajobrazów, potężnych rzek i niezliczonych drzew, cały w zieleni, złocie i czerwieni.

Był także pełen Sammiech. Czy, ściślej rzecz ujmując, był pełen ich dakkadyjskich i murthiańskich żołnierzy. Sammie nie brudzili sobie rąk walką. Mieli do takich rzeczy dwie rasy niewolników.

Frey patrzył z kokpitu „Ketty Jay” na bujną zieleń wzgórz w dole. Jego nawigator,

Rabby, wciskał się obok niego, wypatrując charakterystycznych elementów terenu, po których mógłby wyliczyć ich położenie. Był chudzielcem z szyją jak u kurczaka i włosami związanymi w kucyk. Frey za nim nie przepadał, ale nie miał w tej sprawie większego wyboru. Marynarka Koalicji zarekwirowała jego statek i jego usługi, a ponieważ reszta załogi wolała zdezerterować, niż walczyć z Sammies, przydzielono mu nową.

- Ładnie tu mają, co? Cholerni Sammie - mruknął Rabby. - Szkoda, że my nie mamy dwóch kompletów frajerów, żeby za nas walczyli.

Frey go zignorował. Rabby bezustannie szukał kogoś, z kim mógłby się zgodzić, cały czas sondował opinie załogi, żeby móc się potem dziwić, jak podobnie myślał.

- To znaczy, mają swoich Murthian, tak, do całej ciężkiej pracy i tak dalej. Silna zgraja, może dźwigać cegły, pracować w fabrykach i w ogóle. Dobrze z nich też mięso armatnie, jeśli komuś nie przeszkadza, że te ponure dranie bez przerwy próbują się buntować.

Frey sięgnął pod deskę kokpitu i wyjął stamtąd prawie pustą butelkę rumu. Wypił duży łyk. Rabby łapczywie zerknął na flaszkę. Frey udał, że tego nie widzi, i ją schował.

- A potem są Dakkadyjczycy - gadał dalej Rabby - którzy są jeszcze gorsi, bo im się podoba bycie niewolnikami! Oni się, jak to się mówi, asystymowali.

- Asymilowali - powiedział Frey, zanim zdążył ugryźć się w język.

- Asymilowali - zgodził się Rabby. - Zawsze znasz właściwe słowo, kapitanie. Założę się, że dużo czytasz. Dużo czytasz? Ja też lubię czytać.

Frey nie odrywał wzroku od krajobrazu. Rabby odchrząknął i mówił dalej.

- No i ci Dakkadyjczycy, zajmują się codziennymi sprawami, administracją i w ogóle, latają statkami i dowodzą tępymi Murthianami. No to co robią właściwie Sammie? - Zaczekał na odpowiedź, której nie miał dostać. - Siedzą, jedzą winogrona i wachlują sobie tyłki, ot co! Wszystkimi rządzą i nie kiwną nawet palcem. Nieźle się ustawili, skubańcy, naprawdę nieźle.

- Możesz mi po prostu powiedzieć, gdzie mam lądować, żebyśmy mieli to z głowy?

- Święta racja, święta racja - rzucił pospiesznie Rabby, wpatrując się w ziemię. Nagle wskazał palcem. - Punkt zrzutu jest kilka kłomów na południe stąd.

Frey popatrzył we wskazanym kierunku i zobaczył w oddali zrujnowany kompleks świątynny. Centralny ziggurat z czerwonego kamienia zapadł się z jednej strony, a otaczające go zabudowania, kiedyś majestatyczne, zostały zrównane z ziemią przez bombardowania.

- Ile kłomów?

- Zobaczymy - odparł Rabby.

Frey jeszcze raz pociągnął rumu.

- Mogę trochę dostać? - spytał Rabby.

- Nie.

Wkrótce potem znaleźli strefę lądowania. Szczyt wzgórza był goły, niegdysiejsze pola zmieniły się w umocnienia, za którymi ciągnęły się wąskie okopy. Resztę wzgórza zajmowały poniszczone kamienne budynki. Była to maleńka wioska, skupisko niskich, płaskich domów popularnych w tych rejonach. Drzewa i trawa lśniły i dymiły - poranny deszcz parował w ostrym słońcu.

Na szczycie wzgórza nic się nie poruszało.

Frey zatrzymał „Ketty Jay” w powietrzu. Upił się na ponuro i jego pierwszą reakcją było obrzydzenie. Czy Koalicja nie mogła nawet zorganizować kogoś, kto wyszedłby na spotkanie ich własnego statku zaopatrzeniowego? Chcieli, żeby skończyła im się amunicja? Myśleli, że Frey lubi tłuc się nad terytorium wroga, ryzykując spotkanie z patrolami, tylko po to żeby mieli co jeść?

Martley, mechanik, przybiegł korytarzem z maszynowni i zajrzał do kokpitu.

- Jesteśmy? - spytał z ożywieniem. Był zylastym, młodym rudzielcem, z policzkami i spodniami tak wybrudzonymi smarem, że wyglądał, jakby nałożył bojowy kamuflaż. Jego problemem było to, że miał za dużo energii. Freya to męczyło.

Rabby niepewnie popatrzył na szańce.

- Wyglądają na opuszczone, kapitanie.

- To na pewno są właściwe współrzędne?

- Hej! - oburzył się Rabby. - Czy kiedykolwiek nie doprowadziłem nas do celu?

- Ostatecznie chyba zawsze docieraliśmy na miejsce - ustąpił Frey.

- Marynarka mówiła nam coś o tym miejscu? - zaszczębiotał Martley. - Na przykład czemu jest takie puste?

- To tylko punkt zrzutu - odparł Frey ze zniecierpliwieniem. - Taki sam jak wszystkie inne.

Nie zapytał. Nigdy nie pytał. Przez ostatnich kilka miesięcy po prostu brał te zlecenia, za które mu najlepiej płacili.

Kiedy Marynarka zaczęła rekwirować statki transportowe do służby za minimalną stawkę, Gildia Kupiecka zażądała premii za ryzyko. Kapitanowie zatrudnieni przez wielkie kompanie transportowe spokojnie wozili towary w granicach Vardii. Wolni strzelcy tacy jak Frey dostrzegli dla siebie szansę.

Biorąc najniebezpieczniejsze misje, Frey spłacił prawie całość kredytu za „Ketty Jay”. Parę razy niewiele brakowało, załoga narzekała jak cholera i cały czas wnioskowała o przeniesienie, ale on miał to gdzieś. Po siedmiu latach statek był prawie jego. Tylko to się



liczyło. Kiedy miałyby go już na własność, byłby wolny. Mógłby resztę wojny przeczekać, kursując między Theskiem a Mardukiem i nie musiałby się już nigdy więcej martwić, że firmy kredytujące zamrożą mu konta i zaczną go ścigać. Byłby panem samego siebie, władcą przestworzy.

- Wyładujmy towar i bierzmy pieniądze - rzucił. - Jeśli nie ma tu nikogo, kto by go zabrał, to nie nasz problem.

- Na pewno? - spytał niepewnie Martley.

- Jeśli ktoś coś spieprzył, to nie nasza wina - oświadczył Frey. Pociągnął łyk rumu. - Płacą nam za dostarczenie towaru pod wskazane współrzędne. Nie za myślenie. Wiele razy nam to powtarzali.

- Cholerna Marynarka - mruknął Rabby.

Frey posadził „Ketty Jay” na stosunkowo równym skrawku ziemi obok wioski. Zniecierpliwiony i pijany opróżnił za szybko zbiorniki z aerium i wyrznął podwoziem tak mocno, że łupnęło mu w krzyżu, a Martley upadł na kolana. Mechanik i Rabby wymienili zatroskane spojrzenia, myśląc, że tego nie widzi.

- Idziemy - powiedział, tłumiąc grymas bólu przy wstawaniu z fotela. - Im szybciej wyładujemy, tym szybciej będziemy mogli się zbierać.

Kenham i Jodd byli już w ładowni, kiedy Frey tam zszedł. Ściągali siatki zabezpieczające ze skrzyń. Było to dwóch paskudnych osiłków, dawnych dokerów, wcielonych przymusowo do pracy w Marynarce. Jedyne ludźmi w załodze, których szanowali, byli oni sami; wszyscy pozostali trochę się ich bali.

Jodd palił skręta. Frey nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział go bez dymiącego papierosa w ustach, nawet kiedy dźwigał skrzynie amunicji, jak teraz. Jako kapitan Frey postanowił nic nie mówić. Jodd jak dotąd nie wysadził ich wszystkich w powietrze. Rozsądnie było dać mu spokój.

Frey opuścił rampę i zaczęli wynosić skrzynie. Kiedy wyszli z chłodnego cienia „Ketty Jay”, słońce uderzyło ich jak młot. Powietrze było wilgotne i pachniało mokrą gliną, a także, słabo, prochem.

- Gdzie je postawić? - zawołał Kenham do Freya. Frey niejasno machnął ręką, wskazując jakieś miejsce na zboczu wzgórza, blisko okopów. Nie chciał, żeby skrzynie stały blisko „Ketty Jay” przy starcie. Kenham przewrócił oczami. „Aż tam?” Ale nie zaprotestował.

Frey oparł się o podporę statku z butelką rumu w rękę, i patrzył, jak reszta załogi pracuje. Ponieważ skrzynie nosiło się we dwóch, piąty do pomocy tylko by przeszkadzał, rozumował. Poza tym obijanie się było przywilejem kapitana. Pociągnął z butelki i rozejrzał się po pustej

okolicy. Po raz pierwszy zauważył ślady walki - plamy spalenizny na ścianach czerwonych, kamiennych domów, wysadzone w powietrze fragmenty szańców.

Stare rany? Pewnie sporo się tu działo. Ale z drugiej strony ten smród prochu. Ktoś tu strzelał. I to niedawno.

Frey popatrzył na swoją załogę, sprawdzając, czy pracuje jak należy, a potem odepchnął się od podpory i odszedł od „Ketty Jay” w stronę wioski.

Domy były siedzibami biednych samarłańskich chłopów, pustymi i porzuconymi. Drewniane kurniki i chlewy się pozawałały. Okna były zaledwie kwadratowymi dziurami w ścianach, na niektórych krzywo wisały okiennice kołyszące się w słabym wietrze. Kiedy Frey podszedł bliżej, zobaczył więcej śladów niedawnych walk. Niektóre ściany podziurawione były kulami.

Skóra zaczęła go mrowić od potu. Dopił resztki rumu i wyrzucił butelkę.

Domy stały wokół centralnego placu, kiedyś porośniętego trawą, ale teraz zrytego w szybko schnące błoto. Frey wyrzwał za róg najbliższego budynku. Mimo jazgotu leśnych ptaków było tu niepokojąco cicho.

Zajrzał przez okno do środka. Meble dawno zniknęły, została pusta, okropna skorupa pełna dusznych cieni. Słońce na dworze świeciło tak mocno, że w środku niewiele było widać. Dopiero po chwili Frey zauważył człowieka w rogu.

Siedział oklapnięty, nieruchomy, pod oknem z drugiej strony. Darian usłyszał brzęczenie much i poczuł smród krwi.

Wzrok przyzwyczaił mu się do półmroku. Wystarczająco, żeby zobaczyć, że mężczyzna nie żyje, jest postrzelony w policzek, a jego szczeka wisi krzywo, przyklejona do reszty twarzy zaschniętą krwią. Wystarczająco, żeby zobaczyć vardyjski mundur. Wystarczająco, żeby zobaczyć, że to jeden ze swoich.

Usłyszał coś. Ostry odgłos, jakby ktoś nadepnął na gałąź. Głosy załogi, nagle podniesione w krzyku.

Z zimną falą nudności zrozumiał, co się dzieje. Wpadł w panikę i ruszył pędem w stronę jedynej kryjówki, jaką znał. W stronę „Ketty Jay”.

Kiedy wybiegł za róg domu, zobaczył Kenhama, leżącego twarzą w dół na rozbitej skrzyni. Jodd wycofywał się od okopów, strzelając z rewolweru do gramolących się z nich ludzi - Dakkadyjczyków z karabinami, dwóch tuzinów albo więcej. Drobnych, jasnowłosych, o szerokich twarzach i wąsko rozstawionych oczach. Schowali się, kiedy usłyszeli „Ketty Jay”. Może nawet mieli czas wrzucić trupy Vardyjczyków do okopów. Teraz zamykali pułapkę.

Rabby i Martley biegli na oślep do „Ketty Jay”, tak samo jak Frey. Na twarzach mieli strach.

Jeden z Dakkadyjczyków z wyciem runął do okopu, trafiony przez Jodda, ale mieli miażdżącą przewagę liczebną. Trzech innych wycelowało i Jodd padł zastrzelony.

Frey ledwie to zarejestrował. Cały świat był skaczącą, szarpiącą męką kolejnych chwil, z których każda przybliżała go minimalnie do rozdziawionej rampy załadunkowej statku. Jego jedyną szansą było dostać się do środka. Jego jedyną szansą przeżycia.

Dakkadyjskie karabiny trzaskały i huczały. Ich celami byli Rabby i Martley. Kilku żołnierzy puściło się biegiem w pościg. Rozległ się krzyk w ich ojczystym języku, kiedy ktoś zauważył Freya biegnącego do „Ketty Jay” z drugiej strony. Frey nie słuchał. Odciał się od reszty świata, skupił na jednym, jedynym celu. Nie liczyło się nic innego, tylko dotarcie do rampy.

Kule ryły ziemię dookoła nich. Martley potknął się, runął i potoczył po ziemi, z krzykiem ściskając udo. Rabby się zawahał, zwolnił kroku na krótki moment, potem pobiegł dalej. Dakkadyjczycy powalili Martleya, który próbował wstać, a potem zaczęli go dźgać podwójnymi bagnetami na lufach karabinów. Wrzaski chłopaka zmieniły się w charkot.

Rampa była coraz bliżej. Frey poczuł złowrogie muśnięcie powietrza, kiedy jakaś kula omal nie trafiła go w szyję. Rabby biegł w górę zbocza, krzycząc. Dwaj Dakkadyjczycy byli tuż za nim.

Stopa Freya uderzyła o rampę. Wbiegł na górę i szarpnął dźwignię zamykającą. Serwomechanizmy ożyły z pomrukiem.

Z zewnątrz dobiegł go głos Rabby'ego.

- Opuść rampę! Kapitanie! Opuść cholerną rampę!

Ale Frey nie zamierzał opuszczać rampy. Rabby był za daleko. Nie mógł zdążyć. Nie zbliżył się do jego statku z żołnierzami depczącymi mu po piętach.

- Kapitanie! - wrzeszczał nawigator. - Nie zostawiaj mnie!

Frey wstukał kod blokujący zamek rampy, niepozwalający otworzyć jej z klawiatury na zewnątrz. Kiedy to zrobił, wyciągnął rewolwer i wycelował go w malejącą szczelinę na końcu rampy. Cofał się, aż oparł się na jednej ze skrzyń, których jeszcze nie rozładowali. Prostokąt palącego słońca wpadającego przez rampę zmniejszył się do cienkiej kreski.

- Kapitanie!!!

Kreska zniknęła, kiedy rampa się zamknęła i Frey został sam w ciemności ładowni, bezpieczny w zimnym, metalowym łonie „Ketty Jay”.

Dakkadyjczycy zdobyli ich pozycję. Wywiad Marynarki spieprzył sprawę, a teraz jego

załoga nie żyła. Bydlaki! Przeklęte bydlaki!

Odwrócił się do ucieczki, do schodków prowadzących na górę, do korytarza i kokpitu. Wynosił się stąd.

Wbiegł prosto na bagnet podkradającego się z tyłu Dakkadyjczyka.

Ból eksplodował mu w brzuchu, wstrząsnął nim, odebrał mu dech. Frey wytrzeszczył oczy na żołnierza przed sobą. Chłopca, co najwyżej szesnastoletniego. Jasne włosy wystawały mu spod czapki. Niebieskie oczy miał szeroko otwarte. Dygotał, prawie tak samo oszołomiony jak jego ofiara.

Frey spojrzął na podwójne ostrza dakkadyjskiego bagnetu, jedno obok drugiego, sterczące mu z brzucha. Krew, czarna w ciemności, sunęła strugą po stali i kapała na podłogę.

Chłopak się bał. Nie chciał go dźgnąć. Kiedy wśliznął się na pokład „Ketty Jay”, prawdopodobnie chciał tylko pojmać kogoś z załogi. Nikogo dotąd nie zabił. Widać to było po nim.

Jak w transie, Frey podniósł rewolwer i przystawił go chłopakowi do piersi. Jak w transie, chłopak mu na to pozwolił.

Frey nacisnął spust. Padając do tyłu, Dakkadyjczyk wyrwał bagnet z brzucha nieprzyjaciela. Ból pchnął Freya na granicę przytomności, ale nie dalej.

Kapitan ruszył przez ładownię. W górę po metalowych stopniach, przez korytarz do kokpitu, zostawiając po drodze smugi i plamy samego siebie. Opadł na fotel pilota, ledwie słysząc kule bębniące o kadłub, i wstukał kod zapłonu - kod, który znał tylko on, którego nigdy nikomu nie zdradził i nie zamierzał tego robić. Silniki zahuczały, kiedy elektromagnesy zmieniły rafinowane aerium w gaz, wypełniając zbiorniki balastowe. Żołnierze i ich strzały zostali w dole, kiedy „Ketty Jay” uniosła się w niebo.

Frey nie mógł wrócić do Vardii. Wiedział, że umrze i akceptował to z dziwnym, okropnym spokojem.

Ale jeszcze żył.

Włączył turbiny i „Ketty Jay” poleciała na północ, w stronę wybrzeża, w stronę morza.

*Melina Sharki - Dwoje kapitanów -  
Dziwna przesyłka - Wzajemne oskarżenia*

Slumsy Rabbanu to nie miejsce, w które mógłby się zabłąkać przypadkowy podróżny. Zbombardowane i zrujnowane, były masą gruzowisk i stert śmieci, gdzie nagie belki sterczały na tle zachodzącego słońca, a wiatr znad morza przykrywał wszystko sklepieniem żelaznoszarych chmur. W oddali wznosiły się nowe iglice i kopuły, niektóre jeszcze w rusztowaniach - dowód odbudowy miasta. Ale tutaj, na obrzeżach, nic takiego nie miało miejsca, a mieszkańcy żyli jak szczury na zgliszczech wojny.

Melina Sharki przetrwała dwie wojny i najpewniej poradziłaby sobie z dwoma następnymi. Ukryta w podziemnym bunkrze, do którego dostać się można było tylko przez niełatwe do przejścia, zasypane gruzem uliczki i równie trudny proces rekomendacji, była najlepszym w całym mieście lokalem do gry w rejsa. Sharka nie płacił składek w żadnej Gildii ani żadnych koalicyjnych podatków. Oferował gwarancję bezpieczeństwa i anonimowości swoim klientom oraz obiecywał uczciwość przy stołach. Nikt nie orientował się dokładnie, czym jeszcze się zajmował, że ci na górze tak się go bali, ale wszyscy wiedzieli, że jeśli chcesz zagrać bez kantów o najlepsze stawki, musisz przyjść do meliny Sharki.

Frey dobrze znał ten lokal. Raz wygrał tam caybery firecrowa, jako zwieńczenie absurdalnego pasma zwycięstw, które zawdzięczał tylko i wyłącznie szczęściu. Kilka razy także się tam spłukał. Gdy wszedł do środka, powitały go wspomnienia triumfów i rozpacz.

Niewiele się zmieniło. W przestronnym pomieszczeniu stały liczne stoliki i słabo oświetlony bar. Były tu ponętne dziewczyny z obsługi, wybierane pod kątem urody, ale dobrze wyszkolone w swoim zawodzie. Z sufitu zwisały gazowe lampy, zasilane z prywatnego zapasu (Sharka nie chciał się zelektryzować, jego klientom się to nie podobało. ) Drażniący dym z papierosów i cygar przepelniał powietrze aromatami dziesiątków gatunków tytoniu.

Frey poczuł ukłucie nostalgii. Nie licząc „Ketty Jay”, melina Sharki była najlepszą

namiastką domu, jaką miał.

Sharka wyszedł go przywitać, kiedy Frey zszedł po metalowych schodach do sali. Chudy, z głęboko pobrużdżoną twarzą, miał na sobie ekscentrycznie pstrokaty strój, a oczy jasne i nieco szalone. Sharka zawsze był akurat pod wpływem jakiegoś narkotyku zazwyczaj po to, żeby zniwelować działanie poprzedniego. Wydawał się nadmiernie ożywiony, jego twarz rozciągała się i kurczyła w szerokich uśmiechach i przesadzonych minach, jakby mówił do kogoś głuchego.

- Mam dla ciebie prywatny pokój na zapleczu - powiedział. - Ona już tam jest.

- Dzięki.

- Myślisz, że ktoś ją śledził?

- Nie. Chowałem się jakiś czas na zewnątrz. Patrzyłem, jak wchodzi, sprawdziłem wszystkie pobliskie zaułki. Przyszła sama.

Sharka odchrząknął i się rozpromienił.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Zawsze wiem, co robię - odparł Frey, klepiąc go w ramię.

Sharka był tak samo niezniszczalny jak jego melina. Odkąd skończył piętnaście lat, katował się wszystkimi narkotykami, o jakich słyszał Frey, a mimo to jakoś dobił pięćdziesięciu sześciu lat i nie było powodu przypuszczać, że nie ma przed sobą jeszcze trzydziestu. Jego krew musiała się już stać toksyczna, ale pozostał twardy jak skorpion. Po prostu nie było sposobu, by go zabić.

- Cóż, wobec tego cię zostawię. Trafisz sam, co? Przyjdź do mnie później, dam ci eskortę, gdzie chcesz. Nie pozwolę, żeby ludzie Dracken cię napadli, jak będziesz stąd wychodził.

Być może stres wywołany tym, co go czekało, sprawił, że Frey był nadwrażliwy, ale głęboko go to wzruszyło. Sharka był niebezpiecznym człowiekiem, ale miał złote serce i Frey nagle poczuł się niewart jego dobroci. Nawet jeśli do końca mu nie ufał, miło było wiedzieć, że ktoś nie chce jego śmierci.

- Dzięki za wszystko, co zrobiłeś, Sharka - powiedział. - Mam u ciebie dług.

- Nie, żadnego długu - odparł Sharka. - Lubię cię, Frey. Przegrywasz częściej, niż wygrywasz i zostawiasz duże napiwki, jak masz szczęście. Nikogo nie wkurzasz, nie podbijasz stawki, jak masz nędzne karty. Pełno mam tutaj cwanych dzieciaków z forszą i starych wyjadaczy grających na procenty. Przydałoby mi się więcej takich graczy jak ty.

Frey się uśmiechnął. Jeszcze raz podziękował, a potem poszedł między stolikami w stronę zaplecza. Sharka to porządny gość, pomyślał. Nie sprzedałby go za nagrodę. Wszyscy wiedzieli, że jego melina to neutralny teren. Straciłby więcej, niżby zyskał na nagrodzie,

gdyby tylko powstało najlżejsze podejrzenie, że wydał ściganego. Połowa tu obecnych była przez kogoś ścigana.

Na zapleczu kelnerka w apetycznie krótkiej spódniczce wskazała Freyowi jeden z prywatnych pokojów do gry. Lokal Sharki był cały w gołej cegle i mosiądzu - niezbyt ładny, ale rejkiści nie ufali przepychowi.

Frey wszedł do małego, ciemnego pomieszczenia. Z sufitu zwisała latarnia, oświetlając czarne sukno stolika, na którym rozłożono figurami talię kart. Pod ścianą stał dobrze zaopatrzony barek. Stół otaczały cztery fotele.

Na jednym z nich, na wprost drzwi, siedziała Trinica Dracken.

Jej widok był dla Freya jak cios. Wyciągnęła się w fotelu, drobna i szczupła, od stóp do głów odziana w czerń - czarne wysokie buty, czarny płaszcz, czarne rękawiczki, czarną kamizelkę. Ale od zapiętego kołnierzyka czarnej koszuli w górę wszystko się zmieniało. Skórę upudrowała na upiorną biel. Włosy - jasne prawie jak u albinosa - krótko obcięte, sterczały jej nierównymi kępkami, jakby ktoś oberznął je nożem. Usta miała czerwone, tak mocno, że aż wulgarnie.

Ale Freya najbardziej zaszokowały jej oczy. Rzęsy były prawie niewidoczne, ale tęczówki - całkowicie czarne, wielkie jak monety. Dopiero po chwili zrozumiał, że to soczewki, a nie skutek jakiegoś demonicznego opętania. Noszone dla efektu, bez wątpienia, ale ów efekt przynoszące.

- Witaj, Frey - rzuciła. Głos miała niższy, niż pamiętał. - Kopę lat.
- Wyglądasz okropnie - stwierdził.
- Ty też - odparła. - Ciągła ucieczka ci nie służy.
- Właściwie zaczyna mi się podobać. Łapię drugi oddech, że tak powiem.

Dracken rozejrzała się po pokoju.

- Spelunka rejkiściów? Nie zmieniłeś się.
- A ty tak.
- Musiałam.

Frey wskazał karty na stoliku.

- Chcesz zagrać?
- Przyszłam tu paktować, Frey, a nie grać w twoje gierki.

Frey rozparł się w fotelu i zmierzył ją wzrokiem.

- Dobrze - powiedział. - A więc oficjalnie. Wiesz, był taki czas, kiedy lubiłaś rozmawiać godzinami.

- To było wtedy - odparła. - Teraz jest teraz. Nie jestem człowiekiem, którego pamiętasz.

To było niedomówienie. Kobieta, która siedziała przed Freyem, była jednym z cieszących się najgorszą sławą piratów w Vardii. Zorganizowała bunt, żeby przejąć dowodzenie „Płomienia Delirium”, a reputacja bezlitosnej i bezwzględnej zyskała jej szacunek całego półświatka. Plotki przypisywały jej liczne akty piractwa i mordów, a także śmiałe rabunki i niemal niewykonalne sztuczki nawigacyjne. Jedni się jej bali, inni jej zazdrościli, budzącej lęk królowej przestworzy.

Nie do wiary, że o mało się z nią nie ożenił.

\* \* \*

Rabban był jednym z dziewięciu głównych miast Vardii i tak jak pozostałe nosił tę samą nazwę co księstwo, w którym leżał. Choć ucierpiał okrutnie w Wojnach o Aerium, wciąż pozostał na tyle duży, że potrzebował ponad tuzina doków dla powietrznych statków. Lądowiska to pierwsza rzecz, jaką odbudowano po zaprzestaniu bombardowań sześć lat temu.

Niektóre były zaledwie wyspami w morzu strzaskanego kamienia, ale nawet na nich tłoczyły się statki pasażerskie, transportowce i zaopatrzeniowce. W Vardii transport powietrzny to jedyny sposób na przewiezienie towaru od ponad stu lat i nawet po wojnie nie było jak się bez niego obejść.

Jednak tylko nieliczne doki były przystosowane do przyjęcia statku rozmiarów „Płomienia Delirium”.

Fregata stała w olbrzymim, żelaznym hangarze, obok innych fregat i frachtowców: wagi ciężkiej niebios. Na poziomie pokładu „Płomień Delirium” otaczała sieć platform, galerii i chodników, na których roili się mechanicy, dokerzy i czyściciele. Wszystko sprawdzano, wszystko myto, negocjowano złożoną wymianę usług i towarów. Statek taki jak „Płomień Delirium”, z pięćdziesięcioosobową załogą, potrzebował solidnej obsługi.

Jego ochmistrem był wolny Dakkadyjczyk Ominda Rilk. Miał jasną skórę i włosy, typowe dla swojej rasy, drobną posturę i wąskie ramiona, a także skośne oczy, które wciąż były obiektem kpin vardyjskiej prasy. Dakkadyjczyków podziwiano i wykpiwano za ich zdolności administracyjne. Bardzo cenili sobie wykształcenie i biegłość w rachunkach: dzięki temu byli przydatni swoim samarlańskim panom. Dakkadyjczycy, w przeciwieństwie do Murthian, mogli posiadać własny majątek i wykupywać się na wolność.

Rzadko spotykano ich w Vardii, gdzie wciąż byli źle wspomniani po Wojnach o Aerium. Bardziej wyrozumiali uważali ich za liczykrupów i skapców, cała reszta za cwanych, podstępnych, morderczych drani. Mimo to był tu Ominda Rilk. Stał wśród skrzyń i palet, czekających na załadunek na „Płomień Delirium”, wszystko sprawdzając i notując coś od



czasu do czasu w swojej księdze. Jego skośne oczy były wystarczająco bystre, by zauważyć dwóch mężczyzn dźwigających bardzo ciężko wyglądającą skrzynię w sposób dość ukradkowy.

- Hej tam! - zawołał. Mężczyźni się zatrzymali, a on podszedł do nich szybkim krokiem. Byli to robotnicy portowi ubrani w brudne, szare kombinezony. Jeden był potężny i brzuchaty, z białymi wąsiskami; drugi niski, krępy i brzydki, z wydętymi policzkami i rzadką kępą czarnych włosów na czubku małej głowy. Obaj byli czerwoni i zzieleniali.

- Co to jest? - spytał Rilk, wskazując skrzynię. Miała trzy metry wysokości i dwa długości, toczyli ją na wózku kołowym w stronę strefy załadunku, gdzie dźwig prznosił zapasy na pokład „Płomienia Delirium”.

- Nie wiem - powiedział Malvery, wzruszając ramionami. - My tylko dostarczamy, prawda?

- No, ale od kogo? - warknął Rilk. - Gdzie są papiery? Szybciej!

Malvery wyjął zmięty, złożony komplet dokumentów. Rilk je otworzył i sprawdził kartę dostawy. Uniósł lekko brwi, kiedy zobaczył nazwisko nadawcy. „Gallian Thade”.

- Nie spodziewaliśmy się tego - powiedział, oddając papiery z grymasem na twarzy.

Malvery popatrzył na niego obojętnie.

- My tylko dostarczamy - powtórzył. - Ta skrzynia idzie na „Płomień Delirium”.

Rilk popatrzył spode łba na niego, potem na Pinna. Coś mu się w tych dwóch nie zgadzało, ale nie umiał powiedzieć co. Pinn niemo odwzajemnił jego spojrzenie.

- On w ogóle mówi? - spytał Rilk, wskazując go kciukiem.

- Niewiele - odparł Malvery. Pinnowi kazano trzymać buzię na kłódkę z obawy, że powie coś głupiego i zrujnuje ich kamuflaż. Doktor miał nadzieję, że zagroził pilotowi wystarczająco, by ten się nie wychylał. - Mamy to załadować czy nie?

Rilk przez chwilę przyglądał się skrzyni. Potem pstryknął palcami.

- Otwórzcie to.

Malvery jęknął.

- Och, daj pan spokój, niech pan nie będzie...

- Otwierać! - powtórzył Rilk, znów pstrykając palcami w sposób tak irytujący, że Malvery miał ochotę mu je połamać, a potem wepchnąć do gardła.

Doktor wzruszył ramionami i popatrzył na Pinna.

- Otwórz - powiedział.

Pinn wyjął łom. Skrzynia była zabita gwoździami, ale stosunkowo łatwo odbili przednią ściankę i oderwali ją brutalną siłą. Poleciała do przodu i z łomotem spadła na ziemię.

Rilk patrzył na zwałisty, pancerny kształt w środku. Potworność z metalu, skóry i kolczugi, garbata, z okrągłą kratką umiejscowioną nisko między ramionami, była zimna i niema.

- Co to jest? - spytał.

Malvery przez chwilę się zastanawiał, oglądając Bess.

- Moim zdaniem to jeden z tych kombinezonów do pracy w ciężkich warunkach, ciśnieniu i tak dalej.

Rilk zmierzył Bess wzrokiem. Widać było, że nie rozumie.

- A co to robi?

- No, wkłada się to, jak się pracuje na pokładzie, widzi pan. Na przykład w warunkach arktycznych, albo kiedy statek jest bardzo, bardzo wysoko na niebie.

- Zimno tam jak na trupim cycku, a powietrze jest tak rzadkie, że nie da się nim oddychać - dodał Pinn, nie mogąc się opanować. Malvery uciszył go spojrzeniem.

- Rozumiem - powiedział Rilk, przyglądając się mu. - A skąd robotnik portowy to wie?

Pinn się zmieszał.

- Wiem i już.

- Do portowych barów przychodzi dużo pilotów - powiedział Malvery, siląc się na swobodny ton. - Ludzie gadają.

- Owszem, gadają - stwierdził ochmistrz. Podeszedł do Bess, przysunął twarz do jej twarzo-kratki i zajrzał do środka.

- Halo? - zawołał. Jego głos odbił się echem w pustym wnętrzu.

- On myśli, że tam ktoś jest. - Malvery wyszczerzył się do Pinna i szturchnął go łokciem. Pinn posłusznie parsknął śmiechem. Rilk się cofnął, jego blada twarz poczerwieniała.

- Zamykać skrzynię i ładować! - warknął, a potem szybko zapisał coś w księdze i poszedł.

\* \* \*

- Po co mnie tu ściągnąłeś, Darian? - spytała Trinica Dracken.

- A po co przyszedłeś? - odparował.

Uśmiechnęła się zimno w blasku lampy.

- Zestrzelenie cię po tylu latach wydawało się trochę... bezosobowe - zauważyła. - Chciałam cię widzieć. Chciałam ci patrzeć w oczy.

- Ja też chciałem cię zobaczyć.

Frey zgarnął rozłożone na stoliku karty.

- Kłamiesz. Jestem ostatnią osobą, którą chciałeś kiedykolwiek jeszcze widzieć.

Frey popatrzył na karty i zaczął je tasować.

- Moi ludzie cię śledzili - powiedziała Trinica. - Wiedziałeś? Po tym, jak mnie rzuciłeś.

Lekko go to zmroziło.

- Nie wiedziałem.

- Dzień po dniu naszego ślubu wysłałam za tobą Shacklemore'ow.

- To nie był dzień naszego ślubu - odparł Frey - bo nie było żadnego ślubu.

- Przyszło tysiąc ludzi, którzy myśleli inaczej - skwitowała Trinica. - Nie wspominając o pannie młodej. Właściwie wszyscy myśleli, że przyszli na wspaniałe wesele aż do chwili, kiedy sędzia wezwał pana młodego. - Zrobiła komicznie żalostną minę, jak smutny klaun. - A biedna panna młoda czekała przed nimi wszystkimi.

Dmuchięła w otwartą dłoń.

- Ale pan młody zniknął.

To, jak o tym mówiła, Freya denerwowało. Spodziewał się wrzasków i wyrzutów, ale ona wydawała się wyzuta z emocji, jakby opowiadała o czymś, co spotkało kogoś innego. A te czarne oczy sprawiały, że wyglądała demonicznie i obco. Nawet trochę przerażająco.

- Czego chcesz, Trinica? - Zabrzmiało to gniewniej niż zamierzał. - Przepraszam? Na to już trochę za późno.

- Och, to z całą pewnością prawda - przyznała.

Frey opadł na oparcie fotela. Jej widok obudził w nim wszystkie dawne uczucia. Złe uczucia. Kiedyś kochał tę kobietę, kiedy była urocza, piękna i doskonała. Kochał ją tak, jak nikogo innego później. Ale potem złamał jej serce, a ona w odwecie rozszarpała jego serce na strzępy. Nie mógł jej wybaczyć tego, co mu zrobiła. Nigdy.

Ale kłótnia nic by mu teraz nie dała. Nie mógł ryzykować, że Trinica wścieknie się i wybiegnie. Celem tego spotkania było zatrzymać ją tu jak najdłużej, żeby jego ludzie zrobili swoje na „Płomieniu Delirium”.

Odchrząknął i spróbował zapanować nad rozgoryczeniem w głosie.

- A więc - powiedział. - Nasłałaś na mnie Shacklemore'ow.

Zaczął przekładać karty i w roztargnieniu je znów tasować.

- Trudno było cię znaleźć - odparła. - Zajęło im to sześć miesięcy. Przez ten czas... cóż, wiesz, co się stało przez ten czas.

Frey poczuł, że coś go ścisną za gardło. Wściekłość czy żal, nie wiedział sam.

- Wrócili i powiedzieli, że cię znaleźli. Pracowałeś jako wolny strzelec gdzieś na drugim końcu Vardii. Wykorzystywałeś pewnie to, czego się nauczyłeś, wożąc towary w firmie mojego ojca. Robiłeś własne interesy.

- Musiałem zarabiać na życie - odparł Frey neutralnie.

Rzuciła mu słaby, nieobecny uśmiech.

- Spytali mnie, czy mają cię przyprowadzić. Nie chciałam. Nie wtedy. Kazałam im zamiast tego dyskretnie dać ci znać, jak sobie radzę. Byłam pewna, że nie zadałeś sobie trudu, żeby się dowiedzieć.

Frey dobrze pamiętał tamto spotkanie. Nieznajomy w barze, wspólny drink. Rzucona od niechcenia uwaga, że pracuje dla Dracken Industries. Straszne, co się stało z tą jego córką. Po prostu straszne.

Ale Trinica się myliła. Dowiadywał się. Wiedział już wtedy, co zrobiła.

Zalała go fala wspomnień. Pałająca miłość i żrąca nienawiść. Nieznajoma siedząca przed nim była karykaturą młodej kobiety, której omal nie poślubił. Całował te wargi, te kurewsko czerwone wargi, które teraz się do niego okrutnie uśmiechały. Słyszał, jak szepczą do niego najczulsze słówka.

Dziesięć lat. Wydawało mu się, że po takim czasie wszystko to będzie dawno pogrzebane. Był w bolesnym błędzie.

- Nie wydawało mi się to sprawiedliwe - powiedziała Trinica, przekrzywiając głowę jak ptak. Miała dziecinną minę, mówiącą: „Biedny Frey. Biedny, biedny Frey”. - Nie wydawało mi się sprawiedliwe, żebyś mógł tak po prostu się odwrócić i odejść. Żebyś mógł zostawić swoją narzeczoną w dzień ślubu i nie musieć myśleć o tym, co zrobiłeś, nie brać za to żadnej odpowiedzialności.

- Nie byłem odpowiedzialny!

Nachyliła się do przodu nad stolikiem, śmiertelnie poważna, jej okropne, czarne oczy spoglądały z białej twarzy.

- Owszem, byłeś.

Frey cisnął karty na stół, ale jego wściekłość wyparowała równie szybko, jak się pojawiła. Opadł na oparcie fotela z rękami skrzyżowanymi na piersi. Chciał się spierać, ale musiał zachować spokój. Zachować kontrolę.

Nie daj tej dziwce się sprowokować. Graj na czas, pomyślał.

- Kazałaś mi potem śledzić Shacklemore'om? - spytał. Trinica kiwnęła głową. - Skąd to zainteresowanie?

- Zapomniałam ich odwołać.

- Och, daj spokój.

- To prawda. Z początku, przyznaję, chciałam zobaczyć, jakie wrażenie zrobią na tobie moje wieści. Chciałam zobaczyć, czy będziesz cierpiał. Ale potem... Cóż, odeszłam z domu i

miałam inne problemy na głowie. Dopiero wiele lat później uświadomiłam sobie, że cały ten czas mają twoją kartotekę otwartą, że co miesiąc ściągają opłatę. Widzisz, płacił im mój ojciec. Kiedy ma się tyle pieniędzy, łatwo o czymś takim zapomnieć.

- A więc wiesz, że wstąpiłem do Marynarki? - spytał Frey.

- Wiem, że cię wcielili, kiedy wybuchła Druga Wojna o Aerium - powiedziała Trinica. - I wiem, że za dużo piłeś, I zacząłeś brać najniebezpieczniejsze zlecenia. Wiem, że nikt nie chciał z tobą latać, bo twoje samozniszczenie było tylko kwestią czasu.

- Musiałaś się cieszyć, słysząc to wszystko.

- Owszem, tak - odparła pogodnie. - Ale dowiedziałam się dopiero, kiedy zniknąłeś.

Frey nie powiedział.

- Powiedzieli mi, że wasza pozycja została zajęta przez samarłańskie oddziały. Domyślam się, że wylądowałeś i wpadłeś w zasadzkę. Co się stało z resztą załogi?

- Nie żyją.

- Oczywiście.

- Wywiad Marynarki - prychnął Frey. - Zgraja niekompetentnych drani. Wysłali nas tam, a Sammie tylko czekali.

Trinica się zaśmiała, śmiechem ostrym i dźwięcznym.

- Ten sam stary Darian. Cały świat rzuca mu kłody pod nogi. Nic nigdy nie jest twoją winą, prawda?

- Jak niby to była moja wina? - krzyknął. - Wylądowałem w strefie walk, bo takie mi dali informacje.

Trinica cierpliwie westchnęła.

- To była wojna, Darian. Pomyłki to zwykła rzecz. Wylądowałeś w strefie walk, bo od miesięcy brałeś najbardziej niebezpieczne, frontowe przydziały. Nigdy o nic nie pytałeś; brałeś zlecenie i leciałeś. Cud, że to się nie stało wcześniej.

- To była dla mnie najlepsza szansa spłacenia pożyczki na „Ketty Jay” - zaprotestował, ale zabrzmiało to słabo nawet w jego uszach. Nie mógł zapomnieć rozpaczliwego tonu głosu Rabby'ego, kiedy zamykał rampę. „Nie zostawiaj mnie tu!”

- Skoro chciałeś umrzeć, dlaczego się po prostu nie zabiłeś? - spytała Trinica. - Po co próbowałeś zabrać wszystkich innych ze sobą?

- Nigdy nie chciałem umrzeć!

Trinica tylko na niego popatrzyła. Po chwili wzruszyła ramionami.

- Cóż, najwyraźniej nie chciałeś wystarczająco mocno, skoro tu jesteś. Wszyscy myśleli, że zginąłeś. Shacklemore'owie zamknęli akta. Kasa pożyczkowa umorzyła resztę rat za

„Ketty Jay". I zniknęłaś, oficjalnie zimny trup. Aż pewnego dnia... Pewnego dnia znów usłyszałam twoje imię, Darianie. Wyglądało na to, że żyjesz, i że wszyscy cię szukają. Po prostu musiałam się do nich przyłączyć.

- Po prostu musiałaś, tak? - powtórzył kąśliwie Frey.

Ton Triniki w jednej chwili zmienił się ze zrelaksowanego w lodowaty.

- Tamtego dnia, kiedy zniknęłaś, zdradziłaś mnie. Myślałam, że nigdy nie będę ci się mogła odpłacić. Ale żyjesz, bardzo dobrze. To wprost wspaniale. - Uśmiechnęła się zimnym uśmiechem drapieżnika, a jej czarne oczy zaśmiały jak ślepiec węża śledzącego mysz. - Bo teraz cię złapię, moja zabłąkana miłości, i będę patrzyła, jak zawisniesz.

## 23

*Barykady - Bess się budzi - Lekcja gry w karty -*

*Potwór pod pokładem - Złodzieje*

„Ketty Jay" stała w małym doku na obrzeżach Rabbanu, daleko od „Płomienia Delirium". Dok był tak naprawdę niczym więcej niż rzadko używanym lądowiskiem nad labiryntem pokrytych gruzem uliczek. Płytę dzieliło zaledwie kilka innych statków podobnych rozmiarów. Stały ciemne i ciche, ich załóg nie było widać. Dookoła kręciło się paru ludzi z obsługi szukających zajęcia. Ich obecność zdradzały kasznięcia i powolne poruszenia w ciemnościach. Panowała cisza.

Silos i Jez pracowali w białym blasku dolnych świateł „Ketty Jay", przetaczając beczki z ładowni i ustawiając je w rzędy po pięć. Wokół statku stało już kilka takich rzędów. Postronny obserwator mógłby uznać, że stoją bezładnie, dopóki nie domyśliłby się, czemu miały służyć.

Silos i Jez budowali barykady.

Harkins, zgięty w pół, przebiegał wzdłuż krawędzi płyty z lunetą w ręku. Trzymał się poza zasięgiem światła elektrycznych lamp na słupach, oznaczających lądowisko dla ruchu powietrznego. Co jakiś czas przystawał i przepatrywał okoliczne uliczki, a potem biegł nerwowo w inne miejsce i znów wypatrywał czegoś niepokojącego. Obsługa doku nie zwracała na niego uwagi. Dopóki kapitan płacił postojowe, dopóty wszyscy tolerowali

ekscentryków.

Noc była jeszcze młoda, kiedy Harkins się wyprostował i zmarł. Poprawił ostrość lunety, przesunął ją w tę i z powrotem, licząc gorączkowo pod nosem. Potem popędził do „Ketty Jay”, jakby paliły go pięty.

- Zaczyna się - powiedziała Jez, kiedy go zobaczyła. Silos chrząknął i postawił na miejscu następną beczkę piasku.

- Jest ich dwudziestu! - zameldował cichym skrzekiem Harkins. - To znaczy, plus minus paru, ale prawie dwudziestu! Co możemy zrobić z dwudziestoma? Czy prawie dwudziestoma. Dziesięciu to już byłoby za dużo! Czego on się spodziewa? Nie podoba mi się to. Ani trochę!

Jez przyjrzała mu się zmartwiona. Wydawał się jeszcze bardziej zdenerwowany niż zwykle. Firecrowa i skylance'a nie było nawet w mieście: czekały w punkcie zbornym daleko stąd. Bez swojego statku Harkins wyglądał jak ślimak bez skorupy.

- Robimy to, co kazał kapitan - stwierdziła spokojnie.

- Ale nie wiedzieliśmy, że będzie dwudziestu! To prawie połowa załogi!

- Dracken pewnie nie chce ryzykować - odparła Jez. Wymieniła spojrzenia z Silosem, który wszedł po rampie do „Ketty Jay”.

Harkins popatrzył za nim, potem odwrócił się do Jez z nieco obłąkanym błyskiem w oku.

- Mam, mam pomysł! Może po prostu się schowamy, zamkniemy ładownię i ją zablokujemy? Nigdy się nie dostaną do środka.

- Myślisz, że o tym nie pomyśleli? Będą mieli ładunki wybuchowe. Albo to, albo kogoś, kto umie otworzyć i przepiąć klawiaturę. - Wskazała mały prostokąt z przyciskami na podporze, za pomocą którego otwierało się i zamykało rampę z zewnątrz.

Spodnie reflektory „Ketty Jay” zgasły, zalewając ich mrokiem. Prawie puste lądowisko wyglądało nierzeczywiście w słabym blasku lamp na słupach. Silos wyszedł ze statku, dźwigając naręczce broni i amunicji.

Jez poklepała Harkinsa po ramieniu, chcąc mu dodać otuchy. Wyglądał, jakby zaraz miał uciec.

- Dwudziestu ludzi tutaj oznacza dwudziestu mniej, z którymi muszą sobie poradzić inni - dodała. - Kapitan uprzedzał, że Dracken po nas przyjdzie. Jesteśmy przygotowani. Musimy tylko wytrzymać to wszystko.

- Och, to wszystko! - jęknął Harkins z histerycznym sarkazmem. Ale wtedy Silos chwycił go za rękę i wcisnął mu w dłoń rewolwer, a spojrzenie, jakie przy tym rzucił, wystarczyło, żeby pilot się zamknął.

\* \* \*

Malvery i Pinn dołączyli do Crake'a, który czekał w bezpiecznej odległości od „Płomienia Delirium”, z troską marszcząc czoło. Razem patrzyli, jak Bess jest ładowana na pokład. Ramię dźwigu było przymocowane łańcuchami do czterech rogów wielkiej palety, na której były dziesiątki skrzyń. Dźwig przeniósł ją na pokład fregaty. Tam załoga Dracken przenosiła skrzynie do kołowrotu, który opuszczał je przez luk do ładowni. Dokerom nie wolno było wchodzić na statek. Dracken знаła dobrze związane z tym ryzyko infiltracji.

- Nie podoba mi się to - powiedział Crake do siebie po raz dziesiąty.

- Nic jej nie będzie - zapewnił Malvery, patrząc na kieszonkowy zegarek.

- A jeśli nawet coś jej się stanie - stwierdził Pinn - zawsze możesz zbudować sobie nową dziewczynę.

Malvery zdzielił go w głowę. Pinn głośno zaklął.

- Nic jej nie będzie - powtórzył doktor.

Pinn niespokojnie poprawił genitalia w spodniach. Miał na sobie kombinezon robotnika portowego, tak samo jak towarzysze, a pod spodem swoje normalne ubranie. Później musieli się szybko przebrać. Tymczasem wysiłek i liczne warstwy odzieży sprawiały, że się obficie pocili.

- Kiedy będziemy mogli zaczynać? Leje mi się po jajach.

Pozostali go zignorowali. Obrażony zapalił skręta. Paleta, już pusta, została ściągnięta przez dźwig z pokładu i wróciła na podłogę hangaru, gdzie załadowano na nią więcej skrzyń.

- Otóż to - powiedział Malvery. - Idziemy na dół. Crake, trzymaj buzię na kłódkę. Nikt nie uwierzy, że jesteś dokerem z takim akcentem. Pinn... ty po prostu się nie odzywaj.

Pinn skrzywił się i splunął na ziemię.

- Kapitan chce, żeby wszystko poszło jak w zegarku - dodał Malvery. - Wiemy, że nie ma na to cienia szansy, więc postarajmy się po prostu nie dać zabić. Może mimo wszystko rano będziemy pić i się z tego śmiać.

Ruszyli przez zgiełk doku, między stosami skrzyń, sieciami i skrzypiącymi maszynami. Obracały się olbrzymie koła zębate; windy klatkowe grzechotały między poziomami hangaru. W górze sunęły ramiona dźwigów, a wśród żelaznych belek sklepienia, gdzie gniazdowały i srały eskadry gołębi, niosły się echem krzyki. Na drugim końcu hangaru siadał powoli wielki frachtowiec, zawieszony nieważko na zbiornikach aerium, popychany na miejsce gazowymi dyszami.

Udający dokerów Malvery, Pinn i Crake byli w tym chaosie niewidzialni. Wzięli parę



rzeczy ze stosu osiatkowanych skrzyń i beczek, czekających na załadunek na „Płomień Delirium”, i ruszyli w stronę wielkiej palety przymocowanej łańcuchami do ramienia dźwigu. Ładunek piętrzył się już na niej wysoko. Poszli dalej, na drugą stronę, gdzie nie widzieli ich inni dokerzy. Tam zaczęli odpinać część skrzyń i przestawiać je tak, żeby zrobić miejsce.

Zza rogu wyszedł jakiś człowiek, niosący wyglądającą na ciężką skrzynię. Malvery, Pinn i Crake zrobili, co mogli, żeby wyglądać na skupionych i zajętych. Docker - ogorzały, krzepki mężczyzna o przetykanych siwizną włosach - przez chwilę patrzył na nich w zdumieniu, potem uznał, że cokolwiek robią, nie warto tego komentować. Odstawił skrzynię, przymocował ją siatką i poszedł.

Kiedy tylko wygrzebali sobie trochę miejsca, rozejrzeli się dla pewności, a potem wcisnęli do środka. Później zastawili się skrzyniami, zamykając się w środku.

Udało się im w ostatniej chwili. Kiedy tylko nawzajem się puciszali, zawył parowy gwizdek. Usłyszeli obok swojej kryjówki kroki dokerów, zbiegających z palety, a potem z szarpnięciem paleta ruszyła w górę.

Malvery musiał podtrzymywać niezabezpieczone kraty przed nimi z obawy przed przygnieceniem, ale dźwig wciągał ich powoli, a paleta była dość ciężka, żeby się nie kołysać. Chociaż skrzynie niepokojąco się przesuwwały i kiwały, żadnej nie groził upadek. Wciśnięci w swój mały kąt czuli, jak są przenoszeni nad szczeliną między poziomem hangaru a pokładem „Płomienia Delirium”.

Crake pomyślał, że tak musi się czuć mysz. Schowana w ciemności, zdana na łaskę świata, przerażona każdym nieznanym dźwiękiem. Do kroćset, nie znosił tego. Nie nadawał się na pasażera na gapę. Za bardzo się bał, że ktoś go złapie.

Ale na pokładzie była Bess. Teraz nie miał wyjścia. Sam ją tam wysłał.

Po co to zrobiłeś? Dlaczego się zgodziłeś? - wyrzucał sobie w myślach.

Zgodził się, bo było mu wstyd. Bo od chwili spotkania z człowiekiem z Agencji Shacklemore'a nie mógł spojrzeć Jez w oczy. Absurdalnie miał poczucie, że jest jej coś winien. Że jest coś winien załodze. Musiał odkupić swoje winy, odpokutować za to, że jest takim nikczemnym, obrzydliwym potworem. Przeprzić za swoją obecność wśród nich. Pokazać, że jest coś wart.

Zresztą teraz było już za późno, żeby się wycofać.

- Prawie jesteśmy - poinformował Malvery. - Zaczynaj.

Crake wyciągnął swój mały mosiężny gwizdek. Przyłożył go do ust i dmuchnął. Gwizdek nie wydał żadnego dźwięku.

- To wszystko? - spytał Pinn zdumiony.

- To wszystko - odparł Crake.

- I co teraz będzie?

- Bess właśnie się obudziła i odkryła, że jest w skrzyni - powiedział Crake. - Nie chciałbym w tym momencie być w ładowni „Płomienia Delirium”.

Kiedy paleta z łomotem spoczęła na pokładzie, słyszeli już wycie i trzaski.

\* \* \*

- Wiesz, że jestem niewinny, prawda? - spytał Frey.

Trinica nalewała dwie szklanki whisky z barku. Obejrzała się na niego. Biała jak księżycowa twarz w częściowym mroku czarnej krzywizny ramienia.

- Nie jesteś niewinny, Frey. Zabiłeś tych ludzi. Nieważne, czy ktoś cię wrobił, czy nie.

- „As Czaszek” był zaminowany. Ci ludzie i tak by zginęli, ze mną czy beze mnie.

- Każdy kiedyś umrze, z tobą czy bez ciebie. To nie znaczy, że wolno ci ich zamordować.

Drażniła go. Zdawał sobie w tego sprawę. Doprowadzała go tym do szału. Zawsze umiała wbijać mu szpilki w sumienie, obalać jego wymówki.

- A więc brałaś w tym udział? - spytał. - W spisku?

Podawała mu whisky i usiadła z powrotem. Między sobą mieli stolik do gry, karty leżały tam, gdzie Frey je rzucił. Czaszki, skrzydła, książęta i asy, wszystkie ukryte w bezładzie.

- Nie. Nie ja cię wystawiłam. Nie wiedziałam, że żyjesz, dopóki nie usłyszałam, że jesteś poszukiwany.

- Ale teraz wiesz. Wiesz, że książę Grephen stoi za tym wszystkim, że Gallian Thade też jest zamieszany. Wiesz, że zrobili ze mnie kozła ofiarnego?

Trinica uniosła brew, blond na bieli.

- Och, jejku. Najwyraźniej wydaje ci się, że dużo się dowiedziałeś. To była twoja karta w rękawie? Mam podziwiać twój spryt?

- Odrobina podziwu by nie zaszkodziła, owszem.

Upiła łyk whisky.

- Zakładam, że odwołujesz się do lepszej części mojej natury? Zastanawiasz się, jak mogłam wziąć udział w tak straszliwym akcie niesprawiedliwości? Jak mogłam świadomie pozwolić obwinić cię za śmierć Hengara, skoro wiem, że to był pomysł Grephena?

- Mniej więcej.

- Bo Grephen płaci mi mnóstwo pieniędzy. A poza tym, szczerze mówiąc, zrobiłabym to za darmo. Zasłużyłeś sobie.

- Nie przeszkadza ci, że jesteś współwinna zamordowania syna arcyksięcia? Nie sądzisz,

że mogą tu wchodzić w grę poważniejsze konsekwencje?

- Być może - stwierdziła Trinica. - Ale to nie twoje zmartwienie, bo dla ciebie to wszystko bardzo szybko się skończy.

- Daj spokój, Trinica. Śmierć Hengara to dopiero początek. Musisz wiedzieć, jeśli księżę Grephen coś planuje.

Trinica się uśmiechnęła.

- Muszę?

Frey przeklął ją w myślach. Nic nie zdradzała. Chciał wycisnąć z niej więcej informacji, ale nie dała się sprowokować. Powiedział jej, co wie o Grephenie, i to miało poprowadzić ją błędną ścieżką, ale nie mógł zdradzić, że dowiedział się o zamachu stanu i o tajemniczej kryjówce. Odkryłby swoje karty.

- Jedno pytanie. Ferrotyp. Ten na listach gończych. Skąd go wzięli, jeśli nie od ciebie?

- Tak, ja też byłam zaskoczona - odparła. - Zrobiliśmy je sobie, kiedy byliśmy w górach. Pamiętasz?

Frey pamiętał. Pamiętał czas romantycznej przygody, świeżo zakochanej pary. On był zaledwie pilotem transportowca, a ona córką szefa, jedną z dziedziczek fortuny Dracken Industries. On był biedny, a ona bogata, a mimo to go kochała. To była miłość zapierająca dech w piersiach, niebezpieczna. Radośnie dawali się jej nieść, nie bacząc na konsekwencje, opancerzeni własnym szczęściem.

- Przypuszczam, że dał im je mój ojciec - oznajmiła. - Marynarka chyba nie miała żadnych twoich zdjęć, a wiedzieli, że przedtem pracowałeś dla Dracken Industries. Pewnie mieli nadzieję na zdjęcie personelu.

- Zachował tamto?!

- Zachował je, bo byłam na nim ja. Pewnie taką wolał mnie zapamiętać.

Na listach gończych widniała tylko twarz Freya, ale na całym zdjęciu na jego ramieniu opierała się roześmiana Trinica. Śmiała się właściwie bez powodu. Dla samego śmiechu. Pamiętał tamto zdjęcie doskonale. Jej rozwiane włosy, rozchylone usta, białe zęby. Rzadkie, idealne ujęcie, uwieczniona chwila naturalnej, niewymuszonej radości. Nikt nie skojarzyłby tamtej dziewczyny z kobietą, która siedziała teraz przed nim.

W tej chwili Frey poczuł tragedię swojej straty. Jak okrutne to było, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły.

Ale Trinica zobaczyła wyraz jego twarzy i słusznie odgadła jego przyczynę. Zawsze czytała mu w myślach, lepiej niż ktokolwiek.

- Spójrz na siebie, Darianie. Przeklinasz los, który cię tu sprowadził. Któregoś dnia

zrozumiesz, że wszystko, co cię spotkało, było twoją własną winą.

- Brednie - warknął. Smutek w jednej chwili zmienił się w jad. - Robiłem, co mogłem. Staralem się poprawić.

- A mimo to oto jesteś, dziesięć lat później, ledwie wiążąc koniec z końcem. A ja zostałam kapitanem pięćdziesięcioosobowej załogi, słynnym i bogatym.

- Nie jestem taki jak ty, Trinico. Nie urodziłem się z wetkniętą w tyłek srebrną łyżeczką. Nie otrzymałem dobrego wykształcenia. Niektórzy z nas nie mają tyle szczęścia.

Popatrzyła na niego przeciągle. Potem jej czarne oczy spoczęły na zakrytych kartach, rozrzuconych po stole.

- Pamiętam, jak opowiadałeś o rejku - powiedziała, w zamyśleniu, biorąc kartę i odwracając ją. Trafiła na damę krzyży. - Mawiałeś, że wszyscy uważają za najważniejszy czynnik szczęście. Mówili, że wszystko zależy od kart, jakie się dostanie. Głównie fart, odrobina umiejętności. - Odwróciła następną. Dziesiątka kłów. - Uważałeś ich za idiotów. Wiedziałeś, że to głównie umiejętności i odrobina fartu.

Następny był as czaszek. Frey nienawidził tej karty. Rujnowała każde rozdanie w rejku, chyba że wchodziła w skład zwycięskiej kombinacji, co nie udawało się prawie nigdy.

- Dobry gracz może czasami przegrać ze średnim, ale na dłuższą metę to dobrzy zarabiali pieniądze, a źli je tracili - ciągnęła Trinica.

Następna karta - książę czaszek. Dowolny kapłan dałby jej pięć kolejnych figur do asa czaszek, układ nie do pobicia.

Odwróciła ostatnią kartę - siódemka skrzydeł. Rozdanie było spalone. Jej spojrzenie oderwało się od stołu i napotkało wzrok Freya.

- Na dłuższą metę szczęście w ogóle się nie liczy - powiedziała.

\* \* \*

Pod pokładem „Płomienia Delirium” panował chaos. Wolne, miarowe łomotanie niesło się echem przez ciemne korytarze. Jęczał metal. Ludzie krzyczeli i biegali, niektórzy w stronę hałasu, inni od niego.

- To w ładowni!

- Co w ładowni?

Ale nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Ci w ładowni uciekli zdjęci grozą, kiedy żelazno-skórzany potwór wypadł ze swojej skrzyni i zaczął szaleć po ciemnych przejściach między towarami. Wszędzie latały beczki. Strzelano, ale bez skutku. Powietrze wypełniły drzazgi, kiedy intruz przedzierał się przez skrzynie z zaopatrzeniem i towarami na handel. Na dole

było ciemno i niewyraźny stwór przerażał załogę.

Ci na górze, operujący kołowrotem, zajrzeli lękliwie przez otwarty luk do ładowni, kiedy tylko usłyszeli hałasy. Światło z hangaru ledwie sięgało jej dna. Uciekli pośpiesznie, kiedy w wąskim polu widzenia mignęło im coś wielkiego. Dopiero wtedy jeden z nich pomyślał o tym, żeby podnieść kołowrót.

W wynikłym zamieszaniu nikt nie zauważył trójki nieznajomych, ubranych w brudne, pstrokate ubrania załogi, którzy weszli pod pokład.

Ci, którym udało się uciec z ładowni, zatrzasnęli za sobą drzwi i zamknęli, więżąc potwora w środku. Ale potworowi się to nie spodobało. Dobijał się z drugiej strony, dość mocno, by wybrzusić dwudziestocentymetrową stal. Zza grodzi dobiegały wściekłe ryki.

- Przywlec mi tu swoje tłuste, cuchnące ścierwa! - wrzeszczał krzepki brudny bosman. Mężczyźni, na których krzyczał, przyszedli sprawdzić, co tak hałasuje, ale teraz się cofali, widząc co się dzieje. Na jego rozkaz niechętnie wrócili. - Gotuj broń, jeden z drugim! Będziecie bronić swojego statku!

W przejściu przed drzwiami pośpiesznie składano obrotowe działko na trójnogu. Bosman przykleknął przy marynarzu, który je montował.

- Kiedy to coś się wydostanie, wał, nie czekaj!

\* \* \*

Malvery, Crake i Pinn omijali chaos, jak tylko mogli, i przez jakiś czas nikt ich nie zaczepiał. „Płomień Delirium” miał tylko połowę załogi na pokładzie, a prawie cała ta połowa zajęta była dywersją Bess. Starali się na nikogo nie wpaść, a kiedy ich widziano, to z reguły z oddalenia albo przez kogoś, kto się gdzieś spieszył. Udało im się przedostać głęboko w trzewia statku, zanim natknęli się na członka załogi, który dobrze im się przyjrzał i rozpoznał w nich intruzów.

- Hej...! - zaczął, ale Malvery złapał go za głowę i wyrzwał nią o ścianę. Marynarz nieprzytomny osunął się na podłogę.

- Nie za dobrze ci idzie perswazja, co? - zauważył Crake, kiedy wlekli ogłuszonego do bocznego pomieszczenia.

- Mój sposób jest szybszy - odparł doktor, poprawiając okrągłe zielone okulary. - Nie ma ryzyka nieporozumienia.

Boczne pomieszczenie okazało się kambuzem, teraz pustym, z wygaszonymi kuchenkami. Crake zamknął drzwi, a Malvery nalał trochę wody do blaszanego kubka. Marynarz - młody, nieprzytomny majtek - zaczął jęczeć i się poruszać. Doktor chlusnął mu

wodą w twarz. Chłopak otworzył oczy i powoli skupił spojrzenie na Pinnie, który stał nad nim i celował mu z rewolweru w nos.

Malvery ukucnął obok więźnia i postukał go w głowę dnem kubka. Chłopak się skrzywił.

- Kajuta kapitańska - powiedział doktor. - Gdzie?

\* \* \*

Zostawili majtkę związanego i zakneblowanego w kredensie. Pinn chciał go zastrzelić, ale Crake mu na to nie pozwolił. Argument Pinna, że „to tylko majtek, nikt nie zauważy” nikogo nie przekonywał.

Kajutę kapitańską zastali oczywiście zamkniętą, ale Crake przyszedł przygotowany. Jeśli miał czas i materiały, było dla niego prostą sztuczką stworzenie demonicznego uniwersalnego klucza. Wsunął go do zamka i skupił się, w ciszy umysłu składając mentalny akord, budząc demona zaklętego w kluczu. Palce mu zdrętwiały, kiedy istota zaczęła wysysać z niego energię. Choć mała, była głodna i mógł nad nią zapanować tylko wyszkolony demonista.

Demon wypuścił niewidoczne macki wpływów, macając zamek, pieszcząc dźwigienki i bębenki. Potem klucz gwałtownie się obrócił i drzwi stanęły otworem.

Malvery poklepał Crake'a po ramieniu.

- Dobra robota, kolego - wyszczerzył się.

Crake'owi dziwnie dodało to otuchy. Potem usłyszał z oddali niosące się przez „Płomień” dudnienie i przypomniał sobie o Bess.

- Skończmy to - powiedział i weszli do środka.

Kabina Dracken była nieskazitelnie czysta, ale połączenie mosiądzu, żelaza i ciemnego drewna tworzyło w niej duszną, przytłaczającą atmosferę. Jedną ścianę zajmował regał z książkami - literatura piękna, biografie i podręczniki nawigacji z lśniącymi, miedzianymi tłoczeniami. Niektóre tytuły zapisano samarłańskim pismem, zauważył Crake. Wypatrzył *Pieśniarza i ptaka* i *O dominacji naszej sfery*, dwa wielkie dzieła samarłańskich mistrzów. Poczul nieoczekiwany podziw dla piratki, która chciała - a nawet mogła - czytać takie pisma.

Pinn i Malvery poszli prosto do biurka na drugim końcu kajuty, stojącego pod ukośnie nachylonym oknem ze zbrojonego szkła. Światło hangaru padało na schludnie poukładane mapy i kosztowny zestaw do pisania z szyldkretu. Crake nagle wyobraził sobie Dracken wyglądającą w zamyśleniu przez to okno na morze chmur, nad którym przelatywał jej statek.

Pinn grzebał w mapach, rozrzucając je i niszcząc nastrój.

- Nic - stwierdził.

Spojrzenie Malvery'ego padło na podłużną, wąską skrzynkę na półce przy biurku. Była

zamknięta na kłódkę.

- Crake! - zawołał, a demonista podszedł ze swoim kluczem. Zamek był bardziej skomplikowany niż ten w drzwiach, ale ostatecznie nie oparł się kluczowi.

Skrzynka była pełna zrolowanych map. Na wierzchu leżało coś, co wyglądało jak duży kompas. Malvery podał go Crake'owi, a potem zaczął razem z Pinnem przeglądać mapy. Crake nasłuchiwał dudnienia dochodzącego z głębin „Płomienia Delirium”, jednocześnie badając znalezisko doktora.

Wal dalej, Bess, pomyślał. Tak długo, jak cię słyszę, wiem, że nic ci nie jest.

Kompas był tak duży, że ledwie trzymał go jedną ręką. Po bliższych oględzinach także okazał się wcale nie być kompasem. Nie miał oznaczeń północ-południe-zachód-wschód i posiadał cztery igły zamiast jednej, wszystkie jednakowej długości i ponumerowane. W dodatku wyposażony był w cztery malutkie zestawy cyfr, umieszczonych parami, każda cyfra na obrotowym cylindrze pozwalającym odliczać od zera do dziewięciu. Owe pary także ponumerowane były od jednego do czterech, prawdopodobnie przyporządkowane igłom. Wszystkie igły wskazywały jeden kierunek, nieważne, jak Crake je obracał, wszystkie cyfry stały na zerze.

- Chyba mamy! - powiedział Malvery. Wyjął ze skrzynki naręcze map i wepchnął je pod wytarty sweter, po czym spojrzał na Crake'a. - To jest to urządzenie, którego szukałeś?

- Tak sądzę.

Crake nie wątpił, że trzymał w rękach tajemniczy instrument, o którym wspominał Thade. Dziwna budowa kompasu i to, że był zamknięty w tej samej skrzynce co mapy, całkowicie mu wystarczały.

- Powinniśmy... - zaczął, ale zobaczył poruszenie w drzwiach. Rozległ się głośny wystrzał.

Malvery też to zobaczył - jednego z marynarzy załogi, czarnowłosego, niechlujnego mężczyznę, którego przyciągnęły głosy i widok otwartych drzwi kajuty kapitańskiej. Widząc intruzów, pospiesznie wyciągnął broń i wystrzelił. Doktor uskoczył na bok, dość szybko, by kula tylko musnęła jego ramię.

Ułamek chwili później wystrzelił rewolwer Pinna. Marynarz rozdziawił usta, a na piersi jego koszuli pojawiła się jasnoczerwona plama krwi. Zatoczył się w tył i osunął po ścianie korytarza z niedowierzaniem w oczach.

- Mamy, po co przyszliśmy - powiedział Malvery beznamiętnym głosem. - Pora się zbierać.

Marynarz leżał na korytarzu, spazmatycznie łapał oddech. Pinn i Malvery przeszli, nie

oglądając się na niego, zabrali mu tylko broń. Crake przemknął obok, jakby mężczyzna zarażał jakąś straszną chorobą, przerażony i zafascynowany. Oczy postrzelonego podążały za nim, obracając się w oczodołach z okropnym, pustym zaciekawieniem.

Crake'a zahipnotyzowało to spojrzenie. To były oczy człowieka nieprzygotowanego, wstrząśniętego tym, że tak szybko i niespodziewanie znalazł się u wrót śmierci. Dostrzegł w nich zdumienie. Umierającego miażdżyła świadomość, że w przeciwieństwie do wszystkich innych rozpaczliwych sytuacji w jego życiu, tutaj nie dostanie drugiej szansy, nie wykpi się siłą ani sprytem. Crake'a przepelniało to zgrozą.

Teraz rozumiał, dlaczego Malvery i Pinn nie patrzyli.

Dygocząc, pobiegł korytarzem za swoimi towarzyszami. Po chwili przypomniał sobie o Bess. Przyłożył do ust gwizdek nastrojony do częstotliwości, którą tylko ona słyszała, i dmuchnął. To był inny dźwięk niż ten, którym ją budził i usypiał. To był sygnał.

Pora wracać, Bess.

\* \* \*

- Uwaga, może wyskoczyć w każdej chwili, chłopcy! - wrzasnął bosman, kiedy wrota zazgrzytały i szarpnęły do przodu. Przez szczelinę nad nimi, gdzie dwudziestocentymetrowa stal wygięła się pod siłą ataku, widać było poruszenia - na tyle, by zobaczyć, że jest tam coś wielkiego, coś tak strasznego, jak sugerowały jego ryki.

Załoga się przygotowała, celując z rewolwerów i strzelb. Mężczyzna przy działku na trójnogu rozprostował palec na spuście, otarł pot z czoła i spojrzał wzdłuż lufy. Drzwi przestały już stawiać opór. Każdy następny cios mógł być tym, który postawiłby ich twarzą w twarz z potworem z ładowni.

Na twarzach marynarzy malowało się zwątpienie. Cała ich broń nagle wydała się im żałośnie nieskuteczna. Na miejscu, skulonych w ciemnym korytarzu, trzymała ich tylko dyscyplina.

Drzwi wygięły się do środka, górny zawias puścił zupełnie. Jeszcze jeden cios. Jeden.

Ale ten ostatni cios nie spadł. Cały czas czekali. Po jakimś czasie zaczęło się wydawać, że już nie spadnie.

Mężczyźni wypuścili wstrzymywane oddechy, nie wiedząc, co ten nowy obrót wydarzeń może oznaczać. Każdy z nich pogodził się już z losem. Zostali ułaskawieni? Nie śmieli żywić takiej nadziei.

Niektórzy zaczęli szeptać. Co to było? Dlaczego przestało? Gdzie się podział potwór z ładowni?



Zza zdruzgotanych drzwi nie dobiegał żaden dźwięk.

## 24

*Dynamit - Jez słyszy zew - Szybki odwrót -  
Karty na stole*

- Po lewej! Harkins, po twojej lewej!

Harkins machnął rewolwerem w kierunku wroga, strzelił trzy razy na oślep i schował się z powrotem za beczkami. Niewyraźna postać, do której mierzył, pobiegła za stojący na płycie myśliwiec i zniknęła.

- Niezłe oko - mruknęła sarkastycznie Jez pod nosem, a potem zaczęła znów wypatrywać poruszeń. Wzdrygnęła się, kiedy trzy kule trafiły w barykadę przed nią. Ale beczki były pełne piasku i chroniły jak mur.

Łądując, posadzili „Ketty Jay” blisko rogu wyniesionej platformy, żeby musieć bronić tylko dwóch stron, kiedy przyjdą po nich ludzie Dracken. Barykady dawały im dobrą osłonę, a pusty w większości dok oznaczał, że napastnicy musieli sobie radzić na dużej, otwartej przestrzeni. Było ich jednak dwudziestu, a po stronie Jez tylko trójka. Dwójka, jeśli nie liczyć Harkinsa, którego liczyć właściwie nie było warto. Jez zerknęła na kieszonkowy zegarek i zaklęła.

Nie mogli się obronić. Nie przy takiej przewadze.

Silos kucnął za barykadą po jej prawej, celując z karabinu. Strzelił dwa razy do czegoś, czego Jez nie widziała. Salwa powrotna odłupała drewno centymetry od jego twarzy.

Ich pozycja dawała przeciwnikom nieprzewidzianą przewagę. Bliskość skraju płyty lądowiska oznaczała, że załoga znajdowała się blisko latarni. Atakujący z kolei nacierali od drugiej strony i strzelali ze środka płyty, gdzie było najciemniej. Obsługa - która reflektorami wskazywała przybywającym miejsca do lądowania - uciekła, kiedy zaczęła się strzelanina, prawdopodobnie pobiegli sprowadzić milicję.

Jez nie miała złudzeń. Wątpiła, by jakakolwiek pomoc zdążyła szybko przybyć przez zagruzowane uliczki. Poza tym aresztowanie przez milicję było dla nich wyrokiem śmierci, takim samym, jak porażka w starciu z ludźmi Dracken. Zidentyfikowano by ich jako

uciekinierów i powieszono.

Jez zastanawiała się w duchu, czyby to przeżyła.

Teraz o tym nie myśl. Zajmij się tym, na co masz wpływ.

- Silos! - syknęła. - Światła!

Kciukiem wskazała latarnie.

Silos zrozumiał. Usiadł plecami do beczek i strzelił do najbliższej lampy. Jez zgasła następną. Szybko zniszczyli wszystkie latarnie w pobliżu i „Ketty Jay” znalazła się w ciemności takiej samej, jak jej napastnicy.

Ale dzięki temu ludzie Dracken mogli się podkraść jeszcze bliżej. Nawet w tak spokojnym doku znalazły się dla nich jakieś kryjówki. Potrzeba tankowania i uzupełniania zapasów na statkach oznaczała, że na płycie zawsze coś stało, czy to traktor do ciągnięcia ładunków, nieduża szopa z falistej blachy, czy przyczepa pełna beczek z protanem czekająca na odholowanie.

Wszędzie ktoś się poruszał. Strzał mógł paść z każdego kierunku. Prędzej czy później ktoś musiał spenetrować ich umocnienia.

Harkins skamlał w pobliżu. Silos kazał mu się zamknąć. Jez jeszcze raz spojrzała na zegarek. Do kroćset, było niedobrze. Nie spodziewali się dwudziestu. Z dziesięcioma by sobie poradzili. Może.

Coś potoczyło się po płycie, jasno iskrząc z mroku. Jez potrzebowała tylko chwili, by rozpoznać, co to jest. Dynamit.

- Padnij! - wrzasnęła, a potem fala wybuchu uderzyła ją w uszy. Beczki zamruczały i zagrzecotały, ale dynamit nie doleciał. Ludzie Dracken byli za daleko, żeby przerzucić go przez barykadę. Ale to się miało szybko zmienić.

Jez obejrzała się na „Ketty Jay”, wznoszącą się nad nimi jak góra. Rampa ładunkowa była otwarta, wabiła ich do środka. Jez pomyślała o tym, co powiedział Harkins, kiedy tylko zobaczył zbliżających się ludzi Dracken. Ile mogli wytrzymać w środku? Ile zniszczeń mogłaby wyrządzić statkowi laska dynamitu?

Oczywiście napastnicy mogli mieć go więcej. A dużo lasek dynamitu mogłoby narobić dużo zniszczeń.

Jez uniosła głowę i wyjrzała nad beczkami, ale nawała kul ze wszystkich stron zepchnęła ją z powrotem w dół. W brzuchu poczuła trzepotanie paniki. Będą ją tak przyszpilać, podkładać się coraz bliżej, aż w końcu przerzucą dynamit nad barykadą. Było ich za dużo, żeby ich odeprzeć.

Wtedy, niemal niezauważalnie, poczuła zmianę. Tym razem przyszła bardziej naturalnie,

jak lekkie pchnięcie przez niewidzialną membranę. Minimum oporu, potem podział. Ześlizgnięcie się gdzieś indziej, łatwe jak myśl.

Świat się zmienił. Ciemność wciąż była ciemnością, ale nie utrudniała już widzenia. Jez teraz ich wyczuwała - osiemnastu mężczyzn, dwie kobiety. Ich myśli były jak syk, jak szum fal przyboju.

Panika wezbrała i pochłonęła ją. Nie panowała nad sobą. Jej zmysły wyostrzyły się do niemożliwości. Czuła ich zapach. Słyszała ich kroki. A w oddali, daleko poza zasięgiem słuchu, usłyszała coś jeszcze. Kakofonię krzyków. Silniki przerażającego statku. I jego załogę, nawołującą. Wzywającą bezsłownym, chaotycznym chórem.

„Chodź z nami. Chodź w Ruinę”.

Wzdrygnęła się przed nimi, spróbowała skupić myśli na czymś innym niż zew koszarnej załogi, ale zamiast wyrwać się ze swojego dziwnego stanu, jej umysł odpłynął i skoncentrował się na czymś innym. Jez poczuła, że jest zasysana, tak samo jak w Yortlandii, gdzie oglądała drapieżniki śledzące śnieżne świnię. Tym razem jednak to nie ze zwierzęciem się złączyła. To był człowiek.

Poczuła jego napięcie, jego pot, jego podniecenie. Komfort i satysfakcję, że jest po wygrywającej stronie. Wiedział, że mają przewagę. Ale nie rozpędzaj się, stary, myślał. Cmentarze są pełne zbyt pewnych siebie! (Zadowolenie z tego powiedzenia, sprzedać chłopakom). Wygląda na to, że się pochowali. Ten dynamit nieźle ich wystraszył.

Trzeba podejść bliżej. Wziąć ich porządnie na cel. Kapitan (szacunek, podziw, opiekuńczość) ucieszy się, jeśli jednego dla niej kropniesz. No dalej. O, tam.

Biegiem!

Nagle Jez była w ruchu, podniosła się, wycelowała z karabinu. Była w nim i była sobą, jedno i drugie naraz. Wiedziała, gdzie jest tamten; patrzyła jego oczami; czuła wysiłek nóg, które go niosły.

Nacisnęła spust i przestrzeliła mu głowę z czterdziestu metrów po ciemku.

Jego myśli ustały. Zniknął, została po nim tylko dziura. A Jez została odepchnięta z powrotem w siebie, wszystkie zmysły znów były jej własnymi, leżała zwinięta w kłębek za barykadą, usiłując zrozumieć, co się z nią właśnie stało.

Czym ja jestem? Czym ja się staję? - zastanawiała się.

Ale wiedziała, czym się staje. Stawała się jedną z nich. Jedną z koszarnej załogi. Jedną z istot, które żyły na pustkowiach za nieprzebytą ścianą chmur Ruiny.

Muszę uciekać, powiedziała sobie, kiedy zahuczwała kolejna salwa. Kule rykoszetowały od burty „Ketty Jay”. Następną łaskę dynamitu spadła tak blisko, że wybuch przewrócił kilka

beczek na końcu barykady.

- Dłużej nie wytrzymamy! - zaskrzeczał Harkins.

Nie, pomyślała Jez ponuro. Nie wytrzymamy.

\* \* \*

Pokład „Płomienia Delirium” był prawie pusty. Większość podstawowej załogi czekała głęboko w trzewiach statku, niespokojnie nasłuchując ciszy w ładowni. Inni pobiegli po milicję. Nikt nie ładował towarów ani nie pucował pokładów. Kiedy Malvery, Pinn i Crake wyłonili się z kajuty kapitańskiej ze swoim łupem, nikt ich nie zatrzymywał.

Pobiegli do kołowrotu, teraz nieobsadzonego. Załadowana paleta zwiisała nad ziejącym otworem luku prowadzącego do ładowni. Pinn przez chwilę miotał się przy tablicy sterowniczej, zanim znalazł coś, co uznał za włącznik dźwigu. Jak się okazało, miał rację. Rozległ się głośny zgrzyt i paleta zaczęła turkotać w dół.

Crake nerwowo rozglądał się po pokładzie. Wokół „Płomienia Delirium”, na poziomie hangaru, zebrał się tłum dokerów, ale nikt nie śmiał wejść na trap. Wszyscy słyszeli, że na pokładzie jest potwór. Teraz z zainteresowaniem śledzili działania nowo przybyłych, zakładając, że należą do załogi.

Crake nawet nie widział, kto do nich strzelił. Pinn rzucił się w tył, klnąc plugawie, kiedy pocisk uderzył w kołowrót obok jego głowy. Wszyscy trzej się rozpierchli, wypatrując napastnika, ale nigdzie nie było go ani śladu. Rozbrzmiał następny strzał. Crake potknął się i upadł. Ogarnęło go przerażenie - nie mógł się schować, jeśli nie wiedział, skąd nadchodzi atak.

Malvery'emu zbytnio to nie przeszkadzało.

- Kryć się! - wrzasnął, biegnąc w stronę baterii wielkich dział.

Crake rzucił się za nim. Uderzył następny pocisk. Kątem oka Crake zobaczył krzyczących, skonsternowanych dokerów. Nie wiedzieli, kto tu jest tym złym. Niektórzy śledzili jego ucieczkę, ale inni patrzyli w miejsce za nim i nad nim.

Obejrzał się przez ramię. Tam, gdzie pokład „Płomienia” wznosił się w stronę masztu elektroheliografu, zobaczył ruch. Mężczyzna - przykucnięty, celujący.

Nagle Crake znalazł się za działami, skulony obok Pinna i Malvery'ego.

- Tam jest! - wydyszał. - Przy maszcie!

Malvery zaklął pod nosem.

- Musimy się wynosić z tego przekłętego statku, i to prędko. Zanim ci na dole się zorientują, co się dzieje.

Od strony kołowrotu dobiegł nagły jęk nadwerezanego metalu. Łańcuch zakołysał się ostro w jedną, potem w drugą stronę, ciągnięty od dołu.

Malvery przesunął się wzdłuż lufy działa i wyjrzał, zaraz się chowając.

- Widzę drania.

Wyciągnął zza paska rewolwer. Broń wydawała się mała w jego olbrzymiej dłoni. Ulubiona strzelba była za duża, żeby mógł ją przeszmygłować pod ubraniem.

- Zaczekaj - powiedział Crake. - Jeszcze nie.

Łańcuch kołysał się w tę i z powrotem. Mechanizm skrzypiał, protestując przeciwko takiemu ciężarowi - masie golema, wspinającego się po łańcuchu z ładowni na pokład.

Olbrzymia dłoń chwyciła krawędź luku. Bess wydzwignęła się z niskim, basowym pomrukiem, wciągając swoje cielsko na pokład.

- Teraz! - krzyknął Crake.

Malvery wychylił się z kryjówki, wycelował rewolwer i strzelił do mężczyzny kryjącego się obok masztu. Tamten, zadziwiony widokiem Bess, dał się wziąć z zaskoczenia. Kula go chybiła, ale wystraszyła na tyle, że rzucił się pod osłonę.

Dokerzy w hangarze zaczęli panikować i uciekać, kiedy Bess wyprostowała się na swoją pełną wysokość. Nigdy wcześniej nie widzieli czegoś takiego - garbatego, pozbawionego twarzy pancernego giganta. Ci stojący najbliżej rzucili się do ucieczki, rozpychając innych, tłoczących się, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie.

- Bess! - zawołał Crake, wyskakując z kryjówki. Golemica ruszyła w jego stronę z radosnym gulgotaniem. Crake pospieszył do niej i poklepał ją po ramieniu. Lęk dokerów przed Bess objął teraz jego i pozostałych: to byli przyjaciele potwora! - Wynosimy się stąd.

Pobiegli do trapu. Malvery strzelił jeszcze raz w stronę elektroheliografu. Za nimi rozległy się krzyki załogi, zaalarmowanej kanonadą. Kule zaczęły rykoszetować na pokładzie za nimi. Pinn posłał kilka za siebie, strzelając na oślep.

Bess z grzmotem zbiegła po trapie, pozostali tuż za nią. Dokerzy odsuwali się od „Płomienia Delirium”, jak lód ustępujący pod palnikiem, wywołując chaos. Wszystkie prace ustały, kiedy załogi sąsiednich frachtowców zauważyły zamieszanie.

Malvery pobiegł przodem, zmierzając do schodów prowadzących na poziom gruntu, gdzie mogliby opuścić hangar. Ledwie jednak ruszył w tamtą stronę, na dole rozległy się gwizdki. Książęca Milicja Rabbanu. Beżowe mundury zaczęły wbiegać po schodach, do których kierował się doktor.

Malvery stanął, wyjął z kieszeni zegarek i spojrział na niego. Obejrzał się na „Płomień Delirium”, gdzie rozwścieczona załoga już formowała pościg. Milicja zablokowała im drogę

ucieczki. Innego wyjścia nie było.

- No dobrze - powiedział. - Teraz mamy kłopoty.

\* \* \*

Trinica Dracken popatrzyła na kieszonkowy zegarek, zatrzasnęła go i wsunęła z powrotem w fałdę czarnego płaszcza.

- Dokądś się spieszysz, Trinico? - spytał Frey.

Spojrzała na niego nad stolikiem. Wydawała się rozważać to pytanie.

- Wydaje mi się, że już wystarczająco długo krążymy dookoła tematu, Darianie. Chciałeś pertraktować. Mów.

W jej tonie pojawiło się nieobecne dotąd zniecierpliwienie. Frey dodał dwa do dwóch.

- Skąd ten pośpiech, Trinico? Do tej pory nie przeszkadzały ci nasze pogawędki. Nie próbowałaś chyba zyskać na czasie, co? Opóźnić mnie z jakiegoś powodu?

Zauważył w jej oczach iskrę gniewu i poczuł małą satysfakcję. Jak dotąd to ona prowadziła, przyjemnie było zdobyć punkt dla siebie.

- Składaj propozycję - powiedziała - albo to spotkanie się skończy.

W sumie mogę spróbować, pomyślał.

- Chcę, żebyś zaprzestała pościgu. Zostaw nas w spokoju.

- Co ci to da? Dalej będą cię szukać Rycerze Centurii.

- Z Rycerzami Centurii sobie poradzę. Nie znają półświatka. Mogę rozpuścić załogę, przyciąć się gdzieś, dopóki nie minie najgorsza burza. Może wyjadę z Vardii. Sprzedam „Ketty Jay”, znajdę sobie porządną pracę. Ale nie z tobą depczącą mi po piętach. Większość z nich nawet nie zna mojej twarzy, nie licząc jakiegoś starego ferrotypu, ale ty tak. Myślę, że w końcu mnie znajdziesz. Dlatego proszę, żebyś dała sobie spokój.

Trinica czekała na puentę.

- Grephen płaci mi mnóstwo pieniędzy, żebym cię wytropiła. Na pewno więcej niż ty widziałeś przez całe swoje życie. Co takiego możesz mi zaoferować, żeby kusilo mnie, by to odrzucić?

- Nie wspomnę o tobie, jeśli mnie złapią.

- Co takiego? - Dracken była na wpół rozbawiona, na wpół oszołomiona.

- Jesteś zdrajczynią. Świadomie współdziałałaś w zamordowaniu jedyne syna arcyksięcia. Marynarka Koalicji nic na ciebie nie znalazła. Może dlatego, że świadkowie mają dziwny zwyczaj ginąć. Ale wiedzą, kim jesteś, i skwapliwie skorzystają z okazji, żeby cię powiesić. Wiesz, że Grephen się boi, że rycerze dotrą do mnie przed tobą. Boi się, że go

oskarżę.

- To wszystko, co masz? - Trinica się zaśmiała. - Oskarżenie skazanego, nieoparte żadnymi dowodami?

- Zastanawiałaś się, co będzie, jeśli plan Grephena, jakkolwiek by był, nie wypali? - spytał Frey. - Moje oskarżenia mogą mnie nie uratować, ale jeśli Grephen wykona ruch przeciwko arcyksięciu, udowodni, że to, co mówiłem to prawda. A to będzie znaczyło, że prawdą jest też wszystko, co powiem o tobie. Grephen być może zwycięży i wszystko ułoży się dla ciebie pomyślnie, ale jeśli przegra, będziesz miała na karku Marynarkę do końca swoich dni. Nieprędko zadokujesz w porcie takim jak Rabban.

- Dlaczego uważasz, że zamierzam wystąpić przeciwko arcyksięciu?

Frey spojrzał na nią z pobłażaniem.

- Nie jestem głupi, Trinico.

Przyjrzała się mu, z zastanowieniem. Widział taki wyraz twarzy setki razy przy stoliku do rejsa, kiedy gracze przyglądali się swoim przeciwnikom i zadawali sobie pytanie: „Czy naprawdę ma lepsze karty niż ja?”

Potem prychnęła, zniesmaczona, że dała sobie grozić.

- To wszystko bzdury i nie mam na to czasu. Koniec. Poza tym już cię mam. - Dopięła whisky i wstała. - Koniec z tobą.

- To pertraktacje, Trinico. Neutralny teren. Sharka gwarantuje nam bezpieczeństwo. - Wyszczerył się do niej. - Tu mnie nie złapiesz - dodał raczej dziecinnym tonem.

- Oczywiście - odparła. - Ale mogę przejąć twój statek.

- Nawet nie wiesz, gdzie jest.

- Oczywiście, że wiem. Cumujesz w południowo-zachodniej Dzielnicy Robotników. Oczywiście zarejestrowany pod fałszywym nazwiskiem, ale każdy kapitan portu w tym mieście wypatruje na moje polecenie hybrydy towarowo-bojowej klasy Wickfield Ironclad. Nie ma wielu statków o specyfikacjach „Ketty Jay”, a ja znam ją całkiem dobrze. Wystarczająco się nasłuchałam, jak o niej opowiadasz.

Frey był nieporuszony. Trinica zauważyła jego brak reakcji.

- Oczywiście domyśliłaś się, że coś takiego zrobię. To bez znaczenia. Ilu masz ludzi, Frey? Pięciu? Sześciu? Stać cię na utrzymanie tylu? - Rozejrzała się po pokoju; już ją nudził. - Posłałam dwudziestu.

Dwudziestu, pomyślał Frey, starannie nie dając nic po sobie poznać tak, jak się nauczył przy kartach. O cholera.

- A jeśli ja zrobiłem to samo? - spytał. - A jeśli moi ludzie są w tej chwili na twoim

statku?

Trinica przewróciła oczami.

- Proszę cię, Darianie. Nigdy nie umiałeś dobrze blefować. Za wielki z ciebie tchórz, zawsze pierwszy się poddajesz.

Westchnęła i popatrzyła na niego z góry, jakby litowała się nad głupim zwierzęciem.

- Znam cię. Jesteś przewidywalny. Dlatego prawie cię dopadłam pod klasztorem. Kiedy tylko Thade powiedział mi o tobie i jego córce, domyśliłam się, że to pierwsze miejsce, gdzie polecisz. Zawsze myślałeś niewłaściwym narządem.

Frey nie odpowiedział. Tu go miała.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego ja jestem dobrym kapitanem, a ty nie? Bo nie ufasz swoim ludziom. Ja zasłużyłam na szacunek moich ludzi, a oni na mój. Ale ty? nie umiesz utrzymać załogi. Wymieniasz nawigatorów jak dziwki.

Frey się nie odzywał. Nie mógł się spierać. Nie mógł nic powiedzieć.

- A ponieważ cię znam, wiem, że nigdy nie powierzyłbyś nikomu swojego statku - ciągnęła Trinica, mijając go w drodze do drzwi. - „Ketty Jay” to twoje życie. Wolisz umrzeć, niż dać kod zapłonu komuś, kto mógłby z nią odlecieć. A to oznacza, że twoja załoga jest w potrzasku, broniąc przed przeważającymi siłami statku, który jest niczym więcej jak pancernym grobowcem. - Przekrzywiła głowę. - Może myślałeś o jakimś sprytnym manewrze oskrzydającym. Może chcesz zaatakować moich ludzi od tyłu. Czegokolwiek spróbujesz, to bez znaczenia. Po prostu nie ma was wystarczająco dużo.

Frey się zgarbił. Dwudziestu ludzi. Jak długo Jez, Silos i Harkins mogli się bronić przed dwudziestoma ludźmi? Cały jego plan opierał się na zgraniu w czasie, ale dopiero teraz zrozumiał, jak rozpaczliwa jest naprawę sytuacja. Kiedy o tym mówił, wszystko brzmiało świetnie. Ale tylko on jeden nie nadstawiał teraz karku.

Trinica zobaczyła, że trafiło go to jak cios młotem. Dotknęła jego ramienia w nieszczerym geście współczucia i nachyliła się, szepcząc mu do ucha, muskając je wargami.

- Wszyscy oni już nie żyją, a moi ludzie napchają do „Ketty Jay” tyle dynamitu, że wybuch będzie słychać w Yortlandii.

Otworzyła drzwi i obejrzała się na niego.

- To będzie drugi raz, kiedy twoja załoga zginęła przez twoją niedojrzałość, Darianie. Zobaczmy, jak daleko i jak szybko będziesz uciekał bez statku.

A potem zniknęła, zostawiając drzwi otwarte. Frey siedział przy stoliku, patrząc na rozrzucone na nim karty, czując się, jakby ktoś otłukł go i wychłostał do żywego. Rozszarpała go samymi słowami.



Co za baba. Co za cholerna baba.

## 25

*Ucieczka - „Wybierz cele” - W pułapce*

Crake biegł z całych sił. Płuca paliły go w piersi, kręciło mu się w głowie, ale nogi miał niezmordowane, pełne siły zrodzonej z adrenaliny. Bess kolebała się przodem, Malvery i Pinn tuż za nią. Wszędzie dookoła nich gwizdały kule.

Ale tylko odwlekali nieuniknione. Nie mieli już dokąd uciekać.

Hangar był pełen dźwigów, przenośnych zbiorników paliwa i stosów towarów. Z podłogi sterczały wielkie koła zębate, części mechanizmu, który unieruchamiał statki przy kejach i nie pozwalał ciężkim frachtowcom dryfować. W oddali wysokie platformy reflektorów i wąska wieża kontrolera sięgały niemal sklepienia.

Używali tych przeszkód jako osłony, uskakując za nie, utrudniając celowanie załodze „Płomienia Delirium”. Bess biegła przodem, więc nikt nie próbował ich zatrzymać. Dokerzy szukali kryjówek, przerażeni dziką strzelaniną.

Wrota hangaru otwierały się na noc i elektryczne światła miasta. Ale poziom roboczy wznosił się na wysokość ponad dziesięciu metrów i nie było jak z niego zejść. Milicja zablokowała wszystkie schody. Byli w pułapce, ale wciąż biegli, kurczowo chwytając się każdej następnej chwili wolności i życia. Nic innego im nie pozostało.

Bess zwolniła, kiedy minęli następny stos skrzyń, czekający na załadunek na fregatę. Chwyła jedną z nich i bez wysiłku cisnęła w stronę prześladowców. Rozbiegli się i rozpiechli, kiedy skrzynia roztrzaskała się między nimi. Crake i pozostali przebiegli obok golemicy, a ona zajęła pozycję na końcu. Strzał z karabinu odbił się od jej pancernego grzbietu i zrykoszetował z wysokim jękiem.

Co ja tu robię? - pomyślał Crake. Zadawał sobie to pytanie cały wieczór. Dlaczego się na to zgodziłem? Głupi, głupi, głupi.

Biegł i chłostał się własną grozą, przeklinając swój idiotyzm. Mógł odmówić. Mógł się w to nie mieszać i w każdej chwili odejść. Zamiast tego pozwolił się wciągnąć w plan Freya, pchany nienawiścią do siebie samego i zwodniczym urokiem kapitana. W Yortlandii był

gotów rzucić wszystko i zostawić Freya jego losowi. Mimo to, nie wiadomo dlaczego, zgodził się przyłączyć do załogi „Ketty Jay”.

Popenił błąd. Uleciała mu z pamięci tamta chwila na brudnym zapleczu baru, kiedy Lawsen Macarde przyłożył mu rewolwer do głowy i kazał Freyowi podać kod zapłonu do „Ketty Jay”. Zapomniał o minie Freya, o tych zimnych, nieczułych oczach jak u lalki. Pozwolił sobie uwierzyć - znów - że Frey jest jego przyjacielem.

I przez to miał teraz zginąć.

Zygzakowali wokół maszyn i przeskakiwali przez rury, gnając przez metalowy, oliwiony świat hangaru. Otaczało ich ciemne żelazo. Słabo świeciły lampy; wszystko pokrywała cienka patyna brudu. Nie mogli się tu spodziewać litości. Nie było tu miejsca dla współczucia, tylko nieczuły przemysł nowego świata. Crake wychowywał się w wiejskich posiadłościach, otoczony drzewami, i rzadko widywał fabryki, na których bogaciła się jego rodzina. Teraz ogarnął go ponury fatalizm. Okropnie musiało się tu żyć i jeszcze gorzej umierać.

Podłoga poziomemu zwężała się u wlotu hangaru, rozdzielając na wąskie galerie prowadzące do stanowisk reflektorów i platform obserwacyjnych. Po lewej i prawej, na wpół zanurzone pod podłogą cumowały frachtowce i pasażerskie liniowce, kolosalne w swoim niechlujnym majestacie. Przy relingach stali ludzie, z bezpiecznego dystansu z zainteresowaniem śledząc ich niedolę.

- Tutaj! - krzyknął Malvery. Znaleźli się na wąskiej galerii wystającej za wlot hangaru. Była na tyle szeroka, że mogli biec we trzech obok siebie, ale kończyła się jedynie małą platformą obserwacyjną. Dalej był już tylko śmiertelny skok na ziemię.

Nie miało to znaczenia. Biegli dopóty, dopóki chodnik się nie skończył, a potem stanęli.

Załoga „Płomienia Delirium” zwolniła, widząc, że ich ofiary są w pułapce. Zebrali się na końcu galerii, gdzie mieli się za czym schować. Między nimi a ludźmi z „Ketty Jay” była długa, otwarta przestrzeń. Byliby na niej łatwymi celami, a wciąż bali się golema wystarczająco, by czuć respekt przed jego siłą.

- Co teraz? - spytał Pinn.

- Teraz się poddajemy - odparł Malvery.

- Co takiego?

Doktor wyszczerzył się szeroko pod sumiastym siwym wąsem. Pinn odpowiedział tym samym, kiedy załapał. Crake z przerażeniem skostatował, że jest jedynym, którego denerwuje perspektywa rychłej śmierci.

- Zresztą chyba i tak nie są w nastroju, żeby brać nas żywcem - powiedział Malvery. - Wszyscy za Bess. Będzie nas osłaniać.

- Hej, zaczekajcie... - zaczął Crake, ale tamci już stłoczyli się za golemicą, zasłaniając się jej ciałem jak tarczą. Bess zgarbiła się i rozsunała jak najszerzej na boki. Malvery i Pinn przyklękli, wyglądając z jej obu stron, z bronią w pogotowiu. Crake, wciąż trzymając w rękach dziwny kompas Dracken, wsunął się za nich. Nasłuchiwał cichego tykania i gruchania dobiegającego z piersi Bess.

- Ile mamy amunicji? - spytał Malvery.

- Mam... ee... dwanaście, trzynaście naboju? - odparł Pinn.

- Ja mniej więcej tak samo. Crake?

Crake podał Pinnowi swój rewolwer i garść naboju.

- Weź. Ja i tak nic bym nie trafił.

- Jasna sprawa - powiedział doktor i podniósł broń. - Wybierz cele.

Ludzie z „Płomienia Delirium” zwiększyli liczebność. Niektórzy trzymali się z tyłu, obserwując rozwój sytuacji, inni gniewnie domagali się działania. Jeden czy dwóch próbowało pobiec galerią, ale zatrzymali ich towarzysze. Od ramienia Bess zrykoszetował niecelny strzał z daleka.

- Popatrzcie tylko na nich - zapiał Pinn. - Banda mięczaków.

Na rozkaz bosmana napastnicy zabrali dokerom łomy i zaczęli rozmontowywać pobliskie maszyny. Dołączyła do nich milicja - w tłumie kłębiły się beżowe mundury - ale po ocenie sytuacji zadowolili się zostawieniem rozwiązania załodze „Płomienia Delirium”. Później prawdopodobnie sobie przypisałiby zasługi. To było łatwiejsze niż nadstawianie karku samodzielnie.

- Co oni tam robią? - mruknął do siebie Malvery.

Crake wyrzwał, rzucił okiem i znów się schował.

- Budują tarczę.

Miał rację. Kilka chwil później dziesięciu mężczyzn ruszyło galerią, trzymając przed sobą wielką żelazną płytę oderwaną z obudowy dźwigu. Pełzli przed siebie nerwowo, ale zdecydowanie; nad krawędzią płyty jeżyły się lufy.

- Hm... - mruknął doktor.

- Co? - spytał Pinn. - Jak podejść bliżej, poszczujemy ich dziewczyną Crake'a. Zgniecie ich na pastę.

- To nie takie proste - stwierdził doktor, ruchem głowy wskazując wyższy poziom hangaru. - Patrz.

Pinn spojrzał. Na krawędzi platformy ułożyło się na brzuchach pięciu mężczyzn, celując do nich z karabinów o długich lufach.

- Strzelcy wyborowi - powiedział Malvery. - Jeśli Bess się poruszy, stracimy osłonę i nas zabiją.

Jakby na potwierdzenie jego słów od Bess odbiła się kula, centymetry od jego twarzy. Doktor wycofał się trochę głębiej.

- Choroba - rzucił Pinn. - Dlaczego my nigdy nie wymyślamy takich planów?

- Wymyślamy - odparł Malvery. - Dlatego tu właśnie jesteśmy.

Ludzie z „Płomienia Delirium” podsuwali się coraz bliżej. Ostry kąt galerii nie dawał dobrej okazji do strzału. Malvery ostrzelał ich na próbę z rewolweru, ale kule zagrzechotały tylko o ich tarczę. Zatrzymali się na chwilę i ruszyli dalej.

Crake się pocił i mamrotał pod nosem. Głupi, głupi, głupi. Było mu niedobrze, ale miał pusty żołądek, przed misją był zbyt zdenerwowany, żeby cokolwiek zjeść.

Tarcza, pokonawszy większą część długości galerii, zatrzymała się. Mężczyźni skulili się za nią, nikonąc zupełnie. Zapadła okropna cisza przed nieuniknioną burzą.

- Cóż - powiedział Malvery do Pinna. - Powiedziałbym, że miło było cię znać, ale... - Wzruszył ramionami. - Sam wiesz.

- I wzajemnie, wasaty stary przyku. - Pinn się uśmiechnął, mylnie biorąc autentyczne obrzydzenie za koleżeńską serdeczność. Potem załoga „Płomienia Delirium” wyskoczyła zza osłony, plując ogniem z rewolwerów, i wszystko pograżyło się w chaosie.

Natarcie było straszne. Strzelali, dopóki nie skończyła im się amunicja, a potem schowali się, żeby przeladować, podczas gdy ostrzał kontynuowali ci za nimi. Bess jęczała i wyła, zasypywana kulami. Uderzały w nią z bliska, wrywając dziury w kolczudze i skórę na stawach, szczerbiąc metalową maskę twarzy. Golemica wymachiwała rękami, jakby opędzała się od pszczoł, a głęboko z jej trzewi dobywały się krzyki udręki.

Crake zakrywał uszy rękami, przekrzykując hałas w tęym wrzasku strachu, wściekłości i żalu. Odgłos ołowianej śmierci był straszny. Krzyki bólu Bess jeszcze straszniejsze.

Malvery'emu udało się wystawić rewolwer zza boku golemicy i wystrzelić raz czy dwa, ale bez skutku. Ściskali się za nią najlepiej jak umieli, ale kule świstały wszędzie dookoła i nie śmieli wyrzeć zza osłony. Bess się cofała, pchana skumulowaną siłą trafień kul, które uderzały w jej pancerz i wbijały się w bardziej miękkie elementy. Zatoczyła się w tył, już rycząc. Crake zobaczył rozbryzg krwi z uda Pinna. Pilot upadł, wypuścił rewolwery z obu rąk i chwycił się za nogę.

I nagle zrozumiał, co widzą oczy umierającego. Wiedział to, co wiedział marynarz „Płomienia Delirium” zastrzelony przez Pinna. Wiedział, jakie to uczucie, kiedy kończy ci się czas, kiedy zostawiasz życie niekompletne, z tyloma rzeczami, których nie zdążyłeś zrobić.

Nagle zaślniły oślepiające światła i rozległ się ryk silników. I karabiny maszynowe, rozdzierający uszy jazgot karabinów maszynowych w chłodnym, nocnym powietrzu hangaru.

Mężczyźni na galerii zostali rozszarpani na krwawe strzępy. Podrygując pod nawałą kul, spadali bezwładnie przez barierki.

Crake zamrugał i wytrzeszczył oczy, oszołomiony nagłym ratunkiem. Ale nie było mowy o pomyłce. W powietrzu, obita, odrapana i piękna, wisiała „Ketty Jay”. A za sterami siedziała Jez.

Malvery ryknął śmiechem, machając ręką nad głową. Jez mu odmachnęła przez szybę kokpitu. O Pinnie, turlającym się po ziemi i wrzeszczącym, wszyscy zapomnieli.

Harkins siedział w wieżyczce automatycznego działka. Kiedy Jez obróciła „Ketty Jay”, otworzył ogień do platformy hangaru. Mierzył tak, by raczej przestraszyć, niż pozabijać, ale wywołał wystarczającą panikę, by strzelcy wyborowi mieli co robić. Rampa ładunkowa na ogonie statku ziała otworem; stał na niej Silos, trzymał się uchwytu i machał do nich.

Jez pilotowała dość niezdarnie: wycofała za mocno i z chrzęstem wbiła krawędź rampy w barierkę galerii. Metal poskręcał się ze zgrzytem, ale udało się jej z powrotem ustabilizować „Ketty Jay” i mieli teraz drogę ucieczki, rampę prowadzącą do paszczy ładowni.

Crake stał jak we śnie, zdezorientowany całym tym hałasem i poruszeniem. Bess chwyciła go w obie ręce jak dziecko i przytuliła do piersi. Potem pobiegła przed siebie, skoczyła na rampę i zniosła go do środka.

Z tyłu słychać było tupot, głosy, ludzie krzyczeli coś, czego nie rozumiał. Stłumiony huk automatycznego działka z góry; jęk protanowych turbin na jałowym biegu; błogosławiona osłona ścian dookoła.

Potem włączyły się serwomechanizmy i rampa zaczęła się zamykać. Malvery krzyczał: „Jez! Zabierz nas stąd!” Pinn lamentował. Cały świat się zakołysał, kiedy statek ruszył. Z zewnątrz dobiegł chrzęst metalu, kiedy „Ketty Jay” oderwała fragment galeryjki.

Przyspieszenie.

\* \* \*

Minęło trochę czasu, zanim mgła paniki ustąpiła i Crake wrócił do zmysłów. Uświadomił sobie, że Bess położyła go na podłodze i kuciała obok niego. Widział migotanie światełek pod jej kratownicą, niczym odległych gwiazd. Malvery mówił Pinnowi, żeby się zamknął.

- Ja się wykrwawiam, doktorze! Zimno mi!
- To tylko draśnięcie, ty cholerny mięczaku. Przestań skamlać.
- Jeśli nie przeżyję... musicie powiedzieć Lisindzie...

- Och, jej! Jasne. Powtórzę jej, że jej ukochany zginął jak bohater. Chodź, kuśtykaj dupsko do mojego gabinetu. Założę ci parę szwów. Będziesz jak nowy, zanim zabierzemy kapitana.

Coś się poruszyło i w polu widzenia Crake'a pojawiła się brązowa wąska twarz Murthianina.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Crake przełknął ślinę i kiwnął głową.

Silos popatrzył na Bess.

- Świetna z niej rzecz - pochwalił. Potem podniósł kompas leżący obok Crake'a. Ten, który Crake zabrał z kabiny Dracken. Zważył go w dłoni w zamyśleniu, potem rzucił mu spojrzenie pełne aprobaty, wstał i poszedł.

Bess wydawała z siebie przeciągłe gruchanie. Crake usiadł i przesunął dłonią po metalowej płycie jej ramienia. Była chropowata od przypaleń i wgnieceń.

- Przepraszam, Bess - mruknął. - Tak mi przykro.

Bess znów zagruchała i szturchnęła zimnym żelazem kratownicy jego policzek.

## 26

*Zasłużony odpoczynek - Silos pomaga -  
Kapitan się budzi - Z deszczu pod rynnę*

Frey świętował zwycięstwo w zwyczajowy sposób i nad ranem był pijany jak bela.

Zabrali firecrowa i skylance'a z kryjówki pod Rabbanem, potem lecieli przez trzy godziny, kilkakrotnie zmieniając kurs, aż mieli całkowitą pewność, że wszelkie próby pościgu będą bezskuteczne. Później zaczęli szukać miejsca do lądowania. Frey znalazł polanę na zboczu wzgórza wśród rozległego, osrebrzonego księżycem krajobrazu puszczy Vardenwood. Tam wysiedli, rozpalili ognisko, a Frey zaczął się upijać tanim grogiem.

Od bardzo, bardzo dawna nie czuł się tak dobrze.

Popatrzył na roześmiane twarze ludzi pijących razem z nim: Malvery'ego, Pinna, nawet Harkinsa, który rozluźnił się i dołączył do nich po krótkim dręczeniu. Jez była w swojej kajucie, jak zwykle na osobności, odcyfrowując mapy, które ukradli z kajuty Dracken. Crake i

Silos zajmowali się uszkodzeniami Bess. Nikt nie chciał spać. Wszyscy byli za bardzo rozpaleni albo, w przypadku Crake'a, za bardzo zdenerwowani - martwił się o swoją drogocenną golemicę.

Ale Frey nie potrafił się nim w tej chwili przejmować. Teraz płał się w satysfakcji dobrze wykonanej roboty. Jego plan się powiódł. Jego załoga zatriumfowała wbrew wszelkim przeciwnościom. Mimo pogardliwych słów tej zimnej suki, mimo jej okrutnej litości, wydymał ją po mistrzowsku. Wyobraził sobie jej twarz, kiedy wróciła i zastała załogę w rozsypce, a drogocenne mapy skradzione. Wyobraził sobie, jak musiała szaleć, kiedy usłyszała o bohaterskiej interwencji „Ketty Jay” w ostatniej chwili. Wyobraził sobie jej wściekłość, kiedy zrozumiała, jak bardzo go nie doceniła.

Wydawało ci się, że mnie znasz, triumfował. Mówiłaś, że jestem przewidywalny. Założę się, że tego nie przewidziałaś.

A najlepsze było to, że nikomu z jego ludzi nic się nie stało. No, nie licząc maskotki Crake'a i zadrapania na nodze Pinna, ale to nie miało znaczenia. Ogólnie rzecz biorąc operacja poszła genialnie.

Jeśli tak właśnie smakował sukces, to Frey chciał go więcej.

Butelka grogu przyszła akurat do niego; pociągnął długi łyk. Malvery opowiadał jakąś sprośną historię o ekskluzywnej dziwce, którą leczył, kiedy był jeszcze lekarzem w wielkim mieście. Pinn tarzał się ze śmiechu jeszcze przed puentą. Harkins parskał i szczyrzył pożółkłe zęby. Ich twarze jarzyły się ciepło, zaczerwienione od ognia i kolorów świtu. Frey poczuł przypływ alkoholowego uczucia do nich wszystkich. Był z nich dumny. Dumny z siebie.

Nie przyszło mu łatwo powierzyć Jez kodu zapłonu do „Ketty Jay”. Kod został ustawiony podczas produkcji statku, a ponieważ opierał się na różnych skomplikowanych mechanizmach, nie można było go zmienić bez długotrwałych i kosztownych przeróbek. Jez już zawsze miała mieć możliwość aktywowania i pilotowania „Ketty Jay”. Nawet w tej chwili Frey musiał walczyć z podejrzeniem, że skradała się właśnie do kokpitu, zamierzając wstukać cyfry i uciec z jego statkiem, zanim ktokolwiek zdoła ją zatrzymać.

Co się stało, to się nie odstanie, pomyślał. Pogódź się z tym.

Dla powodzenia jego planu było nieodzowne, by ktoś inny pilotował „Ketty Jay”. Jez zapewniała go, że potrafi - od dziecka latała najróżniejszymi statkami. Mimo to z początku Frey nie był w stanie dać jej kodu. Tak samo jak w przypadku małżeństwa, miał poczucie, że oddaje zbyt wiele siebie obcej osobie.

Ostatecznie przekonał sam siebie analogią do rejka. Dawno już odkrył, że większość sytuacji w życiu można było odnieść do kart, jeśli tylko wystarczająco się pomyślało.

W rejku możliwa była gra zbyt ostrożna. Jeśli czekało się bez końca na idealne rozdanie, obowiązkowe minimalne zakłady w każdej rundzie stopniowo cię wykańczały. Traciłeś czas i pieniądze, czekając na sposobność, która nigdy nie nadchodziła. Prędzej czy później trzeba było zaryzykować.

Dlatego postawił na Jez i na szczęście zwróciło mu się to z nawiązką. Była dziwaczką, ale ją lubił i wiedział, że jest odpowiedzialna. Musiał nawet przyznać się sam przed sobą do pewnej ulgi, kiedy podzielił się z nią kodem, choć właściwie nie wiedział dlaczego. Miał wrażenie, że zeszło z niego trochę ciśnienie.

Malvery dotarł do puenty opowieści i wszyscy zawyli ze śmiechu. Frey nie słuchał, ale zaśmiał się razem z nimi, porwany ich wesołością. Podał butelkę dalej, Malvery wypił duży haust. Później Frey zamierzał pomyśleć o innych rzeczach: zadaniach, które ich jeszcze czekały, gorzkim ukłuciu na widok twarzy Triniki. Na razie jednak pił ze swoimi ludźmi, był szczęśliwy, i to mu wystarczało.

\* \* \*

Crake bynajmniej szczęśliwy nie był. Ich ucieczka w ostatniej chwili nie napawała go poczuciem triumfu, lecz przybijała. Miał nieprzyjemną świadomość, że udało im się tylko dlatego, że Jez przyleciała za wcześnie. Została zmuszona do startu wcześniej niż planowała, zepchnięta do „Ketty Jay” przez znaczną przewagę liczebną, i poleciała prosto do punktu zbiórki w hangarze. Kiedy tam się znalazła, wypatrzyła zamieszanie w środku i zrozumiała, że są kłopoty. Ich ocena długości trwania całej operacji była błędna. Dali sobie o wiele za dużo czasu.

Ostatecznie mieli szczęście.

Ku zaskoczeniu Crake'a Silos wyszedł z maszynowni, żeby pomóc mu połatać Bess. Murthianin był na „Ketty Jay” milczącą, wyraźną obecnością, ale ponieważ rzadko się odzywał i nigdy nie spoufalał, Crake bezwiednie zaczął go ignorować, jak jednego ze służących w domu. Podejrzewał, że Silos był po prostu ciekawy i zobaczył okazję przyjrzenia się golemicy z bliska, sprawdzenia, co nią kieruje. Niezależnie od jego motywów Crake ucieszył się z pomocy i milczącego towarzystwa. We dwóch wyciągali kule, zszywali skórę i spawali rany.

Choć wszystkie uszkodzenia były powierzchowne, Crake'a targało poczucie winy. Pozwolił, by Bess została potraktowana jak przedmiot. A gdyby tamci mieli dynamit? A gdyby mieli jakieś większe działko? Wytrzymałaby to? A skoro już o tym mowa, co właściwie by się z nią stało, gdyby została zniszczona?



Bess była skorupą zamieszkaną przez osobowość. Tyle Crake wiedział. Pustą zbroją, skorą otaczającą nicość. Gdzie jej osobowość właściwie się mieściła? Co tak naprawdę tam w środku było? Zajmowało powłokę zbroi czy jej wnętrze? Te migoczące oczy w pustce - czy coś oznaczały?

Nie wiedział. Nie wiedział nawet tak naprawdę, jak ją stworzył. Bess była przypadkiem i tajemnicą.

- Czy to ją boli? - spytał nagle Silos, pocierając palcem ślad po kuli na jej kolanie. Mówił niskim, grubym głosem z bardzo mocnym akcentem.

- Nie wiem - odparł Crake. - Chyba tak. Na swój sposób.

Murthianin patrzył na niego, czekając na dalszy ciąg.

- Była... wzburzona - wyjaśnił demonista niezręcznie. - Kiedy do niej strzelali. Dlatego wydaje mi się, że to czuje.

Silos kiwnął głową i z powrotem skupił się na pracy. Bess siedziała bezgłośnie i bez ruchu. Crake domyślał się, że spała. A przynajmniej on nazywał to snem. Podczas tych okresów katatonii była po prostu nieobecna. W środku zbroi nie dało się zauważyć żadnych migoczących światełek - tylko pustkę. Gdzie podziewała się osobowość ani czy w ogóle dokądś się udawała, nie umiałby powiedzieć.

Obaj znów milczeli, ale Crake czuł presję, by teraz on się odezwał. Miał wrażenie, że obecność Murthianina obok niego i zadane z własnej woli pytanie oznaczają coś doniosłego. Robiło mu się coraz bardziej nieswojo. Chór budzących się ptaków na okolicznych drzewach wydawał się nienaturalnie głośny.

- Kapitan wydaje się w dobrym nastroju - rzucił w końcu.

Silos tylko chrząknął.

- Jak się poznaliście?

Silos znieruchomiał i popatrzył na niego. Przez kilka sekund przyglądał mu się w bladym świetle przedświt, z nieodgadnioną miną. Potem wrócił do swojego zajęcia.

Crake się poddał. Może był w błędzie. Może Silos wcale nie chciał rozmawiać.

- Uciekłem z fabryki - odezwał się nagle Murthianin, nie przerywając pracy. - Siedem lat temu. Budowałem statki dla Samarlan. Moi ludzie są tam niewolnikami. Pewnie wiesz, co?

- Tak - potwierdził Crake. Był zaszokowany takim potokiem wymowy u Silosa.

- Dakkadyjczycy się poddali. Przestali walczyć już dawno, dołączyli do swoich panów. Ale my z Murthii nigdy się nie poddajemy. Pięćset lat i się nie poddaliśmy. - W jego głosie słyhać było dumę. - Dlatego, kiedy przyszedł czas, zabiliśmy nadzorcę i uciekliśmy. Ścigali nas, no nie? To się rozdzieliliśmy. Na wzgórze i do lasu. I niedługo zostałem tylko ja. Głodny

i zagubiony, ale nie martwy. I w dodatku już nie niewolnik. Wtedy zobaczyłem lądujący statek. Nieuszkodzony, ale leciał, jakby był. Pilot jakby nie wiedział, co robi. Ciężko usiadł, a ja biegiem. To była moja droga ucieczki. A kiedy dostałem się do środka, znalazłem tam kapitana. Dźgniętego w brzuch. Paskudnie.

Crake załapał dopiero po chwili.

- Zaczekaj, chodzi ci o naszego kapitana? Freya?

- Freya i „Ketty Jay” - potwierdził Silos.

- Jak to się stało?

- Nie pytałem, a on nie mówił. Na statku było dużo zapasów i jedzenia, ale ja nie umiałem pilotować. Znałem statki od środka, ale nigdy nie latałem. Dlatego zaopiekowałem się kapitanem. Dałem mu lekarstwa, opatrzyłem go i wyleczyłem. A w tym czasie sam jadłem, nabierałem siły. - Wzruszył ramionami. - Kiedy mu się poprawiło, powiedział, że nie wróci do ludzi, którzy go tam wysłali. Że będzie od tej pory latał sam. Mnie to nie przeszkadzało. Zabrał nas obu i od tamtej pory jestem na „Ketty Jay”.

- Czyli uratowałeś mu życie?

- Chyba tak. A on mnie. Tak czy inaczej, oto jestem, tak? Od tamtej pory o tym nie rozmawialiśmy. Ja naprawiam mu statek, on mi daje schronienie. Tak to działa i jestem wdzięczny za każdy dzień na „Ketty Jay”. Każdy dzień to kolejny dzień, kiedy nie jestem niewolnikiem. Samotny Murthianin nie przetrwałby długo w Vardii. Nie przepadacie za nami od czasów Wojen o Aerium.

Crake popatrzył w stronę ogniska, gdzie Malvery trzymał Freya i lał mu grog do ust, przy wtórze wiwatów dwóch pozostałych. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że rozgryzł kapitana, ten zadziwiał go na nowo.

- Nic nie mówiłeś.

- Nie pytałeś - powiedział Silos. - Tylko głupiec mówi, kiedy nie ma powodu. Na tym statku już i tak jest za dużo krzykaczy.

- Co do tego się zgadzamy - odparł Crake.

Silos wstał i się przeciągnął.

- No, zrobiłem co mogłem z twoją panią Bess - stwierdził. - Idę się zdrzemnąć.

- Dziękuję za pomoc - odparł Crake.

Silos chrząknął i zaczął się oddalać.

- Hej - zawołał za nim demonista, któremu przyszło do głowy jeszcze jedno pytanie. - Czemu nazywają cię Silos?

- Imię, które dała mi mama, brzmi Silopethkai Auramaktama Faillinana. - Po raz

pierwszy odkąd pamiętał, Crake zobaczył na twarzy Murthianina uśmiech. - Myślisz, że byś to zapamiętał?

\* \* \*

- Kapitanie.

Frey niejasno zdawał sobie sprawę, że ktoś nim potrząsa. Z całego serca pragnął, żeby ten ktoś sobie poszedł.

- Kapitanie!

Znów to samo, szarpanie wyciągające go z lepkich, przesiąkniętych grogiem głębin snu. Dajcie mi spokój! - jęknął w myślach.

- Kapitanie!

Frey jęknął, kiedy stało się jasne, że ten ktoś się nie podda. Był świadom chłodnego powiewu i ciepła słońca na skórze, zapachu trawy i złowrogich zwiastunów przerażającego kaca. Otworzył oczy i wzdrygnął się, gdy rozochoczone słońce wbiło mu ostrza promieni wprost do mózgu. Zasłonił się dłonią i odwrócił głowę, żeby spojrzeć na klęczącą obok Jez.

- Czego? - powiedział wolno, żeby zabrzmiało to jak pogrożka.

- Rozgryzłam mapy.

Usiadł prosto i znów jęknął, uciskając twarz dłonią. W ustach miał posmak, jakby coś mu tam narobiło, a potem zdechło. Węgłe ogniska ciągle się żarzyły, ale słońce stało wysoko na niebieskim niebie; był niezwykle ciepły, jak na tę porę roku, zimowy dzień. Malvery chrapał w pobliżu jak traktor, Pinn ssał kciuk, druga ręka drgała mu w kierunku krocza, wokół którego obracały się wszystkie jego sny.

- Ty nie sypiasz? - spytał Frey.

- Niewiele - przyznała Jez. - Przepraszam, jeśli to zła pora. Mówiłeś, że chcesz wiedzieć od razu. Powiedziałeś, że czas...

- ...jest ważny, tak. Pamiętam. - Teraz gorzko żałował tamtych słów. - Czyli wiesz, gdzie jest kryjówka Triniki?

- Chyba tak, kapitanie. Trudno to było rozgryźć. To nie tak, że oznaczono coś na nich dużym X.

- E? Mapa to mapa, tak?

- Niezupełnie. Te są bardzo szczegółowe, wytyczają trasę przez góry. Albo jednej nam brakuje, albo Trinica zna już ogólną okolicę kryjówki. Jeśli się nie wie, gdzie zacząć, widzi się tylko kupę skał. - Uśmiechnęła się kpiąco. - A w Vardii skał nie brakuje.

- Ale tobie się udało?

- Porównywałam położenie co większych gór z moimi innymi mapami.

- Dobra robota, Jez.

- Dzięki, kapitanie.

- Teraz mi powiedz, dokąd lecimy.

- Nie spodoba ci się to.

- Rzadko mi się podoba.

- Zakładam, że słyszałeś o Cmentarzysku Rooka?

- Och, cholera by to wzięła! - Frey westchnął, a potem znów opadł na plecy i zamknął oczy. Spodziewał się złych wiadomości, ale nie aż tak złych.

Jez poklepała go po ramieniu.

- Będę w swojej kajucie, gdybyś mnie potrzebował - powiedziała. Potem usłyszał, że wstaje i wraca na „Ketty Jay”.

Każdy, kto latał nad południowym krańcem Hookhollowów, znał Cmentarzysko Rooka. Wszyscy wiedzieli, że należy go unikać, jeśli się da. Statki, które wlatywały nad ten niewielki, aktywny wulkanicznie rejon, rzadko widziano ponownie.

Ci, którzy zapuszczali się w opary, opowiadali, że widzieli, jak ich towarzysze tajemniczo eksplodują. Piloci wariowali i wlatywali w skały. Ocaleli mówili o duchach, strasznych zjawach, które atakowały ich statki. To było przekłete miejsce, nazwane tak od człowieka, który pierwszy stawiał mu czoło i przeżył.

Może po prostu się położę i umrę? - pomyślał Frey. - Będzie szybciej.

Czas. Czas był czymś, czego nie mieli. Nie było sposobu stwierdzić, jak szybko Trinica uzupełni załogę i zaznajomi nowych z zawiłościami „Płomienia Delirium”. Dzień? Tydzień? Frey nie miał pojęcia. Tak naprawdę zależało to od tego, czy wśród ludzi, których Jez poszatkowała na galerii, był ktoś naprawdę ważny.

Wiedział za to jedno. Kiedykolwiek by się zebrała, Trinica ruszy za nim ze zdwojoną furią. Bez swojego dziwnego kompasu i map nie dostanie się do kryjówki, ale wiedziała, że Frey zmierza w tamtą stronę. Mogłaby w jakiś sposób ostrzec swoich sprzymierzeńców. Frey musiał tam wlecieć i wylecieć, zanim będzie miała szansę zadziałać.

Wstał i zachwiał się, kiedy zakręciło mu się w głowie. Dopiero po dłuższej chwili świat złapał równowagę. Nie jestem, pomyślał Frey, w najlepszej formie, by w najbliższym czasie stawiać czoło pewnej śmierci.

- W porządku - powiedział do siebie bez przekonania. - Do roboty.

Po czym powlókł się budzić załogę.

*Niebezpieczny lot - Zagadka kompasu - Frey widzi duchy*

„Ketty Jay” wisiała nad białymi pustkowiami Hookhollowów, czarna kropka na tle kolosalnych kamiennych zboczy. Nigdzie nie było widać ani słyszeć żadnego innego statku.

W dole rozciągała się tylko ponura pustka mgły. Otulała niższe grzbiety, kryła kaniony i rozpadliny, chowała podnóża gór. W dole, na Cmentarzysku Rooka, mgła nigdy nie rzedła.

Wysoko w górze wznosiły się poszarpane, zwieńczone lodem szczyty. Jeszcze wyżej - złowroga pokrywa dryfujących chmur popiołu, sunąca na wschód i sypiąca rzadkim śniegiem płatków. Trujące miazmaty, sączące się z wulkanicznych szczelin wzdłuż całych południowych rubieży łańcucha, niesione wiatrami opadały na Blackendraft, rozległe popielne równiny, gdzie dławiły pod sobą wszelkie życie.

Frey siedział w fotelu pilota i patrzył w dół. Zastanawiał się, czy warto. Czy nie powinien dać nogi. Naprawdę był w stanie wyciągnąć ich z tego bałaganu? Tę zgrają włóczęgów, rzuconą przeciwko najpotężniejszym ludziom w kraju? Ostatecznie jakie mieli szanse? Co znajdowało się w sekretnej kryjówce tak ważnego, że warte było tego wszystkiego, co się stało?

Zwycięskie starcie z Trinicą na krótko dodało mu skrzydeł, ale perspektywa lotu na oślep w Cmentarzysko Rooka obudziła wszystkie dawne wątpliwości. W głowie krążyły mu słowa Crake'a. „Jako grupa jesteśmy dość łatwi do zidentyfikowania. Pojedynczo nigdy nas nie złapią. Dopadną tylko Freya”.

Czy fair było kazać ryzykować im wszystkim tylko po to, żeby oczyścić własne nazwisko? A gdyby odesłał każdego w swoją stronę, zwerbował nową załogę i poleciał do Nowej Vardii? Mógłby dać radę tam dotrzeć, przez morze, przez sztormy, na drugą stronę planety. Nawet zimą. To było wykonalne.

Cokolwiek, byle nie lecieć tam w dół, na Cmentarzysko.

Crake i Jez byli z nim w kokpicie. Jez była mu potrzebna do nawigacji, a Crake miał rozgryźć dziwne, podobne do kompasu urządzenie, którego działania nikt jak dotąd nie rozumiał. Frey wygnał wszystkich pozostałych do mesy, żeby mu nie przeszkadzali. Harkins i

Pinn znów zostali zmuszeni do zostawienia swoich myśliwców, ponieważ podróż w konwoju była zbyt niebezpieczna, a obaj mieli niemożliwą skłonność do komentowania z tylnego fotela.

- Kiedy zejdziemy we mgłę, kapitanie, będziemy lecieć na oślep - powiedziała Jez. - Dlatego kontroluj kurs i prędkość i mów mi, jeśli je zmienisz.

- Dobrze - odparł Frey, przełykając ślinę, żeby zwilżyć suche gardło. Owinął się mocniej marynarką. Nie wiedział, czy to kac, czy strach, ale nie był w stanie się rozgrzać. Obejrzał się na Crake'a, który stał za oparciem jego fotela, trzymając w obu dłoniach mosiężny kompas.

- Zaczął coś robić?

- Nie wygląda - odparł Crake.

- Włączyłeś go?

Demonista popatrzył na niego z irytacją.

- Jeśli uważasz, że znasz jakiś sposób „włączania” go, który umknął całej reszcie, powiedz mi.

- Niepotrzebny nam teraz twój przeklęty sarkazm, Crake - warknęła Jez tonem ostrym i niepasującym do jej głosu. Crake, zamiast się odgryźć, popadł w gorzkie milczenie.

Frey westchnął. Napięcie między tymi dwójkiem nie uspokajało mu bynajmniej nerwów. Warzyło powoli atmosferę na „Ketty Jay”, odkąd wrócili z balu w Scorchwood Heights.

- A w ogóle skąd się bierze cała ta mgła? - powiedział marudnie, żeby zmienić temat.

- Gorące powietrze ze szczelin na zachodzie dmucha nad zimnymi rzekami roztopowymi, spływającymi ze Wschodniego Płaskowyzu - odparła Jez z roztargnieniem.

- Aha.

Na jakiś czas rozmowy się urwały.

- Kapitanie? - spytała Jez, kiedy zrobiło się odpowiednio niezręcznie. - Lecimy?

Freyowi przeszło przez myśl, żeby podzielić się z nimi swoim pomysłem. Mógłby zaproponować, że ich zwolni i pójdzie swoją drogą. Czy nie postąpiłby przyzwoicie? Wtedy nikt nie musiałby się zapuszczać na Cmentarzysko. Z nim samym włącznie.

Ale wymagałoby to za dużo wyjaśnień. Sprawy potoczyły się za daleko. Nie miał już wyjścia. Łatwiej było iść do przodu, niż się cofać.

Poza tym, pomyślał w rzadkim przyływie beztrioskiej brawury, nic tak nie leczy kaca jak śmierć.

Poprawił się w fotelu i wypuścił aerium ze zbiorników balastowych, dodając statkowi ciężaru. „Ketty Jay” zaczęła opadać we mgłę.

Wysokościomierz na tablicy rozdzielczej miarowo odliczał. Świat za szybą kokpitu zrobił

się biały i niewyraźny. Jedynym dźwiękiem w ciszy był cichy pomruk elektromagnesów w silnikach aerium.

- Zejdź na tysiąc i zatrzymaj - poleciła Jez, zgarbiona nad mapami na małym blacie. Jej głos zabrzmiał głucho w grobowej atmosferze.

- Crake?

- Wciąż nic.

Głowili się nad kompasem prawie cały dzień, ale nikomu nie udało się odgadnąć jego przeznaczenia. Brak oznaczeń północy, południa, wschodu i zachodu sugerował, że urządzenie nie służy do nawigacji. Cztery igły, zdolne do poruszania się niezależnie od siebie, jeszcze bardziej zaciemniały obraz. Do tego dochodziły liczby. Nikt nie miał pojęcia, co mogą oznaczać.

Ustalili, że każda para cyfr odpowiada innej wskazówce. Para oznaczona „I” odpowiadała wskazówce oznaczonej „I”. Każda cyfra umieszczona była na obrotowym cylindrze, jak wskaźnik wysokościomierza; cylindry pokazywały prawdopodobnie cyfry od zera do dziewięciu. Górny zestaw każdej pary miał dwa, umożliwiając odliczanie od 00 do 99. Dolne wyglądały podobnie, ale miały poprzedzające gładkie cylindry. Wszystkie wskaźniki oprócz gładkich stały na zerach.

Frey przeczuwał, że kompas ma kluczowe znaczenie dla ich przeżycia na Cmentarzysku Rooka. Byli w niebezpieczeństwie, dopóki nie odkryją, jak działa. Tymczasem wydawało się, że w ogóle nie działa.

Frey zatrzymał „Ketty Jay” w powietrzu, kiedy wysokościomierz pokazał mu, że są klom nad poziomem morza, u podnóża gór. Mgła zgęstniała w nieprzenikniony opar, a w kokpicie zapanował chłodny półmrok. Frey wiedział, że nie warto włączać reflektorów, które tylko by ich oślepiły, uruchomił jednak lampy podwozia, mając nadzieję, że zwalczą trochę ciemność. Pomogły, choć tylko odrobinę.

- Dobrze, kapitanie - powiedziała Jez. - Powoli naprzód, kurs dwa-dwadzieścia, trzymaj się tej wysokości.

- Zaczynamy od dziesięciu węzłów - odparł.

- Dobrze. - Jez spojrzała na kieszonkowy zegarek. - Naprzód.

Frey pchnął „Ketty Jay” do przodu, obierając nowy kurs. Wrażenie lotu na oślep, nawet z tak ślimaczą prędkością, było przerażające. Nagle nabrał więcej szacunku dla Harkinsa, który ścigał swordwinga z pełną mocą przez mgłę po zniszczeniu „Asa Czaszek”. Ten spłoszony, udręczony stary chudzielec był odważniejszy, niż mogło się wydawać.

Przez długie minuty sunęli do przodu. Nikt nic nie mówił. Frey czuł, jak kropla potu

spływa mu spod linii włosów po skroni. Jez podała nowy kurs i wysokość. Mechanicznie wykonał polecenie.

Tempo było boleśnie wolne. Oczekiwanie go zabijało. Coś musiało się stać, chciał już to mieć za sobą.

- Mam coś! - oznajmił niespodziewanie Crake.

Frey przestraszony podskoczył w fotelu.

- Co takiego?

Crake na próbę poruszał kompasem na boki.

- Jedna z igieł się rusza.

Frey zatrzymał „Ketty Jay” i wziął kompas od demonisty. Jez jeszcze raz zerknęła na kieszonkowy zegarek, obliczając w myślach, ile przelecieli nowym kursem.

Crake miał rację. Choć pozostałe igły, z numerami od dwójki do czwórki, wciąż tkwiły bez ruchu, pierwsza wskazywała kierunek, w którym leciał statek. Kiedy Frey przekręcił kompas, nie zmieniła położenia.

Cyfry odpowiadające pierwszej igle też się zmieniły. Podczas gdy wszystkie pozostałe dalej stały na zerze, te ożyły. Górna para pokazywała dziewięćdziesiąt jeden. Dolna, poprzedzona pustym wskaźnikiem, trzydzieści. Nie ruszały się.

- Górne zaczęły odliczanie w dół od dziewięćdziesięciu dziewięciu - powiedział Crake. - Dolne pokazały trzydzieści i tak zostały.

- No i co to znaczy? - spytał Frey.

- On nie wie, co to znaczy - odparła Jez.

- A ty wiesz? - warknął Crake.

Jez obróciła się w fotelu, zdjęła opaskę z włosów i przyglądała je w zwykły kucyk.

- Mam pewien pomysł. Górne cyfry odliczały, kiedy się ruszaliśmy, a teraz nie. Domyślam się, że wskazują odległość od czegoś, co wskazuje igła.

- A co wskazuje igła? - zapytał Crake rozdrażniony, że nie wpadł na to pierwszy.

- Na coś, co jest dziewięćdziesiąt jeden metrów przed nami - podpowiedział pomocnie Frey. - I co teraz? Możemy to oblecieć?

- Wolałabym nie zbaczać z kursu, o ile się da - powiedziała Jez. - Mapy są bardzo precyzyjne.

- Dobrze - odparł Frey. - W takim razie polecimy bardzo, bardzo powoli i zobaczymy, co jest przed nami. Crake, czytaj głośno cyfry.

Usiadł z powrotem na fotelu i pchnął „Ketty Jay” do przodu z minimalną prędkością. Crake stanął za nim, skacząc spojrzeniem od kompasu do szyby kokpitu, gdzie wciąż widać



było tylko mgłę.

- Igła się nie rusza. Druga para cyfr wciąż pokazuje trzydzieści. Górna odlicza w dół... osiemdziesiąt... siedemdziesiąt... sześćdziesiąt... Nigdzie indziej żadnych zmian... Pięćdziesiąt... czterdzieści...

W głowie Freya kłębiły się w panice różne ewentualności. Co na nich czekało? Wejście do kryjówki? Czy przeciwnie, coś bardzo groźnego?

- Trzydzieści... Dwadzieścia...

Frey był tak spięty, że bolały go mięśnie; w każdej chwili był gotów pchnąć „Ketty Jay” całą mocą wstecz, gdyby tylko z mgły coś się wyłoniło.

- Dziesięć... pięć... zero.

- Zero? - spytał.

- Pięć... dziesięć... Igła zmieniła kierunek. Teraz wskazuje do tyłu. Dwadzieścia... dwadzieścia pięć.

- Daj zobaczyć - powiedział Frey i wyrwał kompas Crake'owi. Igła wskazywała dokładnie za nich, a cyfry odliczały z powrotem do dziewięćdziesięciu dziewięciu.

- Hm - mruknął. Potem oddał kompas demoniście. - No cóż. Niezła zagadka.

- Może te cyfry wcale nie oznaczają odległości - zasugerował złośliwie Crake pod adresem Jez. Nawigatorka nie odpowiedziała. Wrócił do odczytywania. - Dziewięćdziesiąt... dziewięćdziesiąt pięć... Teraz stoją na zerach, a igła dołączyła do pozostałych.

- To pewnie oznacza, że wylecieliśmy z zasięgu - stwierdził Frey.

- Ale tam nic nie było!

- I bardzo dobrze.

Jez podała nowy kurs i Frey go obrał.

- Możesz zobaczyć... - zaczęła, ale krzyknął przestraszony, kiedy z mgły wyłoniła się skalna ściana. Odbił w bok i minęła ich od sterburty.

- ...górze - ciągnęła Jez - ale będzie w niej szczelina.

- Nie widziałem żadnej szczeliny - poskarżył się Frey, zirytowany tym, że się wystraszył.

- Kapitanie, ja tu nawiguję na oślep. Nie oczekuj idealnej dokładności. Przysuń nas bliżej do zbocza.

Frey niechętnie to zrobił. Skały znów zamajaczyły obok nich. Jez wstała z fotela, żeby wyrzeć przez szybę.

- Tam jest - wskazała.

Frey też ją zobaczył - rozpadlinę jak cięcie nożem, szeroką na czterdzieści metrów, o nierównych ścianach.

- Nie podoba mi się to - powiedział.

- Zejdź na dziewięćset, wleć do środka - poleciła mu bezlitośnie Jez.

Frey ostrożnie obrócił „Ketty Jay” i wleciał w szczelinę. Skały naparły na nich z obu stron, zawężając ich świat. Ciemne urwiska były dość blisko, by było je widać, nawet w mgłę. Frey podświadomie skulił się w fotelu. Skupił się na utrzymywaniu prostego kursu.

- Znów kontakt - wtrącił Crake. - Tym razem dwa.

- Dwie igły się ruszają?

- Tak. Obie wskazują prosto w przód.

- Podaj mi liczby.

Crake zwilżył suche usta i odczytał je.

- Pierwsza igła: odległość dziewięćdziesiąt i maleje. Drugi wskaźnik pokazuje pięćdziesiąt siedem. Druga igła: odległość... teraz też dziewięćdziesiąt. Też maleje. Drugi wskaźnik pokazuje minus czterdzieści trzy. Nie rusza się.

- Minus czterdzieści trzy? - spytała Jez.

- Na pustym cylindrze właśnie pojawił się mały minus.

Jez przez chwilę się zastanawiała.

- Podają nam relatywną wysokość - oznajmiła. - Pierwsza para cyfr podaje nam odległość od obiektu. Druga pokazuje, jak wysoko jest nad czy pod nami.

Frey załapał.

- Czyli te przed nami... jeden jest pięćdziesiąt siedem metrów nad nami, a drugi czterdzieści trzy pod?

- Dlatego nic nie widzieliśmy ostatnim razem - skomentowała Jez. - Minęliśmy to coś. Było trzydzieści metrów nad nami.

Frey poczuł jednocześnie obawę i ulgę. Dobrze było wiedzieć, że rozszyfrowali działanie kompasu i mogli unikać tych niewidzialnych rzeczy. Jednocześnie wiedza, gdzie one są, sprawiła, że zaczęły się wydawać jeszcze groźniejsze. Oznaczała, że naprawdę tam są. Czymkolwiek były.

- Crake, odczytuj dalej odległości - polecił.

Crake usłuchał.

- Dwadzieścia... dziesięć... zero... igła się obraca... dziesięć... dwadzieścia...

Frey kazał mu głośno liczyć, dopóki nie wylecieli z zasięgu i kompas znów się zresetował.

- Dobrze, kapitanie - powiedziała Jez. - Dno szczeliny łąda chwila opadnie. Zejdziemy na siedemset i polecimy kursem dwa-osiemdziesiąt.

Frey potwierdził chrząknięciem. Między urwiskami było dość miejsca, by przeleciał tamtędy większy statek, ale bezustanna konieczność kontrowania dryfów „Ketty Jay” wyczerpywała jego cierpliwość i przyprawiała o ból głowy. Z całego serca żałował, że poprzedniego wieczoru tak dobrze się bawił.

Tak jak przepowiedziała Jez, szczelina nagle się skończyła. Wpadała w o wiele większą rozpadlinę, tak szeroką, że nie było widać jej drugiego końca. Mgła była tu rzadsza, od spodu podświetlana złowrogim czerwonym blaskiem. Po kokpicie rozpełzły się czerwone cienie.

- To na dole to lawa? - spytał Frey.

Jez wychyliła się ze stanowiska nawigatora i spojrzała w dół.

- Tak. Zejdź na siedemset.

- Będziemy bliżej lawy.

- Ja tylko odczytuję mapy, kapitanie. Chcesz sam szukać drogi we mgle, proszę bardzo.

Freya to zabolalo, ale nic nie powiedział i zaczął obniżać pułap. Mgła się rozrzedziła, a czerwony blask przybierał na sile, aż byli w nim skąpani. Temperatura w kokpicie wzrosła, wszyscy zaczęli się pocić. Czuli promieniowanie żaru płynącej w dole rzeki lawy. Pinn przyszedł z mesy poskarżyć się, że robi się tam duszno, ale Frey przegonił go warknięciem. Przynajmniej ten raz pilot zrobił, co mu kazano.

Frey dodał aerium na siedmuset metrach, żeby zatrzymać opadanie, i pchnął statek do przodu wzdłuż rozpadliny. Widoczność była teraz lepsza. Mgła ujawniała miejscami skrawki otoczenia, ponury ogrom gór dookoła, nawet jeśli były to tylko rozmazane plamy. Zejście kilkudziesiąt metrów niżej ukazałoby ze szczegółami rzekę lawy - kotłujący się, gęsty nurt czerni, czerwieni i żółci. Żar tam na dole byłby niewyobrażalny.

- Kontakt - powiedział znów Crake. - Przed nami i trochę w lewo. Będziemy... och, zaraz. Jest następny. Dwa. Trzy. Trzy kontakty.

- Są trzy?

- Cztery - poprawił Crake. Pokazał Freyowi kompas. Igły rozłożyły się jak wachlarz. Frey zmarszczył brew i przez chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zamrugał i dziwne uczucie minęło. Przysiągł sobie, że nigdy więcej nie będzie tyle pił w noc poprzedzającą jakieś ryzykowne operacje.

- Któryś z nich na wprost przed nami?

- Jeden całkiem blisko. Dwadzieścia metrów poniżej. O!

- Jakie znowu „O!” - warknął Frey. - „O!”, co?

- Jedna z igieł się poruszyła... teraz wróciła... teraz znów się ruszyła.

- Co to znaczy „wróciła”? - zapytał Frey. Wytarł pot z czoła. Od całego tego napięcia

robiło mu się niedobrze.

- Poruszyła się! A jak myślisz? - odparł Crake ze zniecierpliwieniem. - Możesz na chwilę się zatrzymać?

- No ale dlaczego się przesuwa? Coś tam jest czy nie?

Frey zaczął się naprawdę denerwować. Czuł ogarniające go, trzepoczące zaczątki paniki.

- Są tam więcej niż cztery rzeczy - powiedziała Jez, która wstała ze swojego posterunku i patrzyła na kompas. - Wydaje mi się, że on przeskakuje między igłami, żeby pokazać nam cztery najbliższe.

- Jedna jest trzydzieści metrów przed nami! - zawołał Crake.

- Ale wyżej czy niżej? - spytał Frey.

- Czterdzieści metrów wyżej.

- To po co mi to mówisz?!

- Bo mi kazałeś! Zatrzymasz ten cholerny statek czy nie?!

Ale Frey nie chciał się zatrzymywać. Chciał mieć to już za sobą. Chciał minąć tych niewidzialnych wrogów i wydostać się stąd. Ogarniało go straszne wrażenie, że coś jest nie tak, mrowiące odrętwienie rozchodzące się od palców stóp. Czuł się zdenerwowany i zaszczuty.

- Co tu się do ciężkiej cholery dzieje, Crake? - warknął, wychylając się do przodu i próbując zobaczyć, czy coś jest nad nimi. - Niech mi ktoś odpowie! Co to jest?

- Jest jeden, są trzy przed nami, jeden za... ee... dwa wyżej, trzydzieści i dwadzieścia metrów, jest... - Crake zaklął. - Liczby się zmieniają, bo się ruszamy! Jak mam je tak szybko odczytywać?

- Powiedz mi po prostu, czy na coś wpadniemy, Crake! To chyba proste?!

Jez patrzyła na nich z niedowierzaniem.

- Może byście się obaj uspokoili? Zachowujecie się jak dwóch...

Ale w tym momencie Frey z krzykiem odskoczył od okna.

- Coś tam jest!

- Co to było? - spytała Jez.

- Mamy jedno dwadzieścia... dziesięć metrów przed nami... ale poniżej... - mówił Crake.

- To wyglądało... ja wiem, wyglądało, jakby miało twarz - wybełkotał Frey. Żołądek kurczył mu się i przewracał. Czuł smród własnego potu i miał wrażenie, że jest brudny. Otarł wierzchy dłoni, żeby spróbować je trochę oczyścić, ale wtarł tylko w skórę więcej brudu.

- Duchy! - powiedział nagle. - To duchy Cmentarzyska Rooka!

- Nie ma żadnych duchów, kapitanie - odparła Jez, ale w blasku lawy jej twarz była

czerwona, a głos miał dziwne echo. Jej pospolita twarz nabrała chytrego wyrazu. Wiedziała coś, czego oni nie wiedzieli? Z mesy dobiegł ich wybuch obłąkanego śmiechu: Pinn histerycznie z czegoś rechotał. Brzmiało to jak rechot spiskowca.

- Oczywiście, że to duchy. - Frey odwrócił się z powrotem do szyby, siłą woli próbując rozpędzić mgłę. - Wszyscy tak mówią.

- Dwa są teraz za nami - recytował Crake w tle. - Jeden przed nami, przechodzi bokiem.

- Którym?

- To ważne?

Coś przemknęło za szybą, jakieś poruszenie we mgle. Frey zobaczył wyciągniętą, ludzką sylwetkę i wykrzywione upiorne rysy. Odskoczył od szyby, głośno nabierając powietrza.

- Co się stało?

- Nie widzieliście?

- Ja nic nie widziałam!

Freyowi świat zaczynał pływać przed oczami; nie mógł skupić wzroku. Odbiło mu się, poczuł smak kwasu i zepsutych jaj.

- Kapitanie... - powiedział Crake.

- Chyba coś jest nie tak - mruknął Frey.

- Kapitanie... druga para cyfr...

- Jaka druga para...

- Te cyfry! Odliczają od minus dwudziestu do zera! To coś leci na nas z dołu!

- Kapitanie! Tracimy wysokość! Schodzimy w dół! - krzyknęła Jez.

- Leci na nas! - wrzasnął Crake.

- Rusz się! - zawołała Jez i Frey odpalił silniki. „Ketty Jay” skoczyła do przodu i ułamek chwili później na zewnątrz coś wybuchło z ogłuszającym hukiem, uderzając o kadłub i ciskając Crake'a i Jez przezabinę. Statkiem mocno szarpnęło, poleciał na sterburkę; Frey walczył ze sterami, żeby nie dać się zepchnąć na oślep w czerwoną mgłę. „Ketty Jay” wydawała się ocieężała, jakby ranna. Kapitanowi mignął leżący na podłodze kompas, z igłami wirującymi i skaczącymi na wszystkie strony.

Są wszędzie dookoła!

Crake zaczął wrzeszczeć.

- Demony! Za oknami są demony!

Pole widzenia Freya rozmyło się i takie zostało. Opuściły go wszystkie siły.

- Kapitanie! W górze i na sterburcie! - krzyknęła Jez.

Frey spojrział i zobaczył okrągły kształt we mgle. Rosnący, ciemniejący, w miarę jak się

zbliżał. Duch. Olbrzymi, czarny duch.

Nie. Kula. Metalowa kula najeżona kolcami.

Latająca mina!

Jez chwyciła drążek sterowy i odbiła „Ketty Jay” na bakburtę. Frey bezwładnie spadł z fotela na podłogę. Crake wrzeszczał.

Huknęła następna eksplozja. Potem ciemność i cisza.

## 28

*Jez ratuje sytuację - Legendy ożywają - Kapitan portu -*

*Taktyczne myślenie - Wieści z targu*

Frey odzyskał przytomność jakiś czas później. Leżał wyciągnięty na podłodze kokpitu „Ketty Jay”. Policzek miał przyciśnięty do metalu, mokry od śliny. W głowie mu łomotało, jakby mózg usiłował wykopać sobie wyjście z czaszki.

Jęknął i poruszył się. W fotelu pilota siedziała Jez. Spojrzała na niego.

- Wróciłeś - powiedziała. - Jak się czujesz?

Zaklął kilka razy, żeby dać jej pewne wyobrażenie. Crake leżał w drugim kącie, zwinięty niewygodnie pod stanowiskiem nawigatora.

Frey próbował sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się w tym stanie. Kusilo go, by zwalić winę na alkohol, ale przecież od zeszłej nocy nic nie pił. Ostatnim, co sobie przypominał, był lot przez mgłę i cyfry na kompasie.

- Co się stało? - spytał, podciągając się do pozycji siedzącej.

Jez rozłożyła byle jak na tablicy rozdzielczej mapy i kompas. Przyjrzała się jednemu i drugiemu, zanim odpowiedziała.

- Wszyscy poszaleliście. To pewnie od oparów znad lawy. Wyjaśniałoby to duchy, halucynacje i paranoję. - Postukała w kompas paznokciem. - Okazuje się, że to coś ostrzega o położeniu magnetycznych, latających min. Ktoś zadał sobie bardzo wiele trudu, żeby ta kryjówka pozostała sekretna.

Frey zwalczył falę mdłości. Czuł się jak struty.

- Przepraszam za przejęcie sterów bez pozwolenia, kapitanie - ciągnęła Jez tonem

bynajmniej niewyrażającym skruchy. - Musiałam uciec przed tamtą miną, a ty się wyłączyłeś. Niewiele brakowało. „Ketty Jay” oberwała. Ale już prawie jesteśmy na miejscu.

- Tak?

- Jak się to już rozgryzie, dalej idzie łatwo - stwierdziła Jez, ale Frey nie wiedział, czy chodziło jej o trasę do kryjówki, czy pilotowanie „Ketty Jay”.

Niepewnie wstał z podłogi, z niejasnym poczuciem dyskomfortu. Widok Jez w fotelu pilota bardzo mu przeszkadzał. Był nieprzyjemnym ucieleśnieniem jego lęków na temat przyszłości, w której Jez - posiadająca już kod zapłonu - kradła jego ukochany statek, kiedy tylko odwracał się do niej plecami. Wyglądała, jakby czuła się na jego miejscu cholernie swobodnie.

Na zewnątrz panował spokój, opary rozrzedziły się do lekkiej mgielki. Choć w górze gęsta mgła wciąż zasłaniała niebo, widzieli skaliste dno kanionu pod nimi. Płynęła nim wąska rzeka o rwącym nurcie, w tym samym kierunku, w którym lecieli. W kadłub dmuchał lekki wiatr.

Frey potarł głowę.

- Jakim cudem na ciebie to nie zadziało?

Jez wzruszyła ramionami.

- Gdy zobaczyłam, co się dzieje, wstrzymałam oddech. Odetchnęłam tylko kilka razy, dopóki nie przelecieliśmy.

Frey zmrużył oczy. Wyjaśnienie brzmiało zbyt swobodnie, jak przećwiczone. Sam był doświadczonym kłamcą i umiał rozpoznać nieprawdę. Dlaczego nawigatorka mu kłamała?

W korytarzu za kokpitem rozległ się jakiś hałas i w drzwiach stanął Malvery.

- Na jaja Wszzechduszy, co myśmy pili? - poskarżył się. - Na dole wszyscy leżą nieprzytomni. Nawet to cholerne kocisko padło.

- Nie dawałeś kotu rumu, prawda? - spytał Frey.

- Wyglądał na spragnionego - odparł Malvery ze skruszonym uśmiechem.

- Patrzcie, wszyscy - powiedziała Jez. - Chyba jesteśmy na miejscu.

Stłoczyli się dookoła niej i wyjrżeli przez przednią szybę, kiedy „Ketty Jay” wyleciała z kanionu. A przed nimi, w dole, wśród mgły i skał podnóża Hookhollowów, ukryte w przerażających głębiach Cmentarzysko Rooka. W końcu znaleźli to, czego szukali.

Kanion wpadał do olbrzymiej, ciemnej niecki, o średnicy kilkunastu kłomów, gdzie poziom gruntu opadał siedemdziesiąt metrów w dół do zalanego wodą trzęsawiska. Strumienie z całych gór, nie znajdując innej drogi, trafiały tutaj, przelewając się przez krawędzie niewielkimi wodospadami. Mineralne osady i wulkaniczne błoto, splukiwane z

dalekich gardzieli znaczyły powierzchnię bagna metalicznymi pomarańczowymi, zielonymi i błękitnymi plamami. Wodę zakrywały niezdrowo wyglądające rośliny. Powietrze cuchnęło kwasem z lekkim dodatkiem jaj.

Ale na środku tej całej zgnilizny stało miasto.

Wzniesiono je z drewna i rdzewiejącego metalu; rozległe skupisko przypadkowych budynków wyewoluowało bez żadnej myśli przewodniej, planu ani celu. Większość zbudowano na platformach wystających nad wodę, wspieranych płataniną dźwigarów. Reszta stała na nielicznych skrawkach ziemi, które mokradło miało do zaoferowania - podmokłych brzegach i wysepkach. Każda część połączona była z sąsiednimi mostami i oświetlona sznurami elektrycznych lamp, które pozawieszano byle jak nad głównymi drogami.

Budynki bardzo różniły się od siebie. Niektóre nie wyglądałyby źle w wiejskich posiadłościach na tropikalnym południu. Inne sklecono z tego, co można było znaleźć na miejscu albo przywieźć z zewnątrz. Domy zbudowano z drewna i kamienia i pokryto dachówką lub falistą blachą. Niektóre części miasta wydawały się skupiskami bud rodem ze slumsów, ledwie nadających się do zamieszkania, inne wyglądały na bardziej zorganizowane i widać było w nich rękę architekta.

Do tego dochodziły powietrzne statki. Musiało ich być co najmniej dwieście, stłoczonych dookoła miasta. Fregaty unosiły się na kotwicach, zabezpieczone przed dryfowaniem grubymi łańcuchami. Mniejsze jednostki woziły załogi na ziemię i z powrotem. Jedno wielkie lądowisko zajmowało największy spłacheć gruntu na całym trzęsawisku, ale nawet ono nie było w stanie poradzić sobie z liczbą nagromadzonych tu statków. Kilka dużych platform leżało na powierzchni bagna. Wyglądały na prowizoryczne, unosiły się na obciążających zbiornikach aerium, napełnianych przenośnymi silnikami, żeby nie tonęły.

Frey gapił się na to mrowie. Widział frachtowce, barki, wszelkiego rodzaju myśliwce, dwukadłubowe karawele, okręty pancerne, monitory i korwety. W powietrzu nad miastem roily się startujące i lądujące statki, śmigające w tę i z powrotem. Obok „Ketty Jay” przemknął myśliwiec klasy Rainbird, smukły i niebezpieczny, kierując się do wylotu kanionu, z którego właśnie się wyłonili.

- To troszkę więcej niż kryjówka - mruknął Malvery, zadziwiony. - Tam na dole jest cały przekłety port.

I nagle Frey zrozumiał, gdzie są. Nic innego nie odpowiadało temu widokowi. Zawsze uważał, że to miejsce jest legendą, tęsknym marzeniem piratów z całej Vardii. Teraz jednak rozciągało się przed jego oczami - gnijące, rozpadające się, ale bez wątplenia prawdziwe. Legendarne pirackie miasto, ukryte przed Marynarką Koalicji i rządzone przez słynnego



pirata Orkmunda.

Retribution Falls.

\* \* \*

Frey nie widział niczego, co by wskazywało, gdzie ma wylądować, żadnych naprowadzających reflektorów, wcisnął się więc na wolne miejsce na głównym lądowisku. Kiedy on i jego załoga otworzyli rampę załadunkową, żeby wyjść, zastali kogoś czekającego na nich. Był to wysoki mężczyzna, o ciastowatej twarzy i wydatnym brzuchu, z jednym zezowatym okiem i tępym uśmiechem.

- Wpisaliście się już? - spytał Freya.

Frey przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Tamten widział przecież, jak lądowali. Już chciał zapytać, jak mogli się znaleźć w kapitanacie, będąc jednocześnie w powietrzu, ale ostatecznie wybrał łatwiejszą odpowiedź.

- Nie.

- Musicie się wpisać. Rozkaz Orkmunda.

Frey poczuł dreszcz ekscytacji, słysząc to nazwisko. Wszystko jasne. To naprawdę było Retribution Falls.

- Gdzie kapitanat?

- Ty jesteś kapitanem?

- Tak.

- Chodź, zaprowadzę cię.

Frey kazał pozostałym czekać przy „Ketty Jay”. Ruszył za mężczyzną do kapitanatu - ponurego, niskiego budynku, przypominającego raczej dużą szopę niż pomieszczenia administracyjne. Brudne okna podzielone były na małe, kwadratowe szybki. Drzwi się zacinęły i Frey musiał się z nimi szarpać - framuga wypaczyła się od wilgoci.

W środku samotna olejowa latarnia z trudem rozpraszała półmrok. Kapitan portu - chudy, starszy mężczyzna ze ściągniętą twarzą - garbił się nad biurkiem i pisał coś piórem. Po drugiej stronie pomieszczenia stał pulpit, a na nim duża, otwarta księga. Była pełna nazwisk i dat.

Frey czekał, aż zostanie zauważony. Mężczyzna o kaprawym oku czekał razem z nim. W nozdrzach kręcił trochę obrzydliwy bagienny smród. Frey podejrzewał, że miejscowi już go nie zauważają.

Po krótkiej chwili kapitan portu podniósł głowę.

- Niechże się wpisuje! - warknął, wskazując księgę na pulpicie. - Olic, doprawdy! Każ

temu człowiekowi się wpisać!

Olric zrobił zawstydzoną minę. Frey podszedł do książki i wziął leżące obok pióro. Przejrzał wpisy. W każdej linii widniało nazwisko kapitana, nazwa statku, data przybycia i, w niektórych przypadkach, odlotu. Na dole każdej podwójnej strony kapitan portu nagryzmołił swoje nazwisko i tytuł.

Frey przerzucił kilka kartek wstecz, szukając kogoś, kogo by znał. Może była tu Trinica.

- Spory ostatnio ruch, co? - zauważył. - Często macie taki?

- Niech się wpisuje - powtórzył ze zniecierpliwieniem kapitan portu. Nie podniósł głowy znad swoich papierów.

\* \* \*

Decyzja, by większość załogi pozostała na statku, nie przypadła do gustu zwłaszcza jednemu jej członkowi.

- Frey, ty cuchnący draniu! - krzyknął Pinn. - Do tej pory nawet nie wierzyłeś, że Retribution Falls istnieje! Mówiłem ci, że powinniśmy tu przylecieć, jeszcze w Yortlandii, ale nie! Pomyślałeś: pośmiejmy się z Pinna. A ja miałem rację. Zasługuję na to, żeby wyjść!

- Stul tłusty pysk, Pinn - rzucił Malvery. - Kapitan wydał rozkaz.

- Och, tak? No to może go sobie wetknąć w tyłek, razem ze wszystkimi innymi swoimi rozkazami!

Frey spojrział na Silosa.

- Jeśli spróbuje wyjść, zastrzel go - powiedział, tylko na poły żartobliwie.

- Tak jest - odparł Silos, z chrzęstem przeładowując strzelbę.

Pinn popatrzył na pozostałych członków załogi, u nikogo nie znalazł poparcia. A potem poszedł, głośno tupiąc, z powrotem w głąb statku, mamrocząc coś buntowniczo.

- Jez, Malvery, chodźcie - zarządził Frey. - Nie będziemy się wychylać, ale się rozejrzemy. Miejcie oczy i uszy otwarte. I niech nikt nie zwraca się do mnie inaczej niż kapitanie, tak? Nie chcę słyszeć swojego nazwiska poza „Ketty Jay”.

- Zrozumiano.

- Wszyscy mają rewolwery? Dobrze. Nigdy nic nie wiadomo.

Poszli przez lądowisko do mostu prowadzącego do miasta. Frey był dość zadowolony z siebie po tym, jak stanowczo sprzeciwił się wybuchowi Pinna. Tamten wyobrażał sobie noc hulankę w pirackim rajach, ale załoga musiała być gotowa do szybkiej ucieczki w razie czego, bez potrzeby szukania kogokolwiek pod stołami w barach. Zabranie ze sobą całej grupy przypominałoby próbę stadnego wypasu kotów.

Frey jeszcze raz przemyślał taktykę, która podyktowała mu taki a nie inny skład grupy, z którą zszedł na ląd. Kluczem było rozdzielenie Pinna i Malvery'ego. Pinn nie narobiłby żadnych kłopotów bez wsparcia doktora, a ponieważ Malvery szedł z nimi, nie obchodziło go, co się stanie z Pinnem. Malvery przydawał się, kiedy potrzeba było siły i wdzięku do blefu, ale we dwóch w miejscu takim jak Retribution Falls doprowadziliby do alkoholowej masakry. To pewne jak to, że ptaki srają na pomniki.

Jez też się przyda. Była bystra, spostrzegawcza i miała sokoli wzrok. Poza tym spośród nich wszystkich wydawała się jedyną rozsądną osobą. Crake'a Frey nie liczył. Crake zajmował się demonami, tego nie można było nazwać rozsądnym postępowaniem.

Frey miał jednak ukryty powód, żeby zabrać Jez. Chciał mieć na nią oko. Choć był wdzięczny za to, że uratowała im życie, miał też podejrzenia. Zastanawiało go, że opary nie miały na nią wpływu i że skłamała, gdy musiała ten fakt wytłumaczyć. Nie chciał zostawiać jej na statku samej, nie kiedy znała kod zapłonu. Nie miał pewności, czy aż tak jej ufa.

Pozostali nie mieli nic przeciwko zostaniu na „Ketty Jay”. Crake, ponieważ nigdy nie był piratem, nie rozumiał legendy i powabu Retribution Falls. Nie korciło go, żeby je obejrzeć. Harkins nie lubił tłumów i nieznanym. Wolał siedzieć bezpiecznie w swojej kajucie, bojąc się kota, który czekał, aż zaśnie, żeby spróbować go udusić. Z kolei zabieranie Silosa byłoby zbyt niebezpieczne. Poza tym Silos miał robotę. Musiał obejrzeć statek i naprawić wszystkie uszkodzenia po minach.

Ogólnie rzecz biorąc, Frey wszystko sobie dokładnie przemyślał.

Nieźle. Tak właśnie zachowuje się prawdziwy kapitan. Tak trzeba sobie radzić z załogą.

Był zadowolony z siebie, mimo że lot przez Cmentarzysko Rooka niemal zakończył się katastrofą. Odnalezienie Retribution Falls przebijało wszystko. Tak musieli się czuć Cruwen i Skale, kiedy odkryli Nową Vardię. Był odkrywcą. Cokolwiek stałoby się później, musiał przyznać, że czuł się bardziej... Cóż, bardziej jak mężczyzna niż kiedykolwiek przedtem.

W chwili kiedy otworzył ogień i zmienił „Asa Czaszek” w ognisty wrak, jego życie, takie jakie znał do tej pory, dobiegło końca. Teraz o każdy dzień musiał walczyć zębami i pazurami. Na każdym kroku musiał toczyć batalie. Było to wyczerpujące i przerażające, i najczęściej nie mógł tego znieść. Ale czasami, kiedy udawało mu się wyrwać z tego chaosu rzadką chwilę spokoju, czuł się inny. Zadowolony z siebie. A czegoś takiego nie zaznał już od bardzo, bardzo dawna.

Poszli mostem z lądowiska na najbliższą platformę i odkryli, że Retribution Falls z bliska jest jeszcze brzydsze i bardzo dalekie od tego, jakim przedstawiały je legendy.

Wąskie uliczki okazały się zniszczone i brudne bardziej niż wynikałoby to z ich wieku.

Bagienne powietrze przeżerało metal, wypaczało drewno i pokrywało kamień pleśnią. Wszystko łuszczyło się i obłaziło. Generatory warczały i śmierziały, zapewniając zasilanie wiszącym na drutach lampom, które rozpędzały półmrok. Było zimno, a mimo to ubrania zawilgły i lepiły się do ciała. Smród bagna mieszał się ze smrodem tysiąca niedomytych ciał.

Retribution Falls wydawało się pełne wszelkiego rodzaju piratów, przemytników, oszustów i przestępców - wszystkich, jakich Frey potrafił sobie wyobrazić. Puby i gospody pękały w szwach. Ulice były zatłoczone, dziwki - pustokie i wymęczone. W pomieszczeniach wilgotność i duchota dziesiątków ciał sprawiały, że trudno było wytrzymać. Wszędzie bili się jacyś pijani mężczyźni. Dobywano broni, padały trupy.

Panująca tu dzikość przerażała Freya. To było kipiące, cuchnące pandemonium zepsutych zębów i lubieżnych twarzy. Zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. Frey odkrył, że brakuje mu widma milicji. Lubił przeprowadzać swoje nielegalne interesy w bezpiecznych granicach porządku i cywilizacji. Całkowite bezprawie oznaczało przeżycie oparte na sile i sprycie, a on nie miał w nadmiarze ani jednego, ani drugiego.

Mijali hałaśliwe bary i przestępowali przez ludzi leżących na ulicach, zapitych rumem, nieprzytomnych i świeżo okradzionych. Malvery zerkał na mijane spelunki, ale bez Pinna był grzeczny i trzymał się blisko kapitana. Czasami odpychał kogoś z drogi; jego postura i groźne spojrzenie zniechęcało do awantur.

- Nie jest to raczej utopia, którą sobie wyobrażałam, kapitanie - mruknęła Jez.

Frey niezupełnie wiedział, co to jest „utopia” - brzmiało to jak jedno ze słów, których używał Crake - ale zrozumiał, o co jej chodziło.

- Tyle statków, tylu ludzi - powiedział. - Nie masz wrażenia, że pomieściło się tu znacznie więcej piratów, niż było w planach, kiedy to budowali?

- Mam - odparła Jez.

- I co ci to mówi?

- Mówi mi to, że zebrano ich tu z jakiegoś powodu.

- Tak właśnie pomyślałem.

\* \* \*

Targ był trochę mniej zatłoczony niż ulice i bary, ale niewiele. Rozciągał się na osobnej platformie, połączony mostami z kilkoma sąsiednimi. Z zadaszeń byle jakich kramów wisały lampy naftowe, zadymiając dodatkowo i tak już brudne powietrze. Ich migotliwy blask łączył się nieładnie ze światłem elektrycznych żarówek wiszących w górze, nadając dziwne odcienie rozkołysanemu morzu twarzy sunących dołem.

Malvery przepychał się przez tłum, Frey i Jez szli za nim. Mijane kramy były strzeżone przez uzbrojonych w strzelby osiłków. Sprzedawano z nich najróżniejsze towary: drobiazgi i bibeloty, narzędzia, buty i płaszcze, mapy nawigacyjne. Głodnym kupującym oferowano podejrzane smażone mięsa, ktoś niedaleko prażył orzechy. Gwar rozmów był ogłuszający.

- Nie masz wrażenia, że to wszystko trochę się wymknęło spod kontroli? - wrzasnęła Jez do ucha Freya.

Frey nie usłyszał, co powiedziała, ale pokiwał głową.

- Ktokolwiek tym kieruje - stwierdził - chyba trochę stracił nad tym kontrolę!

- Na pewno - odkrzyknęła Jez, która również go nie usłyszała.

Frey zauważył kram na krawędzi targowej platformy, gdzie ruch nie był tak gęsty i gdzie w tle widniało ciemniejące bagno. Jeden z licznych szyldów wiszących na jego płóciennie-drewnianej witrynie głosił: „Odetchnij świeżym powietrzem! Filtry 8 szyli”.

Frey postukał Malvery'ego w ramię i popchnął go w tamtym kierunku. Na ich widok kramarz się ożywił. Był chudym, rudowłosym mężczyzną z olbrzymią, pofałdowaną blizną zagrywającą mu połowę twarzy. Wyglądał, jakby zmaltretował go niedźwiedź.

- Skąd to masz? - spytał Frey, wskazując bliznę.

- Skąd mam co? - odparł handlarz, autentycznie zdezorientowany.

Po krótkim namyśle Frey postanowił nie ciągnąć tematu.

- Te filtry, które sprzedajesz. Ochronią nas przed złym powietrzem w kanionach?

Kramarz wyszczerzył się szeroko.

- Gwarantuję. Stare was zawiodły?

- Coś w tym rodzaju.

- Ciężka sprawa, przyjacielu. No, na tych możesz polegać.

Wyjął jeden ze skrzyni za sobą i założył. Był to czarny, metalowy owal z kilkoma szparami oddechowymi, zakrywający usta i nos i podtrzymywany skórzanym paskiem.

- Nea echchy ssay łybyułań fof.

- Co?

Kramarz zdjął maskę.

- Powiedziałem, że nie ma lepszych w całym Retribution Falls.

- Dobrze. Potrzebuję siedem.

- Osiem - poprawiła Jez. Kiedy Frey i Malvery na nią popatrzyli, dodała: - Kot.

- Racja. Osiem. Daj mi zniżkę.

- Sześć kawałków.

- Trzy.

- Pięć.
- Cztery.
- Cztery i osiem szyli.
- Stoi.
- Nie pożałujecie - powiedział sprzedawca, wyciągając filtry ze skrzyni. - Pierwszy raz w

Retribution Falls?

- Jak zgadłeś?
- Ostatnio sporo tu nowych. Wyglądacie na nowych.
- Dlaczego sporo?

Handlarz rzucił naręcze filtrów na tani drewniany stół, służący tu za ladę.

- Spodziewam się, że z tego samego powodu co wy.
- Nas tu ściągnęło piwo i krajobrazy - wyszczerzył się Malvery.

Sprzedawca się zaśmiał, ukazując komplet zębów, które lepiej było trzymać w ukryciu.

- Słyszeliście o tym, co się będzie działo jutro? - spytał, kiedy Frey kładł pieniądze na stół.

- Jak sam zauważyłeś, dopiero przylecieliśmy - odparł.

- Wiecie, gdzie mieszka Orkmund? - Handlarz wskazał platformę w oddali. Było już ciemno, więc zobaczyli tylko garść świateł. - Zapytajcie kogokolwiek, traficie. Bądźcie tam jutro w południe.

- Co się dzieje?
- Orkmund ma coś do powiedzenia. Tak sobie myślę, że może już pora.

Malvery dość przekonująco udał, że wie, o czym on mówi.

- Tak myślisz?

- No, rozejrzycie się - powiedział sprzedawca. - Niektórym z tych chłopaków już odbija. Nie można trzymać na kupie bandy piratów. Przylecieli tu się bić i jeśli nie znajdą kogoś innego, zaczną walczyć między sobą. Orkmund pewnie da znak, żeby zacząć atak.

- I bardzo dobrze - ucieszył się Frey. - Nie mogę się już doczekać, żeby im dokopać.

- Wiesz, z kim się mamy bić? - Handlarz aż się zakrztusił, co całkowicie zbiło Freya z tropu.

- Ee... co?

- Wiesz, gdzie Orkmund nas wysyła?

- A ty nie?

- Nikt nie wie. Czekamy, żeby tego się właśnie dowiedzieć.

Frey wycofał się rakiem.

- Nie... Chodziło mi o to, że wiesz... ogólnie. Kimkolwiek oni są - dokończył niezręcznie.

Sprzedawca popatrzył na niego dziwnie, a potem chwycił pieniądze ze stołu i zawołał jakiegoś przechodnia, chcąc go zwabić. Zlekceważeni w ten sposób Frey i pozostali poszli dalej, rozdzielając między siebie filtry.

- Orkmund zebrał sobie piracką flotę - powiedziała Jez. - To tak Grephen chce załatwić sprawę. W ten sposób przejmie władzę. Zawarł układ z królem piratów.

- Ale jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem - odparł Frey. - Jak książę Grephen przeciągnął Orkmunda na swoją stronę?

- Pewnie mu zapłacił - zaryzykował Malvery.

- Czym? Grephen nie ma tylu pieniędzy, żeby utrzymać armię. A przynajmniej Crake tak uważa, a kto jak kto, on wie najlepiej takie rzeczy.

- Crake może się mylić - stwierdziła Jez. - Samo to, że ma akcent nie oznacza, że zna na wylot całą arystokrację. Bardzo wielu rzeczy o nim nie wiesz.

Frey zmarszczył czoło. Zaczynał mieć serdecznie dość napięcia między Jez a Crakiem. Ledwie byli w stanie współpracować, kiedy potrzebował ich do nawigacji przez kaniony Cmentarzyska Rooka. Musiał z tym coś zrobić.

- Wracamy na „Ketty Jay” - rzucił. - Dowiedzieliśmy się wystarczająco dużo. Zobaczmy, co powie jutro Orkmund.

- Nie pójdziemy się napić? - spytał Malvery z przerażeniem. - To znaczy w celu gromadzenia informacji?

- Nie tym razem. Rano musimy wcześniej zacząć. Żadnych kłopotów dzisiaj wieczorem.

Ruszył w stronę lądowiska. Malvery potruchtał za nim.

- Brakuje mi dawnego kapitana - gderał.

Frey miał prawie wszystkie informacje, których potrzebował. Brakowało mu tylko jednego elementu. Ktoś popierał księcia Grephena, dostarczał mu środki na utrzymanie armii najemników wystarczająco dużej, by zmierzyła się z Marynarką Koalicji i zdobyła stolicę Vardii. Musiał się dowiedzieć kto to jest. Kiedy ten ostatni kawałek układanki wskoczy na swoje miejsce, zrozumie spisek, w który go wplątano. Wtedy mógłby coś na to poradzić.

Kiedy szli do „Ketty Jay”, spłynął na niego wielki spokój. Jutro miało przynieść odpowiedź. Nie wiedział, skąd to wie, ale był tego pewien.

Jutro. Wtedy zaczniemy to wszystko odkręcać.

# 29

## *Interwencja - Wyznana Grathera Crake'a - Eksperyment i tragedia, która z niego wynikła*

Crake'a obudziło potrząsanie za ramię.

- Wstawaj - powiedział Frey.

- O co chodzi?

- Wstawaj - powtórzył kapitan. - Jesteś mi potrzebny w mesie.

Crake zsunął nogi z koi. Był wciąż ubrany, poszedł spać, kiedy tylko Frey zszedł na ląd. Miał nadzieję, że pozbędzie się w ten sposób bólu głowy, którego nabawił się, wdychając opary lawy. Nie udało się.

- Co się stało, Frey? Kuchenka wydaje upiorne odgłosy? Demoniczna aktywność w potrawce?

- Musimy po prostu coś załatwić, to wszystko.

Coś w jego tonie powiedziało Crake'owi, że Frey nie zamierza odpuścić, więc wstał z westchnieniem i powłókł się za kapitanem na korytarz. Zamiast jednak zejść na dół do mesy, Frey minął drabinkę i zapukał do drzwi kajuty nawigatora. Otworzyła Jez. Spojrzała na kapitana, na Crake'a, i natychmiast nabrała podejrzeń.

- Możesz zejść do mesy? - spytał Frey, choć zabrzmiało to nie tyle jak prośba, ile jak rozkaz.

Jez wyszła z kajuty i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Dotarli na miejsce. Był tam Silos, palił skręta i pił kawę. Głaskał Żuźła leżącego płasko na stole. Na widok Jez kot poderwał się i zasyczał. Wystrzelił po drabince i zniknął.

Silos popatrzył na nich bez zainteresowania.

- Co z „Ketty Jay”? - spytał Frey.

- Oberwała, ale jest twarda. Potrzeba warsztatu, żeby znów była ładna, ale w środku nic za mocno nie dostało. Naprawiłem, co mogłem.

- Poleci?

- Bez trudu.



Frey kiwnął głową.

- Możesz nas zostawić?

Silos splunął w dłoń i zgasił w niej skręta. Potem wstał i wyszedł. Od swojej rozmowy z nim Crake mimowolnie widział relację Murthianina z kapitanem w nowym świetle. Byli towarzyszami tak długo, że ledwie się nawzajem zauważali. Nosili się jak stare ubrania.

- Siadajcie - powiedział Frey, wskazując stół na środku mesy. Jez i Crake usiedli naprzeciwko siebie. Kapitan wyjął spod płaszcza butelkę rumu i postawił ją między nimi.

- Ona nie pije - stwierdził Crake. Zaczynał rozumieć, o co tu chodzi i wcale mu się to nie podobało.

- To ty wypijesz - odparł Frey. Wyprostował się, górując nad nimi. - Coś się między wami dzieje, odkąd byliście w Scorchwood Heights. Nie wiem, co to jest i nie chcę wiedzieć, bo to nie moja sprawa. Ale moja załoga musi działać jak załoga, nie możecie się bez przerwy kłócić. Przetrywamy tylko w jeden sposób, współpracując. Jeśli nie możecie tego zrobić, w najbliższym porcie jedno z was wysiada.

Ku swojemu zaskoczeniu Crake zrozumiał, że Frey nie żartuje. Kapitan popatrzył najpierw na jedno z nich, potem na drugie, upewniając się, że jego słowa do nich dotarły.

- Nie wychodźcie stąd, dopóki się nie dogadacie - nakazał, a potem wspiął się po drabince i zniknął.

Zapadła długa niechętna cisza. Policzki Crake'a paliły go z gniewu. Czuł się głupio i niezręcznie, jak dziecko złajane przez wychowawcę. Jez patrzyła na niego chłodno.

Niech ją szlag. Nie jestem jej winien żadnych wyjaśnień. i tak nie zrozumie, pomyślał demonista.

Nienawidził Freya za to, że wtrącił się w sprawę, która go nie dotyczyła. Kapitan nie miał pojęcia, w co się wmieszał. Nie mogli zostawić tego tak, jak było? Niech Jez sobie wierzy w co chce. To lepsze niż musieć znów o tym myśleć. Lepsze niż stawianie czoła wspomnieniom tamtej nocy.

- To prawda, tak? - spytała Jez.

Spojrzał jej z urazą w oczy.

- To, co powiedział ten Shacklemore - podpowiedziała. - Zabiłeś swoją bratanicę. Siedemnaście razy dźgnąłeś ją nożem do papieru.

Crake przełknął kulę w gardle.

- To prawda - potwierdził.

- Dlaczego? - szepnęła. W jej tonie była jakaś desperacja. Jakaś rozpaczliwa potrzeba zrozumienia, jak mógł zrobić coś tak odrażającego.

Crake wbił spojrzenie w stół, walcząc z wstydlwym gorącym napływającym łez.

Jez wyprostowała się na krześle.

- Mogę znieść półgłówków i nieudaczników, alkoholików i tchórzy - oznajmiła. - Mogę znieść, że zestrzeliliśmy frachtowiec i zabiliśmy kilkadziesiąt osób. Ale nie chcę być na pokładzie z człowiekiem, który zadźgał ośmioletnią dziewczynkę, Crake. Po prostu nie mogę.

- Skrzyżowała ręce na piersi i odwróciła wzrok, powstrzymując łzy. - Jak możesz być taki, jaki jesteś, a pod spodem skrywać mordercę dzieci? Jak ja mam teraz komukolwiek zaufać?

- Nie jestem mordercą - oznajmił Crake.

- Zabiłeś tę dziewczynkę!

Nie mógł już dłużej znosić oskarżeń. Do diabła z nią, do diabła, opowie jej całą okropną prawdę i niech ocenia go, jak chce. Wzbierało to w nim od siedmiu miesięcy, przez cały ten czas nikomu się nie zwierzał. To właśnie niesprawiedliwość, słuszne oburzenie niesłusznie oskarżonego, przerwało w końcu tamę.

Wziął głęboki, rozedrgany oddech.

- Dźgnąłem ją - powiedział bardzo spokojnie. - Siedemnaście razy nożem do papieru. Ale nie zamordowałem jej.

Poczuł, że mięśnie twarzy kurczą mu się do szlochu, i potrzebował chwili, żeby nad sobą zapanować.

- Nie zamordowałem jej, bo ona wciąż żyje.

\* \* \*

Komora echa stała na środku sanktuarium Crake'a, cicha i groźna. Przypominała batyskaf - była zbudowana z nitowanych blach i miała okrągłe okienka. Z jednej strony zamontowano w niej nieduże okrągłe drzwi. Po podłodze wiły się od niej grube kable, podłączone do różnych gniazdek i innych urządzeń. Ściany komory miały piętnaście centymetrów grubości. Otoczono je jeszcze jedną siecią zabezpieczeń.

Crake nie czuł się w najmniejszym stopniu bezpieczny.

Chodził w tę i z powrotem pod kamiennymi łukami starej piwnicy na wino. Była zimna pełzającym chłodem późnej nocy; obcasy butów stukały o podłogę. Dookoła komory echa stały elektryczne lampy - jedyne źródło światła. Kolumny rzucały długie, zwięzające się cienie na wszystkie strony.

Mam. W końcu mam. A mimo to nie śmiem jej włączyć, pomyślał.

Zdobycie komory echa zajęło mu wiele miesięcy. Miesiące błagania, skamlania i podlizywania się staremu, skąpemu draniowi w rezydencji. Miesiące bezsensownych prac i

nudnych zadań. A ten podły łajdak tak się z tego cieszył! Nie posiadał się z radości, widząc, jak drugi syn musi przybiegać na każde jego skinienie! Przeciągał to i przeciągał, rozkoszując się władzą, jaką mu to dawało. Rogibald Crake, magnat przemysłowy, był człowiekiem nawykłym do posłuchu.

- Nie musiałbyś tego robić, gdybyś miał porządną pracę - mawiał. - Nie potrzebowałbyś moich pieniędzy.

Ale Crake potrzebował pieniędzy ojca. A Rogibald w ten właśnie sposób karał go za odrzucenie wszystkich wybranych dla niego dróg kariery. Crake wrócił z uniwersytetu wyuczony sztuki polityki i natychmiast oznajmił, że nie chce być politykiem. Rogibald nigdy mu tego nie darował. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego syn przyjął nierokującą posadę w kancelarii prawniczej ani dlaczego potrzebował aż trzech lat, żeby „ustalić, co właściwie chce robić w życiu”.

Ale czego Rogibald nie wiedział - czego nikt nie wiedział - to że Crake ustalił swe priorytety dawno temu. Już na studiach. W chwili, kiedy odkrył demonizm. Po tym wszystko inne stało się małe i nieznaczące. Czemu miałby się przejmować dusznym i zepsutym światkiem polityki, kiedy mógł zawierać układy z istotami nie z tego świata? To dopiero władza.

Ale demonizm okazał się zajęciem kosztownym i czasochłonnym. Materiały były trudno dostępne, książki rzadkie i cenne. Wszystko należało robić w sekrecie. Trzeba było godzin studiów i eksperymentów każdej nocy, a sanktuarium zajmowało dużo miejsca. Crake nie mógł po prostu sprostać wymaganiom poważnej kariery, jednocześnie studiując demonizm, a zarazem nie mógł sobie pozwolić na potrzebne rzeczy z pensji kancelaryjnego urzędnika.

Dlatego musiał się uciec do pomocy ojca. Udawał, że jego pasją jest wynalazczość i oznajmił, że studiuje nauki i potrzebuje do tego sprzętu. Rogibald uznał, że to absurd, ale cała ta sprawa raczej go rozbawiła. Bez wątpienia czekał, aż Crake zrozumie, że traci czas na głupstwa i wróci na kolanach. Przyznanie, że jego syn poniósł klęskę, że on, ojciec, od samego początku miał rację - to by była najślodsza nagroda. Dlatego wspierał „hobby” Crake'a i niecierpliwie wypatrywał jego końca.

Ponieważ Crake'a nie było stać na mieszkanie tak duże, by spełniało jego potrzeby, ojciec pozwolił mu mieszkać w domu w rodzinnej posiadłości, który dzielił ze starszym bratem Condredem oraz jego żoną i córką. Było to posunięcie obliczone na upokorzenie syna. Wzajemna pogarda obu braci była wprost paląca.

Condred był ulubieńcem ojca, który poszedł w ślad za nim w świat rodzinnych interesów. Był zasadniczym, surowym młodym mężczyzną, który zawsze spełniał życzenia ojca i brał

jego stronę. Dla młodszego brata, którego uważał za obiboka, miał tylko pogardę.

- Przyjmę go pod swój dach, jeśli prosisz, ojczy - rzekł przy Graytherze. - Choćby po to, żeby mu pokazać, jak żyją porządne rodziny. Może nauczę go trochę odpowiedzialności.

Świątoszkowata łaska Condreda zirytowała Crake'a, ale pocieszał się świadomością, że jego brat żałuje teraz swojej zgody. Condred wyobrażał sobie krótki pobyt. Może myślał, że Crake, zawstydzony, wyprowadzi się szybko i znajdzie dobrą pracę. Ale nie wziął pod uwagę determinacji, z którą jego młodszy brat dążył do zdobycia wiedzy. Kiedy tylko Crake zobaczył pustą piwnicę na wino, nie dałby się już wyrzucić. Zniósłby wszystko, byle ją mieć. To było idealne sanktuarium.

Minęły ponad trzy lata. Trzy lata, przez które Crake spędzał cały swój wolny czas za zamkniętymi na klucz drzwiami piwnicy, pod ziemią. Każdego wieczoru wracał z pracy, jadł niezręczną kolację ze swoim niechętnym bratem i jego nadętą, zasuszoną, wredną żoną, a potem znikał na dole. Z przyjemnością zrezygnowałby z kolacji, ale Condred nalegał, że jako gość powinien jadać z rodziną. Tak wypadało, nawet jeśli wszyscy zainteresowani tego nienawidzili.

Dla Condreda było to bardzo typowe. Wylewał dziecko z kąpielą, wszystko w imię etykiety. Dureń.

Jedyną rzeczą, dzięki której mieszkanie w tym domu okazało się znośne, nie licząc sanktuarium, była dla Crake'a jego bratanica. Rozkoszne dziecko - bystra, inteligentna, przyjacielska i cudem nieskażona skwaszoną postawą rodziców. Fascynowały ją tajemne eksperymenty wujka Graythera i nękała go codziennie, żeby jej pokazywał, nad czym nowym pracuje. Była przekonana, że jego sanktuarium to cudowna kraina zabawek i niesamowitych maszyn.

Crake uznał to za wspaniały pomysł. Zaczął kupować zabawki od miejscowego zabawkarza i dawać jej jako własne. Jej rodzice wiedzieli o tym i po cichu sarkali, ale córce nie powiedzieli ani słowa. Uwielbiała wujka nicponia, a on odwzajemniał tę miłość.

Te trzy lata studiów, eksperymentów, prób i błędów przywiodły go do tego punktu. Nauczył się podstaw i ich zastosowania. Przyzywał demony, które spełniały jego życzenia. Zaklinał przedmioty, nawiązywał proste kontakty, dzięki sztuce leczył nawet rany i choroby. Często korespondował z bardziej doświadczonymi demonistami i cieszył się ich poważaniem.

Demonizm był niebezpieczny, ale Crake zachowywał dużą ostrożność. Posuwał się do przodu małymi krokami, nabierając pewności siebie, nigdy nie szarżując. Wiedział dobrze, co spotykało demonistów, którzy próbowali procedur wykraczających poza ich doświadczenie. Ale czasem okazywało się też, że nadmierna ostrożność ogranicza poznanie.

W pewnym momencie trzeba było skoczyć na oślep.

Następnym krokiem była komora echa. Teoria echa była najnowszym osiągnięciem demonicznej nauki, wymagającym złożonych obliczeń i stalowych nerwów. Za jej pomocą demonista mógł sięgnąć do nigdy dotąd niezbadanych krain i wyłuskiwać z eteru zupełnie nowe, nieznane demony. Stara gwardia, zgrzybiali, nudni demoniści nigdy by nie tknęli komory, ale Crake nie mógł się powstrzymać. Stare szlaki zostały zbadane i rozrysowane, to były nowe tereny, a on chciał zostać jednym z pierwszych ludzi na pograniczu.

Dziś wieczorem zamierzał przeprowadzić procedurę, której nigdy wcześniej nie próbował. Zamierzał ożywić martwe.

Dziś wieczór zamierzał stworzyć golema.

Przerwał chodzenie i wrócił do komory, po raz dwudziesty sprawdzając połączenia. Komora była połączona dźwiękoszczelnymi rurami z dziwną zbroją, którą Crake znalazł w sklepie z dziwadłami. Sprzedawca nie miał pojęcia, co to było. Spekulował, że zbroja mogła być przeznaczona do prac w ekstremalnych warunkach, ale Crake w duchu się z nim nie zgadzał. Zrobiono ją na miarę garbatego olbrzyma i nie była hermetyczna. Domyślał się, że to prawdopodobnie ozdobna instalacja stworzona przez jakiegoś obłąkanego metaloplastyka. Tak czy inaczej, musiał ją mieć. Była tak fascynująco groteskowa, a do tego idealnie nadawała się do jego celów.

Teraz stała w jego sanktuarium, gotowa do przyjęcia demona, którego zamierzał do niej wciągnąć. Puste naczynie czekające na napełnienie. Przyglądał się zbroi przez długą chwilę, aż zaczęła go niepokoić. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że zaraz się poruszy.

Wokół komory echa i zbroi stał krąg masztów rezonatorowych. Te zasilane elektrycznie kamertony wibrowały na różnych falach i tworzyły zaporę częstotliwości, której demon nie mógł przekroczyć. Crake sprawdził kable, śledząc je po podłodze sanktuarium do elektrycznego gniazdka, które zamontował na ścianie. Usatysfakcjonowany włączył maszty jeden po drugim, ustawiając pokrętła w ich podstawach. Włoski na karku zaczął go mrowić, kiedy powietrze zgęstniało od częstotliwości spoza zasięgu jego słuchu.

- Cóż - powiedział na głos. - Chyba jestem gotowy.

Po przeciwnej stronie niż zbroja stała konsola kontrolna. Była to tablica z mosiężnymi pokrętłami, wysoka do pasa, wprawiona w ramę, którą można było przetaczać na kółkach. Obok niej znajdowało się biurko, zavalone otwartymi księgami i notatnikami z zapisami procedur i matematycznych wzorów. Crake znał je na pamięć, ale mimo to przejrzał je jeszcze raz. Odsuwał chwilę, kiedy musiałby zacząć.

Nie był tak przerażony od pierwszego razu, kiedy przyzwał demona. Puls łomotał mu w

gardle. Chłód piwnicy zdawał się mrozem. Przygotowywał się i przygotowywał, ale nie mógł się przygotować wystarczająco, pomyłka mogła go wiele kosztować. Śmierć byłaby wybawieniem, gdyby rozwścieczony demon dostał go w swoje ręce.

Ale nie można bez końca hołdować ostrożności. Pozycja szeregowego demonisty już Crake'owi nie wystarczała. Chciał władzy i sławy mistrzów.

Podszedł do konsoly i włączył komorę echa. Z kuli dobiegł basowy pomruk. Zostawił ją na kilka minut, żeby się rozgrzała, skupiając na swoim oddechu. Miał wrażenie, że może niespodziewanie zemdleć, jeśli nie będzie głęboko oddychał.

Wciąż możesz się wycofać, Grayther.

Ale to głos strachu. Decyzję podjął już dawno. Wziął się w garść i wrócił do konsoly. Spokojnie zaczął przekręcać pokrętła.

Chwywanie demonów można nazwać sztuką. Najtrudniej dostosować wibracje sprzętu do wibracji istoty, ustawienie jej w fazie z tym, co laicy nazywali „prawdziwym” światem. W przypadku pomniejszych demonów - drobnych zbitków mocy i świadomości, o inteligencji nie większej niż chrząszcz - procedura była prosta. Przypominało to łowienie ryb. Zarzucało się dźwiękową przynętę i wyciągało je na brzeg.

Ale większe demony to zupełnie inna sprawa. Trzeba było je schwytać i ustawić w fazie przemocą. Większy demon mógł mieć sześć lub siedem pierwotnych rezonansów, które należało zduplikować, żeby demonista mógł go przyciągnąć wbrew jego woli. Później zaś demon powinien zostać zamknięty. Tylko głupiec próbowałby zadawać się z taką istotą bez zabezpieczeń.

Crake nie był aż tak głupi, by mu się wydawało, że poradzi sobie z większym demonem. Mierzył niżej. Coś o inteligencji na poziomie psa wystarczałoby mu w zupełności. Gdyby zdołał zakłąć taką istotę w swoją zbroję, miałby golema wystarczająco tępego, by wykonywał jego polecenia. A gdyby ten okazał się kłopotliwy, Crake miał przygotowane procedury, którymi mógł go wygnać z powrotem w eter.

Jednak przyzywanie demonów niosło ze sobą wiele niebezpieczeństw. Nie zawsze miało się pewność, co się złapie. Mógł zarzucić przynętę na szprotkę, a na końcu żyłki znaleźć rekina.

Dokonał obliczeń, na podstawie ustaleń innych demonistów i własnych twierdzeń. Określił zakres częstotliwości, w których miał największe prawdopodobieństwo trafienia na to, co chciał. Potem rozpoczął właściwe łowy.

Komorę echa zaczęła wibrować i zawodzić, kiedy przeszukiwał pasmo. W demonizmie na równi z wiedzą liczyło się wyczucie i instynkt. Crake zamknął oczy i skupił się, wolno

obracając pokręta.

Jest. Nieprzyjemne wrażenie bycia obserwowanym. Znalazł coś. Teraz musiał to schwycić, zanim się wyśliznie.

Ustawił nowe częstotliwości, zaczynając wysoko i nisko, a potem je zbliżając, wymacując kształt istoty. Przerwał, kiedy poczuł jej opór.

Reakcja była teraz wyraźniejsza: zimny dreszcz, lekkie zawroty głowy i dezorientacja. Crake musiał otworzyć oczy. Kiedy je zamykał, zaczynał się przewracać do przodu.

Spojrzał na zegary. Demon okazał się olbrzymi, rozciągał się na całe infradźwięki.

Puść go, powiedział sobie Crake. Puść go, jest za duży.

Ale miał go. Nie utrzymałby czegoś takiego swoim standardowym sprzętem. Demon po prostu przeszedłby w inną częstotliwość i uciekł. Ale w komorze echa można było go zatrzymać, zasypując dezorientującymi sygnałami, które zakłócały się wzajemnie.

Tego mógł złapać. Nieważny golem, nieważna cała reszta. Chciał go tylko zobaczyć. Potem go odeśle. Ale żeby go tylko zobaczyć!

Podkscytowany, upojony strachem, jak w gorączce zaczął obracać pokrętłami. Włączył więcej wibracji, wyszukując główne częstotliwości demona, zawężając pasmo, aż je znalazł. Demon przeskakiwał między długościami fal, usiłując uciec z klatki, ale Crake skakał razem z nim, nie pozwalając mu się wyrwać. Im bliżej był, tym mniej demon miał przestrzeni do szamotaniny.

Powietrze huczało. Komora echa pulsowała niewidzialnymi energiami.

Do kroćset, to działa! To naprawdę działa!

Kiedy ustawił sprzęt najlepiej, jak mógł, odsunął się od konsoly i poszedł zajrzeć do komory. Przez okienko w drzwiach widział, że kula jest pusta. Ale nie rozczarowało go to. Perspektywa w środku dziwnie się zakrzywiła, a powietrze falowało tak, że od patrzenia na nie łzawiły oczy. Coś nadchodziło. Crake ledwie oddychał ze zgrozy i fascynacji. Nachylił się do grubego szkła, chcąc zajrzeć głębiej do środka.

Jego spojrzenie odwzajemniło gigantyczne, szalone oko.

Wrzasnął, odpadając od okienka; serce tłukło mu w piersi aż do bólu. Olbrzymie oko pojawiło się znikąd, zaistniało w jego rzeczywistości, wypalając się w jego świadomości. Widział je teraz, niemożliwie wielkie, należące do czegoś o wiele większego niż komora echa mogła pomieścić.

Rozległ się huk uderzenia i kula się zakołysała. Crake siedział tam, gdzie upadł, jak zahipnotyzowany. Znów odgłos ciosu wielkiej pięści. Ściana kuli wygięła się na zewnątrz.

O nie... Nie, nie!

Poderwał się na nogi i pobiegł do konsoly. Pozbądź się go, pozbądź się go, wszystko jedno jak, myślał gorączkowo.

Znów uderzenie, od którego zatrzęsło się całe sanktuarium. Elektryczne lampy zamigotały. Jedna z trzaskiem przewróciła się na ziemię. Crake się potknął, poleciał do przodu.

Wtedy usłyszał jej krzyk.

Jej głos zmroził go do szpiku kości. Przeraził go bardziej niż wszystko, co umiał sobie wyobrazić; bardziej przerażający niż istota w komorze echa. Cały świat Crake'a zwięził się do pierwotnego koszmaru, z którego nie było ucieczki; patrzył na swoją bratanicę w białej nocnej koszulce. Stała tuż za kręgiem masztów rezonacyjnych, zahipnotyzowana rozgrywającą się przed nią sceną.

Nigdy się nie dowiedział, skąd wzięła klucz do piwnicy. Może znalazła jakąś jego starą kopię gdzieś w jakiejś zakurzonej skrytce. Czy planowała tę chwilę od tamtej pory? Czy nie mogła spać, tak bardzo chciała zobaczyć tajemną krainę zabawek, w której pracował jej wujek Grayther? Czy nastawiła budzik, mając nadzieję zakraść się w środku nocy, kiedy myślała, że nikogo tam nie będzie?

Nigdy nie dowiedział się jak ani dlaczego, ale ostatecznie nie miało to znaczenia. Liczyło się to, że tam stała, a demon był nie do powstrzymania. Drzwi komory echa otworzyły się gwałtownie i ostatnią rzeczą, jakiej Crake doświadczył, zanim jego życie zmieniło się na zawsze, był huragan śmierzdzący siarką i ogłuszające nieziemskie wycie.

\* \* \*

Kiedy wrócił do zmysłów, jego sanktuarium było ciemne i ciche. Pozostała jedna nieroztrzaskana elektryczna lampa. Leżała na boku obok komory echa, podświetlając masywną zbroję, wciąż podłączoną kablami do pogiętej metalowej sfery.

Crake był zdezorientowany. Dopiero po kilku chwilach zrozumiał, gdzie jest. Jego umysł wydawał się podrapany i poobcierany, jakby od środka skrobały go małe gryzonie, raniąc mu zmysły malutkimi, brudnymi pazurkami. Demon znalazł się w jego głowie, w jego myślach. Ale co tam robił?

Crake uświadomił sobie, że stoi. Spojrzał w dół i zobaczył w swojej ręce nóż do papieru z insygniami jego uczelni na rękojeści. Nóż i dłoń, która go trzymała, były czarne i śliskie od krwi.

Z ciemności dobiegało cmokanie. Czerwone smugi na kamieniach. Podążył za nimi wzrokiem i tam ją znalazł.



Jej biała koszulka nocna była poplamiona czerwienią. Na rękach i szyi miała głębokie rany po uderzeniach noża. Wzbierała w nich gęsta, ciemna krew, wylewając się w rytm bicia serca. Dziewczynka rozwierała usta jak ryba, z jej gardła wydobywało się cmokanie. Każdy oddech był płytkim sapnięciem, usta i brodę miała czerwone. Brązowe włosy pozlepiły się jej w mokre strąki.

Jej oczy. Błagające. Nerozumiejące. Zamglone niewyobrażalnym cierpieniem. Nie wiedziała, co to śmierć. Nigdy nie myślała, że może ją to spotkać. Ufała mu ze ślepą, bezmyślną miłością, a on zwrócił przeciwko niej nóż.

To była zemsta demona za to, że śmiał przyzwać go z eteru. Tym bardziej okrutna, że zostawił go przy życiu i przy zdrowych zmysłach.

Crake nie wiedział, że ból, rozpacz i groza mogą osiągać takie poziomy. Sama ich intensywność była tak wielka, iż miał wrażenie, że umrze. Gdyby tylko ciemność chciała powrócić, gdyby tylko jego serce przestało bić! Ale nie było dla niego litości. Zrozumienie spadło na niego jak fala przyboju; zachwiał się, zakrztusił, a nóż wypadł z jego odrętwiałych palców.

Ona wciąż żyła. Żyła, błagała, żeby powstrzymał ból, niczym przejechane zwierzę pod kołami silnikowego powozu. Błagała go, żeby jakoś jej pomógł.

- To dziecko! - wrzasnął w ciemność, jakby demon wciąż tam był i można go było oskarżyć. - To tylko przeklęte dziecko!

Ale kiedy echo jego głosu ucichło, pozostało tylko mokre cmokanie bratanicy, usiłującej złapać oddech.

Crake'a ogarnął żal tak przytłaczający, że odebrał mu zmysły. Owładnął nim pomysł, szalony i rozpaczliwy, a on zaczął działać, nie myśląc o konsekwencjach. Nic innego się nie liczyło. Nic oprócz odwrócenia tego, co się stało, w jedyny sposób, jaki przychodził mu do głowy.

Chwyił dziewczynkę w ramiona. Była taka lekka, taka chuda i blada, jej białą skórę znaczyły pręgi krwi. Zaniósł ją do komory echa i ostrożnie położył w środku. Zamknął drzwi.

Mimo uszkodzeń zamek zaskoczył i kula się uszczelniła. Wtedy Crake'a ogarnęła słabość; osunął się na kolana, z czołem przyciśniętym do okienka, cały wstrząsany szlochem.

Leżała na plecach, z odchyłoną głową, patrząc na niego przez szybę. Na ustach pękały jej krwawe bąbelki. Jej wzrok napotkał jego spojrzenie i było to straszne, nie do wytrzymania. Crake odskoczył, podbiegł do konsoly kontrolnej.

Tam zrobił to, co było trzeba.

\* \* \*

Jez widziała już płaczących mężczyzn, ale nigdy czegoś takiego. Szlochy Crake'a ścisnęły za serce, głębokie, niepowstrzymane, zrodzone z bólu tak ogromnego, że aż trudno było uwierzyć, iż go w sobie nosił. Jego opowieść w miarę zbliżania się do końca stawała się coraz bardziej niezrozumiała. Nie był w stanie sklecić zdania przez spazmy płaczu, szarpiące całym jego ciałem.

- Ja nie wiedziałem! - krzyknął, z twarzą pokrytą plamami i brodą mokrą od łez. Ciekło mu z nosa, ale nie próbował go wycierać. Siedział przed Jez brzydki i załamany; jego widok sprawiał jej ból. - Ja nie wiedziałem, co robię! Tyle tylko, że... to nie wyszło tak, jak myślałem. Tra... tra... transfer nie poszedł idealnie. Ona teraz jest inna, nie jest... taka, jaka była. - Z trudem złapał oddech. - Ja tylko chciałem ją uratować.

Ale Jez nie mogła zaoferować mu litości ani współczucia. Za bardzo utwardziła swoje serce. Rozumiała teraz jego tragedię, ale gdyby pozwoliła sobie na wybaczenie, gdyby ustąpiła choć trochę, nie byłoby odwrotu. Nawet jeśli udałoby jej się wybaczyć zadżganie dziewczynki, jeśli Crake nie znajdował się wtedy w pełni władz umysłowych. Ale to, co zrobił potem, było iście diaboliczne.

- Jedna rzecz - zażądała. Gardło miała tak ściśnięte, że jej głos brzmiał obco. - Jej imię.

- Co?

- Przez ten cały czas nie powiedziałeś, jak twoja bratanica miała na imię. Unikałeś tego.

Crake popatrzył na nią czerwonymi oczami.

- Wiesz, jak ma na imię.

- Mów! - zażądała Jez. Bo potrzebowała tego ostatecznego rozstrzygnięcia, zanim mogłaby odejść.

Przełknął ślinę i powstrzymał szloch.

- Bessandra - powiedział. - Na imię miała Bessandra. Ale wszyscy mówiliśmy na nią po prostu Bess.

## 30

*Orędzie Orkmunda - Znajomy przedmiot -  
Frey dodaje dwa do dwóch - „Mam cię”!*

W południe pod twierdzą Orkmunda zebrał się tłum.

W rzadkim przeblasku architektonicznego rozmysłu twierdza została wzniesiona przed rozległym placem, który wykorzystywano do zebrań, handlu i, od czasu do czasu, egzekucji czy rozstrzygnięć sporów w walce. Na samym środku, właśnie do tego celu, stała drewniana scena, teraz trzeszcząca pod ciężarem gapiów. Drugą, bardziej prowizoryczną, ulokowano tuż pod twierdzą, na straży stawiając krzepkich mężczyzn z kordelasami. To miało być podium Orkmunda.

Frey przepychał się przez ścisk, idąc za torującym drogę Malverym. Pinn i Jez szli z tyłu. Wczorajsze uwięzienie w „Ketty Jay” wyciszyło pilota myśliwca, który obiecał Freyowi, że będzie się dobrze zachowywał. Kapitan odpowiedzialnością za to obarczył doktora, wiedząc, że ten lubi dokuczać Pinnowi.

Zabawnie było podreżyc go od czasu do czasu, ale Frey wiedział, ile znaczyła dla niego wizyta w Retribution Falls przed odlotem. Tylko po to, żeby mógł opowiedzieć Lisindzie o swoich przygodach owego dnia, kiedy wróci w glorii chwały, by porwać ją w ramiona. Podkreśliwszy swoją władzę, Frey z przyjemnością dał Pinnowi trochę luzu.

Twierdza zbudowana była na planie kanciastej podkowy, z dwoma skrzydłami wychodzącymi do przodu i otaczającymi niewielki wewnętrzny dziedziniec. Była szara i nieprzystępna, z kwadratowymi oknami i okutymi żelazem drzwiami. Mury wzniesiono z ciemnego kamienia pokrytego smugami grzyba. Całość przeznaczona była dla kogoś, kogo nie interesował przepych ani estetyka. Była to forteca.

Dookoła otaczała ją prowizoryczna barykada z metalowych kolców i skrzyżowanych kątowników, wysoka na dwa i pół metra i zwieńczona drewnianymi wieżyczkami wartowniczymi. Na nich siedzieli piraci z karabinami, obserwujący tłum w dole, bez wątplenia decydując, kogo zastrzelą pierwszego, kiedy nadarzy się okazja. Na środku barykady znajdowała się prymitywna brama, gruba metalowa płyta na rolkach, którą można było odsuwać, otwierając przejście na dziedziniec.

Frey i pozostali przepychali się do miejsca, z którego mogliby coś widzieć, kiedy brama zaczęła się otwierać i tłum eksplodował ogłuszającymi wiwatami. Ziemia trzęsła się od tupotu stóp. Freyowi przyszło do głowy, że stoją na olbrzymiej platformie, podtrzymywanej rusztowaniem z belek, które może nie być przystosowane do takich obciążeń. Byłby to niechlubny koniec przygody - utonąć w cuchnącym bagnie pod tonami niedomytego piractwa.

Frey zobaczył Orkmunda dopiero, kiedy ten wszedł na schody prowadzące na podwyższenie. Piracki kapitan Orkmund, plaga Koalicji w czasach przed wojnami, który zniknął piętnaście lat temu i przez prawie wszystkich był uważany za martwego. Ale on żył:

budował Retribution Falls. Dom dla piratów, bezpieczny przed Marynarką. Miejsce, gdzie mogliby w spokoju robić interesy - oczywiście odpalając sowitą działkę Orkmundowi.

Choć musiał już być dobrze po pięćdziesiątce, Orkmund wciąż był imponującą postacią. Mierzył ponad dwa metry wzrostu, był łysy i mocno zbudowany, a kanciaste rysy przydawały mu wyglądu rozbójnika. Po szyi, głowie i rękach pełzły mu tatuaże. Miał na sobie prostą czarną koszulę, obcisłą i rozpiętą pod szyją, by podkreślić grube węzły mięśni górnej części ciała. Wszedł na podwyższenie z pewnością drapieznika, potoczył wzrokiem po wiwatującym tłumie i podniósł ręce, nakazując ciszę. Trochę mu to zajęło.

- Niektórzy z was mogą mnie znać z widzenia - krzyknął. Jego głos, choć donośny, brzmiał słabo i cienko, kiedy już dobiegł uszu Freya i kapitan musiał się skupić, żeby go słyszeć. - Niektórzy nie. Do wszystkich nowych w Retribution Falls: Witajcie. Jestem Neilin Orkmund.

Erupcja wiwatów na jakiś czas znów wszystko zagłuszyła. Kiedy tłum się uspokoił, Orkmund mówił dalej.

- Jestem dumny, widząc tu dziś tak wielu mężczyzn i kobiet. Jednych z najlepszych piratów w kraju. Niektórzy z was znają to miejsce od lat. Dla innych jeszcze do niedawna było legendą. Ale przybyliście na moje wezwanie i za to wam dziękuję. Razem będziemy siłą nie do powstrzymania. Razem stworzymy armię, jakiej Vardia jeszcze nigdy nie widziała!

Znów wiwaty. Pinn i Malvery też wiwatowali, porwani nastrojem chwili.

- Wiem, że niektórzy z was są sfrustrowani. Rwą się do walki. Chcielibyście zaznać trochę akcji, co? Chcielibyście połamać trochę kości i rozbić parę łbów!

Znów ogłuszający ryk, przy akompaniamencie klaskania i popychania, które groziło wybuchem zamieszek.

Orkmund podniósł ręce.

- Cieszyliście się moją gościnnością. Unurzaliście dzioby w rozkoszach Retribution Falls. A ja w zamian proszę was tylko o jedno. O cierpliwość.

Piraci najbliżej Freya jęknęli i zaczęli gderać. Nagle tłum stracił cały wigor.

- Wiem, że jesteście rozczarowani. Nikt nie chce się stąd wydostać bardziej niż ja - zawołał Orkmund. - Ale mamy przed sobą niemałe zadanie! Nie zebraliśmy się tu, żeby napaść frachtowiec albo ukraść parę drobiazgów z jakiegoś posterunku na odludziu. Nie jesteśmy załogą pięćdziesięciu ludzi czy stu. Jesteśmy załogą tysięcy! A załoga tysięcy potrzebuje czasu, żeby się zebrać i skoordynować.

Rozległy się niechętne, niewyraźne potwierdzenia.

- Czas jest bardzo bliski. To kwestia dni - ciągnął Orkmund. - Ale dzisiaj sprowadziłem

was tu, bo mam wam coś do pokazania.

Kiedy to mówił, z twierdzy wyszła grupa uzbrojonych piratów, eskortując kilkunastu mężczyzn dźwigających kilkanaście dużych kufrów. Wnieśli je na podwyższenie.

- Wiem, że są wśród was wątpiący. Co my tu robimy? Na co czekamy? Kogo atakujemy i czemu to wciąż tajemnica? - mówił Orkmund, chodząc w tę i z powrotem. - Cóż, najpierw zapytajcie samych siebie, po co przylecieliście do Retribution Falls? Dlaczego odpowiedzieliście na moje wezwanie, nie wiedząc nawet, z kim walczymy? Dla niektórych była to kwestia lojalności wobec mnie. Dla innych zew przygody. Ale dla większości z was, to było... to!

Otworzył jeden z kufrów i przez tłum przeszedł pomruk zaskoczenia.

- Łupy! Dukaty! Pieniądze! - zawołał Orkmund, a piraci znów zaczęli wiwatować. Podszedł do następnej skrzyni i otworzył ją, ukazując, że także jest pełna monet. - Wszystko to dla was! Forsa! Działka dla każdego, który przeżyje. I to hojna! - Otworzył trzecią. - Nie warto za to walczyć? Nie warto dla tego poczekać jeszcze kilka dni?

Piraci zawyli z radości, potrząsając w powietrzu pięściami, rozszalali na widok bogactwa. Gdyby nie szacunek dla Orkmunda i widok wycelowanych w siebie luf, mogliby się rzucić na podwyższenie.

Kiedy Pinn i Malvery darli się do ochrypnięcia, Frey coś zauważył. Odwrócił się do Jez.

- Widzisz podwyższenie?

Wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć nad ramieniem pirata przed nią.

- Nie bardzo.

- Chodź - zażądał Frey i przykucnął, żeby wziąć ją na barana.

- Nie, kapitanie, naprawdę nie trzeba.

- Potrzebuję twoich oczu, Jez. Pomóż mi.

Ponieważ nie przyszedł jej do głowy żaden dobry powód, żeby zaprotestować, niezgrabnie włożyła mu na plecy, a on ją podniósł.

- Wiesz, nie mam aż tak dobrego wzroku, to znaczy...

- Ostatnia skrzynia po prawej - rzucił Frey. - Opisz mi ją.

Jez spojrzała.

- Jest czerwona.

- Opisz dokładniej - warknął z irytacją.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jest bardzo elegancka - powiedziała. - Ciemnoczerwony lakier. Na pokrywie jakiś roślinny wzór. Srebrne zamknięcie w kształcie wilczego łba. O, czekaj, otwiera ją.

Orkmund otwierał wszystkie skrzynie, rozpalając piratów do białości pokazywanym ich bogactwem. Frey nie potrzebował Jez, żeby wiedzieć, że czerwona, lakierowana skrzynia pękała w szwach od dukatów.

I to było to. Ostatni kawałek układanki wpadł na swoje miejsce.

- Wszyscy! - powiedział Frey. - Idziemy.

Pinn jęknął w proteście. Malvery groźnie zamachnął się na niego ręką.

- Dobrze - naburmuszył się pilot. - Idziemy.

Frey postawił Jez z powrotem na ziemi.

- Zobaczyłeś już dość, kapitanie? - spytała.

- O tak - odparł. - Zupełnie mi wystarczy.

\* \* \*

Kiedy wracali, ulice były stosunkowo opustoszałe. Retribution Falls sprawiało wrażenie zimnego i ponurego bez gwaru pijackiej wesołości. Frey przestępował przez kałuże śmieci i płynów organicznych z poprzedniego wieczoru, nadając szybkie tempo. Chciał jak najszybciej wrócić na „Ketty Jay”. W jego postępowaniu widać było celowość.

- Co się dzieje, kapitanie? - spytała Jez. - Zabieramy się stąd?

- Owszem - odparł. - Nie ma powodu, żebyśmy tu dłużej zostawali.

- Mnie przychodzi do głowy mnóstwo powodów - oznajmił Pinn. - Większość w kuflach i butelkach, reszta z wielkimi, podskakującymi cyckami. Daj spokój, może mała przepustka?

- Próbuję uratować nas wszystkich od stryczka, Pinn - odparł Frey. - Zachowaj cnotę przez jeden dzień. Myśl o swojej ukochanej.

- Jak o niej myślę, mam jeszcze większą ochotę puknąć dziwkę - wyszczerzył się Pinn, a potem podniósł ręce w geście poddania. - Dobra, dobra. Ty tu rządzisz. Wracam na „Ketty Jay” jak grzeczny mały pilot. Ale dalej chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Dobrze, powiem wam - stwierdził Frey. - Wiemy, że księżę Grephen planuje obalenie arcyksięcia. Czego nie miał, to armii dość dużej, by zmierzyła się z Marynarką, ani pieniędzy, żeby taką opłacić. Orkmund zapewnia mu armię. A teraz wiemy też, kto daje pieniądze.

- Wiemy? - zdziwiła się Jez. - Kto?

- Przebudzeni.

- Skąd taki pomysł?

- Ta skrzynia na podwyższeniu. Widziałem, jak wynoszą ją z klasztoru, w którym trzymali Amalię. Wtedy nie wiedziałem, co w niej jest, ale teraz już wiemy. Pieniądze. I patrzcie, gdzie trafiły... Tu, do Retribution Falls.

- Przebudzeni finansują piratów? - spytał Pinn. - Po co?

- Bo chcą się pozbyć arcyksięcia. Jego i jego żony.

- A co jego żona ma z tym wspólnego?

- To właśnie arcyksiężna namówiła go na wydanie tych wszystkich nowych praw, które ograniczają wpływy Przebudzonych - przypomniał Frey. Widział, że Pinn przestaje nadażać. - Słuchaj, Przebudzeni działają jak firma. Nie ma cienia wątpliwości, że na przesądach robią grubą forszę. Jeśli ktoś tak potężny, jak arcyksiężę zaczyna twierdzić, że cały ten pomysł z Wszechduszą to brednie, ludzie zaczynają mu wierzyć. A to znaczy, że Przebudzeni pójną śladem wszystkich innych religii zmiądzonych sto lat temu.

- Jesteś ostatnio wyjątkowo dobrze poinformowany - zauważyła Jez.

- Rozmawiałem z Crakiem.

- Wiesz, że on nie jest tak zupełnie obiektywny? - spytała. Frey zauważył, że kiedy mówiła o demoniście, jej ton nie był już tak wyraźnie pogardliwy jak wczoraj.

- To dlaczego właściwie Przebudzeni finansują księcia Grephena? - włączył się Pinn.

Frey westchnął. Żeby Pinn zrozumiał, trzeba było mu to dokładnie wyjaśnić.

- Bo Grephen jest Przebudzonym. Tak samo jak Gallian Thade. Jeśli zostanie arcyksięciem, to Przebudzeni zdobędą jeszcze większą władzę, zamiast ją stracić. Właściwie staną się wszechpotężni.

Pinn zmarszczył czoło, zastanawiając się przez chwilę, kiedy szli szybko przez wąskie, brudne uliczki, mijając oblażące z farby ściany i pordzewiałe schody.

- I to Przebudzeni wynajęli Dracken, żeby nas złapała?

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Frey i Malvery. Kapitan wytłumaczył: - To Grephen ją za nami posłał. Bo nie chciał, żebyśmy z kimkolwiek rozmawiali i zniweczyli jego plan, zanim zdołałby go wprowadzić w życie.

Pinn dalej się zastanawiał. Frey z rosnącym niepokojem czekał na nieuniknione następne pytanie.

- To kto wynajął Rycerzy Centurii?

Malvery z rozpaczą zakrył twarz dłonią.

- Co? - zaprotestował Pinn. - To skomplikowane!

- Przysięgam, stary, głupi jesteś jak but.

- Nikt nie wynajął Rycerzy Centurii - wytłumaczyła Jez. - Są lojalni wobec arcyksięcia. To nie ma nic wspólnego z Grephenem. Ścigają nas, bo myślą, że my tu jesteśmy tymi złymi.

- W końcu zabiliśmy arcyksięciu syna - zauważył Malvery.

- Przypadkiem! - powiedział Frey. - Wrobili nas. Czyli się nie liczy.

Doktor uniósł brew.

- Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz tej linii obrony przed arcyksięciem - stwierdził.

- Czego chce Grephen? - ciągnął Frey, zanim Pinn zdołał zapytać o coś jeszcze. - Chce, żeby nas zabito, cicho i sprawnie, i żeby mógł pokazać wszystkim trupy. Mordercy Hengara schwytni, sprawa zamknięta. Taki był plan od samego początku. Mieliśmy zginąć w zasadzce.

- Czego nie chce? Żeby Rycerze Centurii nas złapali i dali nam szansę opowiedzieć naszą wersję tej historii - ciągnęła Jez. - Boi się, że wiemy dość, żeby nabrali podejrzeń, a to zniweczyłoby element zaskoczenia jego ataku.

- Który nastąpi za cztery dni, jeśli wierzyć temu całemu Orkmundowi - powiedział Malvery.

Pinn przestał usiłować zrozumieć, kto jest czyim wrogiem.

- To co robimy? - zapytał.

- To robimy, że zawrzemy układ - odparł Frey. - Porozmawiamy z paroma osobami. Umówimy się na bezpieczne spotkania. Damy im mapy i kompas, niech polecą do Retribution Falls sami. Kiedy znajdą armię Orkmunda, uwierzą nam. Podamy im na talerzu grube ryby, a sami zażądamy umorzenia.

Pinn stanął jak wryty. Pozostali przeszli jeszcze kilka kroków, zanim to zauważyli.

- Chcesz wydać to miejsce? - spytał przerażony.

Frey nie rozumiał.

- O co ci chodzi?

- O to, że chcesz powiedzieć Marynarce Koalicji, gdzie jest Retribution Falls?

- Może krzycz głośniej, Pinn?! - zawołał Malvery. - Chyba cię nie słyszeli w Yortlandii.

Pinn rozejrzał się ukradkowo, nagle przypominając sobie, gdzie jest. Na szczęście zaułek, którym szli, był pusty i nikt ich chyba nie usłyszał. Pinn przysunął się bliżej do Freya i szturchnął go palcem w pierś.

- To miasto jest legendą! Zbudowały je pot i łzy całych pokoleń piratów. Każdy wolny lotnik od czasów wojen żył nadzieją, że któregoś dnia znajdzie Retribution Falls i dożyje swoich dni w pirackim raj. To ju... ju...

- Utopia - podpowiedziała Jez. - Pinn, przecież to brudna nora.

Pinn aż zbladł.

- To Retribution Falls!

Jez krytycznie rozejrzała się po otoczeniu. Chylące się dachy, spękane ściany i spleśniałe narożniki, potłuczone butelki i plamy krwi. Pociągnęła nosem, czując kwaśny smród bagna.



- Wiesz, w czym piraci są naprawdę dobrzy, Pinn? - spytała. - W byciu piratami. I to wszystko. Właściwie, gdybyś mnie zapytał, co by się stało, gdyby wziąć gromadę piratów i kazać im wybudować miasto, powiedziałabym, że właśnie coś takiego. To miejsce było lepsze jako legenda. Prawdziwa wersja jest do niczego.

- Ujmę to tak, Pinn - powiedział Frey. - Chcesz zawisnąć czy nie chcesz?

Pinn się zastanowił, szukając w pytaniu haczyka.

- Nie? - zaryzykował.

- Wybieraj, albo ty, albo to miasto. Orkmund pracuje dla księcia Grephena, pamiętasz? A Grephen chce śmierci nas wszystkich. Twojej też, Pinn.

Pinn otworzył usta, zamknął je, znów otworzył i przestał próbować się spierać.

- Lisinda by tego nie przeżyła, gdyby coś mi się stało - odparł.

- Pomyśl, jaka będzie dumna, kiedy się dowie, że w pojedynkę pokonałeś całą armię piratów - rozpromienił się Malvery.

- Pewnie mógłbym to trochę ubarwić - zaczął się głośno zastanawiać Pinn. - Dobra, do diabła z tym wszystkim. Wyośmy się stąd i wbijmy parę noży w plecy!

- Oto właściwa postawa! - skwitował wesoło Frey.

\* \* \*

Kiedy wrócili na „Ketty Jay”, wydał polecenie startu i sprawdził, czy Żużel jest zamknięty w mesie, żeby jakiś niefortunny ochotnik - Pinn - mógł mu siłą wetknąć na pysk maskę w drodze powrotnej. Silos pokazywał mu właśnie powierzchowne uszkodzenia skrzydeł, kiedy podszedł do nich Olic, zastępca kapitana portu.

- Odlatujecie, tak?

- Mamy sprawę do załatwienia - tłumaczył Frey. - Orkmund mówi, że jeszcze kilka dni, więc...

Wzruszył ramionami.

- Musicie się wypisać.

- Właśnie miałem iść. Będę za chwilę.

Olic sobie poszedł. Frey kazał Silosowi przyprowadzić ze statku Crake'a i demonista niedługo potem zszedł po rampie.

- Jestem ci potrzebny?

- Dogadaliście się z Jez wczoraj w nocy? - spytał Frey.

- Najlepiej, jak się dało - odparł Crake, nie patrząc mu w oczy.

Freya to nie zachęciło.

- Możesz pójść ze mną do kapitanatu? Muszę się wypisać przed startem.

Crake spojrział na niego ze zdumieniem.

- To robota dla dwóch?

- Właściwie tak. Musisz odwrócić uwagę kapitana. To znaczy, bardzo odwrócić. Myślisz, że dasz radę to zrobić zębem?

- Mogę spróbować - obiecał Crake. - Czy robił wrażenie wyjątkowo sprytnego albo bystrego?

- Raczej nie.

- To dobrze. Im mniej są inteligentni, tym lepiej ząb na nich działa. Problemy sprawiają ci mądrzejsi.

- Jak zwykle - stwierdził Frey, prowadząc demonistę przez lądowisko.

- Co właściwie zamierzasz? - spytał Crake.

- Trochę się zabezpieczyć - odparł kapitan ze złośliwym, drobnym uśmiechem.

\* \* \*

Podróż powrotna była mniej traumatyczna niż lot na miejsce. Mieli filtry, chroniące przed dziwnymi oparami z rzeki lawy, znali sztuczkę z kompasem i minami - przelot nie był już takim wyzwaniem. Dramatyzował tylko Pinn, który nie radził sobie z obezwładnianiem kota, dopóki Malvery nie wpadł na pomysł, żeby go najpierw upić. Ćwierć butelki rumu później Żużel był wystarczająco spokojny, żeby dać sobie założyć filtr, po czym obaj poszli do gabinetu Malvery'ego, żeby odkazić czymś podrapane ramiona i dłonie Pinna.

Pojawił się pomysł, żeby dać sobie spokój z mapami i polecieć prosto w górę, zamiast pracowicie przemykać się kanionami, ale szybko odkryli powód, dla którego nikt tego nie robił. Rejon nad Retribution Falls był gęsto zaminowany, a Jez podejrzewała, że miny te mogą być bardziej magnetyczne niż spotkane poprzednio, co oznaczało, że naprowadzałyby się na „Ketty Jay” z większej odległości. Frey postanowił nie ryzykować. Polecieli według map.

Frey posadził Jez i Crake'a znów w kokpicie, jedno do nawigacji, drugie do odczytywania w locie kompasu. Atmosfera między nimi się zmieniła. Zamiast mu dogryzać, Jez starała się w ogóle do Crake'a nie odzywać, o ile nie było to konieczne, żeby skoordynować ich wysiłki. Crake również wydawał się bardzo cichy. Coś się między nimi zmieniło, to na pewno, ale Frey miał wrażenie, że sprawa nie jest jeszcze do końca załatwiona.

Cóż, przynajmniej jakieś postępy. Już się nie kłócili. Zawsze to jakiś początek.

Pilotując statek z powrotem przez mgłę, czuł lekkość w sercu. Zaczynał przeczuwać, że

sytuacja rzeczywiście zaczyna układać się po ich myśli. Zmiany były niewielkie i subtelne, ale odkąd opuścili Yortlandię, Frey czuł się coraz bardziej jak kapitan statku, a coraz mniej jak ktoś otoczony przypadkową zgrają. Zamiast pozwalać im robić, na co mieli ochotę, zaczynał wydawać im polecenia i był zaskoczony tym, jak dobrze zareagowali, kiedy tylko pokazał im odrobinę autorytetu. Mogli narzekać i marudzić, ale robili swoje.

Rajd na dom Quaila skończył się sukcesem. Infiltracja Balu Zimowego przez Jez i Crake'a pozwoliła im zdobyć ważne informacje. A kradzież kompasu i map z „Płomienia Delirium” była ukoronowaniem wszystkich wysiłków. Miesiąc temu Frey nie wyobraziłby sobie tak śmiałego wyczynu. Miesiąc temu, tak naprawdę, nie wyobraziłby sobie, że wydaje komukolwiek rozkazy. Powiedziałby: „Jakie mam prawo mówić komuś, co ma robić?” Nie miał o sobie wystarczająco dobrego mniemania, żeby pokierować własnym życiem, a co dopiero cudzym.

Ale tu nie chodziło o prawo, lecz o odpowiedzialność. Czy to jako pasażerowie, czy to jako załoga, ludzie na pokładzie „Ketty Jay” byli narażeni na te same niebezpieczeństwa co on. Jeśli nie potrafił zmusić ich do współpracy, wszyscy na tym cierpieli. Statek był dla niego najważniejszą rzeczą na świecie, a mimo to aż do teraz miał zupełnie gdzieś jego zawartość. Zawsze tylko on i „Ketty Jay”, żelazna kochanka, której pozostał wierny. Dawała mu wolność, a on ją za to kochał.

Ale statek był niczym bez załogi, która by nim kierowała, i pilotów, którzy by go bronili. Statek składał się z ludzi. „Ketty Jay” była pełna pijaków i włóczęgów, wszystkich przed czymś uciekających, czy to przed wspomnieniami, czy to wrogami, czy nudą życia na ziemi; ale od Yortlandii uciekali w tym samym kierunku. Zjednoczeni wspólnym celem zaczynali przekształcać się w coś na kształt załogi. A Frey zaczął przypominać kapitana.

Do diabła, lubił tych ludzi. Ta myśl trochę go wystraszyła. Bo gdyby jego załoga zawisła, poszłoby to na jego konto. Byłoby jego winą. To on ich w to wszystko wciągnął, przyjmując nierealną ofertę Quaila wartą pięćdziesiąt tysięcy dukatów. Podjął to rozpaczliwe ryzyko, zamknął oczy i miał nadzieję na zwycięskie rozdanie, ale zamiast tego wyciągnął asa czaszek.

Jez, Crake, Malvery, Silos... nawet Harkins i Pinn. Nie byli już tylko źle opłacanymi pracownikami. Ich życie zaczęło zależeć od jego decyzji. Nie wiedział, czy jest w stanie udźwignąć to brzemień, ale wiedział, że nie ma w tej sprawie wyboru.

- Żadnych min w pobliżu - zameldował Crake.

- Chyba się wydostaliśmy, kapitanie - stwierdziła Jez, opadając na swój fotel. - Możesz w każdej chwili zacząć się już wznosić.

- Cóż - rzekł Frey. - Za nami Cmentarzysko Rooka. Mam nadzieję, że podobała się

państwu wycieczka.

Zdołali się słabo uśmiechnąć. Frey zdusił dysze i napełnił zbiorniki balastowe aerium, pozwalając, by „Ketty Jay” zaczęła się miarowo wznosić. Mgła zrzędła, zbocza gór zniknęły.

- Nigdy nie sądziłem, że będę tak bardzo tęsknił za światłem dziennym - powiedział Frey.  
- Lepiej, żeby tam na górze było słonecznie.

Tak głęboko w Hookhollowach, przy takich chmurach i dryfującym po niebie popiele, nie miał szansy na słońce, ale mgła go dusiła. Chciał znów coś widzieć zobaczyć, cokolwiek.

„Ketty Jay” wychynęła z białego oparu i niebo dookoła nich eksplodowało. Wstrząs rzucił statkiem w bok, załoga pospadała z foteli na podłogę. Frey wgramolił się z powrotem na swoje miejsce, na wpół oślepiony rozbłyskiem, myśląc tylko o ucieczce.

Wynoś się stąd, wynoś się stąd, wynoś...

Ale wybuch obrócił „Ketty Jay” i teraz przez szybę kokpitu widać było napastnika. Z czarnego, ogromnego dziobu celowała w nich bateria wielkich dział.

„Płomień Delirium”.

Frey opadł na tablicę rozdzielczą. Pierwszy strzał był ostrzeżeniem. Otoczyły ich myśliwce, czekając na najdrobniejszy znak, że spróbują ucieczki. Ale nie zamierzał uciekać. Nie było po co. Zostaliby rozniesieni na strzępy, zanim włączyłby turbiny.

Nie w ten sposób. Tak mało brakowało.

Maszt elektroheliografu „Płomienia Delirium” zamrugał. Jez, która dźwignęła się z podłogi i stanęła za fotelem pilota, zmrużyła oczy.

- Co oni mówią? - spytał Frey.

- „Mam cię!”

Frey jęknął.

- No i dupa.

## 31

*Jednego brakuje - Frey jest przesłuchiwany -*

*Dobranoc, Bess*

Wiedziałem, że trzeba było się wycofać, kiedy miałem szansę, pomyślał Crake, gdy załoga

„Płomienia Delirium" wbiegała po rampie „Ketty Jay". Sześciu mężczyzn zostało z jeńcami, a pozostali rozbiegli się po ładowni, z wojskową precyzją sprawdzając wszystkie kąty. Czujne spojrzenia padały na Bess stojącą cicho z boku.

- Powiedz temu czemuś, że jeśli się ruszy, to wszystkich was zastrzelimy - warknął jeden z marynarzy z bronią.

- Nie ruszy się - odparł Crake cienkim głosem. - Uśpiłem ją.

Musiał to zrobić. Nie mógł ufać, że Bess zachowa spokój, kiedy ich życie będzie w niebezpieczeństwie.

Mężczyzna szturchnął Crake'a lufą rewolweru. Bess nie zareagowała.

- Oby. Albo ty będziesz pierwszy.

Załoga „Ketty Jay" stała na szczycie rampy, nie stawiając oporu. Nie licząc Jez. Gdzie była, wiedział tylko kapitan. Crake widział, że rozmawiała gorączkowo z Freyem, kiedy eskortowano ich poza góry. Później, kiedy rozkazano im lądować na pustkowiu Blackendraft, zniknęła. Kiedy Malvery spytał, gdzie jest, Frey odparł:

- Ma plan.

- O? Jaki plan?

- Taki, który się nie uda.

Malvery prychnął.

- Spróbować nie zaszkodzi.

- Tak też pomyślałem.

Obszukano ich. Nikt z nich nie miał broni, ale Crake stracił nadzieję jeszcze bardziej, kiedy marynarz wyciągnął mu z kieszeni płaszcza uniwersalny klucz i podsunął mu go pod nos.

- Od czego to? - spytał.

- Od mojego domu - skłamał Crake.

Marynarz parsknął i wyrzucił klucz, który przejechał po podłodze ładowni w ciemny kąt. Razem z kluczem zniknęła wszelka nadzieja Crake'a na ucieczkę i uratowanie im wszystkim skóry.

Kiedy intruzi się upewnili, że zabrali wszystkie niebezpieczne przedmioty, Frey i jego załoga zostali pod bronią sprowadzeni po rampie. Crake się pocił, kotłowało mu się w żołądku. Raptownie zawężyły mu się perspektywy, przyszłe ścieżki prowadziły na szubienicę. Nie widział sposobu, żeby się z tego wykręcić. Byli otoczeni i całkowicie zdani na łaskę Dracken. Tym razem cudowny ratunek nie nadejdzie.

Pinn pogwizdywał, schodząc po rampie, całkowicie nieświadomy powagi sytuacji. Nawet

teraz wierzył w swój bohaterski mit wystarczająco, by ufać, że efektowna ucieczka jest tylko kwestią czasu. Crake nienawidził go za tę beztroską ignorancję.

Świat na zewnątrz wydawał się ponury jak ich perspektywy. Popielne równiny na wschód od Hookhollowów były bezludne i posepne, jak okiem sięgnąć płaskie i pozbawione jakichkolwiek wypukłości krajobrazu. Nawet niedalekie góry pozostawały niewidoczne pod krawędzią olbrzymiego płaskowyżu. Po horyzont ciągnął się grobowy, szary bezmiar, martwa kraina zduszona kocem pyłu i popiołu dryfującego z zachodu. Chłodny wiatr tworzył prądy w pyłe i gnał je w dal. Niebo miało kolor łupków, a dysk słońca świecił tak słabo, że można było patrzeć wprost na niego.

W górze po lewej wisiał „Płomień Delirium”. Jego olbrzymi kil wyglądał, jakby w każdej chwili mógł runąć i wszystkich zmiażdżyć. Bliżej stał mały pasażerski prom, służący do przewozu załogi na ziemię i z powrotem. „Płomień Delirium” był zbyt wielki, by lądować poza specjalnie przystosowanymi do tego dokami.

Załoga „Ketty Jay” została zatrzymana na dole rampy. Przed nimi, w niewielkim oddaleniu, stała drobna postać od stóp do głów w czerń. Crake rozpoznał ją z opisu Freya - szokująco biała skóra, krótkie, jasne jak u albinosa włosy w wyskubanych kępkach, czarne, budzące lęk spojrzenie. Patrzyła na nich lodowatym wzrokiem, kiedy jeden z jej ludzi podszedł i szepnął jej coś do ucha. Wydała krótkie polecenie i mężczyzna pobiegł z powrotem do środka „Ketty Jay”. Potem podeszła do Freya. W ich oczach migotała nienawiść.

- Kod zapłonu proszę - powiedziała.

- Wiesz, że go nie dostaniesz - odparł. - Masz nas. Do czego ci jeszcze mój statek?

- Wartość sentymentalna. Kod?

- Nie jest nic wart w porównaniu z nagrodą, którą dostaniesz za nas. Zostaw go tu.

- Dla ciebie jest wart wszystko. Poza tym prasa będzie chciała dostać ferrotypy statku, który zestrzelił „Asa Czaszek”. Może sprezentuję go arcyksięciu jako upominek. Może skłoni go to do przeoczenia pewnych plotek na temat moich poczynań w przyszłości.

- To bez sensu. Nie...

Dracken szybkim ruchem dobyła rewolweru i przytknęła lufę Freyowi do piersi, uciszając go.

- To nie była prośba. Daj mi kod.

Frey był wstrząśnięty, Crake to widział. Ale wyszczerzył zęby w czymś na kształt uśmiechu.

- Zastrzel mnie, jeśli chcesz - powiedział. - Oszczędzisz roboty katu.

Dracken i Frey mierzyli się przez chwilę wzrokiem w pojedynku woli. Palec Triniki drgał

na spuście. Widać, że bardzo ją kusiło. Potem cofnęła rewolwer i się odsunęła.

- Nie - stwierdziła. - Będziesz żył. Książę Grephen chce od ciebie podpisane przyznanie do winy. Poza tym jest ktoś, kto na pewno chętnie odpowie mi na pytania. Jak rozumiem, tamtego wieczoru, kiedy ukradliście mi mapy, „Ketty Jay” pilotowała kobieta. Nie widzę jej tu. Gdzie ona jest, Frey? Zna kody?

Frey nie odpowiedział. Dracken zauważyła jednego ze swoich ludzi wychodzącego z „Ketty Jay” i idącego w jej kierunku.

- Dowiedzmy się - powiedziała. Odwróciła się do marynarza, wąsatego, zwałistego typu ze stalowym uchem zastępującym prawdziwe, odcięte.

- Jest tam ktoś jeszcze?

- Jedna - odparł. - W infirmerii. Nie żyje, chociaż nie wiem dlaczego.

Trinica przez chwilę patrzyła na Freya.

- Na pewno nie żyje?

- Tak, pani kapitan. Nie ma pulsu, nie oddycha. Posłuchałem przy jej piersi i nie bije jej serce. Widziałem sporo trupów. Na pewno nie żyje.

- Uderzyła się w głowę - wyjaśnił Frey. - Kiedy nas ostrzelaliście. - Wskazał Malvery'ego. - Doktor próbował jej pomóc, ale nie mógł wiele zrobić. Wewnętrzne uszkodzenia.

Malvery szybko pojął, o co chodzi, i z powagą pokiwał głową.

- Okropna sprawa. Taka świetna młoda kobieta - mruknął.

Crake poczuł, że przechodzi go zimny dreszcz. Przypomnił sobie wieczór na wyspach Feldspar, kiedy poszli na bal Galliana Thade'a w Scorchwood Heights. Wieczór, kiedy Jez naprawdę upadła i uderzyła się w głowę. Fredger Cordwain, człowiek z agencji Shacklemore'a, też sprawdzał jej tętno. Też był przekonany, że nie żyje. Wtedy Crake założył, że agent pomylił się w pośpiechu, ale teraz zaczął się zastanawiać.

Jak udało się jej oszukać ich obu?

- Mamy się jej pozbyć? - spytał marynarz.

- Nie - odparła Dracken. - Zostawcie ją tam, gdzie jest. Będziemy potrzebowali ciała, żeby pokazać księciu. Jak idzie z golemem?

- Właśnie wychodzą - oznajmił mężczyzna, wskazując pół tuzina innych członków załogi, wyciągających nieruchomą Bess po rampie.

- Co z nią robicie? - wykrztusił przerażony Crake, zanim odezwał się w nim zdrowy rozsądek.

Dracken wbiła w niego spojrzenie czarnych oczu. Crake'a ogarnęło nagle i przerażające

wrażenie, że zwracając na siebie jej uwagę, zrobił coś bardzo głupiego.

- To twoje, prawda? - spytała. - Jesteś demonistą?

Crake przełknął ślinę i poczuł smak popiołu w głębi gardła. Dracken podeszła do niego powoli, po drodze przeciągając spojrzeniem po szeregu jeńców.

- To, co zrobiłeś w Rabbanie, było bardzo sprytne - mruknęła. - I zaskakujące. Po demoniście spodziewałabym się, że porzuci swojego golema i zrobi nowego, ale ty go wyratowałeś z mojej ładowni. - Przyjrzała mu się z trudną do zniesienia intensywnością. - To bardzo interesujące.

Crake się nie odzywał. Miał wrażenie, że cokolwiek powie, jeszcze bardziej się pograży.

- Ale choć to interesujące, nie jestem taka głupia, żeby dwa razy dać się nabrać na tę samą sztuczkę - stwierdziła Dracken. - I nie zamierzam dopuścić, żeby to coś obudziło mi się w drodze powrotnej. Dlatego twój golem zostaje tutaj.

Crake poczuł falę słabości. Groza sytuacji omal go nie powaliła. Potoczył dzikim spojrzeniem po otaczającym ich szarym bezkresie. Nigdzie nie było ani śladu życia, ani śladu cywilizacji. Nic oprócz drobnych smużek statków lecących na wybrzeże, beznadziejnie dalekich.

Zostawić ją tutaj znaczyło stracić ją na zawsze.

- Mam pomysł - rzekła Dracken, odwracając się do Freya. - Wygląda na to, że jedyna osoba znająca kod oprócz ciebie nie żyje, a ja wolałabym cię nie zabijać, dopóki nie podpiszesz przyznania do winy. Ale demonista... cóż, z nim mogą być problemy. Tacy jak on znają najróżniejsze... sposoby. Chyba łatwiej będzie pozbyć się go tu i teraz.

Crake zrozumiał, co go czeka. Dracken podniosła rewolwer i wycelowała mu w czoło. Sytuacja wyglądała przygnębiająco znajomo.

- Chyba że masz mi coś do powiedzenia, Frey... - Dracken znacząco zawiesiła głos.

Twarz Freya nabrała kamiennego wyrazu. Crake widział go już wcześniej, kiedy Lawsen Macarde potraktował go w podobny sposób. Tyle że tym razem nie miał wątpliwości, że broń Triniki jest nabita.

Spłynął na niego dziwny spokój. A więc niech to będzie koniec.

- Liczę to trzech - powiedziała Dracken. - Raz.

Crake miał dość. Dość borykania się ze wstydem i poczuciem winy. Dość życia z brzemieniem jednego aroganckiego błędu - przekonania, że może przyzwać jednego z potworów eteru i wyjść z tego bez szwanku. Dość próbowania ogarnięcia rozumem tego okropnego kaprysu losu, który sprowadził jego bratanicę do sanktuarium tamtej konkretnej nocy, a nie którejkolwiek innej.



Zostawić ją tutaj, w popiele i kurzu. Gdyby jej nie obudził, nie zrobiłby tego nikt inny. Niech śpi, może będzie śnić o lepszym świecie.

- Dwa.

Zamknął oczy i ku swemu lekkiemu zaskoczeniu uronił łzę. Poczuł, że spływa mu po policzku, po wyrzuceniu kości policzkowej, ginie w brodzie.

Tak ciężko pracował, żeby stać się wielki. Skończył w hańbie, niesławie i klęsce. Co wart był świat, który tak traktował swoich mieszkańców?

- Trz... - zaczęła Trinica.

- Czekaj! - warknął Frey.

Crake nie otworzył oczu. Balansując na cienkiej jak brzytwa krawędzi między istnieniem a nieistnieniem, nie śmiał zakłócić tej równowagi najlżejszym poruszeniem.

- Siedem, sześćdziesiąt siedem, jeden jeden, osiem osiem - usłyszał głos kapitana.

Zapadło przeciągłe milczenie. Ciało Crake'a dygotało z każdym uderzeniem jego serca. Nie wiedział już nawet, czy chce pozostać wśród żywych.

Ale wybór nie należał do niego. Poczuł, że chłód lufy rewolweru odsuwa się od jego czoła. Zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Dracken odsunęła się i patrzyła na niego wzrokiem dziecka, które właśnie oszczędziło robaka. Potem spojrzała na Freya i uniosła brew. Tamten gniewnie odwrócił wzrok.

Crake czuł się odseparowany od własnego ciała, obleczony w przypominające sen odętwinie. Patrzył, jak załoga Dracken wynosi Bess dalej od „Ketty Jay”. Potem, z wyraźnym rozbawieniem, postawili ją w pionie. Zgarbiony metalowy posąg, pomnik ich zwycięstwa. Usłyszał, jak Dracken rozkazuje mężczyźnie ze stalowym uchem wyznaczyć dwóch mężczyzn, żeby lecieli „Ketty Jay” za nimi. Frey nie chciał spojrzeć nikomu w twarz: Dracken go złamała - płonął nienawiścią i wściekłością, jakich Crake jeszcze u niego nie widział.

Wszystko to jednak wydawało się dalekie i pozbawione znaczenia. Wciąż żył, jakimś cudem, choć nie miał pewności, czy w pełni powrócił już znad krawędzi.

Ktoś poklepał go po ramieniu. Malvery. Popędzano ich w kierunku stojącego nieopodal promu pasażerskiego, który miał ich zawieźć do brygu „Płomienia Delirium”. Crake wysłał swoim stopom polecenie, żeby się ruszyły. Oszołomiony powłókł się razem z pozostałymi, wzbijając butami małe szare chmurki. Po schodkach wprowadzono ich do wnętrza promu, gdzie usiedli otoczeni przez uzbrojonych strażników.

Crake spojrzał przez otwarte drzwi na samotną postać Bess. Marynarze ją zostawili i zajęli się innymi zadaniami. Prom rozgrzewał silniki, zasypując golemicę kurzem.

Niech śpi, pomyślał Crake. Dobranoc, Bess.

Potem drzwi się zatrzasnęły i stracił ją z oczu.

## 32

### *Audiencja u Dracken - Przywoływanie przeszłości -*

#### *Nieprzyjemna prawda*

- Ty tam, wyłaź.

Frey podniósł wzrok i zobaczył po drugiej stronie krat zwałistego, łysego mężczyznę z krzaczastą czarną brodą.

- O mnie chodzi?

- Ty jesteś kapitanem, nie?

Frey rozejrzał się, próbując zdecydować, czy można coś zyskać, protestując. Cała szóstka została zamknięta w jednej celi brygu „Płomienia Delirium”. Cel ogółem było pięć, każda mieściła dziesięć osób. Metalowe ściany, słabe oświetlenie... W powietrzu czuło się smród oleju, a w pustych przestrzeniach niósł się echem szcęk maszynarii w oddali.

Silos popatrzył mu w oczy, jak zwykle z nieodgadnioną miną. Malvery tylko wzruszył ramionami.

- Ja jestem kapitanem - odezwał się w końcu Frey.

- Kapitan Dracken chce się z tobą widzieć - poinformował go łysy.

Otworzył drzwi celi i pchnął je, wymachując strzelbą, żeby zniechęcić więźniów do myśli o ucieczce. Frey wyszedł, drzwi zatrzasnęły się za nim ze szcękami.

- Hej - rzucił Malvery - jak już będziesz z nią rozmawiać, spytaj, czy możemy dostać trochę rumu, co?

Pinn wybuchnął śmiechem. Crake nie drgnął nawet w swoim kącie, pogrążony we własnym nieszczęściu. Harkins zasnął, zmęczony strachem przed wszystkim. Silos milczał.

A Jez? Co robiła teraz Jez? Frey rozmyślał o tym bez przerwy, ale wciąż nie umiał wymyślić, jak mogła udawać własną śmierć na tyle przekonująco, żeby oszukać człowieka Triniki. Nie chciała powiedzieć, jak to zrobi, kiedy przedstawiała swój plan Freyowi. Powiedziała tylko: „Zaufaj mi”.

Mimo to zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem naprawdę nie umarła.

Łysy wziął go za ramię, przycisnął mu lufę rewolweru do boku, a potem wyprowadził go z brygu i powiódł korytarzami „Płomienia Delirium”. Po drodze mijali innych członków załogi. Jedni wykrzywiali się triumfalnie na widok Freya; inni rzucali mu spojrzenia pełne czystej nienawiści. Ich upokorzenie w Rabbanie - nie wspominając o śmierci kilkunastu z nich - nie zostało zapomniane.

Kiedy dotarli do drzwi kapitańskiej kajuty, łysy zatrzymał Freya. Frey spodziewał się, że zapuka, ale mężczyzna tego nie zrobił; wyglądał, jakby nad czymś deliberował.

- Wchodzimy? - spytał Darian.

- Słuchaj - odparł mężczyzna, odwracając się do niego z groźnym spojrzeniem. - Uważaj, co tam będziesz mówił. Kapitan... jest w tym swoim humorze.

Frey uniósł brew.

- Dzięki za troskę - odparł z sarkazmem. - Co może zrobić, zabić mnie?

- Nie o ciebie się martwię - padła odpowiedź, a potem łysy zastukał do drzwi i Trinica kazała im wejść.

Jej kajuta była schludna i czysta, ale ciemne drewno regałów i mosiężne oprawy słabych, elektrycznych lamp sprawiały, że wydawała się ciasna i ponura. Trinica siedziała za biurkiem naprzeciw wejścia, przed sobą mając otwartą dużą książkę pokładową, starannie poukładane przybory do pisania i mosiężny niby-kompas, za pomocą którego nawigowali przez pola minowe Retribution Falls. Wyglądała przez ukośne okno. Na zewnątrz zapadł zmrok.

Nie zwróciła uwagi na Freya, kiedy został wprowadzony. Łysy stanął z nim na środku kajuty.

- Dziękuję, Harmund - powiedziała po chwili Dracken, nie odwracając się. - Możesz odejść.

- Pani kapitan - odparł zwalisty marynarz i wyszedł.

Frey przez chwilę stał niepewnie na środku kajuty, ale ona wciąż się do niego nie odzywała. W końcu uznał, że nie zamierza czuć się przez nią niezręcznie. Podeszedł do fotela przy jednym z regałów i usiadł. Mógł czekać, ile zapragnęła.

Jego spojrzenie padło na kompas na biurku. Jego widok wywołał nagły przypływ goryczy. Jego dowód. To urządzenie i komplet map kupiłyby mu wolność. Był tak blisko.

Zduślił to uczucie. Bez wątpienia Trinica położyła je tam, by wywołać taką właśnie reakcję. Burzenie się przeciwko niesprawiedliwości losu nic by mu teraz nie dało. Poza tym po raz pierwszy odkąd pamiętał, wydawało mu się to trochę dziecinne.

- Będziesz wisiał, wiesz? - odezwała się w końcu. Wciąż patrzyła za okno.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Trinico - odparł z pogardą.

Wtedy na niego zerknęła. W jej oczach dostrzegł wyrzut.

Nawet ból. Frey wbrew sobie pożałował swojego tonu.

- Pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać - stwierdziła. - Zanim to się skończy.

Freya zbiła z tropu jej postawa. To nie była kąśliwa, władcza kobieta, z którą spotkał się w melinie Sharki, nie rozpoznawał też jej zachowania z czasów, kiedy ją kochał. Głos miała cichy, słowa padały niczym westchnienia bez siły. Wydawała się znużona, skąpana w melancholii.

Wciąż podejrzewając podstęp, Frey postanowił nie iść jej na rękę. Żadnego współczucia. Będzie twardy i gorzki.

- A więc mów.

Cisza. Dracken wydawała się nie wiedzieć, jak zacząć.

- Minęło dziesięć lat - powiedziała w końcu. - Przez ten czas wiele się wydarzyło. Ale wiele spraw pozostało... nierozwiązanych.

- Jakie to ma znaczenie? - odparł Frey. - Przeszłość to przeszłość. Przemineła.

- Wcale nie przemineła. Nigdy nie przemija. - Dracken odwróciła się od okna i spojrzała na niego nad biurkiem. - Chciałabym mieć twój talent, Darianie. Chciałabym umieć zostawić coś albo kogoś, jakby nigdy nie istnieli. Zamknąć fragment swojego życia w skrzynce, której nigdy się nie otwiera.

- To dar - odparł. Nie zamierzał się przed nią tłumaczyć.

- Dlaczego mnie zostawiłeś? - spytała.

Wzięła go tym z zaskoczenia. W jej głosie słychać było błaganie. Frey nie spodziewał się czegoś takiego, kiedy go do niej prowadzono. Okazała się bezbronna, słaba, niezdolna się bronić. Poczł obrzydzenie. Gdzie ta kobieta, którą kochał, czy nawet ta, której nienawidził? Żalсна desperatka.

Dlaczego ją zostawił? Wspomnienia wydawały się teraz bardzo dalekie: trudno było przywołać to, co wtedy czuł. Pamięć zniekształciło dziesięć lat wstrętu. Coś jednak pamiętał. Myśli raczej niż uczucia. Wewnętrzne dialogi, które prowadził sam ze sobą przez długie godziny samotności, wożąc towary dla firmy jej ojca.

Przez pierwsze miesiące wierzył, że zawsze będą razem. Wmawiał sobie, że znalazł kobietę na resztę życia. Nie umiał wyobrazić sobie spotkania z kimś cudowniejszym niż ona i nie kusilo go, żeby spróbować.

Ale marzyć o takich rzeczach to jedno, a stosować je w praktyce - drugie. Kiedy zaczęła mówić o zaręczynach, z bezpośredniością, którą dotąd uważał za uroczą, przestał ją tak

ubóstwiać. Nie starczyło mu cierpliwości. Nie mógł już bez końca spełniać jej zachcianek. Uśmiechał się na siłę, kiedy bawiła się z nim w swoje dziewczęce gierki. Wszystkie jej żarty wydawały się zbyt długie. Frey chciał, żeby zaczęła się zachowywać rozsądnie.

Miał dziewiętnaście lat i wciąż był młody. Nie widział związku między swoimi nagłymi wahaniami nastroju i poirytowaniem a wiszącą nad nim groźbą małżeństwa. Wmawiał sobie, że chce się z nią ożenić. W końcu głupotą byłoby nie chcieć. Przecież ustalił już, że są sobie przeznaczeni.

Ale im częściej na nią warczał, tym bardziej stawała się wymagająca. Zmęczona czekaniem - a może obawiając się czekania zbyt długiego - poprosiła go, żeby się z nią ożenił. Zgodził się, ale potem długo żywił w duchu urazę. Jak mogła stawiać go w takiej sytuacji? Kazać mu wybierać między ożenkiem, którego nie chciał, a zniszczeniem jej, czego nie chciał jeszcze bardziej? Nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić i mieć nadzieję, że później uda mu się z tego jakoś wykaraskać.

Trinica jednak wydawała się pozostawać w błogiej nieświadomości tego wszystkiego. Choć jego napady złego humoru były coraz częstsze, już jej nie martwiły. Upewniła się, że należy do niej, a on nie mógł ścierpieć, że tak przedwcześnie świętowała swoje zwycięstwo.

Kiedy ogłoszono datę ślubu, myśli Freya krążyły już głównie wokół ucieczki. Sypiał mało i źle. Nieskrywana dezaprobatą jej ojca jeszcze bardziej utwierdzała go w przekonaniu, że ślub to zły pomysł. Słabo wykształcony chłopak bez majątku, wychowany w sierocińcu - Frey nie był dobrą partią dla inteligentnej i pięknej córki prominentnego arystokraty. Społeczne bariery, tak śmiechu warte w pierwszym przypływie miłości, nagle urosły w oczach Freya pod niebo.

Chciał być pilotem Marynarki Koalicji, latać wielkimi fregatami na północ, by walczyć z Manami, albo na południe, żeby miażdżyć Sammiech. Chciał być jednym z pierwszych, którzy wylądują na Nowej Vardii albo Jagos, kiedy uspokoi się Wielki Pas Burzowy. Chciał latać wolny po bezkresnym niebie.

Kiedy patrzył na Trinicę, uśmiechającą się tym doskonałym uśmiechem, widział śmierć swoich marzeń.

Wtedy zaszła w ciążę. Termin ślubu pospiesznie przesunięto, a sprzeciw jej ojca zmienił się w całkowite poparcie dla ich pomysłu, wsparte zawołowanymi pogroźkami na wypadek, gdyby Frey chciał się wycofać. Frey zaczął mieć nocami ataki paniki.

Pamiętał uczucie imadła zaciskającego się na żebrach, coraz mocniej z każdym dniem zbliżającym go do ślubu. Wydawało mu się, że nigdy nie może odetchnąć pełną piersią. Śmiech gratulujących mu przyjaciół stał się nieprzyjemną kakofonią, przypominającą chór

rozwścieczonych kaczek.

Gdziekolwiek poszedł, czuł się zaszczuty i znękanym. Najdrobniejsza prośba wystarczała, by go zdenerwować.

Pamiętał, jak się zastanawiał, jak to będzie czuć się tak do końca życia.

Na tym etapie miał już całkowitą pewność, że nie chce się z nią zenić. Nie oznaczało to jednak, że nie chce z nią żyć. Mimo całej irytacji i skrywanego gniewu wciąż uwielbiał tę kobietę. Była jego pierwszą miłością; to ona wyprowadziła go z raczej zimnego dzieciństwa w szalony świat, gdzie uczucia robiły się wszechogarniające i irracjonalne. Chciał tylko, żeby było tak jak przedtem, zanim zaczęła mówić o małżeństwie.

Bał się, że podejmie złą decyzję. A jeśli faktycznie była jego jedyną jedyną? Czy nie skazałby się na życie w nieszczęściu? Czy spotkałby kiedykolwiek kogoś takiego jak ona?

Sparalizowany, uwięziony, wleczoney niechętnie w przyszłość czuł się niczym kotwica statku orząca dno morza. Ostatecznie zostało mu tylko jedno wyjście - nie mierzyć się z tym wcale. Nawet tej decyzji nie mógł podjąć aż do ostatniej chwili. Miał rozpaczliwą nadzieję na interwencję jakiejś bliżej nieokreślonej siły, która pozwoliłaby mu jej nie krzywdzić.

Nic takiego się nie stało, więc uciekł. Zabrał „Ketty Jay”, w której było wszystko, co posiadał, i zostawił ją. Zostawił ją brzemienną z jego dzieckiem, stojącą przed tysiącem gości, czekającą na pana młodego, który miał się nigdy nie zjawić.

Potem było tylko gorzej.

- Darianie? - Frey zdał sobie sprawę, że pogрузzył się we wspomnieniach i milczał. - Zadałam ci pytanie.

Ogarnęła go nagła złość. Jakie miała prawo zmuszać go, żeby się tłumaczył? Po tym, co zrobiła? Jego miłość do niej była najcenniejszą rzeczą w jego życiu, a ona zrujnowała ją swoimi lękami, swoją potrzebą, by go uwięzić. Zrobiła z niego tchórza. Wiedział to w głębi serca, ale nigdy by tego nie powiedział. Zamiast tego więc ją zaatakował, wyczuwając słabość.

- Naprawdę uważasz, że interesują mnie wspominki, żebyś mogła się poczuć lepiej? - prychnął. - Myślisz, że mnie obchodzi, czy zrozumiesz, co się stało? Umówmy się tak: wypuścisz mnie, a potem utniemy sobie długą pogawędkę o tym, jakich to strasznych rzeczy się dopuściłem i jakim jestem złym człowiekiem. Ale na wypadek, gdybyś nie zauważyła, chcę mnie powiesić, i to ty wiesz mnie na szubienicę. Dlatego mam gdzieś twoje pytania, Trinico. Możesz sobie dumać nad tym, co poszło nie tak, do usranej śmierci.

Mina Triniki wyrażała zaskoczenie i urazę. Nie spodziewała się takiego okrucieństwa. Frey zaczął myśleć, że ta białoskóra suka, która zajęła miejsce jego ukochanej, może się

rozplakać. Spodziewał się gniewu, zamiast tego wyglądała jak mała dziewczynka, którą niesłusznie skarcono za coś, czego nie zrobiła. Ogarnął ją głęboki smutek.

- Jak możesz tak mnie nienawidzić? - spytała. Głos miała ochryply i cichy. - Jak możesz udawać taką moralną wyższość po tym, co mi zrobiłeś?

- Pęknięte serca się leczą, Trinico - splunął Frey. - Zamordowałaś nasze dziecko.

Zmrużyła oczy na ten cios, ale wszelki zwiastun łez minął. Odwróciła od niego twarz i znów wyjrzała za okno.

- Zostawiłeś nas - odparła grobowo zimnym głosem. - Teraz łatwo ci się żalić. Ale nas zostawiłeś. Gdyby twoje dziecko przeżyło, nie wiedziałbyś nawet, że istnieje.

- To kłamstwo. Wróciłem po ciebie, Trinico. Po was oboje.

Zobaczył, że zeszywniała, i przeklął się w duchu. Niepotrzebnie się przyznał, niepotrzebnie wypuścił te słowa z ust. Osłabiły go. Czekał latami, by cisnąć jej w twarz swoją nienawiść, żeby skonfrontować ją z tym, co zrobiła, ale zawsze wychodziło to o wiele lepiej, kiedy odgrywał to sobie w głowie. Chciał, żeby roztrzaskała się o lodowiec jego obojętności na jej cierpienie. Chciał wyrzucić zemstę. Ale własny gniew pokrzyżował mu plany.

Czekała, co powie dalej. Nie miał wyjścia. Brama została otwarta.

- Przez miesiąc latałem z miejsca w miejsce. Myślałem o tym wszystkim. Miałem trochę czasu bez ciebie, twoich cholernych żądań i twojego przekłętą ojca.

Urwał. Zabrzmiało to opryskliwie i niedojrzale. Wziął głęboki oddech i mówił dalej, starając się nie dopuścić, by oświadczył nim gniew.

- I doszedłem do wniosku, że popełniłem błąd. - Chciał wyjaśnić to dokładniej, ale nie mógł. - Wróciłem więc. Pojechałem do przyjaciela w mieście, chyba po jakąś radę. Wtedy się dowiedziałem. O tym, że się nałykałaś pigułek, że próbowałaś się zabić. I że dziecko... że dziecko nie...

Przycisnął pięć do ust, zawstydzony tym, jak zacisnęło mu się gardło, a słowa boleśnie uwięzły w przewężeniu. Kiedy ta chwila minęła, rozluźnił się i opadł na oparcie fotela. Powiedział już dość. Nie było w tym żadnej satysfakcji. Nie mógł nawet skrzywdzić jej tak, żeby nie krzywdzić przy tym samego siebie.

- Byłam głupia - stwierdziła cicho Trinica. - Głupia, bo myślałam, że świat zaczyna się i kończy na tobie. Myślałam, że nigdy już nie będę szczęśliwa.

Frey nachylił się do przodu w fotelu, z łokciami na kolanach i palcami wplecionymi we włosy. Jego głos brzmiał krucho.

- Uciekłem od ciebie, Trinico. Ale nie próbowałem skończyć sam ze sobą. I nigdy nie próbowałem zabrać ze sobą naszego dziecka.

- Och, ależ próbowałeś ze sobą skończyć, Darianie - odparła. - tylko zabrałeś się do tego w odrobinę mniej bezpośredni sposób. Przez trzy lata zapijałeś się na śmierć i nadstawiałeś karku. Ostatecznie zabrałeś ze sobą całą swoją załogę.

Frey nie mógł zmobilizować dość energii, żeby się kłócić. Ton znużonej konwersacji, którym rzuciła mu to oskarżenie, odebrał mu całą wolę walki. Poza tym miała rację. Oczywiście, że miała rację.

- Oboje jesteśmy tchórzami - mruknął. - Oboje na siebie zasłużyliśmy.

- Może - powiedziała Trinica. - A może żadne z nas nie zasłużyło na to, co dostało.

Z Freya uszedł cały ogień. Balansował na skraju czarnej, wsysającej jamy pełnej smoły nieszczęścia. Wyobrażał sobie tę konfrontację na tysiąc sposobów, ale zawsze kończyła się zniszczeniem przez niego Triniki, zmuszeniem jej, by zrozumiała grozę tego, co mu zrobiła. Teraz dotarło do niego, że nie mógł jej powiedzieć niczego, czego by sama wcześniej nie pomyślała, nie mógł jej ukarać niczym, czym sama by się już nie ukarała skuteczniej, niż on kiedykolwiek byłby w stanie.

W rzeczywistości jego argumentacja była tak słaba, że runęła w zetknięciu ze spojrzeniem drugiej strony. Kiedy w skrytości ducha hołubił swoje żale, mógł być przerażony tym, jak źle Trinica go potraktowała - ale argumenty nie wytrzymały sporu. Nie mógł udawać, że tylko jemu stała się krzywda. Zniszczyli się nawzajem.

Cholera, nie chciał o tym rozmawiać. A teraz siedzieli i rozmawiali. Zawsze umiała mu to zrobić.

- Jak się tu znalazłaś, Trinico? - spytał. Podniósł głowę i gestem wskazał ponury gabinet.  
- Te włosy, skóra... - Zawahał się. - Kiedyś byłaś piękna.

- Skończyłam z pięknem - odparła. Oboje przez dłuższą chwilę milczeli. Potem Trinica odwróciła się w fotelu do Freya.

- Nie tylko ty się ode mnie odwróciłeś po tym, jak próbowałam się zabić - stwierdziła. - Moi rodzice byli zhańbieni. Nie dość, że mieli córkę, która miała urodzić niezamężna, do tego zabiła ich wnuka. Nie mogli na mnie patrzeć. Ojciec chciał mnie wysłać do szpitala dla umysłowo chorych. W końcu ukradłam trochę pieniędzy i statek. Nie wiedziałam, dokąd lecę, ale musiałam od nich uciec. Wydawało mi się chyba, że mogę być pilotem. Dwa tygodnie później złapali mnie piraci. Musieli mnie zobaczyć w porcie i polecili za moim statkiem. Zmusili mnie do lądowania, weszli na pokład, a potem dołączyli mój statek do swojej małej floty. Myślałam, że mnie zabiją, ale tego nie zrobili. Po prostu mnie wzięli.

Frey nie zdołał powstrzymać ukłucia bólu. Ta filigranowa, delikatna kobietka, którą zostawił, nie była przystosowana do przetrwania w brutalnym, paskudnym świecie



przemysłowców i piratów. Całe życie trzymano ją pod kloszem. Wiedział, co się działo z takimi ludźmi.

- Byłam dla nich nieledwie zwierzęciem - ciągnęła. Ton jej głosu był beznamiętny, pozbawiony infleksji. - Zabawką, której używali, jak chcieli. Tak się kończy, kiedy się jest pięknym.

- Zajęło mi prawie dwa lata, zanim zebrałam się na odwagę i wsadziłam kapitanowi sztylet w gardło. Potem przestałam być ofiarą. Najęłam się jako pilot do innej załogi, na boku nauczyłam się nawigacji. Chciałam się czuć niezastąpiona. Nie chciałam znów od nikogo zależeć.

Odwróciła się do okna, unikając wzroku Freya.

- Nie będę cię zanudzać szczegółami, Darianie. Powiedzmy tylko, że nauczyłam się, czego wymaga od kobiety przetrwanie wśród rozbójników.

Niedopowiedzenia mówiły więcej, niż jakiegokolwiek opisy. Freyowi nie trzeba było opowieści o gwałtach i pobiciach. Fizycznie słaba, musiała wykorzystywać swoją seksualność, by nastawiać mężczyzn przeciw sobie nawzajem, by usidlać silnych dla ochrony. Bogata dziewczyna, która nigdy nie zaznała trudów życia, została zmuszona do prostytucji, żeby przetrwać.

Ale przez cały ten czas umacniała się, stawała kobietą, którą teraz widział przed sobą. W każdej chwili mogła wrócić do domu, do swojej rodziny. Przyjęliby ją z powrotem, tego był pewien. Ale nie zrobiła tego. Wycięła z siebie wszystkie miękkie części, żeby móc żyć wśród szumowin.

Nie żałował jej. Nie umiał. Opłakiwał tylko utratę tej młodej kobiety, którą znał lata temu. Ta karykatura kochanki była jego własnym dziełem. To on ją stworzył, a ona przeklinała go swoim istnieniem.

- Kiedy dostałam się na „Płomień Delirium”, byłam już kimś w półświatku. Miałam reputację, szanowano mnie. Wiedziałam, że załoga się martwi, a kapitan to pijak z syfilisem. Zdobywanie ich zaufania zabrało mi rok. Wiedziałam, że kapitan planuje napad na posterunek niedaleko Andussu, zdawałam sobie sprawę, że to będzie katastrofa. Czekałam. Po wszystkim poprowadziłam ocalałych przeciwko niemu. Wyrzuciliśmy go za burtę z wysokości dwóch kłomów.

Dracken spojrzała na Freya. Jej czarne oczy wydawały się ciemniejsze w świetle elektrycznych lamp.

- A potem zmieniłaś się w upiora - dokończył.

- Wiesz, jacy są mężczyźni - powiedziała. - Nie lubią łączyć pożądania z szacunkiem.

Widzą piękną kobietę na dowódczym stanowisku i zaczynają ją lekceważyć. Czują się wtedy lepiej. - Odwróciła wzrok, jej twarz zniknęła w cieniu. - Poza tym bycie ładną nie przyniosło mi nigdy niczego oprócz cierpienia.

- Utrzymało cię przy życiu - zauważył Frey.

- To nie było życie - odparowała.

Na to nie miał odpowiedzi.

- To już cała historia - zakończyła. - Tego trzeba, żeby być kapitanem. Cierpliwości. Bezwzględności. Ofiar. Ty jesteś zbyt samolubny, Darianie, żeby załoga cię szanowała. Raz mnie zaskoczyłeś, ale to się nie powtórzy.

Ktoś zapukał do drzwi. Po twarzy Dracken przemknął spazm irytacji.

- Wydałam rozkaz, żeby mi nie przeszkadzać! - warknęła.

- Pilna sprawa, pani kapitan! - dobiegł głos z zewnątrz. - „Ketty Jay” zniknęła!

- Co?! - wrzasnęła Dracken, zrywając się na równe nogi. Szarpnięciem otworzyła drzwi kajuty. Na zewnątrz stał marynarz niewidoczny z miejsca Freya.

- Leciąca za nami z włączonymi światłami - usłyszał Frey raport składany zdyszonym głosem. - Ni z tego, ni z owego światła zgasły. Zanim wycelowaliśmy tam reflektor, jej już nie było. W ciemności mogła polecieć wszędzie. Zniknęła, pani kapitan. Nikt nie wie gdzie.

Trinica odwróciła głowę i przeszła Freya spojrzeniem pełnym niszczącej wrogości.

Frey szeroko się wyszczerzył.

- Niespodzianka!

## 33

*Deliberate - Znów w zamieci - Manowie -*

*Nawigatorski wyczyn*

Jez, w fotelu pilota „Ketty Jay”, leciała w noc.

Statek był pogrążony w ciemności, od środka i na zewnątrz. Światło księżyca kreśliło twarz Jez kruchym srebrem. Padało także na dwa ciała na podłodze kokpitu i lśniło w kałużach ich krwi. Ludzie Dracken. Między nimi leżała żelazna rurka, która strzaskała im czaszki.

Jez miała zaciętą minę. Na tablicy rozdzielczej obok niej leżały rozpostarte mapy nawigacyjne. Przez szybę wpatrywała się na świat w dole. „Ketty Jay” sunęła przez mrok, wysoko nad otulonymi chmurami szczytami gór, drobinka na tle bezkresnego nieba.

Jez widziała w wielkiej oddali światła innych statków. Flotylla myśliwców otaczała podłużny, prostokątny frachtowiec. Skupisko świecących kropeczek oznaczało korwetę Marynarki na horyzoncie. A między nimi leciały niewidoczne statki, takie jak „Ketty Jay”, mające powód, żeby się ukrywać i poruszać niezauważone. Skryte cienie w blasku księżyca. Żaden pilot by ich nie zobaczył, dopóki nie znalazłyby się bardzo blisko. Jez widziała je wszystkie.

Nawet wiele godzin po fackie wciąż dygotała, wstrząśnięta swoim czynem. Gdyby miała dostęp do jakiejś broni palnej, mogłaby nią sterroryzować mężczyzn, związać ich i wziąć do niewoli. Ale oni mieli rewolwery, a ona tylko kawałek rury. Zakradła się do kokpitu i rozbiła głowę nawigatorowi, zanim w ogóle spostrzegł jej obecność. Pilot odwrócił się w fotelu w samą porę, by dostać drugi cios w czoło.

Jez wmawiała sobie, że chciała ich tylko ogłuszyć, ale tak samo jak w przypadku Fredgera Cordwaina, agenta Shacklemore'a, wystarczył jeden cios, by zabić. Była o wiele silniejsza, niż sugerowała jej drobna sylwetka - jeszcze jeden aspekt przemiany, wraz z wszystko przenikającym wzrokiem, zdolnością gojenia ran postrzałowych w kilka godzin i przerażającymi halucynacjami.

I głosami. Beładnym chórem głosów, załogą tamtego strasznego statku, który wylaniał się z bezkresnej mgły Ruiny. Słyszała ich, ich słabe krzyki niesione wiatrem huczącym na zewnątrz kadłuba „Ketty Jay”. Wołające ją. Wzywające ją do domu.

Dlaczego nie? Czemu po prostu do nich nie lecieć? Zawrócić to pudło na północ i wreszcie z tym wszystkim skończyć.

Miała dość takiego życia. Ostatnie trzy lata spędziła, porzucając jedne załogi i dołączając do drugich, nigdy nie zapuszczając korzeni. Trzymała dystans od mężczyzn i kobiet, z którymi pracowała, bo wiedziała, że prędzej czy później ją przejrzą. Tak samo było z załogą „Ketty Jay”. W końcu zawsze musiała uciekać. Teraz ta chwila znów nadeszła.

Po co trzymać się świata, który cię nie chce?

Z każdym dniem coraz trudniej było jej opierać się zewowi Ruiny. Każdy dzień nadwątlał odrobinę bardziej jej siłę woli. Czy tylko upór trzymał ją wśród ludzi, którzy zabiliby ją, gdyby odkryli, czym jest? Czy tylko strach powstrzymywał ją przed ucieczką na północ, gdzie oplakiwano jej nieobecność, gdzie było jej miejsce? Jak wycie stada wilków w oddali, ich wołanie poruszało strunę w jej duszy i aż do bólu pragnęła do nich dołączyć.

Co cię powstrzymuje, Jez? Co cię powstrzymuje?

Właśnie, co? Gdzie indziej mogłaby się udać? Czyżby sobie wyobrażała, że może w „Ketty Jay” przeprowadzić jakąś śmiałą akcję ratunkową? Nie, to by było samobójstwo. Nie szło jej nawet najlepiej pilotowanie. Potrzebowała sporo czasu, żeby przyzwycząić się do wszystkich kaprysów statku tak połatanego jak ten. A nawet gdyby jakimś cudem uratowała Freya i pozostałych, co wtedy? Jak by wyjaśniła, w jaki sposób przekonała ludzi Dracken, że nie żyje?

Było dokładnie tak samo, jak ze wszystkimi poprzednimi załogami. Różne drobiazgi zaczynały się sumować: jej fantastycznie bystry wzrok, to, że nie potrzebowała snu ani jedzenia, to, jak reagowały na nią zwierzęta, niezwykle ozdrowienie po postrzale w Scarwate, to, że nie działały na nią opary Cmentarzyska Rooka.

A teraz doszła nowa umiejętność przekonującego udawania trupa. Za pierwszym razem widział to Crake, ale nic nie powiedział. Można było to wziąć za pomyłkę Shacklemore'a. Ale dwa razy?

Zaczęłyby się podejrzliwe spojrzenia. Zaczęłyby słyszeć w ich głosach ten czujny, nieufny ton. Nawet na „Ketty Jay”, gdzie nie pytało się innych o przeszłość, zaczęłyby padać pytania. Mogli zaakceptować demonistę, ale czy mogli zaakceptować ją? Ile by potrwało, zanim Malvery uparłby się, żeby ją przebadać i wyjaśnić zagadkę? Ile by trwało, zanim by ją przejrzeni?

Fredger Cordwain nie wyczuł u niej tętna, bo go nie miała.

Człowiek Dracken uznał ją za martwą, bo taka właśnie była.

\* \* \*

Wydarzyło się to trzy lata wcześniej.

Jez dowiedziała się o ataku, kiedy usłyszała eksplozję. Głuchy, stłumiony ryk wstrząsnął ziemią i rozlał zupę, którą właśnie jadła, parząc jej palce. Po drugim wybuchu rzuciła się po kozuch. Naciągnęła kaptur, założyła maskę i gogle i wyszła z ciepła gospody po schodach w śnieżycę.

Wybiegła na główną ulicę małego, położonego na odludziu miasteczka Yortlandii, które było jej domem od miesiąca. Budynki po obu stronach miały kształt kopuł; wpuszczone prawie całe pod ziemię, ledwie wystawały na powierzchnię. Światło z małych okienek i dym z kominów przeciskały się przez wirujący śnieg.

Na zewnątrz byli już inni: paru miejscowych Yortów, paru vardyjskich naukowców z pobliskich wykopalisk, którzy urządzili sobie w osadzie bazę. Oczy wszystkich skierowane

były na jasnopomarańczową kulę ognia, rosnącą w niebo na drugim końcu miasteczka. Na lądowisku.

Pierwszą myślą Jez było, że doszło do strasznego wypadku, jakiegoś tragicznego w skutkach przerwania przewodów paliwowych. Zanim jeszcze pomyślała, ilu ludzi mogło zginąć, ogarnęło ją przerażenie, że zostanie tu uwięziona. Statek był ich jedynym połączeniem z resztą świata. Tutaj, na północnym cyplu Yortlandii, cywilizacja była bardzo rzadko rozrzucona i trudna do znalezienia. W promieniu stu kłomów nie było żadnej innej ludzkiej osady.

Poczuła na przedramieniu dłoń w rękawicy i odwróciła się. Wiedziała, że to Riss, pilot ekspedycji, chociaż twarz miał ukrytą za futrzanym kapturem, maską i goglami. Nikt inny nie dotykał tak jej ręki.

- Wszystko w porządku? - krzyknął przez wycie wiatru. Głos miał stłumiony.

- Oczywiście, że w porządku. Wybuch był tam.

Ale wtedy ktoś wskazał ciemny kształt zbliżający się do nich przez szary chaos nieba i podniosły się krzyki alarmu. Jez poczuła, że opuszczają ją siły, kiedy kształt nabrał formy, olbrzymi, poszarpany i czarny. Buczenie jego silników zagłuszało przeszywające, nieludzkie wycie dochodzące z pokładów. To była masa brudnego żelastwa, oleju i dymu, najeżona kolcami, nitami i potarganymi, czarnymi proporcami. Drednot z Ruiny przybył na brzegi Yortlandii przez Morze Biegunowe.

Zniszczenie statku na lądowisku nie było wypadkiem. Napastnicy chcieli mieć pewność, że nikt im nie ucieknie.

Manowie przybyli szukać nowych ofiar.

Kiedy drednot się zbliżył, z burt rozwinęły się sznury; olbrzymi kadłub spuchł, aż jego kil unosił się zaledwie metry nad dachami budynków. Kiedy Manowie zaczęli zsuwać się i zjeżdżać na ziemię, ludzie już rozpierzchali się w grozie. Wszyscy słyszeli opowieści. Pojawienie się drednota, sama siła jego obecności przyprawiła ich o panikę niczym stado kóz.

Jez spanikowała razem ze wszystkimi, popędziła ulicą, myśląc tylko o ucieczce. To Riss złapał ją za rękę, tym razem mocniej, i wciągnął w otwarte drzwi. Zbiegli po schodach do okrągłego pomieszczenia pełnego skrzyń z naukowym sprzętem oraz pudeł z ubraniami i żywnością. Na dole było zimno, ale nie aż tak, jak na zewnątrz. Tupot ich butów odbijał się echem od szarych, kamiennych ścian.

Kiedy tylko Riss ją puścił, Jez skoczyła do kąta i skuliła się tam, obejmując się ramionami i skamłąc. Zawsze chlubiła się swoim opanowaniem, ale okazało się, że widok drednota to dla niej za wiele. Statek emanował grozą, zwierzęcym poczuciem

nieprawidłowości, odbieranym przez najbardziej pierwotne instynkty. Kimkolwiek byli Manowie, intuicja Jez wrzeszczała na samą ich obecność.

Riss trzymał się lepiej. Widać było, że jest nieprzytomnie przerażony, ale działał z głową. Chwycił dwa plecaki i zaczął upychać w nich suszoną żywność i koce.

- Nie możemy tu zostać - odpowiedział na jej niezadane pytanie. - Przekleszczą całe miasto. Tak robią.

- My... ja nie... ja tam nie wyjdę! - upierała się Jez, dygocząc. Z zewnątrz dobiegały krzyki i sporadyczny huk wystrzałów.

Riss zaciągnął mocno plecaki, podbiegł do Jez i wcisnął jej jeden. Widziała jego oczy przez szybki gogli. Patrzył na nią z mocą.

- Posłuchaj - powiedział. - Kiedy Manowie napadają miasto, nie zostawiają nikogo żywego. Tych, których nie zabierają ze sobą, zabijają. Rozumiesz? Nie uciekniemy im, chowając się tutaj.

- Gdzie pójdziemy?

- Na wykopaliska. Do lodowych jaskiń. Możemy tam przetrwać noc. Jeśli uda się nam uciec z miasta, będziemy mogli zaczekać, aż odlecą.

Jez uspokoiła się trochę, kiedy dotarły do niej jego słowa. Profesor Malstrom, ich pracodawca, miał obsesję na punkcie poszukiwania zaginionej rasy, którą nazywał Azryksami i która posiadała według niego wspaniale rozwiniętą, tajemniczą technologię. Na podstawie skąpych dowodów i niejasnych zapisów doszedł do wniosku, że Azryksowie nagle wyginęli, wiele tysięcy lat wcześniej, a ich cywilizację pochłonął lód. Przekonał władze uniwersytetu, żeby ufundowały mu kilka wypraw wykopaliskowych przez ostatni rok w nadziei odnalezienia relikwów tej starożytnej cywilizacji. Jak dotąd nie znalazł nic. Ale wykopaliska dałyby im schronienie, a Manowie mogli do nich nie zaglądać.

- Tak! - powiedziała Jez. - Tak, schowajmy się w grotach!

Kurczowo uczepliła się normalności, którą jej oferował, uspokojona siłą i pewnością jego głosu. Riss opiekował się nią, odkąd zaczęli razem pracować, jako pilot i nawigator wyprawy profesora Malstroma. Lubiła go jako przyjaciela, ale nigdy nie potrafiła wzbudzić w sobie żadnych głębszych uczuć wobec niego.

Zawsze ją chronił. Irytowało ją to: interpretowała jego zachowanie jako zaborczość. Teraz jednak ze wstydem zrozumiała, że chciała mieć obrońcę. Rozsypała się w obliczu nadchodzącej grozy, a on nie. Uczepliła się go więc z wdzięcznością, kiedy ją podniósł i pomógł założyć plecak.

Kiedy wyszli, ulica była upiornie pusta. Drednot zniknął, a śnieżyca się nasiliła,

ograniczając widoczność do piętnastu metrów. Mróz natychmiast zaczął przenikać do ich ciał, mimo grubych ubrań. Gdzieś z wirującego kłębowiska płatków śniegu dobiegały dalekie krzyki i wystrzały strzelb. Za nimi unosiły się przeszywające, nieludzkie wycia.

Trzymali się blisko zabudowań. Jez deptała po piętach Rissowi, prowadzącemu ją w stronę skraju miasteczka, skąd wyboista ścieżka pięła się w góry, do lodowca. Tam znajdowały się wykopaliska.

Nie uszli daleko, kiedy przed nimi rozległ się ryk silnika i rozbłysły światła. Niepokojąco blisko wybuchła strzelanina. Riss wciągnął Jez między dwa yoreckie domy i schowali się za pojemnikiem na żwir. Ulicą przemknął ciągnik śnieżny. Kanciastych, metalowych pojazdów używano zazwyczaj do przewozu zapasów i ludzi na lodowiec i z powrotem, ale tym ktoś próbował uciec. Manowie nie chcieli na to pozwolić: czwórka czepiała się traktora, usiłując otworzyć drzwi albo wybić szyby. Jez zobaczyła ich przelotnie w odbitym świetle reflektorów - wychudzone, dzikie namiastki mężczyzn i kobiet - a potem rozpedzony ciągnik wpadł w poślizg na lodzie. Zarzucił tyłem, przejechał kawałek bokiem, a potem zahaczył o coś gąsienicami i poleciał na ścianę budynku.

Manowie opuścili pojazd, kiedy kilkoro Yortów ze strzelbami nadeszło, cofając się ulicą, strzelając w śnieżycę, gdzie na skraju pola widzenia śmigało więcej ciemnych sylwetek. Najeźdźcy skradali się na czworakach po dachach i blisko ziemi. Skakali i przemykali, w szybkich, urywanych poruszeniach. Przeskakiwali z miejsca na miejsce, pozornie nie pokonując dystansu między nimi.

Jez wzdrgnęła się, kiedy zobaczyła, że Manowie otaczają swoje ofiary. Chciała uciekać, wyskoczyć z kryjówki i biec, ale Riss trzymał ją mocno.

Yorci mieli na sobie futra i maski. Manowie - poszarpane ubrania, bardziej odpowiednie w ciepły, wiosenny dzień w Vardii. Zimno, które w kilka minut zabijało nieubranego człowieka, dla nich nic nie znaczyło.

Jez odwróciła się i wtuliła w ramiona Rissa, kiedy Manowie skoczyli jak jeden do środka. Zamknęła oczy, żeby nic nie widzieć, ale nie mogła odciąć się od wrzasków Yortów i triumfalnego wycia Manów. Na szczęście walka skończyła się w kilka sekund.

Potem zapadła cisza. Po chwili Riss poruszył się i wyjrzał. W śnieżycy wciąż niosły się odgłosy walki, ale Manowie przenieśli się gdzieś indziej.

- Zostań tu - powiedział. - Zaraz wracam.

Jez usłuchała, nie chcąc opuszczać osłony pojemnika. Kroki Rissa zachrzęściły na ulicy i ucichły. Przez jakiś czas słyszała tylko słabe odgłosy wystrzałów i wyszcze kiwane polecenia, niesione wiatrem. Potem kroki zachrzęściły z powrotem. Wyjrzała i zobaczyła, że Riss niesie

w rękę kordelas. Na ulicy leżało kilku zabitych mężczyzn, ich krew odcinała się wyraźnie na śniegu. Przynajmniej trzech brakowało. Nie zginęli, uprowadzono ich. Manowie zabrali ich, żeby obsadzić nimi swój straszliwy statek.

Riss kucnął przed Jez.

- Człowiek w ciągniku nie żyje - powiedział. Podniósł kordelas. - Mam to.

- A strzelby? Nie potrzebujemy strzelb?

Riss poruszył palcami w grubej rękawicy. W przeciwieństwie do strojów Yortów ubrania naukowców były uszyte głównie z myślą o ciepłe, nie brano pod uwagę mobilności. Rękawice były za grube, żeby dało się wsadzić palec wskazujący w osłonę spustu, ale bez nich skóra przymarzłaby do metalu.

Ruszyli dalej, oddalając się od głównej ulicy, między stłoczonymi blisko siebie budynkami. Śnieg zbierał się tu w zaspach i brnęli z pewnym trudem, ale przynajmniej zabudowania ich zasłaniały. Jez szła za Risseem, pozwalając, żeby wydeptywał jej drogę. W uszach huczał jej własny oddech, uwięziony w masce. Podszyty futrem kaptur ograniczał pole widzenia, zmuszając ją do oglądania się co kilka kroków. Bała się, że coś się za nimi skrada, idzie tropem, który zostawiali w śniegu.

Coś rzeczywiście się za nimi skradało, ale atak, kiedy już nadszedł, nadszedł z góry.

Jez niewiele zobaczyła - ledwie niewyraźny ruch w oślepiającym chaosie śnieżycy. Riss zareagował krzykiem, zanim rzuciło go na bok, w ścianę budynku. Na jego miejscu, tuż przed Jez, stał Man. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy miała okazję przyjrzeć się jednemu z nich, i widok ten sprawił, że stanęła jak wryta.

Według legend Manowie byli kiedyś ludźmi i widać to było z ich sylwetek i twarzy. Zmienili się jednak w coś innego, coś, co nosiło ludzką postać niczym skórę, ukrywającą to, co pod spodem.

Istota przed nią była wychudzona, miała na sobie poszarpaną koszulę i spodnie, bez butów. Tłuste, czarne włosy lepiły się do białego, pomarszczonego czoła. Rysy twarzy były niemożliwie wykrzywione. Podwinięte wargi ukazywały ostre, nierówne zęby. Stworzenie patrzyło na Jez oczami żółtymi i czerwonymi od krwawej ropy. Paznokcie miało długie, brudne i połamane i przywierało do ziemi w postawie szykującego się do skoku drapieżnika.

Jez sparaliżowało nie to, co widziała, ale to, co wyczuwała - intuicyjna wiedza, że stoi przed czymś nie z tego świata, czymś, co łamie wszelkie prawa i niszczy pewniki tysiąca pokoleń. Jej ciało wyczuwało to i buntowało się.

Wtedy Man skoczył i wbił ją w zaspę.

Nie pamiętała wiele z tego, co działo się potem. Kiedy próbowała to sobie przypomnieć,



nie miało to wiele sensu. Man przyszpilił ją do ziemi za ramiona i spojrzał jej w oczy. Nie mogła oderwać wzroku, niczym mysz zahipnotyzowana przez węża. Czuła smród napastnika, martwy smród wilgotnej sterty gnijących liści. Jej oddech zwolnił do płytkiego posapywania.

Czuła się miażdżona ciężarem woli istoty, zniewolona siłą jej spojrzenia. Kiedy zrozumiała, że coś się z nią dzieje, było już za późno, żeby stawić opór. Walczyła, żeby odeprzeć napastnika myślami, ale nie mogła się skupić. Traciła poczucie świadomości.

Dotarło do niej, że wszystko dookoła się zmienia. Śnieżyca zbladła, zrobiła się nierzeczywista i pozbawiona siły. Świat wydawał się zarazem ciemniejszy i ostrzejszy. Jez widziała szczegóły tam, gdzie przedtem ich nie było - najdrobniejsze zmarszczki na skórze twarzy Mana, wstrząsającą złożoność jego pierzastych tęczywek.

W powietrzu niósł się szept, nieustanny syk na wpół wypowiedzianych słów. Wszędzie dookoła - ruch. Jez rozumiała, że to Manowie, przeczesujący osadę. Czuła ich. Współdzieliła ich ruchy. Pograżając się coraz głębiej w transie, poczuła ciepło tego kontaktu. Ogarnęło ją wrażenie przynależności, niepodobne do niczego, czego doświadczyła wcześniej, jednocześnie piękne, toksyczne, słodkie i straszne.

Prawie się temu poddała, kiedy została siłą przywrócona do rzeczywistości.

Jej zmysły potrzebowały dłuższej chwili, żeby przystosować się do tej zmiany. Jakiś człowiek bez twarzy, w grubym kożuchu, podnosił ją na nogi. W pierwszym odruchu próbowała się wyszarpnąć, ale trzymał ją mocno i coś do niej mówił. Kiedy nie odpowiedziała, powtórzył i tym razem jego słowa do niej dotarły.

- ...orzędka? Jez? Jez?

Szybko pokiwała głową, bo chciała, żeby się zamknął. Przerazał ją tymi natarczywymi pytaniami. Man kwiczał i rzucał się na ziemi. W nasadzie jego karku tkwił kordelas, aż po obojczyk, na wpół odcinając mu głowę. Krwi było mało, w czystej ranie widać było kość.

Ale istota wciąż nie została pokonana. Szarpanymi, spazmatycznymi ruchami podciągnęła pod siebie stopy i spróbowała wstać. Riss zaklął i kopnął ją w twarz, posyłając na ziemię. Wyrwał kordelas i drugim ciosem odrąbał jej głowę.

Odwrócił się od trupa Mana i spojrzał na Jez. Wyciągnął do niej rękę: Chodź ze mną.

W Jez coś pękło. Nagromadzona groza i szok napaści przerwały tamę. Postradała zmysły i uciekła.

Biegła między budynkami w śnieżycę. Wicher targał nią i popychał ze wszystkich stron. Śnieg oblepiał gogle. Słyszała, jak Riss woła jej imię, ale zignorowała go. W którymś momencie uświadomiła sobie, że nie widzi już domów, tylko bezkresny, gładki śnieg. Biegła dalej, gnana przerażeniem przed tym, co było za nią.

Zatrzymała się dopiero, kiedy wyczerpanie powaliło ją na kolana. Dokumentnie zablądziła, a szalejąca zamieć zacierała wszelkie ślady jej przejścia. Jez nie śmiała zawrócić i nie mogła iść dalej. Mróz, który ledwie zauważała podczas ucieczki, teraz przeniknął ją do kości. Zaczęła gwałtownie dygotać. Ogarnęło ją znużenie, w każdym calu tak samo zdradzieckie i niepowstrzymane jak moc Manów.

Zwinęła się w pozycji płodowej i tam, pogrzebana w śniegu, umarła.

\* \* \*

Każdego dnia od tamtej pory zastanawiała się, co mogło się stać, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej. Gdyby Riss jej nie uratował. Gdyby poddała się Manowi.

Czy byłoby to rzeczywiście takie złe? W tej krótkiej chwili, kiedy dotknęła świata Manów, czuła coś cudownego. Wrażenie integracji, jedności wykraczającej daleko poza to, co kiedykolwiek dało jej ludzkie życie.

Nigdy nie miała dzieci, nigdy się nie zakochała. Zawsze marzyła o posiadaniu przyjaciół, których mogłaby nazywać druhami od serca, ale jakoś nigdy do tego nie doszło. Nigdy jej na nich wystarczająco nie zależało, oni wzajemnie nie dość o nią dbali. Ogólnie rzecz biorąc, zawsze uważała się za raczej zdystansowaną.

Dlatego, kiedy poczuła zew Manów, pierwotne zaproszenie wilczego stada oplakującego nieobecność jednego ze swoich, coraz trudniej i trudniej przychodziło jej wynajdywanie powodów, by stawiać opór.

Tak, zabijali. Ale ona teraz też zabijała. Tak, budzili grozę, ale groźna powierzchowność nie mówiła nic o tym, co kryła. Wystarczyło znać sekret Bess, żeby to rozumieć.

Czy proces przemiany byłby tak samo przerażający, gdyby została zaproszona, a nie wciągnięta siłą? Czy poszłaby dobrowolnie, choćby po to, żeby się dowiedzieć, co kryje ta nieprzenikniona ściana mgły na północy? Czy za Ruiną kryły się niesamowite krainy, migotliwe lodowe pałace na biegunach, jak sugerowały tanie powieści? Czy była to dzicz, podobna do Kurgu zamieszkanego przez spotworniałych podludzi? A może istniała tam dziwna i zaawansowana cywilizacja, jak w Peleszarze, dalekim i wrogim lądzie na południowym zachodzie?

Cokolwiek Man zrobił jej tamtego dnia, pozostało niedokończone, przerwane ciosem kordelasa w kark. Nie była w pełni człowiekiem ani w pełni Manem, lecz czymś pomiędzy. A mimo to Manowie wciąż ją wzywali, wołali bez końca, podczas gdy ludzie zniszczyliby ją, gdyby tylko wiedzieli, że chodzi pośród nich z niebijącym sercem.

Nigdy się nie dowiedziała, co spotkało Rissa. Następnego ranka po swojej śmierci

obudziła się i wygrzebała ze śniegu, który przysypał ją przez noc. Słońce świeciło wysoko na kryształowo błękitnym niebie, migocząc na białych kopcach w oddali - dachach osady. W panice odbiegła całkiem daleko, ale w zupełnie niewłaściwym kierunku, jeśli miała nadzieję dotrzeć do bezpiecznych lodowych grot w górach.

Trupy przykrył śnieg. Czy Riss spoczywał między nimi, czy został uprowadzony, na jedno wychodziło. Odszedł.

Otepiąca Jez szukała ocalałych i nikogo nie znalazła. Stała przed przysypanym śniegiem wrakiem statku, na którym nawigowała przez rok, i nic nie poczuła. Potem natrafiła na śnieżny traktor i zaczęła go wykopywać.

Znalezienie drugiej osady zajęło jej kilka dni - posłużyła się mapami, które odszukała. Ponieważ czuła się świetnie, z początku nie zadawała sobie pytania, jak przeżyła. Uznała, że śnieżny grobowiec pomógł jej zachować ciepło. Dopiero daleko na pustkowiach zauważyła, że serce przestało jej bić. Wtedy zaczęła się bać.

Kiedy dotarła do osady, miała już gotową historyjkę i plan.

Bądź w ruchu. Pilnuj swojej tajemnicy. Staraj się przeżyć, o ile można powiedzieć, że w ogóle żyjesz.

Ale od tamtej chwili minęły długie, samotne trzy lata.

\* \* \*

Leciała nad południową częścią Hookhollowów - jarzące się szczeliny pełne magmy wyglądały jak świetliste zygzaki w mroku nocy. Przed nią wznosił się Wschodni Płaskowyż; skierowała „Ketty Jay” w dół przez czarne, brudne chmury. Silniki były wystarczająco solidne, żeby poradzić sobie z odrobiną pyłu. Kiedy się przebiła, zeszła na pułap kilkudziesięciu metrów i ruszyła nad równiną Blackendraft. Zerknęła na mapy, według których leciała. Mapy, które nawigator Dracken skrupulatnie oznaczał od chwili, kiedy przejął „Ketty Jay”.

Zaufaj mi, powiedziała Freyowi, kiedy zapytał, jak zamierza oszukać ludzi Dracken, że nie żyje. Chodziło o taki rodzaj zaufania, który jej okazał, kiedy dał jej kod zapłonu swojego ukochanego statku, jedynej rzeczy, o której można było powiedzieć, że ją kocha. Chociaż bał się, że może go mu ukraść i zniknąć, zaufała jej.

Zaufał jej też, że wróci i go uratuje. Nie mogła go zawieść.

Nie miała złudzeń, że nie ryzykuje własnego życia i wiedziała, że nawet jeśli się jej uda, prawdopodobnie zostanie znieawidzona. Nie mogli być jej przyjaciółmi. Nigdy nie mogła stać się częścią tej załogi. Gdyby dowiedzieli się, że powoli, stopniowo zmienia się w Mana,

musieliby ją zabić. Nie mogła nawet mieć do nich pretensji.

Mimo to zamierzała spróbować. Może później poleciałaby na północ, do Manów - najpierw jednak musiała spróbować.

Nie było w tym sensu. Ale czasami ludzie robili rzeczy, które nie miały sensu.

Zanim wyruszyła, musiała zrobić jeszcze jedną rzecz. Choć leżała w infirmerii, na pozór martwa, była całkowicie przytomna. I słyszała, jak ludzie Dracken rozmawiają. Nie cała załoga „Ketty Jay” została zabrana na pokład „Płomienia Delirium”.

Zatrzymała statek w powietrzu i jeszcze raz spojrzała na mapy. Chciała trafić na miejsce za pierwszym podejściem. Było to dla niej małe, osobiste wyzwanie. Skorygowała kurs, przeleciała pół kloma i znów się zatrzymała. Kiedy miała już pewność, włączyła dolne reflektory. Popielne, pyliste pustkowia w dole zalało oślepiające światło. Jez się uśmiechnęła.

Niech cię, Jez. Dobra jesteś!

W dole, dokładnie tam, gdzie ją zostawili, stała Bess.

## 34

*Historia Malvery'ego - Coś gorszego niż skurcz -*

*Frey idzie na szubienicę*

Mortengrace, rodowa siedziba księcia Grephena z Lapinu, lśniła bielą wśród drzew jak odgrzebana z ziemi kość. Wznosiła się wśród gęsto zalesionych wzgórz wybrzeża w zachodniej części Vardenwood, nad migotliwymi, błękitnymi wodami Otchłani Ordyckiej na południu. Otaczały ją wysokie mury, obejmujące lądowisko dla statków powietrznych, bogate ogrody i wspaniałą rezydencję, w której mieszkał książę z rodziną. Wśród pół tuzina mniejszych budynków znajdował się warsztat mechanika, koszary książęcej milicji oraz karczer. Ten ostatni był rzadko używany w obecnych, spokojnych czasach, ale przez ostatnie dwa dni znajdował zastosowanie - Trinica Dracken dostarczyła szóstkę najbardziej poszukiwanych ludzi w Vardii.

Crake siedział w swojej celi z Malverym i Silosem i czekał. Tylko to mu zostało. Cekał na katowską pętlę.

Cela była mała i czysta, tynk na kamiennych ścianach miał kolor złamanej bieli.

Znajdowały się tam prycze do spania i wysoko umieszczone, zakratowane okno, przez które wpadała słonawa bryza znad morza. Temperatura na południowym wybrzeżu Lapinu, nawet w środku zimy, pozostawała umiarkowana. Ucieczkę uniemożliwiały grube, drewniane drzwi okute żelazem. Na dole miały klapkę, przez którą co jakiś czas wsuwano tackę z jedzeniem, i judasz, przez który podglądał ich więzienny dozorca.

Był to rozmowny człowiek, z chęcią opowiadał im szczegóły czekającego ich końca. Od niego właśnie dowiedzieli się, że księżę Grephen jest na ważnej konferencji i wróci, jak tylko uda mu się wyrwać i znaleźć sędziego.

- Żeby egzekucja wyroku była tip-top zgodna z prawem - wyszczerzył się dozorca, przeciągając słowo „egzekucja”, żeby przypadkiem nie umknęło ich uwadze, jak sprytnie go użył. - Ale spokojna głowa. Nie ma pośpiechu, bo nikt nie wie, że tu jesteście. Nikt nie przyjdzie wam z pomocą.

Oprócz niego celi pilnowało dwóch strażników, ale rzadko się odzywali. Ich zadaniem było mieć na wszystko oko.

- Na wypadek, gdybyście próbowali jakichś sztuczek - oznajmił dozorca, znacząco spoglądając na Crake'a. Ewidentnie uprzedzono ich, że wśród więźniów jest demonista. Złoty ząb Crake'a był bezużyteczny. Nie poradziłby sobie z trzema mężczyznami. Uniwersalny klucz leżał gdzieś w ładowni „Ketty Jay”, równie nieprzydatny.

Żadnego wyjścia.

Crake'a ogarnęło przeogromne wrażenie pustki. Spadło na niego, kiedy wystartowali z równin Blackendraft, wiezieni na pokład „Płomienia Delirium”. Wiadomość, że „Ketty Jay” zniknęła, niewiele pomogła. Bess była stracona.

Pomyślał o małym gwizdku, schowanym w jego kajucie na pokładzie statku. Tylko ten gwizdek, użyty przez demonistę, który go zaklął, miał moc wybudzenia golemicy ze snu. Teraz nigdy już nim nie zagwizdże. Może tak było najlepiej.

Nie powinien był próbować jej ratować. Usiłując odpokutować za jedną zbrodnię, popełnił drugą, o wiele większą. A teraz Bess miała zostać sama, nie żywa i nie martwa, na całą wieczność.

Czy spała? Czy była przytomna? Czy tkwiła uwięziona w metalowej skorupie, na bezkresnej popielnej równinie, nie mogąc się poruszyć ani wydać głosu? Ile pozostało z uroczego dziecka, które zniszczył? Tak trudno było na te pytania odpowiedzieć. Bardziej przypominała teraz wiernego psa niż małą dziewczynkę, pogmatwana i poplątana przez jego nieudolny transfer, podatna na napady szału, lęki i zwierzęcą brutalność.

Powinien był pozwolić jej umrzeć, ale nie mógłby żyć z poczuciem winy. Dlatego uczynił

z niej potwora. A robiąc to, jednocześnie uczynił potworem siebie samego.

Wycie w oddali sprawiło, że Crake, Silos i Malvery jak jeden mąż podnieśli wzrok. Głos należał do Freya i dobiegał z sali tortur, tuż za celą, którą kapitan dzielił z Pinnem i Harkinsem.

- Znów się za niego zabrali - powiedział Malvery. - Biedny łajdak.

Crake się poruszył.

- Po co tak się opiera? Jakie to ma znaczenie, czy podpisze przyznanie do winy, czy nie? Tak czy inaczej i tak wszyscy zginiemy.

Malvery wyszczerzył się pod morsim, białym wąsem.

- Może po prostu lubi robić im trudności.

Silos się uśmiechnął. Crake nie podzielał ich wesołości. Poczul, że Malvery obejmuje go swoim wielkim łapskiem.

- Rozchmurz się, co? Odkąd Dracken nas złapała, robisz miny jak zbite dupsko.

Crake spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Wiesz, całe życie mylnie uważałem, że strach przed śmiercią to powszechna, niemal uniwersalna część bycia człowiekiem. Ale ostatnio zacząłem myśleć, że tylko ja w tej całej załodze w ogóle się tym przejmuję.

- Och, no nie wiem. Założę się, że tamta druga cela jest już po kolana w gównie Harkinsa, tak się boi. - Malvery puścił oko. - Z drugiej strony, on się boi prawie wszystkiego. Pilotem jest ciągle tylko dlatego, że bardziej boi się nie być pilotem niż zestrzelenia.

- Ale... to znaczy, niczego nie żałujesz? Nie masz żadnych niespełnionych nadziei? Nic w tym rodzaju?

Crake był w rozpacz. Nigdy nie potrafił zrozumieć, jak włóczędzy z „Ketty Jay” mogli żyć z dnia na dzień, nie przejmując się przyszłością ani przeszłością.

- Czy żałuję? Jasne. Żałuję więcej rzeczy, niż byś uwierzył, kolego - odparł Malvery. - Mówiłem ci, że byłem kiedyś lekarzem w Thesku, prawda? A więc byłem w tym dobry i zarabiałem kupę kasy. Sukces trochę uderzył mi do głowy, trochę też za bardzo zaprzyjaźniłem się z butelką. Któregoś dnia zjawił się u mnie posłaniec ze szpitala. Przywieziono tam mojego przyjaciela, twierdzili, że śmiertelnie chorego. A to był wyrostek, ot co. Było wcześniej rano, a ja nie położyłem się jeszcze spać po nocy. Cały czas piłem.

Crake zauważył, że głos Malvery'ego robił się coraz mniej bez troski. Nagle zrozumiał, że jest świadkiem czegoś poważnego. Ale doktor mówił dalej, zmuszając się do swobodnego tonu.

- Cóż, wiedziałem, że jestem pijany, ale wiedziałem też, że to mój przyjaciel i uważałem

się za najlepszego cholernego chirurga do tej roboty, po pijaku czy na trzeźwo. Tak się przyzwyczaiłem, że wszystko mi wychodzi, że myślałem, że tak będzie zawsze. Nie zaufałbym nikomu innemu. Jakiś młodszy lekarz próbował mnie zatrzymać, ale go ofuknąłem. Teraz żałuję, że się bardziej nie uparł.

Malvery nagle urwał. Westchnął ciężko, jakby wyrzucając coś z głębi płuc. Kiedy znów się odezwał, mówił z całkowitą rezygnacją. Co się stało, to się nigdy nie odstanie.

- Powinno pójść, ale byłem nieostrożny. Omsknął mi się skalpel, przeciąłem aortę. Wykrwawił się na moich oczach, na stole operacyjnym, kiedy próbowałem go połatać.

Nawet pochłonięty własnym nieszczęściem Crake poczuł trochę współczucia dla olbrzyma. Wiedział dokładnie, jak doktor się czuł. Może dlatego właśnie instynktownie przypadli sobie do gustu, kiedy się poznali. Każdy wyczuwał w drugim ofiarę własnej arogancji.

Malvery odchrząknął.

- Potem wszystko straciłem - powiedział. - Straciłem licencję, żonę. Traciłem pieniądze. Nic mnie nie obchodziło. I piłem. Piłem, piłem i piłem, a pieniędzy było coraz mniej, aż któregoś dnia nic mi nie zostało. Właśnie wtedy znalazł mnie kapitan.

- Frey?

Malvery poprawił na szerokim nosie okrągłe okulary o zielonych szklach.

- Tak. Poznaliśmy się w jakimś porcie, zapomniałem w jakim. Postawił mi parę drinków. Powiedział, że przydałby mu się doktor. Odparłem, że kiepski ze mnie lekarz, a on na to, że nie szkodzi, bo i tak wiele by mi nie płacił. - Nagle ryknął śmiechem. - Cały on, prawda?

Crake się uśmiechnął.

- Tak. Chyba tak.

- Od tamtej pory, od kiedy zabiłem swojego przyjaciela, nie wziąłem do ręki skalpela. Myślę, że bym nie mógł. Trzymam te wypolerowane narzędzia w infirmerii, ale nigdy ich nie używam. Radzę sobie z łataniem was, mogę to i owo zszyć, ale nie zaufałbym sobie na tyle, żeby kogoś z was rozkroić. Już nie. Powiem ci prawdę - nie jestem już prawdziwym doktorem. Ale to nic, bo znalazłem na „Ketty Jay” dom i jestem za to wdzięczny kapitanowi. - Przerwał, kiedy z korytarza dobiegł wrzask Freya. Po jego twarzy przemknął grymas gniewu, ale zaraz zniknął. - To dobry człowiek, przy wszystkich swoich wadach. Był mi dobrym przyjacielem.

Crake przypomniał sobie, jak Trinica przystawiła mu do głowy rewolwer, a Frey wołał podać jej kod do swojego ukochanego statku, niż widzieć, jak demonista ginie.

- Tak - powiedział. - Dla mnie też.

Splótł palce za głową i oparł się o ścianę celi. Silos, Harkins, teraz Malvery: Freyowi często trafiali się uciekinierzy. Owszem, wszyscy byli mu w jakiś sposób przydatni, ale u wszystkich miał dług wdzięczności i lojalności, którego Crake aż do teraz nie wyczuwał. Może intencje Freya były czysto biznesowe - a jeśli jedyne, czego chciał, to mieć tanią załogę - to i tak przynajmniej połowa jego ludzi widziała w nim swego rodzaju wybawcę. Może ich nie potrzebował, ale oni z pewnością potrzebowali jego. Bez swojego kapitana Silos zostałby zlinczowany albo odesłany z powrotem w niewolę do Samarii, Harkins musiałby stawić czoła życiu bez skrzydeł, a Malvery na powrót stałby się alkoholikiem w ryszotku.

A reszta? Sam Crake znalazł kryjówkę w swojej ucieczce przed Shacklemore'ami. Pinn znalazł miejsce, w którym był tolerowany, gdzie mógł bez końca uciekać przed rzeczywistością swojej ukochanej w skazanej na klęskę wyprawie po sławę i bogactwo. A Jez? Cóż, może ona chciała po prostu być wśród ludzi, którzy nie zadają pytań.

Czy mu się to podobało czy nie, Frey dał im wszystkim coś, czego potrzebowali. Dał im „Ketty Jay”.

- Wszyscy przed czymś uciekamy - powiedział Crake kpiąco. Powtórzył słowa Malvery'ego, wypowiedziane wiele tygodni temu, zanim zestrzelili „Asa Czaszek” i zanim to wszystko się zaczęło. Malvery ryknął śmiechem, rozpoznając cytaty.

Crake spojrzał na sufit celi.

- Zasłużyłem, żeby tu być.

Doktor wzruszył ramionami.

- A więc ja też.

- Nie ma żadnego zasługiwania czy nie - odezwał się Silos dudniącym basem. - Jest to co jest, i to czego nie ma, i to, co się z tym robi. Wyrzuty sumienia są tylko po to, żeby usprawiedliwić przed sobą to, że się czyni zadość. Wyrzutami można sobie zmarnować życie.

- Mądre słowa - powiedział Malvery, salutując Murthianinowi. - Mądre słowa.

Frey znów wrzasnął w oddali.

\* \* \*

Freya dwa razy w życiu postrzelono, wiele razy był bity, gryziony przez psy i raz nadziany na dakkadyjski bagnet, ale aż do dziś żył w przekonaniu, że najgorszym bólem na świecie jest skurcz.

Nie było dla niego nic tak przerażającego, jak obudzić się w środku nocy z charakterystycznym wrażeniem ucisku biegnącym niczym ostrze noża wzdłuż łydki. Zazwyczaj zdarzało się to po długiej nocy z rumem albo kiedy wziął za dużo kropel Błysku,



ale na ciasnej pryczy w swojej kajucie często leżał niewygodnie i odcinał sobie krążenie w jednej z nóg, nawet zupełnie trzeźwy.

Najgorszych było tych kilka sekund, zanim uderzał ból. Zawsze wystarczało czasu, żeby spróbować wykręcić nogę tak, żeby nie nadszedł, ale nigdy się to nie udawało. Nieunikniony atak, który następował potem, sprawiał, że Frey bez tchu wił się na pryczy i ścisnął nogę. Niezmiennie kończyło się to tak, że strącał jakieś bagaże z hamaka nad pryczą, które spadały na niego lawiną walizek i brudnych ubrań.

W końcu, po chaosie zdumiewającego, niezasłużonego bólu, przychodziła ulga tak cudowna, że doznanie jej było niemal warte poprzedzającego cierpienia. Leżał na wpół pogrzebany w bagażach, haustami łapiąc powietrze i dziękując dowolnemu słuchającemu bóstwu za to, że żyje.

Dawno temu dowiedział się, że ból gwałtownego skurczu mięśni łydki doprowadza go do szaleństwa. Dziś oprawca zapoznał go z urokami elektrowstrząsów. Zamiast samej nogi, skurcze obejmowały całe jego ciało jednocześnie.

Jeśli to przeżyję, myślał Frey, będę musiał na nowo zdefiniować pojęcie bólu.

Oślepiające, szarpiące cierpienie; plecy mimowolnie wygięte; mięśnie napięte do tego stopnia, że omal nie łamały kości; zęby zaciśnięte i wyszczerzone w grymasie.

A potem ból zniknął. Radość była taka, że Frey omal nie zalewał się łzami. Zwisiał na krześle, na ile pozwalały mu więzy, z czołem ociekającym potem i unoszącą się ciężko i opadającą piersią.

- Chcesz cierpieć? O to chodzi? - spytał kat.

Frey z pewnym trudem uniósł głowę. Oprawca patrzył na niego z ciekawością, ze współczuciem i zrozumieniem w dużych, szarych oczach. Był przystojnym mężczyzną o kwadratowej szczęce, w schludnym, wyprasowanym w kant jasnobłękitnym mundurze książęcej milicji Lapinu.

- Sam powinienes spróbować - powiedział Frey, zmuszając się do bezczelnego uśmiechu.

- Nieźle kopie.

Strażnik przy drzwiach - zwalisty mężczyzna w identycznym mundurze jak oprawca - uśmiechnął się przelotnie, zanim nie uświadomił sobie, że nie powinien. Kat cmoknął i pokręcił głową. Podeszedł do maszyny stojącej obok krzesła Freya. Było to groźnie wyglądające, metalowe urządzenie wielkości szafki, z tablicą kontrolną pełną pokręteł i półkolistych zegarów.

- Najwyraźniej nie kopie wystarczająco mocno - skwitował, przekręcając o kilka kresk jedno z pokręteł.

Frey się przygotował. Nic to nie dało.

Wydawało się, że ból nigdy się nie skończy - aż zniknął. Pomieszczenie powoli znów się wyostrzyło. Frey zawsze wyobrażał sobie sale tortur jako zawilgłe lochy, ale tutaj było czysto i sterylne. Sala wyglądała raczej jak lekarski gabinet. Elektryczne lampy świeciły jasno i mocno. Na tacach i w szafkach leżały różne narzędzia, obok nich stały buteleczki i narkotyki. Tylko metalowe drzwi z judaszem zdradzały, czym to miejsce jest naprawdę.

Przyznanie leżało na małym stoliku przed nim. Obok czekało pióro. Kat posłusznie odczytał mu je wczoraj, zanim zaczęli. Brzmiało mniej więcej tak, jak Frey się spodziewał:

*Ja, Frey, przyznaję się do wszystkiego. Spiskowałem z moją załogą, żeby zabić syna arcyksięcia, bo jesteśmy chciwi i podli, a potem wszyscy się śmialiśmy. Wszystko to był mój pomysł i nikogo innego, zwłaszcza nie księcia Grephena ani Galliana Thade'a, którzy obaj są czystymi jak lza i lojalnymi poddanymi naszego wielbionego wodza i których same odchody pachną różą i migdałami...*

I tak dalej, i tak dalej.

Oprawca wyciągnął do niego pióro.

- Skończ to, Darianie. Po co walczyć? Wiesz, że nie ma stąd ucieczki. Czemu się upierasz, żeby ostatnich kilka godzin twojego życia upłynęło w bólu?

Frey zamrugnął, żeby pozbyć się potu z oczu, i popatrzył tępo na pióro. Dlaczego nie podpisywał? To była czysta formalność. Kiedy tylko Grephen zjawiłby się z sędzią, zostaliby osądzeni i powieszeni, choć niekoniecznie w tej kolejności.

Ale nie mógł tego zrobić. Nie mógł podpisać tego dokumentu, bo nie chciał im ułatwiać. Bo zamierzał walczyć do ostatniej chwili, wyszarpywać każdy strzęp życia, jaki mu pozostał.

Przyznanie się oznaczało kapitulację. Nie dlatego stawiał opór, że miał nadzieję cokolwiek osiągnąć; opierał się dla samego opierania. Nie miało znaczenia, że to daremne. Czuł gorycz, że był tak blisko, że prawie udało mu się wyciągnąć swoją załogę z kłopotów, w które ją wpakował. Rozwścieczało go to.

Dlatego smakował drobne zwycięstwa, które mu pozostały. Jakkolwiek to zrobiła, Jez uciekła z „Ketty Jay”. Fakt, że Grephen nie spieszył natychmiast z powrotem, żeby pozbyć się swoich więźniów, oznaczał, że Trinica Dracken zapomniała wspomnieć o zgubieniu „Ketty Jay” po drodze. Mimowolnie kupiła im trochę czasu.

Zawstydził ją już dwa razy. Czerpał z tego pociechę. Nie uszło jego uwagi, że Trinica trzymała teraz kompas i mapy bez przerwy przy sobie. Miała je, kiedy przewożono ich z

pokładu „Płomienia Delirium” na lądowisko Mortengrace. Denerwowała się, że znów mogą zostać ukradzione i nie chciała zostawiać ich w kajucie.

Małe, bo małe, ale zwycięstwa.

Nie miała nadziei, że Jez wróci. Nie miała tak naprawdę powodu, żeby to zrobić. Byli tylko załogą, jak wiele innych, do których należała wcześniej. Choć dobra w tym, co robiła, zawsze była zdystansowana, większość czasu spędzała w swojej kajucie. Frey nie sądził, żeby żywiła do nich jakieś cieplejsze uczucia, i nie miał powodu oczekiwać lojalności. W końcu ledwie zdążyła do nich dołączyć, a zrobił z niej uciekinierkę wyjętą spod prawa.

Ale „Ketty Jay” ocalała i miała za sterami nowego kapitana. Freyowi to nie przeszkadzało. Jeśli nie mógł jej mieć sam, cieszył się, że należała do kogoś innego, a zawsze lubił swoją małą nawigatorkę. Zastanawiał się cały czas, jak Jez to zrobiła, choć pocieszał się faktem, że nie będzie musiał łamać głowy długo.

Żużel pewnie też się uratował, pomyślał. Ciekawe, jak będzie mu się układało z nową kapitan.

- Podpisz! - ponaglił go oprawca, wciskając mu pióro w dłoń.

Frey je wziął.

- Daj mi te papiery - polecił.

Katu zaświeciły się oczy. Przysunął stolik bliżej, żeby Frey mógł na nim pisać. Skórzane kajdany na rękach Freya były przymocowane do pasów, które dawały mu parę centymetrów luzu. Oprawca uważał najwyraźniej, że ofiara nie może należycie przeżywać spazmów, jeśli nie ma trochę miejsca, żeby się rzucać.

- Jeszcze trochę - poprosił Frey. - Nie sięgam. - Kat spełnił jego prośbę. - Możesz przytrzymać mi kartkę? Niełatwo to zrobić jedną ręką.

Kat uśmiechnął się zachęcająco, przytrzymując papier dłonią. Przestał się uśmiechać, kiedy Frey wbił mu pióro w miękką część dłoni między kciukiem i palcem wskazującym.

Przez drzwi wpadł trzeci mężczyzna w mundurze i stanął jak wryty na widok tego, co zobaczył. Oprawca skakał po pomieszczeniu, wrzeszczał i trzymał się za przebitą dłoń, z której wciąż sterczało pióro. Strażnik przy drzwiach skręcał się w paroksyzmach śmiechu. Frey zmiażdżył przyznanie w kulkę i próbował je zjeść, ale nie mógł dosięgnąć ust. Przerwał, przyłapano przez nowo przybyłego, a potem wypuścił je z ręki.

- Czego chcesz?! - wrzasnął oprawca, kiedy udało mu się złapać oddech.

- Możesz przestać - powiedział nowo przybyły.

- Ale on się nie przyznał!

- Spiszemy nowe przyznanie i podpiszemy je za niego. Książę wrócił z sędzią. Chce

załatwić tę sprawę.

- Możesz mi dać godzinę? - poprosił płacząco oprawca, widząc, że wyślizguje mu się z rąk szansa zemsty.

- Mam go zabrać natychmiast - odparł nowy. - Uwolnij go z tego krzesła. Idzie ze mną.

\* \* \*

Niebo było niebieskie. Czyste, bezchmurne i doskonałe. Frey zmrużył oczy, popatrzył na słońce i poczuł jego ciepło na twarzy. Niesamowite, pomyślał, że północne wybrzeże kontynentu było skute lodem, a mimo to tu, na południu wciąż było przyjemnie. Vardia była tak rozległa, że jej północny skraj przekraczał Krąg Arktyczny, a południowy zbliżał się do równika. Frey zawsze uważał zimę za ponurą porę roku, ale podobnie jak wszystko inne, uznał, zależało to od punktu widzenia.

Na egzekucję wybrano otoczony murem dziedziniec za koszarami, na którym milicja ćwiczyła musztrę. Na środku, skąd jakiś generał mógłby obserwować ćwiczenia, stało niewielkie podwyższenie. Z jego środka sterczał żelazny, kuty słup, na którym powiewała flaga księcia. Na boki rozpościerały się z niego zdobione ramiona, służące do wieszania proporców, teraz jednak z jednego z nich wszystkie ściągnięto i przerzucono przez nie sznur, tworząc prowizoryczną szubienicę. Pętla sznura spoczywała luźno na ramionach Freya. Kat - zwalisty, spocony oprych w cienkiej koszuli, opiętej na olbrzymim brzuszysku - czekał, żeby ją napiąć.

Przed podwyższeniem zebrała się mała grupa ludzi. Były tam dwa tuziny milicji, sędzia, książę i dwoje świadków: Gallian Thade i Trinica Dracken. Nieopodal stał wóz z zakratowanymi ścianami. W tej klatce na kołach znajdowała się reszta załogi Freya, niezwykle cicha. W końcu dotarła do nich powaga sytuacji. Nawet Pinn zaczynał rozumieć. Mieli patrzeć, jak umiera ich kapitan. Nikt nie był w nastroju do żartów.

Frey zawsze się zastanawiał, jak stawi czoło śmierci. Nie szybkiej, gorączkowej szamotaninie strzelaniny, ale powolnemu, przemyślanemu, długiemu finałowi egzekucji. Nigdy sobie nie wyobrażał, że będzie taki spokojny. Wiatr rozwiewał mu włosy nad czołem, słońce grzało twarz. Miał ochotę się uśmiechnąć.

Darian Frey, którego zamierzali zabić, nie był tym samym Darianem Freyem, którego wybrali na swojego kozła ofiarnego. Tamten człowiek był porażką, miotaną przez kaprysy losu od jednej katastrofy do drugiej. Kimś, kto uważał się za lepszego niż najgorsze szumowiny przemytniczego półświatka i nie pragnął niczego więcej.

Ale zaskoczył ich. Staął i stawiał im czoło, kiedy powinien uciekać. Raz po raz

przechytrzał ich i się wymykał. Zmienił gromadę obiboków w coś przypominającego załogę. Ludzie będą sobie opowiadali, jak utarł nosa niesławnej Trinice Dracken w hangarze w Rabbanie. Wieści się rozejdą. Wolni strzelcy całej Vardii usłyszą o Darianie Freyu i jego statku, „Ketty Jay”. Mało brakowało, żeby Frey ujawnił spisek wymierzony w rodzinę panującą, w który zamieszani byli książę Vardii, legendarny pirat Orkmund i potężna sekta Przebudzonych.

Powstrzymał go jedynie kaprys losu. Trinica miała kopie map, które ukradł. Bez kompasu nie mogła przedostać się przez pole magnetycznych min, strzegących Retribution Falls, ale mogła czekać w miejscu, w którym wiedziała, że się zjawi.

Jeden mały błąd.

Długo musieli go gonić. Może i go złapali, ale wciąż czuł się zwycięzcą.

Popatrzył na twarze za kratami: Malvery, Crake, Silos, Harkins... nawet Pinn. Z zaskoczeniem odkrył, że jest smutny, musząc ich opuścić. Nie chciał, żeby tak to się skończyło. Dopiero co zaczął się dobrze bawić.

Przestał słuchać listy zbrodni i oskarżeń, wyczytywanej przez sędziego. Wstęp nie był ważny. Frey myślał tylko o tym, co miało nadejść. Nieunikniona śmierć. Pogodził się z tym i był spokojny. Ręce miał mocno związane przed sobą, dwa tuziny strażników z karabinami czekało tylko, żeby nafaszerować go kulami, gdyby próbował uciec.

Wciąż jednak pozostała mu jedna sztuczka do zagrania. Świat miał go zapamiętać, o tak. Może nigdy nie poznają prawdy, ale będą znali jego imię.

Sędzia, stary, niedowidzący, na wpół spróchniały ramol skończył mamrotać i podniósł wzrok, poprawiając okulary.

- Wydano wyrok śmierci - zahuczał. - Tradycja daje skazanemu możliwość wyrażenia ostatniej prośby. Czy skazany ma taką prośbę?

- Mam - odparł Frey. - Mówiąc szczerze, uważam za zniewagę, że książę nie potrafił nawet postawić porządnej szubienicy, żeby mnie powiesić. Żądam innej metody egzekucji.

Twarc księcia Grephena zaczerwieniła się ze złości. Trinica patrzyła na więźnia z zaciekawieniem swoimi czarnymi oczami.

- Chcę być ścięty własnym kordelasem - ciągnął Frey.

Sędzia obejrzał się na księcia. Grephen odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów i sapnął.

- Nie widzę przeciwwskazań - zaskrzeczał ostrożnie starzec na wypadek, gdyby książę jednak jakies miał.

- Przynieść kordelas! - zawołał Grephen.

Jeden ze strażników pobiegł wykonać polecenie.

Frey chłodno patrzył na księcia. Nawet w mundurze Grephen wyglądał jak rozpuszczony dzieciak. W jego głęboko osadzonych oczach świeciła dziecinna złośliwość. Był zimnym i pozbawionym poczucia humoru człowiekiem, tyle Frey odgadł. Zamordował kilkadziesiąt osób na pokładzie „Asa Czaszek” tylko po to, żeby zabić syna arcyksięcia w taki sposób, by dało się zwalić winę na kogoś innego. Frey nie sądził, by w jakikolwiek sposób go to prześladowało. Jeśli w duszy księcia było jakieś ciepło, rezerwował je dla Wszechduszy.

Obok niego stał Gallian Thade. Miał ostre rysy twarzy, haczykowaty nos i spiczastą, czarną brodę. Tam, gdzie książę był miękki i pulchny, Thade miał same kanty i krawędzie. Patrzył na Freya z wyższością i pewnością siebie. Bardzo długo czekał, by człowiek, który pozbawił dziewictwa jego córkę, poniósł zasłużoną karę.

A do tego Trinica. Frey nie umiał powiedzieć, o czym myślała. Jej biała jak u ducha twarz niczego nie zdradzała. Czy ucieszyłaby się, widząc jego śmierć? Czy w końcu mogłaby zamknąć rozdział życia, który się od niego zaczął? A może nawet w tej chwili wspominała czułe momenty z ich przeszłości, zastanawiała się, czy dobrze postąpiła, przywożąc go tu?

Grephen zniszczył „Asa Czaszek”; Thade wybrał Freya, by go w to zrobić; Trinica go pojmała.

Frey miał powód, by ich wszystkich zabić. Ale czasu wystarczy tylko na jedno z nich. I wybrał już swój cel.

Strażnik wrócił z koszar z kordelasem. Grephen wziął broń i obejrzał ją przed podaniem katu. Oprawca z podziwem przesunął kciukiem po ostrzu, a potem zasyczał, kiedy rozciął sobie opuszek.

- Mógłbyś mi to zdjąć? - poprosił Frey, potrząsając ramionami, żeby wskazać pętlę. Kat wetknął kordelas za pas i jedną ręką zdjął sznur, ssąc jednocześnie kciuk drugiej.

- Klękaj, kolego - powiedział.

Frey uklęknął na drewnianej platformie, u podnóża słupa. Poruszył nadgarstkami w pętach i pokręcił głową, żeby rozluźnić kark.

Spojrzał na klatkę, w której więziono jego załogę. Mieli iść w jego ślady. Pinn wyglądał, jakby niedowierzał. Spojrzenie Crake'a było nabrzmiałe tragedią. Silos miał nieprzeniknioną minę, Harkins kulił się w kącie i odwracał wzrok. Malvery uśmiechnął się smutno i pokazał kapitanowi podniesiony kciuk. Frey skinął głową, bezgłośnie dziękując mu za wsparcie.

- Wyrok śmierci przez ścięcie - dokończył sędzia - zostanie wykonany na oczach tu obecnych świadków.

Kat wyciągnął kordelas i przyłożył ostrze do karku Freya.

- Nic się nie bój - powiedział. - Machniemy raz i po bólu.

Frey głęboko zaczerpnął powietrza. Jeden cios. Oczywiście wyobraźni zobaczył spadające ostrze. Zobaczył siebie, robiącego przewrót przez bark i unoszącego ręce, żeby demon zaklęty w kordelasie przeciął mu więzy. Widział, jak broń przeskakuje z ręki kata w jego uchwyt. Zobaczył zaskoczenie na twarzy Grephena, kiedy ciskał kordelasem. Zobaczył, jak ostrze wbija się w tłuste serce księcia.

Miecz zawsze znał jego wolę. Frey mógł zginąć podziurawiony gradem kul, ale sprawca jego nieszczęścia miał umrzeć razem z nim. I cała Vardia miała się dowiedzieć, jak księżę Grephen padł z ręki nic nieznaczącego przemytnika, który w ostatniej chwili go przechytrzył.

- Zabij go - rzucił Grephen do kata.

Kat podniósł kordelas. Frey zamknął oczy.

Gotowy...

Ostrze zadrżało i wyobraził sobie, że słyszy harmonię śpiewu zaklętego w nim demona.

Gotowy...

A wtedy donośny głos krzyknął:

- Stać!

## 35

*Podjeżenia Kedmunda Drave'a - Frey wygłasza mowę -  
Niejasna kwestia dowodów - Śmierć na placu*

Głos, który wstrzymał egzekucję, należał do Kedmunda Drave'a, budzącego największy lęk ze wszystkich Rycerzy Centurii, którego Frey widział po raz ostatni na lądowisku w Tarlock Cove, po tym, jak wypalił mu w pierś ze strzelby. Na jego kształtowanej, karmazynowej zbroi nie było widać śladu tamtej potyczki, kiedy szedł po placu w stronę księcia Grephena, powiewając czarną peleryną.

Obok niego szli Samandra Bree i Colden Grudge. Frey poznał ich z ferrotypów. Samandra miała na sobie strój, z którego słynęła - wytarty płaszcz i wysokie buty, luźne skórzane spodnie, na głowie trójrozny kapelusz. Grudge, w kontraście do niej, wyglądał jak półmałpa. Kudłaty i nieogolony, był zwalistą masą brudnej zbroi, z trudem opiętej fałdami płaszcza z kapturem. O plecy objęło mu się automatyczne działko, tak wielkie, że większość

ludzi nie potrafiłaby go unieść, a co dopiero z niego strzelać.

- Co tu się dzieje? - spytał Drave, podchodząc do księcia. Niemal nie można było wyobrazić sobie dwóch bardziej różnych ludzi: miękki, rozpieszczony arystokrata w wyprasowanym w kancik mundurze i twarda jak stal postać rycerza, o srebrnosiwych włosach przyszytych krótko przy skórze i ze straszliwymi bliznami na policzku i szyi.

Grephen wziął się w garść, pokonał strach i spróbował odwołać się do swojej książęcej władzy.

- Ci ludzie to piraci - powiedział. - Zostali skazani na śmierć. Nie wiedziałem, że jest jakieś prawo, które zabrania księciu rozprawiania się z piratami w jego własnym księstwie. Jak widzisz, mam tu sędziego, żeby wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

Drave wbił wzrok w starego sędziego, który zaczął się wyraźnie denerwować.

- Rozumiem - odparł wolno rycerz. - Domyślam się, że proces był wnikliwy i sprawiedliwy.

Grephen się najeżył.

- Zważ, do kogo mówisz, drogi panie. Możesz mieć za sobą autorytet arcyksięcia, ale nawet arcyksiążę ma szacunek dla swoich książąt.

- Nie płacą mi za szacunek - prychnął Drave. Odwrócił się do sędziego. - Zakładam, że proces się odbył?

Sędzia zerknął z ukosa na Grephena i przełknął ślinę.

- Sprowadzono mnie tu, żebym nadzorował egzekucje. Książę zapewnił mnie, że вина nie podlega wątpliwości.

- A więc ma pan spisane zeznania, tak? - spytał Drave Grephena.

Frey wyszczerzył się szeroko. Po tym, jak zniszczył ostatnie zeznanie, nie było czasu na spisanie i podpisanie nowego.

- Zostali schwytani na gorącym uczynku podczas popełniania aktu piractwa - oznajmił książę, czerwieniejąc z gniewu. - Nie było potrzeby spisywania zeznań ani procesu. Wykorzystałem swoje książęce uprawnienia, bo mam do tego prawo. Poza tym przyznali się.

- Akurat, bujda! - wrzasnął Malvery z klatki. - On kłamie!

- Zamknij się! - warknął Colden Grudge, celując w niego mięsistym palcem.

- Jesteśmy niewinni! - zawtórował wesoło Pinn. Przez krótką chwilę jego wiara w interwencję w ostatniej chwili się zachwiała, teraz jednak pomoc nadeszła i świat znów wskoczył na właściwe tory.

Drave skierował wzrok na Trinicę.

- Trinica Dracken. schwytałaś tych ludzi?



- Tak.
- Wiesz, za jakie zbrodnie są poszukiwani?
- Wiem.
- I zostałaś wynajęta przez księcia, żeby ich złapać?

- Tak.

- A więc księżę też musi wiedzieć, za jakie zbrodnie są poszukiwani.

Trinica spojrzała na Grephena, jej czarne oczy były całkowicie wyprane z emocji.

- Tak sądzę - odparła.

Drave odwrócił się do księcia.

- Skoro tak, księżę Grephenie, dlaczego uznał pan, że może stracić tych więźniów samemu, zamiast dostarczyć ich arcyksięciu, by odbył się nad nimi publiczny proces? W końcu to nie pana syna zabili.

Grephen zaczął się pocić, rzadkie włosy przylepiły mu się do czoła. Spojrzał na Galliana Thade'a, ale Thade nie mógł mu pomóc.

- Ja mogę na to odpowiedzieć - zawołał Frey. Wciąż klęczał na podwyższeniu, obok stojącego nad nim kata, który w garści trzymał luźno jego kordelas.

- Milcz, kryminalisto! - warknął Grephen.

Drave zmrużył oczy i spojrzał po raz pierwszy na człowieka, który omal nie zabił go kilka tygodni wcześniej. Frey zastanawiał się, czy to złowrogie spojrzenie oznacza dla niego śmierć, czy może raczej Drave da mu tak potrzebną szansę. Przez długą chwilę rycerz milczał, potem podniósł dłoń.

- Niech mówi. Chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Frey rozejrzał się po placu. Oczy wszystkich skierowane były na niego. Strażnicy w błękitnych mundurach patrzyli po sobie nerwowo. Grephen wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować ze strachu. Myśleli, że to będzie prosta egzekucja: teraz zrozumieli, że chodzi tu o coś więcej.

- Mogę wstać? - spytał Frey. - Kolana mnie już bolą.

Drave gestem pozwolił mu się podnieść. Kat cofnął się o krok.

- Streszczaj się - zażądał rycerz. - I lepiej, żebyś mówił do rzeczy. Dotrę do sedna tej sprawy, ale nie myśl, że nie pragnę twojej śmierci tak samo jak wszyscy inni.

Frey wstał. Wciąż czuł dziwny spokój, który spłynął na niego wraz ze świadomością pewnej śmierci. Zupełnie jakby jego ciało nie mogło jeszcze uwierzyć, że być może dostał szansę ocalenia.

- Opowiem więc najprościej, jak umiem - odrzekł. - Księżę Grephen planuje obalenie

arcyksięcia. Płacą mu za to Przebudzeni; chcą się pozbyć arcyksięcia z powodu politycznych decyzji, którymi on i jego żona próbują ograniczać ich władzę. Wiedzą, że Grephen jest wyznawcą i że będzie im sprzyjał, kiedy obejmie władzę.

- To kłamstwa! - wrzasnął Grephen, ale Frey mówił dalej.

- Przebudzeni nie mają armii, a Grephen nie jest w stanie zebrać sił wystarczających, by zagrozić Marynarce Koalicji, więc wspólnie zebrali armię piratów i przemytników, opłacaną złotem Przebudzonych. Armia ta przebywa w ukrytym porcie Retribution Falls, czekając na sygnał do ataku na Thesk i obalenia arcyksięcia. O ile wiem, sygnał ten ma nadejść lada dzień.

- A co to wszystko ma wspólnego ze zniszczeniem „Asa Czaszek” i śmiercią Hengara? - spytał Drave.

- Śmierć Hengara była wstępem. Chcieli mieć pewność, że nie zostanie nikt, przy kim mogliby się zebrać lojaliści. Był jedynym potomkiem rodu Arkenów, który mógłby odziedziczyć tytuł po śmierci arcyksięcia. Jego ukrywany romans z Samarlanką dał im sposobność, by się go pozbyć i upozorować wypadek. A Hengar był popularny; zabijając go i rozpuszczając informację o romansie, sprawili, że rodzina arcyksięcia wyszła na nieuczciwą i niemoralną. Tym lepiej, bo po przewrocie mogliby twierdzić, że była to rewolucja obalająca skorumpowany reżim, tak samo jak twierdzili książęta, obalając monarchię.

- To czysta fantazja! - wrzasnął Grephen. - Nie będę tu stał i wysłuchiwał takich oszczerstw z ust pirata i mordercy!

- Mogę to udowodnić - ciągnął Frey. - Byłem w Retribution Falls i widziałem czekającą tam armię. Wiem, jak tam dotrzeć. - Spojrzał prosto w oczy Kedmunda Drave'a. - Mogę was tam zaprowadzić.

Drave odpowiedział równie intensywnym spojrzeniem.

- W zamian za ułaskawienie, bez wątpienia.

- Ułaskawienie? - zawołał książę, ale został zignorowany.

- Dla mnie i mojej załogi - potwierdził Frey. - „As Czaszek” był zaminowany. Każdy inżynier powie wam, że niemożliwe jest wysadzenie tej wielkości statku bronią, w którą wyposażony jest mój. Wrobiono nas, żeby nikt nie podejrzewał, że to część większego planu. Mieli nadzieję, że zginiemy, zanim się dowiemy, o co w tym wszystkim chodzi. - Podniósł związane ręce i wskazał przez plac. - To dzieło Galliana Thade'a. On też jest w to zamieszany.

Thade nic nie powiedział, ale jego wzrok zabijał.

- Zamierzasz uwierzyć mu na słowo, jaką ma broń na swoim statku? - wykrztusił

Grephen.

- Wiem, jaką ma broń na swoim statku - odparł Drave. - jest w naszych rękach.

Freyowi mocniej zabiło serce. To mogło oznaczać tylko jedno. Jez! Jakimś cudem odnalazła Rycerzy Centurii i opowiedziała im, co się dzieje. Zapłonął w nim ogienek prawdziwej nadziei.

- To gra na zwłokę! - oskarżył go Grephen. - Ten łotr wpuszcza was w maliny. Nie zgodzicie się chyba, żeby ciągał was po całej Vardii w poszukiwaniu jakiegoś legendarnego portu piratów?

Drave spojrział na Freya.

- To właśnie robisz? Grasz na zwłokę?

- Jeśli wolno... - odparł Frey. Wsadził ręce w spodnie i zaczął grzebać w okolicach krocza. Kilku strażników wymierzyło w niego karabiny. Samandra Bree uniosła brew.

Po chwili Frey wyciągnął ciasno poskładaną kartkę i podał ją z podwyższenia rycerzowi. Drave popatrzył na nią, potem skinął głową Samandrze.

- Ja? - zaprotestowała Bree. Przewróciła oczami. - Dobrze! - jęknęła.

Ostrożnie wzięła kartkę z rąk Freya, starając się jak najmniej jej dotykać.

- Trzymałeś ją tam od dawna, prawda?

- Odkąd Dracken nas złapała - powiedział Frey i puścił oko. - Na szczęście nie przeszukali nas zbyt dokładnie.

Samandra zmarszczyła swój ładny nos.

- Fúj.

Podala kartkę Drave'owi, który rozłożył ją, najwyraźniej niezrażony wilgocią i zapachem.

- To kartka z książki kapitana portu w Retribution Falls. Na dole jest jego nazwisko i tytuł - wyjaśnił Frey.

- Widzę - powiedział Drave. Odwrócił kartkę. - Ale nie widzę tu „Ketty Jay”.

- Nie lataliśmy wtedy jako „Ketty Jay”. To by była głupota, skoro połowa Vardii chciała nas dopaść i zabić.

- Bardzo wygodnie! - zakpił Grephen.

- Nie pokazuję tego, żeby udowodnić, że ja tam byłem. Fakt, że trzymasz to w ręku, jest wystarczającym dowodem - odparł Frey. - Nazwa, której powinniście szukać, to „Chwila Ciszy”. Jeśli sprawdzicie jego dane, dowiedziecie się, że to statek zarejestrowany na Przebudzonych. Podpis też będzie się zgadzał z podpisem jego kapitana. To ten statek przewoził złoto Przebudzonych do Retribution Falls, żeby opłacić armię.

Grephen z trudem łapał oddech.

- Ten... ten świstek niczego nie dowodzi! To sfalszowany śmieć!

O Kedmundzie Drave krążyło wiele opowieści. Jak wszyscy Rycerze Centurii miał własną legendę. Jedna z mniej nieprzyjemnych historii głosiła, że potrafił stwierdzić, czy ktoś kłamie, patrząc mu w oczy. Teraz właśnie to robił. Wbił przeszywające spojrzenie w oczy księcia.

Grephen cofnął się o krok.

- Przedkładasz słowo skazańca nad słowo księcia?

- Księcia, który wciąż mi nie powiedział, dlaczego usiłuje stracić tych więźniów, skoro wie, że powinni być sądzeni przez arcyksięcia.

- To niedorzeczne! - zawołał Grephen, wymachując rękami. - Nie muszę ci się tłumaczyć! We własnym księstwie nie muszę się tłumaczyć nikomu oprócz arcyksięcia!

- Działamy w jego imieniu - odparł Drave. - Dlatego mi pan odpowie!

- No dalej, Grephen! - zadrwił Frey. - Powiedz mu, dlaczego chcesz mnie zabić! Opowiedz mu o Orkmundzie i wszystkich twoich zaprzyjaźnionych piratach!

- Ty! - krzyknął książę, celując w niego dygoczącym palcem. - Mam cię już dość! - Spojrzał na kata, który wciąż stał na podwyższeniu z kordelasem Freya. - Zabij go!

Dwie strzelby wyskoczyły spod płaszcza Samandry Bree i wycelowały w oprawcę.

- Podnieś ten miecz, a zginiesz jako pierwszy - zagroziła.

Kat znieruchomiał, skacząc wzrokiem między księciem a dwoma lufami wymierzonymi w swoją twarz. Frey nie wątpił, które z nich ma większą siłę przekonywania.

Gwardziści księcia zaczęli się nerwowo kręcić. Byli lojalni wobec swojego pana i nie podobało im się, że jest zastraszany. Colden Grudge, wyczuwając ich napięcie, odrzucił połę płaszcza, ułatwiając sobie dostęp do dwusiecznych toporków wiszących u pasa.

- Wasza łaskawość, myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdzie pan ze mną - oznajmił Drave - żebyśmy mogli potwierdzić pańską niewinność.

- Aresztujecie mnie? - zachłysnął się Grephen. Obejrzał się na lewo i prawo wytrzeszczonymi oczami, jak zapędzone w kąt zwierzę. Stary sędzia już się wycofał, dystansując się od niego.

- Wasza łaskawość! - warknął Thade, widząc panikę na twarzy towarzysza. - Proszę się opanować!

- W imieniu arcyksięcia uprzejmie proszę o pańskie towarzystwo - powiedział spokojnie Drave. - Nie zostanie pan aresztowany. Musimy tylko mieć pewność, że nigdzie się pan nie wybiera. Jeśli te zarzuty są bezpodstawne, nie ma się pan czego obawiać.

- Nie mam się czego obawiać? - zaskrzeczał Grephen. - Jestem księciem! Do kroćset,

jestem księciem Vardii! Nie możecie mnie tak traktować w moim własnym domu!

Zawahał się, otwierając usta, jakby zszokowany ogromem tego, co zamierzał zrobić. Potem odwrócił się do kapitana swojej straży.

- Brać ich! - krzyknął. - Aresztować tych rycerzy!

Na placu wybuchł chaos. Milicja runęła na rycerzy. Ryknęły strzelby Samandry Bree i dwóch ludzi poleciało w tył w chmurze krwi. Colden Grudge zaczął wymachiwać toporkami, odrąbując kończyny i palce. Kedmund Drave poruszał się szybciej, niżby sugerowały jego masa i zbroja; wysliznął się z uchwytu dwóch żołnierzy, plując ogniem z dwóch rewolwerów. W ciągu kilku sekund plac przed prowizoryczną szubienicą Freya zmienił się w pole bitwy - milicja próbowała powalić rycerzy, a rycerze odpowiadali zabójczą siłą.

Kat stał z rozdziawionymi ustami. Frey odwrócił się do niego i wyciągnął ręce.

- Tnij sznur! - powiedział. Mówił raczej do kordelasa, niż do dzierżącego go mężczyzny.

Ostrze skoczyło, kierowane własną wolą, przecięło powietrze i sznur między nadgarstkami Freya. Kiedy tylko jego dłonie były wolne, kordelas w nie przeskoczył. Ułamek chwili później Frey przyłożył czubek ostrza zdeorientowanemu oprawcy do gardła. Tamten wytrzeszczył oczy, nic nie rozumiejąc. Frey wymierzył mu porządny, mocny kopniak w krocze. Kat wytrzeszczył oczy jeszcze bardziej i powoli spłynął na ziemię.

Pinn wiwatował z wnętrza klatki. Crake zawołał Freya i pokazał palcem.

- Dracken ucieka! - wrzasnął.

Frey się obejrzał. Walka na placu robiła się coraz bardziej zacięta. Rycerze byli przytłoczeni przewagą liczebną, ale wciąż się nie poddawali. Na ziemi leżało kilka zakrwawionych ciał. Milicja przestała próbować kogokolwiek pojmać i usiłowała już tylko ich pozabijać, ale ich karabiny były nieprzydatne w takim ścisku. Kilku wyciągnęło noże i pistolety. Rycerze skakali między kulami i ostrzami z wyćwiczoną dzikością, a przeciwnicy nie mogli ich nawet dotknąć.

Za tym wszystkim Frey zobaczył Trinicę Dracken. Biegła w stronę drzwi prowadzących do koszar, uciekając z placu. Księżę Grephen cofał się od kłębowiska ludzi walczących z rycerzami. Wyglądał na oszołomionego, przerażonego rzezią, którą rozpętał. Niechcący podszedł za blisko klatki, w której trzymano załogę „Ketty Jay”, a wtedy Malvery sięgnął i chwycił go swoimi grubymi łapskami, przyciskając do krat.

- Mam go, kapitanie! - wrzasnął, a Frey skoczył z podwyższenia w pościg za Trinicą. Kiedy przebiegał przez plac, zniknęła akurat w budynku. Kątem oka zobaczył Galliana Thade'a biegnącego do tych samych drzwi. Arystokrata uznał najwyraźniej, że Trinica miała dobry pomysł i porzucił swojego księcia, wybierając pospieszną ewakuację.

Obaj pędzili przez dziedziniec i przez chwilę wydawało się, że dobiegną do celu w tej samej chwili. Potem jednak Frey zobaczył, że Drave podnosi rewolwer i strzela przez tłum otaczających go ciał. Thade potknął się w biegu i poleciał do przodu, pchany własnym rozpędem. Jego twarz obwisła i runął na ziemię w chmurze kurzu. W jego eleganckiej marynarce ziała krwawa dziura.

Frey pobiegł dalej, przez chwilę bojąc się kuli we własnych plecach, ale Drave był zanadto zajęty ratowaniem siebie, by poświęcić choć ułamek chwili komukolwiek innemu. Pinn i Malvery dopingowali go, kiedy przeleciał przez otwarte drzwi, z dziedzińca wbiegając w chłodne, kamienne korytarze koszar.

Trinica zniknęła właśnie za zakretem, więc rzucił się w pogoń. Jej kompas i mapy były jego jedynymi kartami przetargowymi; gdyby udało się jej z nimi uciec, on i jego załoga wciąż zawiśliby za swoje zbrodnie. Kiedy okrążył róg, mignęła mu znów - czarno odziana postać z nierówno obciętymi, białymi włosami. Słyszając jego kroki, obejrzała się. W jej oczach nie zobaczył niczego, nawet zdziwienia. Skoczyła za następny róg i zniknęła.

Frey pobiegł najszybciej jak mógł, wymachując łokciami, tnąc kordelasem powietrze. Koszary były puste, od ścian odbijało się głuche echo tupotu jego butów. Skręcił za róg za Trinicą.

Stała tam, kilka metrów przed nim, z rewolwerem wymierzonym w jego pierś. Frey poczuł jeszcze przelotnie straszne zaskoczenie, a potem do niego strzeliła.

Huk wystrzałów był ogłuszający. Frey nie miał nawet czasu wyhamować, zanim nie nacisnęła dwa razy spustu, raz po raz, strzelając niemalże z przyłożenia. Jego rozpęd został brutalnie zatrzymany. Zachwiał się na piętach i upadł na plecy.

Trinica zlekceważyła go, zanim jeszcze dotknął podłogi. Schowała rewolwer do kabury i pobiegła dalej, nie tracąc ani chwili czasu na sentymenty.

Frey słyszał, jak jej kroki cichną w korytarzu. Jego pierś ciężko unosiła się i opadała. Mózg i ciało stopniowo wychodziły z szoku.

Podniósł się na łokciach. Z niedowierzaniem popatrzył na pierś.

W jego koszuli nie było dziur. Nic mu się nie stało. Wstał, rozglądając się dookoła, jakby mógł w ten sposób znaleźć odpowiedź.

Nie jestem martwy, pomyślał tępo. Dlaczego nie jestem martwy?

Przychodziło mu do głowy tylko jedno. Spojrzał na własną rękę, wciąż trzymającą kordelas.

Demon zaklęty w ostrzu odbił kule.

- Nie wiedziałem, że to potrafisz - mruknął, patrząc na broń z podziwem. Nie było na niej

nawet śladu. - Crake, jesteś cholernym geniuszem.

Nie miał jednak czasu na zachwyty. Sytuacja była zbyt napięta, by pławić się w swoim szczęściu.

Korytarz kończył się rozwidleniem w kształcie litery T. Frey stanął i popatrzył w obie strony. Po lewej, kawałek dalej, zobaczył otwarte drzwi. Podkrał się w ich stronę. Kiedy się zbliżył, usłyszał stłumione odgłosy przerzucania jakichś rzeczy i pstryknięcie zamka walizki. Nagle z drzwi wypadła Trinica. Ramię Freya skoczyło w górę. Ostrze kordelasa dotknęło jej szyi i zamarła w miejscu. W jednym ręku trzymała rewolwer, w drugim walizkę, z którą Frey widział ją, kiedy prom wiózł ich tu z „Płomienia Delirium”. Walizkę zawierającą mapy i kompas, które zaprowadziłyby go do Retribution Falls.

- E-e, Trinico - powiedział karcącym tonem. - Nigdzie nie idziesz. Rzuć broń.

Popatrzyła na niego czarnymi oczami, ale się nie odezwała.

- Myślisz, że tego nie zrobię? - spytał. - Sprawdź mnie. Po tym, co właśnie wykręciłaś, z radością się ciebie pozbędę.

Trinica rzuciła rewolwer. Frey kopnął go dalej od niej.

- Daj mi walizkę - powiedział.

Uśluhała. Nie wydawała się zaskoczona tym, że Frey wciąż żyje i nie pytała, jak to możliwe.

- Oni mnie zabiją, Darianie - powiedziała. - Kiedy plan Grephena wyjdzie na jaw, powieszą mnie jako spiskowca.

- Prawdopodobnie - zgodził się Frey. Wciąż był na tyle wściekły, że go to nie obchodziło. Fakt, że do niego strzeliła, głęboko go zranił. Nie wiadomo dlaczego, zawsze mu się wydawało, że nie będzie do tego zdolna. Patrząc, jak umiera powieszony, to jedno, ale to - to był zupełnie nowy poziom bezwzględności. Frey czuł się zdradzony. Ich wspólna przeszłość powinna coś w tamtej chwili znaczyć. Człowiek nie powinien robić czegoś takiego komuś, kogo kiedyś kochał.

Trinica patrzyła na niego przez długą chwilę.

- I co teraz? Zabierzesz mnie do nich?

Frey nie odpowiedział. Nie zastanawiał się, co zrobi po zdobyciu map. Nie zastanawiał się, co może zrobić z Trinicą.

- Wiesz, że nie masz gwarancji, że cię ułaskawią, prawda? - powiedziała. - Wiesz, że mogą cię zmusić do współpracy. Mogą cofnąć swoje słowo, kiedy zrobisz to, co obiecałeś. Bo jakkolwiek byś się z tego wykręcał, ostrzelałeś „Asa Czaszek”. Atakowałeś go, kiedy wybuchł. Myślisz, że arcyksiążę będzie chciał ułaskawić człowieka, który zabił jego jedyne

syna? - Kącik jej ust drgnął w uśmiechu. - Jesteś zdrajcą i piratem, tak samo jak ja.

Frey chciał zaprzeczyć temu porównaniu. Chciał jej powiedzieć, że nie są tacy sami. Ale wiedział, że Trinica ma rację. Odwoływała się do jego najgłębszych obaw. Jego cały plan opierał się na układzie z władzą, a wiedział, jaka potrafi być władza. Nie znała uczciwości ani sprawiedliwości. Mogła wycofać się z każdego układu, jeśli jej to pasowało.

- Chodź ze mną, Darianie - zaproponowała Trinica.

Freya to zaszokowało.

- Z tobą? - parsknął odruchowo.

- Wyszadzę cię w bezpiecznym porcie. Tam dasz sobie radę. Będzie nas obowiązywał rozejm, jak dwoje kapitanów. Dopilnuję, żeby nie spotkała cię krzywda.

Frey się zawahał, pogardliwy grymas zniknął z jego twarzy. Wierzył jej. Piraci mieli swój honor, którego nie znała arystokracja. Mimo to rozwścieczyło go, że serce zabiło mu szybciej na tę nic nieznaczącą propozycję. Choć nienawidził jej przez te wszystkie lata, jego ciało nie zapomniało najwyraźniej łączącej ich kiedyś miłości. Najdrobniejsza sugestia pogodzenia, sojuszu, rozpalila mu we wnętrzościach tęsknotę, której się brzydził. Zareagował tylko większą determinacją.

Do diabła z nią. Z nią i jej rozejmami.

To już nie była kobieta, którą kochał. Tamta już nie istniała. Teraz nawiedzał go tylko jej duch.

- Po co ryzykować, Darianie? - spytała. - Jeśli tam wrócisz, powieszają cię.

- Jeśli nie wrócę, na pewno powieszają moją załogę.

- Od kiedy to ma dla ciebie znaczenie?

Nie znał na to odpowiedzi. Nie była tak naprawdę ważna. To było nagromadzenie chwil: zbitek pijanego śmiechu, triumfalnych uśmiechów, strzelanin, kłótni i sarkastycznych docinków. Uczucie podkładało się do niego niezauważenie, a kiedy zdał sobie sprawę z jego istnienia, oładnęło nim już całkowicie.

Może podjął decyzję, kiedy postanowił powierzyć Jez kod zapłonu? A może kiedy zdradził go Trinice, żeby ocalić Crake'a? Może właśnie dlatego czuł potrzebę odpłacenia Jez za jej lojalność. Wróciła, a on ją za to podziwiał.

Nie wiedział, kiedy zaczęło to mieć dla niego znaczenie. Wiedział tylko, że zaczęło. Nie mógł porzucić swojej załogi, niezależnie od ryzyka.

Trinica zobaczyła decyzję w jego oczach. W jej głosie pojawił się ledwie słyszalny ton szacunku.

- Popatrz, popatrz - mruknęła.



Ale Frey nie był w nastroju do przyjmowania gratulacji. Wcisnął czubek kordelasa głębiej pod jej brodę, odchylając w tył jej głowę. Na białej skórze wykwitła jasnoczerwona plamka krwi.

- Daj mi jeden powód, żebym cię nie zabijał.

- Nie ma żadnego - powiedziała Trinica. - To twoja szansa, Darianie. Jeśli mnie do nich zabierzesz, umrę i tak. Dlatego obiecuję ci, że nie umrę cicho. Lepiej zabij mnie od razu. Wolę, żebyś to zrobił ty niż oni.

W jej głosie nie było śladu strachu. To Frey się bał. Nie miał wątpliwości, że mówiła prawdę. Wolałaby się rzucić na jego ostrze, niż dać się wziąć do niewoli. Nie tylko spodziewała się śmierci, witała ją chętnie. W tym momencie zrozumiał, w jaki sposób stała się jednym z budzących największy lęk piratów w Vardii. Wszystko w niej umarło razem z jej dzieckiem. Jak można było zabić chodzącego trupa?

Spojrzał na kobietę, którą kiedyś kochał, stojącą z uniesioną brodą i patrzącą na niego chłodno. Wiedział, że nie da rady tego zrobić. Bo był jej coś winien. To on zmienił ją w tę istotę, kiedy tak okrutnie ją porzucił. Może nie był jedynym odpowiedzialnym za śmierć swojego dziecka, ale część winy spoczywała na nim. To on ją do tego pchnął. I, choć to gorzka prawda, nie mógł się już dłużej okłamywać.

Trinica dość się wycierpiała. Miała to wypisane na twarzy.

Frey opuścił kordelas.

- Będziesz teraz ścigana - przypomniał. - Nie będziesz już wolnym strzelcem, korsarzem, ale piratem. Marynarka nigdy nie zostawi cię w spokoju.

Trinica dała krok w tył, uniosła smukłą dłoń do szyi, zakrywając skaleczenie. Patrzyła na niego z dziwną, zranioną czułością.

Nie mógł tego znieść.

- Wynoś się stąd - rzucił.

- Nie jesteś taki, jak myślałam, Darianie - stwierdziła, a w jej głosie była jakaś miękkość, coś, co przypominało mu głos sprzed lat, głos, który roztapiał mu serce. Nie śmiał pozwolić, by znów się to stało.

- Żegnaj, Trinico - powiedział.

A ona odwróciła się i pobiegła korytarzem, odprowadzana przez Freya wzrokiem, aż zniknęła mu z oczu.

\* \* \*

Kiedy Frey wrócił na plac, bitwa była już zakończona. Sześciu żołnierzy milicji się

poddało. Reszta leżała w różnych stadiach śmierci i rozczłonkowania na ziemi. Ich krew zmieniała kurz w czerwoną papkę. Z Rycerzy Centurii tylko Colden Grudge otrzymał powierzchowną ranę w czoło. Celował do księcia i ocalałych strażników ze swojego działka. Nie miał sposobności użyć go wcześniej, w walce wręcz, ale teraz wyglądał, jakby tylko czekał na pretekst.

Kiedy Frey się pojawił, Kedmund Drave się obejrzał, zaalarmowany wiwatami z wozu, w którym trzymano załogę „Ketty Jay”. Frey schował mapy i kompas, które zabrał Trinice, a kordelas wsadził sobie za pas. Szedł znużonym krokiem.

- Nie spodziewałem się znów cię zobaczyć - stwierdził Drave.

- Chcę pomóc Koalicji - odparł Frey. - Możesz mnie nazwać patriotą.

- Dracken?

- Uciekła.

- Myślisz, że może ostrzec pozostałych? Orkmunda i jego ludzi?

- Dopilnowałem, żeby nie mogła do nich trafić. Ale musimy działać szybko. Nie zaatakują, skoro nie ma kto im dać sygnału, ale prędzej czy później zwęszą, co się tu stało.

- Gdzie są. Policzymy się z nimi.

Frey roześmiał się sardonicznie.

- Nie. Powiem ci, jak to będzie. Zbierzecie grupę uderzeniową statków Marynarki. Ja poprowadzę ją do Retribution Falls. Beze mnie nie będziecie wiedzieli, gdzie lecieć.

Drave przyjrzał się mu, szukając oznak kłamstwa. Frey nie dał się zastraszyć. Otepiały po torturach, wstrząśnięty faktem, że stanął twarzą w twarz z katem, nagle znów stał się niewzruszenie spokojny.

- Będę potrzebował mojego statku i mojej załogi - powiedział. - I mojej nawigatorki. Przy okazji, jak was znalazła?

Wówczas podeszła do nich Samandra Bree. Odsunęła w tył swój kapelusz i uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Powiedziała nam, że poznała bardzo ważną osobistość, niejakiego marszałka powietrznego Barnery'ego Vexforda, na przyjęciu w Scorchwood Heights. Z tego co mówiła, musiała z nim robić różne okropne rzeczy, żeby zapewnić sobie w tak krótkim terminie audiencję u przedstawicieli arcyksięcia. To stary świntuch. - Poklepała Freya po ramieniu. - Masz zadziwiająco lojalną załogę, kapitanie.

Frey mógł sobie tylko wyobrażać, jaką lojalnością musiała się wykazać Jez.

- Kiedy się dowiedzieli, gdzie jesteście, wysłali nas - powiedział Drave. Rozejrzał się dookoła, popatrzył na leżące na ziemi trupy. - Sądząc po reakcji księcia, powiedziałbym, że w

twojej i w jej opowieści jest ziarno prawdy.

- Chcę ułaskawienia - powiedział Frey. - Na piśmie.

- Dostaniesz je - odparł Drave. - Kiedy zaprowadzisz nas do Retribution Falls. Nie wcześniej.

Frey już chciał zaprotestować, ale rycerz uniósł opancerzoną dłoń.

- Ułaskawienie można cofnąć. Nie ma znaczenia, czy masz je na papierze. Jeśli mówisz prawdę i zrobisz, co obiecujesz, dostaniesz, czego chcesz. Ale oszukaj mnie, a żadne miejsce na świecie nie będzie dla ciebie bezpieczne.

Frey spokojnie wytrzymał jego spojrzenie. Pogrożki już go nie wzruszały.

- W takim razie musimy chyba zaufać sobie nawzajem, prawda? A teraz wyciągnijcie moich ludzi z tej klatki.

## 36

*Powrót na Cmentarzysko Rooka - Jez jedną ze swoich -  
Demony Harkinsa i Pinna - Frey podejmuje ryzyko*

- Przed nami, kapitanie. Trzymaj kurs, aż zobaczysz.

Frey mruknął potakująco i Jez wróciła do swoich map. „Ketty Jay” sunęła przez mgły Cmentarzyska Rooka.

Stojący za Freyem Crake wpatrywał się w kompas Dracken i ostrzegał o czyhających w oparach zabójczych latających minach. Jego głos był stłumiony przez maskę na ustach. Frey też taką nosił.

Jez nie. Przestała już udawać, że jej potrzebuje. W kokpicie było ciemno i duszno, wszelkie dźwięki niosły się dziwnym echem. Po szybie spływała rosa, a ciszę wypełniało ciche warczenie turbin „Ketty Jay”. Jez siedziała w swoim fotelu na stanowisku nawigatora, wytyczając kurs wprawnie jak zwykle. Z roztargnieniem postukała w przycisk elektroheliografu lewą ręką, ostrzegając lecących za nimi o położeniu min, jednocześnie skupiając się na wyliczeniach.

Frey zdjął na chwilę maskę.

- Jak tam z tyłu, doktorze? - wrzasnął.

- Siedzą nam na ogniu! - ryknął Malvery z wieżyczki, skąd miał widok na to, co się działo za „Ketty Jay”. Tylko on widział olbrzymie kształty w ciemności, dryfujące za nimi niczym złowrogie zjawy.

- Założę się, że nie marzyłeś nawet o dniu, kiedy będziesz prowadził flotyllę statków Marynarki - wyszczerzyła się Jez do kapitana.

- Nie marzyłem - zgodził się, kpiąco wykrzywiając usta, a potem z powrotem założył maskę-filtr.

Rozległa się głucha eksplozja, kiedy jedna z min została zdetonowana przez trałowiec Marynarki, oczyszczający drogę dla statków za nimi. Posuwali się powoli, od wielu godzin, stopniowo podpełzając coraz bliżej Retribution Falls, usuwając po drodze wszystkie zagrożenia. Ponieważ pozostałe statki nie miały własnych kompasów, zbyt ryzykowne było prowadzenie całej grupy uderzeniowej przez pole minowe gęsiego.

Jez zastanawiała się, jak daleko niesie się dźwięk przez dławiacą mgłę i głębokie, strome kaniony; czy zastaną mieszkańców Retribution Falls czekających na nich w gotowości, kiedy tam dotrą. Ale mimo zagrożenia ze wszystkich stron i pewności czekającego ich starcia, była zadowolona.

Odgłosy „Ketty Jay” ją uspokajały. Poznała już wszystkie skrzypnięcia i stukania i dodawały jej teraz otuchy. Fotel nawigatora dopasował się do jej sylwetki, jakby w jakiś sposób odcisnęła na nim pośladki i plecy, i siedziało się w nim naturalnie i wygodnie. Duchota kokpitu stała się przytulnym, ciepłym sanktuarium, schronieniem przed czyhającym na zewnątrz wrogim światem.

Było to dziwne doświadczenie. Od chwili ataku Manów na małą wioskę w Yortlandii minęło tyle czasu, że Jez zapomniała, jak to jest być zadowolonym. Przez trzy lata błąkała się, ukrywała, bezustannie bała zdemaskowania. Nigdzie nie zapuściła korzeni ani nie pozwalała sobie na przywiązanie do innych.

Tutaj jednak w końcu czuła się jak w domu. Znalazła swoje miejsce i zamierzała w nim zostać.

Jej ponowne spotkanie z załogą było zaskakująco wzruszające. Malvery omal nie połamał jej żeber w uścisku, a potem głośno i węsato cmoknął ją w policzek. Frey był podobnie wylewny. Pinn klepnął ją w ramię. Harkins bełkotał coś, rozradowany. Silos z szacunkiem skinął jej głową, co było u niego odpowiednikiem wybuchu radości. Nawet Crake wydawał się cieszyć na jej widok, choć spoglądał czujnie, jakby spodziewał się, że nie będzie chciała uścisnąć mu dłoni.

- Dziękuję - powiedział po prostu.

- Przywiozłam Bess - odparła Jez, kciukiem wskazując otwartą ładownię. - Jest tam.

W oczach Crake'a stanęły łzy, a jego twarz wykrzywił niekontrolowany uśmiech, na wpół łkanie; potem demonista uściskał ją z całych sił. Była tak zaskoczona, że też go uściskała. Ze wszystkich ludzi Crake powinien nienawidzić jej najbardziej zaciekle. Był inteligentny, obeznany w sekretnych sztukach. Do tej pory musiał odgadnąć, kim była.

A mimo to wyściskał ją tak samo, jak pozostali.

Jez miała nadzieję, że w najlepszym wypadku pozwolą jej odejść swoją drogą. Liczyła, że będą na tyle wdzięczni za ratunek, by nie wyjawiać jej sekretu Rycerzom Centurii, choć wiedzieli, jak jest niebezpieczna. Myśl, że mogliby ją przyjąć z powrotem, była niedorzeczna. Mogli tolerować na pokładzie otwarcie praktykującego demonistę, ale jak można było znosić kobietę, której serce nie biło, która nie musiała oddychać, spać ani jeść? Jak można było komuś takiemu zaufać? Komuś pozbawionemu zwykłych ludzkich słabości, skąd można było wiedzieć, co ten ktoś zrobi?

Pogodziła się z faktem, że mogą się od niej odwrócić. Wdzięczność nie stosowała się do potworów. Mogli próbować ją zabić. Była na to gotowa. Uznała to za akceptowalne ryzyko.

Ale oni powitali ją jak starego przyjaciela.

Nie śmiała wierzyć, że to prawda. Na pewno cieszyli się, że uszli katu, i nie mieli czasu wszystkiego przemyśleć. Jeśli tak, to ich podejrzenia musiały wezbrać w miarę opadania radości. Jez nie mogła tego znieść. Musiała wiedzieć, czy akceptowali ją taką, jaką była, czy po prostu jeszcze nie dotarła do nich prawda.

- Chyba... - odezwała się, kiedy tylko Crake ją puścił. - Chyba jestem wam winna wytłumaczenie.

- Nie - odparł Pinn, rozpromieniony.

Jez zmarszczyła brwi na jego stanowczość i iskierkę rozbawienia w jego świńskich oczkach.

- Nie, to znaczy, musicie się zastanawiać, jak ja to zrobiłam.

Silos wzruszył ramionami.

- Wcale nie - powiedział Frey.

- Nie - stwierdził Harkins.

- Mamy to bardzo głęboko gdzieś - dodał Malvery.

Jez popatrzyła na twarze załogi i zaczęła rozumieć. Może wiedzieli bardzo dobrze, czym była, może nie. Ale to nie miało znaczenia, bo ich to nie obchodziło. Była jedną z nich.

- A ty? - spytała Crake'a.

- Ja już wiem, jak to zrobiłaś - odparł. - Nie musisz mi mówić.

Uśmiechał się serdecznie. Był jej dłużnikiem do końca życia za to, że przywiozła mu Bess. Sprowadzenie z powrotem „Ketty Jay” zdobyło jej serca pozostałych.

Widząc ich uśmiechnięte twarze, połączone w spisku poparcia, w końcu pozwoliła sobie uwierzyć. Na jej twarz też wyszedł szeroki uśmiech.

- No tak - westchnęła. - To by było na tyle.

\* \* \*

Harkins poprawił uchwyt na drążku sterowym, usiłując nie zwymiotować sobie na kolana. Żołądek zbił mu się w kłębek, a oddech zmienił się w płytkie posapywanie, niedające ulgi od miazdzącego brzemienia strachu. Kulił się w kokpicie swojego firecrowa, nerwowo rozglądając się na boki. Bardzo chciał, żeby mgła się rozwiała, a jednocześnie bał się tego, co by zobaczył.

Tylko metalowy kokon myśliwca pozwalał mu nad sobą zapanować. Oferowane przez niego poczucie bezpieczeństwa powstrzymywało go przed całkowitą paniką.

Wydawało mu się, że minęło bardzo wiele czasu, odkąd zostawił firecrowa schowanego w jaskini obok skylance'a Pinna. Kapitan uznał, że zbyt niebezpiecznie jest podróżować przez Cmentarzysko Rooka w konwoju. Miał rację: bez masek zabójcze opary z rzeki lawy sprawiłyby, że Harkins i Pinn na pewno by się rozbili.

Od tamtej pory jednak los im raczej nie sprzyjał. Firecrow był jedynym schronieniem Harkinsa, bez niego pilot był zagubiony. Większość dni potem spędził, bełkocząc ze strachu, najpierw ukryty na pokładzie „Ketty Jay”, żeby nie wychodzić do Retribution Falls, potem dygocząc w brygu Dracken na „Płomieniu Delirium”, na koniec zaś czekając na śmierć w celi w Mortengrace. Zabobonnie przypisywał swojego pecha rozłącze z firecrowem. Nie powinien był go zostawiać. Nie zamierzał tego więcej robić, o ile tylko mógłby coś na to poradzić.

Na lewej i prawej burcie sunęły wielkie, kanciaste kształty, niczym podwodne lewiatany. Między nimi leciały mniejsze myśliwce, ich reflektory wyglądały w nieruchomej mgle jak jaskrawe siniaki. Harkins minimalnie skorygował kurs i zaczął się martwić, że jedna z fregat zahaczy o jego skrzydło i pośle go spiralą w dół na śmierć.

Za rzeką lawy min już nie było. Piraci prawdopodobnie uznali, że każdy, kto nie ma kompasu do ich wykrywania, do tej pory będzie już martwy. Harkins miał nadzieję, że zostawienie za sobą pola minowego trochę zmniejszy napięcie, ale odkrył, że zamiast tego spał się jeszcze bardziej. To był ostatni etap podróży. Wkrótce mieli dotrzeć do olbrzymiej, bagnistej niecki, gdzie leżało Retribution Falls. Wkrótce miała się rozpocząć bitwa.

- Przeżyć - powiedział Frey. - Tylko tyle musicie zrobić. Nie ryzykujcie. Pilnujcie się

nawzajem.

Kapitan przekonał Kedmunda Drave'a, żeby pozwolił im zabrać osłonę „Ketty Jay”. To nieocenieni piloci, powiedziano, a w walce przyda się każdy statek. Harkins i Pinn na pokładzie „Ketty Jay” byli bezużyteczni. Ponieważ ich myśliwce nie miały oznaczeń Marynarki, mogli siać zamęt wśród piratów, którzy nie byliby w stanie odróżnić ich od swoich.

Harkins zauważył, że to działało w obie strony, ale Frey zapewnił go, że Marynarka będzie wiedziała, kim są i jak wyglądają. Harkins nie był tego taki pewny. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić fregatę, która w ogniu walki pakuje mu pocisk w wydech.

Flotylla leciała w ciasnym, ostrożnym szyku za „Ketty Jay”. Harkins znajdował się w samym środku, Pinn gdzieś w pobliżu. Mgła zaczęła wyraźnie rzednąć. Pojawiły się szczegóły pobliskich fregat, ich wieżyczki i pancerne kile.

Dotknął srebrnego klipsa. Demon przypięty do ucha tylko niepokoił go dodatkowo, ale Crake je rozdał, a Frey nalegał.

- Jest tam kto? - spytał Harkins. - Tu... ee... tu Harkins. Tak tylko się zastanawiam, czy ktoś tam jest. Powiedzcie coś, jeśli jesteście.

- Cicho bądź, Harkins - rozległ się w jego uchu głos Pinna, sprawiając, że podskoczył. - Crake mówił, żeby używać tego tylko w razie potrzeby. Jak zaczniesz trajkotać, wyczerpie ci siły.

- Aha. Ja tylko sprawdzałem, nic więcej. Myślisz, że kapitan nas słyszy?

- Jest za daleko przed nami. Mają krótki zasięg. A teraz się zamknij.

Harkins zacisnął usta. Ucho go mrowiło w miejscu, gdzie dotykał go klips. Nie rozumiał do końca całego tego demonizmu, ale poczuł się trochę lepiej, słysząc znajomy głos.

Flota przed nim zaczynała łamać szyk i ustawiać się w szerszy front, opadając z rzednącej mgły w czyste powietrze. Serce Harkinsa załomotało o jego chude żebra, kiedy statki dookoła przyspieszyły. Pod nimi była rzeka, płynąca dnem kanionu. Ostatni etap podróży. Chwila była bliska. Harkins pragnął zwinąć się w kłębek i schować.

W końcu kanion się skończył, a rzeka wodospadem opadła w dół pionowej ściany niecki. Dotarli do Retribution Falls.

Wyglądało tak, jak kiedy „Ketty Jay” stąd odlatywała - byle jakie skupisko platform i bud, zatopione w bagiennym smrodzie. Olbrzymia niecka, wielokłomowej średnicy, była poprzecinana smugami metalicznego szlamu. W miejscach, gdzie grunt wystawał nad wodę, pleśniejące budowle narastały jak strupy.

Ale Harkins nie patrzył na miasto. Patrzył na statki. Setki statków.

Pod ich nieobecność flota piratów się zwiększyła. Lądowiska były zapchane myśliwcami

i ciężkimi jednostkami szturmowymi. Na kotwicy kołysały się poobijane fregaty; nad miastem wisiały skupiska karaweli i korwet; w powietrzu śmigają promy i małe statki osobowe.

Musiało być ich co najmniej trzysta. Harkins poczuł, że żołądek mu się kurczy, a do gardła podchodzi żółć. Nagle zaczął się cieszyć, że rano nic nie zjadł.

Kiedy wyleciał z kanionu, na spotkanie już sunął im rój myśliwców. Zostały zaalarmowane widokiem pierwszego statku Marynarki, lecącego na czele konwoju. Retribution Falls najwyraźniej utrzymywało stałe siły obronne, gotowe do natychmiastowej reakcji. Nie licząc jednak tej garści, piracka armia została wzięta całkowicie zaskoczenia.

Działa fregat Marynarki ryknęły ogłuszającą kaskadą; Harkins wrzasnął w swoim kokpicie. Pierwsza salwa wyryła ognistą ranę w rozległym mieście.

Pierwszym celem było główne lądowisko, gdzie stała największa liczba mniejszych statków. Zostało zniszczone w kataklizmie ognia. Inne, bardziej tymczasowe platformy, unoszące się na wodzie, również zostały zaatakowane. Te, które nie zniknęły od razu, zaczęły się przechylać na podziurawionych zbiornikach aerium, a dziesiątki statków zjechały w lepkie, wsysające bagno.

Dwie najbliższe pirackie fregaty, zacumowane jedna obok drugiej, zostały rozniesione pociskami burzącymi. Jedna z nich pękła wzdłuż kilu w czerwonym, dymiącym rozkwicie, i w dwóch częściach poszła na ziemię. Pozostało w niej dość nieprzebitych zbiorników aerium, żeby upadek ten był powolny i straszny, niczym statku ciągniętego na dno morza.

Po pierwszym ataku nastąpiła pauza na przeładowanie i spod osłony floty wystrzeliły do przodu myśliwce. Harkins zobaczył smukłe windblade'y śmigające obok niego jak rzutki, pędzące na spotkanie myśliwców startujących z Retribution Falls. Zgrzytnął zębami. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął pozostać schowany za burtami olbrzymich fregat. W końcu to nie była jego walka, a piraci nie byli jego wrogami.

Ale już wkrótce miały przemówić wielkie działa pirackich okrętów i jego mały stateczek zostałby rozniesiony na strzępy w kanonadzie.

Najbezpieczniej było zaatakować.

Usłyszał w uchu triumfalne wycie Pinna i przeklął jego absurdalną odwagę. Wyobrażał już sobie tego durnia, pędzącego przed wszystkimi, zdeterminowanego, by jako pierwszy zestrzelić któregoś z przeciwników, nie bacząc na ryzyko. Tacy ludzie wymykali się śmierci bez końca, tylko dlatego, że nie zdawali sobie sprawy z jej istnienia. Nieustraszeni zawsze przeżywali. Zdaniem Harkinsa była to jedna z największych życiowych niesprawiedliwości.

Nie zamierzał jednak dołączyć do walki jako ostatni i pozwolić, żeby Pinn się z niego



nabijał. Na myśl o tej pucołowatej gębie wykrzywionej w śmiechu zagotowało się w nim. Otworzył przepustnicę i wypadł pomiędzy okrętów, pędząc za windblade'ami w wir bitwy.

Pirackie myśliwce były zbieraniną najróżniejszych modeli różnych producentów, reprezentowały ostatnich trzydzieści lat technologii lotniczej. Nadleciały niczym rój much, bez dyscypliny czy jakiegokolwiek namiastki szyku. Myśliwce Marynarki trzymały się ciasniej, mknęły w ich stronę jak strzała. Harkins wśliznął się na pozycję z tyłu.

Silniki firecrowa ryczały, spowijając go dźwiękiem. Statek trząsał się i dygotał. Ze swojej szklanej bańki na dziobie Harkins widział migoczące w dole obrzydliwe kolory bagna. Dwa windblade'y wisiały mu na skrzydłach, ich piloci w identycznych, szarych hełmach Marynarki skupiali się na natarciu. Harkins przełknął ślinę i pochylił się do przodu, z palcem nad spustem.

Obie strony spotkały się, kiedy Marynarka wystrzeliła następną salwę, waląc w Retribution Falls i niszcząc pirackie statki, które zbyt wolno zareagowały na niespodziewany atak.

Nagle świat dookoła wypełniły eksplozje i terkot karabinów maszynowych, a Harkins z krzykiem strachu otworzył ogień do nieprzyjaciela.

Windblade'y rozciągnęły szyk w przewrotach i spiralach. Harkins odbił w lewo, unikając wiązki smugowych pocisków, wybrał cel i posłał długą serię. Celował w miejsce, gdzie według niego statek miał się znaleźć, zamiast prosto w niego, i odgadł trafnie. Wrogi pilot wleciał prosto w zabójczy grad kul. Szyba jego kokpitu roztrzaskała się, a on sam zadygotał dziurawiony pociskami. Myśliwiec runął dziobem w dół w długą, leniwą drogę ku zniszczeniu.

Piraci i statki Marynarki rozbili się o siebie jak fale na kamieniach, rozpryskując się na wszystkie strony. Bitwa zmieniła się w kłębowisko pojedynków.

Harkins podciągnął firecrowa w stromą świecę, orząc ogniem brzuch starego westingleya scouta. Tamten wpadł w niekontrolowany korkociąg i uderzył w ogon innego pirackiego statku. Coś zagrzmiało obok skrzydła Harkinsa, mijając go ledwie o metr. Napompowany adrenaliną strachu nawet nie zwrócił na to uwagi. Wyrównał lot, zmniejszając trochę przeciążenie, a potem zawrócił i wsiadł na ogon rozklekotanemu cloudskimmerowi.

W jego uchu wrzeszczał z radości Pinn. Harkins wydał z siebie zupełnie inny wrzask i nacisnął spust karabinów maszynowych.

\* \* \*

- Pora na nas - stwierdził Frey, kiedy pierwsza salwa pirackich fregat trafiła flotę

Marynarki. Spuścił aerium i obniżył pułap „Ketty Jay” poniżej kilów większych statków, a potem otworzył przepustnice turbin i popędził w stronę miasta.

Pirackie okręty zaczęły się budzić, zrzuciły łańcuchy kotwic i ruszały do walki, załogi dział w końcu pozajmowały stanowiska. Frey krył się, jak długo mógł, między większymi statkami, ale tak jak Harkins wiedział, że samobójstwem byłoby pozostawanie tam, kiedy zaczną grać ciężkie działa. Poza tym zrobił już swoje, przyprowadził ich tutaj. To wystarczyło, żeby dostać ulaskawienie, o ile zamierzali mu je dać.

Teraz miał własny cel i nie na rękę było mu mieszać się w starcie Marynarki z gangiem piratów Orkmunda.

Retribution Falls pogrążone było w chaosie. Całe kwartały budynków, niebudowanych z myślą o wytrzymałości, rozsypywały się od trafienia jednym pociskiem. Na oczach Freya jedna z platform na drugim końcu miasta przechyliła się i runęła, kiedy w powietrze wyleciało podpierające ją rusztowanie. Zabudowania spłynęły lawiną cegieł, zabierając ze sobą ludzi, miażdżąc ich i ścierając na kawałki, kiedy cała dzielnica zapadła się w bagno.

Frey usłyszał, że Malvery otwiera ogień z działka do pirackiego myśliwca, który z wyciem przeleciał nad nimi. Zignorował go, odbił od największej kotłowniny i skierował „Ketty Jay” w stronę wybranej platformy. Tamtejsza architektura wyróżniała się jakością na tle miasta i Frey z zadowoleniem zobaczył, że ucierpiała tylko powierzchnie.

Bardzo dobrze, bo zamierzał tam wylądować.

- Jesteś co do tego przekonany, kapitanie? - spytała z powątpiewaniem Jez, wyglądając przez szybę. Wielkie połacie Retribution Falls leżały w ruinie. Ze zgliszcz były w niebo kłęby dymu. - Nie wiadomo, kiedy komuś przyjdzie do głowy roznieść w cholerę tę platformę.

Frey nie był ani trochę przekonany.

- Na razie koncentrują ogień na pirackich fregatach - powiedział, głównie po to, żeby przekonać samego siebie. - Miasto nie jest dla nich zagrożeniem.

Malvery wrzasnął triumfalnie z wieżyczki. Frey uznał, że coś trafił.

- Twoja decyzja, kapitanie - stwierdziła Jez. - Ale możemy się stąd wynieść w każdej chwili, jeśli chcemy.

- Rozumiem - odparł. Ale podjął już decyzję. Nie mógł zawrócić.

Tym razem przynajmniej omówił to z załogą. Nakreślił swój plan i spytał, czy chcą wziąć w nim udział. Nikogo nie zmuszał; nikogo nie oszukiwał. Nie zamierzał nikomu niczego narzucać.

Niektórzy się wahali. Inni uważali, że lepiej ograniczyć straty. Nie kusilo ich ryzyko. Ale ostatecznie wszyscy się zgodzili. Bo mu ufali. Bo był ich kapitanem.

Frey podleciał „Ketty Jay” bliżej platformy. Jez pochyliła się nad jego ramieniem i wskazała palcem.

- Tam jest plac.

- Malvery! - wrzasnął Frey. - Wyłaź z wieżyczki i szykuj się!

Posadził statek na placu. Jez wyciągnęła swój karabin spod nawigatorskiego pulpitu. Ludzie na dole rozbiegli się, kiedy „Ketty Jay” podchodziła do lądowania, ciężko, bo Frey był zbyt zdenerwowany, żeby uważać. Łupnęła w ziemię tak mocno, że Jez aż się zachwiała.

Frey siedział przez chwilę na swoim miejscu. W górze wybuchały pociski i śmigwały pirackie myśliwce. Mógł z powrotem wystartować. Nie musiał tego robić. Może to była powtórka przeszłości, jeszcze jedno rozdanie rejsa, w którym mógł wszystko wygrać albo wszystko stracić, podczas gdy tak naprawdę powinien był odłożyć karty i odejść z tym, co miał.

Masz statek, załogę i cały świat przed sobą, myślał. Nikt nie jest ci panem. Nie tak źle, co? Przy odrobinie szczęścia Koalicja cię ułaskawi, kiedy to wszystko się skończy. Drave to wredny drań, ale nie wygląda na kłamcę. Będziesz wolny.

Nie było sensu roztrząsać, czy Drave dotrzymałby słowa, czy nie. Frey nie zamierzał zostawać, żeby się o tym przekonać. Kiedy tylko zrobiłby to, po co przyleciał, planował ucieczkę. Marynarka byłaby przez jakiś czas zajęta. Mogliby go ułaskawić zaocznie.

Najpierw jednak musiał zająć się drobną kwestią pięćdziesięciu tysięcy dukatów. Pięćdziesięciu tysięcy, które obiecał mu mosiężnooki szeptarz Quail. Pięćdziesięciu tysięcy, na które swoim zdaniem zasłużył.

To była ich szansa na zdobycie fortuny. Na porzucenie tułaczki i zafundowanie sobie odrobiny luksusu. Równy podział na wszystkich, bo wszyscy na to zapracowali.

Wyjrzał z kokpitu na barykadę otaczającą fortecę Orkmunda. Plac, na którym wylądowali, leżał tuż przed nią.

Kilka dni temu stali tutaj i słuchali przemowy wielkiego pirata. Gdzieś w tym budynku była czerwona skrzynia ze srebrną wilczą kłamrą, którą Frey widział po raz pierwszy lądowaną na „Chwilę Ciszy”, kiedy odwiedził Amalicię Thade w klasztorze Przebudzonych.

Myśl o Amalicii go zaskoczyła. W chwili opuszczenia klasztoru całkowicie o niej zapomniał. Teraz przypomniał sobie o niej i było to jak wstrząs, jak znalezienie wyrzuconego drobiazgu, o którym myślało się, że przepadł na zawsze.

- Idziemy? - spytała Jez.

- Idziemy - powiedział Frey. Wstał z fotela i pobiegł korytarzem do schodków prowadzących do ładowni, gdzie zebrała się reszta załogi uzbrojona po zęby.

W ciągu tych kilku chwil, kiedy otwierała się rampa, Frey przypomniał sobie poniewczasie, że Gallian Thade zginął w Mortengrace. To oznaczało, że Amalicia opuściła klasztor, w którym ją więziono. Była wolna i nieznośnie bogata.

Szlag by to, trzeba było się z nią żenić, kiedy miałem okazję, pomyślał.

Potem przypomniał sobie, że Trinica Dracken również była córką ogromnie bogatego przedsiębiorcy i że ledwie kilka chwil dzieliło go od udziału w tym dziedzictwie. Zaklął pod nosem.

Szlag by to, z nią też się trzeba było ożenić!

Zbiegając po rampie do Retribution Falls, miał wielką chęć kogoś zastrzelić.

## 37

*Łowcy skarbów - Harkins w opalach -*

*Orkmund po raz kolejny*

Piraci i dziwki biegali w panice po placu, zasłaniając głowy przed grzmiącymi wstrząsami i spadającym gruzem. Ich statki zostały zniszczone na lądowisku, odcinając im wszelką nadzieję ucieczki. Teraz mogli tylko bezsilnie patrzeć, jak Marynarka wali w pirackie fregaty, a myśliwce kołują i pluja pociskami. Szukali jakiegokolwiek osłony i mieli nadzieję, że los okaże się dla nich łaskawy.

Frey poprowadził swoją załogę po rampie, z rewolwerami w dłoniach i kordelasem objijającym się o udo. Kiedy wybiegli i zajęli pozycje dookoła „Ketty Jay”, uderzył ich smród bagna. Spodziewali się oporu ze strony miejscowych, ale przyjemnie się rozczarowali. Piratów biegających po placu w ogóle nie obchodziło, po co tu wylądowali. Dopóki nie mieli na sobie mundurów Marynarki, mogli robić, co im się podobało. Widok Bess schodzącej po rampie zniechęcał wszystkich do zadawania pytań.

Frey obejrzał się na flotę Marynarki w oddali, kilka kłomów od nich. Rozwijała szyk w obronie przed nasilającym się atakiem piratów. Połowa większych pirackich okrętów była zniszczona, ale pozostałe dawały z siebie wszystko. Zobaczył koalicyjną fregatę, która z jękiem sunęła w dół, spowita ogniem.

Jego zdaniem obie strony mogły się roznieść na kawałeczki. Nie przepadał za żadną z

nich. Byle tylko któryś z okrętów Marynarki przeżył, żeby opowiedzieć, jak było, i oczyścić go z zarzutów.

- Dobra, idziemy! - zawołał. Silos zamknął rampę i pospieszyli w stronę celu z Murthianinem kryjącym tyły.

Zwalistą, szarą twierdzę Orkmunda otaczała barykada. Na wieżyczkach strażniczych, sterczących ponad masą skrzyżowanych legarów i kolców, nikogo nie było, ale brama wciąż pozostawała zamknięta. Była to olbrzymia metalowa płyta na rolkach, tak ciężka, że otwierać musiało ją trzech mężczyzn, i przypuszczalnie zabezpieczona jakoś z drugiej strony.

- Bess! Otwórz bramę! - zawołał Frey.

Golemica minęła go, głośno łomocząc stopami. Wbiła potężne palce w metal i szarpnęła. Brama zajęczała, protestując, zasuwając po drugiej stronie stawiała opór, ale siła Bess była niewyczerpana i stalowa płyta wolno zaczęła ustępować.

Frey widział paru ludzi, którzy przystanęli na skraju placu i się gapili. Najwyraźniej zdezorientował ich widok kilku mężczyzn wyglądających jak piraci, włamujących się do warowni pirackiego kapitana. Malvery podniósł strzelbę i wycelował do jednego z nich, Silos do drugiego.

- Idźcie stąd, chłopcy. To was nie dotyczy.

Tamci uznali, że faktycznie ich to nie dotyczy. Rozległ się głośny trzask metalu i brama odsunęła się ze zgrzytem.

- Dobra robota, Bess - pochwalił Frey. Crake poklepał ją po ramieniu i wbiegli do środka.

Twierdza Orkmunda nie była duża - z pewnością nie dorównywała na przykład Mortengrace - ale wydawała się bezpieczna. Szare, poznaczone pleśnią ściany miała grube, okna małe i głęboko osadzone. Za małe, żeby wejść przez nie do środka.

Za barykadą załoga stanęła przed ciężkim, trzypiętrowym budynkiem z dwoma wysuniętymi skrzydłami, tworzącymi trzy boki kwadratu. Wejście znajdowało się pomiędzy nimi, na drugim końcu dziedzińca.

Frey poprowadził ich do najbliższej ściany, na szczycie jednego ze skrzydeł. Przywarł do niej i wyjrzał za róg. Pocił się z napięcia. W każdej chwili spodziewał się postrzelenia przez niewidocznego wroga albo śmierci od pocisku z góry. Ale w twierdzy panowała cisza, a odgłosy zniszczenia chwilowo odsunęły się w dal.

- Nikogo nie widzę, kapitanie - powiedział stojący obok Malvery.

Freyowi nie podobała się myśl o biegu do wejścia. Po obu stronach było za dużo okien wychodzących na dziedziniec. Każdy, kto by tam stanął z karabinem, mógłby z łatwością wystrzelać napastników.

- Zrobimy sobie własne wejście - powiedział. Odwrócił się do Bess. Za kratownicą twarzy golemicy migotały jej oczy. - Dasz radę przebić się przez tę ścianę?

Bess dała radę.

W drzwiach pomieszczenia po drugiej stronie stał pirat. Widok olbrzymiej postaci przebijającej się przez mur w chmurze kurzu i gruzu śmiertelnie go przeraził. Jak w przypadku wszystkiego, co go przerażało, w pierwszym odruchu spróbował to coś zastrzelić. Bess przedarła się przez rumowisko; kule odbijały się od jej pancernego torsu. Wyszarpnęła kawał kamienia ze ściany i rzuciła nim w napastnika. Głaz trafił go w czoło z siłą wystarczającą, by zerwać mu głowę z ramion. Bezgłowy trup cofnął się kilka kroków i upadł.

- Cholernie dobry strzał! - zawołał Malvery, przełaząc przez dziurę w ścianie.

Frey przelazł za nim.

- Nasz skarb jest gdzieś w tym budynku - powiedział. - Poszukajmy go.

\* \* \*

Pinn pohukiwał i krzyczał niczym rozszalała małpa, unikając wiązek pocisków. Skylance wył radośnie razem z nim, posłuszny każdemu poleceniu, skacząc z boku na bok i z góry w dół w chaosie zatłoczonego nieba. Pinn toczył walkę swojego życia, a skylance był w najlepszej formie w całej swojej karierze, ze zbiornikami pełnymi najlepszego protanu i aerium dzięki Marynarce Koalicji. Razem byli niepowstrzymani.

To było niemal zbyt łatwe. Piraci nie widzieli nawet, jak nadlatuje. Wypatrywali windblade'ow Marynarki, a skylance'a Pinna brali za jednego ze swoich. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali, był atak ze strony innego pirata. Tych kilka sekund dezorientacji z reguły wystarczyło.

Zerknął na ferrotyp Lisindy, wiszący na łańcuszku na tablicy rozdzielczej, i wyszczerzył się zawadiacko.

- Żałuj, że mnie nie widzisz! - zawołał. - Skarbie, żałuj, że mnie nie widzisz!

Tak mógłby wyglądać jego świat, dzień po dniu, gdyby tylko ci cholerni Sammies nie wycofali się z Drugiej Wojny o Aerium tuż przed tym, jak miał się zaciągnąć. To dopiero byłoby życie.

Jego karabiny maszynowe zagrzechotały, kiedy nakreślił linię dziur na burcie pirackiej korwety. Odskoczył, zanim ktokolwiek zobaczył, kto to zrobił. Korweta - średniej wielkości statek szturmowy z dwoma parami skrzydeł i budzącą respekt baterią dział - była za bardzo zajęta windblade'ami, żeby zwracać na niego uwagę.

- Pinn! - zawył mu w ucho Harkins, tak piskliwie, że Pinn aż się skrzywił. - Pinn, gdzie

jesteś?! Trzech mnie goni!

Pinn gorączkowo się rozejrzył, ale nie widział Harkinsa w otaczającym go kłębowisku myśliwców. Za późno przypomniał sobie, że Frey kazał im pilnować się nawzajem. Celem było przetrwanie, a nie liczba zestrzeleń.

- Nie widzę cię!

- Pinn! Pomóż mi, niech cię szlag! - wrzasnął Harkins.

- Nie mogę ci pomóc, jeśli cię nie widzę! - wściekł się Pinn. Nagle, w rzadkim i godnym zapamiętania przeblysku, wpadł na pomysł. - W górę! Wyleć z tłumy! Tam cię znajdę!

Pociągnął skylance'a stromą świecą, wylatując z największego skupiska walczących. Im wyżej by się wzbili, tym mniej statków by im przeszkadzało.

- Pinn! Siedzą mi na ogonie!

- Lecę, ty miauczący wypierdku! Trzymaj się!

Zobaczył pociski smugowe nadlatujące z lewej i przewrócił skylance'a na ułamek chwili przed tym, jak seria z karabinu maszynowego rozorała mu brzuch. Szybki rzut okiem powiedział mu, że to robota windblade'a.

- Jestem po waszej stronie! - wrzasnął. Czuł wkradające się w kości dziwne znużenie i przypomniał sobie o demonicznym klipsie. Każdy okrzyk i uwaga, którą rzucał, wysysały z niego odrobinę energii i zaczynał to zauważać. Omal nie zaklął, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, żeby siedzieć cicho.

Windblade zrozumiał swój błąd i odbił w poszukiwaniu nowych celów. Pinn wykręcił się w fotelu, szukając Harkinsa, i zobaczył go kłom dalej, pnącego się prawie pionowo w niebo. Ścigały go trzy myśliwce, śląc za nim przeplatające się wiązki smugowców.

Pinn otworzył przepustnicę i skylance odpowiedział. Popędził przez szare niebo, między bitwą w dole a mgłą w górze, ze wzrokiem utkwionym w czwórce wznoszących się jednostajnie statków. Harkins wywijał się i wymykał najlepiej jak umiał, ale samo natężenie ostrzału sprawiało, że nie mogło mu się udawać dość długo, by zdążyć dolecieć pod osłonę.

Pinn poczuł, że ogarnia go nieznane uczucie. Martwił się. Choć pogardzał Harkinsem, nie chciał go stracić. Harkins był jedynym członkiem załogi, którym mógł pomiatać.

Lepiej nie daj się zestrzelić, ty stara szurnięta jakało, pomyślał.

Ze skrzydła firecrowa zaczął się sączyć dym.

- Dostałem! Dostałem! - zaskrzeczał Harkins.

Pinn kciukiem nadusił spust i zaterkotały jego karabiny maszynowe, rozdzierając najbardziej wysuniętego na czoło z prześladowców firecrowa. Statek eksplodował w powietrzu, siejąc naokoło szczątkami. Pozostałe były za blisko, by uniknąć kolizji. Pionowo

wirujący fragment skrzydła wbił się w kokpit innego pirata, strącając go z nieba. Trzeci natychmiast zaczął wykonywać uniki, szukając sprawcy tego niespodziewanego ataku, a potem uznał, że pościg nie jest tego wart, i zanurkował z powrotem w kłębowisko głównej bitwy.

Pinn wydał okrzyk radości i plasnął dłonią w ścianę kokpitu, a potem chwycił ferrotyp Lisindy i ucałował go.

- Harkins! - zawołał. - Bardzo źle?

Harkins wyrównał lot, a potem na próbę odbił w bok. Leciał nieco chwiejnie, ale dym zniknął.

- Ja... ee... straciłem jedną dyszę... Musiałem ją wyłączyć. Czyli niezbyt dobrze.

Pinn spojrział z żalem na bitwę w dole.

- Nic tu po nas. Następnej potyczki nie przetrzymasz. Lećmy pomóc kapitanowi.

Powtórzył skręt Harkinsa i ustawił się za nim.

- Hej, Pinn? Hej?

- Co?

Zapadła chwila ciszy.

- Uhm... dzięki.

Pinn uśmiechnął się do siebie.

- Mówiłem, żebyś tyle nie gadał.

\* \* \*

- Gdzie jest skarb? - zapytał ostro Malvery. Odpowiedź pirata była niezrozumiała, udzielił jej bowiem z lufą strzelby w ustach.

- Wyjmij lufę? - zasugerował Crake.

Malvery odrobinę cofnął strzelbę. Pirat - wciąż w szoku po tym, jak doktor wytarł mu nos za kołnierz - zgiął się i zacharczał. Kiedy doszedł do siebie, w jego spojrzeniu pojawiła się ponura determinacja.

- Skarb. Gdzie? - powtórzył Malvery.

Pirat zaproponował kilka niemożliwych z anatomicznego punktu widzenia miejsc, w które doktor mógłby sobie wsadzić swoją matkę. Malvery złamał mu nos kolbą strzelby, a potem obejrzał się na towarzyszy i wzruszył ramionami.

- Więcej pomysłów nie mam.

Silos i Jez osłaniali drugi koniec korytarza. Twierdza była w większości opustoszała - piraci najwyraźniej uciekli - ale Frey wolał nie ryzykować. Huk dział na zewnątrz



niepokojąco się przybliżył, niósł się echem przez puste pomieszczenia, odbijał się od gołych ścian. Na sufitach pojawiały się nowe pęknięcia, sypał się z nich kurz.

- Nie mamy na to czasu - mruknął Frey. Złapał pirata, trzymającego się za krwawiący nos, i wskazał Crake'a.

- To mój przyjaciel Grayther Crake. Ma niesłychanie piękny uśmiech. Może mu pokażesz, Crake?

Crake się wyszczerzył. Pirat gapił się na niego przez chwilę. Odjął od twarzy usmarowane krwią ręce, zapominając o bolącym nosie, i z podziwem nachylił się bliżej.

- Proszę - powiedział. - To dopiero ładny ząb.

Pół minuty później byli w drodze, wyposażeni we wskazówki. Malvery uparł się, żeby przyłożyć piratowi jeszcze raz za tę uwagę o jego matce, ale potem go wypuścili, bez rewolwerów i kilku trzonowców.

Spieszyli korytarzami, przygotowani w każdej chwili na opór, ale nie było nikogo, kto by im zagroził drogę. Jeden napotkany człowiek całkowicie ich zignorował, prawdopodobnie uciekając do wyjścia. Inny strzelił na oślep do Bess i w nagrodę został nafaszerowany kulami.

Wyjątkowo mocny wstrząs zatargał budynkiem i sypnął z sufitu kawałami tynku rozmiarów talerza. Frey potknął się i padł na kolana; Silos chwycił go za ramię. Kiedy kapitan wstawał, podchwycił spojrzenie Murthianina. Obaj myśleli to samo. Powinni się stąd natychmiast wynosić, póki jeszcze mieli „Ketty Jay” i byli cali.

Ta ostatnia rzecz, powiedział sobie niepewnie Frey. Szczęście nas nie opuści.

Silos zobaczył determinację w jego spojrzeniu i niemal niedostrzegalnie kiwnął głową, a potem wyciągnął dłoń o długich palcach i ścisnął jego ramię, dodając mu otuchy.

Frey poczuł nagłą wdzięczność za bezustanną obecność mechanika w swoim życiu. Choć rzadko go w ogóle zauważał, Silos tam był, milcząco silny, niewidzialnie pracując za kulisami, żeby utrzymać „Ketty Jay” na chodzie. Frey uświadomił sobie, jak istotny był Murthianin dla niego przez te wszystkie lata. Przyjaciel, który o nic nie prosił, ale oferował bezwarunkowe wsparcie w każdej sytuacji. Silos uratował mu życie po zasadzce na terytorium Sammies i towarzyszył mu we wszystkich późniejszych nieszczęściach. Frey nigdy nie potrzebował powiernika; chciał kogoś, kto dawałby mu pewność, że go nie zdradzi, choćby nie wiadomo co się działo. Taki właśnie był Silos.

Pchany absurdalną i nieodpartą potrzebą uściskał swojego mechanika. Zaskoczony Murthianin zeszywniał.

- Do krośset, kapitanie, nie pora na to! - krzyknął Malvery.

Frey odsunął się, zaczerwieniony.

- Racja - powiedział. - Masz rację.

Po kilku kolejnych zakrętach znaleźli się przed kryptą. Była dokładnie tam, gdzie miała być według pirata. Niestety, była tam również większość jego przyjaciół.

Drzwi krypty stały otworem, a tuzin piratów pracowicie wynosił z niej skrzynie ze skarbami. Był tam również Orkmund, kierujący swoimi ludźmi. Z bliska wyglądał jeszcze bardziej imponująco niż z oddali: umięśniony i wytatuowany, miał łysą głowę i twarz boksera.

Frey chciał ich zaskoczyć, ale w towarzystwie Bess było to niemożliwe. Zanim jeszcze wypadli zza rogu, tamci już wiedzieli o ich obecności. Tylko dziwne pobrzękiwanie metalu i skrzypienie skóry powstrzymało ich od wyciągnięcia broni. Teraz jednak zobaczyli golemicę i ukrytych za nią Freya i jego załogę. Niektórzy zbledli i wycofali się, upuszczając skrzynie ze swojej strony. Inni rzucili niesione brzemie i wyciągnęli broń. Ale załoga Freya swoją miała już w rękach i na pierwszy zwiastun przemocy otworzyła ogień.

Pierwsza salwa skosiła połowę ludzi Orkmunda, w większości z rewolwerami jeszcze w kaburach. Załoga „Ketty Jay” skoczyła za róg korytarza, kiedy nadeszła odpowiedź, ale ostrzał skierowany był głównie w Bess, która z rykiem sunęła dalej przed siebie. Ci, którzy nie zginęli od pierwszych strzałów, zatoczyli się w tył w obliczu metalowego olbrzyma, przewracając się o skrzynie i rzucając do ucieczki. Frey słyszał, jak Orkmund wrzeszczy na nich coś niezrozumiałego, każe im stać i walczyć, ale potem w górze rozległa się straszliwa eksplozja, a zaraz po niej łoskot walących się kamieni.

Z korytarza buchnęła chmura kurzu, spowijając jego ludzi. Frey zakaszłał w pięść i wyjrzał za róg. Minęło kilka chwil, zanim tuman opadł, ale kiedy już się to stało, ukazała się Bess, brudna, ale cała. Spory fragment sklepienia się zawalił, grzebiąc wszystkie skrzynie prócz jednej. Po Orkmundzie i jego ludziach nie było śladu. Albo uciekli, albo zostali przysypani. Freya to nie obchodziło.

Obchodziła go za to czerwono lakierowana skrzynia, leżąca niedaleko Bess. Skrzynia z pięknym, intarsjowanym w pnącza i liście wiekiem i zamknięciem w kształcie srebrnego wilczego łba. Podbiegł do niej i pociągnął za wieko. Zamknięte. Cofnął się i przestrzelił zamek z rewolweru.

Nie mógł popełnić błędu. Musiał mieć pewność.

Pozostali zebrali się wokół niego, kiedy ukląkł i otworzył skrzynię. W środku była złota masa dukatów, tysiące monet. Nawet w pylistym powietrzu wydawały się migotać.

Bess zajrzała mu przez ramię. Zagruchała, kiedy zobaczyła to bogactwo.

Frey z trudem łapał oddech. W końcu mu się udało. W końcu im się udało. Po tylu latach

harówki za grosze, w końcu byli bogaci.

Cofnął się i popatrzył na rozradowane twarze załogi, zahipnotyzowanej pieniędzmi, o jakich nawet nie marzyli.

- Bess, weź to - powiedział. - Wynosimy się stąd.

## 38

### *Pociski - Pojedynek - Godzina Malvery'ego - Z mgły*

Frey nie usłyszał wybuchu.

Jego ogłuszone zmysły doszły do siebie dopiero po kilku chwilach, ale nawet wtedy pamiętał tylko wrażenie, że jest zgniatany z góry przez olbrzymią siłę, jak owad rozdeptywany przez niewidzialną stopę. Potem był tylko smak kurzu w ustach, szczypanie oczu i wysoki pisk w uszach, jak wycie turbiny.

Rozejrzał się. Wszystko wydawało się stłumione i niewyraźne. Powietrze poszarzało od sproszkowanego kamienia. On sam znalazł się na czworakach. To, co kiedyś było korytarzem przed nim, zmieniło się w ścianę pokruszonych głazów.

Pocisk, pomyślał tępo. Forteca Orkmunda musiała zostać bezpośrednio trafiona.

Nagle poczuł, że ktoś podnosi go na nogi. Spojrzał w górę, zdezorientowany, i zobaczył Silosa trzymającego go za ramię. Murthianin coś mówił, ale Frey go nie słyszał. Silos postawił go do pionu i powtórzył głośniejszym i wyraźniejszym głosem. Dla Freya wciąż brzmiało to, jakby dobiegało z dużej odległości, przez waciany ucisk w uszach.

- Kapitanie? Słyszysz mnie?

- Odrobinę - odparł Frey. Własny głos brzmiał dziwnie w jego głowie.

- Jesteś cały?

Frey obejrzał swoje ręce i nogi.

- Raczej tak.

Rozległ się słaby krzyk. Silos spojrział w stronę gruzowiska, które blokowało korytarz. Frey podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Hej!

To był Malvery. Gdyby krzyczał ktoś inny, Frey by go prawdopodobnie nie usłyszał, ale

ryk doktora mógł zbudzić umarłego.

- Doktorze! - zawołał Frey. - Nic wam nie jest?
- Kapitanie! Tutaj wszyscy cali. Skaleczenia i siniaki. Silos jest tam z tobą?
- Jest cały.
- W porządku!

Rozmowa zgasła. Kurz osiadał i Frey widział teraz odcinek sufitu i ściany, który zawalił się do korytarza. On i Silos szli na końcu, pilnując tyłów wycofującej się grupy. Patrzył na tony gruzu i myślał o tym, jakie to szczęście, że nikt nie znalazł się pod nimi.

- Zaczekajcie tam! - wrzasnął Malvery. Mignął Freyowi przez szparę w rumowisku. -  
Każemy Bess się do was przekopać!

Silos chwycił Freya za ramię i pokręcił głową. Wskazał sufit.

- To nie jest dobry plan, kapitanie.

Frey załapał, o co mu chodziło.

- Silos mówi, że nie! - krzyknął. - Sufit może się na was zawalić.

Malvery chwilę się nad tym zastanawiał.

- To by pewnie trochę bolało - powiedział.

- Idźcie na „Ketty Jay”. Znajdziemy inną drogę.

- Na pewno?

- Macie ze sobą skarb?

- Cały i zdrowy.

- Zabierajcie go na pokład. Dołączymy do was najszybciej, jak się da.

- Robi się.

- I... Malvery? Jeśli znów złączą w nas walić, każ Jez startować i wynoście się stąd.

- Bez was, kapitanie?

- Tak.

- Prędzej się udławię własnym gównem - odparł wesoło Malvery. - Do zobaczenia na pokładzie.

Frey pokręcił głową, żeby pozbyć się dzwonienia w uszach, ze skutkiem tak mizernym, jak się spodziewał. Przynajmniej słyszał coraz wyraźniej.

Podniósł rewolwer z ziemi i kciukiem wskazał kierunek, z którego przyszedli.

- Chyba tędy.

Pospiechali z powrotem korytarzem, przez drzwi do prymitywnej kuchni. Zobaczyli wychodzące na zewnątrz okno, ale chociaż eksplozja je wybiła, było za małe, żeby się przez nie przecisnąć. Frey poprowadził ich do prostej jadalni z ławami i kominkiem. Trzymał się

blisko zewnętrznej ściany, mając nadzieję znaleźć drzwi, ale kolejne pomieszczenia go rozczarowywały. W końcu wyszli na drugi korytarz, podobny do tego, z którego przyszli.

- Cholera, dlaczego tak trudno wyjść z tego budynku? - poskarżył się i wtedy właśnie wpadli na Orkmunda.

Musiał ich usłyszeć na chwilę przed tym, jak wybiegli zza rogu i ta drobna przewaga oznaczała, że był szybszy niż oni. Kiedy się pojawili, wychodził z drzwi, trzymając w rękach małe pudełko na biżuterię. Frey i Silos stanęli jak wryci, gdy je upuścił i wyciągnął rewolwer. Zanim wyciągnęli swoje choćby do połowy, już w nich celował.

- Rzucić broń! - krzyknął, a oni zamarli.

Frey rozpaczliwie myślał, ale żaden pomysł nie przebijał się przez mgłę w jego głowie. To nie była wojna. Branie jeńców nie wchodziło w grę. Gdyby rzucili broń, Orkmund by ich zastrzelił. Tak samo, gdyby ją wyciągnęli.

- Rzucić! - krzyknął znów, nie dając im czasu do namysłu.

Frey spojrzął na Silosa. Silos spojrzął na Freya. I w tej jednej chwili kapitan zrozumiał, o czym Murthianin myśli.

Orkmund mógł strzelić tylko do jednego z nich. A Silos postanowił, że to będzie on.

- Nie... - zaczął Frey, ale było już za późno. Silos zaatakował, wyciągając swój rewolwer. Orkmund zareagował, kierując na niego swoją broń. Frey zrobił to samo, co Murthianin, ułamek sekundy później, ale wódz piratów zdążył już dobrze wycelować.

Padły trzy strzały, niemal jednocześnie. Orkmund wypalił pierwszy i jego kula trafiła Silosa w pierś. Strzał mechanika poszedł bokiem. Pocisk Freya, pospiesznie wymierzony, otarł się o bok rewolweru pirata i wytracił mu go z ręki przy wtórze snopu iskier i metalicznego jęku.

Silos padł na ziemię. Orkmund się zawahał, z zaskoczeniem stwierdzając, że nie ma już w ręku broni. Frey wycelował mu prosto w głowę i nacisnął spust.

Kurek spadł na pustą komorę. Skończyły się naboje.

Orkmund rzucił się na niego, wyciągając zza pasa kordelas. Frey rzucił rewolwer a jego własne ostrze wyskoczyło z pochwy wprost w jego dłoń. Dwa miecze spotkały się z głośnym szczękiem. Orkmund zamachnął się znów, ponawiając atak, ciął w żebra i w udo. Kordelas z zaklętym demonem sparował oba ciosy, oślepiająco szybko, poruszając się z szybkością dużo większą niż ta, do której Frey byłby zdolny sam. Orkmund był świetnym szermierzem; Frey miał świetną broń.

Nie było czasu myśleć o Silosie. Nie pozwalała na to konieczność przeżycia. Frey widział tylko tępą twarz Orkmunda, wykrzywioną we wściekłym grymasie, i śmigające między nimi

ostrza. Cofał się pod nawałą ciosów, odtrącając cięcia pirata. Kordelas w jego rękę zajmował się tym sam, przy jego niewielkim udziale, ale z trudem tylko nadążał za atakami Orkmunda. Frey poczuł ostry ból ramienia, gdzie przeciwnik go skaleczył; chwilę później dostał w przedramię.

Ból wyzwolił wściekłość. Kątem oka zobaczył Silosa leżącego bez ruchu na ziemi. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, napał na przeciwnika, przechodząc z obrony do ataku. Orkmund zatoczył się w tył, Frey go chybił i stracił równowagę. Runął na podłogę, piratowi udało się utrzymać na nogach. Frey przetoczył się na plecy, sparował pchnięcie wymierzone w jego serce i podciął Orkmunda. Pirat upadł i nagle znów ich szanse się wyrównały. Odtoczyli się od siebie i zerwali na nogi, zdyszani, obserwując się bacznie.

W oczach Orkmunda było zaskoczenie i nieco zdumienia.

- Potrafisz się bić! - zawołał.

- Tak - odparł Frey z pogardą. - Potrafię się bić.

Znów skoczył do przodu. Owładnęła nim nienawiść do tego człowieka, potrzeba starcia go z powierzchni ziemi. Sam jego widok był nie do zniesienia - krzywe płaszczyzny złamanego nosa, wzór tatuaży na szyi, głowie i ramionach. To ten człowiek nacisnął spust, posyłając kulę w pierś Silosa. Może cichy Murthianin już nie żył. Może właśnie wydawał ostatnie tchnienie. Jedyną rzeczą gorszą niż to, że Orkmund go postrzelił, był fakt, że teraz nie pozwalał Freyowi nic na to poradzić. Z każdą chwilą jego przyjaciel się wykrwawiał. Każda chwila mogła być jego ostatnią.

Silos przyjął kulę za niego. Frey prędzej by skonał, niż pozwolił, by jego śmierć obciążała mu sumienie do końca życia.

Gdyby nie kordelas, który dostał od Crake'a, tak zaciekły atak skończyłby się śmiercią z ręki wytrawnego szermierza, jakim był Orkmund. Ale własna wola ostrza i szaleńcza siła Freya sprawiły, że stał się groźnym przeciwnikiem. Orkmund parował i odbijał ciosy, lecz były one tak wściekłe, że Frey ledwie utrzymywał broń w rękę. Stał dzwoniła o siebie raz po raz, do rytmu eksplozji w oddali.

Nagle ręce Freya wygięły się do tyłu, a jego kordelas samowolnie się cofnął, szykując do potężnego cięcia. Frey spanikował, szarpiąc się z własną bronią. Całkowicie się odsłonił. Orkmund, widząc okazję, pchnął go pod gardę. Ale wtedy kordelas Freya wykręcił się w niewiarygodny sposób, prawie łamiąc mu przy tym nadgarstek, i ostrze przecięło mięśnie i kość.

Broń Orkmunda z głośnym szczękiem spadła na podłogę. Kapitan piratów zatoczył się w tył, oszołomionym wzrokiem patrząc na kikut przedramienia. Krew tryskała do rytmu bicia

jego serca. Z pobladłą twarzą, nie dowierzając, spojrzął na Freya.

Frey zacisnął zęby i przebił serce przeciwnika.

\* \* \*

Plac przed twierdzą Orkmunda zmienił się w pole bitwy. Z szarego nieba spadały pociski, wszędzie dookoła świstały i trzaskały kule. W górze sunęła powoli piracka fregata, przerażająco nisko i blisko, paląc z dział do okrętów Marynarki w oddali. Ogień powrotny eksplodował z hukiem nad placem. Zabłąkane salwy ryły samo miasto, burząc wszystko w co trafiały. Rząd budynków wzdłuż jednej pierzei po jednym z takich trafień rozsypał się w stertę gruzu.

Na środku placu stała „Ketty Jay”. Otwartej rampy załadunkowej pilnowała Bess. Załoga kryła się w ładowni albo za hydraulicznymi wspornikami, strzelając do każdego, kto się zbliżył. Pinn i Harkins osłaniali z góry, kładąc zaporowy ogień z karabinów maszynowych swoich myśliwców i trzymając się na tyle wysoko, by nie dolatywały do nich strzały z dołu.

Coraz bardziej zdesperowana grupa piratów strzelała spod osłony gruzowiska. Plac był zasłany trupami tych, którzy próbowali dobiec do statku, widząc w „Ketty Jay” jedyną nadzieję ucieczki przed otaczającym ich zewsząd zniszczeniem.

Frey wybiegł z bramy twierdzy Orkmunda z Silosem na plecach, nie zważając na śmigające w powietrzu kule. Ziemia trzęsła mu się pod stopami; spod placu dobiegał głośny jęk dartego metalu. Cała platforma mogła się w każdej chwili zawalić. Frey biegł zgarbiony, żeby Murthianin nie zsunął mu się z pleców. Jez zobaczyła go, krzyknęła i załoga wzmogła ostrzał, zmuszając piratów do ukrycia się, dopóki kapitan nie znalazł się blisko.

Frey był wykończony, biegł na samej adrenalinie. Nieustanny łoskot eksplozji, wysiłek dźwigania blisko dziewięćdziesięciu kilogramów martwego ciężaru na plecach i emocjonalny szok kilku ostatnich minut wprawiły go w płytki trans. Prawie nie zauważył, kiedy pocisk zburzył jeden z pobliskich budynków, zasypując go kamiennymi odłamkami i pchając w bok siłą wybuchu. Zachwiał się, złapał równowagę i uparcie pobiegł dalej.

Dookoła gwizdały kule. Nie wiedział, czy były przeznaczone dla niego. Chciał tylko dostać się do „Ketty Jay”.

Wbiegł na rampę i napotkał pomocne dłonie Malvery'ego i Jez, którzy pociągnęli go w bezpieczne schronienie ładowni. Bess cofnęła się do środka, groźnie tocząc wzrokiem po placu, a Crake pociągnął dźwignię zamykającą wejście. Piraci wrzasnęli z frustracji, widząc, że wymyka się im szansa ucieczki, ale żaden nie śmiał zdrzeć z golemicą.

Frey pragnął tylko położyć się i zasnąć, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Wziął się w

garść. To jeszcze nie był koniec.

Pozwolił, żeby Malvery zdjął mu Silosa z pleców. Ciepła krew przesiąkła przez płaszcz, tam, gdzie leżał na nim Murthianin. Położyli go na podłodze ładowni, a doktor obejrzał ranę. Twarz miał bladą i wystraszoną.

- Wylecz go - powiedział Frey.

- Traci za dużo krwi.

- Wylecz go, do diabła! - warknął kapitan. Potem ruszył do schodów prowadzących z ładowni. Poszedł korytarzem biegnącym wzdłuż osi „Ketty Jay”, przez drzwi do kokpitu, gdzie opadł na fotel pilota i wstukał kod zapłonu. Jez zjawiała się chwilę później, siadając na miejscu nawigatora. Frey napełnił zbiorniki aerium do maksimum.

Kolejna eksplozja zakotłosała „Ketty Jay”, kiedy statek zaczął podnosić swój ciężar ze wsporników. Frey wzdygnął się i uchylił, kiedy kula trafiła szybę przed nim, zostawiając mały, okrągły ślad. Piracka fregata majaczyła nad nimi po prawej, pociski wybuchały w powietrzu wszędzie dookoła niej ogłuszającą kaskadą dźwięku i światła. Jej kil nagle się otworzył, jakby seria detonacji porozpinała guziki biegnące po burcie od dziobu do rufy. Frey siłą woli próbował zmusić swój statek do szybszego startu; fregata przechyliła się na nich z głośnym jękiem przypominającym śmiertelny zew jakiejś monstrualnej metalowej bestii.

- Szybciej, szybciej! - mruczał pod nosem. „Ketty Jay” dźwignęła się z ziemi i zaczęła wznosić. Jez z grozą patrzyła na czarną, płonącą masę fregaty rosnącą w ich polu widzenia, grożącą zmiążdżeniem ich pod sobą. Skylance i firecrow śmignęły po obu stronach i uciekły; Harkins i Pinn nie mogli już im pomóc i musieli myśleć o własnym bezpieczeństwie. Przez huk artylerii i wycie silników „Ketty Jay” słabo słychać było krzyki z placu. Mieszkańcy Retribution Falls widzieli spadające na nich z nieba przeznaczenie.

„Ketty Jay” ledwie uniosła się nad dachy pobliskich budynków, kiedy Frey otworzył do oporu przepustnicę i z rykiem ożyły protanowe dysze. Przyspieszenie wgniotło go w fotel, podpory zahaczyły o dach tawerny, zdzierając dachówki w ucieczce z cienia fregaty. Frey zacisnął zęby, widząc sunący na nich z góry olbrzymi statek.

Pokład fregaty minął ich rufę z rykiem przemieszczanego powietrza, plując ogniem i dymem, i runął na plac z siłą lawiny. „Ketty Jay” uniosła Freya i jego załogę w ostatniej chwili; twierdza Orkmunda została starta z powierzchni ziemi, a wielka platforma na rusztowaniach pękła na pół.

Ten jeden raz Frey był zadowolony, że nie widzi, co jest za jego statkiem. Straszliwe zniszczenie, które zostawiali za sobą, odbyło się w jego wyobraźni. Zaskoczyło go ukłucie żalu - nie po zabitych, ale przez Silosa, którego rzucił Malvery'emu jak bagaż. Zmusił się do



zachowania spokoju. Był odpowiedzialny za pozostałych. Będzie mógł się pławić w wyrzutach, kiedy znajdą się w bezpiecznym miejscu.

Spuścił trochę aerium, żeby powstrzymać gwałtowne wznoszenie się „Ketty Jay”, i poleciał wzdłuż krawędzi niecki, omijając flotę Marynarki i najgorszy kocioł walk. Pinn i Harkins zajęli pozycje za nim. Po prawej miał widok na całą bitwę. Retribution Falls leżało w ruinie, niczym na wpół zatopione złomowisko. Rufy zestrzelonych pirackich statków sterczały ze słonawej, cuchnącej wody, brocząc płonącymi strugami paliwa. Wszystko spowijał dym. Błyskały działa i huczały wybuchy.

Marynarka zablokowała jedną z dróg do Retribution Falls, ale najwyraźniej były też inne i piraci nimi uciekali. Porzucili obronę miasta i wycofywali się, niknąc we mgle w górze, w parowach i kanionach. Marynarka poniosła straty, ale dzięki atakowi z zaskoczenia były one niewielkie.

Frey poleciał „Ketty Jay” za flotę Marynarki, która wciąż skupiała się na mieście i nie pilnowała krawędzi niecki. Jeśli ktoś zauważył przemykające bokiem trzy małe statki, być może rozpoznał je i wstrzymał ogień. Tak czy inaczej „Ketty Jay” bez przeszkód wleciała do kanionu prowadzącego z dala od niecki i bitwy. Dookoła niej zamknęły się skaliste zbocza Hookhollowów, zasłaniając Retribution Falls. Wkrótce zostawili pirackie miasto daleko w tyle i znów zapanował spokój.

Malvery i Crake zanieśli Silosa do infirmerii i położyli go na stole operacyjnym. Murthianin był nieprzytomny, oddychał szybko i płytko. Oczy latały mu pod powiekami. Powietrze cuchnęło olejem i krwią, podłoga kołysała się w rytm przechyłów „Ketty Jay”.

Ręce Crake'a były usmarowane na czerwono. Miał wrażenie, że powinno go to brzydzić, ale był za bardzo skupiony na chwili, żeby pozwalać sobie na słabości. Pamiętał Silosa, który pomógł mu naprawić Bess po strzelaninie w Rabbanie, Silosa, który rozmawiał z nim i żartował na trawiastym zboczu. Nie byli już dla siebie nieznajomymi. Crake zamierzał zrobić wszystko, co musiał.

Malvery rozdarł koszulę Silosa, odsłaniając ranę. W potężnym mięśniu piersi ziała poszarpana dziura, z której lała się w okropnych ilościach czerwona krew. Doktor zaklął pod nosem.

- Ma krwotok wewnętrzny - powiedział. - Nic nie mogę zrobić.

- Musisz! - zaprotestował Crake. - Rozkrój go. Zatrzymaj krwawienie!

- Nie mogę - powtórzył Malvery. Poprawił swoje zielone, okrągłe okulary i nerwowo pociągnął za jeden siwy wąs. - Po prostu nie mogę.

Otworzył szufladę i wyjął butelkę leczniczego alkoholu. Wyciągnął korek i przyłożył ją

do ust, ale Crake wyrwał mu ją i z hukiem odstawił na operacyjny stół.

- Tylko ty jeden możesz to zrobić, Malvery! - warknął. - Zapomnij, co się stało z twoim przyjacielem. Jesteś chirurgiem! Rób swoje, do diabła!

- Już nie jestem chirurgiem - odparł Malvery, patrząc na leżącego przed sobą na stole mężczyznę. Krew płynęła z rany po kuli i lała się po piersi Silosa w groteskowych falach czerwieni. Crake bezskutecznie przykrył ranę dłońmi, potem zaczął się rozglądać za czymś lepszym do zatamowania krwawienia.

Rozumiał cierpienie Malvery'ego, ale nie miał czasu na współczucie, kiedy Silos umierał. Gdyby tylko był lepszym demonistą, mógłby go uleczyć sztuką. Ale nie miał sprzętu, więc nie mógł nic zrobić. Jediną szansą Murthianina był doktor, a on stał jak sparaliżowany.

- Do kroćset, będziesz tak stał i patrzył? - wrzasnął Crake.

- A co mam zrobić? - ryknął Malvery. - Cud? On umiera! Nic na to nie poradzę!

- Możesz spróbować! - odrzyknął Crake z równą zaciętością. Doktora zszokował ton jego spokojnego zazwyczaj głosu. - To nie jest to samo, co ostatni raz. On umrze tak czy inaczej. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji, jeśli ci się nie uda, dopilnuję tego. Ale nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy kapitan się dowie, że nawet nie spróbowałeś.

W tym momencie „Ketty Jay” przechyliła się na burtę, wytrącając go z równowagi; musiał się złapać stołu, żeby nie upaść. Butelka z alkoholem spadła, ale Crake złapał ją w locie. Malvery pobiegł do niej wzrokiem.

- Daj mi to - powiedział.

Crake tylko popatrzył na niego spode łba.

- Muszę się napić, żeby mi ręka nie drżała! - upierał się doktor.

- Twoja ręka wcale nie drży, doktorze. Do roboty. Zasłuż na swoje miejsce.

- Ja? - ryknął Malvery. - Jesteś na pokładzie ledwie od czterech miesięcy, arogancki gnojku!

- Tak. I uratowałem was wszystkich w Tarlock Cove. Bess uratowała was przed Kedmundem Drave. Odkryłem plany Grephena w Scorchwood Heights i nigdy nie zdobylibyśmy map od Dracken bez Bess. Zrobiliśmy, co do nas należało. Pinn i Harkins latają, Jez nawiguje, Silos dba o statek. A co takiego robisz ty, czego nie umiałoby jedno z nas? Strzelasz ze strzelby? Czasami obsługujesz działko? Jesteś chirurgiem, który nie operuje, Malvery! Balastem!

Twarz doktora wykrzywiła się w gniewie. Rzucił się nad stołem na Crake'a, ale demonistą był zbyt szybki.

- Udowodnij, że się mylę! - krzyknął. - Rozkrój go! Zatrzymaj krwotok i uratuj mu życie!

Malvery zaciskał i otwierał swoje wielkie pięści. Twarz miał czerwoną z wściekłości. Przez chwilę Crake myślał, że doktor naprawdę go zaatakuje, ale potem Malvery odwrócił się i pomaszerował do wiszącej na ścianie drewnianej szafki. Otworzył ją i wyjął skalpel. Narzędzia chirurgiczne były jedynymi czystymi rzeczami w brudnej salce. Doktor wrócił do stołu i wbił wzrok w Crake'a.

- Otworzę go, do diabła - warknął. - A ty zostaniesz mi pomóc.

Crake podwinął rękawy.

- Mów, co mam robić.

\* \* \*

Frey siedział w fotelu pilota wpatrzony w mgłę. Filtr powietrza wciąż wisiał mu na szyi, choć minęła ponad godzina, odkąd przelecieli nad rzeką lawy i jej trującymi oparami. Jez odczytywała kursy i koordynaty ze stanowiska nawigatora za nim, a on automatycznie się do nich stosował. Co jakiś czas sprawdzała wskazania kompasu i ostrzegała o jakiejś minie w oddali, której nie zniszczyły trałowce Marynarki, ale odległość zawsze była za duża, żeby coś im groziło.

Frey prawie wcale nie myślał o tym, co robił. Leciał tą trasą już czwarty raz i przestał się jej bać. Ufał Jez. Harkins i Pinn lecieli przez mgłę za nim. Co do Marynarki - ta mogła sama znaleźć wyjście.

Myślał o Silosie. Wisiało nad nim czarne widmo straty. Nie chodziło o samą myśl, że Silos może umrzeć - Freya już wcześniej zaskoczyła głębia jego uczucia do małomównego cudzoziemca - ale fakt, że może stracić jednego z członków załogi. Z każdym przeżyтым niebezpieczeństwem traktował ich coraz bardziej jako niepodzielną całość. Kiedyś często marzył, żeby ich zostawić i odlecieć samemu, teraz nie mógł znieść takiej myśli. Stali się miniaturowym społeczeństwem, obywatelami „Ketty Jay” i potrzebowali się nawzajem, żeby przeżyć. W jakiś sposób osiągnęli zadowalającą wszystkich równowagę, a mając ją, byli zdolni do niesamowitych rzeczy. Frey bał się straty któregośkolwiek z nich, bał się zakłócenia tej równowagi. Bał się powrotu do tego, jak sprawy wyglądały wcześniej.

Przez cały ten czas chronił się przed stratą, wzbraniając się przed przywiązywaniem do kogokolwiek. Teraz, w jakiś sposób, mu się to nie udało. Próbował wściekać się na siebie za to, że tak się odsłonił, ale nie mógł się zmusić. Wszystko to było częścią większej zmiany, zmiany, która pozwoliła mu zaakceptować siebie w stopniu o wiele większym, niż kiedykolwiek przed zniszczeniem „Asa Czaszek”. Nie oddałby dni dzielących go od tamtej chwili za nic na świecie.

Teraz jednak Silos był na skraju śmierci, w rękach doktora alkoholika i jego niewyszkolonego pomocnika. Silos, który przyjął kulę po to, żeby on nie musiał. Frey nie byłby w stanie żyć z taką odpowiedzialnością.

Dlaczego to tyle trwa? Nie skończyli jeszcze? - denerwował się.

Jakby w odpowiedzi usłyszał, jak odsuwają się drzwi infirmerii. Zgarbił się, jakby czekał na cios. Korytarzem zbliża się odgłos kroków, butów stukających o metal. Za lekkich na Malvery'ego, a więc to musiał być Crake. Frey odwrócił się w fotelu, żeby się upewnić, i zobaczył stojącego w drzwiach demonistę. Ręce miał czerwone od krwi, na twarzy wciąż nosił maskę. Wskazał ją i powiedział pytającym tonem coś, czego nikt nie zrozumiał.

- Możesz już to zdjąć - stwierdziła Jez, domyślając się, o co mu chodzi.

Crake ściągnął maskę i wziął kilka głębokich oddechów.

- Od razu lepiej - powiedział. - Ależ duszno w tym draństwie.

- Uhm - przytaknęła Jez.

- Wszystko w porządku? - spytał Crake.

- Powiesz mi wreszcie, do cholery, co się tam z tyłu dzieje? - wybuchnął Frey, nie mogąc dłużej znieść napięcia.

- Ach, tak - mruknął Crake. Wyszczrzył się szeroko. - Doktor zatamował krwawienie i wyjął kulę. Mówi, że pacjent wyzdrowieje.

Jez zachłysnęła się i klasnęła w dłonie, w zaskakująco dziewczęcej reakcji jak na osobę, którą Frey do tej pory brał za raczej mało kobiecą. Frey z westchnieniem oklapł w fotelu, czując, że całe jego ciało się rozluźnia. Ulga i wyczerpanie połączyły siły. W końcu było po wszystkim. Na twarz wypełził mu szeroki uśmiech. Crake zaśmiał się i klepnął go w ramię, zostawiając tam groteskowy odcisk dłoni.

- Dobra robota, chłopcy - pochwalił Frey. - Cholernie dobra robota.

- Muszę iść pomóc Malvery'emu - odparł Crake. - Pomyślałem, że dam wam znać, co i jak.

Zniknął z powrotem w korytarzu i infirmerii.

- Jesteśmy na miejscu, kapitanie - oznajmiła Jez. - Cała stop. Możesz zacząć wznoszenie.

Frey zatrzymał „Ketty Jay” i zaczął wznosić się przez mgłę. Opary stopniowo rzedły, półmrok jaśniał. Po bokach znów pojawiły się złowrogie, kamienne cienie zbcocy.

Frey podniósł wzrok. Na ustach wciąż miał uśmiech. Tam w górze było światło i wolność. Tam w górze była perspektywa nowego życia, luksusowego życia, sfinansowanego ze skrzyni pełnej złota Przebudzonych, którą ukradli Orkmundowi. Tam w górze była nowa szansa dla nich wszystkich.

- Nigdy nie widziałam u ciebie takiego uśmiechu, kapitanie - wyznała Jez.

- Po prostu ten jeden raz naprawdę czuję, że wszystko będzie dobrze.

Wyłonił się z mgły i nagle „Ketty Jay” uderzyła straszliwa eksplozja, wypełniając kokpit oślepiającym światłem, potrząsając nimi jak szmacianymi lalkami.

Następnej nie było. Frey zamrugał, otrząsnął się z szoku i z powrotem wciągnął się na fotel.

Otoczał ich rój norburych equaliserów. Przed nimi, z wycelowanym w „Ketty Jay” całym swoim pokaznym arsenałem, unosił się „Płomień Delirium”.

Frey wydał policzki i przeciągle westchnął z rezygnacją.

- No i dupa.

## 39

*„Tak się kończy miłosierdzie ” - Decyzja Dracken - Wnioski*

Zimny wiatr pędził obłoczki szarego popiołu po równinach Blackendraft. Płaszcz Freya niespokojnie łopotał. Ze wszystkich stron otaczał ich ponury horyzont. „Płomień Delirium” wisiał na kotwicy nieopodal, jego twarde okrutne kontury odcinały się wyraźnie na tle pustki.

Załoga „Ketty Jay” stała w szeregu pod rampą. Pinn i Harkins posadzili swoje myśliwce i zostali otoczeni. Silosa, Bess i Żuźła nie było. Silos wciąż leżał w infirmerii. Crake uspił Bess, żeby wszyscy przez nią nie zginęli, gdyby wpadła w szal. Żuźel zniknął w kanałach wentylacyjnych, załatwiając jakieś swoje tajemnicze kocie sprawy. Nic nie było w stanie rozłączyć go z jego statkiem.

Przed nimi stali Trinica Dracken i kilkunastu mężczyzn z „Płomienia”. Marynarze celowali do Freya i jego załogi z rewolwerów, a Trinica zaglądała do czerwono lakierowanej skrzyni, stojącej u jej stóp. Przez długą chwilę patrzyła na znajdujące się w niej bogactwo, ale jej upiornie biała twarz i nienaturalnie czarne oczy nie zdradzały, o czym myślała. W końcu podniosła wzrok.

- Dobrze się spisałeś, Darianie - powiedziała. - Miło z twojej strony, że wiozłeś to taki kawał, aż z warowni Orkmunda, specjalnie dla mnie.

Pinn wymamrotał coś nieprzyjemnego pod nosem. Malvery dał mu w ucho.

- Powinienem być cię zabić, kiedy miałem okazję - stwierdził Frey. Nie było w tym złości, jedynie stwierdzenie faktu. - Widać tak się kończy miłosierdzie.

Trinica rzuciła mu suchy uśmiech.

- Uznaj to za cenę wartościowej nauzki.

Patrzyli na siebie przez oddzielającą ich pylistą przestrzeń. Wszystko zdominowała przytłaczająca cisza Blackendraftu.

Nie potrafił jej nienawidzić. Nie umiał wzbudzić w sobie niczego więcej niż chłodnego rozczarowania. Miał wrażenie, że tak właśnie powinno być. To chciwość sprawiła, że rzucił się na zbyt piękną, by była prawdziwa ofertę Quaila. A choć nie winił siebie za zabitych na pokładzie „Asa Czaszek” - byli skazani na zagładę z jego udziałem czy bez - odegrał w tym jakąś rolę. Mógł ocalić arcyksięcia i wyświadczyć wielką przysługę krajowi, ale zrobił to, wszczynając masakrę w Retribution Falls. To niesprawiedliwe, żeby wzbogacił się na swojej głupocie kosztem tylu straconych istnień.

Może był coś świata winien. Za załogę, którą zabrał do Samarii i zostawił na śmierć. Za każdą Trinicę Dracken i Amalicię Thade, które rzucił i zapomniał o nich na pierwszy sygnał, że chciały od niego czegoś więcej, niż był gotów dać.

Za swoje dziecko, które umarło przez tchórzostwo swoich rodziców.

Wydał na nich wszystkich wyrok, kiedy zgodził się napaść na „Asa Czaszek”. Ale od tamtej pory odzyskał wszystko, co stracił, i to z nawiązką. Stworzył załogę i odbudował samego siebie. Może tak naprawdę to było wszystko, czego potrzebował.

- Co teraz, Trinico? - spytał.

- Spodziewam się, że Grephen zawiśnie - odparła. - Przebudzeni... Cóż, są zbyt potężni, żeby ich to zniszczyło. Ale myślę, że arcyksiężę podwoi wysiłki, żeby ich osłabić.

- Chodziło mi o to, co teraz będzie z nami?

Trinica spojrzała na niego ze zdumieniem.

- A skąd mam wiedzieć? Pewnie dostaniecie swoje ułaskawienia, nawet jeśli nie stawicie się po ich odbiór.

- Puszczasz nas wolno?

- Oczywiście - powiedziała. - Każdy, kto wyznaczył nagrodę za twoją głowę albo ją wycofał, albo nie ma już jak zapłacić. Po co miałabym cię więzić?

Załoga Freya wyraźnie się odprężyła. Frey odgarnął włosy, które wiatr targał mu na czole.

- A ty? - spytał.

- Ja gdzieś polecę - odparła nonszalancko. - Od tej pory będę chyba musiała schodzić z

drogi Marynarce, ale dam sobie radę.

Skinęła na swojego bosmana, który napelnił skórzaną torbę monetami ze skrzyni. Zawiązał ją cienkim sznurkiem i podał Trinice. Torba była tak ciężka, że trudno ją było utrzymać jedną ręką. Zważyła ją z namysłem, a potem rzuciła Freyowi, który ledwo ją złapał.

- Znaleźne - oznajmiła. - A do tego możesz zatrzymać swój statek.

- To niezwykła wspaniałość, jak na ciebie, Trinico.

Uśmiechnęła się, i tym razem nie był to chłodny, czujny uśmiech, który Frey zdążył poznać. To był uśmiech dawnej Triniki, z czasów, zanim jej świat wypełniła groza. Freya zalała fala gorzko-słodkiego ciepła.

- Jestem w sentymentalnym nastroju - stwierdziła. - Żegnaj, kapitanie.

Odwróciła się do nich tyłem i poszła do promu stojącego nieopodal. Jej ludzie zamknęli skrzynię i ją dźwignęli. Frey z załogą patrzyli, jak znikają w statku, który wystartował i zabrał ich z powrotem na „Płomień Delirium”.

- Cóż - powiedział Malvery, mrużąc oczy przed kurzem i patrząc, jak znikają w oddali. - To właśnie nasze szczęście.

- Uszy do góry! - odparł Frey. - Mamy trzy statki, dość dukatów, żeby latać przez rok, i cały świat u stóp. Powiedziałbym, że jesteśmy w tej chwili najfartowniejszą załogą w całej Vardii.

- Czułbym się o wiele fartowniej, gdyby ta wiedźma nie prysnęła właśnie z naszym łupem - poskarżył się doktor.

Frey klepnął go po ramieniu.

- Spójrz na dobrą stronę. Mogła nas zabić.

- To fakt - ustąpił Malvery.

- Tak... ee... tak sobie myślę, czy ktoś jeszcze jest głodny? - spytał Harkins.

- Powinniśmy chyba zabrać Silosa do szpitala - zasugerowała Jez. - Załatwić mu porządne łóżko i pielęgniarce.

Frey spojrzał na Malvery'ego.

- Ile czasu Silos potrzebuje, żeby wrócić do pracy? Twoim zdaniem jako fachowca?

- Jakies trzy tygodnie. Może cztery.

Frey podrapał się w kark.

- Cóż, po tym, co właśnie przeszliśmy, zasługujemy chyba na trochę wolnego.

Pinnowi zaświeciły się oczy na perspektywę gorzały i dziwek. Frey podniósł worek monet.

- Dzisiaj ja stawiam!

Wszyscy zaczęli wiwatować.

- Jez! - krzyknął.

- Kapitanie!

- Znajdź nam jakiś przytulny port na uboczu, z porządnym szpitalem, bujnym nocnym życiem i miejscem, gdzie można zagrać w rejka.

- Skinner's Gorge?

- Skinner's Gorge brzmi nieźle.

Znów rozległy się wiwaty; wszyscy zaczęli klepać się po plecach i ścisnąć sobie dłonie w nieskładnych i entuzjastycznych gratulacjach. Skrzynia z dukatami już poszła w niepamięć. Mieli wszystko, czego potrzebowali. Cieszyli się, że żyją.

Frey nie mógł powstrzymać uśmiechu. Patrząc na roześmiane twarze swojej załogi, poczuł ogarniającą go falę sympatii dla tych ludzi, dla mężczyzn i kobiet, z którymi dzielił swój statek i swoje życie. Byli szczęśliwi, wolni i mieli przed sobą bezkresne niebo.

Więcej nie potrzebowali.